

**Len Deighton**

# ***NALOT***

*tłumaczył WŁADYSŁAW NYCZ*

„KB”

Choć usiłowałem przedstawić tło dzieła tak realistycznie, jak to było możliwe, jest ono całkowitą fikcją. Jak mi wiadomo, nie było bombowców Lancaster zwanych „Creaking Door”, „The Volkswagen” lub „Joe jak King”. Nie było lotniska RAF o nazwie Warley Fen i bazy Luftwaffe zwanej Kroonsdijk. Nie było Altgarten i nie istnieli ludzie podobni do opisanych przeze mnie. W roku 1943 ani w jakimkolwiek innym roku nie było dnia

31 czerwca.

**L.D.**

Rytuał: zespół religijnych lub magicznych ceremonii lub obrzędów, często w połączeniu ze specjalnymi formułami słownymi lub specjalnymi (i tajemnymi) słowami, zwykle z ważnych okazji lub czynności.

DR. J. DEVER

*Słownik Psychologii* (Penguin Books)

W czasie od lutego 1965 do 31 lipca 1968 Amerykanie I dokonali 107 700 nalotów bombowych na Wietnam. [Zrzucono bomby i wystrzelono rakiety ważące ogółem 2581 876 ton.

*Keisinger's Continuum Archives*

Postawa dzielnych Sześciuset, która wzbudziła podziw Lorda Tennysona, wynikała z faktu, że już od najmniejszego zamiaru zapytania o powód, odstraszano niedoszłego iociekliwego przywiązującego do pała i bicząc do utraty)rzytomności.

F.J.P. VEALE

*Adyance 10 Barbarism* (Mitrę Press, 1968)

To była pogoda dla bombowców: suche powietrze, łagodny wiatr i chmury poprzerywane wystarczająco, by zobaczyć gwiazdy. W sypialni było tak ciemno, że Ruth Lambert dopiero po chwili dostrzegła męża stojącego przy oknie.

— Sam, czy czujesz się dobrze?

— Modłę się do księżycy. Zaśmiała się rozespana.

— O czym ty mówisz?

— Czy nie sądzisz, że potrzeba mi wszystkich możliwych czarów?

— Och, Sam. Jak możesz tak mówić, skoro...

- ... wróciłeś cało z czterdziestu pięciu lotów bojowych - dokończył jej zdanie.

Skinęła głową. Miał rację. Obawiała się to powiedzieć, ponieważ istotnie wierzyła w czary lub podobne niesamowitości. W domu stojącym na uboczu, we wczesnych godzinach porannych, kiedy wiatr przepędzał chmury zasłaniające księżyc, nietrudno było poddać się nastrojowi grozy.

Zasłonił oczy dłonią, gdy zapaliła lampkę na nocnym stoliku przy łóżku. Sam Lambert był wysokim, dwudziestosześcioletnim mężczyzną. Konieczność noszenia munduru ze ściśle przylegającym kołnierzykiem spowodowała, że opalenizna odcinała się ostrą linią wokół jego szyi. Muskularne ciało było natomiast białe. Przesunął palcami po zmierzwionych, czarnych włosach i poskrobał kącik nosa, tam gdzie mała blizna znikwała w zmarszczkach uśmiechu. Ruth lubiła, jak się uśmiechał, ale ostatnio rzadko to czynił.

Zapiął żółtą, jedwabną pizamę, kupioną przez Ruth za mnóstwo pieniędzy na Bond Street. Dała mu ją z okazji nocy poślubnej, trzy miesiące temu; wtedy uśmiechnął się. Teraz włożył ją po raz pierwszy.

Będąc jedynym małżeństwem pośród gości Cohena, Ruth i Sam Lambert zostali ulokowani w sypialni króla Karola z tak wspaniałymi obiciami i wykładzinami, że Sam złapał się na mówieniu szeptem.

- Co za nudny weekend dla ciebie, kochanie: rozmowy o bombach bombardowaniu i bombowcach.

— Lubię was słuchać. Pamiętaj, że ja także jestem w RAF. W każdym razie musieliśmy tu przyjechać. On jest członkiem twojej załogi, jesteście jakby jedną rodziną.

— Tak, przybyło ci pół tuzina zupełnie nowych krewnych.

— Lubię twoją załogę.

Powiedziała to z wahaniem, gdyż właśnie z jednego z ostatnich lotów jej mąż przyleciał z martwym nawigatorem. Od tego czasu nigdy nie wymienili jego nazwiska.

- Czy przestało padać? - zapytała.

Lambert skinął głową. Gdzieś nad nimi jakiś samolot mozolnie przechodził przez chmurę; jego pilot usiłował zapewne dostrzec ziemię poprzez jakąś lukę. Ćwiczenie nawigacyjne, pomyślał Lambert, prawdopodobnie meteorolodzy przepowiedzieli małe, lekkie cirrusy. To ich ulubiona prognoza.

— Czy to Cohen dostał nudności za pierwszym razem? - spytała.

— Niezupełnie tak, on... - machnął ręką.

— Nie miałam na myśli choroby - powiedziała Ruth. - Zostawić lampkę zapaloną?

— Wracam do łóżka. Która godzina?

- Jest wpół do szóstej, poniedziałek rano.

— Na następny weekend pojedziemy do Londynu i zobaczymy „Przeminęło z wiatrem” lub inny film.

— Obiecujesz?

— Obiecuję. Już po burzy. Będzie dobre, lotne powietrze. Przez Ruth przeszedł dreszcz trwogi.

— Dostałem list od ojca - powiedział.

— Poznałam pismo.

— Czy mogę mu dać jeszcze pięć funtów?

— On je przepije.

— Oczywiście.

— I mimo to mu pošlesz?

— Po prostu nie mogę opuścić biednego starego.

Krowy stały bardzo spokojnie i wydawało się, że śpią; Lambert dotąd niewiele wiedział o wsi. Właściwie to jej nie znał aż do chwili, gdy siedem lat temu nie zaczął latać. Ogromna, otwarta przestrzeń. Rodzina

młodego Cohena miała tu bardzo wiele akrów i strumyk pełen pstrągów, i ten stary dom, jak z opowieści o duchach, ze skrzypiącymi schodami, zimnymi sypialniami i starodawnymi zasuwami u drzwi, które nigdy dobrze się nie zamykały. Wyciągnął rękę i przebiegł palcami po obiciach. W Muzeum Wiktorii i Alberta nigdy by na to nie pozwolono.

Niektóre szyby okienne wyblakły i miały pęcherzyki powietrza, a drzewa widziane przez nie wyginały się groteskowo. Okolica wyglądała nocą obco i wydawała się jednobarwna jak stara fotografia. Na wschodzie, nad morzem, za Holandią i Niemcami, niebo jaśniało wystarczająco, aby dojrzeć sylwetki drzew i linię horyzontu. Osiem dziesiątych zachmurzenia, zaledwie skrawek światła księżyca na obrzeżu cumulusa. Można by nad tym wszystkim lecieć całą Grupą, a z ziemi by ich nawet przez moment nie zauważono. Odwrócił się od okna. Z drugiej jednak stron mieliby nas na swoim cholernym radarze.

Przeszedł po zimnej, kamiennej podłodze i spojrzął na żonę spoczywającą: w masywnym łożu. Jej czarne włosy upodobiały białą poduszkę do marmuru a z zamkniętymi oczami przypominała jakąś baśniową księżniczkę, oczekując: przebudzenia magicznym pocałunkiem. Rozsunął zasłonę starego łoża o cztery filarach, zaskrzypiało, gdy z ulgą rozciągnął się w pościeli. Wydała senny pomruk i mocno przyciągnęła jego chłodne ciało do siebie.

— On po prostu miał chwile słabości - powiedział. - Cohen jest cholernie miłym chłopcem a jednocześnie znakomitym nawigatorem.

— Kocham cię - zamruczała Ruth.

— Każdy się może załamać - wyjaśnił Lambert.

Podciągnęła mu poduszkę pod głowę i przesunęła się robiąc więcej miejsca. Oczywiście miała zamknięte, ale wiedziała, że nie śpi. Wielokrotnie leżeli nocą nie śpiąc, tał jak teraz.

Kiedy pobierali się w marcu, padało, gdy jechali do kościoła, jednak gdy wchodzili po schodach, ukazało się słońce. Miała wtedy na sobie jedwabną bładoniebieską suknię. Od tego czasu jeszcze dwie inne dziewczyny brały w niej ślub.

Przycisnęła do niego twarz, tak że słyszała bicie jego serca. Był to uspokajający budzący ufność dźwięk i wkrótce zapadła w sen.

Dawną okazałość wiejskiego dworu Cohenów zatarł spowodowany

wojna, brak rąk do pracy i materiałów budowlanych. Ścianę pokoju jadalnego szpeciła wilgotna plama, a dywan ułożono tak, aby jego zniszczona część znalazła się pod kredensem. Małe okna o ołowianych ramach i niezgrabne urządzenia do zaciemniania czyniły pokój ponurym, nawet w tak jasny, letni poranek jak dziś.

Każdy z obecnych lotników pogodził się już z myślą o powrocie na lotnisko i wszyscy na swój sposób czuli, że ten dzień zakończy się lotem bojowym. Lambert wyczuwał zmianę pogody i wybrał krzesło, z którego mógł spoglądać na niebo.

Lambertowie nie zeszli na śniadanie pierwsi. Kapitan Sweet był na nogach od wielu godzin. Powiedział im, że wybrał się na przejażdżkę konną.

- Zważcie, że siedziałem tylko na tym biednym stworzeniu, podczas gdy ono spacerowało po łące.

Pewnie rzeczywiście tak zrobił, ale samokrytyczny ton wypowiedzi sugerował, że był bardzo doświadczonego jeźdźcem.

Sweet wybrał miejsce w fotelu o wygiętym oparciu, znajdującym się u szczytu stołu. Ten jasnowłosy, dwudziestodwuletni mężczyzna, cztery lata młodszy od Lamberta, jak wielu członków załogi był niski i krępy. Miał rumianą cerę. Jego różowa skóra jeszcze bardziej różowiała w słońcu, a kiedy uśmiechał się, wyglądał jak szczęśliwe, pełne temperamentu dziecko. Niektóre kobiety bardzo to lubiły.

Uważano go za „materiał na oficera” od dnia, gdy zaciągnął się do wojska. Miał czysty, wysoki głos, energię, entuzjizm i cenną umiejętność schlebiana przełożonym.

— I ambicję wzięcia się za łeb z Hunem, proszę pana.

— Doskonale, Sweet.

- Bóg mi świadkiem, proszę pana, ja nie potrafię być inny. To wpaja się chłopcu w każdej porządnej szkole.

- Doskonale, Sweet.

Sweeta wyznaczono tymczasowo na dowódcę eskadry B, w której jeden z samolotów pilotował Lambert. Usilnie starał się o popularność: znał przezwiska wszystkich i pamiętał miejsca ich urodzenia. Odczuwał wielką przyjemność witając ludzi w akcencie ich rodzinnego miasta. Pomimo tych wszystkich wysiłków niektórzy nienawidzili go. Sweet nie mógł zrozumieć dlaczego.

W tym miesiącu dywizjon został przeniesiony do służby pathfinderów. Oznaczało to, że każda załoga musi wykonać podwójną turę operacji. Dwa razy trzydzieści to sześćdziesiąt, a przeżyć sześćdziesiąt lotów nad Niemcy, przy średnio pięcioprocentowych stratach, było matematycznie trzykrotnie niemożliwe. Lambert i Sweet ukończyli już jedną turę i odbywali teraz drugą. Z obliczeń ubezpieczeniowych wynikało, że już dawno nie żyją.

Kiedy starszy sierżant Digby wszedł do pokoju, Sweet opowiadał właśnie jakąś historyjkę. Digby był trzydziestoletnim australijskim bombardierem. Według norm bojowych dla załóg latających można go było uważać za starego, a jego łysiejąca głowa i osmagana wiatrem twarz wyróżniała go spośród innych. Odznaczał się także stałą gotowością do wybijania oficerom z głowy ich nadętej dumy. Przysłuchiwał się opowiastce kapitana Sweeta, jedyne go oficera spośród gości.

- Facet wjeżdża na stację benzynową - opowiadał Sweet. Jego oczy zwęziły się w uśmiechu, więc inni przycichli, bo umiał opowiadać zabawne historyjki. Sweet strącił popiół do resztek swojego śniadania. - Kierowca miał kupony tylko na pół galona, powiada więc: „Doskonale spisują się chłopcy Monty’ego, co?”. „Kto?” pyta wielce zaskoczony facet obsługujący stację. „Generał Montgomery i Ósma Armia”. „Jaka Armia?”. „Ósma Armia. Zadała starym pancerniakom Rómmla paskudny cios”. „Rommla? Rommla? A kto to jest Rommel?”. „W porządku”, powiada facet w



samochodzie, odkładając swoje kupony. „Nie zwracaj uwagi na te wszystkie bzdury. Nalej do pełna i daj mi dwieście papierosów players oraz dwie butelki whisky”.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że Sweet obsadził w roli kierowcy Australijczyka, a Digby był uczulony na punkcie swojego akcentu. Umiejąc docenić uśmiechy, Sweet powtórzył główne zdanie normalnym głosem: „Nalej do pełna i daj mi dwieście papierosów”. Zaśmiał się i wypuścił idealne kółeczko z dymu.

Używa pan teraz zabawnego akcentu - stwierdził Digby.

— To angielszczyzna ludzi wykształconych - odparł Sweet.

— Mam nadzieję - powiedział Digby. - Ze swoim akcentem brytyjskiego imigranta, kierowca miałby straszne kłopoty tam, skąd ja pochodzę.

Sweet uśmiechnął się. W tych szczególnych okolicznościach, będąc współgościem w domu ojca Cohena, musiał godzić się z poufałością, której nie ścierpiałby nigdy w dywizjonie.

— To jest po prostu kwestia edukacji - powiedział nawiązując do zachowania Digby’ego i do jego akcentu.

— Słusznie - zgodził się Digby, siadając naprzeciw Sweeta. Krawat Digby’ego zahaczył się o kołnierzyk koszuli tak, że podchodził mu pod szczękę.

- Jednak, poważnie mówiąc, ja rzeczywiście podziwiam sposób, w jaki wy, chłopcy, mówicie. U was wszystkich rozkazy dzienne brzmią jak Shakespeare. No a pan, kapitanie Sweet, musiał uczęszczać do dobrej szkoły. Czy to krawat szkoły w Eton?

Sweet uśmiechał się i obracał w palcach swój czarny, lotniczy krawat.

— Nie, ze sklepu Harrodsa.

— Jezu! - zdumiał się, kpiąc, Digby. - Nie wiedziałem, że pan studiował u Harrodsa, chłopie. Co pan zgłębiał? Nowoczesną bieliznę damską?

Sweet uznał postawę Digby’ego za wyzwanie. Posłał mu bardzo przyjazny uśmiech; wierzył, że mógłby z niego zrobić takiego człowieka, jakim był sam. Wszyscy wiedzieli, że Digby był świetnym bombardierem.

Młody sierżant Cohen grał rolę troskliwego gospodarza, chodząc bez

przerwy do kredensu, aby przynieść więcej kawy i nalegając na gości, aby częstowali się racuszkami i miodem.

Sierżant Battersby przyszedł na śniadanie ostatni. Był wysokim, osiemnastoletnim chłopcem o kędzierzawych włosach koloru słomy, szczupłych rękach i nogach oraz bladej cerze. Jego wzrok przebiegł uważnie i przepaszająco pokój, a jego miękkie, pełne usta drżały, ponieważ postanowił nie mówić, jak mu jest przykro, że się spóźnił. A powodów do spóźnienia miał mniej od innych. Jego policzki rzadko wymagały golenia i w większość poranków upewniał się jedynie, że nie ma już młodzieńczego trądziku. Jego kędzierzawe włosy prawie nie potrzebowały grzebienia, a buty i guziki czyścił zawsze poprzedniego dnia wieczorem.

Battersby był jeszcze młodszy i mniej doświadczony od Cohena. Był mechanikiem pokładowym Lamberta, czyli jego doradcą technicznym i pomocnikiem. Pomagał obsługiwać urządzenia sterowania podczas startów i lądowań; musiał bez przerwy pilnować systemu paliwowego, olejowego i chłodzącego, zwłaszcza przełączania zbiorników paliwa. Poza tym powinien znać każdą nakrętkę, każdą śrubkę samolotu i być gotów „dokonywać w czasie lotu napraw awaryjnych”

- wszystkiego, od hydraulicznej wieżyczki strzelca pokładowego do kamery i od celownika bombowego do urządzenia tlenowego. Była to przerażająca odpowiedzialność dla nieśmiałego osiemnastolatka.

Lambert odbył dotąd piętnaście lotów bombowych z mechanikiem o nazwisku Micky Murphy, który latał teraz jako członek załogi kapitana Sweeta. Niektórzy mówili, że Sweet nigdy nie powinien zabrać Lambertowi rosłego jak wół Irlandczyka po tyłu wspólnych lotach. Jeden z sierżantów personelu naziemnego powiedział, że to przynosi pecha, a niektórzy z oficerów mówili, że to złe maniery. Natomiast Digby orzekł, że było to częścią planu Sweeta, aby dochrapać się stanowiska marszałka RAF nawet za cenę służalczości i lizusostwa.

Battersby kręcił się codziennie wśród załogi swego samolotu, obserwując i zadając swoim cienkim głosem nie kończące się pytania. Chociaż wzbogacało to jego wiedzę, nie zwiększało jednak popularności. Zapatrzony w Lamberta, nie spodziewał się niczego więcej niż krótkiego słowa uznania, które otrzymywał po każdym locie. Battersby był nietypowym mechanikiem pokładowym. Większość z nich była, jak Micky Murphy, praktykami o stwardniałych dłoniach i instynktownie wyczuwała wszelkie usterki. Przybyli z fabryk i warsztatów samochodowych, byli uczniami, robotnikami lub młodymi urzędnikami z własnymi motocyklami, które umieli po demontażu ponownie złożyć z zawiązanymi oczami. Battersby nigdy nie będzie miał ich instynktu. Uczył się w szkole średniej, mając tylko raz w tygodniu zajęcia techniczne. Oczywiście Battersby bił na głowę większość mechaników dywizjonu na egzaminach pisemnych i na szczęście dla niego RAF przywiązywał do pracy pisemnej duże znaczenie. Jego ojciec uczył fizyki i chemii w szkole w Lancashire.

„Oceniałem twoje ostatnie prace z fizyki podczas dyżuru przeciwpożarowego. Razem ze mną był na służbie dyrektor szkoły. Dał podobne pytania egzaminacyjne szóstej klasie i powiedział mi, że twoje odpowiedzi były bez wątpienia najlepsze. Nie potrzebuję nadmieniać, że twój ojciec poczuł się dumny z ciebie. Ufam jednak, że nie osłabi to twoich wysiłków. Zawsze pamiętaj, że po wojnie będziesz ubiegał się o miejsce na uniwersytecie z chłopcami, którzy są na tyle mądrzy, że nawet podczas wojny podnoszą swe kwalifikacje. Pytania egzaminacyjne z tego tygodnia powinny okazać się sprawą prostą. Może jednak powinienem cię ostrzec, że druga część czwartego pytania nie odnosi się jedynie do sodu. Wymaga ona głębszej odpowiedzi, a jej pozorna prostota jest pułapką”.

Pani Cohen weszła z kuchni do pokoju jadalnego właśnie wtedy, gdy

Battersby częstował się racuszkami i odrobiną miodu. Była smukłą, siwą kobietą, skorą do miechu. Zsunęła jeszcze pół tuzina racuszków na jego talerz. Battersby sprawiał takie wrażenie, jakby ciągle było mu mało. Zapytała spokojnie staranną angielszczyzną, czy jeszcze ktoś chciałby dokładkę. Trzymała w dłoni stos świeżych ciasteczek.

— Bardzo smaczne, pani Cohen - powiedziała Ruth Lambert. - Czy to własnej roboty?

— Wiedeński przepis, Ruth. Dam ci go.

Wszyscy spoglądali w stronę pani Cohen, która nerwowo opuściła oczy. Przypominali jej młodych, niemieckich żołnierzy oddziałów szturmowych, których widziała, gdy rozbijali fasady sklepów w Monachium. Zawsze myślała o Brytyjczykach jako o bladej, przyszczałej, skarłowaciałej rasie, z lichymi zębami i brzydkimi twarzami, ale przecież ci lotnicy także byli Brytyjczykami. Jej Simon nie różnił się od nich. Śmiali się nerwowo z tych samych kawałów, niezależnie od tego jak często je powtarzano. Jak dla niej mówili trochę zbyt szybko i używali żargonu, którego nie rozumiała. Emmy Cohen bała się trochę tych przystojnych chłopców podpalających miasta, które znała z czasów młodości. Zastanawiała się nad tym, co się dzieje w ich zimnych sercach i czyjej syn należy teraz bardziej do nich czy do niej?

Pani Cohen spojrzała na żonę Lamberta. W mundurze kaprała WAAF prezentowała się całkiem dobrze. W Warley Fen miała pieczę nad nadmuchiwanymi tratwami, jakie bombowce zabierały na wypadek przymusowego lądowania na morzu. Miała dziewiętnaście, najwyżej dwadzieścia lat. Jej przeguby i kostki u nóg nosiły jeszcze ślady pulchności uczennicy. Wszyscy zazdrościli Lambertowi jego pięknej, młodziutkiej żony i aby to ukryć drażnili się z Ruth, krytykowali i poprawiali jej pomyłki, jakie robiła mówiąc o ich samolotach, dywizjonie, wojnie. Lambert rzadko uczestniczył w tym trajkotaniu, a jednak jego żona często spoglądała na niego, jakby szukając aprobaty lub pochwały. Pogodny, mały Digby i bladolicy Battersby, posyłali od czasu do czasu Lambertowi żartobliwe spojrzenia. Pani Cohen zauważyła, że robił to również jej syn, Simon.

Było piętnaście po ósmej, gdy wysoka dziewczyna w mundurze oficera WAAF weszła przez drzwi od tarasu, jak aktorka w salonowej sztuce. Musiała zdawać sobie sprawę, że światło słoneczne padające z tyłu stworzyło aureolę wokół jej jasnych włosów, ponieważ zatrzymała się tam na kilka chwil spoglądając na umundurowanych na błękitno mężczyzn.

— Dobry Boże - rzekła z kpiącym zdumieniem. - Więcej was tu nie było?

— Cześć, Noro - powiedział młody Cohen. Była córką ich najbliższych sąsiadów, jeśli tak można określić ludzi, posiadających rezydencję prawie o milę od ich posiadłości.

- Wpadłam tylko na chwilę, aby podziękować za przysłanie

cudownego kosza owoców.

To starzy Cohenowie posłali te owoce, ale wzrok Nory Ashton spoczął na ich synu. Nie widziała go od czasu, kiedy otrzymał błyszczącą, nową odznakę nawigatora.

— Cieszę się, że cię widzę, Noro - powiedział.

— Nora odwiedza swoją matkę prawie w każdy weekend - odezwała się pani Cohen.

— Raz na miesiąc - poprawiła Nora. - Jestem w High Wycombe w Kwaterze Głównej Dowództwa Lotnictwa Bombowego.

-Musisz teraz pewnie organizować sobie benzynę dla tego twojego starego gruchota?

- Oczywiście, mój pieszczošku.

Uśmiechnął się. Nie był już nieśmiałym, chudym studencikiem, lecz silnym, przystojnym mężczyzną. Dotknęła dystynkcji na jego ramieniu.

- Sierżant Cohen, nawigator - powiedziała i wymieniła spojrzenie z Ruth.

Nora musnęła go całusem, a Simon Cohen ujął na krótko jej dłoń. Następnie wyszła tak szybko, jak się pojawiła. Pani Cohen odprowadziła ją do drzwi i spojrzała uważnie na jej twarz, gdy Nora machała ręką na pożegnanie.

- Simon wygląda wspaniale, pani Cohen.

- Przypuszczam, że w Kwaterze Głównej jesteś otoczona rojem takich sierżantów jak on.

- Nie, nie jestem - odparła Nora. - Rzadko widuje się tam sierżantów, natomiast wymazuje się ich z tablicy setkami po każdej wyprawie.

Kiedy skończyli jeść, Cohen podał cygara. Digby, Sweet i Lambert poczęstowali się, natomiast Batters stwierdził, że zdaniem jego ojca palenie wyrządza zdrowiu poważną szkodę. Sweet wydobył wspaniały scyzoryk o rękojeści z kości słoniowej i nalegał na użycie specjalnego urządzenia do obcinania cygar.

Ruth Lambert pierwsza wstała od stołu. Chciała się upewnić, czy dokładnie sprzątnęła ich sypialnię, czy nie pozostawiła szpilek do włosów na podłodze lub pudru rozsypanego na toaletce.

Obejrzała się ponownie na męża. Ważył sporo, a jednak poruszał się lekko, z szybkością wystarczającą do pochwycenia muchy w powietrzu. Twarz miał zmęczoną i lekko pomarszczoną, zwłaszcza dokoła ust i piwnych, głęboko osadzonych, podkrążonych oczu. Kiedyś napisała mu, że jego oczy płoną.

— Więc uważaj, abyś się nie oparzyła, moja droga.

— Och, mam, pokochacie go oboje.

— Szkoda, że nie może zostać oficerem. To więcej niż medal.

— Patent oficerski nie jest ważny, ojcze.

— Poczekaj, aż zamieszkacie w powojennych kwaterach dla małżeństw podoficerskich, a szybko zmienisz zdanie.

Poczuł, że spogląda na niego. Spojrzał nagle w górę i zamrugał. Jego oczy wyjawiały więcej, niż gdyby cokolwiek powiedział. Dziś rano na przykład obserwowała go, gdy kapitan Sweet teoretyzował na temat silników i z rozbawionego błysku w oczach Sama zorientowała się, że to wszystko bzdury. Sam, tak bardzo cię kocham: spokojnego, myślącego, dzielnego. Rzuciła okiem na lotników wokół stołu. To dziwne, ale wydaje się, że mi zazdroszą.

Pani Cohen również pośpiesznie wyszła, aby spakować walizkę syna. Pozostawszy sami chłopcy wyciągnęli nogi. Palili wytworne cygara i rozmawiali o wszystkim i o niczym. Pod nieobecność matki swego kolegi mogli mówić swobodnie.



- Polecimy dziś w nocy - przepowiadał Sweet i zaśmiał się. - Czuję to po moich odciskach. Znow posypiemy Hitlerowi trochę soli na ogon, co?

— Czy to właśnie robimy? - zapytał Lambert.

— No pewnie - odrzekł Sweet. - Bombardowanie fabryk i niszczenie środków produkcji.

Sweet podniósł nieco głos, ponieważ zirytował go pobłażliwy uśmiech Lamberta.

Cohen przemówił po raz pierwszy.

— Jeśli mamy mówić o bombardowaniu, mówmy prawdę. Plan celów w Berlinie jest po prostu planem Berlina z punktem celowania dokładnie w centrum miasta. Robimy z siebie głupców, jeśli zdaje się nam, że bombardujemy coś innego aniżeli śródmieście.

— A co w tym złego? - zapytał kapitan Sweet.

— Po prostu to, że w śródmieściu nie ma fabryk - odpowiedział Lambert. - Śródmieścia większości miast niemieckich to stare budynki, mnóstwo konstrukcji drewnianych, wąskie ulice i zaułki niedostępne dla wozów strażackich. Wokoło tego jest pierścień domów mieszkalnych, w większości zbudowanych z cegły, zamieszkałych przez mieszczaństwo. Tylko trzecia część, zewnętrzny pierścień, te fabryki i mieszkania robotników.

— Masz dobre informacje, starszy sierżancie Lambert - oświadczył Sweet.

— Interesuje mnie to, co przydarza się ludziom - wyjaśnił Lambert. - San też jestem człowiekiem.

- Cieszę się, że zwróciłeś na to uwagę - powiedział Sweet.

Cohen wtrącił:

— Wystarczy popatrzeć tylko na nasze zdjęcia lotnicze, aby dowiedzieć się, co robimy z tych miast.

— Taka jest wojna - wtrącił Battersby. - Mój brat twierdzi, że nie ma różnicy między doprowadzeniem firmy zagranicznej do bankructwa w czasie pokoju a zbombardowaniem jej w czasie wojny. Kapitalizm to współzawodnictwa jego ostateczną formą jest wojna.

Cohen parsknął śmiechem, który zmienił się w kaszel, gdyż Battersby zachował kamienną twarz.

Lambert natomiast uśmiechnął się i powiedział:

— Wojna jest kontynuacją kapitalizmu innymi środkami - co, Batters?

— Tak, proszę pana, dokładnie tak - odpowiedział Battersby swoim cienkim, dziecięcym głosem. - Kapitalizm to konsumpcja wytworzonych dóbr, a wojna jest najdoskonalszym z dotychczas wymyślonych sposobów konsumpcji. Chcę powiedzieć... spójrzcie na sposób, w jaki konstruujemy nasze samoloty, radioaparaty, silniki i te różne tajne wynalazki.

— A co z ludźmi? - zapytał Digby.

— Jestem pewien, że po wielkich zwycięstwach Armii Czerwonej nie będzie pan opowiadał za koncepcją nadczłowieka, panie Digby - stwierdził Batters!

— Polecimy dziś w nocy - przepowiadał Sweet i zaśmiał się. - Czuję to po moich odciskach. Znów posypiemy Hitlerowi trochę soli na ogon, co?

— Czy to właśnie robimy? - zapytał Lambert.

— No pewnie - odrzekł Sweet. - Bombardowanie fabryk i niszczenie środków produkcji.

Sweet podniósł nieco głos, ponieważ zirytował go pobłażliwy uśmiech Lamberta.

Cohen przemówił po raz pierwszy.

— Jeśli mamy mówić o bombardowaniu, mówmy prawdę. Plan celów w Berlinie jest po prostu planem Berlina z punktem celowania dokładnie w centrum miasta. Robimy z siebie głupców, jeśli zdaje się nam, że bombardujemy coś innego aniżeli śródmieście.

— A co w tym złego? - zapytał kapitan Sweet.

— Po prostu to, że w śródmieściu nie ma fabryk - odpowiedział Lambert. - Śródmieścia większości miast niemieckich to stare budynki, mnóstwo konstrukcji drewnianych, wąskie ulice i zaułki niedostępne dla wozów strażackich. Wkoło tego jest pierścień domów mieszkalnych, w większości zbudowanych z cegły, zamieszkałych przez mieszczaństwo. Tylko trzecia część, zewnętrzny pierścień, to fabryki i mieszkania robotników.

— Masz dobre informacje, starszy sierżancie Lambert - oświadczył Sweet.

— Interesuje mnie to, co przydarza się ludziom - wyjaśnił Lambert. - Sam też jestem człowiekiem.

- Cieszę się, że zwróciłeś na to uwagę - powiedział Sweet.

Cohen wtrącił:

— Wystarczy popatrzeć tylko na nasze zdjęcia lotnicze, aby dowiedzieć się, co robimy z tych miast.

— Taka jest wojna - wtrącił Battersby. - Mój brat twierdzi, że nie ma różnicy między doprowadzeniem firmy zagranicznej do bankructwa w czasie pokoju a zbombardowaniem jej w czasie wojny. Kapitalizm to współzawodnictwo, a jego ostateczną formą jest wojna.

Cohen parsknął śmiechem, który zmienił się w kaszel, gdyż Battersby zachował kamienną twarz.

Lambert natomiast uśmiechnął się i powiedział:

— Wojna jest kontynuacją kapitalizmu innymi środkami - co, Batters?

— Tak, proszę pana, dokładnie tak - odpowiedział Battersby swoim ciekim, dziecięcym głosem. - Kapitalizm to konsumpcja wytworzonych dóbr, a wojna jest najdoskonalszym z dotychczas wymyślonych sposobów konsumpcji. Chcę powiedzieć... spójrzcie na sposób, w jaki konstruujemy nasze samoloty, radioaparaty, silniki i te różne tajne wynalazki.

— A co z ludźmi? - zapytał Digby.

— Jestem pewien, że po wielkich zwycięstwach Armii Czerwonej nie będzie się pan opowiadał za koncepcją nadczłowieka, panie Digby - stwierdził Battersby.

- Zło może istnieć w naszych systemach społecznych, ale człowiek pracy, który toczy wojnę, jest prawie taki sam na całym świecie.

Wszyscy byli zdziwieni słysząc, jak Battersby mówi tak dużo i jeszcze filozofuje.

— Czy jesteś Czerwony, Battersby? - zapytał kapitan Sweet.

— Nie, proszę pana - odparł Battersby, przygryzając nerwowo wargę.

- Powtarzam tylko to, co mówił mój brat.

— Powinien zostać rozstrzelany - stwierdził Sweet.

— Rozstrzelano go, proszę pana - wyjaśnił Battersby. - W Dunkierce. Rumiana twarz Sweeta zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Zgasił swoje cygaro

w zjedzonym do połowy racuszku i wstając powiedział:

- Może byśmy się już zbierali. Na wszelki wypadek, gdyby było coś dziś w nocy.

Digby i Battersby również wstali i poszli na górę, aby się spakować. Lambert milczał pijąc małymi łykami kawę i obserwując dym, unoszący się z cygara ku sufitowi.

Cohen nalał kawy sobie i Lambertowi. Obydwaj siedzieli przy stole w milczeniu, póki Cohen nie zapytał:

— Nie wierzysz w wojnę?

— Wierzyć w nią? - odparł Lambert. - Mówisz, jakby to była pogłoska.

— Myślę wiele o bombardowaniu - przyznał Cohen.

— Nie wątpię - powiedział Lambert. - Myślę, że zamartwiasz się tym do znudzenia.

W dywizjonie Lambert rozmawiał zwykle o sprawach technicznych i jak większość starszych żołnierzy nie angażował się w dyskusje na tematy polityczne lub religijne. Dziś było inaczej.

— Więc w co wierzysz?

— Wierzę, że każdy ulga moralnemu zepsuciu i zawsze obawiam się, że i ja mogę być taki. Wierzę, że wszystkie społeczeństwa spiskują, aby skorumpować jednostkę.

— To anarchia - stwierdził młody Cohen - a ty pod żadnym względem nie jesteś anarchistą. Ostatecznie, dowódco, społeczeństwo ma

prawo domagać się od obywatela lojalności.

— Lojalność? Masz na myśli wykorzystanie moralności drugiego człowieka zamiast swojej własnej? To jest właśnie wygodny sposób na zachowanie czystości własnego sumienia.

— Tak - zastanawiał się z powątpiewaniem Cohen. - Motto SS brzmi: „Mój honor jest moją lojalnością”.

— No widzisz.

— Ale co z lojalnością rodzinną?

— Z tym również jest źle. To jest tak, jakbyś dał twemu bratankowi nagrodę za grę na fortepianie, gdy tymczasem jakiś chłopiec z ulicy gra lepiej.

- Czy to aż takie straszne? - zapyta! Cohen.

— Ja jestem takim małym chłopcem z ulicy. Nie doszedłbym nawet do szkoły średniej, gdyby nie kilku ludzi, którzy ufundowali jedno lub dwa stypendia komuś spoza rodziny.

— Chcesz przez to powiedzieć - rzekł młody Cohen, usiłując zrobić z tego raczej pytanie niż werdykt - że nie lubisz bombardowania miast.

- To właśnie mówię - przytaknął Lambert, a młody nawigator poczuł się zbyt zaszokowany, aby pomyśleć o odpowiedzi. Lambert wysączył swoją filiżankę aż do dna. Kawa była bardzo dobra.

Cohen sięgnął pośpiesznie po dzbanek, aby mu dolać. Szczerze podziwiał swojego pilota.

— Kawa nie jest racjonowana - powiedział.

— Wobec tego nalej do pełna i daj mi dwieście papierosów players.

Róże na stole otworzyły się już zupełnie. Lambert sięgnął po nie, ale gdy dotknął jednej, rozsypała się, a blad różowe płatki opadły, pokrywając wierzch jego dłoni jakby olbrzymimi pęcherzami.

— Ludzi niepokoi brak porządku - głos za plecami Lamberta poderwał go. Nie słyszeli jak pan Cohen wszedł do pokoju. Był wysokim mężczyzną o ładnej twarzy, zeszczonej jedynie skrzywionymi ustami i żółtymi zębami. Mówił tak staranną angielszczyzną, na jaką mógł zdobyć się tylko cudzoziemiec. Jednakże jego bezbarwnemu głosowi towarzyszyła nosowa dykcja, co nie nadawało emfazy żadnemu słowu.

— Wy i ja, moglibyśmy docenić zaletę chaosu - kontynuował - ale dyktatorzy zdobywają władzę narzucając model rządów, oferując stanowiska i wspólny cel. Ludzie chcą porządku, starają się go osiągnąć. Nawet od światowej sławy artystów żąda się tylko, aby nadali znaczenie i symetrię chaosowi natury. Pan i ja, sierżancie Lambert, wiemy, że bałagan i chaos są jedyną nadzieją człowieka na wolność, ale niełatwo przyjdzie nam nawrócić naszych bliźnich.

— Pan żartuje sobie ze mnie, panie Cohen.

— Nie ja sierżancie. Widziałem ludzi ustawiających się w szeregu, aby wykopać sobie groby i odwracających się, aby stanąć dumnie przed plutonem egzekucyjnym. Nie żartuję z pana.

— Ojciec, Brytyjczyków niełatwo jest skoszarować.

— Tak się mówi, mój synu, ale myślę, że w tej wojnie osiągnęli oni

to samo poczucie narodowej identyczności celu, jakie naziści dali Niemcom. Brytyjczycy są tak dumni ze swej przemiany, że prawie obchodzą się bez swojego systemu klasowego. Widzę bystre oczy i mocne kroki ludzi uczciwych we własnym przekonaniu, a to jest początek na drodze do totalitarnej władzy. Cytuję się historię, odżyły patriotyczne pieśni. Wiercie mi, Brytyjczycy są z siebie dumni.

Dało się słyszeć hałas, gdy Digby, potykając się, znosił po schodach walizkę, ale pan Cohen nie przerwał.

- Pewnego dnia w nie tak bardzo odległej przyszłości, kiedy związki zawodowe staną się nierobotnicze, studenci niezwykle destrukcyjni, a za funta będzie można kupić jeszcze mniej, pojawi się jakiś Fuhrer i powie Brytyjczykom, że są potężnym narodem. „Brytanio, obudź się” będzie jego sloganem, a niektóre starannie wybrane mniejszości rasowe staną się kozłami ofiarnymi. Wtedy zobaczycie, że Brytyjczycy są łatwi do skoszarowania. Sierżant Cohen uśmiechnął się do Lamberta.

- Na miłość boską, nie dyskutuj z nim, bo zostaniemy tu cały dzień - stwierdził i wstał.

- Nie miałbym nic przeciwko temu - powiedział Lambert.

Starszy pan skłonił się uprzejmie. Kiedy obaj lotnicy udali się do holu, poszedł tuż za Lambertem, jakby chciał oddzielić go od syna. Lambert odwrócił się i czekał, aż przemówi, ale nie uczynił tego, póki jego syn nie wyszedł.

— Wszyscy ojcowie stają się starymi głupcami, Lambercie - powiedział i zamilkł. Lambert spojrział na starszego pana, usiłując wydobyć z niego wyrazy tak, jak z człowieka, który się jąka. I nagle usłyszał szybko wypowiedziane słowa:

— Niech pan uważa na chłopca, dobrze.

Przez moment Lambert nic nie odpowiedział. Sweet, który właśnie zszedł po schodach, ujął starszego pana pod ramię i powiedział pogodnie:

- Niech się pan nie martwi, proszę pana.

Jednak Cohen wybrał do swej prośby tylko Lamberta, który oświadczył:

- To nie moja sprawa uważać na pańskiego syna, proszę pana.

Młody Cohen był nadal w zasięgu głosu, na balkonie, nad nimi. Digby dostrzegł go i chciał ostrzec Lamberta pociągając go z tyłu za



marynarkę.

Lambert wiedział, że wszyscy słuchają, ale nie zniżył głosu: - To po prostu na nic się nie przyda - powiedział. - Załoga potrzebuje siebie nawzajem. Każdy z jej członków może narazić samolot na niebezpieczeństwo. Pański syn jest najzdolniejszym nawigatorem z jakim latałem, prawdopodobnie najlepszym w dywizjonie. On jest mózgiem samolotu, to on uważa na nas.

Na chwilę zapanowała cisza, a potem odezwał się pan Cohen:

— Powinien być dobry, jego wykształcenie kosztowało mnie majątek. Starszy pan pokiwał głową.

— Niech pan uważa na mojego chłopca, panie Lambert.

— Obiecuję.

Lambert skinął głową starszemu panu i pośpieszył na piętro, przeklinając siebie za tę obietnicę. Jak do diabła mógłby kogokolwiek ochronić? Sam zawsze dziwił się, że wraca cało. Minął młodego Cohena, schodzącego z dużą walizką.

Kiedy starszy pan został sam ze swym synem, powiedział:

- Czy wiesz, że dowódca Lambert, uważa cię za najlepszego nawigatora?

Niespodziewanie ukazała się pani Cohen i zabrała się do szczotkowania grubego, niebieskiego munduru syna.

- Jego dowódca powiedział, że jest najlepszy. Najlepszy w dywizjonie.

Pani Cohen zignorowała męża. Zdjęła kawałek nitki z rękawa syna.

- Zauważyłam, że pan Sweet nosi złote spinki do mankietów. Dlaczego nie zabierzesz swoich? One tak ładnie wyglądają.

— Nie w kasynie sierżantów, mamó.

— Ile lat ma kapitan Lambert? - zapytała.

— On nie jest kapitanem, mamó, on jest starszym sierżantem. Jest jeden stopień wyżej od mojego. Nazywamy go dowódcą, ponieważ jest najważniejszy w naszym samolocie.

Skinęła głową, usiłując zrozumieć i zapamiętać.

— Dwadzieścia sześć lub dwadzieścia siedem lat.

— Wygląda na starszego - powiedziała pani Cohen, spoglądając na syna. - Wygląda staro, na jakieś czterdzieści.

— Czy chcesz, żeby latał z dzieckiem? - zapytał pan Cohen.

— Ten pan Sweet może pomóc, abyś został oficerem, Simonie.

— Och, mamó! Rozmawiałaś o mnie?

— Czy to źle? - zapytał pan Cohen.

— To oznaczałoby zmianę załogi.

— Dlaczego?

— Nie jest dobrze widziane, gdy oficerowie latają pod dowództwem podoficerów. Zresztą trudniej byłoby pracować Lambertowi, gdybym siedział za nim jako oficer. I nie byłibyśmy razem w kasynie sierżantów. I prawdopodobnie musiałbym pojechać na przeszkolenie.

— Ależ przemówienie - powiedział pan Cohen. - Więcej niż usłyszałem od ciebie przez cały weekend.

— Przepraszam, ojczu.

— Nic nie szkodzi. Ale jeśli pan Lambert jest takim wspaniałym człowiekiem, to dlaczego nie jest oficerem? Mówisz mi, że ma więcej doświadczenia i medali, a wykonuje tę samą pracę co twój przyjaciel, pan Sweet.

- Znasz już teraz z pewnością Anglików, ojczu. Lambert ma londyński akcent. Nigdy nie był w drogiej szkole. Anglicy uważają, że tylko dżentelmeni mogą być dowódcami.

— I w ten sposób prowadzą wojnę?

— Tak, Lambert jest najlepszym i najbardziej doświadczonym pilotem w dywizjonie.

— Gdybyś został oficerem, może mógłbyś latać z panem Sweetem -

powiedziała pani Cohen.

— Wolę latać z Lambertem - odrzekł, usiłując utrzymać przyjemny ton głosu.

— Nie gniewaj się, Simonie - powiedziała - nie próbujemy powstrzymać cię od latania.

- Słusznie. Myślimy tylko o tym, abyś zarabiał więcej pieniędzy - żartował ojciec.

- Staram się wytłumaczyć wam obojgu, że po prostu nie mam takich ambicji. Nigdy nie zostanie oficerem i nigdy nie będę profesorem filozofii, jak wuj Karol.

Ani naukowcem, jak tatuś. Nie jestem nawet pewny, czy potrafiłbym zarządzać farmą. Praca, jaką wykonuję w lotnictwie... Cohen podniósł palec, aby przerwać.

— Jest jeden powszechny błąd popełniany przez historyków: dokonują przeglądu przeszłości jako serii błędów prowadzących do doskonałego stanu, jakim jest czas obecny. To jest także powszechny błąd w życiu, zwłaszcza w życiu zamkniętych społeczności, jak szkoła lub więzienie. Wtedy łatwo zapomina się, że istnieje świat zewnętrzny lub czas przyszły. Teraz, w połowie roku 1943, wydaje się, że twoi panowie Sweetowie i Lambertowie osiągnęli najwyższy szczyt prestiżu i dokonań. Ale to wszystko blichtr. Kiedy wojna się skończy, będąc najlepszą załogą bombowca, jaka kiedykolwiek latała nad Niemcami, żaden z was nie dostanie nic więcej niż bezpłatne pozwolenie na psa...

— Mylisz się, tato. Nie podoba mi się w lotnictwie. Jest niebezpieczne i nieprzyjemne, a większość ludzi, z którymi pracuję, to obrzydliwi faceci.

Starszy pan popatrzył pytająco.

- Ale zniosę to, dopóki ci obrzydliwi faceci niszczą faszystów. W każdym razie teoretycznie wiem, jak wykonywać moją pracę, więc nie martwcie się o mnie. Oboje powinniście zrozumieć, że to jest teraz moje życie. Całe moje życie i muszę je przeżyć na mój własny sposób. Bez złotych spinek do mankietów czy załatwienia mi promocji oficerskiej, a nawet bez kieszonkowego. A ponad wszystko - więcej żadnych paczek.

Pani Cohen skinęła głową.

— Rozumiem, Simonie, ja zawsze przesadzam. Za dużo mówiłam o tym twoim kapitanie, prawda?

— Nie, nie, nie. Wszystko w porządku. To był cudowny weekend i bombowe jedzenie.

— Bombowe - powtórzyła pani Cohen, notując w pamięci ten komplement. Sięgnęła po torebkę, ale po ostrzegawczym spojrzeniu męża nie otworzyła jej.

— Przyjemnej podróży, Cosy - powiedział ojciec.

— Moje przezwisko brzmi Kosher. Nazywają mnie Kosher Cohen.

— A co w tym złego? - zapytał ojciec.

Kosher uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Starszy pan pokiwał

głową i poklepał syna po ramieniu. Byli sobie bliźsi niż kiedykolwiek przedtem.

- Nora Ashton ciągle się o ciebie dopytuje - powiedziała pani Cohen.

- To świetna dziewczyna.

Zegar w holu wybił dziewiątą.

— Muszę iść. Czekają na mnie. Księżyc może za jasno świeci, ale chyba dzisiejszej nocy polecimy.

— Nad Niemcy?

- Nie ma czasu na dalekie loty w te krótkie letnie noce. Prawdopodobnie będziemy minować Morze Północne. Wszyscy chłopcy to lubią: dziecinnie łatwy lot, a liczy się jako pełna operacja.

Digby usłyszał ostatnie słowa.

— To prawda, pani Cohen. Te wyprawy na minowanie upływają tak spokojnie jak niedziela w Adelajdzie.

— Simonie, zadzwoń do mnie rano.

- Jest jedyna zaleta tych krótkich, letnich nocy - powiedział starszawy podpułkownik lotnictwa. - Możemy wtedy ograniczyć ilość teczek z dokumentacją celów i przekazać je natychmiast staremu, gdy tylko podejmie decyzję.

Nora Ashton, młody oficer WAAF, rzuciła mu krótki uśmiech, a następnie powróciła do sprawdzania teczek z dokumentacją celów; każda z nich została założona na zamówienie Komisji Doboru Celów przy Ministerstwie Lotnictwa. Identyfikowała tecki według zaszyfrowanych nazw: „Szprotka” oznaczała Berlin, a „Pstrąg” Kolonię. Nazwy te były pomysłem starszego oficera sztabowego, namiętnego wędkarza. Ostatnio zaczął zbierać motyle i ćmy, ale naczelny dowódca orzekł, że zaszyfrowane nazwy w rodzaju „Szerokoobramowany Pszczeli Zawisak” są niewygodne. Dokumentacja każdego celu obejmowała wielkość zaludnienia, dane o przemyśle, fotografie i informacje wywiadu o rozmieszczeniu reflektorów i artylerii przeciwlotniczej. Teczki były bardzo różne: jedne, grube jak książki telefoniczne, wypełnione raportami pracowników ruchu oporu oraz tajnych agentów, podczas gdy inne informowały niewiele więcej, ponad to, co można by znaleźć w przedwojennym przewodniku po mieście. Niektóre akta zawierały sprzeczne lub nieaktualne dane, a jeszcze inne były tak cienkie, że w ogóle ledwo istniały. Każdateczka zawierała zapiski Dowództwa Lotnictwa Bombowego o poprzednich atakach.

— Dziś w nocy Zagłębie Ruhry - powiedział podpułkownik. - Założę się o moją poranną herbatę: Essen lub Kolonia.

— Co? Przy mojej gaży? - zdziwiła się oficer WAAF. - Gdy pan kupuje trzy lub cztery bułeczki drożdżowe?

Wzruszył ramionami.

- Przegrałaby pani.

Podniosła gazetę i zajrzała do kącika astrologii. Pod Baranem napisano: „Ktoś tobie drogi odbędzie podróż. Sprawy finansowe zapowiadają się interesująco”. Złożyła gazetę i wepchnęła ją do szuflady.

- Pewnego dnia przyjmę pański zakład - powiedziała. - W każdym razie niech pan spojrzy na wykres. Po stratach, jakie mieliśmy w ostatnie

jasne noce, może zapaść decyzja, że pełnia księżycy jest zbyt niebezpieczna.

- Zbyt niebezpieczna dla niektórych operacji - odparł podpułkownik – ale Ruhra wygląda na ekranach radarowych paskudnie. Światło księżycy pozwala na wzrokową identyfikację celu. Jeśli służba meteorologiczna zapowie jakieś zachmurzenie, to polecą, a Zagłębie jest - logicznie ujmując sprawę - jedynym możliwym celem.

Dziewczyna podniosła głowę i przytaknęła. Była dziewiąta pięć; jeszcze półtorej godziny do przerwy na poranną herbatę.

— Jaka była pogoda, gdy pan tu wchodził, panie pułkowniku? - zapytała.

— Zachwycający, wspaniały letni dzień - ani jednej chmury na niebie.

— Mam nadzieję, że tak się utrzyma - odrzekła oficer WAAF. - Wczorajszej nocy musiałam wstać z łóżka i zamknąć okno. Deszcz lał strumieniami.

Planowała zrobienie po południu fryzury, a deszcz by ją zniszczył.

- Mój ogród potrzebował deszczu.

- Meteorolodzy przewidywali go każdego dnia przez cały tydzień. Nawet nie spojrzeli na mapę meteorologiczną na ścianie, na której naniesiona

była prognoza pogody, najlepsza jaką sobie można było wymarzyć. Co godzinę nanoszono poprawki zgodnie z raportami ze stacji meteorologicznych, samolotów i statków na morzu.

Wewnątrz tej podziemnej sali operacyjnej, znanej jej pracownikom jako „dziura”, nie miało się pojęcia o panującej pogodzie. Powietrze tutaj było czyste i stała temperatru, a jasne lampy świeciły niezmiennie nocą i dniem. Tu nadchodziły strategiczne zadania z Gabinetu Wojennego Churchilla i z Ministerstwa Lotnictwa. Stąd wychodziły rozkazy, wysyłające cztery czy pięć tysięcy lotników na nocną bitwę nad Niemcami.

Każda stopa kwadratowa powierzchni ścian była wypełniona informacjami. Dookoła, przy biurkach, siedzieli najwyżsi rangą oficerowie Dowództwa Lotnictwa Bombowego - imponująca kolekcja wysokich stopni wojskowych, napawająca innych nabożną czcią. Oficer wojsk lądowych siedział blisko gorącej linii do naczelnego dowódcy Krajowych Sił Zbrojnych, a kapitan marynarki trzymał garść raportów o nieprzyjacielskiej



flocie. Dwaj oficerowie amerykańscy mieli trochę drobnych rozrzuconych na blacie biurka, podczas gdy oficer WAAF wyjaśniał im po raz trzeci, że trzydzieści tych dużych monet stanowi pół korony.

— Wobec tego co stanowi całą koronę?

— Nic - powiedział jego kolega. - To tak jak zapytać co stan owi dwanaście i pół centa. Dwa razy dwanaście i pół centa może dać ćwierćdolarówkę, ale nie ma takiej monety.

— Chyba zrozumiałem - powiedział pierwszy Amerykanin z powątpiewaniem.

W tym momencie SASO i pułkownik lotnictwa do spraw operacyjnych zaczęli przedstawiać naczelnemu dowódcy dane z przebiegu bombardowania Niemiec ubiegłej nocy. Wszystkie oczy spoczęły na szerokiej tablicy, na której obiekty z ubiegłej nocy oznaczono żółtą kredą, a rezultaty bombardowań kredą czerwoną.

Już w czasie ich rozmowy sierżant wspiął się na drabinę i zmienił liczbę w rubryce „Nie wrócili” z 26 na 25.

- Ile to jest? - zapytał naczelny dowódca.
- Cztery i pół procent.
- Niewiele. Spodziewałem się gorzej.
- Co nas czeka dzisiejszej nocy? - spytano meteorologa.

- Oto prognoza położenia frontów atmosferycznych o północy. Poprzerywane mocno chmury wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża, ale od Hamburga w kierunku północnym niebo czyste. Resztki chmury burzowej i burze z piorunami w pobliżu zimnego frontu.

- A Zagłębie Ruhry?

Podpułkownik lotnictwa usłyszał pytanie naczelnego dowódcy i skinął znacząco głową.

Meteorolog przerzucił swoje notatki.

— Burze wraz z zimnym frontem przesuwać się nad Renem, lecz po południu znikną. O północy: cienka warstwa o średnim zachmurzeniu, gdzieś między tysiącem a dwudziestoma tysiącami stóp; zniknie prawdopodobnie około godziny pierwszej. Może pokazać się mały stratocumulus między dwoma a trzema tysiącami stóp. Spodziewana widzialność - średnia.

— A jak nad północną Francją?

— Pogodnie. Widzialność średnia. Mocno poprzerywane chmury warstwowe na północnym zachodzie.

— A pogoda w czasie powrotu samolotów?

— Doskonała. Mały stratocumulus między dwoma a trzema tysiącami stóp. Widzialność bardzo dobra.

Naczelną dowódca przeszedł powoli po wypolerowanej podłodze, aby spojrzeć na dokładną mapę północnej Europy, pokrywającą prawie całą ścianę. Każde z miast-obiektów było oznaczone szyfrem-kolorem na płaskim łebku pinezki. Popatrzył ponownie na wykres księżyca, a następnie podszedł bliżej, aby uważnie przyjrzeć się Zagłębiu Ruhry. Przebiegł wzrokiem krótkie trasy, oznaczone kolorowymi tasiemkami, obliczając czas trwania lotu oraz ilość potrzebnego samolotom paliwa.

Kiedy naczelny dowódca śledził trasy, sznur oficerów sztabowych przesuwał się za nim rozmawiając dyskretnie szeptem, zupełnie jak chirurdzy, którzy mają wkrótce przeprowadzić wspólnie skomplikowaną operację. Ich spojrzenia stale wracały do mapy pogody. Ponieważ nadszedł

moment decyzji, oficerowie przestali rozmawiać. Jedyne dźwięki dochodziły z urządzeń klimatyzacyjnych i zegara. Nagle dyskusja rozgorzała znowu. Decyzja zapadła.

— Teczki z dokumentacją celów, Harry - zawołał młody pułkownik do podpułkownika, bo choć był to wysoki stopień w dywizjonach, tutaj podpułkownik niewiele znaczył. Nora Ashton podsunęła mu dokumenty. Domyślali się już celu.

— Krefeld jako cel główny, alternatywnie Brema, zależnie od pogody - powiedział naczelny dowódca. - Godzina „H” to pierwsza trzydzieści. Dziś w nocy nie ma lotów na minowanie.

Pośrodku sali, na jednym z dużych stołów kreślarskich, znajdowała się mapa z nieprzyjacielskimi stacjami radarowymi i jednostkami nocnych myśliwców. Na innym leżały fotografie zazębiające się w laki sposób, że całego Zagłębia Ruhry utworzyły jakby mozaikę. Naczelnny dowódca podszedł do jednej z lótgiafii i zdecydowanym ruchem odchylił ją. Otwarto teczkę Krefelda w okuł niej ułożono mapy o dużej podziałce, plany, wykresy i fotografie.

— Czym rozporządzamy?

— Mamy w tym miesiącu dużo lepsze dostaw} z fabryk. Dysponujemy siedmuset osiemdziesięcioma trzema ciężkimi i stu czterdziestoma ośmioma średnimi bombowcami. Stan jednostek szkolnych bez zmian.

Dobrze. Użyję sześćset pięćdziesiąt ciężkich i sto średnich. Ten cel da im wszystkim szansę.

- Tak jest, panie generale.

Oficer sztabowy położył na stole formularz nagłówkiem: „Dzienne wyznaczenie celów przez naczelnego dowódcę” i rozłożył najświeższe Fotografie z rozpoznania celu.

- A więc Krefeld i siedemset pięćdziesiąt samolotów. Zwiększę nieco proporcję bomb burzących do bomb zapalających, Wiem ze bomba burząca wznieca na początku kurz, lecz szkody wyrządzone podmuchem są potrzebne do odkrycia wnętrza, aby je zapalić. Zróbmy dwudziestopięćiioinutową przerwę, zanim do akcji wejdzie druga fala. To zwiększy ryzyko ze strony nocnych myśliwców, ale stworzy możliwość zabicia ich strażaków i policjantów oraz ludzi z obrony przeciwlotniczej. Tę drugą falę zaopatrzę w silne bomby burzące; jedna trzecia samolotów zabierze po jednej bombie z opóźnionym zapłonem, niech się pomartwią.

Mówiąc to naczelnny dowódca wypełnił formularz. Dziennego wyznaczenia celów”.

- Poślijcie pewną ilość samolotów Mosquito nad Berlin aby zaryczały tam syreny i trzeba zrzucić trochę ulotek na Ostendę. Chcę aby dla zim lenia Niemców trasy do Berlina i Ostendy były dość blisko trasy naszego głównego strumienia.

Naczelnny dowódca podał pisemny rozkaz kontrolerowi. Powstał powoli i opuścił salę operacyjną.

Gdy wychodził, wartownik zgrabnie zsalutował. Kwatera Główna Dowództwa Lotnictwa Bombowego była ukryta w gęsto zalesionej okolicy, ale niebo widziane poprzez buki było czyste i błękitne.

Ośrodek niżu przemieścił się nad północną Anglię i nad morze w rejonie Dogger. Był to mocny, świeży niż, ciągnący za sobą na wschód zimny front i pozwalający Anglii nacieszyć się pogodą inną niż niżowa. Nic powinno padać.

Zanim jeszcze naczelny dowódca przeszedł przez drzwi, SASO połączył się telefonicznie z pierwszym z dowódców Grup.

- Chłopie, dziś w nocy Krefeld. Alternatywnie, w zależności od pogody.

Brema. Nasi chłopcy od meteorologii wydają się być pewni poprawy pogody, ale otrzymamy jak zwykle telefoniczne zaproszenie na odprawę z nimi. Chcę ją dziś odłożyć możliwie jak najpóźniej. Naturalnie przygotujecie na wszelki wypadek wykres nieba...

Zegar w sali operacyjnej wskazywał dziewięć pięćdziesiąt pięć. Brytyjski podwójny czas letni. Zegary w Niemczech - nastawione na środkowoeuropejski czas letni wskazywały to samo.

— Czy cieszysz się, że już nie mieszkamy w Krefeld? - zapytała Anna-Luiza.

— Mówiłaś, że będą tu lwy, tygrysy i inne dzikie zwierzęta - powiedział chłopczyk z wyrzutem.

— Tu są lwy i tygrysy, a wczoraj widziałam słonia w lesie, blisko fermy Frau Richter.

— Zawsze tak mówisz - odrzekł chłopczyk śmiejąc się. - Zmyślasz.

— Jeśli skończyłeś jeść jajko, to powinieneś zbierać się już do szkoły. Jest prawie dziewiąta.

Wzięła chusteczkę i starła z jego ust ślad po jajku. Hansl poszedł wziąć swoje podręczniki.

- Zabierz płaszczyk przeciwdeszczowy - zawołała za nim. - Jestem pewna, że będzie padać.

Anna-Luiza sprawdziła, czy zapiął płaszczyk i czy kołnierzyk jest dobrze wyłożony. Skontrolowała też podręczniki w torbie i przejechała grzebieniem jego krótkie włosy. Kiedy wszystko już było jak należy, zasalutowała mu.

- Wszystko w porządku Herr Oberleutnant. Pożegnaj się z Pappi.

Chłopczyk zasalutował z powagą. Anna-Luiza sięgnęła po drugie jajko i zanurzyła je ostrożnie w gotującej wodzie.

- Herr Bach, śniadanie! - zawołała.

Ani chłopczyk, ani jego ojciec, któremu właśnie przygotowywała śniadanie, nie byli krewnymi Anny-Luizy. Była członkiem RADwJ - umundurowanej siły roboczej pomocnic domowych i pracowników socjalnych. Niewiele ponad rok temu zaczęła pracować u Frau Bach w oddalonym o dwanaście kilometrów Krefeld, w Zagłębiu Ruhry. Lubiła swoją pracę, uwielbiała dziecko, a Frau Bach nie była złą pracodawczynią. W miesiąc po rozpoczęciu pracy Frau Bach zginęła w czasie nalotu bombowców. Herr Bach i jego starszy, zaledwie osiemnastoletni syn Peter, szeregowiec piechoty, wrócili z rosyjskiego frontu. Władze miały proste rozwiązanie. Chciały ewakuować małego Hansla do obozu Hitlerjugend w Protektoracie Czech, ale Herr Bach wolał, aby chłopcem zaopiekowała się

Anna-Luiza. Pragnął znaleźć jakieś miejsce,

o którym mógłby myśleć jak o swym domu, chociaż, koszt dzierżawy mieszkania tylko dla jednego dziesięcioletniego chłopca mocno nadszarpnąłby jego gażę Oberleutnanta. Gerd, kuzyn Herr Bacha zasugerował, aby przenieśli się do mieszkania w miasteczku Allgarlcen, niedaleko granicy holenderskiej. Było to mieszkanie ojca Gerda, niezamieszkałe od jego śmierci przed prawie dwoma laty. Gerd załadował uratowane meble Bacha na swoją furgonetkę kupca towarów kolonialnych i przywiózł je tutaj Krefeld. Stało się to rok temu i od tego czasu August Bach, Oberleutnant Luftwaffe i dowódca stacji radarowej Ermine nauczył się nazywać je swoim domem. Teraz, gdy stacjonował na wybrzeżu Holandii, mógł widywać swojego synka co dwa lub trzy tygodnie. Ostatniego Bożego Narodzenia jego dorosły syn Peter również przyjechał do domu na urlop. To były szczęśliwe dni.

Herr Bach, śniadanie gotowe! - zawołała Anna-Luiza.

Czy słyszałaś, że grzmi? zapytał Bach.

Kazałam Hanslowi zabrać płaszczek przeciwdeszczowy.

To tylko letnia burza powiedział Bach. - Jeśli rzeczywiście będzie padało, to bardzo krótko.

Mam nadzieję powiedziała. Przed panem taka długa podróż.

Kiedy August Bach zasiadł do śniadania zauważyła, że miał na sobie swój najlepszy mundur. Lubiła go w mundurze, bo choć miał już czterdzieści sześć lat to dobrze w nim wyglądał był wysoki i szczupły, a siwiejące włosy jedynie podkreślały opaleniznę na jego twarzy. U szyi póbłyskiwał medal Pour le Merite.

Mleko skwasiło się. Pewnie na skutek burzy - powiedziała dziewczyna.

Nic nie szkodzi.

To jest reszta prawdziwej kawy, jaką pan przywiózł. Czy wie pan, Herr Bach, tak jestem przyzwyczajona do erzacu kawy, że po ziarnistej, którą pan przywiózł z Holandii, nie mogę spać.

Gdzie jest twoje jajko. Anno-Luizo?

Były tylko dwa. Herr Bach. Kury się nie niosą, a jajka są po sześć marek sztuka. W tym miesiącu strasznie ich brakuje.

- Wież moje. Luftwaffe dobrze sobie żyje w Holandii. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu mój Stabsfeldwebel Willy zdobył nawet trochę



śmietany.

Podał jej jajko.

- Nigdy mi pan nie uwierzy, Herr Bach, ale nie pamiętam smaku śmietany.

Wierzę ci odpowiedział. - Porozmawiam z nim po powrocie i zobaczę, czy mógłby trochę jej zdobyć, gdy wybiorę się do was w przyszłym miesiącu.

Czy zauważył pan, Herr Bach, że mały Hansl nabrał tego straszego miejscowego akcentu?

- Jak mój kuzyn Gerd odrzekł August, uśmiechając się.

August Bach obserwował dziewczynę zjadającą jego jajko. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Co znaczył akcent? Była bardzo piękna, zwłaszcza kiedy się uśmiechała. Bez niej nie miałby domu i gdyby nie liczyć pocztówek z obozu Hitlerjugend w Protektoracie, nie miałby też młodszego syna. Teraz ewakuuje się dzieci coraz dalej. Te ze zbombardowanej Kolonii wyjechały do Bułgarii i na Węgry.

- Herr Bach - odezwała się Anna-Luiza - czy to prawda, że wiele dziewcząt z RADwJ będzie pracować na stanowiskach obrony przeciwlotniczej? Słyszy się, że mają nawet stanowić obsadę dział.

Bach zawsze obawiał się, że pewnego dnia Anna-Luiza dojdzie do wniosku, iż pilnowanie małego Hansla nie jest zbyt dużym wkładem w wysiłek wojenny. Co gorsze, obawiał się, że biuro RAD zadecyduje o tym za nią, ale tu, na wsi, tempo załatwiania spraw jest wolniejsze. W Altgarten nie ma biur RAD, nie ma SA a nawet Kwatera Główna NSDAP jest zamykana w dzień targowy.

— Czy źle się u nas czujesz, Anno-Luizo? - zapytał. - Czy myślisz o opuszczeniu nas?

— Nigdy nie opuściłabym pana, Herr Bach - powiedziała. - Nigdy. Będę opiekowała się Hanslem do końca życia.

— No, no, Anno-Luizo, nie powinnaś składać podobnych obietnic.

— Będę, Herr Bach. Będę. Kocham Hansla tak, jakby był moim własnym synem.

— Więc dlaczego pytasz mnie o dziewczyny RAD obsadzające pozycje artylerii? - zapytał August.

Zerwała się na nogi i zaczęła sprzątać stół po śniadaniu.

— Czy dopił pan swoją kawę?

— Tak.

— Przykro mi, ale teraz pozostał już tylko erzac.

— Odpowiedz, Anno-Luizo.

— Herr Bach - powiedziała. Stała teraz przy zlewozmywaku z twarzą odwróconą od niego. Czekał, aby mówiła dalej. Była atrakcyjna w swej schludnej białej bluzce i brązowej spódnicy, z blond włosami ściągniętymi z tyłu w gruby węzeł. Dlaczego przedtem nie zauważył jej długich, szczupłych nóg i silnych młodych ramion? Rozebrana wyglądałaby... Zdusił w sobie tę myśl natychmiast. Była tylko dzieckiem, może o jakiś rok starsza od jego syna, żołnierza piechoty. Jej służba w RAD była patriotycznym obowiązkiem, a jego zadaniem było opiekować się nią, a nie pożądać jej.

— Czy są... - przerwała - jakieś dziewczyny z RAD, które pracują na pańskiej stacji radarowej?

August Bach nie roześmiał się, choć myśl o dziewczynach w tamtym bezludnym miejscu na holenderskim wybrzeżu kazała mu zdać sobie sprawę z tego, jak mało rozumiała surowy tryb życia, jaki tam prowadził.

— Nie ma tam dziewcząt, Anno-Luizo. Chciałbym, aby były - zazartował. Spojrzał na nią wciąż uśmiechając się i zauważył, że łzy pociekły jej po twarzy. Wziął swoją chusteczkę, aby wytrzeć jej oczy. - Anno-Luizo, o co w ogóle chodzi?

— Niech pan uważa, by nie zmoczyć swego wspaniałego munduru - powiedziała podnosząc ku niemu twarz i w następnej chwili uświadomił sobie, że ją całuje.

Szlochała, jakby nigdy nie miała przestać. Trudno było zrozumieć, co mówiła, ale August Bach nagle wszystko pojął.

- Kocham pana, Herr Bach - powiedziała. Poglądził jej blond włosy i pocałował w nadziei, że to powstrzyma jej płacz.

— Kocham pana - powiedziała znowu. - Co teraz?

— Po pierwsze, możesz przestać nazywać mnie panem Bachem - powiedział.

— Co ludzie powiedzą? - zapytała.

— Czy to ma znaczenie?

— To jest małe miasteczko, Herr Auguście...

— Po prostu Auguście.

— Auguście... ludzie tu plotkują. Strach pomyśleć, jakie będzie gadanie. Trzymał ją w ramionach i czuł, jak delikatnie szlocha. Poklepał ją po plecach

niezdarnie i po ojcowsku.

Sytuacja była nieciekawa. Prawie całe miasteczko znało kuzyna Augusta - Gerda Bólla, kupca towarów kolonialnych - a przez niego połowa miasteczka znała Augusta. Często obcy zagadywali go na ulicy, tak jakby całe życie byli przyjaciółmi.

- Musimy rozważyć sprawę spokojnie - powiedział August. Anna-Luiza skinęła na znak zgody.

- Na miłość boską - powiedział - czy nie sądzisz, że oni już o nas plotkują?

- Plotkują - odrzekła - ale to nieważne. Kocham cię.

Trzymał ją teraz mocniej i mniej po ojcowsku.

- I ja ciebie kocham - powiedział i zdał sobie nagle sprawę, że to prawda. Wszystkie urlopy spędzał w tym samym domu z tą młodą dziewczyną. Nic dziwnego, że sąsiedzi gadali. Jej samej musiał wydawać się nienaturalny lub nieludzki. Spojrzał na nią; była skromną dziewczyną i jego postać mogła wzbudzać w niej lęk. Zadawał sobie pytanie, w jakim stopniu śpieszył się z powrotem tutaj, aby zobaczyć synka, a w jakim stopniu, aby zobaczyć swój dom, dom który stworzyła Anna-Luiza, miejsce, w którym stawiano przed nim jego ulubione dania, a obok gramofonu jego ulubione płyty. August zdał sobie sprawę, że przez wszystkie te miesiące śpieszył się do Anny-Luizy.

- Kocham cię, Anno-Luizo - powiedział. - Chcę, żebyś wyszła za mnie. Podniosła na niego swoje zaczerwienione oczy. Włosy opadły jej na twarz, ale nawet teraz była piękna. Może nawet bardzo piękna.

— Herr Bach, moi rodzice żyją. Będzie pan musiał ich odwiedzić lub co najmniej napisać.

— Zrobię to jeszcze dziś - powiedział. Poglaskał znowu jej głowę i wziął ją za rękę. To była wysmukła dłoń, zaczerwieniona od ciężkiej pracy, szorowania podłóg i prania ubranek Hansla i koszul Augusta.

- Do diabła, do diabła, do diabła - odezwał się August szeptem, a następnie zaczął ją rozbierać wciąż głośno deklamując, jacy są szaleni. Odpiął z jej bluzki broszkę RAD w formie swastyki i ostrożnie odłożył na bok.

— Ile masz lat? - zapytał nagle.

— Dwadzieścia dwa - odpowiedziała.

— No widzisz - rzekł August. - To jest głupie, absolutnie głupie.

Ale nie rozbierał jej wolniej. Pobliski zegar kościelny wybił dziewiątą, a za oknem słychać było turkot przejeżdżającego wozu i stukot końskich kopyt. Słuchanie odgłosów miasta, żyjącego swoimi sprawami zaledwie kilka jardów opodal, czyniło ich intymność bardziej konspiracyjną.

— Kocham pana, Herr Bach - powiedziała Anna-Luiza.

— Augście - nalegała.

— Będziesz pisał?

— Codziennie - przysięgał August.

— A do mojego ojca?

— Dziś po południu.

— Kocham pana, Herr August - powtórzyła. - Kocham was obydwóch. Stworzymy doskonałą rodzinę. Zobaczy pan. Kupię materiał na zasłonę we frontowym pokoju, poza tym Hansl potrzebuje nowe buciki.

Wyciągnął szpilki z jej włosów, które opadły teraz gwałtownie na twarz dziewczyny. Nigdy nie widział jej z rozpuszczonymi włosami. Zawsze były ciasno zwinięte na karku, w stylu umundurowanych kobiet. Zaśmiała się i znowu go pocałowała. Byli już teraz w sypialni i duże mosiężne łóżko zaskrzypiało głośno, gdy wskoczyła na nie. August nachylił się ku niej, ale odsunęła się na bok i zachichotała ciesząc się, że go przechytrzyła. Przez chwilę, straszną chwilę, August pomyślał, że może ona tylko drażni się z nim. Taka młoda dziewczyna mogłaby uczynić to rozpalonemu, czterdziestosześcioletniemu kochankowi. Ale zaledwieb tym pomyślał, rozebrała się. Nadal stojąc na łóżku, zrzuciła nakrochmaloną bluzkę i wyslizgnęła się ze swojej brązowej spódniczki. Jej bielizna znikła jak zaczarowana. Anna-Luiza ukazała się naga, wirując przed jego zaskoczonym spojrzeniem. Odciągnęła pościel i wsunęła się pod nią. Kiedy przykryła się puchową kołdrą aż po nos, widać było tylko jej zmierzwione lniane włosy i niebieskie oczy. Bach przypomniał sobie, jak dumna była jego żona z tej żółtej, jedwabnej kołdry puchowej. Długo oszczędzali, żeby ją kupić.

Rozpiął bluzę munduru i zawiesił na oparciu krzesła.

- Niech pan nie przychodzi do łóżka ze swoim medalem, Herr Bach.  
Skaleczy mnie - zawołała.

Ściągnął przez głowę czarno-białą wstążkę medalu Pour le Merite.

- Pokaż go.

Rzucił jej ozdobiony wstążką medal, który oglądała, gdy się rozbierał. Założyła wstążkę przez głowę i podziwiała się w lustrze, prężąc swoje nagie ciało jak żołnierz na paradzie. Błękit i złoto medalu pasowały do jej oczu i włosów.

— To jest Pour le Merite, prawda? - zapytała.

— Jesteś mądra.

— Kiedyś ktoś mi wytłumaczył, co to za krzyżnosisz na szyi. Za co go dostałeś?

Zestrzeliłem w czasie I wojny światowej jedenaście samolotów angielskich.

Musiałeś wtedy być bardzo młody.

Gdy zestrzeliłem pierwszego z nich, miałem siedemnaście lat. Otwarciami ramion zachęcała go do wejścia do łóżka.

Czy, wiesz odezwała się szeptem - że oglądałam ten pokój tysiące razy z każdego miejsca. Wczołgałam się nawet pod łóżko, aby zamieść i wyczyścić podłogę, ale nigdy nie pomyślałam, że zobaczę go z tego miejsca.

Jej skóra była miękka i ciepła, kontrastując z zimną, sztywno nakrochmaloną pościelą.

W przyszłości będziesz oglądać go z tego miejsca tak często, jak tylko będziesz chciała powiedział z uśmiechem.

Zawsze będę tego pragnęła odrzekła poważnie. Dotknęła jego twarzy opuszkami palców, a on poczuł ostry zapach kuchennego mydła zmieszany z zapachem wody kolońskiej.

To ponury pokój odezwał się August. Tapeta była ciemna, a dębowa szafa olbrzymia i staroświecka. Oboje widzieli się w lustrze. Ich oczy - potkały się. Smuga błyskawicy wpadła przez opuszczoną zasłonę i oświetliła ich na moment jak lampa błyskowa. Odezwał się pomruk grzmotu. Anna-Luiza zarumieniła się i odwróciła wzrok. Tu i ówdzie wisiały stare portrety rodzinne, niepożądane w saloniku, ale trudno było je wyrzucić. Miednica i dzbanek na umywalni błyszczwały w różowawym świetle przedostającym się przez zasłonę. Zarysowany na jej tle kwiat w doniczce drżał w przeciągu idącym od okna. Anna-Luiza dotknęła medalu Pour le Merite. Uśmiechnęła się.

Na runie wygląda lepiej powiedziała.

Tak zgodził się i wyciągnął po nią rękę.

A czerwona wstążeczka?

Za front wschodni odparł. Eisbeinorden. Medal za strach.

To musiało być straszne.

Było powiedział stłumionym głosem, ponieważ właśnie całował jej ucho.

Herr August wyszeptala, gdy zaczęli się kochać. - Czy ja już zawsze będę spała w tym łóżku?

Tak powiedział August. Z bliska zauważył, że jej włosy są prawie

białe a oczy i koniec nosa zaczerwienione od płaczu. Uśmiechnęła się znów do niego. Ściemniło się i powiało chłodem, jak zwykle przed burzą. Chmury burzowe zaciemniły pokój, a August kochał ją nie spiesząc się.

Potem przywarła do niego mocno i zwilżyła jego ramię cichymi łzami. Sięgnął po cygaro i zapalił je. Chciał opowiedzieć jej o wszystkim, co kiedykolwiek robił i pokazać wszystko, co kiedykolwiek widział. Pozostało tak niewiele czasu do wyjazdu.

Będzie pan dla mnie miły. Herr August? Pocałował koniuszek jej nosa.

Uprzejmość mężczyzny to zaleta, jaką niewiele kobiet podziwia - powiedział, Zwłaszcza bardzo młodych, bardzo pięknych kobiet.



-Zawsze będę pana podziwiała, Herr August. Proszę mi opowiedzieć o medalu.

Wszyscy jesteśmy ofiarami tych symboli i świcidełek, totemów i amuletów, pomyślał. Dlaczego dziewczynę miałby pociągać niebiesko emaliowany krzyż? Co mógł dla niej znaczyć?

- Samoloty były wówczas inne. Dwupłaty: kruche, małe przedmioty z kawałków drewna i płótna.

Dlaczego używał tych starych, oklepanych frazesów? To były silne, małe samoloty i do tego zwinne. Nie tak jak dzisiejsze: wymyślne metalowe maszyny, pełne przewodów paliwowych, urządzeń radiowych i delikatnych przyrządów, które mógł uszkodzić nawet większy wstrząs przy starcie.

- Były pomalowane w dziwne wzory płowo-różowo-szare. Przypominam je sobie.

Nieprawda. Nie mógł już w ogóle pamiętać, na czym polegała różnica między Halberstadtem a Albatrosem. Pamiętał tylko zapach paliwa i oleju, ostrą, zapierającą dech w piersi woń. Pamiętał także dźwięk pracy silnika mercedesa i jego ryk odbijający się echem od ściany hangaru.

- Pamiętam dzień, kiedy zestrzeliłem mojego pierwszego Anglika. To był piękny, bezchmurny dzień.

Czy on to opowiada zgodnie z prawdą? To był na pewno dzień, w którym otrzymał telegram, że matka umiera. W dniu zestrzelenia pierwszego Anglika lało.

— Bałeś się? - zapytała.

— Obawiałem się, że ktoś może pomyśleć, że się boję - odrzekł. Była to wygodna odpowiedź. Prawdą natomiast było, że w osiemnastym roku życia nie miał dość rozumu, by się bać.

- Czy widziałeś tego Anglika?

Starł się przypomnieć sobie.

— Był to samolot dwumiejscowy. Widziałem biały, jedwabny szalik pilota powiewający z kabiny. Nadleciałem od strony słońca.

— Czy byłeś z siebie dumny?

— Zabiłem dwóch ludzi, Anno-Luizo. To było straszne.

Zastanawiał się, jakimi ludźmi byli i jakimi mogli się stać. Brytyjczycy nie powinni nigdy wysłać ludzi na tych BE-2, w każdym razie nie nad linię frontu. Po wylądowaniu i zgłoszeniu swojego pierwszego

zwycięstwa, dowódca jego eskadry powiedział: „Przypuszczam, że to BE-2”. Był już postrzelony, a walczył jak szatan. Przy trzecim ataku strzelcowi pokładowemu zabrakło amunicji. Wymachiwał i pokazywał na swój karabin maszynowy. Facet o bladej twarzy, z wąsem, nie młodzik. Wyglądało na to, że pilot nie może dodać gazu. Oglądał się przez ramię, aby zobaczyć, z której strony nadejdzie atak. Nie mieli szansy. Później udał się na miejsce rozbicia samolotu, aby zabrać narodowe godło lotnicze jako trofeum, ale całe płótno, na którym było wymalowane, było spryskane krwią. Obaj brytyjscy lotnicy zginęli. Wartownik powiedział mu, że jeden z sanitariuszy zatrzymał szalik Anglika. Chce go sprzedać za pięć marek. Bach nie przyjął oferty.

— Chciałabym pójść z panem na spacer, Herr August. Czy możemy pójść razem po sprawunki?

— I zjemy razem obiad w knajpce - powiedział.

— To będzie wspaniałe. Poglądziła jego głowę.

— Pójdziemy wszędzie, Anno-Luizo. Wszyscy zobaczą nas idących pod rękę.

— Kocham cię, Auguście. Zawsze będę cię kochała. Pokój zajaśniał jasnorożowym kolorem.

- Dwadzieścia jeden - powiedziała Anna-Luiza - dwadzieścia dwa... Kiedy chciał się zaciągnąć cygarem, zauważył, że zgasło. Sięgnął po zapalki i zapalił je starannie, po czym podniósł zapalkę w górę, a Anna-Luiza zdmuchnęła ją nadal licząc. Kiedy zagrzmiało, oznajmiła, że burza jest oddalona o cztery kilometry. Jeszcze nie było słychać deszczu.

- Czy wiedziałeś, jak określić odległość burzy? - zapytała.

- Takich obliczeń nigdy nie można być pewnym - odrzekł August.

Ogromna masa zimnego powietrza zbliżającego się do Altgarten przemieszczała się nad Europą ku wschodowi z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Ostra krawędź zimnego frontu wbijała się klinem w miarę przemieszczania, pod wpływem niestałego, wilgotnego, letniego powietrza i podnosiła ku niebu tworząc chmury burzowe. Grzmiało, błyskało się, a gdzieś gdzieś padał deszcz. Osiemdziesiąt mil na północny zachód od Altgarten spadł deszcz na Ijsselmeer, wielki śródlądowy akwen otwierający północnym burzom wrota Holandii. Początkowo deszcz padający z niskiego nimbostratusa był lekki i ciągły, podobny do czarnych kolumn podpierających niebo. Potem przyszedł deszcz z cumulonimbusa, uderzając z wysokości dziesięciu mil, spadając wielkimi falami na wzburzone wody Ijsselmeer, Wiatr wiał z północy, a jego gwałtowne podmuchy czyniły z deszczu prawdziwą ścianę. Woda w małych jeziorach w pobliżu Utrechtu bardzo się podniosła. Setki kaczek, czapli i innych ptaków wodnych znalazło wątpliwe schronienie na brzegach i pod drewnianymi molami, które opuścili nawet wędkarze. W Kroonsdijk deszcz bił w budynki, w staw i walił jak młotem w płaskie, brukowane i asfaltowe dróżki tak, że drobny pył wodny odbijał się od nich przypominając wysoką trawę.

W budynku nr 31 deszcz obudził Oberleutnanta, barona Wiktora von Lowenherza, choć nawet grzmotom to się nie udawało. Spojrzał na zegarek: była dziesiąta środkowoeuropejskiego czasu letniego, a barometr spadł w dół. Zgrał wskazówki barometru, gdyż wiedział, że kiedy ciśnienie zacznie wzrastać, a wiatr się ustali i zacznie skręcać w lewo, to będzie znaczyło, że zimny front właśnie przeszedł. Pogoda bardzo interesowała Lowenherza ponieważ był pilotem, a w Kroonsdijk znajdowało się lotnisko nocnych myśliwców Luftwaffe.

Wojskowe urządzenia zbudowano tak, że wyglądały jak budynki gospodarcze holenderskiej farmy. Wysokie dachy opadały pochyło aż do ziemi, a drewniane ściany zewnętrzne maskowały betonowe umocnienia. Okienne, pomalowane w wesołe, wiejskie wzory, były wykonane z sześciomilimetrowej stali. Zamiast prostokątnego zbiornika hydrantu przeciwpożarowego urządzono owalny staw, w którym - aby złudzenie było zupełne - Luftwaffe ulokowała kaczki. W pobliżu pasów startowych pasły się

stada sztucznych krów, wykonanych z drewnianych klepek i gipsu. Choć stanowiły przedmiot żartów i kpin, były wystarczająco dobre, aby zwieść kamery lotnicze.

Przez okno widać było zaparkowane pod drzwiami motocykle, a za nimi dwusilnikowe samoloty myśliwskie. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Miejsce to wybrano, wymierzono i plany architektoniczne ukończono tak, że wszystko było gotowe na trzy lata przed inwazją Holandii. Teraz Kroonsdijk stało się kluczowym miejscem w obronie lotniczej Niemiec. Leżało na bezpośredniej trasie bombowców z lotnisk we wschodniej Anglii do przemysłowego serca Rzeszy, jak rogatka na ruchliwej drodze.

Nic więc dziwnego, że Oberlejtant, baron Wiktor von Lowenherz był wielokrotnie fotografowany dla hitlerowskich magazynów „Adler” i „Signal”, ponieważ był uosobieniem propagandy narodowosocjalistycznej; często pomijano jego tytuł szlachecki, gdyż nowe państwo hitlerowskie stworzyło własną arystokrację. Wysoki, szczupły i elegancki, miał blond włosy, które o tej porze roku słońce zmieniało na prawie białe. Jego ostro zarysowana twarz była szczupłą, a zęby białe i równe.

Wyskoczył z łóżka i wykonał ćwiczenia gimnastyczne - dwanaście „pompek”, intensywny bieg w miejscu, kolana wysoko, przeciąganie się, przysiady i wyrzucanie ramion - obserwowany z zainteresowaniem i kamiennym spokojem przez młodego buldoga, leżącego na swoim zwykłym miejscu pod biurkiem. Pokój Lowenherza był niewielki i ciemny, ponieważ okna wykonano tak małe jak tylko to było możliwe, aby zmniejszyć niebezpieczeństwo ze strony podmuchów i odłamków bomb. W narożniku stało żelazne łóżko przykryte szarymi kocami, które teraz starannie układał zaginając każdy narożnik porządnie i zręcznie, tak jak to robił każdego dnia od chwili wstąpienia do wojska jako kadet w 1937 roku.

Przez z górą trzysta lat rodzina Lowenherzów dostarczała żołnierzy Prusom. Heinrich Lowenherz służył pod potężnym Wallensteinem i podzielił jego wielką klęskę, zadaną przez Gustawa Adolfa pod Liitzen w 1632 roku. Ale syn Heinricha został starszym oficerem w Kriegskommissariat Wielkiego Elektora i dożył przepędzenia Szwedów z pola bitwy pod Fehrbellin, czterdzieści trzy lata później.

Na klatce schodowej domu w Grawcu znajdował się obraz Heinricha

- mężczyzny o bladej twarzy i nosie Lowenherzów oraz o ciemnych, myślących oczach. Jego broda i wąsy były przycięte w stylu hiszpańskim, a na sobie miał skórzany strój wojownika i pancerz na piersi przepasany czerwoną szarfą oraz szeroki kołnierz z koronki. Będąc dzieckiem Wiktor bał się przechodzić po schodach koło portretu, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku, gdy jedynie migotające świece oświetlały hol, a wycie wilków dochodziło ze wzgórz ponad wioską.

Podczas I wojny światowej baron Hans-Georg von Lowenherz - ojciec Wiktora - stracił rękę pod Langemarck (Ypres), służąc w pruskiej gwardii, po czym został oficerem operacyjnym sztabu. Po wojnie objął dowództwo jednej z tajnych szkół instruktorskich, jakie Reichswehra utworzyła w miejsce Akademii Wojskowej, zakazanej traktatem pokojowym.

Było rzeczą naturalną, że Wiktor powinien wstąpić do armii i choć nigdy nie

był naprawdę szczęśliwy jako kadet, wspominał tamte czasy z dumą i przyjemnością - W narożnik oprawionego w srebrną ramę portretu jego matki wsunięte było wyblakłe zdjęcie zrobione w Austrii - jak ją wtedy nazywano - w czasie Anschlussu. Pięciu uśmiechających się oficerów kawalerii z czapkami przybranymi w pamiątkowe orły dragonów brandenburskich, z których byli tak dumni. Następnego dnia w Linzu udało im się dostrzec przez moment samego Fuhrera. Miesiąc później przeniesiono Lowenherza z piechoty do Luftwaffe, gdzie przeszedł intensywne szkolenie dla załóg latających.

Spojrzał ponownie na tych chłopców, którzy byli jego bliskimi towarzyszami w okresie męczarni w szkole kadetów. Dokuczali mu niemiłosiernie, gdy usłyszeli o jego zgłoszeniu się do lotnictwa, ale przyszli na dworzec o wpół do piątej rano, aby go pożegnać. Spoglądał na ich dziecinne twarze; amatorska fotografia była wymięta i pożółkła. Jednego pochowano w Narwiku, drugi został kaleką w amfiteatrze niedaleko Sparty, trzeci był pułkownikiem przy sztabie Mansteina w Grupie Armii Don. Czwarty dowodził kompanią karną w pobliżu Charkowa.

Zdjęcie w malej ramce z kości słoniowej przedstawiało jego klasę w Szkole Lotniczej w Neu Bieburg, na tle dwupłata, starego Buckera. Tylko połowa z tych rekrutów została ostatecznie pilotami.

Dwudziestu pięciu mężczyzn na kiepskiej odbitce, zamazanej młodzieńczymi podpisami: uczniowie i instruktorzy w Szkole Pilotów Myśliwskich w Schleissheim. Mrużył oczy w silnym świetle słonecznym. Gdy robiono tę fotografię, właśnie wylatał dwieście godzin. Wówczas wydawało się to dużo. Marszczący groźnie brwi mężczyzna w pierwszym rzędzie był jego aktualnym dowódcą, który, jak wielu tamtejszych instruktorów, właśnie powrócił z walk w hiszpańskiej wojnie domowej. Lówenherzowi wydawał się odległą i urzekającą postacią z czterema zwycięstwami nad samolotami republikanów. Teraz, jak przypuszczał, ci co przychodzą do jego eskadry, widzą w nim podobnie nieprzyjemną figurę: niedostępną, zimną, lecz doświadczoną. Lówenherz miał nadzieję, że tak właśnie jest.

Przerwał oglądanie fotografii i włożył swój jedwabny szlafrok przed udaniem się na koniec oficerskich kwater, aby wziąć prysznic. Wyszorował się energicznie pod zimną wodą i dokładnie wytarł. Miał koci wdzięk

ruchów, pasujący do jego wybredności przy jedzeniu i troski o czystą bieliznę osobistą. Kiedy powrócił do swego pokoju, spędził czterdzieści minut na prasowaniu koszul i bielizny, jaką wczorajszego wieczoru wyprał i pozostawił do wysuszenia.

Gdy skończył, odłożył żelazko i ubrał się starannie. Przyjrzał się swoim wysokim, błyszczącym butom i przypiął Krzyż Żelazny i Order Krzyża Niemieckiego do kieszeni świeżo wypranej wojskowej bluzy. Sprawdził szybko swój wygiąć w lustrze: biała bluza była nieskazitelna, a czapka z białym wierzchem założona zgrabnie na bakier. Buldog wyszedł spod stołu, gotów do spaceru przez lesisty terer do kasyna oficerskiego.

- Na zewnątrz jest wilgotno, Bubi - ostrzegął, ale podobnie jak jego pan pies cieszył się na spacer po wonnej trawie. Deszcz ustał i słońce oświetlało moką zielen.



Pies obwąchiwał każdy skrawek trawy, przebiegał na drugą stronę drogi i podnosił nogę przy wąskich rowach schronów przeciwbombowych. Lowenherz miał zwyczaj łąać Bubię za to, ale ponieważ schrony nie były używane nigdy od dnia ich wykopania, przestał zwracać uwagę, gdy pies je zanieczyszczał.

Gdy Lowenherz wyszedł ze swojej kwatery, przyszło czterech holenderskich cywili niosąc szmaty i szczotki. Za nimi jechał na rowerze Feldwebel Blessing, nadzorca personelu cywilnego. Na widok Lowenherza zsiadł z roweru i nienagannie zaszalutował. Blessing był młodym, otyłym Bawarczykiem o nieregularnych rysach i małych, przenikliwych oczkach.

— Dzień dobry, Feldwebel Blessing - powiedział Lówenherz - na instalacji wodociągowej znowu pokazała się rdza. Te same kłopoty jak co roku.

— Zbada się, Herr Oberleutnant.

— Doskonale Blessing.

Chociaż Blessing nie był popularny, to jednak wyróżniał się posłuszeństwem, a jego cywile utrzymywali kwatery w błyszczącej czystości. Gdybyśmy mieli kilku generałów w OKW podobnych do Blessinga, to może nie byłibyśmy w defensywie na Wschodzie i nie przygotowywalibyśmy się we Włoszech do inwazji alianckiej, pomyślał Lówenherz. Blessing odjechał rażno ku głównym barakom, za nim pobiegł Bubi, obszczekując tylne koło roweru. Lówenherz poszedł w kierunku kasyna oficerskiego, a pies wkrótce zawrócił i popędził za swoim panem rozpryskując wodę w kałużach.

Na ogrodzeniach lotniska siedziały setki ptaków morskich, zapędzonych przez letnią burzę w głąb lądu. Bubi ścigał je wzdłuż ogrodzenia, szcękając i skacząc wysoko w powietrze. Mokra, biała kuleczki rozpościerały leniwie skrzydła i krążyły chwilę przed ponownym usadowieniem się na płocie.

Kiedy baron zbliżał się do kasyna oficerskiego, rozpoznał jednego ze swoich pilotów, idącego ku niemu przezznaczony plamami słońca las. Młodzieniec unikałby prawdopodobnie spotkania ze swoim szefem, gdyby się uważniej rozejrzał.

Christian Himmel był dwudziestodwuletnim Unteroffierem. Jego zasadniczy żołd wynosił sto marek miesięcznie plus czterdzieści ni; rek

Wehrsold (dodatku wojennego) i siedemdziesiąt pięć marek Fliegerzulage (dodatku lotniczego). To wszystko, uwzględniając podatek dochodowy, składki na fundusz hitlerowski i pomoc zimową, zapewniało mu więcej wygód życiowych niż zaznał kiedykolwiek w cywilu i było dwa razy więcej od tego, co zarabiał jego ojciec jako ogrodnik. Był muskularnym chłopcem z krótkimi, niesfornymi włosami, które sam niewprawnie przycinał. Miał okrągłą twarz i poważne usta o pełnych wargach. Anielska Twarz - tak nazywano go w obozie pracy, w którym odbywał służbę, a gładkość skóry upodabniała go do rzeźbionych cherubinków, których pełno wokół ołtarzy i kazalnicy barokowych kościołów w pobliżu jego rodzinnego miasteczka w Bawarii.

Himmel poczuł się onieśmielony, chociaż nikt w Kroonsdijk nie miał mniejszego powodu bać się Oberleutnanta von Lowenherza niż właśnie on. W lipcu 1940 roku, podczas Kanalkampf (jak Luftwaffe nazywało wczesny okres bitwy o Anglię) okoliczności były zupełnie inne. Lówenherz był młodym chorążym, świeżo przysłanym do dywizjonu Messerschmittów 109, w którym Himmel był już bardzo doświadczonym pilotem, posiadającym na koncie polski bombowiec Łoś, dwa Spitfire'y i świetną reputację. Mówiono, że Himmel zestrzelił więcej samolotów nieprzyjacielskich, niż podawał i w co najmniej trzech przypadkach był bardziej niż wspaniałomyślny, pozwalając na przypisanie zestrzeleń innym.

Pierwsze dwa samoloty zestrzelone przez Lówenherza - Hurricane i Defiant - były już mocno podziurawione przez Himmla, co Lówenherz sam przyznał. Lówenherz był skrzydłowym Himmla, a Himmel mawiał, że z dobrym skrzydłowym należy dzielić się każdym zwycięstwem. Skrzydłowy leciał dwieście jardów za swym dowódcą i osłaniał go przed atakiem z tyłu lub z boku. Dowódca utrzymywał kurs, prowadził do ataku i podejmował decyzje. Himmel robił to dobrze. Był także wykwalifikowanym mechanikiem. Jego troskę o samoloty eskadry można było przyrównać do chorobliwych stanów lękowych, do obsesji, którą usprawiedliwiały jego nieśmiałość i małomówność. Kiedy rozmawiał z personelem naziemnym, usiłował ograniczać się do spraw ściśle technicznych. Czasem Lówenherz był prawie gotów uwierzyć, że w Himmlu coś stuknęło, piszczało, ryczało, że bliższe mu były jego maszyny niż towarzysze.

— Dzień dobry, Himmel.

— Dzień dobry, Herr Oberleutnant - odpowiedział chłopiec.

Ubrany w czarny kombinezon mechanika, Himmel trzął się z zimna w podmuchach wiatru.

— Czy świece nadal się zalewają, Christianie?

— Założono nowe pierścienie, ale szkoda było roboty, Herr Oberleutnant. Poprawa jest minimalna.

Pies wesoło podskakiwał u nóg Unteroffiziera. Himmel udawał, że chce uderzyć Bubiego, a pies warczał i strasznie szczyrzył zęby mierząc w szybko poruszające się ręce chłopca.

— Kugel nie będzie mógł dziś tego zrobić. Major miał kłopoty ze swoim pojemnikiem sprężarki doładowującej. Wydał polecenie, aby jego samolot był gotowy dziś wieczorem.

— Wobec tego Kugel będzie zajęty - powiedział Himmel.

— Bardzo, bardzo zajęty.

Lówenherz uśmiechnął się wyobrażając sobie brzuchatego, starego mechanika wystawionego na gniew Gruppenkommandeura.

— Powiem mu, aby wypróbował silnik, jak wylądujesz dziś w nocy - powiedział. - Jeśli będziesz miał nadal spadek obrotów, to każę mu założyć nowy silnik. Co ty na to? Christianie.

— Dziękuję panu, Herr Oberleutnant.

— Idziesz na śniadanie?

— Nie jestem głodny. Napiję się kawy, kiedy ją przyślą do dispersalu. Czy mogę zabrać ze sobą Bubiego?

Lówenherz podał Himmlowi obrożę i smycz. Bubi zaszczekał radośnie. Lówenherz obserwował młodego podoficera i psa, znikających wśród drzew. Himmel biegł, a pies gonił go, aż czarny kombinezon Himmla rozpląnął się w cieniu.

Temperatura opadła nieco pomimo słonecznej pogody i Lówenherz zauważył, że zaczęło wiać ku północnemu zachodowi. Zimny front przesuwał się teraz daleko od Kroonsdijk, a ogromna, zimna masa powietrza stabilizowała się. Gdy doszedł do kasyna oficerskiego, spojrzął na barometr. Ciśnienie wzrosło. Wszystko wskazywało na kilka dni doskonałej, letniej pogody.

Lówenherz był człowiekiem pedantycznym. Złożył swoją okrągłą czapkę ze sztywnie wygiętym denkiem i wziął odłożony dla niego

egzemplar „Berliner Börsen-Zeitung”. Przejrzał ceny akcji firm „Daimler-Benz”, „Zeiss Ikon” i „Siemens”. Miał zaufanie do solidnych przedsiębiorstw. Kupił kilka akcji „Sachs Engineering”, ponieważ firma była własnością ojca jego operatora radaru; choć stały znakomicie jeszcze rok temu, teraz zaczęły nieco spadać. Pomyślał o ich sprzedaży. Spojrzał na ostatnią stronę, gdzie były roczne sprawozdania, ale nie znalazł tam nic interesującego. Także wiadomości z frontów niewiele mówiły, jakby nic się nie działo. Nie chciał złożyć gazety i wsunąć jej do kieszeni, ponieważ wypchałaby jego świeżo wyprasowaną bluzę munduru. Zwinął ją więc starannie i zabrał ze sobą. Na tablicy nie było nowych zawiadomień. Rzucając okiem na swoje odbicie w lustrze, przygładził włosy i otworzył drzwi do jadalni.

Sala kasyna była dużym, pełnym słońca pokojem z długimi, refektarzowymi stołami i wysokim sufitem. Jedną ze ścian pokrywało patriotyczne malowidło. Żołnierze o mocnych szczękach i promienne dziewczęta z płowymi warkoczami maszerowali w strojach ludowych z flagami pod baldachimem formacji bombowców. Afisz przypominał załogom o niebezpieczeństwie nierozważnych rozmów w miejscach publicznych. Inny przedstawiał mewę w locie, a napis głosił: „Piloci, ona jest także waszym wrogiem!”. Pokazano także fotografię samolotu uszkodzonego przez ptaka. Pilot przedstawiony na innym rysunku mówił: „Jeśli zgubisz się, wejdź na bezpieczną wysokość. Nie schodź przez chmury - to niebezpieczne!”.

Nad okienkiem, gdzie wydawano posiłki, umieszczono wykaz racji cywilnych obok bardziej szczodrego przydziału tych samych dań dla żołnierzy Wehrmachtu. „Pamiętaj!” głosił nagłówek.

Dwaj oficerowie z jego eskadry siedzieli nad kubkami kawy. Lówenherz przysiadł się do nich. Niektóre stoły zastawiono na jeden łączny posiłek, śniadanie-obiadowy, jaki załogi nocnych myśliwców jadły w południe, wstając później po lotach. Była dopiero dziesiąta rano i jak dotąd ci trzej lotnicy byli jedynymi, jacy wstali do zwykłych zajęć.

— Czy mogę dołączyć do klubu dyskusyjnego? - zapytał Lówenherz.

— Cały system punktowy powinien być zrewidowany - mówił właśnie Leutnant Kokke, młody berlińczyk. Był to śniady mężczyzna z długimi, czarnymi włosami, obfitymi wąsami i brodą przyciętą wystarczająco

krótko, aby mieściła się

pod maską tlenową. Lowenherz zauważył jego brudną, szarą koszulę i nie wyczyszczone buty. Kokkego znano z miażdżącego sarkazmu i bezbłędnego pilotażu, ale był też najbardziej niechlujnym oficerem w jednostce. Lowenherz postanowił, że musi o tym pomówić z Kokkem przy bardziej odpowiedniej okazji. Kokke ciągnął dalej:

— Na froncie wschodnim każdy dureń może zestrzelić tuzin maszyn dziennie. Sto zwycięstw, dwieście, co to ma za znaczenie? Bliski jest dzień, kiedy znajdzie się facet z trzystoma zwycięstwami.

— Podczas gdy my wysilamy się i pocimy, by doczekać, kto pierwszy zestrzeli trzydzieści - poskarżył się Beer, smutny, mały Leutnant z Ratzbony, który przed wojną był samochodowym kierowcą wyścigowym. Twarz poorał mu smutek, a jego faliste włosy pokrywały bardzo wysokie czoło. On także próbował zapuścić wąsy, ale po prawie trzech tygodniach były jeszcze mało widoczne. Skubał je przez chwilę palcami, zanim odłożył na bok egzemplarz „Völkischer Beobachter” i pociągnął łyk gorzkiej kawy.

Kelner kasyna postawił na stole talerz surowej, posiekanej, żółtej rzepy razem z dzbankiem świeżej kawy. Władze medyczne Luftwaffe orzekły, że rzepa poprawia widzenie w nocy. Niewiele jednak załóg jadło ją, a jeszcze mniej wierzyło w jej skuteczność, ale Lowenherz wgrzył się w kawałek, aby dać dobry przykład. Następnie sięgnął po puszkę z pastylkami witaminowymi i wziął dwie.

— Czy uważa pan, że tabletki poprawiają widzenie w nocy, Herr Oberleutnant? - zapytał Beer.

— Nocną adaptację - poprawił go Lowenherz.

— Tak - zgodził się Beer.

— To olbrzymia różnica - wyjaśnił Lowenherz.

— Więc sądzi pan, że tabletki witaminy A poprawiają nocną adaptację?

- zapytał Beer.

— Tak mówią zarządzenia - odparł Lowenherz. - Dwie co rano przed śniadaniem i dwie bezpośrednio przed lotem.

— Powinno się zrewidować system punktowy - upierał się dalej Kokke.

- Teraz pilot musi zniszczyć, powiedzmy, trzynaście czterosilnikowych bombowców po trzy punkty każdy i dwusilnikową

maszynę eskorty za dwa punkty, aby dostać Krzyż Rycerski. Nocą! Mój Boże! Powinniśmy dostawać Krzyż Rycerski za samo znalezienie jednego samolotu. A teraz, przy tym wilgotnym powietrzu wszystkie nasze anteny radarowe będą diabła warte.

Beer skinął na znak zgody. To wystarczyło Kokkemu, aby mówić dalej:

— No cóż, na froncie wschodnim możesz strącić parę antycznych, amerykańskich samolotów Aircobra i parę LaG3 codziennie przed śniadaniem i dostać order w ciągu tygodnia lub dwóch. Czy to jest słuszne, Herr Oberleutnant?

— Czy obaj nadal mówicie o Krzyżach Rycerskich? - zapytał Lowenherz. Nie było w tym jednak nic dziwnego, każdy w Grupie mówił o tym w wolnych chwilach; może mówiła o tym nawet cała cholerna Luftwaffe?

— Strącanie Iwanów nie jest wcale takie łatwe - - powiedział. - Nigdy nie widziałem samolotu LaG3, ale jego najnowszą wersją jest La5FN. Posiada wtrysk paliwa, silnik o mocy 1650 KM, a spaliny - dwutlenek węgla i azot - przechodzą do zbiorników paliwa jako środek zapobiegawczy na wypadek trafienia pociskiem zapalającym. Posiada dwa działka z dodatkowymi raketami. W ubiegłym miesiącu jeden z Czerwonych miał defekt na tym nowym samolocie i lądował po naszej stronie. Oblatywałem go w Ośrodku Doświadczalnym w Rechlin. To dobra maszyna.

— Jak szybka? - zapytał Kokke.

— Wyciągnąłem z niej prawie czterysta mil na godzinę na wysokości piętnastu tysięcy stóp.

— To dużo - powiedział Beer.

— A ile może osiągnąć na większych wysokościach? - zapytał Kokke.

— Nieważne, ile może osiągnąć wyżej - odparł Lówenherz. - Na Wschodzie wojna powietrzna toczy się na małych wysokościach. Jeśli fwany ostrzeliwują ziemię lub bombardują z małej wysokości, to aby ich zwalczać musimy zejść w dół.

— Też tak sędzę - zgodził się Kokke.

— Co więcej - ciągnął Lówenherz - nasi mechanicy powiadają, że jego chłodzony powietrzem silnik jest prostszy w obsłudze podczas złych, zimowych warunków aniżeli silniki chłodzone cieczą. Raport mówił także, że płatowiec wytrzyma większe uszkodzenie.

— Przydałoby się nam kilka takich La5 w miejsce starych wraków, jakie musimy niańczyć w powietrzu - rzucił Kokke.

— Richardom nic nie brakuje - rzekł Beer. - W zeszłym roku latałem na 110. To jest rzeczywiście przestarzała konstrukcja.

— Nic nie brakuje richardom? - zakpił Kokke. - Gdzie to wyczytałeś? W „Vólkischer Beobachter” z 1937 roku? - skrytykował bębniąc palcami pianisty w blat stołu. - Zaprojektowany został jako bombowiec nurkujący, a używany jest jako nocny myśliwiec. I ląduj tu nocą na bombowcu nurkującym przy słabej widoczności, dużej prędkości lądowania, a będziesz miał zupełnie dosyć tego samolotu.

— Lubię trudne samoloty - powiedział Lówenherz. - W każdym razie w przyszłym roku otrzymamy Heinkle 219.



Był skłonny zgodzić się z Kokkem co do Ju88R, zwłaszcza jeśli chodziło o prędkość lądowania, ale w żadnym wypadku nie mógł dopuścić do zachwiania zaufania, jakie jego załogi powietrzne miały do swojego sprzętu.

— Za pozwoleniem, Herr Oberleutnant - powiedział Kokke - w przyszłym roku może być za późno.

— W przyszłym roku wszyscy będziemy na froncie wschodnim - rzekł Beer. Poczęstował się chlebem i wiśniowym dżemem. Osa bzykała wokół stołu, odpędzał ją nerwowo.

— Jesteś nędznym skurczybykiem - rozgniewał się Kokke. - Czyja kiedyś usłyszę od ciebie coś wesołego?

No cóż, nie mówię defetystycznych rzeczy jak ty - odparł Beer. Uśmiechał się blado, gdy to mówił, ale w jego głosie wyczuwało się nutę oskarżenia.

- Co ja takiego powiedziałem?

Kokke sięgnął po „Berliner Börsen Zeitung” Lówenherza i pacnął osę z głośnym trzaskiem.

— Wojna na Wschodzie to jak wędrowny cyrk i wędrowny ogród zoologiczny, walczące na pustkowiu o to, kto da przedstawienie.

— Czy jesteś pewien, żeś tego nie zmyślił? - zapytał Kokke.

— Och, zamknij się - powiedział Beer ze złością.

— Dolać kawy, Herr Oberleutnant?

— Dziękuję, Kokke.

Lówenherz obserwował brodacza trzymającego dzbanek do kawy. Miał dłonie muzyka. Kokke chciał zostać zawodowym pianistą, ale wojna przerwała jego studia. Obecnie kariera, jakiej się kiedyś spodziewał, była niemożliwa. Wystarczyło, że dotknął pianina w kasynie, aby przekonać słuchaczy, ile stracił z dawnych umiejętności. Kokke nalał kawy Lówenherzowi i uśmiechnął się do niego prowokująco. Niektórzy powiadali, że młody berlinczyk był prowokatorem na żołdzie Gestapo. Lówenherz podejrzewał, że tę plotkę Kokke sam puścił w obieg, aby zapewnić sobie usprawiedliwienie stałej krytyki reżimu, jego metod i środków.

— Piję za nasze Krzyże Rycerskie - Lówenherz wznosił toast kawą.

— Nie wypiję za pański - powiedział Kokke uśmiechając się. - Jeśli to cholerstwo nie jest teraz w drodze do pana to wyłącznie dlatego, że w ogóle zadecydowano wstrzymać ich przyznawanie.

Lówenherz skłonił się uprzejmie na ten komplement. Odniósł więcej niż potrzeba zwycięstw, aby upragniony Krzyż Rycerski zawisł u jego szyi. Swą postawą i doświadczeniem zasłużył na wyróżnienie, ale urodziny Fiihrera, tradycyjny termin ogłaszania odznaczonych nadszedł i minął.

Piloci pili kawę w milczeniu, a Lówenherz trzymał uważnie w dłoni serwetkę, aby ani jedna kropla nie spadła na jego białą, błyszczącą, letnią bluzę. Zadziwiające, kiedy znajdował czas, aby załatwić robotę papierkową i sprawy biurowe, jakie spadły na niego, jako dowódcę eskadry, oraz na czytanie i pamiętanie o wszystkich raportach wywiadu, wykonując jednocześnie takie samo minimum ślepego pilotażu, jakie nakazywał swojej

eskadrze, stale zdobywając nagrody w strzelaniu do rzutków, a także utrzymując szereg przyjaciółek od Brukseli po Wilhelmshaven.

Na koniec zabrał głos mały Beer.

— Czy Krzyż Rycerski jest zawsze przyznawany osobiście przez Hermanna Göringa?

— Trzeba jechać do Karinhall - potwierdził Löwenherz. - A kalafior do Krzyża Rycerskiego oznacza audiencję u Fihrera.

— Dają doskonałe jedzenie i apartament z dwoma sypialniami w Berchtesgaden - dodał złośliwie Kokke.

- Dobrze jest Wam dwóm mówić o mieczach i liściach dębowych - rzekł Beer.

- Pan, Herr Oberleutnant, ma dwadzieścia osiem potwierdzonych zwycięstw, Kokke dwanaście, a ja, jak dotąd, nie mam i pewnie nie będę miał nigdy żadnego.

— Głowa do góry - pocieszył go Kokke. - Wszyscy mamy Żelazny Krzyż na piersi.

— To nawet sprawę pogarsza - powiedział Beer. - Jak wytłumaczę, że mój został przyznany za odbycie dwudziestu lotów, choć nigdy, nawet na moment, nie widziałem Tommiego.

— Może będziesz miał szczęście dziś w nocy, jeśli pogoda się poprawi - pocieszył go Lówenherz.

Beer potarł twarz i nie dał się rozweselić.

— Kontroler lotów wysyła co noc najpierw załogi mające największe sukcesy. Oni pierwsi dobierają się do Anglików, podczas gdy reszta z nas spędza cały dzień ćwicząc latanie na przyrządy i grając całą noc w szachy.

— Dla obrony kraju trzeba, aby najlepsze załogi były wysyłane w bój, jak tylko złapie się pierwszy kontakt na radarze - wyjaśnił Lówenherz.

— Beer sądzi, że wojnę urządzono jedynie dla jego zabawy - rzucił Kokke.

— Musicie pamiętać, że te bombowce niszczą nasze miasta - stwierdził Lówenherz. - Zapytaj Kokkego, czy nie woli, aby najlepsze załogi poleciały pierwsze, kiedy jego miasto, Berlin, jest bombardowane lub zapytaj biednego starego Oberfeldwebla Krugelheima, mojego głównego mechanika, którego żona została zabita zeszłego roku, w kwietniu w Stuttgarcie.

— Albo Leutnanta Klimkego - dodał Kokke - obsługującego mój radar, którego żona i troje dzieci zginęli podczas nalotu bombowego na Duisburg w ostatnie Boże Narodzenie, dzień przed jego wyjazdem na urlop.

— Wszystko czego chcę - zaprotestował Beer - to móc zestrzeliwać tych cholernych morderców.

— Nie zniechęcaj się - powiedział Lówenherz. - Będziesz wkrótce miał sposobność.

Skończył kawę i wytarł starannie usta serwetką. Powstał i skinął im na do widzenia przyglądając się czarnej, skórzanej kurtce z błyskawicznym zamkiem, spodniom i wysokim butom Beera.

— Nie myślisz chyba latać w tych butach, Leutnancie Beer.

— Nie, panie poruczniku - odrzekł Beer.

— To dobrze. Jest w tym względzie odpowiedni przepis. Służba medyczna Luftwaffe poinformowała Naczelne Dowództwo, że trudno jest zająć się ranami stóp, jeśli trafiony lotnik nosi ciasne, wysokie buty.

— Czytałem pańskie memorandum - panie poruczniku.

- Doskonale. Wobec tego sprawa jest jasna. Do widzenia, panowie.

Spojrzał na swoją gazetę z resztkami osy rozpryśniętymi na nagłówku w brzydkich, brązowych plamach. Nie podniósł jej. Obaj lotnicy skłonili głowami na pożegnanie.

„Klub dyskusyjny” - przedrzeźniał Beer. - Protekcyjnalny skurczybyk.

— Czy mogę cię zacytować? - zapytał Kokke.

— Takiemu Krautjunkrowi jak on to dobrze - rzekł Beer. - Syn barona, ogromne posiadłości we Wschodnich Prusach, daleko poza zasięgiem RAF...

— Dlatego właśnie martwią go te rosyjskie samoloty - wyjaśnił Kokke.

Czy wiesz jak ładnie zabawiają się mechanicy w eskadrze numer trzy, po drugiej

stronie lotniska? Gdy Junkersy dalekiego zasięgu przylatują z częściami zamiennymi, załogi przywożą puszki kawioru z Odessy na wymianę za butelki duńskiego sznapsa. Powiadają, że ten wysoki Oberfeldwebel na motocyklu zbija na tym fortunę. Niedawno mechanicy otworzyli puszkę kawioru na terenie dispersalu. Siedzieli sobie dokoła w słońcu jedząc go, gdy wtem nadchodzi Lówenherz. Oberfeldwebel saltuje z rozmachem, smaruje grubo kawiozem suchara i częstuje go.

— Kawior Beluga, panie poruczniku - mówi. Lówenherz patrzy na to z góry i powiada:

— Nieważne, jakiego gatunku jest kawior, Oberfeldwebel, ale czy umyliście ręce? Kokke uśmieł się serdecznie z własnego opowiadania, ale Beer nie zareagował.

- Pruski skurczybyk - powiedział. - I ta diabelna biała bluza, którą nosi, jakbyśmy byli w szkole, w czasie pokoju. Czy zauważyłeś, jak spoglądał na twoją brudną koszulę? Założę się, że w przyszłym tygodniu ukaże się nowe zarządzenie o wyglądzie oficera.

— Mam go gdzieś - powiedział Kokke.

— Zawsze wyciera sobie usta i palce - powiedział Beer. - Sprawia, że czuję się, jakbym cierpiał na jakąś zaraźliwą chorobę.

— Bo cierpisz - rzekł Kokke. - Ta choroba to ubóstwo.

— No cóż, wiesz, co mam na myśli. Nienawidzę ludzi, którzy używają kolońskiej. On ma obsesję na punkcie czystości. Jest pod prysznicem zawsze, kiedy ja chcę z niego skorzystać.

— Co nie zdarza się często - stwierdził Kokke. - A może dzieje się tak dlatego, że obawia się zarażenia chorobą weneryczną przez dziewczęta, z

którymi się zadaje.

— Jednego dnia zaaresztują cię za gadanie takich rzeczy.

— Tak, no cóż, zawsze mogę liczyć na to, że mi pomożesz. Co za pomysł mówić Lówenherzowi o tej historii z frontem wschodnim.

— Człowiek powinien umieć żyć z poglądami, jakie głosi - odparł Beer.

— Wiesz Beer, czasem myślę sobie, że byłbyś cholernie dobrym pastorem.

Gdy Lówenherz doszedł do foyer kasyna, kilku oficerów personelu latającego właśnie przybyło na swój południowy posiłek. Skinął szybko każdemu z nich i odebrał czapkę od ordynansa w szatni. W foyer były miękkie, skórzane fotele niskie stoliki z rozrzuconymi na nich egzemplarzami „Luftwelt”, „Signal” i „Der Adler”. Na skraju jednego z foteli siedział nerwowo Blessing, człowiek odpowiedzialny za pracowników cywilnych. Obok niego, odchylony do tyłu i czytający „Deutsche Zeitung”, siedział starszawy mężczyzna w cywilnym ubraniu. Blessing trącił go w kolano, a ten opuścił gazetę i spojrzał w górę. Blessing skinął ku Lówenherzowi. Mężczyzna był za stary i nosił zbyt eleganckie ubranie jak na miejscowego pracownika cywilnego. Mój Boże, pomyślał Lówenherz, to z pewnością krewny jakiegoś ostatnio zestrzelonego członka załogi powietrznej. Mężczyzna sięgnął po miękki kapelusz i skórzaną teczkę, powstał i zbliżył się do Lowenherza ze smutnym uśmiechem.

— Oberleutnant Wiktor von Lówenherz? - zapytał. Jego ubranie było dobrej jakości, ale ze starannie zacerowanym narożnikiem kieszeni. Pod kamizelką, w której tkwiły trzy wieczne pióra, nosił popielaty, domowej roboty sweter. Oczy mężczyzny patrzyły na Lowenherza spokojnie przez okulary w złotej oprawie. Były wilgotne, tak jak to bywa z oczyma starego człowieka, ale ruchliwe i czujne. Twarz miał przeoraną głębokimi bruzdami, a czerwone plamy przypominały skórę nałogowych alkoholików. Jego sztywny, biały kołnierzyk był staromodny, a węzeł krawata zabezpieczała złota szpilka. Większość ludzi wzięłaby go za lekarza lub prawnika i słusznie. Blessing zasalutował starannie, podczas gdy mężczyzna wyciągnął do Lowenherza rękę. Gdy wymienili uścisk dłoni, gość powiedział „Heil Hitler” pozbawionym zainteresowania głosem, jakiego używał również do skomentowania pogody. Uśmiechnął się posepnie i przedstawił:

— Feldwebel doktor Hans Starkhof z AST Holandia, Grupa III.

Krótkowzroczne oczy mężczyzny migotały za okularami. Lówenherz zastanawiał się, czy ta krótkowzroczność - podobnie jak wahanie w głosie i brwi uniesione w zdziwieniu - nie jest podstępem. Mężczyzna obserwował reakcję Lowenherza na zestawienie niskiego stopnia wojskowego z tytułem doktora oraz pozdrowienia hitlerowskiego z delikatnym, cywilnym uściskiem dłoni. Obserwował także jego reakcję na słowo AST. Starkhof doskonalił technikę zaskakiwania ludzi wiele lat temu, pracując jako prawnik-kryminolog w Hamburgu. Zaskoczenie zaraz przy pierwszym spotkaniu mogło często pomóc w szybkim rozwiązaniu sprawy. Ze strony Lowenherza nie było żadnej reakcji, ale Starkhof miał jeszcze jeden atut w ręku.

— Może powinienem przedstawić... - wykonał półobrotu w stronę Blessinga.

— Feldwebla Blessinga - powiedział chłodno Lówenherz. - My się już znamy.

— Ależ tak, oczywiście, i dlatego powinienem panu powiedzieć, że Blessing jest zatrudniony przez R.SHA i posiada stopień Untersturmführera SIPO.

— Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty? - zapytał Lówenherz.

— Niestety nie nosimy przy sobie żadnych poza książeczkę wojskową, ale może pan zatelefonować do mojego biura, jeśli ma pan wątpliwości.

— Nie mam - odrzekł Lówenherz.

— Doskonale - wskazał gestem ku wyjściu. - Porozmawiamy w czasie spaceru - zasugerował. - Może wygodniej będzie na zewnątrz.

Abwehr Sicherheits Truppen Wywiad Wojskowy Abwehry.  
Reichssicherheitsamt Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy.

Nałożył filcowy kapelusz i wyszedł na słońce. Trzej mężczyźni poszli długą, zwirową ścieżką, a ich cienie rysowały się ostro w gorącym słońcu. Gdy Starkhof zdał sobie sprawę, że Lówenherz nie zamierza odezwać się pierwszy, powiedział:

- Skradziono pewne dokumenty, Herr Oberleutnant.

Przerwał, ale Lówenherz nadal się nie odzywał.

— Pewne tajne dokumenty. Nie mamy wątpliwości co do tożsamości



złodzieja.

— Jestem pewny - rzekł Lówenherz - że nie przyszedł pan tutaj chwalić się przede mną swoim sukcesem.

— Oczywiście że nie - odparł mężczyzna w cywilnym ubraniu. - Wysoce będziemy sobie cenić pańską szczerłość i pomoc.

- W każdym razie może pan liczyć na to pierwsze - powiedział Lówenherz. - Jeśli chodzi o to drugie, dopiero gdy będzie pan bardziej otwarty, okaże się, w czym można panu pomóc.

— Drogi kolego Lówenherz - odparł Starkhof - musi pan okazać cierpliwość staremu człowiekowi. Ukradzono tajne dokumenty i musimy je odzyskać.

— To jest ten ośrodek lekarski, panie doktorze - przerwał Blessing.

— Zostały skradzione z tego budynku - wyjaśnił Starkhof Lówenherzowi. - Znamy złodzieja, ale brakuje nam...

— Corpus delicti - podpowiedział Lówenherz.

- Właśnie - rzekł Starkhof. Zwrócił się do swego kolegi. - Corpus delicti, Blessing, to właśnie musisz znaleźć.

Stali na drodze między upodobnionymi do gospodarskich budynkami dowództwa. Wszędzie było spokojnie, ponieważ prawdziwy dzień pracy lotniska nocnych myśliwców jeszcze się nie zaczął. Ciężarówka załadowana beczkami na olej przejechała z hałasem przez główną bramę. Przy wejściu do sekcji płacy stały grupki żołnierzy, rozmawiających z upozorowaną niedbałością i swobodą. Dwóch dyżurnych wynosiło z ośrodka lekarskiego krzesła i składało je na stosie, podczas gdy z wewnątrz dochodziły odgłosy przesuwania wiadra, szorowania podłogi oraz niemelodyjnego śpiewu.

— Złodziej najpierw ukrył dokumenty, a dopiero potem ukradł je - odezwał się Starkhof.

— Jeśli to oznacza, że ktoś ukrył je za szafą, a później dopiero wrócił po nie, to dlaczego nie powiedzieć tego jasno?

Blessing wtrącił skwapliwie:

— Papiery zostały ukryte za szafą, a złodziej powrócił później. Skąd pan to wie?

— Dedukcja - odparł Lówenherz. - I jeszcze coś wam wydedukuję.

— Jeśli pan...

— Kolego Untersturmfuhrer Blessing - przerwał im mężczyzna.

Podniósł palec w kierunku Blessinga. - To mój świadek, wierzę w to - uśmiechnął się. Blessing skinął potakująco.

— Mój drogi Lówenherz, obaj jesteśmy bardzo zainteresowani pańską dedukcją - powiedział Starkhof.

— Wiedzieliście - wyjaśnił Lówenherz - gdzie były dokumenty, a mimo to nie odzyskaliście ich. Spodziewaliście się więc schwytać złodzieja, gdy będzie je zabierał w inne miejsce...

— Lub komuś przekazywał - Starkhof skinął głową. - Doskonale Oberleutnancie.

— Nie posiadacie dokumentów, a więc nie schwytaliście złodzieja na...

- Lówenherz przerwał.

- Chciał pan właśnie powiedzieć „flagrante delicto”, mój przyjacielu. Ależ niech pan to powie.

Na boku szybko wyjaśnił Blessingowi:

- Na gorącym uczynku, mój drogi Blessingu.

Ten uśmiechnął się.

Nie było pewności, czy ten człowiek próbował zrobić głupca z Lówenherza, czy z Blessinga. Gdy Lówenherz ruszył znów do przodu, tamci szli z boku.

- Blessing wskazał panu ośrodek lekarski - powiedział Lówenherz - dedukuję więc, że nie widział go pan wcześniej. Tak więc to - Lówenherz udał, że ma trudności ze stopniem SS i wypowiedział go w sposób dokładny i niezgrabny - Untersturmfuhrer Blessing zastawił pułapkę na złodzieja i został przechytrzony.

- Sunt lacrimae rerum - zwrócił się mężczyzna do Blessinga. - Łzy są częścią życia, jak to kiedyś powiedziałem Blessingowi.

Ten skrzywił się.

— Czy to ktoś z mojej eskadry? - zapytał Lówenherz.

— Pan znowu tak samo - powiedział Starkhof. - Prosto do sedna sprawy. Tak, to ktoś z pańskiej eskadry.

— Unteroffizier Himmel - odpowiedział Blessing.

— Młody Himmel? - zdziwił się Lówenherz. - Ależ to niemożliwe. Dałbym za niego głowę.

— Czy dobrze pan to rozważył, Herr Oberleutnant? - zapytał z

powagą Blessing. Szli przez chwilę w milczeniu, po czym odezwał się Starkhof:

— Oczywiście, że nie; Herr Oberleutnant mówił po prostu jako towarzysz broni. Takie szlachetne uczucia przystoją żołnierzom frontowym.

— Czy dałby pan głowę za tego złodzieja Himmla? - nalegał Blessing.

— Mój drogi Blessingu - wtrącił się Starkhof. - Oberleutnant często tak właśnie czyni. Czyż Himmel nie jest jednym z jego najbardziej doświadczonych pilotów i dlatego niezbędny dla bezpieczeństwa całej eskadry?

— Młody Himmel jest dobrym i lojalnym pilotem, uczciwie wykonującym swe zadania - stwierdził Lówenherz.

— Czy kilka minut przed dziesiątą szedł pan na śniadanie? - zapytał Blessing.

— Rozmawiałem przecież z panem - odparł Lówenherz szybko, jakby się bronił. Był zły na siebie.

— I dał pan Himmlowi swojego psa?

— Himmel zabrał mojego psa do dispersalu.

— Czy Himmel często chodzi z pańskim psem? - zapytał Blessing. Uśmiechał się do Lówenherza, a w jego prostym pytaniu wyczuwało się ukrytą aluzję.

— Pies starannie wybiera ludzi, z którymi idzie na spacer - odpowiedział Lówenherz.

— Zatem Himmel jest jednym z wybrańców?

— Wydaje się być pan bardziej złośliwy niż dociekliwy - odparł Lówenherz. - Może po prostu łatwiej jest ująć Himmla aniżeli prawdziwego złodzieja, który wymknął się panu z łatwością.

— Drogi kolego Lówenherz - powiedział poważnie Starkhof. - Nie jest pan w tej sprawie sędzią, a nawet gdyby pan był, to nie Blessing jest tym, który byłby sądzony. Prosimy pana o pomoc po prostu dlatego, aby odzyskać dokumenty, które - mamy przekonujący dowód, aby w to wierzyć - Himmel ukraść z ośrodka.

— Jak mogę pomóc?

— Dziękuję panu, Herr Oberleutnant. Spodziewałem się, że to właśnie pan powie.

— Wcześniej - wtrącił Blessing.

— Blessing! - westchnął starszy mężczyzna - czasem zaczynam wierzyć, że robienie sobie wrogów ze świadków jest pana jedynym twórczym wysiłkiem.

Zwrócił się znowu do Lówenherza.

— Ubiegłej nocy Unteroffizier Himmel miał ten dokument w swojej szafce przy łóżku. Dziś rano, gdy Blessing przyszedł do jego kwatery, aby go aresztować, nie zastał go tam. Nie było też dokumentu. Jediną osobą, jaką spotkał dziś rano, był pan...

— O co podejrzewa pan Himmla?

— Istnieje wiele możliwości: mógł nauczyć się treści dokumentu na pamięć, a następnie go zniszczyć, mógł go zakopać tak, aby po niego wrócić albo mógł go wręczyć współnikowi przestępstwa.

— Pan chyba nie myśli poważnie, że Himmel jest szpiegiem. Starkhof wzruszył ramionami.

— Jak uzyskał dostęp do dokumentu? - zapytał Lówenherz.

— Sądźmy, że przypadkowo. 14 miał stawić się na okresowe

badania lekarskie. Tamtego rana do sekcji lekarskiej przyszło osiemnastu podoficerów. Himmel był dziesiąty. Gdy lekarz wojskowy podpisywał jego kartę zdrowia, dokument był na biurku.

— To wygląda na przypadek - powiedział Lówenherz.

— Ja tak nie uważam - oświadczył Blessing.

— A ja zgadzam się raczej z Lówenherzem - wypowiedział się Starkhof. - Przy obecnym stanie dowodów trudno byłoby wytoczyć sprawę.

— W ogóle nie można wytoczyć sprawy, chyba że Blessingowi za nieudolność.

- Jest pan surowy, Herr Oberleutnant - stwierdził Starkhof - ale muszę powiedzieć, Blessing, że wyjdzie pan tu raczej na dumia, a tymczasem pańscy szefowie prawdopodobnie oczekują, że młody oficer SIPO potrafi wykołować Feldwebela Abwehry starej daty, takiego jak ja.

— Zaryzykuję - odparł Blessing.

— Jest jeszcze ten wojskowy lekarz - stwierdził Starkhof w zamyśleniu. - On także okazał niedbałość. Tajne papiery powinny być w sejfie.

Zauważył wyraz twarzy Lówenherza.

— Mniejsza z tym. Jeśli zostanie schwytany, a papiery odzyskane, nie będzie prawdopodobnie potrzeby wciągać do tego któregokolwiek z kolegów Himmla lub wyższych oficerów. Czy pan mnie słyszy, Herr Oberleutnant?

— Słyszę.

— Wspaniale. Młody Blessing i ja prowadziliśmy dziś rano poszukiwania wzdłuż drogi okrężnej, a następnie zawróciliśmy na końcu ogrodzenia i wróciliśmy tą samą drogą. Niestety, tam nic nie ma. Cieszy mnie, że przejmuje się pan losem tego lekarza. Czarujący człowiek, jest w nim coś z arystokraty - uśmiechnął się. - Gdyby tylko nie miał tego nieszczęsnego, austriackiego „akcentu.

— Dokąd mnie pan zabiera?

— Zabierać pana? Mój Boże, nigdzie pana nie zabieramy Oberleutnancie. Pan ma swoje obowiązki wobec Trzeciej Rzeszy tak jak i my, ale jeśli może pan nam poświęcić trochę czasu, to wstąpmy do Kommandeura, który był uprzejmy zainteresować się naszym problemem.

Lówenherz spojrział uważnie na pomarszczoną twarz mężczyzny. Starkhof oddał spojrzenie chłodno, z pogardą dla całego świata. W swoich posiadłościach w Prusach Lówenherz zauważył ten sam pobłażliwy sposób zachowania u starszych pracowników rolnych i leśnych. Była to zaleta, jakiej szukało się zatrudniając lub awansując takich ludzi. Mieli ją niektórzy policjanci, a także sędziowie sądu najwyższego. Nabywało się jej mając do czynienia z wieloma ludźmi i ucząc się przewidywania z góry ich reakcji. Brało się to z pewnością, że każdy zawsze posłucha sugestii, co uczyni rozkazy zbędnymi.

Weszli do budynku operacyjnego, Blessing prowadził. Kommandeur musiał zauważyć ich przez okno, ponieważ wyszedł na powitanie. Był ubrany w wysokie buty, bryczesy i szarą mundurową koszulę. U jego szyi wisiał Krzyż Rycerski.

— Mój pocziwy Untersturmfuhrer Blessing - odezwał się - i pan

doktor Starkhof.

— Heil Hitler - powiedział Blessing.

— Heil Hitler - odpowiedział Kommandeur.

- Heil Hitler - - powiedział Starkhof z uśmiechem zdejmując kapelusz. Major Peter Redenbacher włożył mundur i zapiął guziki. Miał trzydzieści trzy

lata i według norm dla pilotów myśliwskich był stary. Dowodził składającą się z dziesięciu samolotów eskadrą Lówenherza oraz dwiema innymi eskadrami znajdującymi się na lotnisku Kroonsdijk. Pomimo licznych ran odniesionych w walkach prezentował się jeszcze wspaniale. Niski wzrost i kilka sztucznych zębów stanowiło wspólną cechę tych, co wyrastali w Niemczech objętych blokadą podczas I wojny światowej. Potężne ramiona odziedziczył po ojcu, hutniku z Essen, a jasne, niebieskie oczy i usta o pełnych wargach po swojej ciężko pracującej Mutti. Grube, muskularne nogi rozwinął jako nastolatek dzięki sześćdziesięciokilometrowej jeździe na rowerze w weekendy do klubu szybowcowego DLV. Przez większość weekendów ciągnął tylko liny kołowrotu ustawiając jedyny szybowiec klubu lub pomagając w budowie drugiego. Mała blizna, widoczna pod jego krótko obcięzonymi blond włosami, datowała się od czasu niezbyt udanego lądowania na Wasserkuppe, na nagim płaskowyżu Renu. Tamtego roku zdobył nagrodę w Krajowych Mistrzostwach Szybowcowych. Mały palec lewej ręki miał trwale wygięty po ciosie komunistycznego buta, gdy trzymał sztandar hitlerowski w Essen w 1927 roku. Nienawiść, która rozwinęła się u niego w chęć zabijania, narodziła się w marcu 1923 roku, kiedy ujrzał, jak francuski oficer armii okupacyjnej bije jego ojca i wuja za to, że nie zdjęli kapeluszy w czasie przejścia wojskowego konduktu pogrzebowego. Zimne, ufne spojrzenie datowało się od 1934 roku, kiedy został jednym z dwudziestu wybrańców spośród czterech tysięcy kandydatów do szkoły Deutsche Verkehrsflieger w Brunzwicku. Ta szkoła pilotów komunikacyjnych była tajnym ośrodkiem szkolenia dla hitlerowskiego lotnictwa wojskowego. Kiedy Luftwaffe narodziła się oficjalnie w 1935 roku, Peter Redenbacher popisywał się na dwupłatowcu Biicker Jungman nad głowami Hitlera, Góringa, korespondentów prasy zagranicznej i szalejącego z radości niemieckiego tłumu widzów. Miał trwale blizny na przedramieniu, ponieważ w małej

wiosce hiszpańskiej, nad którą republikański Rata zestrzelił jego He51 w listopadzie 1936 r nie było doktora. Lądował tam na spadochronie. Rosyjski pilot przeleciał tuż nad dachami domów i pokiwał do Redenbachera z otwartej kabiny; samolot był tak blisko, że zobaczył szeroki uśmiech i starą, skórzaną kominiarkę pilota - kobiety. Nikt nie chciał mu wierzyć aż do stycznia 1937 roku, kiedy w pobliżu Madrytu zestrzelono wysokiej rangi Rosjanke.

W Szkole Pilotów Myśliwskich w Schleissheim jeden z jego uczniów wykonał po starcie skręt nie mając odpowiedniej prędkości i rozbił doszczętnie stary dwupłat He51, który spłynąłby nieuszkodzony na ziemię, gdyby puścić wolno stery. Była to bardzo tragiczna katastrofa. Uczeń zmarł, a Redenbacher spędził sześć tygodni w szpitalu. Nigdy nie przyznał się do tego, nawet żonie, że gdy jest zimno, to podstawa kręgosłupa boli go jak diabli do dziś.

Cztery zwycięstwa w Hiszpanii, czternaście na froncie wschodnim i strącenie trzydziestu dwóch francuskich, brytyjskich (RAF) i amerykańskich (US) samolotów dało mu Krzyż Rycerski z liśćmi dębowymi oraz przyniosło sławę. Zestrzelony nad morzem przez amerykańskiego P-47 zeszłego maja, spędził cztery straszne godziny na wzburzonym morzu, siedząc w jednoosobowej dinghy jak kura na grzędzie. Był za stary, aby przyjąć taką karę bez odcierpienia jej następstw. Komisja lekarska uznała go za niezdolnego do latania, pomimo protestów Redenbachera. Poradzono mu, aby zajął się pracą sztabową.

Kiedy został zmuszony spędzić resztę życia przy biurku, poprosił Lówenherza o przejęcie dowództwa jako Gruppenkommandeur. Był on jednym z jego uczniów w szkole myśliwskiej i to jednym z najlepszych. Redenbacherowi było przyjemnie mieć młodego arystokratę w swojej grupie, ponieważ narodowy socjalizm oznaczał koniec klas i różnic społecznych. Podczas wszystkich wojen ostatniego stulecia zaledwie około setki niemieckich podoficerów zostało oficerami. Na tej wojnie promowano na oficerów tysiące szeregowych. W tej chwili było dwunastu hitlerowskich generałów awansowanych z podoficerów. Redenbacher był bardzo dumny, że jest członkiem Wehrmachtu. Stać się dobrym hitlerowcem było prostą sprawą.

Redenbacher spoglądał przez pokój na mężczyzn. Młody oficer SIPO



był dobrym hitlerowcem. Nie było innego wyjaśnienia. Tylko oddany, młody oficer mógł być szczęśliwy wykonując swoje obowiązki jako skromny Feldwebel zaangażowany do czarnej roboty. Stary człowiek z Abwehry był niepewną personą. Dlaczego nie został nigdy promowany do stopnia oficerskiego? Ta cyniczna, stara świnia przeżyła, podobnie jak wielu ludzi w „dzisiejszych Niemczech, unikając konfliktów.

Major Redenbacher chodził wkoło swego biurka, ale nie usiadł za nim ani nie zaprosił innych do zajęcia miejsc. Zresztą były tylko dwa krzesła. Wymalowane na biało biuro było puste i surowe: jedyną ozdobę stanowił oprawiony w ramki portret Fihrera, drugi Reichsmarschalla Góringa i mała fotografia Redenbachera z żoną w szpalerze flag hitlerowskich w dniu ich ślubu.

Blat biurka majora był czysty i funkcjonalny. Denko tłoka ze zniszczonego dwupłatownca Heinkel połyskiwało obok bibularza. Byłaby z niego dobra popielniczka, gdyby ktokolwiek ośmielił się tutaj zapalić. Tu natomiast służyło jako przycisk do papierów, choć żadne akta nie oczekiwały na załatwienie. Tace były puste, kałamarze pełne, a zaostrzone ołówki leżały równiutko. Major wybrał jeden z nich i postukał o blat biurka w zamyśleniu. Podniósł oczy na Lówenherza.

- Co myślisz o Himmlu, Wiktorze?

Lówenherz stanął poprawnie na baczność, trzymając swoją czapkę mocno pod pachą.

- Ma za sobą sześć lat z doskonałą opinią, panie majorze.

Lówenherz opowiedział przebieg służby Himmla, który łatwo zapamiętał, bowiem bardzo przypominał mu jego własny.

— Ale czy jest lojalny, Wiktorze? Czy jest prawdziwym narodowym socjalistą?

— Tak, Herr Major.

Blessing stanął na baczność z wypisanymi na twarzy słowami.

— Za pozwoleniem, Herr Major, sprawę lojalności najlepiej zostawić do oceny mojemu wydziałowi.

— Jestem pewny, że mój Oberleutnant miał podstawy zaświadczać o lojalności Unteroffiziera Himmla - powiedział Redenbacher. Skinął do Lówenherza.

— Himmel był jednym z pilotów przydzielonych w marcu 1941 roku

na trzy miesiące do eskadry kurierskiej Fihrera. Cały personel został zbadany pod względem lojalności przez Kommandostab RF-SS.

Na moment zapanowała kompletna cisza.

— Dlaczego do diabła nie powiedział mi pan tego, człowieku? - zapytał Starkhof z gniewem. Redenbacher podziwiał sposób, w jaki Lówenherz spowodował, że facet stracił panowanie nad sobą.

— Nikt mnie o to nie pytał, Herr Doktor.

— To było ponad dwa lata temu - powiedział Blessing.

— Jeśliby pojawiły się jakieś zmiany w zachowaniu Himmla, zostałbym poinformowany - rzekł Redenbacher.

— Nawet nasi ludzie ze służby bezpieczeństwa z Kommandostab nie są nieomylni - upierał się Blessing wyjmując z kieszeni złożone papiery. - Pozwólcie panowie, że wam przeczytam urywek listu napisanego przez Himmla...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejść! - zawołał Redenbacher.

Wszedł Leutnant Kokke. Poza innymi obowiązkami był oficerem technicznym Grupy. Trzymał w ręce porządnie nakreślony plan szkolenia na nadchodzący dwunastotygodniowy okres.

- Przepraszam panie majorze - powiedział. - Przyjdę później. Przejechał dłonią swoje czarne, rozczochrane włosy.

- Wejź Kokke - powiedział Redenbacher. Kokke był doskonałym przykładem nowego porządku. Z tygla, do którego narodowy socjalizm wlał stare Niemcy, wyszli ludzie jak on sam i Kokke. Dawniej nie mieliby żadnej szansy zostać zawodowymi oficerami. Kokke chciał zostać muzykiem, ale Redenbacher rozpoznał w nim urodzonego pilota. Jeszcze wiele musi się nauczyć - do doświadczenia nie ma drogi na skróty - ale Kokke mógł zostać wielkim lotnikiem przyszłego Reichu. Nawet teraz, wyjąwszy Staffelkapitanów czyli dowódców eskadr, był jednym z najlepszych pilotów w Grupie. Miał najwyższe noty z nawigacji, latania na przyrządy i ze znajomości silnika: w teorii i praktyce. Przypominał Redenbacherowi poplamionych oliwą dawnych pilotów, świeżo przybyłych do domu z pierwszej wojny, z medalami i nieprawdopodobnymi opowiadaniem, pijących dużo i odznaczających się wisielczym humorem.

Wielu ludzi uważało, że Redenbacher jest zbyt miękki dla Kokkego, ale działo się tak dlatego, że wiedział, jak krótko trzyma go Lówenherz. Patrzył teraz na nich: na młodego Lówenherza w białej bluzie, stojącego na baczność z czapką pod pachą jak wycięty z żurnala i na Kokkego,

rozluźnionego i uśmiechniętego, w koszuli wzdymającej się pod krótką kurtką lotniczą i z okruchami chleba na krawacie.

— Czy wiesz Kokke, co sprowadza tu tych oficerów? - zapytał Redenbacher.

— Nie, Herr Major. Czy to coś w związku z latrynami?

— Nie - odparł Redenbacher. - Człowiek, którego dotychczas znałeś jako Feldwebela Blessinga, nadzorcę miejscowych robotników cudzoziemskich, jest oficerem Sicherheitspolizei.

— Ach, tak! - powiedział Kokke z szatańskim uśmiechem. - Gratuluję, Blessing.

Powiedział to tak, jakby także dla Blessinga była to nowina.

Blessing trzasnął obcasami. - Unteroffizier Himmel ukradł pewne dokumenty - wyjaśnił Redenbacher. - Przynajmniej tak się twierdzi. Rozmawiał tutaj z Herr Oberleutnantem na krótko przed śniadaniem. Siedziałeś przy oknie, Kokke. Może widziałeś Himmla dziś rano?

— Rozmawiał z panem porucznikiem Löwenherzem.

— To już powiedziałem, ale czy spotkał jeszcze kogoś?

— Czy nie spotkał Blessinga?

— Nie, ja czekałem w jego kwaterze, by go aresztować - rzekł Blessing.

— Ależ Blessing, czy to nie ty skradałeś się przez las? Przysięgłbym, że to byłeś ty. Twoje uszy, jeśli pozwolisz, że tak powiem, i ogromny, tłusty zadek bardzo podobny do twojego, minęły okno kasyna tuż koło dziesiątej. Zwróciłem się do mego przyjaciela Beera i powiedziałem: „Słuchaj Beer, może mnie oczy zawodzą, ale czy nie przypomina ci to odstających uszu i wielkiego zadka naszego przyjaciela Feldwebela Blessinga, który czyścić ubikacje?”. Wówczas oczywiście nie wiedziałem, że Blessing jest oficerem.

Kokke przerwał, a major Redenbacher nie powiedział nic; otworzył z rozmachem plany szkolenia, które przyniósł Kokke. To dochodzenie było dla niego odrażające. Wszyscy czekali na jego komentarz. Plotka krążąca po eskadrze głosiła, że Redenbacher nie czuł się najlepiej od czasu przymusowego wodowania w maju ubiegłego roku. Niektórzy mówili, że zostanie skierowany do innej, drugoliniowej jednostki. W takim przypadku, myślał Kokke, ten pozbawiony poczucia humoru i nadęty Löwenherz obejmie prawdopodobnie Grupę. No cóż, ostatecznie był dobrym pilotem,

cholernie skutecznym, sprawiedliwym. Mogło być gorzej. Jednak w oczach Kokkego nigdy nie zastąpi Redenbachera. Major to twardy weteran wojenny, gotów złamać każdy przepis dla swoich żołnierzy. Co więcej, w przeciwieństwie do Lówenherza miał poczucie humoru. Redenbacher nadal milczał.

- Blessing - zaczął starszy pan z Abwehry - jeśli rzeczywiście rozmawiałeś z Himmlem, to mogłeś mi o tym powiedzieć.

Blessing był oburzony.

— Pan chyba nie bierze poważnie słów tego kłowna.

— Czy nie przypominasz sobie Blessing, że pies próbował cię ugryźć - zapytał Kokke.

— Jeśli widziałeś Himmla z psem, to dlaczego to ukrywasz - odezwał się surowo starszy pan.

— Pewnie, że ich widział - rzekł Kokke. - Popatrzcie na jego buty, no spójrzcie sami.

Nawet major Redenbacher odwrócił wzrok od planów i spojrział nieruchomymi, szeroko otwartymi oczami w dół, na mokre od trawy buty Blessinga.

- Właśnie tam pies Oberleutnanta nasikał na jego buty. Wiecie, że ten pies wszędzie leje i to beztraskie zwierzę musiało pomylić Blessinga z drzewem.

Blessing zdawał sobie sprawę, że Kokke go prowokuje, ale trzymał nerwy na wodzy i nawet udało mu się zdobyć na cień uśmiechu. Zależało mu, aby Redenbacher nie pomyślał, że jest mściwy lub niepohamowany.

Starkhof zdjął okulary gestem, który kiedyś stanowił część jego sądowej pozy.

— Czy Himmel miał jakąś paczkę? - zapytał. - Była formatu 12 x 15 cali i miała brązową okładkę.

— Trudno mi sobie przypomnieć - przyznał Kokke. - Jak już wspomniałem, był duży ruch.

— Dziękuję panu, Kokke - powiedział Starkhof.

— Blessing - zapytał Redenbacher - jaki ma pan dowód przeciw podoficerowi Himmlowi?

Blessing nadal trzymał w ręku list Himmla. Powiedział:

— To jest list Himmla do jego ojca, datowany 27 maja 1943 roku. -

Przebiegał go wzrokiem mruczając. „Weekend... dobrze i szczęśliwie... dziękuję ci za chleb domowej roboty...”. - O właśnie, proszę. - Znalazłszy miejsce, którego szukał, Blessing zmienił głos na surowy, oficjalny. - „Nie niepokój się, gdy angielskie bombowce przedostają się do nas, ponieważ to także jest częścią planu Fiihrera. Babcia i kuzyn Paul musieli zginąć, a nasze miasta muszą lec w gruzach, jako część wielkiego, strategicznego planu, którego mój słaby umysł w ogóle nie może pojąć. Właściwą miarą geniuszu naszych najwyższych dowódców jest to, że pozwalają Anglikom i Amerykanom zrzucić na nas bomby w czasie, gdy przegrywają wojnę. Jakimi głupcami muszą być Rosjanie myśląc, że wygrywają wojnę tylko dlatego, że posuwają się na wszystkich frontach? Jakimi prostakami okazali się Anglicy, którzy wpadli w pułapkę niszcząc Afrika Korps i zajmując całą północną Afrykę, podczas gdy wszystko to nasz ukochany Fuhrer w ten sposób zaplanował. Wierz w Fiihrera, on jest pełen niespodzianek”. - Blessing podniósł wzrok triumfująco.

— No więc? - zapytał. Jego słowa zaszokowały obecnych.

— No więc co, Blessing? - zapytał Kokke. - Czy to nie wspaniały list?

— Zdradziecka świnia - odparł Blessing. - Sarkazm czuć na miłę.

— Jaki sarkazm? Czy pan też dostrzegł tu sarkazm? - zapytał Kokke Starkhofa.

— Styl pisania może być zwodniczy - odparł starszy pan.

— Blessing, może byś lepiej wskazał, które ustępy wydają ci się niedorzeczne i niewiarygodne - powiedział Kokke.

Blessing znów spojrzał na list. Nikt się nie odezwał. Samoloty krążyły w powietrzu i podchodziły do lądowania. Jeden z nich podszedł ślizgiem nad pas startowy nr 25, a w momencie, gdy już miał lądować, dodał gazu i wzbił się w powietrze do ponownego okrążenia. Nagły hałas silników pracujących pełną mocą wstrząsnął szybami. Jeszcze trzy samoloty uczyniły to samo, zanim major Redenbacher powiedział:

- Sądzę, że lepiej, aby mi pan powiedział, jaki inny dowód ma pan przeciw Himmlowi.

Blessing znów stanął na baczność.

— Skradziony dokument był w jego szafce ubiegłej nocy i poprzedniej też.

— Skąd pan to wie?

— Doniósł mi mój personel.

— Rozumiem - powiedział Redenbacher. - Ilu ludzi z pańskiego personelu cywilnego pracuje dla Sicherheitspolizei?

— Za przeproszeniem, Herr Major, ale nie mogę powiedzieć.

— I mają klucze od nocnych szafek?

— Tak, Herr Major.

— Moja kwatera jest sprządana przez pańskich cywili. Czy mają także klucz do mojego nocnego stolika?

Blessing nie odpowiedział. Redenbacher dodał:

— A co z Dowództwem Jednostki? Czy pański personel bada moje akta i przegląda biurko tutaj, w tym biurze?

— Nieregularnie, Herr Major.

— Tylko wtedy, gdy ich pan poinstruuje, aby to zrobili, co Blessing?

— Za przeproszeniem, Herr Major, powinniśmy ograniczyć rozmowę do aresztowania tego szpiega, Himmla. Proszę o pozwolenie zabrania go do więzienia Wehrmachtu w Hadze, gdzie przygotowuje się przeciw niemu sprawę.

— Przygotuje się? - zagrzmiał Redenbacher z oburzeniem. - To są hitlerowskie Niemcy 1943 roku, Blessing, a nie jakaś przeklęta republika południowoamerykańska. Pracujemy według zasad prawa, a nie na fragmentach mozaiki, jaką pan układa po zaspaniu dziś rano, kiedy powinien pan dokonać aresztowania. Moi żołnierze mają prawo do wolności, chleba i przepisów prawnych. Jeśli pan chce pozbawić moją jednostkę bojową, będącą w gotowości frontowej, jej najbardziej doświadczonych pilotów, musi pan ze swej strony wykonać odpowiednią pracę.

— Za przeproszeniem, Herr Major, zwalczanie komunistycznych szpiegów i zdrajców jest również pracą pierwszej linii frontu. Pańskim obowiązkiem jest pozwolić mi zabrać Himmla do więzienia, bo tam jest jego miejsce.

— Nie potrzebuję, aby mi pan przypominał, Blessing, co jest moim obowiązkiem - powiedział Redenbacher - a jeśli chodzi o zwalczanie komunistów, to robiłem to na ulicach Essen, kiedy pan moczył się jeszcze w łóżku.

— A więc odmawia pan zezwolenia na zabranie więźnia? - zapytał

Blessing.

— Nie, nie, nie Blessing - przerwał Starkhof. - Herr Major przedstawił jasno swoje stanowisko. I jeśli mogę się tak wyrazić, bardzo rozumne stanowisko.

Skinął w stronę majora Redenbachera i uśmiechnął się.

- On czuje, że działa pan w nieprzemyślanym pośpiechu i chce pana powstrzymać od zrobienia głupstwa. Radzi panu dostarczyć więcej dowodów, przygotować sprawę bardziej dokładnie i zgadzam się z nim. W tej chwili naprawdę nie mógłbym pana poprzeć, Blessing. Sądzę, że lepiej, aby pan zostawił w spokoju tego Himmla po zapewnieniu Kommandeura, że ograniczy swobodę jego poruszania do terenu bazy.

Starkhof dobrze wybrał moment. Jego poprzednie milczenie umożliwiło mu teraz odegranie roli arbitra.



Kilkusekundowe milczenie wystarczyło Blessingowi, aby zdał sobie sprawę, że został wymanewrowany przez tego chytrego faceta z Abwehry.

— Heil Hitler! - zawołał głośno, stukając obcasami przy salutowaniu.

— Heil Hitler! - odpowiedzieli wszyscy w pokoju, ale głos Kokkego był bardziej przenikliwy i głośniejszy od innych. Blessing wyszedł przed starszym panem, który nie spiesząc się ścisnął dłonie wszystkim po kolei. Kiedy doszedł do drzwi, odwrócił się i uśmiechnął do nich.

— Wy, młodzi ludzie, mieliście swój ubaw z Blessingiem, co może w konsekwencji spowodować, że sprawę Himmla poprowadzę wyłącznie ja. Jeśli tak się stanie panowie, kiedy powrócę, będziemy musieli porozmawiać bardziej poważnie niż dzisiaj. Zaczniemy od początku. I musicie być ostrożni w tym, co powiecie, ponieważ, jak powiadają prawnicy: „decipi quam fallere est iustus”.

Uśmiechnął się znowu.

— Herr Oberleutnant Lówenherz przetłumaczy. Zamknął drzwi.

— „Bezpieczniej jest być zwodzonym niż zwodzić” - przetłumaczył Lówenherz.

— Co za indywiduum - odezwał się Kokke.

— To człowiek Abwehry - stwierdził Lówenherz. - Miłość między nią a SIPO nie rdzewieje.

— Wiktorze - powiedział Redenbacher - czy nie sądzisz, że on nalegał na niezwłoczne aresztowanie młodego Himmla jedynie po to, by przejąć w ten sposób kontrolę nad sprawą?

— Tak, proszę pana, też tak sądzę. Zdaję sobie teraz sprawę z tego, że moja rozmowa z nim w drodze tutaj była w znacznym stopniu poświęcona nastawieniu mnie przeciwko Blessingowi.

— Stary lis - stwierdził Redenbacher. - Gdybym choć przez chwilę pomyślał, że on rozmyślnie sabotuje pracę Sicherheitspolizei, byłbym o tym zameldował.

— A ja nie pomógłbym tym skurczybykom aresztować nawet mojego najgorszego wroga - zamruczał Kokke.

Wielu mieszkańców Altgarten pamiętało miasto sprzed pół wieku. W ciągu tych lat ciasne małe domki, pobudowane dla ludzi kładących tor kolejowy, stały się ruderami i choć każdy próg lśnił bielą, a firanki w oknach były czyste i wyprasowane, niewielu miało odwagę przejść się przez miasteczko po zmroku. W gazowni było za mało miejsc pracy, aby pomóc biedocie Altgarten i bezrobotni wystawali na rogach ulic czekając na powrót żon po szorowaniu podłóg, praniu i gotowaniu w obcych domach. Także ziemia nie dawała szans na poprawę ich rozpaczliwego położenia. W tamtych dniach wilgotna wiosna oznaczała nieuchronnie głodną zimę.

Dziś, w 1943 roku, burmistrz mógł spoglądać na kwitnące miasto, w którym żadne ręce nie próżnowały, choć wielu mężczyzn przebywało w odległych stronach świata. Widywał ich na korytarzach ratusza, ponieważ żołnierze przychodzili tu, by podstemplować i podpisać różne dokumenty. Miody Tornow przyjechał właśnie do domu na urlop. Był teraz Kapitanleutnantem. Wyglądał elegancko w granatowym mundurze marynarskim ze złotymi paskami wokół mankietów i w zgrabnej, lubianej przez kapitanów U-botów, letniej czapce z białym denkiem. Ojciec Tomowa był właścicielem drukarni w Altgarten, miał służbę, wspaniały dom i szybkiego mercedesa.

- Halo, Tornow - powiedział burmistrz, mijając go w drodze na obiadu Frenzla. - Doskonała pogoda dla was, marynarzy, co?

Hans Tornow przyzwyczał się do takich uwag. Już dawno przestał wyjaśniać, że jest księgowym w Wydziale Plac w Hamburgu, w ponurym, starym gmachu o maleńkich oknach i niedostatecznym oświetleniu. Jeśli chodzi o morze, to nie cierpiał tych chwil, gdy musiał zabierać wypłatę na okręty zakotwiczone na Elbie, ponieważ nawet najmniejsza fala przyprawiała go o mdłości.

- Tak, panie burmistrzu, to pogoda dla marynarzy - odpowiedział.

Całe Altgarten zazdrościło tym obywatelom, którzy wybrali obecny weekend na rozpoczęcie swych urlopów, ponieważ pogoda zapowiadała się wspaniała. Pomimo grzmotów, czarne chmury przeszły i zrobiło się słonecznie. Przez ponad trzy tygodnie nie spadła na miasto ani kropla deszczu. Powietrze było rześkie i suche. Wilgotność w ostatnim tygodniu nie przekroczyła czterdziestu pięciu procent, a nawet spadała aż do trzydziestu. Stare centrum Altgarten było zbudowane głównie z drewna, które wyschło i

skurczyło się. Niebezpieczeństwo pożaru stawało się bardzo realne.

Wiatry do piętnastu mil na godzinę rozdmuchują płomienie dużego pożaru, ale szybszy wiatr może zrodzić klęskę nawet z małego ognia. Tego dnia porywy wiatru szły od pól kartoflanych i sadów, a najsilniejsze dochodziły do osiemnastu mil na godzinę. Jeśli chodzi o niebezpieczeństwo pożaru, to miasto Allgarten niewiele miało sobie równych.

Budynki przy Dorfsrassc były wysuszone i zakurzone, a czerwone niegdyś, trzepoczące na wietrze flagi ze swastyką wyblakły od światła słonecznego i były teraz blad różowe. Wiele pojazdów poruszających się po drogach ciągnęły konie, przyśpieszając bieg w miarę zbliżania się do celu podróży. Troskliwy woźnica wyniósł z lokalu Frenzla wodę dla swoich dwóch siwków, które przywiozły piwo i obserwował, jak chciwie piły.

Pożar fascynuje ludzi i straż pożarna nigdy nie cierpi na brak rekrutów. Johannes Ufa zawsze chciał być strażakiem. Była to ambicja, która ustąpiła krótkotrwałemu pragnieniu zostania księdzem, gdy miał lat dwanaście. W 1935 roku, mając lat osiemnaście, Johannes zaciągnął się do straży pożarnej w Altgarten. Pracując zawzięcie, ten inteligentny syn właściciela piwiarni awansował, aż w roku 1942 został wybrany do oddziału straży w Kolonii. Pełnił tam służbę, gdy w nocy 30 maja 1942 roku miasto to zostało zaatakowane przez prawie tysiąc bombowców RAF. Podczas tego i innych ataków Johannes był świadkiem strasznych scen. Faktem jest, że udzielił ostatniej pociechy więcej ludziom niż jakikolwiek kapłan w Altgarten. W czasie jednego z nalotów bombowych ubiegłej zimy odłamek pocisku artyleryjskiego przebił mu płuco. Przez miesiąc przebywał w szpitalu. Jeszcze teraz oddychanie w dymie sprawiało mu ból, ale nigdy o tym nie mówił.

Przynależność do jakiegokolwiek organizacji hitlerowskiej w ogóle nie wchodziła u Tlfy w rachubę. W hitlerowcach widział prostackich, bawarskich osiłeków, jacy uczęszczali do baru jego ojca i wszczynali bójkę w celu uniknięcia płacenia rachunku. Jeśli już musiał brać udział w ich wojnie, to służba w straży pożarnej pozwalała mu walczyć jedynie z jej skutkami.

Był dwudziestosześcioletnim weteranem z licznymi bitewnymi ranami, ciemnookim mężczyzną o krótkich włosach, które starannie zaczesywał i o okazałych wąsach, z których był bardzo dumny. Zęby miał równe i białe, a woda, z którą miał wiele do czynienia, również jego dłonie

uczyniła białymi. Wysokie stanowisko pozwoliło im stać się tak miękkimi jak dłonie dziewczyny. Ale ciało miał silne i kondycję fizyczną doskonałą, jeśli pominąć płuca. Na krótkich dystansach był wciąż nie do pokonania i wygrał wiele zakładów ścigając się z młodszymi strażakami po drabinie na szczyt ćwiczebnej wieży.

Był Gruppenfuhrerem, dowódcą najlepszego i najnowszego wozu w Altgarten. Siedział obok kierowcy i kierował siedmioosobową załogą, kiedy uwalniali Pieszycy spod autobusów, wyciągali porażonych prądem pomiędzy kabli Pod napięciem, przecinali metalowe pręty by uwolnić uwięzione w nich dzieci, gasili pożary.

Dzisiaj strażnica była spokojna i cicha, a słońce lśniło na wypolerowanych, mosiężnych okuciach węży i na silnikach. Aparaty tlenowe, rękawice i stalowe hełmy były porządnie ustawione. Pod każdym wisiały metalowe krążki z literami, umożliwiającymi rozpoznanie w dymie i podnieceniu pożarowym ludzi obsługujących węże, członków oddziałów uderzeniowych i wodnych.

Jak dotąd alarmu nie było. Johannes Ufa prowadził szkolenie z pełnym stanem osiemnastoosobowej straży pożarnej Altgarten na temat różnych typów bomb RAF. Na stole znajdowały się imitacje małego, fosforowego kanistra, trzydziestofuntowej bomby fosforowej, dwustupięćdziesiętofuntowej bomby zapalającej napełnianej cieczą (benzol i guma) i czterofuntowych, sześciokątnych zapalających bomb wiązkowych.

- Trzydziestofuntowa bomba fosforowa ma 810 mm długości. Rozpoznać ją po ciemnoczerwonym kolorze i szerokim, jasnoczerwonym pasku dookoła korpusu - Johannes Ufa czytał głośno z instrukcji. Uśmiechnął się. - No, chyba że wybuchnie.

Niektórzy strażacy zaśmiali się nerwowo.

— Kawalki płonącego fosforu lecą na trzydzieści metrów lub wyżej i opadają w dół przez piętnaście sekund, więc nie biegnijcie w ich kierunku zbyt szybko. Jeśli choćby najmniejszy kawałek płonącego fosforu spadnie gdziekolwiek na wasze ubranie, to musicie je natychmiast zrzucić i zamoczyć dokładnie w wodzie, a następnie wszystko zeskrobać, w przeciwnym bowiem razie zapali się znowu zaraz po wyjęciu z wody.

— Jak to zrobić w czasie nalotu? - zapytał jeden ze strażaków.

— Nie piszę tych podręczników, ja je tylko czytam. Przerwał.

— Po prostu nie złapcie tego diabelstwa na siebie.

Potarł nerwowo wąsy. Widywał bomby fosforowe, które zawsze go przerażały.

Niektórzy słuchacze robili notatki. Każdy z nich mógł zostać skierowany do straży pożarnych Zagłębia Ruhry i dlatego powinien wiedzieć, jak wygląda wojna.

- Koniec wykładu - oznajmił Johannes Ufa, spoglądając na zegarek. Starszy grupy postawił strażaków na baczność, a kiedy Ufa wyszedł, zwolnił ich na obiad. Siedmiu mieszkało dostatecznie blisko, aby zjeść w domu, więc pośpieszyli do szopy, gdzie przechowywali swoje rowery.

Siedziba straży znajdowała się w starej części Mönchenstrasse. Dwaj młodzi żołnierze Waffen SS minęli ją na rowerach w drodze do sklepów przy Dorfstrasse. Bliźniacy Scheske mieli dopiero po osiemnaście lat i jeszcze miesiąc temu nie byli nigdy dalej niż pięć mil od rodzinnego miasta Insterburg nad Pregolą, w odległej części Prus Wschodnich. Tutaj, na zachodnim krańcu rodzinnego kraju, tak blisko Paryża, Brukseli i Amsterdamu, o których do niedawna czytali tylko w szkolnych podręcznikach, było tak wiele do zobaczenia. Nawet ta rowerowa przejażdżka do Altgarten, celem przywiezienia żyletek dla dowódcy warty, była wystarczająco ciekawa dla obydwu młodych chłopców, by zabrali swoje nowe aparaty fotograficzne „Exacta”.

Byli nieśmiali i nie - odpowiadali na docinki, jakie ich słowiańskie nazwisko wywoływało u świadomych rasowo SS-manów stacjonujących w obozie Wald Hotel. Wszystko, co dotyczyło nowych, hitlerowskich Niemiec, było przygodą. Tam, w domu, obaj byli główną podporą chóru Hitlerjugend, a na uroczystościach partyjnych wybierano ich zawsze do powiększania męskiego chóru SS. Niestety, w obozie w Altgarten nie było chóru. Mausi chciał się dowiedzieć, czy istnieje chór przy kościele Liebefrau, ale na szczęście Hannes w porę temu zapobiegł. Zrobiłby z siebie głupca, gdyby wyskoczył z tym w obecności innych członków SS.

Tak więc śpiewali teraz dziarsko jadąc na rowerach przez miasto. Była to piosenka, która często kończyła partyjne mitingi w domu.

„Gdy SS i SA

Maszerują w szyku, taratata,

Pewny jest ich krok,

Pewny jest ich chód.

Lewa dwa, trzy, cztery, każdy chce dołączyć.

I tak maszeruje się teraz przez każde miasteczko

A niemieckie dziewczyny marzą o nich dzisiaj,

Bo czarne SS i brunatne SA

Mają to, czym każdej sprawia się przyjemność

A jest to najpiękniejsza rzecz na świecie”.

Skończyli w bezbłędnej harmonii.

— Lepiej się pośpieszmy - powiedział Hannes - nie zdążymy na obiad.

— Co mamy kupić?

— Lekarstwo dla komendanta u drogerzysty, żyłetki dla dowódcy straży, a sobie chcę kupić film do aparatu.

— Jeśli zrezygnujemy z obiadu, to będziemy mogli zrobić kilka zdjęć starego rynku.

— Dobra jest. Nie jemy.

Starszy saksoński inżynier TENO° o nazwisku Ueberall, dla przyjaciół Fuchs, czyli lis - z powodu rudych włosów, teraz siwiejących, również zdecydował się zrezygnować z obiadu. Przeczekał, aż dwaj rowerzyści go miną, po czym przeszedł przez ulicę.

- Hitlerowcy - zamruczał cicho, gdy usłyszał, jaką pieśń śpiewali. Słyszał ją nieraz jako preludium do wielu burd, w których jego przyjaciele stawali zawsze przeciw śpiewakom. Było to wtedy, gdy Fuchs pracował jako mechanik silników wysokoprężnych w przedsiębiorstwie szkodniczym na Elbie. Jako młody człowiek był zapalonym związkowcem i nawet teraz obawiał się, że policja może znaleźć jego stare dokumenty i przeprowadzić dochodzenie.

Fuchs był olbrzymim mężczyzną o rękach siłacza i kwadratowej szczęce, ale jego piskliwy, saksoński głos nie pasował do tej postury. Nie lubił życia wojskowego bardziej niż ktokolwiek inny w batalionie budowlanym. W zeszłym roku paru wykwalifikowanych mechaników przeniesiono do pracy w fabryce, ale podanie Ueberalla odrzucono. Teraz oczekiwał jedynie wieczorów, kiedy mógł pograć w karty, ponieważ w wojsku była to rzecz najbliższa cywilnemu życiu. Bardzo lubił swoich dwóch przyjaciół, Gerda Bólla i Oberzugfuhrera Bodo Reutera, który nigdy

nie wykorzystywał faktu, że był starszym oficerem.

Fuchs Ueberall często rezygnował z obiadu i to prawie zawsze po to, by zagrać w skata. Wszyscy trzej mężczyźni zastanawiali się czasem nad tym, co mają ze sobą wspólnego poza podobnym wiekiem, wyglądem, brakiem rodzinnej odpowiedzialności i wiarą w wygraną następną partii.

- Ale - jak powiedział pewnego dnia Gerd - czyż nie dosyć jest mieć aż tyle wspólnego?

Kiedy wybiera się teren na lotnisko, nie musi być on płaski, ponieważ można go łatwo wyrównać. Decydującym czynnikiem jest odwodnienie. Mieszkańcy Little Warley wiedzieli, że pola ziemniaczane na wschód od miasteczka doprowadzały swe wody do Witch Fen. Ziemia między tym ostatnim a linią drzew jesionowych w The Warrens jest twarda, urodzajna i czarna jak węgiel. Jej podglebie jest wystarczająco mocne, aby wytrzymać ciężar samolotu bombowego. Nie było więc niespodzianką, gdy po wybuchu wojny zespoły pracowników Ministerstwa Lotnictwa dokonały oględzin tego miejsca i uznały je za nadające się na lotnisko Dowództwa Lotnictwa Bombowego. Potem zjawiły się maszyny do robót ziemnych, betoniarki i maszyny do wylewania asfaltu. Asfaltowobetonowa nawierzchnia w kształcie krzyża przecięła pola Warley, a wkoło niej wykonano drogę z okrągłymi stanowiskami dla każdego samolotu. Wykopano rowy ściekowe i dreny, założono wodociągi i przeciągnięto linie wysokiego napięcia. Kable teleksowe i telefoniczne pokryły całą okolicę. Półcyldryczne baraki z falistej blachy pojawiły się jak wyczarowane, stłoczone i pomarszczone słonie, chroniące się przed zimnymi, wschodnimi wiatrami. Zbudowano też hangary: czarne katedry, wyższe od wieży kościelnej i szersze niż cmentarz. Na koniec z chmur nadleciał dźwięk samolotu, a dziesięć minut później Warley Fen stało się rzeczywiście lotniskiem.

Podobna do skrzyni wieża kontrolna stała samotna, panując nad horyzontem aż po Witch Fen. Za wieżą znajdowało się kilkadziesiąt budynków, które mieściły wszystko co niezbędne do pełnienia służby: zbrojownię, rzeźnię, kino, gabinet dentystyczny, magazyn wyposażenia, pomieszczenie kontroli lotu, strzelnicę, fryzjera, dział instrumentów, areszt, kuchnię, pokój z link trenerem”, dział meteorologiczny, salę odpraw nawigatorów, blok operacyjny, dział fotograficzny, kwatery dla rodzin oficerskich, budynek radarowy, izbę chorych, sekcję dalekopisów, dział rentgenowski, barak YMCA i pomalowany w pasy punkt kontroli lotniczej, później założono również ogród warzyny i zbudowano obszerne chlewnie.

Przy wejściu ustawiono tablicę z namalowanym napisem „RAF Station Warley Fen”. Znajdujące się tam drewniane pomieszczenie, pomalowane na



czerwono-biało, ozdobiono uwagą: „Bez zezwolenia wstęp wzbroniony”. Niewiele upłynęło czasu, a można było odnieść wrażenie, że miasteczku od dawna już nie jest obca krzątająca się tysiąca osiemdziesięciu trzech hałaśliwych lotników i obsługi. Każdego wieczoru stało przed lokalem „The Bell” mnóstwo rowerów, a pani Jenkins musiała napisać farbą olejną na oknie: „Papierosów brak”, aby choć kilka paczek ocalić dla stałych gości. Ku przerażeniu mieszkańców także dziewczęta pełniły służbę wojskową. Paradowały z wymalowanymi ustami i zakręconymi włosami, a pracowały tak ciężko jak mężczyźni. Czasem słyszano jak klną równie dosadnie, jak oni. Dawały zły przykład dziewczętom z miasteczka. Niektórzy powiadali, że całe lotnisko to „gniazdo szatana” i spiesznie mijali je o zmroku, zwłaszcza gdy ryk samolotów wstrząsał szybami okien w domach.

Dokoła lotniska stały rozproszone bombowce dywizjonu, rozparte na okrągłych, wyasfaltowanych stanowiskach. Wysokie na sześć stóp ogrodzenie otaczające obiekt tylko symbolicznie wyznaczało granice, gdyż zrobiono w nim wiele otworów w miejscach, gdzie plot stał na drodze ścieżek prowadzących z dispersali do lokalu „The Bell”. Nawet uzbrojeni wartownicy, którzy stali całą noc przy głównej bramie, przechodzili po skończonej służbie przez dziury w ogrodzeniu, aby zaoszczędzić sobie sto jardów spaceru obwodnicą. Przejeżdżająca właśnie przez jedną z takich dziur ciężarówka podskoczyła na wyboju tak, że i wszyscy jej pasażerowie stracili równowagę. Digby i Battersby uderzyli głowami o metalowe pręty.

— Trzymajcie się! - krzyknął z szoferki kapitan Sweet.

— Teraz nam to mówi - odezwał się Digby, gdy ciężarówka zatrzymała się przed biurami eskadry B. Tylne klapy otwarły się z trzaskiem i Sweet ujął panią Lambert w talię przenosząc ją w dół ruchem, jakiego nie powstydziliby się solista zespołu baletowego Saddlers Wells. Nadal trzymając ją w talię pocałował ją dostojnie.

— Droit du seigneur, Lambercie! - zawołał. - Kierowca odwiezie panią do bloku operacyjnego, pani Lambert. Wygląda na to, że coś się dla nas szykuje. Dobrze, że zdecydowałem się zajrzeć najpierw tutaj.

Przy Lancasterach roило się od lotników. Mechanicy silnikowi i płatowcowi, elektrycy, monterzy przyrządów i radiomechanicy obsiedli wielkie, czterosilnikowe samoloty. Nowo przybyli spojrzeli automatycznie ku północnemu skrajowi lotniska. Grupa znajdujących się tam kopczyków

wyglądała jak prehistoryczne kurhany z betonowym wejściem do każdego. Wszystkie były otoczone wzmocnionymi ścianami, obwieszonymi krążkami linowymi i wyciągnikami wielokrążkowymi. Wewnątrz mieścił się magazyn bomb. Dokoła ciągnęły się szeregi wózków na bomby, a zbrojmistrze pochylali się nad zapalnikami i żeberkami, ostrożnie składając bomby. Były tam bomby ogólnego zastosowania, bomby o dużej sile, I bomby do wskazywania celów oraz kanistry naładowane dziewięćdziesięćcztery - I funtowymi bombami zapalającymi. Nikt na nich nie malował napisu „Hello, I Hitler!” - to sprawka fotografów prasowych. Dla zbrojmistrzów bomba nie była I niczym zabawnym.

— Chłopcy, wygląda na to, że jesteśmy w rozkazie bojowym - powiedział Sweet. - Ma się trochę szczęścia. Z przyjemnością zrzucę trochę bomb kruszących na Niemców.

— Bomby czy miny? - zapytał Digby.

— Nie mogę dojrzeć - odparł Cohen.

Biura eskadry były kompleksem blaszanych baraków, które pobrzękiwały, gdy kolejno sprawdzano silniki doprowadzając je do pełnych obrotów. Sierżant, szef kancelarii, zaszalutował, gdy Sweet wszedł do obskurnego, małego pokoiku, oznaczonego napisem „Biuro eskadry B”. Szeregowiec Eryk, kancelista, przerwał pisanie na maszynie i stanął na baczność. W tym ponurym miejscu znajdowały się dwie szafki na akta, dwa stoły i dwa krzesła. W narożniku mieścił się zlew z wyszczerbionymi kubkami i brązowy, metalowy czajnik, odwrócony do góry dnem dla przesuszenia. Tablica informacyjna była zapisana starymi zawiadomieniami i obwieszczeniami. Na tablicy ściennej wynotowano gotowe do lotu Lancastery eskadry B. Sweet kazał napisać nad nią pismem staroangielskim: „Bomby eskadry B najlepsze”. Poniżej znajdowała się brudna plama po niezdarnie wymazanej innej opinii w tej sprawie.

— Dzień dobry, Percy, dzień dobry, Eryku - powiedział Sweet. - Lecimy?

— Tak jest, panie kapitanie. Duża akcja - odrzekł sierżant.

— Słyszałem Eryku, że spisujesz zakłady na dywizjonowy mecz krykieta w sobotę. Wciągnij mnie na pięć szylingów.

— Czy na nas, panie kapitanie? - zapytał Eryk.

— Ty zuchwalcze - powiedział Sweet. - Czyż nie jestem najlepszym batsmanem w Grupie?

— Ależ oczywiście, panie kapitanie.

Sweet uśmiechnął się z uznaniem i poklepał Eryka po ramieniu.

Podniósł puszkę z pensami i potrząsnął nią. Na etykiecie widniał napis: „Przyjęcie dla dzieci z miasteczka z okazji Bożego Narodzenia”. Zeszłego roku i dwa lata temu zorganizowali to facet z administracji Eryk Sedge i starszy szeregowiec Gilbert, artysta dywizjonowy, ale w tym roku Sweet aktywnie włączył się w akcję. Z uśmiechem domagał się datków od żołnierzy wszystkich stopni i nalegał, aby od wszelkich loterii czy zakładów na wyścigi, organizowanych przez chłopców eskadry B, płacono

dziesięcioprocentowy podatek na rzecz przyjęcia w Boże Narodzenie.

— Eryku, ile przybyło od zeszłego piątku? - Sweet znowu potrząsnął puszką.

— Kilka pensów, panie kapitanie.

— A zapisałeś w książce nazwiska?

— Nie zapisuję dających mniej niż sześć pensów.

— Zapisuj wszystkich. Tylko tak będzie uczciwie. Wówczas na Boże Narodzenie zobaczymy, która sekcja dała najwięcej.

— Tak jest panie kapitanie.

— I nastaw czajnik, Eryku. Sweet przeszedł przez drzwi z napisem „Dowódca eskadry B”. Wewnątrz było

bardzo gorąco, a jakaś osa brzęczała denerwująco. Sweet uderzył ją złożonym egzemplarzem „Picture Post”, a następnie otworzył okno. Nabrał osę na gazetę i wyrzucił na zewnątrz. Wychylił się tak mocno, że dojrzał Lamberta rozmawiającego go z żoną. Sweet wdychał zapach świeżo ściętej trawy i tak długo spoglądał na dwóch żołnierzy, aż powrócili do swej niewojskowej pracy. Usiadł przy biurku. Umieszczony nad nim plakat ze sloganem „Chleb to także broń - nie marnuj go” miał nalepkę „Johnny Walkera”, zasłaniającą pierwszy wyraz. Wyposażenie biura pochodziło z różnych źródeł. Barowe popielniczki, kinowe krzesła, wiktoriańska szafa z kombinezonem i kilkoma zapasowymi kompletami lotniczymi Sweeta. W pokoju znajdował się także mały piecyk z prostym kominem, wytarty, staromodny dywanik i waliza pełna płyt gramofonowych (w tym także kurs niemieckiego). Przez okno widać było Lancastery, którymi dowodził, rysujące się na tle linii horyzontu na kształt fryzu.

Samolot Sweeta to „S jak Sugar”, choć zdążył już nakłonić prawie każdego w dywizjonie, aby nazywać go „S jak Sweet”. Był to najnowszy samolot w eskadrze B. Jego pleksiglas był jasny i czysty, a wnętrze błyszczało świeżością. Z przodu wymalowano miniaturkę jednej bomby.

Natomiast samolot Lamberta - „O jak Orange” - był starą maszyną z wymalowanymi szeregami żółtych bombek, w sumie było ich sześćdziesiąt dwie. Z zewnątrz wyglądał jak inne bombowce, pomalowany częściowo czarną, matową farbą oraz ciemnozieloną i brązową na górnych powierzchniach. Kiedy jednak weszło się do środka i spojrzano na błyszczące w przodzie wręgi ze stopu metali oraz zastanowiło się, dlaczego lewa strona wnętrza ściemniała i zmatowiała, podczas gdy prawa błyszczała świeżym, srebrnym metalem, można było domyśleć się, że bombowiec nie wychodził cało z opresji podczas swoich sześćdziesięciu dwu lotów. Na większe remonty powracał do eskadry naprawczej. Miał nową część ogonową, lewe klapy też były nowe, a przód i lewe skrzydło miały kilka przynitowanych blach w miejscach podziurawionych pociskami flaku. Drzwi bombowe były najbardziej wrażliwą częścią i samolot zużył ich aż osiem.

Na początku, kiedy załoga Lamberta otrzymała go, spoglądali w

milczącym, pełnym szacunku podziwie na poznaczoną bliznami wojennymi maszynę, aż Micky Murphy, mechanik pokładowy, powiedział:

- Skrzypiące drzwi wiszą najdłużej.

Digby ochrzcił ją „Creaking Door”. Nazwa wydawała się trafna, bo choć latała jak ptak, część ogonowa rzeczywiście nieco skrzypiała, zwłaszcza nad celem. Tak przynajmniej przysięgał sierżant Digby.

Wgtona, by opowiedział życiorys samolotu. Bombowce należały bowiem do dyby personelu naziemnego, a personel latający tylko je „wypożyczał”.

ktos „Creaking Door” był jednym z pierwszych Lancasterów, jakie nie kiedykolwiek zbudowano. Dawniej fabryka produkowała nie najlepszy, wiedzi dwusilnikowy samolot i projektanci, zmuszeni nagłym zapotrzebowaniem, ał, jakchcieli dodać mu dwa dodatkowe silniki. Eksperci Ministerstwa Lotnictwa cynicz nie zgodzili się, ale fabryka zlekceważyła ich dezaprobatę, błagała, nym pożyczła i kradła co się dało, aby pomimo wszystko spróbować.

typem - Oto jak powstał najlepszy samolot bombowy tej wojny.

jest - Powiedziałem ojcu, że był to doskonały przykład brytyjskiego Digby, geniuszu inżynierskiego - rzekł Battersby.

łatwo - Kwestia przypadku, chłopie. Ale on jest piękny, naprawdę mógłb wyjątkowo piękny.

y - Co za nadzwyczajne szczęście - odezwał się Binty Jones, środkowy oskarż górny strzelec, spoglądając znad książeczki z komiksami. - Sprzedamy go do yć go ojednego z muzeów, kiedy już skończymy z tym łopoczącym skrzydłami, sentym starym wrakiem.

entaliz — Myślicie tylko o pieniądzach - odparł Digby. - Mówię o sztuce, o m whistorii. Tak, samoloty takie jak ten znajdują się w muzeach po zakończeniu stosun wojny, zachowane jako arcydzieła dwudziestowiecznego smaku, kultury i ku dopiękna.

„Creak — Wszyscy się tam znajdziemy - rzekł Lambert.

mg - Z wami nie można rozmawiać poważnie - oświadczył Digby. Door”. Następnym w szeregu wzdłuż dispersalu był samolot „L jak Love”, ze swoją Wiele nową nazwą i symbolem, namalowanym z przodu nad piętnastoma żółtymi litrów bombkami. Nazywał się teraz „Joe jak King”, a pilotował go sierżant Tommy piwa Carter, przystojny, rudowłosy sierota z Newcastle. Po wyjściu z sierocińca kosztu został gońcem, a następnie policjantem w Newcastle do czasu, kiedy wało inspektor złapał go na czytaniu „Kapitału”.

go - Na co ci u diabła te przekłete brednie, policjancie Carter?

przeku - To do mojej wieczorowej szkoły. W drugiej kieszeni mam jeszcze pienie „Mein Kampf”.

sierżan — Nie przynoś tej trucizny do mojego komisariatu, zrozumiano?

ta — Rozumiem, panie inspektorze.

Worthi Dwa miesiące później wstąpił do RAF. Miał olbrzymie, jasnoczerwo-

RAF jest jedną z najcudowniejszych rzeczy, jakie go w życiu spotkały, a wasy, „Joe jak King” jest najwspanialszym samolotem, jaki kiedykolwiek które wyprodukowano. Maszyna miała za sobą piętnaście lotów bojowych. Załoga zapuścił Tommy’ego odbyła osiem z nich, z wyjątkiem bombardiera Collinsa. Był on dla jedyną osobą pozostałą przy życiu po rozbiciu innego samolotu podczas ukrycia lądowania w lutym i miał za sobą dwadzieścia dziewięć lotów. Dzisiejszej blizny nocy miał odbyć ostatnią operację przed udaniem się na wypoczynek.

Następny bombowiec to Lancaster „Z jak Zebra”. Był prawie niewidoczny za jesionami The Warrens, gdzie nawet za dnia zajęte uganiały się po wyasfaltowanych stanowiskach dispersalu. W cieniu końcówek Zapuść skrzydeł „Zebry”, na pachnącej wilgocią czarnej ziemi, rosły grzyby.

„Z jak Zebra” nazywał się „Volkswagen”, a jego dowódcą był nieco podporucznik pilot Cornelius Fleming. Świeżo promowany na oficera, z Wazeń trzystu pięćdziesięcioma godzinami wylatanymi w szkołach pilotażu, był łagodnym, zamkniętym w sobie człowiekiem pochodzącym z Yorku, byłym sposobie studentem medycyny. Podstawowe szkolenie lotnicze przeszedł w Albercie. Normalne życie w Kanadzie stanowiło zaskakującą odmianę po sterczą zaciemnionej Brytanii czasu wojennego. Trzy razy w tygodniu pisywał do ce do Trący Rybakowski, dziewczyny w Edmonton. Po wojnie miał zamiar wrócić góry, tam, aby się z nią ożenić i dorobić się, ale dotąd nie powiedział o tym swoim co rodzicom. Krótki okres studiów tak bardzo zatarł się w jego wspomnieniach, stało że nie mógł uwierzyć, iż jeszcze niecałe dwa lata temu jego ambicją było się zostać lekarzem.

Fleminga i jego załogi nie zaskoczył fakt, że przydzielono im, jako modne nowicjuszom, jeden z najbardziej obskurnych samolotów eskadry. Kiedy po wśród raz pierwszy wdrapali się do niego, zastali wewnątrz zaśmiecone starymi wielo gazetami i zaoliwionymi szmatami, a ubikacja „Elsan” nie była należycie członk opróżniona. Czuło się słaby, lecz przenikliwy odór potu, ekskrementów i ów gnijącego mięsa. Fleming zwołał do czyszczenia samolotu całą swoją załogę. załóg Teraz pachniał świeżym olejem, pastą do polerowania metalu i środkami latając odkażającymi. Jak to Fleming zaznaczył, pachniał teraz „czystością jak ych szpital”, ale pozałował tego porównania tak szybko, jak je wypowiedział. Carter Nazwanie samolotu „Volkswagenem” wynikało z chęci Fleminga, aby nadać uważał brudnej, starej „Z jak Zebra” nowy wygląd.

że Bombardier i tylny strzelec Fleminga byli także oficerami. Wszyscy



trzej na koszt Jego Królewskiej Mości. Trzej oficerowie przybyli do eskadry B z stali resztą załogi „Zebry” sześć tygodni temu, ale jak dotąd nie latali na akcje. wkoło Spędzali większość czasu razem i czuli się wyobcowani, ponieważ, jak to jego powiedział Sweet w rozmowie z Flemingiem, większość innych lotników samoc eskadry B - w tym czterech z załogi Fleminga - dzieliła kasyno sierżantów z hodu, personelem naziemnym. Przypominało ono prowincjonalny klub robotniczy. austina - Ciesz się, że nie jesteś jego członkiem - powiedział Sweet z seven, uśmiechem. - Jedyne o czym się tam rozmawia, to o spekulacji, picu i obserwdziwkach. Poczekaj, aż pójdziesz na tańce w kasynie sierżantów, wtedy ując dopiero zobaczysz ten j motłoch.

jak Jednakże nie miał on czasu na takie rzeczy i rzadko tam go jeden zwidywano. Fleming i jego załoga snuli się bez celu po eskadrze B. Wiara, elektry Nadzieja i Miłosierdzie - tak nazywali ich sierżanci. Wiedzieli, że pierwsze ków trzy loty bojowe nowej załogi to ryzyko pięciokrotnie wyższe od normalnego mocowwspółczynnika strat. Wymieniali między sobą techniczne wiadomości i ał wczytywali listy z domu oczekując na swój chrzest bojowy, który miał nadejść nim dzisiejszej nocy.

kawałe Po drugiej stronie lotniska, w odległości mniej więcej mili, Sweet k mógł dojrzeć najbliższy z samolotów drugiej eskadry, a na prawo od niego, przewoza wyboistym terenem, wieżę kontroli ruchu. Oficer meteorolog WAAF du odczytywał na jej dachu wskazania instrumentów w zakrytej żaluzjami będące skrzynce. Na samym końcu pasa startowego znajdowała się placówka go kontroli lotniska, a na jej tle wieża trzynastowiecznego kościoła w własno miasteczku Little Warley. Miał stąd dobry widok. Zwrócił wzrok w kierunku ścia ciężarówka, która przywiozła ich z weekendu i właśnie zawracała, aby udać Minist się z powrotem. W pobliżu dziury w ogrodzeniu sierżant Lambert żegnał się erstwa ze swoją żoną, która miała być podwieszona do sekcji sprzętu Lotnict bezpieczeństwa, gdzie pracowała.

wa. — Bądź tak dobry Eryku - powiedział Sweet - i powiadom Lamberta, Wóz że chcę z nim zamienić słówko. Po namyśle doszedłem do wniosku, że przezch lepiej, aby bedford wrócił prosto do sekcji transportowej. Ostrożność nigdy odził nie zawadzi.

kapitał — Powiem kierowcy - odrzekł Eryk.

ny — I przeproś panią Lambert. Będzie musiała pójść pieszo. Powiedz remont jej, że jest mi naprawdę bardzo przykro.

klamami.

iedy — Weź mój rower, Ruth - powiedział Lambert.

Eryk — Nie mogę jechać na rowerze, Sam. Nie w tej spódnicy od wyszedmunduru. Przejdę się.

ł, — Dasz radę?

Sweet — To tylko mila. Wyjdzie mi na zdrowie.

przyjrzał się — Szefie, pan Sweet chciałby z panem pomówić - odezwał się Eryk.  
ał się Lambert pocałował żonę na pożegnanie.

dokład — Będziesz wiedziała wcześniej ode mnie, gdzie polecimy dziś w  
nie nocy.

swojej — Uważaj na siebie, Sam.

twary — Kocham cię Ruth. Wpadnę i zobaczę się z tobą, zanim polecimy.

w — Gdy wracał do biura eskadry, żołnierze ustawiali się właśnie w  
ścienn kolejce oczekując na przyjazd furgonetki NAAFI z poranną herbatą i  
ym ciastkami. Lambert spojrzął na zegarek; była za dziesięć jedenasta.

lusterk

u.

Zastan

awiał

się,

dlacze

go jego

skóra

zamias

t

zbrązo

wieć

pokrył

a się

pod

wpływ

em

słońca

czerwo

nymi

Wniechał się jeszcze, kiedy zwrócił się do Lamberta. - A więc Sambo, biurze lecimy! Wygląda na to, że inni wyprzedzili nas. Lepiej więc zbierz swoją eskadr załogę i sprawdź jak najwcześniej samolot przed nocnym lotem. Dowódcy y samolotów i nawigatorzy zbierają się o piętnastej trzydzieści, główna kapitanodprawa o siedemnastej.

Sweet — Czy mogę zmienić mundur wyjściowy na polowy?

kończy — Wówczas wszyscy chcieliby wrócić do kasyna sierżantów i wziąć ł prysznic, ogolić się, umyć głowę i zwędzić trochę kawy, zleciało by do opowiaobiadu - Sweet uśmiechnął się porozumiewawczo. - Nie, zabierzcie się do danie roboty natychmiast. Pożyczcie spadochrony i hauby od chłopaków w Tommy'ego Cartera lub od załogi Fleminga.

chwili, — Czy wiadomo coś o celu?

gdy - Nawet gdybym wiedział, nie mógłbym nic powiedzieć.

Lambe Przesunął jakieś papiery na biurku.

rt — Och, a przy sposobności chcę powiedzieć, że nastąpi małe wchod przetasowanie załogi. Od jutra młody Cohen będzie nawigatorem „S jak ził doSweet”. Digby także będzie ze mną. Moi chłopcy - Billy i Speke - przejdą do środka.ciebie. Masz cholerne szczęście, Sambo, że ich dostaniesz. To diabelnie „... dobrzy faceci.

wtedy — Przeniesienie? - zdziwił się Lambert.

ona: — Wiem, że cię to nie cieszy, Sambo. Nienawidzimy takich zmian, przestakiedy chłopcy czują się w załodze szczęśliwi, ale Cohen jest surowym n młodzikiem. Muszę go trochę poniańczyć.

sierżan Sweet znalazł paczkę papierosów zamkniętą w szufladzie biurka. cie, Rzadko palił, ale teraz zrobił wyjątek. Poczęstował Lamberta, ale ten jestem odmówił. Sweet wydmuchiwał gwałtownie dym.

oficere - Słuchaj, Sambo, wiem, co myślisz, wierz mi jednak, że to ostatnia m”. rzecz, jakiej chciałem.

Obaj Znalazł w szufladzie paczkę miętówek i poczęstował Lamberta, lecz pracowten potrząsnął głową.

nicy i — Twój nawigator śmierdzi, a bombardier Speke jest winien, że Sweet znajdujecie się na szarym końcu w tabeli zdjęć - powiedział Lambert. - Nie zaśmia chcę latać z nimi. W zeszłym miesiącu zabrał pan mojego mechanika Micky li się. Murphy'ego po odbyciu wspólnie piętnastu operacji. Czy panu to nie Wystarcza?

moimi eskadrami w ten sposób, przyjacielu.

ch, a — Oczywiście, że miałbym. Jimmy Grimm jest jednym z mojej więc ozałogi. Nie chcę, żeby którymkolwiek z nich pomiatano. Oni mają do mnie to cizaufanie, wierzą, że będę o nich dbał. Wszyscy.

chodzi Sweet odłożył papierosa i obszedł biurko dokoła. Objął poufale ramię ? -Lamberta.

odrzekł - No, no, Sambo, jesteś wzburzony. Nie mów nic, czego mógłbyś Sweet. żałować. Nienawidzę nieprzyjemności, wszelkich nieprzyjemności. Wiesz o - Itym.

tylko Tak, pomyślał Lambert, pod warunkiem, że bez tego możesz dlatego postawić na swoim.

myślis - Słuchaj, mój stary - powiedział Sweet. - Nowy skład ma z, że toobowiązywać dopiero od jutra. Daję ci słowo, że to nie mój pomysł. Jakieś zła cholerne nieporozumień nie w bloku operacyjnym. Nie przejmuj się. Wiesz, zamian jutro może już nas wszystkich nie być wśród żywych.

a. Sweet uśmiechnął się czyniąc wysiłek, aby udobruchać Lamberta, ale Gdyby bezskutecznie.

to był - Jeśli to wszystko, proszę pana, to zabiorę się do roboty.

Grimm - Bardzo dobrze, Sambo - mocno ścisnął ramię Lamberta. - Słuchaj, , tenjeśli chodzi o tę cholerną sprawę, to jutro dorwę dowódcę gdzieś w kącie twój kasyna oficerskiego i zagrozę, że ty i ja dokonamy ataku na Ministerstwo patałac Lotnictwa z niskiego pułapu, jeśli nie pozwoli zostawić w spokoju twojej h załogi.

radiote - Sam z nim porozmawiam - odparł Lambert.

legrafis - Nie masz pojęcia, co to za balon. Takie stare pierniki jak on ta, tozagrażają nam wszystkim. Nawet go nie proś o rozmowę. Musisz po prostu nie mi zaufać. Jeśli nie przycisnę starego po paru kufelkach po obiedzie, to nie miałby ma szansy, abyś ty to uczynił o bladym świetle w biurze dywizjonu.

ś Sweet roześmiał się w zamyśleniu, a następnie zapytał:

pretens - Czy przemyślałeś sprawę drużyny krykieta? Gramy z Besteridge w ji. Noczasie weekendu. Mają silny zespół. Jestem zajęty w następny weekend, cóż, japanie kapitanie - odparł Lambert.

nie - Szkoda. To mogłoby całkowicie zmienić stanowisko starego.

zarząd Lambert nie odezwał się. Sweet rzekł:

zam - Przemyśl to Sambo, kilka zwycięstw w krykieta - zwłaszcza

zwycię mógł. Wiesz o tym.

stw Zapukano do drzwi. Wszedł sierżant mechanik, Micky Murphy, międzyprzeniesiony ostatnio z załogi Lamberta do Sweeta. Był olbrzymim dowód Irlandczykiem o bladej cerze, kwadratowej, wystającej szczęce i szcerbatym ztwamiuśmiechu, pojawiającym się między zdaniami tak regularnie jak oddech.

- Spojrzał na Lamberta i uśmiechnął się.

mogło - No co - powiedział Sweet. - Znalazłeś defekt w podwoziu?

by - Nie - odrzekł Murphy. - Wypatroszyliśmy je i jest tak piękne jak dobrze dziewięciopensówka, ale nie znaleźliśmy usterki, chyba że to nawalał ustawi mikroprzełącznik.

ć cię u - To nie był mikroprzełącznik - odparł Sweet.

starego Czy kilkakrotnie próbował pan dźwignię? - zapytał Murphy.

. I u Sweet odpowiedział mechanikowi pytaniem:

mnie. — Czy jesteś pewien Paddy, że przełączyłeś wskaźniki na zapasowe?

R — To pierwsza rzecz jaką zrobiłem, panie kapitanie.

oześmi — Na miłość boską, Paddy, nazywaj mnie skiperem - domagał się ał się, Sweet. - To ten płyn hydrauliczny. Mówiłem ci, że chcę tylko Intava 675.

aby — O tej porze roku to nie ma znaczenia - rzekł Murphy. - Nadal pokaza uważam, że nie było żadnej usterki. Wszystkie podwozia zacinają się ć, zczasem. Kilkakrotne opuszczenie dźwigni często pomaga. Nie ma potrzeby żartuje. użycia zapasowego sprężone - i go powietrza. To straszna robota, kiedy sprężone powietrze znajdzie się już raz w instalacji.

To w — Ja sam zdecyduję, kiedy zajdzie potrzeba użycia sprężonego każdy powietrza! Dziękuję ci szefie. Jak prędko maszyna będzie gotowa?

m razie — Jest jeszcze na podnośnikach, bo chłopcy chcą wypróbować nie podwozie kilkakrotnie, aby uniknąć ryzyka. To doskonała próba dla całej znaczy instalacji. Potem ponownie napełnimy zapasową butlę powietrzem, , że nieuzupełnimy zbiornik, podpiszemy formularz 700 i w drogę.

uczyni Sierżant zaśmiał się nerwowo.

ę dla - Paddy, na miłość boską, przestań szcerzyć zęby - powiedział ciebie Sweet. - „S jak Sweet” ma dzisiejszej nocy spotkanie nad Ziemią Hunów i wszyst nie mam zamiaru przekładać go, ruszaj się więc. I tym razem nie pomieszaj kiego, płynów hydraulicznych, gdy będziecie je uzupełniali.

co Murphy miał zamiar wyjaśnić, co instrukcja mówiła o płynach będą hydraulicznych, i ale ostatecznie pokiwał tylko głową.

już Gywa, Sambo. Wszystko, czego chcemy, to by eskadra B była I najlepsza i we wschodniej Anglii, prawda?

mecha Lambert nie odpowiedział. Sweet posłał mu zachęcający uśmiech, nicy ponieważ nie chciał, aby ten czuł się zasmucony utratą ludzi ze swojej załogi. chcą Sweet był bardzo dumny z tego, że jest jednym z najbardziej nas podemokratycznych oficerów na lotnisku, i Można nawet powiedzieć, że prostu najbardziej demokratycznym. Pokazywanie się I Sweeta na tańcach w zaćmić kasynie sierżantów, ubranego w mundur sierżanta, stało się zwyczajem. wiedzą Czasem dawał się namówić na zaśpiewanie do mikrofonu „Herbatki I we - dwoje”. Sierżanci cenili oficera, który wiedział, jak być jednym z nich. I powiedział Trzeba było tylko takiego jednego drania jak Lambert, aby zepsuć całą I ział atmosferę.

Sweet Eryk wyjrzał spoza drzwi.

do I — Czy podstawić samochód do kasyna oficerskiego na obiad, panie Lambe kapitanie?B

rta, — Tak - odpowiedział Sweet.

gdys Na skróty to tylko ćwierć mili, ale ścieżka zawsze błotnista. W sierżan zesłym tygodniuM czuł się jak kompletny dureń, kiedy jakiś osioł w kasynie t wskazał na jego buty i zapytał:

wyszed - Czy prowadziłeś z eskadrą B próbny atak, Sweet? Nie ma nic ł zlepszego na poprawienie apetytu.

pokoju Nawet Munro, dowódca dywizjonu, dołączył się do ogólnego . śmiechu. Dobrze, że nie było w tym czasie pułkownika, który był prawdziwym starym bufonem z Sandhurst: drobiazgowy jak diabli na ak, punkcie wyglądu oficerów. W kasynie nie wolno było nosić pod żadnym panie pozorem ekwipunku lotniczego, nawet golfów, a on sam prowadził oficerów kapitanna posiłki jak jakaś stara księżna matrona i mówił: „Płacą mi za zabijanie ie -Hunów”, tak jakby rzeczywiście widział choć jednego z nich w celowniku. odrzekłPlotka głosiła, że Munro dostanie własną stację. Mogliby wtedy Lambe zdecydować, aby Sweetowi dać wymarzony awans i szansę spełnienia się w rt bezpracy.

entuzja - W porządku Sambo, mój chłopcze, idź sprawdzić samolot przed zmu. nocnym lotem.

— T I dorzucił:

ak to - Och, a przy okazji Lambercie... Lambert odwrócił się.

Postępował więc ostrożnie.

brojni — Co to za pomysł?

strze — Aby lepiej widzieć.

usunęli — Lepiej niż przez czysty, wypolerowany pleksiglas?

szybę - Właśnie przed chwilą otworzył pan przecież okno, aby zobaczyć, co w ja robię.

tylnej Sweet uśmiechnął się.

wieczyc - W każdym razie pleksiglas był paskudnie porysowany i sierżant zce zbrojmistrz miał go i tak wymienić. Uważałem, że warto spróbować - twego powiedział Lambert.

samolo Sweet znowu się uśmiechnął:

tu. Czy — To tylko sprawa dobrych manier, sierżancie. Jako wasz dowódca upowa powinienem być o czymś takim uprzedzony.

znieś — Złożyłem pisemne oświadczenia na pańskim biurku w zeszły ich? czwartek. Wróciło podpisane, więc zrobiliśmy swoje.

— T — Tak, dobrze, ale miałem na myśli poinformowanie mnie o ak. rezultacie. Dobry ten twój pomysł, Lambercie.

Z — To pomysł sierżanta Gordona, panie kapitanie. Jeśli się sprawdzi, achow to zasłuży on na uznanie.

anie — W porządku, Lambercie. Idź już i nie zapomnij chłopcze o puszcze Lambe bożonarodzeniowej, jak będziesz wychodził.

rta Lambert, który był cztery lata starszy i sześć cali wyższy od Sweeta, dało zasalutował i wyszedł.

Sweeto Kiedy kapral Ruth Lambert uszła kawałek drogi, minęła czekającą na wi nią ciężarówkę bedford, którą Sweet odesłał.

dużo

do

myślen

ia. Być

może

to

wyższa

władza

tak

rozkaz

— Niech pani wskakuje, pani Lambert! - zawołał kierowca.

— Dziękuję - odpowiedziała Ruth.

— Cholerni oficerowie - stwierdził kierowca.

Gdy ciężarówka przejeżdżała w pobliżu miejsca, gdzie zaparkowano „Creaking Door”, jeden z jego silników zaskoczył. Cztery przestraszone ptaki sfrunęły z żywopłotu, a kierowca zahamował, aby mogły wzbić się pionowo w niebo.

- Wrony - powiedział. - Tam, skąd pochodzę, powiadają: jedna na smutek, dwie na radość, trzy na ślub, a cztery na urodziny.

Rzucił okiem na Ruth i wyszczerzył zęby.

— Cztery na urodziny - powtórzył.

— Trzy z nich to gawrony - powiedziała Ruth.

— Och, dobrze - odparł kierowca. - Ja w każdym razie nie wierzę w takie rzeczy.

Zapuszczono inne silniki i hałas zrobił się nie do zniesienia. Sierżant Worthington czekał na Lamberta. W milczeniu udali się do samolotu. Worthington służył w RAF już dwadzieścia osiem lat. Jego kombinezon był wykrochmalony i wyprasowany, krawat miał bez zarzutu, a on sam mógł wspiąć się do środka silnika i wyjść stamtąd nadal nieskazitelnie czysty. Uważał, że wszyscy lotnicy, którzy wstąpili do RAF po rozpoczęciu wojny to zwykli amatorzy. Sposób, w jaki personelowi latającemu przyznawano automatycznie stopień sierżanta i członkostwo w kasynie uważał za straszną herezję. W niektóre wieczory, gdy pogoda nie dopisywała, przesiadywał w barze przy kuflach piwa, które pojawiały się przed nim jeden po drugim, kiedy opowiadał towarzyszom o swojej odysei. Opowiadał o krwawym kwietniu 1917 roku, o surowości przełęczy Khyber, o nudzie Habbanyii i okrucieństwach ośrodka szkolenia rekrutów w Uxbridge. Zawsze jednak zauważał, że to młody personel latający stanowił najbardziej wdzięczną część audytorium i to on podsuwał mu kufle piwa. Ostatnio jego tyrady były bardziej żartobliwe niż dramatyczne.

Lambert wstąpił do służby zawodowej RAF w 1938 roku. W oczach Worthingtona był jednym z nielicznych „prawdziwych lotników” w bazie.

W styczniu 1936 roku Lambert został lotnikiem w niepełnym wymiarze godzin. Miał wielkie trudności w uzyskaniu sześciu pełnych tygodni zwolnienia z pracy w stacji obsługi samochodów, ale nowy



kierownik uważał, że to bardzo elegancko móc pochwalić się kwalifikowanym pilotem wśród personelu i udzielił mu urlopu, oczywiście bezpłatnego. Lambert udał się więc na lotnisko w Szkocji i został pierwszym z sierżantów Rezerwy Ochotniczej (VR), przeszkolonych według nowego planu. Przy końcu kursu wylaszował się i odtąd każdy weekend, w pogodę czy niepogodę, poświęcał treningowi. Latał na Hawker Harts a czasem, co sprawiało mu specjalną przyjemność, na Fury. Aby być bliżej samolotów podjął pracę mechanika silników lotniczych w aeroklubie, który dzielił lotnisko z rezerwistami RAF. Od czasu do czasu pozwolono mu dokonywać powietrznej próby jakiegoś lekkiego samolotu a nawet uczyć młodych adeptów.

- Weź go na dwuster, kilka szybkich beczek i pętla. Bez korkociągów i namiłość boską nie pozwól nieborakowi próbować lądowania.

- Dziękuję, chętnie to zrobię.

- Nie ma tu nikogo innego, Lambercie, a ja nie mogę opuścić biura.

W 1938 roku RAF zaproponował pilotom Rezerwy Ochotniczej, mającym więcej niż dwieście pięćdziesiąt wylatanych godzin, sześciotygodniową służbę w zawodowym dywizjonie RAF. Lambert zgłosił się natychmiast i po sześciu tygodniach latania na samolotach Hurricane wstąpił do zawodowej służby w lotnictwie. Czuł się zawiedziony, kiedy przydzielono go do samolotów dwusilnikowych, zwłaszcza gdy wybuchła wojna, a jego dawny dywizjon Rezerwy Ochotniczej otrzymał Hurricany. Jednakże dwusilnikowe samoloty nastręczały nowe trudności, a on lubił podejmować wyzwania. Kiedy po turze operacyjnej na Wellingtonach i odznaczeniu DFM po raz pierwszy dostał w swoje ręce Stirlinga, jego zazdrość wobec pilotów myśliwskich znikła i nigdy już nie wróciła. Czterosilnikowe samoloty dawały mu wiele satysfakcji i jeśli już musiał być w RAF, to chciał latać na jednym z nich.

Zanim spojrzał na „Creaking Door”, Worthington nałożył okulary i przeglądał książkę napraw aby odczytać inicjały ludzi, którzy przygotowywali samolot do lotu. Czuł się zazdrosny o te maszyny. Worthington uważał, że Ministerstwo Lotnictwa postąpiło rozsądnie oddając ten samolot w jego opiekuńcze ręce. Nie uważając bombowca za swoją wyłączną własność czuł się jednak trochę niespokojny, gdy Lambert - i jego amatorska załoga - zabierał go na noc i niegodnie traktował, wyprawiając akrobacje i korkociągi. Czasem przyprowadzał go z powrotem uszkodzonego nieprzyjacielskimi pociskami.

Worthington wprowadził Lamberta do samolotu. Gdy szli wzdłuż jego wnętrza, Worthington opukiwał i pieścił każdy zacisk i każdą wręgę, jak wszeteczny medyk młodą dziewczynę. Przejścia i uchwyty w samolocie pobłyskiwały jak wspaniałe, idealnie wypucowane srebro. Było ciemno i ciasno w tym smukłym kadłubie, nigdzie nie szerszym od najmniejszego z dzisiejszych samochodów. Musieli kulić się, posuwając się do przodu, ale Worthington nie przestawał mówić. Miał głęboki głos, a dla podkreślenia swych słów stukał palcami o kadłub samolotu. Metal dźwięczał wtedy nutką niepokoju i wzruszenia, jak nerwowy pacjent przy dokładnym badaniu przez

specjalistę.

- Ta maszyna jest starą, okaleczoną ładacznica, Sam - rzekł Worthington - i nie stanie się młodszą.

Pozwolił Lambertowi usadowić się na wąskim siedzeniu pilota i szybko rzucił okiem przez okienko, aby sprawdzić, czy mechanicy pilnie pracują przy prawym wewnętrznym silniku.

- Prawa prądnicą dawała nam dziś rano pół wolta przy próbie na dużych obrotach. Znaleźliśmy usterkę w przewodach instalacji elektrycznej, ale nadal jestem niespokojny o prądnicę. Odczyt jest wysoki i twój mechanik pokładowy musi go obserwować podczas próbnego lotu.

„Distinguished Flying Medal Medal za Wybitną Służbę w Powietrzu, nadawany tylko podoficerom.

Worthington pozwolił sobie na uśmiech.

— Dobrze przeszkoliłem tego niezaradnego młodzika; akumulatory mogłyby eksplodować, jeśli dopuści się do przeładowania: tlen i wodór, rozumiesz?

— Tak, Worthy, słyszałem o tym.

Lambert dotknął kolumny sterowej i oparł stopy na orczyku.

- Tak, no cóż, nadejdzie dzień kiedy będziesz zadowolony, że jestem trochę marudny.

Znalazł plamkę na płeksiglasie i starł ją świeżo wypraną, białą chusteczką.

— Jeszcze coś oprócz prądnicy?

— Poza tym maszyna jest świetna. Średnie zużycie oleju w dywizjonie wynosi trzynaście i dwie dziesiąte pintów na godzinę. Wszystkie silniki „Creaking Door” mają zużycie mniejsze: jedenaście i pół, dwanaście i osiem dziesiątych, dziesięć i pół i dwanaście i cztery dziesiąte. Dobry samolot. Naprawdę diabelnie dobry samolot.

Worthington podał Lambertowi książkę napraw.

— Szefie, lecimy zaraz na NFT. Czy mógłby pan poprosić w kasynie o odłożenie siedmiu obiadów?

— Będzie mięso zapiekane w cieście - powiedział Worthington - lub to, co tak nazywają. Okropne świństwo. Czy pan Sweet wie, jaki jest cel?

- Jeżeli nawet wie, to nie mówi. Może będziemy zrzucać miny?

Worthington potrząsnął głową.

— Bomby, mnóstwo bomb o bardzo dużej sile, w tym sporo zapalających. To będzie jakieś miasto. Indykatory celu także ładujemy. Jesteśmy na zbiornikach numer dwa: sześćset pięćdziesiąt galonów paliwa, po galonie na milę. Plus dziesięć procent na kręcenie się w powietrzu... Trzysta mil stąd?

— W te krótkie, letnie noce nie możemy lecieć daleko - powiedział Lambert, nadal unikając sedna sprawy.

— Zagłębie Ruhry - powiedział Worthington.

— Szczęśliwa Dolina - rzekł posępnie Lambert. - To rozweseli chłopców.

— Jeśli ta cholerna prądnica znowu da znać o sobie, to sprowadzaj maszynę na lotnisko. O.K.?

— O.K. - odparł Lambert. Zastanawiał się, czy Worthington mówi tak, aby mu stworzyć szansę na przeżycie; przecież nigdy bez powodu nie wypowiadał się źle o „Door”.

— Konserwy mięsne - oznajmił Worthington. - Właśnie to nadaje dziwny smak mięsu zapiekanemu w cieście.

Obaj spoglądali na drugą stronę, w kierunku „Joe jak King”.

- Śmieszny jest sposób, szefie - powiedział Lambert - w jaki zaznaczają ilość lotów wykonanych przez maszynę. Ilości bombek namalowanych na naszych samolotach nie odpowiada ilości operacji wykonanych przez załogę. To jest tylko ilość lotów, jakie odbyła maszyna. To tak, jakby samolot leciał bombardować

Niemcy ze swojej własnej, drapieżnej woli, jakby po prostu zabierał nas ze sobą na przejażdżkę.

— Stare samoloty, Sam, są szczęśliwymi samolotami.

— Czasem myślę, że to tylko maszyny Niemiec walczą z maszynami Brytanii. Worthington spojrział w podkrążone oczy Lamberta.

— Czy nie jesteś aby na bańce, synu? - zapytał spokojnie. Lambert potrząsnął głową.

— Sypiasz dobrze?

— Często się budzę - przyznał Lambert. - Miewam dziwny sen o przyjęciu z okazji urodzin dziecka. Ono tam jest z tortem, na którym płonie pół tuzina świec. Kiedy zamierza je zdmuchnąć, główka topnieje jak воск. Dziwny sen, prawda? Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że nie mam dzieci.

— Czy widziałeś się z naszym szarlatanem?

— On uważa, że lotnictwo dzieli się na oficerów i symulantów. Czy możesz wyobrazić sobie mnie zgłaszającego się jako chorego na sen?

— Tak, on także i mnie nie może nic poradzić na mój spuchnięty palec u nogi. Ale może sen zniknie teraz, kiedy opowiedziałeś go komuś?

— To wszystko przez to cholerne kasynowe jedzenie - powiedział Lambert, śmiejąc się i zastanawiając, skąd Worthington wiedział, że on nigdy przedtem nie mówił nikomu o swoim śnie.

— Nie powinieneś o tym wszystkim myśleć zbyt wiele - Worthington zmienił temat. - Czy weźmiesz udział w meczu krykieta? Chciałbym znowu zobaczyć parę z tych twoich idealnych rzutów.

— Zabieram żonę do Londynu.

Worthington, zakłopotany, dłubał poślinionym palcem w narożniku szybki z pleksiglasu, pominiętym przy czyszczeniu szmatką.

— Będą mieli na ciebie oko, Sam. Widziałem, jak to się zdarzało przedtem. Dlaczego nie rozegrasz paru meczy i nie uwolnisz się od tych drani?

— Szefie, pytam o to codziennie samego siebie.

Worthington ukończył swoje małe czyszczenie i spojrział na Lamberta.

— To byłoby rozsądne, synu. Nie możesz walczyć z Luftwaffe i jednocześnie z RAF. To byłoby rozsądne i logiczne.

— Tak, rzeczywiście - odrzekł Lambert.

Worthington spojrział na swego przyjaciela, który zbyt wiele już przeszedł, zbyt długo walczył, zbyt wielu kolegów stracił i zbyt wielką odpowiedzialność przyjął za swoją załogę. Lamberta „wzięło”, zadecydował. Widywał już przedtem, jak inni Piloci popadali w podobne stany. Potrząsnął smutno głową i zmienił temat.

- Wielki Boże, popatrz na ten cały kram.

Wokół całego lotniska Warley Fen podwieszano bomby pod Lancastery. Dziewczyny kierujące traktorami cofały wózki z bombami pod otwarte drzwi bombowe. Przywoziły ciemnozielone bomby o różnych kształtach i rozmiarach, choć większość stanowiły pięćsetfuntówki ogólnego przeznaczenia i pięć-setfuntowe bomby średniej mocy: ciężkie stalowe pojemniki ze stosunkowo małym

ładunkiem wybuchowym wewnątrz. Były to najczęściej używane i najbardziej zawodne bomby zrzucające przez RAF. Na każde dziesięć dostarczonych przez Dowództwo Lotnictwa Bombowego, sześć nie wybuchowało.

Kiedy zaczęła się wojna, pociski Dowództwa Lotnictwa Bombowego były małe, a instrukcje radziły używać czterystafuntowych ogólnego zastosowania przeciwko budynkom mieszkalnym (oczywiście tylko wtedy, gdy zajmowało je wojsko). Przeciw fabrykom paliwa zalecano dwustupięćdziesięciofuntówki ogólnego zastosowania. Nieskuteczność starych bomb i nowy sposób prowadzenia wojny wymagały prostszej broni. Olbrzymie pojemniki ważące osiem tysięcy funtów - nieco większe od stalowych kubłów na śmieci - - bez nosa i stateczników ogonowych, zwane bombami wysokiej wydajności, były całkowicie wypełnione materiałem wybuchowym. Używano ich przeciw budynkom mieszkalnym i jedna taka bomba mogła zniszczyć całą ulicę.

Pojemniki naładowane były czterofuntowymi prętami magnezji, z których każdy zapalał się rozpryskując białym płomieniem i paląc prawie wszystko, czego dotknął.

Działali także jako dywizjon pathfinderów, były więc i markery. Te eksplodowały ładnymi kolorami: czerwonym, żółtym i zielonym, a każda barwa określała znaczenie i doświadczenie załogi, która je zrzuciła. Niewiele markerów dawało ładniejszy widok niż „różowe bratki”: skrzynie z bombami

średniej mocy, gumą i fosforem, w momencie uderzenia zapalające się wielkim, różowym płomieniem, łatwo dostrzegalnym na mile.

Ładne i mniej ładne bomby windowano powoli w górę, do czarnych brzuchów bombowców. Obliczenia wyznaczyły ich miejsca w komorze, a łącznik sterujący nastawy zapalnika czasowego wyregulowano tak, aby bombardier po naciśnięciu przycisku mógł zwolnić cały ten wielki ciężar bez zakłócenia środka ciężkości samolotu. Stateczniki bomb prostowano, a ich osłonę myto, tak aby żadna drobina błota nie zachwiała ich równowagi, gdy spadały przecinając powietrze.

Zbrojmistrze pracowali ostrożnie, mając być może w pamięci zeszłoroczny wypadek w Scampton, kiedy to wążąca cztery tysiące funtów bomba, zwana „kuka”, wypadła z bombowca podczas podwieszania i eksplodowała. Jej wybuch kompletnie zniszczył sześć Lancasterów i poważnie uszkodził pięć.

Pierwsza ofiara nalotu na Krefeld zmarła o godzinie dwunastej czterdzieści dziewięć podwójnego brytyjskiego czasu letniego w eskadrze B. Tylko samolot Tommy Cartera był zamieszany w ten wypadek. Z jego komory bombowej spuszczone nośniki, a bomby wciągnięto do środka.

Po ukończeniu podwieszania bomb, szeregowiec Jenkins odjechała z wózkami na bomby. Szeregowiec Grigson, elektryk, siedział właśnie w tylnej wieżyczce strzeleckiej, skąd mógł widzieć biuro eskadry B, a jednocześnie był na tyle daleko od drzwi samolotu, aby zdążyć poderwać się do sprawdzania przewodów, gdyby jakiś podoficer wszedł do maszyny. Była to dobrze wybrana kryjówka, tu można było spokojnie zapalić zakazanego papierosa.



Szeregowiec McDonald, zbrojmistrz, cały ranek zakładał zapalniki, a teraz pochylał się nad komorą bombową sprawdzając każdy pojemnik bombowy. Na jednej szczęce zauważył dwa błyszczące draśnięcia i domyślił się, że to zrobił szrapnel podczas poprzedniej operacji. Schwycił za metalową szczękę i pociągnął ją. Część odłamała się w rękę.

- Chryste - zdążył jeszcze powiedzieć McDonald, gdy tysiącfunтова bomba średniej mocy uwolniła się z uchwytu i spadła na niego. Nie eksplodowała, ale kiedy uderzyła w wyasfaltowaną nawierzchnię, ziemia zadrżała. Siedzący wewnątrz bombowca szeregowiec Grigson, z wypalonym do połowy papierosem, natychmiast zorientował się w sytuacji. Wskoczył, podbiegł do traktora i odciągnął pozostałe bomby dalej od samolotu. Następnie odłączył naładowany bombami wózek i powrócił na traktorze, by zdać meldunek z wypadku sierżantowi zbrojmistrzowi, który jako jedyny w Warley biegł do miejsca zdarzenia. Grigson zapomniał zupełnie o papierosie w ustach i kiedy sierżant zobaczył go palącego ryknął ze straszną wściekłością. Grigson został skazany na dodatkową służbę przeciwpożarową przez siedem dni.

Nikt nie odczuł wstrząsu wyraźniej niż starszy szeregowiec Henry Gilbert, czterdziestotrzyletni mechanik samolotowy z Lewes. Niedzielnym malarz przed wojną, zdobył sobie na lotnisku Warley Fen sławę jako artysta. Jego drabina stała oparta o nos samolotu, gdy bomba zwała się na McDonalda niecałe cztery jardy od niego. Drabina zatrzęsa się, a starszy szeregowiec Gilbert przerwał pracę w połowie pociągnięcia pędzlem. Ukończył właśnie wspaniały portret Józefa Stalina w koronie i akurat umieszczał poniżej napis „Joejak King”. Później, o wiele później, dokończył tę pracę, ale ostatnia część napisu wykonana była bardzo chwiejnym pismem.

Wszyscy w eskadrze B spoglądali odtąd na „Joe jak King” z bojaźnią.

— Matko Święta - powiedział Micky Murphy, wciągając podwozie Lancastera Sweeta po raz czwarty w momencie, gdy poczuł drżenie ziemi. Razem z dwoma mechanikami i Battersbym leżał w kałuży oleju oczekując wybuchu... - i to w moim cholernym wyjściowym mundurze.

— „L jak Love” - powiedział Worthington do Lamberta, kiedy przestali biec i odwrócili się.

- Zgubiłeś swoją protezę z zębami, Bercie? - zawołał elektryk samolotu „Door” do kolegi, który pomagał mu zastawiać pułapki na króliki za eskadrą B. Wpadli do rowu.

- Przysięgam, że ktoś pójdzie za to do raportu - przepowiedział Digby, patrząc przez lotnisko ku miejscu, gdzie zaparkowano „Joe jak King”.

- Uważaj na palce u nóg - zamruczał kapral Hancock, zbrojmistrz, który wciągał identyczną bombę do „Volkswagena”. Przerwał pracę i skulił się nisko nad asfaltową nawierzchnią. Fleming i dwaj oficerowie jego załogi, obserwujący pracę kaprala Hancocka, ani drgnęli. Spojrzeli jeden na drugiego, ale nie powiedzieli ani słowa.

Trzeba było czterdziestu pięciu minut na założenie nowej szczęki w „Joe jak

King”. Do tego czasu bomba, wewnątrz prawych drzwi bombowych i nawierzchnia lotniska zostały oblane pianą z gaśnic przez drużynę przeciwpożarową. Karetka pogotowia przyjechała i odjechała, podobnie jak pułkownik, adiutant i dywizjonowy lekarz. Dwaj strażacy w nowych, białych ubiorach azbestowych spędzili tu trzydzieści minut spoglądając z ponurym zawodem w oczach. Zniekształcone szczątki McDonalda oddano na przechowanie do baraku na zapleczu sekcji medycznej, czasem nazywanego kostnicą, a sierżant z kancelarii dywizjonu wysłał pilny telegram zawiadamiający zamieszkałego w Dundee ojca ofiary.

Dwóch sierżantów zbrojmistrzów wciągnęło inną bombę do wnętrza samolotu. Tę, która wypadła, odstawiono na drugi koniec lotniska, do dyspozycji drużyny likwidacji bomb. W ciągu godziny od wypadku samolot uznano za uzbrojony w bomby i w pełni operacyjny. Jednakże Tommy Carter, były policjant z Newcastle, który miał pilotować go tej nocy, uważał, że to zły omen.

## 7

Altgarten było małym, prowincjonalnym miasteczkiem liczącym prawie pięć tysięcy mieszkańców. Pięciuset z nich sprowadziło się tutaj po marcu, kiedy to zaczęło się regularne bombardowanie rejonu Ruhry - tak zwana Bitwa o Ruhrę.

W średniowieczu ogromny klasztor górował nad tym skrzyżowaniem dróg, gdzie handlowano wszystkim: od flamandzkich materiałów po niemieckie żelazo. Wspaniały most kamienny był kiedyś potrzebny do przekraczania rzeki, która płynęła wzdłuż Mauerstrasse, wschodniej granicy miasteczka. Altgarten nigdy się nie rozrosło, ponieważ główny szlak handlowy biegł na południe stąd, łącząc Kolonię z ważnym portem morskim Brugią, gdzie cumowały weneckie statki. Altgarten pozostało miejscem, w którym podróżni zmieniali konie i spiesznie łykali piwo, aby zdążyć przed zmrokiem do granicy holenderskiej lub Kolonii. Z klasztoru pozostały ruiny, a jego sady - których sława docierała aż do Amsterdamu - stały zapuszczone, wchłonięte przez miasteczko. Ze średniowiecznych budynków pozostał ostatecznie jedynie kościół Liebefrau; gospodarstwa owocowo-warzywne pokryły płaską okolicę, a rzędy cieplarni chciwie łąpały promienie słoneczne. Tutejsze fabryki jedwabiu wyrabiały teraz sprzęt spadochronowy

w szopach, na tyłach gospodarstwa Frau Kersten, a produkcja ta dawała zatrudnienie prawie dwustu mieszkańcom miasteczka, głównie kobietom.

Centrum miasteczka, dokoła kościoła Liebefrau, było wybrukowanym kocimi łbami trójkątnym rynkiem, otoczonym siedemnastowiecznymi domkami. Gdy przejeżdżały wojskowe konwoje, policjanci musieli kierować je przez Bismarckstrasse i dalej obok stacji kolejowej, ponieważ załadowane ciężarówki nigdy nie zdołałyby pokonać wąskich uliczek starego miasta. Wojna przyniosła Altgarten duże zmiany, choć tylko w oczach ludzi tu mieszkających, gdyż niewielu z nich było świadkami, jak reszta Europy zmienia się z motyla w robaka.

Rzecz oczywista, że kwiaty i owoce w gospodarstwach ustąpiły miejsca jarzynom, ale nastąpiło to na długo przed wojną. Nie używana fabryka w pobliżu browaru stała się na czas poszerzania głównej drogi obozem dla rosyjskich jeńców Wojennych. Biorąc jednak pod uwagę szybkość, z jaką Rosjanie pracowali, musieliby tam mieszkać całe lata. Stanowili brudną gromadę, zawsze głodną spędzającą większość wolnego czasu na kręceniu się po miasteczku i usilnym przeszukiwaniu rynsztoków w celu znalezienia niedopałków papierosów. Ostatnio chodzili od drzwi do drzwi z rzeźbionymi przez siebie madonnami. Katolicka ludność dawała im w zamian za to ziemniaki, papierosy i chleb.

Szpital rozrósł się znacznie od czasu, jak zwiększyły się naloty na Ruhrę. Wzniesiono przybudówkę i ośrodek szkolenia Czerwonego Krzyża „Samariter”, jak zwano młodych ludzi odbywających trzytygodniowy kurs pierwszej pomocy. Do tych budynków przylegał ogromny teren pokryty barakami, gdzie kierowane na rekonwalescencję kaleki z frontu wschodniego uczono posługiwania się nowymi, sztucznymi członkami. Te instytucje zdominowały miasteczko. W niektóre popołudnia Dorfstrasse była tak zatłoczona personelem medycznym i żołnierzami-rekonwalescentami, że miejscowi ludzie czuli się tu obco.

W miejscu, gdzie było kiedyś prawdziwe morze kwiecia, teraz znajdował się obóz Technische Nothilfe (TENÖ), pełen wojskowych oddziałów specjalnych, przeznaczonych do niesienia ratunku i dokonywania napraw w bombardowanych miastach Ruhry. Ostatnio TENÖ budowała tam bocznice kolejową dla swego ciężkiego sprzętu. Była to żmudna praca, więc każdego wieczoru pito wiele cienkiego, „wojennego” piwa u Frenzla.

Dzielnica mieszkaniowa po północnej stronie miasteczka, przewidziana do przekwaterowania mieszkańców ruder wokół gazowni, była teraz zajęta przez lekarzy i oficerów TENO, którzy wcale nie starali się wzbudzić sympatii miejscowych. Tylko Herr Frenzel, właściciel najpopularniejszej restauracji w Altgarten, nigdy się nie skarżył. Bar na parterze lokalu, zawsze pełen mechaników TENO, był niekiedy świadkiem awantur, ale restauracja na piętrze była szykowna. Okna wychodziły na plac przed kościołem Liebefrau i otaczające go siedemnastowieczne domy.

Liebefrau był kościołem wzniesionym w stylu, jaki można spotkać tylko na północy. Laskowane okna były bardzo szerokie, aby wpuścić jak najwięcej skąpego, północnego światła, a dach zbudowano stromo, by pozbywać się śniegu. Jego wysmukłe przypory biegły w dół jak łańcuchy kotwiczne napięte pod naporem silnych fal, podczas gdy stojące obok białe domy przypominały strome, kredowe skały nadmorskie, do których kościół przycumowano.

Zimny front z gęstymi, ciemnymi chmurami przeszedł w porze obiadowej nad Altgarten ku wschodowi, ale deszcz nie spadł. Teraz łagodnie płynęły bielsze chmury, kurcząc się i strzępiąc, aby odsłonić ukryty za nimi błękit nieba i pozwolić złotym plamom słonecznym przesunąć się spieszenie przez Liebefrauplatz, musnąc stare mury kościoła i przeświecić ponure wnętrza błyszczącymi obrazami witraży. Przed kościołem zebrał się tłum ludzi biorących udział w rozreklamowanej zbiórce pieniędzy. Każdy, kto ofiarował dwie marki na pomoc zimową, był proszony o wbicie gwoździa w drewnianą mapę Wielkiej Brytanii. Od chwili, kiedy burmistrz wbił tego ranka pierwszy gwóźdź, wielu najbardziej wpływowych ludzi miasteczka wzięło udział w tych czarach. Mapa była usiana, jak po przejściu ospy, plamkami główek gwoździ, które koncentrowały się wokół Londynu, gdyż tylko najwyżsi mogli osiągnąć Szkocji. Przygrywała orkiestra Hitlerjugend, pomagając w zbiórce pieniędzy. Chłopcy grali głośno i bez pomyłek, a ich muzykę słychać było wewnątrz lokalu Frenzla, pomimo pobrzękiwania naczyń i gwaru rozmów.

Na drzwiach lokalu wypisano rzeźbionymi w drewnie literami: „Frenzel Stube”. Wyższe piętra miały tynk malowany ochrą i rzeźbione czarne belki pod sufitem. Stary dom pochylił się i ugiął jak na jakiejś ilustracji w książce z bajkami. Jego wnętrze było ciemne nawet w tak

słoneczny dzień jak dzisiaj. W miasteczku były jeszcze inne, bardziej luksusowe restauracje, ale żadna nie miała takiego kucharza jak Frenzel i w karcie takich dań, jakie podawał Frenzel. Było mnóstwo domysłów, co do źródeł pochodzenia mięsa, ale lokalowi Frenzla patronowali najważniejsi obywatele Altgarten i żaden z nich nie stawiał pytań. Dla tych, którzy mieli pieniądze, żeby zapłacić, znajdowało się w piwnicy Frenzla dobre wino i szampan, a także stara brandy. Była też szynka z Bayonne i nadziewany truflami pasztet ze Strassburga, ponieważ dla Europy, odciętej od Brytami i USA oraz przy sztucznie podtrzymywanym wysokim kursie marki, Niemcy stały się najlepszym odbiorcą luksusowych wyrobów starego kontynentu.

Muller, właściciel fabryki spadochronów, przychodził do lokalu Frenzla prawie każdego wieczoru. Prominenci partii hitlerowskiej organizowali tutaj swoje bankiety. Dowódca TENO był stałym gościem, podobnie jak kierownik elektrowni. Stale bywała także Frau Kersten, która prowadziła własne gospodarstwo warzywne. Dzisiejszy wieczór jednak miał być specjalny. Burmistrz siedział w pobliżu okna z samym Herr Frenzlem, planując każdy szczegół obiadu z okazji swoich pięćdziesiątych trzecich urodzin.

Burmistrz, Walter Ryessman, był wysokim na sześć stóp i dwa cale, szpakowatym mężczyzną, byłym oficerem kawalerii, ze szramą na czole po pojedynku. Do partii hitlerowskiej wstąpił w 1928 roku, kiedy brakowało w niej jeszcze członków z wyższych sfer. Pozostał nadal zapalonym hitlerowcem, ale także Niemcem starej daty. Był spokojnym, dostojnym człowiekiem, dla którego honor oznaczał mówienie prawdy, walkę do ostatniej kropli krwi i bezlitosne odrzucanie niearyjskich wpływów. Ponad połowa ludności Altgarten wychowywała się w katolickich domach, ale burmistrz nie sztykanował tych „innowierców”. Krucyfiksy oczywiście usunięto z Volksschule i zniszczono oraz nie nauczano żadnej religii. Nigdy też nie postawiono żadnego policjanta przy bramie kościelnej, aby zanotował nazwiska biorących udział w nabożeństwie. Herr Ryessman chwalił się na zebraniu partii w Dortmundzie: „Żaden obywatel, oprócz Żydów, gotów maszerować z narodowymi socjalistami do zwycięstwa i bronić honoru, nie potrzebuje obawiać się niesprawiedliwości z mojej strony”.

Ale największy triumf święcił burmistrz na polu biurokracji. Właśnie przed pięćmioma miesiącami, dzięki różnym manipulacjom z wypełnianiem

formularzy i rozsądnemu porozumieniu, ocalił dzwony kościoła Liebefrau przed przetopieniem ich na cele zbrojeniowe. Oddźwięk ze wszystkich stron zaskoczył go. W jednej chwili udało mu się zdobyć życzliwość katolików, tradycjonalistów, historyków i kolegów. Dość dziwne, ale jednym z pierwszych, którzy mu gratulowali, był starszy etatowy oficer SS w Altgarten Herr Berger.

- Skromne przyjęcie - tłumaczył burmistrz. - Osiemnaście osób, większość z mojej rodziny.

— Rozumiem - powiedział Frenzel. - Osobiście dopilnuję jedzenia, wina i obsługi, Herr Biirgermeister.

— Burgund. Ten sam co zeszłego roku.

— Zapisalem - odpowiedział Frenzel.

— Z kim siedzi Herr Bach?

Burmistrz szanował Augusta Bacha. Bach nie tylko odbył nienagannie służbę wojskową podczas I wojny światowej, ale pochodził z dobrej rodziny i pełnił służbę oficera Luftwaffe. Był prawdziwym Niemcem, prawym i milczącym. Co więcej, jego kuzyn, Gerd Boli - choć to frywolny i niekonwencjonalny facet - był jednym z najlepiej prosperujących kupców w miasteczku. Gdyby Bach poświęcił nieco więcej uwagi polityce, mógłby awansować znacznie wyżej niż do stopnia Oberleutnanta. Człowiek z „Niebieskim Maksem” - najwyższym odznaczeniem z pierwszej wojny - powinien być generałem. Czego by Burmistrz nie dokonał mając ten medal.

— Ze swoją gospodynią domową - odrzekł Frenzel nie podnosząc wzroku, gdyż miał już wyrobioną opinię o stałych gościach swej restauracji.

— To on jada z nią obiady? - zapytał burmistrz.

— Tak - odpowiedział Frenzel.

— Ileż czasu minęło od śmierci jego żony?

— Trzydzieści miesięcy - odparł Frenzel, który już zdążył to obliczyć.

— Bardzo piękna dziewczyna - zauważył burmistrz.

— To prawda - przyznał Frenzel, - Jej ojciec pochodzi z Wrocławia i jest wysoko postawionym urzędnikiem Ministerstwa Propagandy.

— Ach, tak? - powiedział burmistrz, dotykając palcami odznaki partyjnej w klapie.

August Bach widział w Annie-Luizie znacznie więcej, niż mogła pokazać w ubraniu. Śmiała się chętnie i była zachwycona wszystkim, co

mówił i robił.

— Cieszę się, że skórki kielbasek Herr Frenzla także pękają - powiedział, a ona zachichotała. Nie przywykła wypijać w południe dwóch dużych kieliszków wina.

— Pełno w nich chleba - wyjaśniła, uroczyście godząc nożem w kielbasę.

— Nie - powiedział August. - To tajemnicze promienie, jakimi dysponują Brytyjczycy. Człowiek w Londynie naciśnie przełącznik i każda skórka na kielbasce w rejonie Ruhry pęka do końca. Wielki miotacz kielbas stanowi tajną broń brytyjską.

Obserwowała jego twarz, ponieważ nie przyzwyczała się jeszcze do myśli, że ten człowiek potrafi się z nią przekomarzać. Następnie zaśmiała się z jego dowcipów i swego własnego szczęścia.

— Tort wiśniowy - powiedział August. - Frau Frenzel robi go sama.

— Tak - odpowiedziała Anna-Luiza wpatrując się w jego oczy i nie słysząc co mówi.

Śmiała się jeszcze, kiedy wychodzili od Frenzla przez pokój barowy. Było tam kilku znanych im ludzi. Grupa mechaników TENO pokiwała Annie-Luizie, ona zaś przesłała im całusa.



- To przyjaciele małego Hansla - wytłumaczyła. - W zeszłym tygodniu zabrali go na przejażdżkę ogromnym dźwigiem. Bardzo mu się to podobało. Wszyscy lubią twojego małego synka, Auguście.

Uszli zaledwie kilka kroków, gdy ktoś zawołał Augusta. Po drugiej stronie ulicy stała szara furgonetka z wypisanym na jej boku nazwiskiem: „Gerhard Boli”. Za kierownicą siedział sam właściciel. Wysiadł i podszedł do nich.

Gerd Boli owdowiał cztery lata temu. Był wesołym, niskim mężczyzną o długich ramionach i potężnych dłoniach, co nadawało mu wygląd śmiejącego się, łysego goryla. Gerd nie czynił nic, by to podobieństwo ukryć, a po kilku kieliszkach sznapsa, jaki pędził w garażu za swoim sklepem, bujał się wokół słupów latarnianych i straszyl przemykających w ciemnościach ludzi. Straszyl w ten sposób przechodniów dawniej, ale teraz zbyt wielu mieszkańców przyzwyczyło się do tego. Żarty Gerda Bólla były o tyle niestosowne, że nie wypadało ich czynić człowiekowi, który kiedyś był doktorem mechaniki na Uniwersytecie Lipskim. Gerd Boli miał dwa sklepy towarów kolonialnych w Altgarten, a jego krewny prowadził mu jeszcze jeden sklep w Krefeld. Każdego wieczoru meldował się ze swoją furgonetką pod biurem obrony przeciwlotniczej w ratuszu. Za oddanie swojej furgonetki do dyspozycji obrony przeciwlotniczej był uprawniony do sześćdziesięciu litrów benzyny miesięcznie. Po szczególnie ciężkich nalotach na miasta Ruhry, Gerd jeździł furgonetką na zbombardowane tereny nieść pomoc ofiarom. Czasem opowiadał w barze jeżące włosy na głowie historie o śmierci i szkodach, jakich był świadkiem, a ludzie z TENO dodawali własne wrażenie.

— Auguście! - zawołał. - Szukałem cię. Wstąpiłem do ciebie myśląc, że dostanę trochę prawdziwej kawy.

— O co chodzi? Idziemy właśnie po zakupy.

— To może poczekać - odparł Gerd. - Nie wiedziałem, że jesteś z Anną-Luizą.

— Mamy zamiar się pobrać, Herr Boli - oznajmiła.

Kuzyn Augusta tak się zdziwił, że oboje, Anna-Luiza i August, zaśmiali się.

— Czy to takie straszne? - zapytała go Anna-Luiza.

— To cudowna wiadomość - odparł Gerd Boli.

— Nie wyglądasz na zachwyconego - rzucił August.

— Przepraszam - powiedział Gerd.

— Herr Oberleutnant! - zawołał jakiś szorstki głos. Przy krawężniku stał zaparkowany kiibelwagen, wojskowa wersja volkswagena. Jego kolory ochronne pokryte były zeschniętym błotem, a równie brudna przednia szyba leżała złożona na masce silnika. Z boku miał wgniecenia, a cztery rdzewiejące dziury po pociskach biegły wznoszącą linią ponad tylnym kołem. Wóz miał tablicę rejestracyjną SS, a tylne siedzenie było wyładowane pakunkami. Z przodu siedział kierowca, z pewnością jeniec rosyjski, a obok niego oficer Waffen SS w mocno wyświechtanym, skórzanym płaszczu i okularach chroniących przed kurzem. Oficer rzucił Bachowi niedbałe pozdrowienie wojskowe.

— Czy jest tutaj jakaś jednostka SS?

Spojrzał z uznaniem na Annę-Luizę.

— Wald Hotel - odpowiedział August.

— Gdzie to jest?

- Jedźcie do końca tej ulicy, a potem skręćcie w prawo, jadąc wzdłuż starych murów. Hotel znajduje się tam, gdzie zaczynają się drzewa. Zobaczycie biało-czarne budki wartownicze - wyjaśnił Gerd.

— Dziękuję - powiedział oficer.

— Drobnostka - rzekł Gerd.

— Heil Hitler! - rzucił oficer. Znow spjrzał na Annę-Luizę i nie czekając aż August odsalutuje, wydał kierowcy instrukcje w obcym języku.

Obserwowali odjeżdżający z rykiem samochód wymijający konie i wozy, posuwające się wolno obok kościoła Liebefrau. Ich metalowe obręcze turkotały na kocich łbach jak werble bębenków. Spoglądali za nim przez kilka chwil.

— Masz coś do mnie? - zapytał August Gerda.

— To może poczekać do twego następnego urlopu.

- Będę tu znowu za dwa tygodnie - powiedział August.

— Wspaniale - rzekł Gerd. Wszyscy troje patrzyli na siebie w milczeniu, pragnąc je przerwać, ale nie wiedząc jak.

— Za godzinę wracam do jednostki - oznajmił August. - Ale najpierw musimy kupić pierścionek, a potem napiszę do rodziców Anny-Luizy.

- Nie będę was zatrzymywał - powiedział Gerd, ale nie żegnał się z nimi.

- Czy coś się stało, Gerdzie?

Gerd potrząsnął ręką Augusta ściskając ją gorąco.

- Baw się dobrze, Auguste i ty także Anno-Luizo. Na wojnie tak mało zaznaje się szczęścia.

Szli powoli przez Liebefrauplatz.

- Zwykle jest wesołym człowiekiem - odezwał się August.

Gerd przejechał obok nich i pokiwał ręką.

- Jest zabawny - zgodziła się Anna-Luiza. - Wszyscy mówią, że to najweselszy mężczyzna w Altgarten.

— Nie jest dziś w formie - stwierdził August Bach. - Zachowuje się dziwnie.

— W każdym razie nie padało - odezwała się Anna-Luiza, gorąco

pragnąc zmusić go do uśmiechu.

To prawda - przyznał się August uśmiechając się i przyciskając dyskretnie jej ramię. - Chociaż mówi się, że gospodarstwa potrzebują deszczu. Na wsi jest bardzo sucho.

Rzeka Ouse przedziela krainę, nad którą latają zwiadowcy. Na północ od tej rzeki polacie starych terenów leśnych kładą cień na drogę, za którą dojrzyć można niezmiernie płaski, torfiasty teren, opadający w dół ku południowemu zachodowi. Woda deszczowa ściekająca z lotnisk zmienia czasem śpiącą, prawie nieruchomą Ouse w rwący potok, który przelewa się wtedy przez brzegi i wypełnia cieniste przejście głębokim błotem, nawet u szczytu lata. Nad tym terenem odbywały swoje próbne loty bombowce, rzucając na ziemię cienie skrzydeł tak jak tysiące lat temu pterodaktyle, których zaskorupiałe szkielety można jeszcze dziś znaleźć w pobliskich kopalniach kredy.

Upłynęła już połowa dnia. Maszyny stały gotowe, a formularze codziennego przeglądu zostały parafowane. Ryk krążących bombowców nie ustawał od wczesnego rana. „Creaking Door” dostał zielone światło ze stanowiska kontroli, więc Lambert pchnął prawą dłoń manetki przepustnicy łagodnie do przodu, tak jak to czynił już z tysiąc razy. Lewe utrzymywał nieco z przodu dla skorygowania schodzenia z kierunku. Czuł za plecami młodego Battersa, który opierał się o niego dając w ten sposób znać, że tam jest. Podniósł szybko ogon. Doznał tego ekscytującego uczucia naciskania oparcia siedzenia mocno na kręgosłup, kiedy pięć tysięcy funtów samolotu kołysało się wyczekująco przed ostatecznym oderwaniem się od pasa startowego. Battersby przejął manetki wsuwając swoją dłoń pod dłoń pilota, tak jak to przedtem czynił Micky Murphy, kiedy wykonywał piętnaście lotów na NFT i piętnaście operacji, jakie po nich nastąpiły. Lambert potrzebował teraz obu rąk, aby przyciągnąć kolumnę sterową i zmusić ciemny przód maszyny do wyjścia ponad horyzont. Naciskał specjalnie mocno na orczyk, ponieważ Battersby nie utrzymywał lewych manetek gazu wystarczająco daleko w przodzie.

Cohen wykrzykiwał prędkości lotu ze swojego prędkościomierza, leżącego obok pulpitu nawigacyjnego: dziewięćdziesiąt pięć, sto, sto pięć i nagle „Creaking Door” znalazł się w powietrzu. Battersby widział ruch steru kierunkowego i dokładnie korygował przepustnicę.

— Moc wznoszenia - zaintonował śpiewnie Lambert.

— Moc wznoszenia - powtórzył Battersby.

— Wciągnąć podwozie.

- Wciągnąć podwozie.

Przed nimi było tylko niebo. Horyzont zniknął z widoku jak bezużyteczny krąg.

— Klapy w górę.

— Klapy w górę.

Battersby schował klapy, które zazgrzytały wsuwając się w skrzydła.

- Moc przelotowa.

Battersby przesuwiał manetki zbyt szybko, co nagłym szarpnięciem zmniejszyło prędkość samolotu, a ryk zmieniło w buczenie. Dziób samolotu nieco opadł i Lancaster przeszedł do lotu poziomego.

- Tylko runda wokoło ogródka - powiedział Lambert. W ten sposób informował Cohena, że nie będzie potrzebował ustalania położenia samolotu ani nawigacji w czasie tego krótkiego przelotu.

Nastąpił mały trzask, gdy włączono mikrofon.

— Będzie mięso zapiekane w cieście - odezwał się Digby z przedniej wieżyczki strzeleckiej. Powinien stać przy starcie za Lambertem, ale wołał być z przodu, tym bardziej, że Lambert nie oponował. - Ale do później wydawanych obiadów podadzą prawdopodobnie frytki.

— Skiper! - zawołał Binty Jones z góry wieżyczki - czy to glikol na lewym wewnętrznym?

Lambert wyjrzał. Lubił swój samolot. Świat widziany przez ten sędziwy pleksiglas nie był jasny i świeży, ale stary i pożółkły jak pergamin. Polerowane tysiące razy okna stały się delikatnym układem optycznym, który obramowywał krajobraz aureolami, a ze słońca czynił pęk złotego drutu. Spojrzał na pokrywy silników poobijane stopami monterów pokładowych i kawałkami lodu. Każdą śrubę płatów poszycia pokrywała wkoło siatka rysek po zadrapaniach śrubokręta. Z tłumików wydechowych wychodził podobny do pióra strumień płomienia. Jego żar wypalał olej rozlany na osłonach silnikowych. Ciemnobrązowe plamy świeciły barwą głębokiej czerwieni i bogatej zieleni, jak starodawne naczynia emaliowane. Ponad rurami wydechowymi, na matowej farbie maski silnika, połyskiwała plamka. Chwytała jasne, popołudniowe światło słoneczne i błyszczała jak świeżo wybita moneta pensowa. Battersby również rzucił na nią krótkie spojrzenie, a potem odwrócił się do swojej tablicy. Był zdecydowany wykonać robotę zgodnie z instrukcją, nawet lepiej niż Murphy.

— Pompy paliwowe wszystkich zbiorników wyłączone - zameldował

Battersby. - Świateł ostrzegawczych brak.

— Przeciek cieczy chłodzącej zawsze może sprawić duży kłopot - odezwał się Binty, który perorował jak Jeremiasz.

— Co myślisz o tym, mechaniku? - zapytał Lambert.

— To tylko oleisty ślad stopy - odparł Battersby. - Widziałem, jak monter to zrobił. Powinienem nakazać mu to wytrzeć, przepraszam.

Nawet nie odwrócił się od swoich przyrządów.

Lambert znowu spojrział na plamę: miała kształt gumowego czubka buta. Klepnął Battersa w ramię tak, że ten odwrócił się. Lambert wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu, a bladolicy mechanik odetchnął z ulgą, bo obawiał się reprimendy.

— Battersie, jak zachowuje się prądnicą?

— Doskonale, skiper.

Digby leżał w przodzie maszyny, obserwując przesuwaną się pod nim słoneczny krajobraz. Włączył telefon pokładowy

- Skiper, czy powiedzieli panu, co będzie dziś w nocy?

Jak zawsze, kiedy Digby próbował się czegoś wywiedzieć, jego akcent stawał się bardziej nosowy; przeciągał każde słowo, ile się dało, jak miękką gumę do żucia.

— Tak - odrzekł Lambert. Pochylił głowę nisko w prawo, aby zaobserwować reakcję Digby'ego.

— No dalej, skiper - powiedział Digby oglądając się na niego. - Niech pan nam powie.

— Hamburg - zaryzykował Jimmy Grimm, radiotelegrafista. - Powiedziała mi dziewczyna z kancelarii WAAF.

— Też mi wiadomość - zauważył pogardliwie Binty z górnej wieżyczki. - Kto jej powiedział? Może pułkownik wczorajszej nocy w łóżku?

— Skiper - przymiłał się Digby - muszę wykonać obliczenia. Powinienem wiedzieć.

— To jest robota na pięć zbiorników. Dwa tysiące sto pięćdziesiąt cztery galony - odrzekł Lambert.

Digby pokiwał głową mrużąc oczy w ciepłych promieniach słońca, przechodzących przez przednią szybę. Lambert kontynuował:

- Cały dywizjon zrówna to gówno z ziemią.

Nawet bez telefonu pokładowego wszyscy usłyszeliby gwizd radości Binty'ego.

— To jest to, skiper - wtrącił Flash Gordon z tylnej wieżyczki strzeleckiej.

— Wy skurczybyki - powiedział wesoło Digby.

— Uparty Dziób - odezwał się Lambert. Było to jedno z najbardziej trafnych przezwisk Digby'ego.

Jimmy Grimm zgarbił się przy swoim stoliku, pod półkami ze sprzętem radiowym i uśmiechnął się. Wysyłał najpopularniejszy sygnał próbny operatora:

- Najlepszy drut gięty, najlepszy drut gięty, najlepszy drut gięty.

Któż wie, kto pierwszy wynalazł to dziwne zdanie z jego podobnym do jazzu rytmem, znane operatorom RAF jak i obsłudze radiowych urządzeń nasłuchowych Luftwaffe.

Lambert wprowadził samolot w łagodny skręt. Pod nachylnym skrzydłem zielony krajobraz przechylił się nieco w przód, jak oczekujący łyżki talerz z zupą. Wielka Droga Północna była aż czarna od ruchu kołowego: długie wojskowe konwoje i cywilne ciężarówki poruszały się ciężko po tej starożytnej arterii Anglii.

Lambert spoglądał na oślepiające smugi słońca wytworzone przez obracające się śmigła i wyrównał je zonglując manetkami gazu. Zauważył, że Battersby obserwuje go. Uśmiechnął się, a następnie zepsuł harmonię i wskazał na manetki, aby Battersby spróbował.

Binty usłyszał, że silniki zaczęły nagle pracować nierówno i zapytał:

— Co się dzieje z silnikami?

— Nic - odpowiedział Lambert. - Battersby ma stery.

— Wobec tego wysiadam - oznajmił Binty.

- Nie bądź głupi - odezwał się Lambert. - Lepiej, żeby umiał jak najwięcej.

Zapadła głucha cisza.

Na północny zachód od Huntingdon krajobraz nagle się zmienił. Nie było już chałup krytych strzechą z okapami nad drzwiami. Teraz pokazały się domy mieszkalne z żółtej cegły i rdzawe szopy. Wysmagane wiatrem działki pełne kapusty, druciane opłotowania i stare samochody ustawione na drewnianych klockach do czasu, aż skończą się kłopoty z benzyną. Tu pola



miały jasne kolory: jasnożółte, złote, zielone kartofliska i jasnoniebieskie pola „pełne kapusty.

Wyłoniły się płaskie, kanciasto ukształtowane moczary i rzeka Ouse, którą przechodzili w bród Anglowie, Saksonowie i Jutowie. Duńscy Wikingowie także plądrowali te ziemie i pozostawili po sobie nazwy na mapie. Ukazało się lotnisko Bourne i kręcące się dokoła niego, podobne do much samoloty, które dzisiejszej nocy polecą z nimi.

To na pewno Godmanchester. Wyraźnie widać skrzyżowanie dwóch starych, rzymskich dróg w centrum miasteczka.

- Jakiś Lancaster przed nami - oznajmił Digby.

Wolno posuwał się do przodu, bo wiatr spychał go w bok. Nie był z ich dywizjonu. Nie był to także samolot treningowy z OTU: Upwood lub Woolfox Lodge. Lambert spojrział na obcego Lancastera i usiłował spojrzeć na niego inaczej, jakby nigdy przedtem takiego bombowca nie widział. To była ogromnie ciężka maszyna, trzydzieści ton wagi. Nawet licząc silniki i wieżyczki jako jedno i nie licząc nakrętek, śrub i nitów, ten bombowiec składał się z pięćdziesięciu pięciu tysięcy różnych części. Ponad trzy mile przewodów elektrycznych, tyle prądnic, że można by było nimi oświetlić hotel, urządzeń hydraulicznych, zdolnych unieść most, radio wystarczająco silne, aby rozmawiać z miastami na odległym krańcu Europy i dość paliwa, aby dolecieć nad zamierzony cel i zniszczyć go.

Lambert utrzymywał prędkość. Była dostatecznie duża, aby cał po calu zmniejszać odległość między obydwoma samolotami. Czy taki widok będzie miał myśliwiec przed naciśnięciem spustu, kiedy wyśle ich wszystkich do wieczności? Czy dziś w nocy? Harmonijne krążki: czerwone, białe i niebieskie, były symbolami Brytanii. Jego brązowo-zielona górna powierzchnia wyglądała jak zaorany i zielony łąd, ponad którym samolot latał. Jak prymitywne przedmioty kultu, jasno malowane samoloty wyzywały nieprzyjaciela do walki, a wymalowane na nich żółte bombki lub inne oznaczenia strąconych samolotów pokazywały, jak potężne jest działanie ich magii.

Lambert napatrzył się już dość na drugiego Lancastera. Zbliżył się do niego tak bardzo, że stało się to niebezpieczne. Wykonał ruch wolantem, przesunął manetki gazu i skoku śmigieł. „Creaking Door” uniósł się jak skoczek na pokazie pozostawiając drugi samolot daleko w dole. Tak było

lepiej. Nawet kichnięcie nerwowego strzelca pokładowego wystarczało, aby rzucić samolot w gwałtowne akrobacje. Podobnie jak większość pilotów bał się kolizji w powietrzu bardziej niż flaku i nocnych myśliwców razem wziętych.

Wstrzymał wznoszenie. Lot po prostej i w poziomie podczas sprawdzenia, gdzie się znajdują. W odległości sześciu do siedmiu mil w prawo krajobraz ogarniał Cambridge, kropeczki chylących się ku upadkowi robotniczych domów mieszkalnych i przedmieścia nowobogackich. W jego centrum, obfitującym w zielone dziedzińce i spowite w kwiatach tereny nad rzeką, stał wielki uniwersytet z wieżami szczerzącymi zęby w uśmiechu, jak smok ostrzegający nie studentów, aby nie ważyli się tam wejść. Później znów było widać więcej lotnisk. Pod nimi przesunęło się lotnisko RAF Oakington. Lancastery stały rozproszone wzdłuż obwodnicy. Łagodny skręt. Warley leżało gdzieś w lewo, niewidoczne pośród moczarów. Zauważył, że drugi Lancaster kieruje się w tamtą stronę. Lambert lubił takie latanie w pogodny, wspaniały, letni dzień. Tak właśnie wyobrażał je sobie, kiedy zgłosił się ochotniczo do służby.

Leciał teraz utrzymując kurs i wysokość. Nie potrzebował kompasu, ponieważ pod nim znajdowała się sztucznie zbudowana rzeka Bedford, lśniąca w słońcu jak długa na dwadzieścia mil, stalowa igła.

- Nazywam to kompasem Lamberta.

Głos poderwał go. Kosh Cohen był obok, siedząc na składanym stołeczku Battersa wyglądał przez okno zupełnie jak turysta. Lambert uśmiechnął się.

- Pan zawsze przylatuje nad to miejsce, skiper - powiedział Cohen. – Czy to właśnie tutaj zamierza pan zamieszkać po wojnie?

- Być może. Czy twoje zabawki w porządku?

Cohen przytaknął głową.

- Wracajmy więc na obiad - oznajmił Lambert i skierował nos samolotu w dół. Cohen złożył taborecik i powrócił na swe ciemne, zasłonięte miejsce. Miał niewiele pracy, ponieważ Lambert leciał według widocznych w terenie punktów orientacyjnych. Posortował mapy i poddał Gee i H2S zwykłej próbie. Chociaż przyrządy te łatwo ulegały technicznym usterkom, Cohen cieszył się, że może pracować na nowym aparacie radarowym, który pokazywał mu ziemię nawet pomimo mgły lub ciemności. Czuł się jak jakiś

bóg mogący sprowadzić gniew na grzeszny Babilon. Tylko niektóre załogi miały na pokładzie to udoskonalone urządzenie.

Głos Lamberta popłynął przez telefon pokładowy, pytając każdego członka załogi, czy sprzęt jest w porządku. Cohen przyłożył maskę do ust, aby powiedzieć „tak” do mikrofonu. Na pierwszych dwóch lotach bojowych zwymiotował zanim jeszcze przekroczyli wybrzeże Anglii. Poza upokorzeniem, powodowało to utratę cennej wysokości przez „Creaking Door”, aby umożliwić mu oczyszczenie się przed ponownym założeniem maski tlenowej na twarz. Poznał już smak strachu. Zaostrzył ołówki i przygotował elastyczny pasek, zapobiegający pogubieniu ołówków, liniałów i kątomierzy podczas gwałtownych ewolucji w czasie akcji. Spojrzał na mapę znajdującą się na samym wierzchu i odczytywał nazwy portów nad Kanalem. Przejeżdżał przez nie na wakacjach przed wojną. Włączył mikrofon.

— Battersie - powiedział pod wpływem impulsu. Przez chwilę nie było odpowiedzi, po czym odezwał się mechanik:

— Tu mechanik, kto mówi?

- Kosh, Battersie. W jakim zgrupowaniu był twój brat w Dunkierce?

Przez chwilę panowało milczenie. Cohen zastanawiał się, czy znowu go nie wywołać, gdy Batters odpowiedział:

- Ja to sobie zmyśliłem - powiedział. - Mój brat jest w rezerwie na podstacji elektrycznej.

W telefonie pokładowym zapanowała oszałamiająca cisza. Wtedy Battersby dodał niespokojnie:

— Nie zamierzasz chyba powiedzieć tego panu Sweetowi?

— Nie - odkrztał Cohen - oczywiście, że nie.

Lambert widział Warley Fen na wprost przed sobą. Pasy startów i lądowań wyróżniały się w krajobrazie, jak czarny, tuszem namalowany krzyż, zaznaczony na kolorowej mapie. Lambert rzucił szybko wzrokiem dokoła, aby upewnić się, czy nie ma jakiegoś innego samolotu krążącego nad lotniskiem. Wysoko nad nimi zobaczył cienką smugę pary, skroplonej w wyższej atmosferze. Wywołujący ją samolot był tylko małą plamką.

— Popatrzcie, jak on leci - powiedział Cohen. Lambert domyślił się, że stoi pod astrokopułą. Zawsze, gdy znajdowali się w powietrzu, czuł się jak dziecko na wycieczce.

— To samolot meteorologiczny, który zbada pogodę nad naszym celem - stwierdził Digby.

Patrzyli w górę na punkcik.

- Z taką wysokością - powiedział Lambert - człowiek mógłby żyć wiecznie.

Na wysokości trzydziestu dwóch tysięcy stóp, Spitfire zaczął za sobą ciągnąć białą, pierzastą smugę w rzadkim, wilgotnym powietrzu. Pilot dojrzał tę smugę w lusterku i pchnął drążek sterowy do przodu. Mocno wypolerowany Spitfire Mk XI zareagował płytkim nurkowaniem. Wskazówka wysokościomierza cofała się powoli do czasu, aż biała smuga urwała się. Pilot natychmiast wyprowadził samolot do lotu poziomego. To była dzisiaj jego najbezpieczniejsza wysokość. Żaden nieprzyjaciel nie mógł zaskoczyć go z góry, bez pozostawienia za sobą ostrzegawczej smugi. Teraz musi obserwować jedynie przestrzeń pod sobą. Sprawdził po raz dziesiąty notes i ołówki umocowane paskiem do kolana. Usadowił się wygodnie w siedzeniu i przesunął palcem wokół kołnierzyka; w kabinie było bardzo ciepło. Niewielu ludzi widziało świat z tej wysokości. Niewielu ludzi wiedziało, że wygląda jak tort; jego podstawę tworzyła bogata, angielska zieleń, na niej warstwa jasnozielonego oceanu a następnie Holandia, brunatnawa i upstrzona chmurami wzdłuż wybrzeża. Potem daleki horyzont, gdzieś w odległości jakichś dwustu mil, znikający w białej mgłę, podobnej do bitej śmietany. Nad tym wszystkim tyle nagromadzonego błękitu nieba, ile tylko mogło się pomieścić. Do Ruhry i z powrotem to dla Spitfire'a zaledwie dziewięćdziesiąt dwie minuty. Będzie jeszcze czas na partię tenisa przed podwieczorkiem.

W trzynastym wieku handlarze wełną ze wschodniej Anglii, wzbogaciwszy się w Niderlandach, sprowadzili z kontynentu wytwórców klinkieru i architektów zaszczepiając zamiłowanie do wytwornych domów holenderskich. Wiele budowli zachowało się równie dobrze jak Warley Manor, z jego wyróżniającymi się, zakrzywionymi przyczółkami i misternymi, holenderskimi esówkami. Studenci Wydziału Sztuki przybywali tu regularnie, aby go narysować. Siadali na ocienionym starymi wiązami trawniku, a kanapki z ogórkami spożywali w pokoju z tarasem. Teraz mieściło się tu kasyno oficerskie Stacji RAF Warley Fen. Pokój z tarasem umeblowano długimi politurowanymi stołami. Pracownicy obsługi, ubrani w

białe marynarki, poruszali się ostrożnie pomiędzy stołami przygotowując do obiadu białe, lniane serwetki i błyszczące szkło. Poprzez drzwi do przedpokoju dochodziły wesołe okrzyki oficerskiego personelu latającego i dźwięki muzyki Al Bowlly'ego z płyty gramofonowej. Światło słoneczne układało wzory na dywanie, a oszklone drzwi otwarte, by wypuścić dym tytoniowy.

W Warley Fen znajdowało się szesnaście bombowców Lancaster. Każdy miał siedmioosobową załogę. Z tych stu dwunastu operacyjnych członków załóg, osiemdziesięciu ośmiu było sierżantami. (Kasyno sierżantów tworzył szereg wzajemnie połączonych baraków z blachy falistej).

Pozostałych dwudziestu czterech lotników było oficerami; dzielili kasyno z czterdziestoma ośmioma innymi oficerami, od kapelana do oficera stomatologa, i kilkoma oficerami WAAF, takimi jak oficer sekcyny Maisie Holroyd. Była to pulchna, trzydziestoosmioletnia kobieta, która spędziła osiem lat na prowadzeniu w Exeter taniej jadłodajni, serwującej „mięso i dwa rodzaje jarzyn”. W Warley Fen była oficerem zaopatrzeniowym i nawet ci, którzy uważali obecne jedzenie za nieapetyczne, zgadzali się z tym, że lepiej wykonywała swoją pracę niż którykolwiek z jej męskich poprzedników.

Oficerowie spoza personelu latającego byli przeważnie w średnim wieku. Nosili medale z I wojny światowej i baretki z międzywojennych kampanii w Arabii i Indiach, a duży ich procent miał na bluzach mundurów skrzydełka pilota.

Z dwudziestu czterech lotników operacyjnych, trzynastu urodziło się w Brytanii. Pozostali to: trzech Kanadyjczycy, czterej Australijczycy, dwaj Rodezyjczycy i dwaj Amerykanie, jeszcze nie przeniesieni do USA AF. Siedmiu oficerów, w tym kapitan Sweet z eskadry B, nosiło pasiaste baretki DFC.

Gdyby go zapytano, jakie posiada uzdolnienia, kapitan Sweet nigdy nie umieściłby pilotowania bombowca na jednym z pierwszych miejsc. Ani - co zdziwiłoby jego kolegów-lotników jeszcze bardziej - nie twierdziłby, że jest popularnym dowódcą wśród żołnierzy. Sweet czuł, że szczególnie dobrze nadaje się do planowania strategii walk powietrznych. Niektóre z jego chłopięcych ambicji, na przykład pragnienie posiadania sześciu stóp

wzrostu i chęć przewodzenia rówieśnikami, nie spełniły się. Poza tym marzył o wygraniu biegu na sto jardów i o zostaniu kapitanem drużyny krykieta, w którejś ze szkół w hrabstwach południowych, jednak szanse miał znikome.

Jego pragnienie zostania strategiem nie zmniejszyło się z upływem czasu, podobnie jak chęć zostania zawodowym krykiecistą; stało się to jednak równie nierealne, jak nadzieje na sześć stóp wzrostu. Wojna, zdaniem Sweeta, miała trwać jeszcze przez co najmniej dziesięć lat. Było więc dość czasu na zaspokojenie tej ambicji. Kiedy pokona się Niemców, przyjdzie kolej na Japońców, a zważcie tylko, ile czasu potrzebowali Chińczycy aby ich powstrzymać: od 1931 roku. Potem prawdopodobnie trzeba będzie usadzić Rosjan. Zapowiadała się długa wojna i Sweet postanowił, że większą jej część spędzi w sztabie, podejmując decyzje, tworząc plany, opracowując strategię. To były sprawy, którymi żył. Naturalnie, młody i ambitny oficer sztabowy będzie miał za sobą niebezpieczną wojnę i parę medali. To będą jego listy uwierzytelniające, jego sposób na to, aby starsi posłuchali głosu rozsądku. Dwie tury na bombowcach, dwukrotny DFC i praca w High Wycombe - to zaspokoiliby ambicję Sweeta.

Znał trochę ze szkoły język niemiecki i francuski. Nauczył się rosyjskiego lub japońskiego czy nawet chińskiego. Kupił dwie whisky i podszedł do oficera oświatowego, starszego nauczyciela o uroczystej twarzy, który przybył na Stację dopiero w tym tygodniu. Oficerów oświatowych nazywano często „nauczycielami”, a nigdy takie określenie nie pasowało bardziej niż teraz, ponieważ ten podporucznik w okularach jeszcze dziesięć tygodni temu uczył historii i literatury w średniej szkole w Harwich.

- Co pan myśli o sytuacji, proszę pana? - zapytał Sweet głosem pełnym szacunku.

- Doskonała - odpowiedział oficer oświatowy zastanawiając się, dlaczego ten młody, wesoły bohater szuka jego towarzystwa.

- Wspaniała - Sweet skinął głową. - Jest wspaniała. Nazywam się Sweet, jestem dowódcą eskadry B. Proszę pana, zależałoby mi bardzo na pańskiej radzie. Biorąc pod uwagę drogę, jaką świat kroczy, wojna i w ogóle, wie pan, chciałbym usłyszeć nieco więcej niż to - nerwowo rozejrzał się wokół - czy mamy kłopoty.

Oficer oświatowy spojrzał na Sweeta z zainteresowaniem. Zdziwiał, że ci chłopcy - pomimo stopni i medali - byli zaledwie rok lub

dwa starsi od uczniów z jego szóstej klasy w Harwich. Poniekąd młodszy, ponieważ wojna przeszkodziła im umysłom rozwinąć się w normalny sposób. Myśleli tylko o technicznej doskonałości swojej pracy. Większość z nich nie mogła zdać sobie sprawy, jak ograniczona i niepraktyczna była ta wiedza. Będą biedacy cierpieć po wojnie, kiedy zaczną szukać pracy, tak jak on, młody oficer piechoty, po poprzedniej wojnie. Świetny pierwszy rok w Oxfordzie, uwieńczony uzyskaniem stopnia oficerskiego w pułku pospolitego ruszenia konnego. Mój Boże, jaki ja byłem głupi! - pomyślał.

- To oczywiste, że wszyscy jesteśmy dumni z czynów, jakich dokonał pan dla kraju, kapitanie, i z odznaczeń, jakie pan zdobył, ale kiedy jest tak wielu ludzi i tak mało stanowisk pracy, byłoby nieodpowiedzialne i nieuczciwe wobec naszych akcjonariuszy angażować kogokolwiek bez doświadczenia lub nawet bez stopnia naukowego - słyszał najczęściej w biurach zatrudnienia. Odszedł i wstąpił do Związku Obrońców Pokoju.

- Pamiętam wojnę i nigdy nie poprę i nie usankcjonuję drugiej.

A jednak był teraz z tymi ciekawymi, młodymi ludźmi. Jakże różnili się od chłopców, z którymi służył w 1914 roku! Połowa z tych młokosów nie miała nawet matury. Był zdumiony płytkością ich rozmów o lataniu, pijaństwie i dziewczynach. Nawet ich cynizm był szczery. Odpowiedział:

- Będzie mi miło pomóc w miarę możliwości.

- Prawdę mówiąc nie chodzi o mnie - wyjaśnił Sweet. - Chodzi o kuzyna. To dość rozsądny chłopiec. Nie ma stopnia naukowego, ale mógłby go uzyskać w każdej chwili, ot tak - i Sweet strzelił palcami. - Niedawno zadał mi kilka pytań. Uważa, że warto mnie posłuchać. Nie mam pojęcia dlaczego.

Sweet roześmiał się.

- Jest w wojsku, ma dużą szansę na pracę w sztabie. Teraz szuka się tęgich głów, by rozpocząć planowanie inwazji.

— Istotnie - potwierdził oficer oświatowy.

— Tak, ten chłopiec szybko zostanie dowódcą brygady. W każdym razie ten facet...

— Pana kuzyna.

- Co? - zapytał Sweet - ach tak, mój kuzyn. Ma dość dobrze opanowany język niemiecki i francuski. Planuje także wziąć się za rosyjski lub japoński. Jak pan sądzi, co byłoby lepsze? A może chiński? Rozumiem,

że pan nie może przewidzieć, jak się sprawy potoczą. Co by pan radził studiować temu chłopcu?

- Najlepiej, aby skoncentrował się na francuskim i niemieckim. Praktyka w konwersacji, wzbogacenie zasobu słów, może praca nad dziełami wojskowymi.

Sweet zrobił głupią minę. Oficer oświaty wyczuł, że należało kontynuować.

- Powinien spróbować przetłumaczyć coś z „Manuscript de mil huit centtreize” barona Faina, sekretarza gabinetu Napoleona. Albo „Denkwirdigkeiten aus dem Kriege 1813” Danilewskiego; przetłumaczyłem urywek z tej książki we Francji, dla zabicia czasu. Następnie, jeśli chodzi o bitwę pod Waterloo, słynne są „Documents inedits” księcia d’Elchingen...

- Jeśli zechcę poczytać o naszym zwycięstwie w bitwie pod Waterloo - powiedział Sweet - nie będzie mi potrzeba żadnego francuskiego nudziarza, aby mi o nim mówił.

Zaśmiał się ironicznie.

— Ale dla pańskiego kuzyna...

— Och, mój kuzyn nie potrzebuje tego rodzaju rzeczy - odparł Sweet. - On myśli w skali międzynarodowej: rosyjski lub japoński. A może pan nie myśli kategoriami międzynarodowymi?

- Raczej nie - odparł oficer oświatowy.

- Mój kuzyn czyni to zawsze - stwierdził Sweet. - Ja także. Niech pan zważy, proszę pana, ja wiem, że podczas I wojny światowej okopy we Francji były pełne poetów i tak dalej, ale jeśli chłopcy zaglądają do kasyna raz w tygodniu, i urządzają mały ubaw, nie powinien pan myśleć, że są tylko paczką mężczyzn o dużych mięśniach i płytkich umysłach. Chcę powiedzieć, że ci chłopcy wykonują swoją małą rolę; niektórzy zdobywają medal lub dwa dzięki szczęściu lub rozsądkowi.

Sweet uśmiechał się.

— Ale to nie znaczy, że kiedy jest już po walce, nie wolno im cieszyć się jakąś dobrą poezją i muzyką albo usiąść i zastanowić się, co świat rzeczywiście znaczy dla zwykłego człowieka.

— Ja nie wyciągam pochopnie wniosków - odrzekł oficer oświatowy. - Mogę się tylko cieszyć, że dzielę kasyno z tak wieloma interesującymi, młodymi ludźmi.



— Miło to usłyszeć, proszę pana.

Dowódca Stacji stał samotnie blisko kredensu pełnego dywizjonowego srebra stołowego. Sweet pomyślał, że je liczy. Sierżant kasynowy pomyślał natomiast, że próbuje dojrzeć, czy filiżanki w ostatnim rzędzie zostały wyczyszczone. Faktycznie zaś dowódca próbował odgadnąć, czy trofeum Dowództwa za zawody pływackie było z litego srebra czy tylko posrebrzane. Sweet odwrócił się do oficera oświatowego.

— Jest pewna sprawa operacyjna, którą muszę omówić z dowódcą Stacji. Oficer oświatowy powiódł za wzrokiem Sweeta.

— Ależ proszę - powiedział.

Pokręcił nosem na zapach przypalonej, tłustej i wodnistej kapusty i uznał, że nie jest głodny. Odczuwał brak domowego jedzenia bardziej, niż się tego spodziewał. Co on tu właściwie robi?

— I strasznie dziękuję - powiedział Sweet, kiedy przepychał się wśród pijących przy barze. Światło padające przez szklane drzwi tworzyło nad nimi słoneczną aureolę. Sweet zwrócił się bezpośrednio do pułkownika.

— Jest pan sam, panie pułkowniku? Czy zwracałem już panu głowę zbiórką na zabawę dla dzieci?

— Halo, młody Sweet! Dostał pan ode mnie funta w zeszłym tygodniu.

— Rzeczywiście, panie pułkowniku.

— Czy wasz zespół pobije w sobotę tych chłopców z Besteridge?

— Sądzę że tak, panie pułkowniku. Tylko proszę pamiętać, że sierżant Lambert jedzie do Londynu na przepustkę. Liczyłem na jego rzuty. Dwóch z zespołu przeciwników grało przed wojną w drużynach narodowych, nie mówiąc już o zawodowcu, którego mają u siebie. Niestety Lambert jest zdecydowany zabrać żonę do Londynu. Mówi, że nie lubi grać dla lotnictwa.

— To źle, ale jestem pewien waszej wygranej, Sweet. Ja będę oczywiście za wami. W każdym razie postawiłem na was dziesięć szylingów.

Obaj zaśmiali się, a pułkownik postawił Sweetowi małe piwo.

— Opowiadają, panie pułkowniku, że przed wojną zdobył pan dla 3 Grupy mnóstwo punktów - powiedział Sweet.

— To prawda. Grałem również kiedyś dla Dowództwa Lotnictwa Myśliwskiego. Zanim nabawiłem się artretyzmu, czy jak to tam nazywa ten nasz szarlatan, byłem dość wziętym graczem.

— Właśnie to słyszałem.

— Och, daj spokój, Sweet. Jestem pewien, że nudziłem cię już opowiadaniem o mojej grze w Sandhurst... kiedy to sędzia próbował złapać piłkę... - i pułkownik puścił wodze swoim wspomnieniom.

Kilku oficerów odsunęło się od nich, ponieważ opowiadanie pułkownika o jego zdolnościach krykietowych było znane większości bywalców kasyna. Jego wspomnienie, ozdobione czteroliterowymi przekleństwami, pozwalało pułkownikowi stworzyć atmosferę demokratycznego koleżeństwa z młodymi ludźmi, jego oficerami. Tak w każdym razie myślał. Z tego też powodu kasyno miało nadal męską obsługę kelnerską i barmanską, podczas gdy w większości innych prace te wykonywały kobiety. Pułkownik skończył swoją anegdotę zarumieniony i szczęśliwy.

— Jeśli wasz zespół wygra w sobotę - powiedział - to są szanse, że dowódca lotnictwa zaprosi cię na obiad.

— Tak, słyszałem, że taki ma zwyczaj.

— To stworzy ci okazję do przedstawienia twoich teorii planowania i strategii sztabu - powiedział pułkownik chichocąc.

Sweet skłonił skromnie głowę, a pułkownik powiedział:

— Ale przecież ty jesteś teraz dowódcą eskadry. Czy uczysz się tego i owego o kierowaniu jednostką?

— Niewiele - przyznał skromnie Sweet. - Muszę jednak powiedzieć, że nie miałem pojęcia o ilości papierkowej roboty, koniecznej do wysłania samolotu w powietrze.

Pułkownik zaśmiał się krótko i ironicznie.

- Teraz odkrywasz więc chłopcze, gdzie toczy się prawdziwa wojna. Intensywne bombardowanie lotnisk papierkami, żądaniami i cholernymi Innymi bzdurami Ministerstwa Lotnictwa a wszystko sporządzone w trzech egzemplarzach, co?

Sweet uśmiechał się do pułkownika, aby pokazać jak bardzo podziela jego wzgardę dla zabiurkowych wojowników.

— Zwłaszcza, panie pułkowniku, że wszystko, czego człowiek pragnie, to wziąć się za łeb z tymi przeklętymi Hunami.

— Otóż to! - zawołał z entuzjazmem komendant. - Moja praca polega na zabijaniu Hunów i na Boga, mój dywizjon zabije więcej Hunów wszelkiego rodzaju, koloru, wielkości i płci niż jakikolwiek inny w tym lotnictwie. Nawet wiem dlaczego.

Uśmiechnął się i dodał:

- Właśnie to powiedziałem już parę razy w Ministerstwie Lotnictwa.

- Tak, panie pułkowniku - przytaknął Sweet. - Faktycznie. Jeżeli chodzi o zabijanie Hunów, jest jeszcze coś, w czym mógłby pan pomóc... Trudno mi mówić o sprawach fachowych i tym podobnych...

- Przecież - powiedział komendant - wiesz, co myślę o tych cholernych dywizjonach, w których wzbrania się mówić o sprawach fachowych w kasynie.

- A więc wróćmy do zabijania Hunów, panie pułkowniku. Jest pilot, diabelnie dobry chłopiec, doświadczony, odznaczony itp. dobry podoficer, ale powiedział mi, że uważa naloty bombowe za zwyczajne mordowanie rodzin robotniczych.

— Co to za cholerny dywersant!

— Tak, panie pułkowniku, wiedziałem, że sprawię panu przykrość. To jednak nie wszystko. Ta wojna, powiada, jest tylko kontynuacją kapitalizmu innymi środkami.

— Toż on cytuje Karola Marksa!

- Tak, co więcej, to jest nawet błędne przytaczanie Clausewitza, panie pułkowniku.

- Co za hańba. Mówisz, że to człowiek z mojej Stacji?

- Sierżant Lambert, proszę pana. Niech pan jednak weźmie pod uwagę, że to może tylko ze strachu.

Twarz pułkownika zmieniła się.

- Znowu Lambert, co? Jednak ma nienaganną przeszłość. I powinniśmy pamiętać, że Karol Marks jest teraz po naszej stronie. Powinniśmy pomagać Rosjanom, Sweet, oni robią ostatnio doskonałą robotę. Ten Stalingrad może być punktem zwrotnym w wojnie.

- Ja tylko myślałem, panie pułkowniku... znając pańskie poglądy na zabijanie Hunów.

- Postąpiłeś słusznie mój chłopcze. Jak dobrze wiesz, jestem bezwzględny dla Hunów. To jedyny sposób wygrania wojny. Zajmę się tą sprawą. Jeśli Lambert stracił chęć do zabijania Hunów, to może będzie lepiej przesunąć chłopca do czegoś, z czym da sobie radę. Na przykład czyszczenie latryn.

— Sądziłem, że lepiej, aby pan wiedział, panie pułkowniku.

— Całkiem słusznie - odparł pułkownik. - To ty zwykle masz rację, młody Sweet, ale nie mów, że ja to powiedziałem, dobrze?

Obaj uśmiechnęli się.

- Aha, przy okazji, panie pułkowniku. Pewnie pan słyszał o tym małym eksperymencie, jaki przeprowadzam na jednej z tylnych wieżyczek strzeleckich.

- Słyszałem coś o tym. Ale o co rzeczywiście chodzi?

- Doszedłem do tego pewnego ranka, kiedy otworzyłem okno, aby wyraźniej widzieć...

Kapral w holu uderzył w gong, a jego miękki dźwięk odbił się echem w starym domu.

- Chodźcie panowie, niech więźniowie zjedzą suty obiad.

Pułkownik zawsze to mówił w porze obiadowej. Wieczorami powiadał: „sutą kolację”.

Odwrócił się do Sweeta.

— Widziałem, że rozmawiałaś z naszym nowym nauczycielem. Miły człowiek, prawda?

— Istotnie, panie pułkowniku. Bardzo interesujący, panie pułkowniku.

— A kasyno nabiera nieco szyku, mając tu Kawalera Orderu VC, co?

— VC, panie pułkowniku?

— Nauczyciel, mój chłopcze, podporucznik Pearson, VC. Tylko nie mów mi, że nie wybrałaś najkrótszej drogi do tej purpurowej baretki. Każdy to robi. Rok 1917; zabił dwunastu Hunów szablą, a jeszcze tuziny ręcznymi granatami i utrzymał odcinek okopów szwabskich przez dwie godziny, do czasu przybycia posiłków. Fascynujące, co? Widzieć na własne oczy oficjalnie uznanego bohatera.

— Tak, panie pułkowniku - odrzekł Sweet usiłując przypomnieć sobie, co powiedział - ale niech pan pozwoli, że mu opowiem o tym małym, głupim może pomysle, jaki miałem w związku z pleksiglasem w tylnej wieżyczce...

Lancaster, za którym leciał Lambert, podszedł do lądowania na głównym pasie lądowań Warley Fen. Nie było na nim ani liter, ani znaków rozpoznawczych dywizjonu, ani bombek namalowanych z boku, ani pieszczotliwych imion. Nie było działek w wieżyczkach ani obsługujących je strzelców pokładowych. Nie było nawet mechanika do pomocy przy przełączaniu paliwa lub przy sterach. Samolot doskonale wylądował wykonując instrukcje podawane z wieży z niezwykłą starannością. Samochód hillman popędził do bombowca i czekał, podczas gdy pilot porozumiewał się - zgodnie z procedurą - z personelem naziemnym i szefem mechaników. Oficerem technicznym na lotnisku był Sandy Sanderson, wąski w biodrach rozpustnik, który założył się o dziesięć szylingów, że zje obiad z pilotem transportowym. Przegrał. Pilot, dwudziestoletnia brunetka w mundurze ATA odmówiła ze znaczącym uśmiechem.

— Czy to niebezpieczna praca? - zapytała ją kiedyś matka.

— Tylko po wylądowaniu, mammo.

Prowadząc czterosilnikowy samolot zupełnie sama, zjadła w czasie lotu trzy kanapki z serem. Rezygnując z obiadu, zdąży z powrotem do jednostki i dostarczy jeszcze jeden samolot przed zakończeniem dzisiejszej służby.

W samolotach przybyłych z fabryk były zawsze wprowadzane jakieś modyfikacje, a tutejsza Grupa, podobnie jak większość innych, miała specjalne wymagania, które musiały być uwzględnione. Podpułkownik Munro i Sandy skończyli kontrolę naziemną o czternastej pięćdziesiąt i dopiero kwadrans po piętnastej znaleźli się na schodach kasyna. Munro stracił obiad i musiał zadowolić się szklanką lemoniady i kanapkami z konserwą mięsną. Nie było nic złego w wypiciu kufła piwa w porze obiadowej, nawet gdy zostali wyznaczeni do akcji, ale czuł, że powinien być bardziej wstrzemięźliwy niż jego ludzie. Sandy także wypił lemoniadę.

Munro był bogatym, wysuszonym, pozbawionym poczucia humoru właścicielem ziemskim, o wyszukanych manierach. W 1941 roku został ranny w nogę przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą. Trzy lub cztery odłamki kryły się jeszcze gdzieś w jego stopie. Przez jakiś czas używał laski, ale choć dawno już przestał utykać, nie zrezygnował z niej. Chodził po lotnisku wymachując nią, jak szkocki ziemianin kroczący po wrzosowisku. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o poranej twarzy. Miał krzaczaste wąsy, a jego krótko przystrzyżone włosy posiwiały na skroniach. Choć większość lecących dziś załóg nosiła białe golfy i poplamione battledressy, Munro nigdy nie widziano na służbie w czymkolwiek innym niż w dobrze skrojonym mundurze i ręcznej roboty obuwiu błyszczącym jak lakierki. Mundury Munro, podobnie jak jego cywilne garnitury, czesankowe i wełniane, były w idealnym stanie, jaki mogły zapewnić tylko lata opieki kamerdynera. Łokcie i mankiety były wzmocnione łatkami z miękkiej, brązowej skóry, a w specjalnej kieszonce trzymał pudełko zapalek. Sięgnął teraz do niej i starannie zapalił fajkę, mimo że paliła się jeszcze nieźle. Często na spotkaniach i odprawach dawało mu to moment przerwy w czasie rozmowy. Miał przyzwyczajenia starszego pana. Liczył trzydzieści pięć lat, a jednak niewielu ludzi dałoby mu mniej niż czterdzieści pięć. Munro był oficerem od 1932 roku, choć rok w czasie pokoju spędził w cywilu. Jego żona, Sara, zarządzała teraz całym majątkiem ziemskim. Wojna oznaczała dla niej dodatkowe akry pod uprawę. Wyglądała na dużo starszą niż w

istocie była.

Na półeczce czekał na niego list, napisany śmiałym, pogodnym pismem na arkuszu wydartym z książki rachunkowej.

„Kochanie!

Jakże mam podziękować ci za wspaniałą torebkę? Nadeszła w moje urodziny, co dało mi świetne wyobrażenie o twojej dyscyplinie. Nie sądzę, abym teraz chciała zobaczyć Londyn. Z twojego opisu wygląda na międzynarodowy dom wariatów. Lubię sposób, w jaki stale mi mówisz, aby nie wierzyć nigdy obcym, a jednocześnie jesteś absurdalnie wspaniałomyślny dla tych nieodrodných brutali ze starego dywizjonu, kiedykolwiek ich spotkasz (co zwykle oznacza: kiedykolwiek wejdiesz do baru). Może powinieneś na dodatek zapuścić duże wąsy!

Fasola będzie okazała. Musisz tu być, aby spróbować pierwszą, jaka dojrzeje. Te paskudne mszyce, choć spryskane, są na różach wszędzie, jak zwykle, i po prostu chłoną rozpryskiwaną ciecz, bekają i wołają o więcej. Truskawki rosną doskonale i jutro będą robiła z kucharką dżem. Przyślę ci słoik.

Nie powinieneś martwić się o nas. Wiemy oboje, że Piotr będzie potrzebował kilku lat, aby nabrać sił jak inne dzieci, a tu ma świeże powietrze i zawsze dużo mleka. Gdyby pojechał do Kanady, to kto otoczyłby go taką miłością jak my, a to jest najważniejsze.

Czy pamiętasz, jak krótki miał oddech, kiedy byłeś na urlopie w Boże Narodzenie? Teraz znowu jest źle. Żałość bierze, gdy słyszy się go nocą. Chciałoby się wtedy oddychać za niego, kochane dziecko. Jest przy tym taki greczny, a doktor Crawford mówi, że to musi być dla niego czasem nawet bolesne.

Brakuje nam ciebie kochanie, ale powinieneś martwić się tylko o to, aby przyjechać do nas bezpiecznie i zdrowo. Troszcz się o siebie i twoich wojaków. Tu wszystko jest w porządku z wyjątkiem zdrowia Piotra, ale dla niego jest to po prostu sprawa czasu, odpoczynku i świeżego powietrza. Nie mówiłabym ci w ogóle o tym, gdybyś nie kazał mi o tym pisać. Zobaczę cię niedługo. Uważaj kochanie, naprawdę uważaj. Serdeczności od twego nieznośnego kocmołucha, gospodarnej żony i naczelnego rozrzucacza nawozu o drugiej nad ranem, kiedy rachunki jeszcze nie skończone.

Kochająca Cię Sara”.

- Ta dziewczyna i jej kanapki z serem - powiedział Munro.
- Słucham pana? - zapytał Sandy nagle wyrwany z zamyślenia.
- To niezły pomysł.
- Co, panie pułkowniku?
- Jedzenie w powietrzu.

Munro złożył starannie list i wsunął z powrotem do koperty. Wyjął z kieszeni złoty, automatyczny ołówek i sporządził na jej odwrocie listę spraw, jakie musi załatwić przed odprawą.



Meldekopf I-I./Ln. Funkhorch-Zachodni Pułk.- radiowy wydział nasłuchu i przechwytywania Dowództwa 12 Fliegerkorps, otrzymał dalekopisem z Pałacu Luksemburskiego w Paryżu (Dowództwo 3 Floty Powietrznej) zaszyfrowaną informację, tak zwany raport WIM. Był to zbiorczy raport o natężeniu nieprzyjacielskich rozmów radiowych, o próbach przyrządów nawigacyjnych, bombowych i radarowych, o IFF i o urządzeniach zagłuszających. Raport ten opierał się w znacznej mierze na przechwyconych krótkich próbach radioaparatów, dokonywanych przez radiooperatorów RAF. Takie przedpołudniowe próby wskazywały zwykle na przygotowywanie bombowców do nocnego rajdu. Sygnał Jimmy Grimma „najlepszy drut gięty” był tylko jednym z setek sygnałów odebranych w Paryżu. Dowództwo Pierwszej Dywizji Myśliwskiej Luftwaffe w Deelen zostało odpowiednio wcześniej powiadomione, że należy oczekiwać tej nocy ciężkiego nalotu RAF. „Fernschreiben

+ KR31.6.1943GEHEIM

MELDEKOPF I

FUNKBEFEHLSSTAND WEST LUFTFLOTTE:, HOH.NAFU

GLDT

HVO I.JAGD-DIVISION

FUNKBEFEHLSSTAND MITTE

WIM-MELDUNG

RAF w sile około 600-700 (w tym prawdopodobnie około 90 dwusilnikowych), spodziewany cel: zachodnie Niemcy.

MELDEKOPF I BR.B.N.R. 3567/43 GEH GEZ. BOFINGER, LT”.

Istniały pojazdy znane każdemu wartownikowi w Wald Hotel. Na przykład mercedes dowódcy, ciężarówka z codzienną pocztą i prowiantem oraz popołudniowy transport udający się na dworzec kolejowy. Otwierano dla nich ozdobną bramę hotelową na długo przed ich przybyciem. Jednakże przy zbliżaniu się nieznanego pojazdu przepisy nakazywały zatrzymać go i zbadać dokładnie papiery kierowcy przed otwarciem bramy. Zabłocony Riibelwagen nie zmniejszył szybkości, kiedy dwóch wartowników SS weszło na środek drogi. Maus Scheske podniósł rękę, ale stanął za budką wartowniczą. Drugiego wartownika należy pochwalić za to, że nie uskoczył na bok aż do chwili, kiedy to prawy błotnik uderzył go w nogę. Uszkodzenie rzepki spowodowało, kilka tygodni później, usunięcie chrząstki. Samochód zatrzymał się po uderzeniu i zgięciu ornamentu z liści dębowych z kutego żelaza. Na zderzaku przybyło nowe wgniecenie.

— Dowódca straży! - wrzasnął wojskowy siedzący na przednim siedzeniu samochodu, nie próbując ani wysiąść, ani rzucić okiem na powalonego na piasek wartownika. Psy wartownicze czekały, a sześciu uzbrojonych i w pełnym ekwipunku żołnierzy wysypało się, potykając, z domku dozorczy bramy, używanego teraz jako wartownia. Zakładali hełmy na głowy, osadzali bagnety, przy nieustannych obelgach oficera z samochodu.

— Otworzyć bramę! Podnieść tego głupca! Dowódca straży! Dlaczego nie oddajecie honorów?! Gdzie ekwipunek tego żołnierza?! Dowódca straży! Usunąć tych błaznów z drogi! Czy wiecie, jak długo takie typy jak wy pożyją na froncie wschodnim?! Dwadzieścia cztery godziny! Dlaczego ten hełm jest brudny?! Gdzie u diabła jest dowódca tych żałosnych ruin próżniaczej bandy kalekich niedołęgów?! Dowódca straży!

Krzyczał tak głośno, jak tylko mógł, aż szpaki z pobliskich drzew wzniosły się w popłochu ku - niebu. Nie mniej wystraszyli się chłopcy Scheske, Maus i Hannes, którzy zobaczyli po raz pierwszy kawalera Krzyża Rycerskiego, brudnego od bitewnego kurzu, tutaj, przed ich szeroko otwartymi oczyma.

- Słucham, panie Sturmbannfuhrer - powiedział młody oficer, jeszcze zadyszany. Usłyszał hałas, gdy leżał ze zdjętymi butami w wartowni.

Fischer wyrzeszczał swoje dane osobiste jak rekrut:

- Sturmbannfuhrer Fischer z Panzergrenadier Division „Leibstandarte Adolf Hitler”, przydzielony do dywizji SS Hitlerjugend w Beverloo, w Belgii.

Rzucić wszystko w twarz tym młokosom i kawiarnianym żołnierzom, to na nich jedyny sposób.

- Tak jest, panie Sturmbannfuhrer - powiedział młody oficer biorąc do ręki dokumenty Fischera. Słyszał, że tworzy się doborowa dywizja SS.

— To jest ten rodzaj jednostki, do której chciałbym być przydzielony. I dodał spokojnie:

— Człowiek zapomina na tym odludziu, że jest żołnierzem.

- Widzę - odparł Fischer. Rozpiął swój skórzany płaszcz, aby schować z powrotem dokumenty, których młody dowódca nawet nie sprawdził. Zauważył, że Krzyż Rycerski, który zadzwonił o górny guzik, przyciągnął wzrok młodego oficera. Ten pragnął go bardziej niż czegokolwiek innego. Posiadacz Krzyża Rycerskiego jest nietykalny. Starsi kelnerzy oferują mu najlepsze stoliki a hotele najlepsze pokoje, kolejki przepuszczają, dziewczęta ulegają i nawet starsi oficerowie okazują szacunek. Zastanawiał się, jak ten brudny facet zdobył swój Krzyż.

Spojrzał na obydwu mężczyzn w samochodzie. Każdy z nich miał pistolet P38 w skórzanej kaburze umocowanej rzemieniem idącym od kolby do pasa. Na tablicy rozdzielczej volkwagena, w metalowych zaciskach, znajdował się pistolet maszynowy. Wkoło rygła tkwiła nawinięta naoliwiona szmata, a na niezgrabnym trzonie pistoletu widniało głęboko i starannie wycięte nazwisko Fischera. Podobnie wycięto dwadzieścia osiem karbów.

Fischer zdjął swoją okrągłą czapkę i wytarł jej przepoconą skózaną taśmę brudną chusteczką do nosa. Poprzez krótko przycięte włosy widać było różową skórę jego czaszki. Pokrywały ją białe jak robaki blizny po uderzeniach i upadkach w dzieciństwie oraz długa bruzda, jaką mógł tylko uczynić pocisk. Wsunął chusteczkę do rękawa, jak to podobno robili Anglicy. Młody dowódca warty zauważył ten delikatny rys dobrych manier.

- Potrzebuję benzynę i nowy komplet świec.

Fischer potarł krótko swoje pocernione od oleju dłonie.

— Mieliśmy awarię silnika.

— A jedzenie, łazienka, łóżko?

— Najpierw samochód.

- Już się robi, Herr Sturmbannfuhrer - powiedział młody oficer.

Wartownicy byli teraz czujni i sztywni z niepokoju. Wszystko czego tu potrzebowano, pomyślał Fischer, to prawdziwego żołnierza, który wykrzesalby z nich ogień. Akcent młodego oficera zdradzał chłopca ze wsi. Czysty rasowo, nadzwyczaj odpowiedni i tak ideologicznie pewny, jak tylko mogło być tępe umysłowo chłopisko. To wszystko pasowało do polityki selekcyjnej Waffen SS, ale Fischer zastanawiał się czasami, czy taka polityka była zdrowa.

— Czy zanieść pański ekwipunek do pokoju? - zapytał powoli młodzieniec.

— Tak. I postawcie przy nim wartownika. Wiozę kosztowności.

— Tak jest. Rozkaz.

- Dajcie też mojemu kierowcy jeść i miejsce do spania. Nie zmrzył oka od pięćdziesięciu godzin.

Młody oficer spojrział na kierowcę o wystających kościach policzkowych.

— To my teraz przyjmujemy do SS Azjatów?

— Szkolimy całą ich dywizję - 14 SS Freiwilligen Division Galizien. Dwustu pięćdziesięciu z nich skierowano do Junkerschule. Zanim dostanie się pan na Wschód, Krzyże Rycerskie będą im wszystkim dyndały u kołnierzy, a pan będzie im salutował.

— Ukraińcy?

— Reichsführer powiada, że są naszymi towarzyszami. Coś panu nie odpowiada?

- Nie, Herr Sturmbannführer! - zawołał głośno młody człowiek.

Fischer uśmiechnął się gorzko. Brama została szeroko otwarta i Fischer dał znak palcem, aby kierowca ruszył. Młody oficer odezwał się:

- Jedźcie zwirową drogą. Zobaczycie stary budynek hotelowy. Uprzedzę ich telefonicznie, aby ordynansi byli gotowi do zaopiekowania się waszym bagażem.

Do kuchni także zadzwonię.

- Zaczynasz łapać, chłopcze - powiedział Fischer, gdy wóz ruszał.

Odwrócił się do kierowcy i starannym niemieckim powiedział:

- Benzyna, świece, kąpiel, jedzenie, spanie. Teraz jest piętnasta. Kiibelwagen gotowy na dwudziestą drugą.

Podniósł palce w górę.

— A Frauen? - zapytał kierowca.

— Żadnych Frauen, ty głupia małpo - odparł Fischer. - Tu są Niemcy. Poczekaj, aż przekroczymy granicę.

Na pół rozumiejąc Ukrainiec uśmiechnął się tak, że jego wąskie oczy prawie się zamknęły. Skinął głową.

Mieszkańcy Altgarten mieli na twarzach zmęczenie, jakie lata wojny (zaciemnienie, racjonowanie towarów, praca w nadgodzinach i samotność) sprowadzają na ludzi. Mundury były nieforemne a ubrania cywilne powycierane. Suknie dziewczęta szyły sobie same, choć tu i tam widziało się w tłumie wspaniałe futra lub perły, które przywędrowały w żołnierskiej torbie.

— O której wyjedziesz? - spytała Anna-Luiza. Starannie pucowała jego buty, jak zawsze przed powrotem do jednostki.

— O piętnastej - odpowiedział Bach. - Zabierze mnie wóz sztabowy.

— To robi wrażenie.

— Stary przyjaciel w sztabie generała Christiansena musi jeździć z Dortmundu do Hagi kilka razy w miesiącu. Często mnie podwozi.

— Nie powinienes mi o tym mówić.

— Chcę ci mówić wszystko - odrzekł.

Zapakowała do walizki czystą bieliznę, złożoną i wyprasowaną, mając teraz zupełnie inną motywację dla swego poświęcenia.

Oberst Max Sepp podróżował czasem mercedesem generała Christiansena, wyposażonym we władczy klakson i powiewający proporczyk. Dziś Bacha spotkał zawód, bo Sepp zjawił się w citroenie. Był to wóz fabrycznie nowy, wykonany specjalnie na zamówienie Wehrmachtu i świeżo pomalowany niebieskim kolorem Luftwaffe, ale ani gardłowym warkotem, ani srebrnymi rurami zupełnie nie dorównywał mercedesowi. Nawet Max robił gorsze wrażenie niż zwykle, przygarbiony, w źle wyprasowanej pelerynie i wygniecionej, okrągłej czapce. Kiedy stali na jezdni, August rzucił okiem na niebo. Było to przyzwyczajenie, którego nie mógł się pozbyć. Sześć mil ponad nimi pilot Spitfire'a ze służby meteorologicznej widział zimny front i towarzyszące mu chmury. Gryzmołił w notesie przymocowanym do uda i podczas gdy uwaga jego odwrócona - była od sterów, samolot stracił pięćset stóp wysokości. Wystarczyło to, aby wytworzyć smugę kondensacyjną, choć tylko na minutę. Przy czterystu dwudziestu milach na godzinę, minuta oznaczała cienką, białą, długą na siedem mil bliznę na błękitnym niebie Krefeld.

- Jeden z naszych myśliwców - zauważył Max, ale August nie odpowiedział.

Rzucił swój skórzany płaszcz na siedzenie obok kierowcy i wszedł.

Max Sepp był pulchnym, siwym mężczyzną po pięćdziesiątce. W sztabie wojskowego gubernatora Holandii zajmował się kontrolą cywilnych dostaw paliwa, o czym - jak sam bezceremonialnie przyznawał - wiedział mało lub nic. Przed wojną był urzędnikiem w nadleśnictwie.

- To jest życie - oświadczył August sadowiac się na tylnym siedzeniu obok Maxa. Kierowca zamknął drzwiczki i zasalutował. Anna-Luiza

pomachała ręką i August też jej pokiwał na pożegnanie.

Wóz ruszył.

- To najlepsza praca w czasie wojny - powiedział Max. - Kiedy jadę na urlop, czuję się zawstydzony trudnym życiem, jakie prowadzi się na froncie domowym.

Kierowca odbył tę podróż z tysiąc razy. Z Mönchenstrasse, przy której mieszkał Bach, jechał przez Dorfstrasse dużą, główną ulicą i Richterend, skrótem na tyłach szpitala św. Antoniego. Stary budynek jakby zmniejszył się przy nowym centrum rehabilitacyjnym, znajdującym się za nim. Na ugorach, po ich lewej stronie, rzędy nie pomalowanych baraków ciągnęły się aż do Sackgasse i slumsów za gazownią.

- Co to jest, takie cholernie duże? - zapytał Max. - Obóz koncentracyjny?

August Bach spoglądał przez chwilę na swojego przyjaciela, a potem znacząco

spojrzał na tył głowy kierowcy zanim powiedział:

— Nie, to ośrodek rehabilitacyjny dla kalek, dla żołnierzy z frontu wschodniego i cywili ze zbombardowanych miast. Uczą się tutaj używać protez. Spacerują po Dorfstrasse...

— I straszą dzieci oraz spoglądają na puste sklepy. Wspaniale.

— Maxie, czy tak wyglądają obozy koncentracyjne?

— Jeśli by któryś z nas wiedział, mój drogi Auguście, to i tak by nie powiedział.

— Prawdopodobnie nie siedziałby teraz tutaj.

- Masz rację.

Max Sepp uśmiechnął się ponuro. Wyglądał przez okno, gdy samochód brał zakręt przy gospodarstwie Frau Kersten i zatrząsł się mocno na źle naprawionej drodze.

— To po nalocie? - zapytał.

— Altgarten przeżyło tylko jeden nalot. Zeszłego marca. Samolot RAF wyrzucił na kartofliska bomby zapalające i dwie bomby o wielkiej sile wybuchowej. Jedną na drogę, a drugą na dobudówkę Frau Kersten. Teraz pracują u niej w gospodarstwie francuscy jeńcy wojenni.

— Lepiej poradzili sobie przy dobudówce niż na drodze.

— Bo też nie droga zapewnia im mieszkanie.

- Energiczna kobieta, ta Frau Kersten - powiedział ze śmiechem Max.

Samochód skręcił na północny zachód, na drogę, którą mieli jechać do Nieuwerkerke i dalej do Arnhem. Po lewej stronie, aż do płaskiego horyzontu, rozciągały się kartofliska Frau Kersten. Długie szeregi pochylonych ludzi zbierały żółte jak wosk ziemniaki, które August bardzo lubił. Pośród zbierających były i dzieci, ponieważ szkoły udzieliły starszym chłopcom tradycyjnych wakacji na wykopki. W miarę jak szeregi pracujących posuwały się do przodu, ich widły unosiły suchą ziemię tak, że bryza niosła ją w chmurach kurzu ponad polami.

- To doskonałe ziemniaki - powiedział August.

— Ach, ziemniaki! Jakby Wehrmacht mógł walczyć, gdyby ich nie miał? Auguście, Frau Kersten musi bardzo dobrze wychodzić na tej wojnie. Sprytna kobieta. Czy nie w tym kierunku powinieneś się rozejrzeć?

— Co masz na myśli, Maxie?

August nie mógł powstrzymać się od śmiechu, widząc jak w odpowiedzi Maxowi wydłużyła się twarz.

— A jak myślisz stary hultaju, co mam na myśli? Czy sądzisz, że ja wierzę w to, iż cały czas spędzasz na ściskaniu lornetki i flirtowaniu z mewami koło twojej stacji radarowej?

— Ostatnio RAF przysparzał mi sporo roboty.

— Ale nie tak dużo Auguście, abyś nie miał czasu na nic innego.

— Jestem zakochany, Maxie. Mam zamiar się ożenić.

— Z dziewczyną z RAD?

— Tak.



— Jest wiele dziewcząt z RAD pracujących w Zarządzie Wojskowym. Takie miłości nie mają szczęśliwych finałów.

— Co masz na myśli? - zapytał August.

— Małżeństwa z pracowniczkami RAD. Mamy po kilka próśb każdego miesiąca. Zwykle przynoszę dziewczynę. Chyba, że jest w ciąży. W takim wypadku przynoszę mężczyznę.

— Jesteś Maxie świntuchem bez serca.

— Twoja dziewczyna... czy ona jest...?

— Do diabła z tobą, Maxie. Nie! Przynajmniej...

- A widzisz, Auguście. Staw czoła prawdzie, stary druhu. Chwilowa zabawa, wygodny układ...

Przerwał.

— Na jakiś czas, Auguście, ale nie małżeństwo.

— Kocham ją.

— Zobacz, jak to się będzie układało przez miesiąc lub dwa.

— Jest wojna, Maxie. I Bóg jeden wie, ile będę miał lat, jak się skończy... Pragniemy tego oboje.

— Cygaro?

- Dziękuję.

August powąchał je z uznaniem.

— Kontroler cywilnych dostaw paliwa w Holandii to stanowisko, które daje jakieś przywileje.

— Więc dobrze, ona jest po prostu młodą, naiwną dziewczyną, a ja mam już dosyć zakompleksionych i przemądrzałych ludzi. Jeżeli ona pogodzi się z moim niełatwym charakterem, będę szczęśliwy mogąc żyć przy niej.

Max uśmiechnął się i zapalił mu cygaro. Przez dość długi czas obaj w milczeniu patrzyli przez okna samochodu. To dziwne, myślał August, można znać człowieka wiele lat, a potem nagle, po kilku zdaniach odkryć, jak naprawdę mało nas łączy. Być może wszystkie stosunki między ludźmi są takie. Być może, że najlepsze czego można spodziewać się po małżeństwie z Anną-Luizą to to, że rozczarowanie nadejdzie powoli, a gorzkie pokłosie tego rozczarowania - rozpaczliwa nienawiść - nigdy się nie zacznie. Spojrzał na Maxa. Jakże był leniwy i wygodny. Kiedy pędzili pustą drogą, siedział przechylony do tyłu z zamkniętymi oczyma.

— Nasze autostrady - zauważył Max - czy mogliśmy wyobrazić sobie takie cudowne autostrady, kiedy byliśmy dziećmi?

— Czy mogliśmy wyobrazić sobie wojnę na dwa fronty i konieczność wysyłania dywizji pancernych na linię wewnątrz kraju?

— Jesteś dziś podenerwowany. Przyznaj, że autostrady Fuhrera są cudowne.

— Są cudowne, ale czy autostrady są nam najpilniej potrzebne? Nie mogę przestać myśleć, że wielkie autostrady zostały zbudowane w kraju, aby przekonać nas, że Niemcy nie są zlepkiem różniących się i nieprzyjaznych

sobie księstw.

— No cóż, dziś błogosławię wspaniałe drogi, ponieważ mamy objazd: przez Deelen.

— Ile to zajmie czasu?

— Zdązysz na swoje spotkanie z Tommis.

— Jakie będzie opóźnienie?

— Sześćdziesiąt kilometrów do Deelen; z Deelen do twojej placówki radarowej nie może być więcej niż sto pięćdziesiąt kilometrów, nawet po podrzuceniu mnie do Hagi.

— Jak długo będziemy w Deelen?

— Przestań być taki nerwowy, Augustie. W strefie granicznej nie będzie lokalnego ruchu, najwyżej kilka konwojów między Utrechtem a Hagą, a potem w zamkniętej strefie wybrzeża w ogóle nic. Kiedy dojedziemy do Deelen, będziesz zafascynowany. Zobaczysz, że będę musiał cię ponaglać do wyjazdu.

Pierwsza przerwa w ruchu nastąpiła na rogatek Geldern. Młodociani kadeci, rozebrani do pasa i błyszczący od potu, pracowali przy naprawie uszkodzonego mostu.

Ujechali zaledwie parę kilometrów, gdy znowu zatrzymał ich nadjeżdżający konwój. August obserwował jak dwunastotonowe, kołowo-gąsienicowe ciężarówki, ciągnące działa przeciwlotnicze 8,8 cm, posuwały się obok nich. Była to duża bateria z obsługą w pełnym szyku bojowym wyposażona w sprzęt przeciwpożarowy. Trzy działa były obsadzone przez Flakhelfer. Ci chłopcy z Hitlerjugend, niektórzy zaledwie piętnastoletni, wydawali się jeszcze mniejsi na siedzeniach tych olbrzymich ciągników. Stalowe hełmy opadały na ich poważne twarze. Nosili na ramionach jasne odznaki i naszywki oraz czerwono-białe opaski ze swastyką. Każdy miał przy sobie sztylet.

— Ochotnicy z Hitlerjugend - powiedział Max.

— Rekruci - uzupełnił August.

— Takie dzieci?

— Właśnie.

Czy także Hansl zostanie wkrótce tak wyekwipowany i zamieszany w tę niekończącą się wojnę? Max liczył toczące się obok działa.

— Dwadzieścia osiem dział! - wykrzyknął. - Fantastyczne!

— Artyleria ciężka, ze scentralizowanym sterowaniem ognia. Najpierw była to kombinacja dwóch lub trzech baterii. Teraz mają do czterdziestu dział kierowanych z jednego stanowiska.

— To zdaje egzamin?

— Ogień zmusza RAF do pozostawania na dużych wysokościach. Jeśli nie byłoby artylerii przeciwlotniczej, Tommis zeszliby nad samą ziemię i wrzucaliby swoje bomby do kominów fabrycznych.

— Czy wiesz Auguście, mój przyjacielu, że niemało jest bezdomnych cywili mieszkających w Zagłębiu Ruhry, którzy woleliby, aby tak było?

Zaśmiał się.

Oficer artylerii przeciwlotniczej zauważył ciemnoniebieskiego Citroëna z tablicami rejestracyjnymi Luftwaffe i zbliżył się przepaszając za zwłokę. Był to młody człowiek o surowej twarzy, w stalowym hełmie, z jasnymi wąsami i nieregulaminową parą miękkich rękawiczek z kozłej skóry, które zauważyli, gdy zsalutował.

— W Geldern naprawia się drogę - poinformował go Max Sepp. - Nie przeprowadzi pan tych machin przez miasto.

— Wiem, panie pułkowniku - odpowiedział oficer - ale my wcześniej skręcimy do Wesel.

- Droga z Wesel do Ruhry jest jeszcze gorsza - powiedział Max. - Znam dobrze ten rejon.

- Naszym miejscem przeznaczenia jest Ahaus - wyjaśnił oficer artylerii przeciwlotniczej.

— Dlaczego Ahaus? - zdziwił się Max. - Gdyby to ode mnie zależało pchnąłbym całą artylerię przeciwlotniczą z powrotem do Ruhry. Tam można być pewnym, że zastrzeli się jakiegoś Anglika. Będzie pan miał szczęście, jeśli zobaczy pan jakichś Tommis w Ahaus.

— Nadal obowiązuje zasada obrony powietrznego korytarza wzdłuż granicy holenderskiej - wtrącił się August.

— Moi chłopcy palą się do walki - rzekł oficer. - Będą zawiedzeni, jeśli szybko nie wejdą do akcji.

— Nie należy zbyt po polegać na młodych, rwących się do walki żołnierzach. Walka to coś podniecającego dla tych, którzy jej nie widzieli - stwierdził August.

Oficer artylerii przeciwlotniczej poczuł się zakłopotany. Szarpał spinkę rękawiczki.

- Vegetius - rzucił August.

- Rzymski pisarz wojskowy z czwartego wieku - wyjaśnił Max Sepp.

— Jeśli Herr Oberst tak uważa - powiedział z szacunkiem oficer. Trzy olbrzymie reflektory przetoczyły się obok nich. Znowu zasalutował i skoczył na jeden z wolno przesuwających się ciągników, aby dołączyć do swoich młodych zapaleńców. Citroen ruszył dalej.

— Zaszokowałeś faceta - powiedział Max.

— Nie miałem zamiaru - odparł August.

— Nie martw się - powiedział Max. - Z tym orderem u szyi możesz sobie pozwolić na zblazowany heroizm. Ale na wypadek, gdybyś zechciał pomyśleć, że jestem niedouczonym chłopcem, Vegetius był także tym, który powiedział: „Pozwólcie temu, kto pragnie pokoju, przygotować się do wojny”.

— My wszyscy raz na jakiś czas mówimy coś, czego nie zamierzamy - odrzekł August.

Max zaśmiał się, a August pomyślał, czy nie za wcześnie osądził starego przyjaciela.

Nastąpił jeszcze jeden, ćwierćmilowy korek w ruchu. Ciężarówka wojskowa bedford staranowała osobowego opla. Młody człowiek z NSKK kierował ruch na trawiasty teren dokoła wraków, podczas gdy trzej inni wyciągali nieprzytomnego kierowcę spod zgiętej kierownicy ciężarówki. Tylna część bedforda przełamała ogrodzenie, a skrzynie z owocami wypadły

z niej i rozbiły się, dając nieoczekiwany deser świniom w sadzie.

— Te przekłete brytyjskie ciężarówki - powiedział Max. - Nie powinno się ich dopuszczać do ruchu.

— Ale mamy ich tak dużo po Dunkierce.

— Z prawostronnym układem kierowania. Połowa kierowców tych ciężarówek to młokosi z Korpusu Samochodowego. Uczy się ich prowadzić w ciągu trzech tygodni, a potem wyjeżdżają na trasę i zabijają każdego, kto stanie im na drodze.

Chłopiec z NSKK skinął im, aby ruszyli, więc wjechali podskakując na trawę. Była dość mocno zryta i koła citroena przez chwilę kręciły się szybko w miejscu, zanim znalazły zaczepienie. Max wychylił się z samochodu, kiedy mijali kierującego ruchem.

— Te prawostronne układy kierownicze to pułapki śmierci - powiedział.

— Nie mówię po niemiecku - odrzekł chłopiec. - Jestem Francuzem. Miał na sobie taki sam, zielonoczarny mundur jak Niemcy, ale na rękawie nosił

trójkolorową opaskę i teraz pokazywał ją palcem. Max był wściekły.

- Jaki do diabła mamy z nich pożytek?! - wykrzyknął dość głośno, żeby chłopiec usłyszał.

August wyjaśnił:

— Odczuwamy brak siły roboczej, Maxie. Rosja pochłania naszych ludzi tak szybko, jak ich tam dostarczamy.

— Francuz! - powiedział Max ze złością.

— To uległy naród. Powinni być dobrą policją drogową.

— Ech tam - odparł Max. - Ulegli. Wsuwają ci nóż między żebra, a potem przez godzinę tłumaczą racjonalną konieczność tego czynu.

— To tak, jak wielu znanych mi Niemców.

— Nie, Niemiec wbija ci nóż między żebra i wypłakuje morze pełnych żalu łez. August uśmiechnął się.

— A co w takim wypadku mówi Anglik?

— Ten powiada: „Nóż, jaki nóż?”. August wybuchnął śmiechem.

Od tego miejsca, z wyjątkiem korka na drodze w Cleve i wleczeniu się w długim sznurze pojazdów przez kontrolę żandarmerii na moście Waal, jechali już szybko. August zdrzemnął się, aż Max trącił go łokciem.

— Za około pięć minut będziemy w Deelen - oznajmił.

— W bazie lotniczej Deelen czy w dywizyjnej sali operacyjnej?

— W Dywizji Myśliwskiej nr 1. Kontrolują tutaj całe te cholerne zmagania powietrzne nad Holandią, Nadrenią, Westfalią i Palatynatem a nawet nad częścią Hesji i Belgii. Byłeś kiedyś w Deelen?

— W zeszłym roku.

— Ach tak, w budynkach starego sanatorium. Poczekaj, aż zobaczysz nowy bunkier. Auguście, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, zdałem sobie również po raz pierwszy sprawę, że bez względu na to, co Anglicy i Amerykanie robią, nigdy nie wygrają wojny przeciw takiej organizacji, jak nasza. Na mapie kontrolnej jest każdy nocny myśliwiec, bombowiec, jednostka artylerii przeciwlotniczej. To jest jak magia.

— Potrzebujemy wsparcia sił nieziemskich, Maxie. Zeszłego roku RAF kontynuował naloty nawet zimą. Nie było szansy na złapanie oddechu. Musimy powstrzymać tych ludzi w ciągu następnych kilku tygodni, bo inaczej z pewnością będą nas bombardować przez całą następną zimą. Cóż przyniesie wygranie wojny, jeśli nasze rodziny, nasze domy, nasze miasta, muzea i kultura zostaną zniszczone? Możemy przenieść nasze fabryki czołgów głęboko pod ziemię, ale nie możemy tam wstawić katedry ze Speyer lub Kolonii.

— Eksperci w OKL mówią, że jeśli tego roku złamiemy morale załóg bombowych, to zrezygnują z bombardowania miast.

— Jedyne znany mi sposób złamania ich morale to zestrzeliwanie.

— Cóż, oczywiście. Powiadają, że jeśli moglibyśmy zwiększyć średnią ich strat o dwa i pół procent, to RAF musiałby zmienić swoją taktykę.

— Rozumiesz więc teraz, dlaczego nie mogę spóźnić się z powrotem - powiedział August. - Krótka, letnia noc, jak dzisiejsza, księżyc prawie w pełni... Jeżeli przylecą dziś w nocy, a nie strącimy rekordowej liczby bombowców, to nie zasługujemy na zwycięstwo.

Citroen Luftwaffe zatrzymał się przy pierwszym z bunkrów Dowództwa. Żołnierze Luftwaffe, uzbrojeni w lekkie pistolety maszynowe, wyglądali dziwnie nie na miejscu w pasiastych budkach wartowniczych. Wartownik sprawdził ich papiery i machnął ręką na odjazd. Padało tu mocno i pasiasta budka odbijała się jaskrawo w błyszczącej na drodze wodzie.

Sam bunkier znajdował się na pięknym, lesistym terenie, na południe od lotniska. Krople z wysokich buków spadały na oświetlone słońcem dróżki, a wrzosowiska za lasem już wkrótce miały zakwitnąć.

Wysiedli z samochodu. Od spalonych słońcem sosen dolatywała woń żywicy i wilgotny, specyficzny zapach mchu. Lotnisko Deelen usytuowano niedaleko lasu i August usłyszał dźwięk lekkiego samolotu. Czekał, aż ukaże się nad drzewami. Był to biały, dwumiejscowy dwupłat, lecący równo i spokojnie, bez popisywania się.

— To właśnie nazywam samolotem - powiedział August. - Oby latanie pozostało tylko takie, zamiast ustępować pod naciskiem naukowców, koni mechanicznych, maszyn kalkulacyjnych i systemów kontroli.

— Nie powinienesz skarżyć się na to, mój drogi Auguste - powiedział Max. - Pamiętaj, że sam jesteś kontrolerem.

Biały dwupłat przechylił się i zgrabnie wykonał skręt. Był jeszcze mokry od deszczu, a jego skrzydła błyszczały w świetle słońca. Mały samolot kontynuował wznoszenie się spiralą, jak na wykresie w podręczniku szkolenia. Następnie, równie spokojnie, wziął kurs przeciwny do swej drogi startu i przeleciał ponownie nad nimi. Zanim zdążyli odwrócić się, pykanie małego samolotu zagłuszył ryk dwusilnikowego Junkersa. Wielka, czarna maszyna ukazała się ponad dębami, jak nowy gatunek latającego chrząszcza. Jej podobna do żądła antena zdawała się drżeć, jakby poszukiwała innego samolotu. Zniknął tak prędko, jak się zjawił.

- Jaki piękny samolot - powiedział Max. - Chwilowo zgadzam się na systemy kontroli i konie mechaniczne.

Bunkier był naprawdę gigantyczny. Droga do wejścia wiodła w dół, ku wyrównanemu terenowi, kilka metrów poniżej powierzchni ziemi. Pomimo to bunkier wystawał ponad otaczającą go lesistą okolicę. Był tak wysoki i tak długi jak miejski blok. Dach stanowiły trzy metry betonu, zbrojonego prętami stalowymi i ciężkimi, metalowymi dźwigarami. W jego konstrukcji wykorzystano każdą lekcję pobraną w pierwszych latach wojny.

- Jest niezniszczalny - stwierdził Max. - Będzie tu stał setki lat po zakończeniu wojny. Nawet gdybyś chciał go zlikwidować, byłoby to niemożliwe.

Maxa cieszyło zdziwienie Augusta.

- Nie zwracaj uwagi na te okna w ścianie - wyjaśnił. - To tylko dla



wpuszczenia nieco światła pracownikom biurowym. Poza tym górnym poziomem biur, wewnętrzna konstrukcja betonowa ma wiele metrów grubości.

Drzwi były z jednocentymetrowej stali, zawieszane na zawiasach wielkich jak pięści. Betonowe korytarze rozbrzmiewały gwarem personelu Luftwaffe, wśród którego nie brakowało młodych dziewcząt. Max Sepp zapukał krótko do drzwi biura i wszedł do sali zatłoczonej Luftwaffehelferinnen, umundurowanymi dziewczętami służby pomocniczej wojsk lotniczych. Max zwracał się do nich po imieniu. Odebrał metalową skrzynkę z dokumentami i dał ją do niesienia kierowcy, po czym usadowił się wygodnie, aby poplotkować z jedną z dziewcząt. Jakiś młody, ciemnooki oficer poczęstowany przez Maxa cygarami zaofiarował się, że pokaże Augustowi samą „Operę”. Odłożył cygaro do biurka i sięgnął po czapkę. Zapuszczone, szorstkie, czarne wąsy miały naśladować zarost Dolfo Gallanda, popularnego, młodego generała, pilota myśliwskiego. August domyślał się, że również cygara palił naśladując go. Z pozornym lekceważeniem dyscypliny trzymał lewą rękę zgrabnie wsuniętą głęboko w kieszeń marynarki, w sposób dobrze pasujący do odznaki nocnego myśliwca na jego piersi i Krzyża Niemieckiego na górnej kieszeni.

Młody Leutnant zabrał Augusta na piętro. Ciąg korytarzy prowadził do sali o trzech poziomach. U szczytu klatki schodowej uzbrojony wartownik dokonał jeszcze jednej kontroli dokumentów. Porucznik powiedział Augustowi:

- Teraz przeprowadza się ćwiczenia pod kryptonimem „Alarm Bażanta”, więc musimy zachowywać się bardzo cicho.

Kiedy weszli do chłodnej, ciemnej sali operacyjnej, August potrząsnął głową z niedowierzaniem. Porucznik uśmiechnął się - każdego gościa ogarniało zdumienie. Miejsce było osobliwością nawet dla najwyższych hitlerowskich VIP i wywierało ono piorunujące wrażenie. Gdy oczy Augusta przyzwyczyły się do mroku, zobaczył, że rzeczywiście przypominało operę. Przed nimi siedziały rzędami Helferinnen, każda energiczna i schludna w swojej białej bluzeczce. Widział tylko tyły ich głów, tak jak osoba stojąca z tyłu na teatralnym balkonie. Daleko pod nim, w „podscenium orkiestry”, siedzieli wysocy rangą oficerowie kontroli. Uwaga każdego skupiała się na „scenie”. Tam bowiem, gdzie powinna wisieć

teatralna kurtyna, znajdowała się szklana mapa północnej Europy. Zielona tafla mapy miała piętnaście metrów szerokości, a jej jarzenie dawało wystarczające oświetlenie, aby August mógł dojrzeć rzędy bladych twarzy patrzących uważnie to na nią, to na papiery na pulpitach. Ściany obok tej mapy pokryto wykresami pogody i tablicą przedstawiającą stan pozostających w dyspozycji myśliwców nocnych. Panujący chłód, ruchy w milczeniu i zielone światło, wszystko to tworzyło atmosferę dziwnie podobną do atmosfery akwarium. Każda z dziewcząt na „balkonie” miała reflektor punktowy. Oświetlały one małe, białe T, przedstawiające lecący bombowiec RAF lub zielone T, symbolizujące polujący na niego myśliwiec. Kiedy informacje dochodziły do słuchawek dziewcząt, odpowiednio przesuwają białe bombowce nad Holandią i północnymi Niemcami. Na stanowiskach „orkiestry” prowadzono nieprzerwanie rozmowy telefoniczne, przekładano papiery i wykonywano różne manipulacje. Urządzenie klimatyzacyjne wydawało głośny szum, a wewnątrz tego obszernego, betonowego bunkra panował taki chłód, że August trząsał się z zimna nawet w ten ciepły, letni dzień. Telefonicznie czy dalekopisem można się było stąd połączyć z lotniskami i Dowództwem Obrony Cywilnej. Nawet łodzie podwodne i okręty artylerii przeciwlotniczej przy holenderskim wybrzeżu donosiły o ruchach samolotów do tego bunkra, który Luftwaffe ochrzciła nazwą „Bojowej Opery”.

Na mapie ukazały się zachodzące na siebie świetlne koła. Każde przedstawiało stację radarową, taką jak stacja Augusta. Każda miała w dyspozycji dwa nocne myśliwce krążące nad nią i czekające, aby spaść na bombowiec wchodzący w zasięg jej magicznego oka. Od czasu do czasu, któreś ze światełek T wyłączano, ponieważ bombowiec został zniszczony.

Młody Leutnant zauważył Pour le Merite Augusta i zdecydował, że jego posiadacz wart jest pełniejszego wyjaśnienia niż większość gości, których oprowadza. Wskazał na sześć rzędów foteli w „podscenium”, daleko pod nimi.

— Decyzje bojowe zapadają w pierwszych dwóch rzędach. Generał, trzeci z lewej, jest kontrolerem dywizyjnym. Po obu stronach ma oficerów operacyjnych. Na końcu, z lewej strony, znajduje się NAFU, czyli główny oficer łączności. Drugi z prawej kontrolera dywizyjnego, oficer z żółtymi patkami na kołnierzu, to IC, czyli oficer wywiadu. Facet po jego prawej

stronie jest starszym meteorologiem. Oficerowie w drugim rzędzie, prowadzący cały czas rozmowy telefoniczne, są kontrolerami myśliwców wykonujących rozkazy. Przy tym samym pulpicie znajduje się oficer artylerii przeciwlotniczej, kontroler radaru i łącznik obrony cywilnej.

— A co to za człowiek w biurze zbudowanym z ciemnego szkła, tam po lewej stronie? - zapytał August.

— Oficer łącznikowy wywiadu radiowego. Wychodzi tylko po to, aby porozmawiać z kontrolerem dywizyjnym. Nawet wówczas czyni to szeptem.

Uśmiechnął się; miał cyniczny stosunek do sztabowców, zresztą jak wszyscy piloci operacyjni.

Światelka w kształcie litery T przesuwały się powoli po prostej linii w kierunku Berlina.

— Co pan o tym sądzi? - zapytał Leutnant.

— To naprawdę imponujące - stwierdził August.

- Niestety, nie zawsze jest tak spokojnie jak teraz. Podczas prawdziwego Inalotu atmosfera jest bardziej gorączkowa. Widziałem już, jak ci na dole krzyczeli pa siebie.

- A te małe, białe światełka nie znikają tak szybko - powiedział August.

- Ach - odrzekł Leutnant. - Niestety, na tym polega cała trudność. Mówił jak człowiek, który wie, jak duże jest niebo w ciemną noc. Jeszcze przez kilka chwil obserwowali postępy „nalotu”. Białe światełka T, przedstawiające bombowce, trzymały się swojej wąskiej linii. Kontrolerzy ćwiczili „taktykę strumieniową” stosowaną przez RAF dla liczebnego przygnięcia obrony radarowej tylko w jednej strefie, zamiast wysłać pojedyncze samoloty na łup kilku radarowych stacji i współpracujących z nimi nocnych myśliwców.

— A co z samolotami Mosquito, jakie wysyłają dla oznakowania celu? Jeśliby nasze samoloty mogły wejść wystarczająco wysoko, aby je zestrzelić, to reszta nie wiedziałaby dokładnie, gdzie zrzucić bomby.

— Właśnie - powiedział Leutnant. Obrócił się lekko wkoło na palcach podparłszy się sztywno pod boki, co nadało mu osobliwą, zniewieściałą postawę. Spoglądał na Bacha z wahaniem, a następnie zdecydował się powierzyć mu sekret.

— Dzisiejszej nocy czeka na nich niespodzianka.

— Ju88 doładowane tlenkiem azotu?

— Nazywają je „ha-ha” - gaz rozweselający, rozumie pan? Słyszał pan o tym, co?

— Co za idiota wymyślił tę nazwę?

— A także działa 12,8 na szynach kolejowych. Wypróbujemy dzisiejszej nocy wszystko, co mamy. Nie wiem, sądzą że jakiś dureń z Ministerstwa Lotnictwa.

— Jeśli bombowce zechcą pójść nam na rękę i polecą nad kolejowymi działami

- rzekł z powątpiewaniem August.

— Zawsze nadlatują z północy na południe i zawsze w kierunku Ruhry ponieważ, jak sądzą, jest to granica ich zasięgu. Możemy więc z grubsza domyślić się i być mniej więcej na właściwym miejscu.

— Podłuch radiowy zapowiada duży nalot dzisiejszej nocy -

powiedział August. Spojrzał na swoją stację radarową, której zasięg wskazywał na szklanej mapie słabo oświetlony krąg. Stacja mieściła się dokładnie między lotniskami bombowców we wschodniej Anglii a Zagłębiem Ruhry. - Jestem w Ermine

- powiedział.

- Wiem, proszę pana - odrzekł Leutnant. - Obawiam się, że do rana to pan sobie za dużo nie pości.

August zobaczył teraz, że sztywna, lewa ręka Leutnanta była protezą.

Niż ten, podobnie jak wszystkie inne, powstał na skutek spotkania wilgotnego powietrza znad Azorów z zimnym, suchym powietrzem arktycznym. Zmieszana w ten sposób masa powietrza przemieściła się ku wschodowi, ponad Brytanią, aż dotarła nad wyspę Helgoland. Tutaj ośrodek niżu zatrzymał się. Zaznaczony chmurami zimny front, jak szerokimi na tysiące mil wrotami, przeciągał nad Europą z prędkością dwudziestu mil na godzinę. Front wygiął się, ponieważ jego skraj południowy nie mógł nadążyć. Dotarł zaledwie do Bilbao w Hiszpanii, podczas gdy jego centrum zaciemniało niebo nad Lyonem, a północny sektor zatapiał ulice Esbjerg ulewnym deszczem.

W strefie wysokiego ciśnienia, jakie szło za frontem, ciężkie powietrze osiadało, ogrzewając się w miarę opadania skutkiem kondensacji. Powiała jedna z najlżejszych bryz, chmury kurczyły się w oczach i zaświeciło słońce.

Nad Anglią przeszły w nocy burze z piorunami, rankiem roz pogodziło się, ale już małe cumulusy ukazały się nad Walią i zachodnimi rejonami kraju. W Kroonsdijk zaś, nad którym zimny front dopiero co przeszedł, niebo było błękitne, a słońce ogrzewało mokrą trawę.

Unteroffizier Himmel usadowił się w siedzeniu pilota swego Ju88, zaparkowanego na końcu dispersalu. Słońce ogrzewało metalowy kadłub przez kilka godzin i teraz siedzenie oraz stery parzyły przy dotknięciu, a zapach rozgrzanego paliwa był tak mocny jak grzanego wina. Cieszył się, że może być sam i pominąwszy głosy personelu naziemnego, przeprowadzającego inspekcję przed lotem, było spokojnie jak na wiejskim cmentarzu. Himmel spoglądał na mokrą trawę, na której plama z oleju utworzyła tęczowy, czerwono-żółto-bladofioletowy wzór. Brodziec usiadł nieopodal i tańczył na jasnej trawie szukając robaków, aż przestraszony przez mechanika, zamykającego dość głośno schowek na dinghy, uleciał w powietrze.

Z kawałka zapalonego przez sekcję przeciwpożarową starego kadłuba unosiła się w nieruchome powietrze smużka białego dymu. Tam właśnie ubrany w kombinezon Leutnant Beer dźwigał gaśnicę pod okiem Horsta Knolla, starego podoficera sekcji przeciwpożarowej. Horst był

facetem o przykrym usposobieniu i nienawidził oficerów robiąc wszystko, aby uprzykszyć im życie.

— Na podstawie płomienia! - krzyczał do Beera, który złorzeczył i niechętnie opryskiwał ohydnie cuchnące szczątki. Horst Knoll, wiedząc dokładnie co poruszające się wargi oficera mówiły, uśmiechał się i tym bardziej ponaglał.

— Niech pan się nie boi dymu, Herr Leutnant! Niech pan się zbliży i skieruje strumień na podstawę płomienia! Jeszcze bliżej, Herr Leutnant, jeszcze, jeszcze bliżej!

Na końcu szeregu matowoczarnych samolotów maszyna majora Redenbachera wystawiała swój pysk z ciemnego hangaru. Pracowała przy niej większość mechaników. Nagle spokój został zmacony dźwiękiem silników. Junkers z Leutnantem Kokkem za sterami także przygotowywał się do powietrznej próby. Usunięto podstawki spod kół i Kokke dodał troszeczkę gazu, aby rozpocząć kołowanie po obwodnicy lotniska. Pokołował za barakiem posterunku alarmowego, w którym załogi powietrzne spędzały tak wiele czasu. Przed barakiem kilkunastu lotników opalało się po ukończeniu próbnego lotu. Byli przeważnie młodszy od Himmla i niewielu było w Luftwaffe tak długo jak on. Przybyli z różnych rodzajów broni, na co wskazywało ich umundurowanie. Pełnili służbę na frontach wojennych od Finlandii do Egiptu: koszule polowe armii brytyjskiej, czeskie buty lotnicze, stare szorty Hitlerjugend i szwedzkie skórzane kurtki. Niektórzy siedzieli na leżakach rozebrani do pasa, z oczami zamkniętymi, dwóch grało w szachy, a jeszcze inni wyciągnęli się na mokrej trawie dyskutując o silnikach, sile ognia, dziewczynach, awansach i medalach.

Bez względu na to, jak bardzo Lówenherz ganił ich nieżołnierski wygląd, zarządzenie majora Redenbachera zezwalało, aby personel latający mógł w barakach alarmowych nosić swobodne stroje, pod warunkiem ciągłego przestrzegania regulaminu i noszenia na szyi znaczków tożsamości.

Trzej lotnicy stali w drzwiach baraku. Himmel spojrzał na zegarek i domyślił się, że słuchają BBC, ponieważ o tej godzinie nadawało program lotniczy. Starannie napisane pogadanki na tematy techniczne kończyły się zawsze listą personelu Luftwaffe wziętego do niewoli lub zabitego.

Nagle rozległ się głośny wystrzał z działka i wszyscy gwałtownie odwrócili się w stronę strzelnicy. Cienka wstążka niebieskiego dymu wskazywała miejsce, w którym zbrojmistrze zgrywali karabiny maszynowe



samolotu Lówenherza. Ktoś zażartował i wtedy Himmel zobaczył, jak wszyscy zaśmiali się i odprężyli. Długie oczekiwanie na zapadnięcie nocy wywoływało u nich stan napięcia. Dlatego właśnie Himmel odwlekał, ile się tylko dało, swoją próbę powietrzną.

Jeden z członków obsługi naziemnej Himmla usunął blokadę sterów, a następnie obszedł samolot dokoła, aby sprawdzić lotki i stery. Himmel wsunął palce stóp w pętle orczyka i zapiął pasy. Sprawdził przewód tlenowy przesuwając po nim dłonią, a następnie poruszył drążek sterowy do przodu, do tyłu i na boki, aby upewnić się, czy stery chodzą swobodnie. Stary Krugelheim, szef mechaników, zaczynał się niecierpliwić. Mimo że pod kombinezonem nie miał ani koszuli, ani spodni, pocił się chodząc tam i z powrotem pod nosem maszyny Himmla. Nie przestawał spoglądać w kierunku hangaru i samolotu majora Redenbachera. Zdjęto tam osłonę z lewego silnika, obnażając jego najbardziej intymne części przed wprawnymi dłońmi mechaników. Czarno ubrani żołnierze stali na platformie wokół wypatroszonego silnika jak czarownicy podczas diabelskiej mszy. Jeden z nich wyśpiewując urywek z instrukcji technicznej, zagłębił się we wnętrznościach silnika świecąc sobie latarką. Po chwili ukazała się jego otwarta dłoń, w którą bez słowa wsunięto klucz.

Krugelheim spojrział ku kabinie, w której Himmel siedział wysoko ponad nim.

- Pompa paliwowa - wyjaśnił.

Himmel był pewien, że mechanicy szybko naprawią silnik, ponieważ była już piętnasta dwadzieścia, a major miał zwyczaj zabierać najbliższą maszynę, jeśli jego własny samolot był niesprawny do zmierzchu, kiedy zaczynały się operacje. Samolot Himmla - „Katze Cztery” - stał właśnie najbliżej.

Otworzył całkowicie osłonę kabiny i zawołał w dół do szefa mechaników:

— Nie widzieliście czasem Unteroffiziera Pohla?

— Nie - odpowiedział Krugelheim. - Prawdopodobnie nadal rozmawia z oficerem łączności.

— Te anteny mnie martwią - rzekł Christian Himmel.

Stary żołnierz przeszedł pod nos maszyny, aby spojrzeć z bliska na „widełki do przypiekania grzanek”.

- To przez deszcz - powiedział. - Jeśli są suche przez kilka dni, działają doskonale. Ale widzę już Pohla.

Ktoś w kombinezonie lotniczym, żółtej kamizelce ratunkowej i ze spadochronem wyłonił się z baraku. Nie był to jednak operator radarowy Himmla. Zniknął na chwilę za innym Junkersem 88, ale kiedy go obszedł, rozpoznali Lówenherza. W taki upał żaden inny lotnik nie nosił kombinezonu lotniczego. Podobnie jak Himmel, większość ubierała lekkie hauby, koszule, szorty i kamizelki ratunkowe. W pełnym rynsztunku lotniczym mógł być tylko Lówenherz.

- Czego chce ten cholerny Staffelkapitan? - zapytał Krugelheim, jak gdyby defekt w przewodzie paliwowym maszyny majora Redenbachera przestał być jego głównym problemem.

- Głowa do góry, Kugel - rzucił Himmel. - Wkrótce się dowiemy.

Nazwać starego, opryskliwego Oberfeldwebela „Kugel” było przywilejem, przysługującym jedynie najbardziej doświadczonym podoficerom w Kroonsdijk. Chociaż oznaczało to „pocisk”, w przypadku brzuchatego szefa mechaników mogło oznaczać także „globus”. Kugel podszedł bliżej pod kabinę.

— Byłeś w jego eskadrze podczas Kanalkampf, czy nie tak, młodzieńcze?

— On był w mojej. Zabrałem go na jego pierwszy lot bojowy jako mojego skrzydłowego. Wtedy był facetem pełnym animuszu.

— Potem otrzeźwiła go wojna - stwierdził stary podoficer.

— Otrzeźwiła wielu z nas - powiedział Himmel.

— Właśnie! - wykrzyknął z goryczą mechanik.

Himmel uśmiechnął się do starego Oberfeldwebela. To jego bezinteresowna dbałość utrzymywała ich samoloty w tak dobrym stanie. Stary także był kiedyś pełnym werwy młodzikiem, ale teraz już wiedział, że świat jest nieuleczalnie chory. Kugel stuknął obcasami, kiedy Lówenherz mijął go bez słowa i kontynuował przegląd, poruszając każdym sterem dla upewnienia się, że jest odblokowany i porusza się swobodnie.

Himmel spojrzał w dół ku włazowi, przez który Lówenherz wspinał się po metalowej drabince. Wewnętrzne drzwiczki włazu otworzyły się i jego głowa ukazała się na poziomie podłogi kabiny, za nogami Himmla.

- Lecę z tobą zamiast Pohla - powiedział. Ktoś z obsługi naziemnej podał przez otwór tęczkę Lówenherza.

Himmel skinął głową i odwrócił się, aby zamienić z mechanikiem znaczące spojrzenie, podczas gdy Lówenherz zapinał pasy po usadowieniu się na siedzeniu operatora radarowego, za pilotem. Tyły ich głów prawie się dotykały, ale siedzenia rozdzielała płyta pancerna. Staffelkapitan upewnił się dokładnie, czy przypięty do kombinezonu kabel telefonu pokładowego przybiega za jego plecami. Nie było to wygodne, ale Lówenherz czytał o przypadkach, kiedy to członkowie załogi powietrznej udusili się własnymi przewodami radiowymi, co stanowiło ulubiony temat jego wystąpień. Himmel miał nadzieję, że nie zauważy jego poplątanych przewodów.

- Wszystko sprawdziłeś, Christianie? - dopytywał się Kugel. - Jest dzisiaj ciepło, otwórz więc zupełne żeberka chłodnicy podczas kołowania i zamknij całkowicie przy starcie. Obserwuj wskaźnik temperatury chłodzenia.

Himmel skinął głową.

— Frei! - wrzasnął Kugel.

— Frei! - odkrzyknął Himmel i nacisnął przycisk. Rozrusznik zajęczał szarpiąc łopatami śmigła. Jasnoniebieski płomień wymknął się pomimo osłon z rury wydechowej. Nastąpił rozrywający uszy ryk. Tablica rozdzielcza wibrowała, a wskazania przyrządów pokładowych stały się nieczytelne. Himmel odjął gaz. Uruchomił drugi silnik i poczekał aż zaczną działać wskaźniki paliwa i ciśnienia oleju. Cały samolot kołysał się na

oponach. Pomimo upału pilot zasunął całkowicie boczne okno, ponieważ tak nakazywała jedna z dobrze znanych instrukcji Lówenherza. Tablica przyrządów i szyba przed pilotem drżały rytmem silników. Dał pełen gaz, aż zobaczył, jak wskaźniki obrotomierzy podskoczyły do 2800. Nawet przez haubę dochodził go przenikliwy dźwięk. Obsługa naziemna zatykała uszy dłońmi, a czarne kombinezony falowały na wietrze. Dwóch ludzi wyciągnęło podstawki spod kół.

Himmel obrzucił kabinę jeszcze jednym spojrzeniem: klapy wciągnięte, pasy zapięte, magneta wyłączone, podwozie zablokowane, paliwo uzupełnione, tlen gotowy, hamulce włączone. Przyrządy były oznaczone kolorami: paliwo-żółtym, olej-brązowym a powietrze-niebieskim. Każdy z nich dawał prawidłowe wskazania, a jednak Himmel jeszcze denerwował się. Wszyscy piloci w tym momencie czuli niepokój. Kiedy już znajdą się w powietrzu, napięcie nieco ustąpi.

Himmel przypiął maskę tlenową do hauby i zacisnął kołeczki mikrofonu krtaniowego. Lówenherz, wyższy od niskiego Pohla, miał problemy z przesunięciem siedzenia do tyłu. Himmel chciał już pomóc, ale skonstatował, że Lówenherz nie jest typem mężczyzny, który lubi, aby mu pomagano.

— Pilot do operatora radarowego - odezwał się nieśmiało - czy wszystko w porządku?

— Wszystko w porządku - odpowiedział Lówenherz.

W lusterku wstecznym Himmel zobaczył, jak Lówenherz próbuje palcami pokręteł radaru.

- „Katze Cztery” do kontroli: proszę o pozwolenie na start.

Kontroler odpowiedział, żeby ruszali. Himmel zwolnił hamulce i samolot potoczył się naprzód. Stary Kugel pokiwał im, jakby odganiał rój much.

Kontrola nakazała pokołować na odległy koniec lotniska, odczekać aż wystartuje „Katze Dwa” a następnie przesunąć się na koniec pasa startów. Ruszył powoli obwodnicą, obok zniszczonego Junkersa 34. Znajdował się on tam zawsze, odkąd Himmel pamiętał i stał się punktem orientacyjnym na lotnisku. Trzy miesiące temu wymontowano silnik i stwierdzono, że był to stary bristol jupiter, a nie jak się spodziewano niemiecki zespół napędowy. Typowy bałagan Luftwaffe, pomyślał Himmel. Tak więc teraz wypatroszony

samolot wystawiał na pokaz swój rdzewiejący tuż obok silnik, jak eksponat muzealny.

Równolegle do ogrodzenia biegł wypełniony wodą rów, jasnozielony teraz, gdy wiosenne słońce spowodowało zarośnięcie jego powierzchni małutkimi roślinkami rzeżuchy. Sama grobla biegła dwa i pół metra powyżej lotniska, a droga na niej prowadziła do Utrechtu. Jej brzegi były schludnie oznaczone białą farbą, a powierzchnia wybrukowana dużymi kamieniami, które Holendrzy nazywali „kocimi łebkami”. Wojskowe konwoje kręciły się po niej jak złe pszczoły, a koła rowerów turkotały, przyprawiając prowadzących o drżenie kości. Drogą na grobli szła kompania piechoty. Himmel zauważył zmęczonych i spoconych żołnierzy spoglądających z zazdrością w jego stronę, gdy z trudem maszerowali obok, obciążeni pełnym ekwipunkiem, kocami i karabinami. Śpiewali „In der Heimat, in der Heimat, da gibts ein Wiedersehen” - w kraju rodzinnym znowu się spotkamy.

Himmel i Lówenherz obserwowali samolot Kokkego, który nabrawszy pełnych obrotów pędził po pasie startowym, a następnie wznosił się powoli ku wschodowi. Potem ruszył Himmel.

Nie był to jego najlepszy start, ale po prostu wyprowadzał go z równowagi Lówenherz, siedzący spokojnie z tyłu i czekający na przeprowadzenie rutynowych ćwiczeń przechwycenia radarowego, co było normalnie obowiązkiem potulnego, małego Unteroffiziera Pohla.

Ziemia mignęła pod nimi. Słońce świeciło nad Kroonsdijk tak, że połowa każdej ulicy tonęła w cieniu. Dzieci wskazywały na nich palcami, a zwierzęta wierzgały niespokojnie. Mewy uleciały w powietrze jak garść białego confetti, złapały wietrzyk i zgodnie opadły z powrotem ku ziemi. Podwozie z głuchym uderzeniem zamknęło się w swojej komorze. Bielizna na sznurze łopotała na wietrze, a rowerzyści przystanęli. Jedwabista plama niebieskiego jeziora była przyfastrygowana do okolicznej zieleni napiętymi żyłkami setek wędkarzy, spodziewających się uzupełnić swoje szczupłe racje żywnościowe. Płaskie wrzosowiska pokreślone nieregularnymi ścieżkami wyglądały jak purpurowo-brązowy papier ścierny. Pola i jeziora malały w miarę, jak zostawały w dole. Pusta początkowo droga robiła się coraz ruchliwsza, aż doszła do wioski rybackiej i skończyła się. Łodzie tłoczyły się ciasno przy zapchanych molach, a potem była już tylko pusta przestrzeń niebieskiej wody Ijsselmeer. Mgiełka letniego upału unosiła się nad nią jak

dymiący tłuszcz nad patelnią.

Wezwała go kontrola: - „Katze Cztery”, weź kurs 090 dla przeciwnienia powietrznego przechwycenia. Rendez-vous na dwóch tysiącach metrów, w kwadracie Heinz Marie Dziewięć.

Himmel wyciągnął mapę z lotniczego buta.

Deelen podpowiedział mu Lówenherz, zanim zdążył ją rozłożyć.

Himmel rozpostarł mapę i rzucił okiem w dół na dziewiąty kwadrat odnośników H i M. Oczywiście, Lówenherz miał rację. Himmel uśmiechnął się; duży samolot leciał doskonale. Zobaczył w lusterku, że Lówenherz spogląda przez ramię. Czy ten karabin jest naładowany? - zapytał Lówenherz.

- Tak, panie poruczniku.

Wypróbuję go teraz, kiedy jesteśmy nad wodą - oznajmił Lówenherz.

Usłyszał za sobą próbną serię z karabinu. Jak to dobrze, że personel naziemny go naładował. Często nie troszczyli się o to, ponieważ w wojnie nocnych myśliwców te małe karabiny maszynowe, zamocowane na obrotniku i obsługiwane przez radarowca, nie stanowiły wielkiego pożytku. Himmel poczuł zapach spalonego prochu i zacisnął maskę tlenową na twarzy. Zataczali koła nad Deelen, kiedy kontrola poinformowała ich, że Junkers Kokkego powrócił do Kroonsdijk z usterką techniczną. Lotnisko w Leeuwarden podeśle im samolot do wypróbowania radaru w powietrzu. Muszą udać się nad Ameland, wyspę u północnego wybrzeża Holandii.

To właśnie Lówenherz pierwszy zobaczył samolot pod nimi. Dopiero kiedy widzicie inny samolot na niebie, zdajecie sobie sprawę, jak szybko się poruszacie.

Był to biały dwupłat, Arado 66, z czerwoną wstążką ostrzegawczą, trzepocącą u końcówki skrzydła. Lówenherz przypomniał sobie swój pierwszy samodzielny lot. Wydawało się to tak odległe.

Widzisz go, Himmel? - zapytał. - Poniżej z lewej?

Mały, szkolny samolot włókł się nad polami dojrzewającego żyta i ciemnymi lasami jodłowymi.

Dobrze leci, panie poruczniku. Pewniej niż ja to robiłem. I pewniej także niż ja - przyznał Lówenherz. - Skręć za nim, może będę mógł go złapać na radar.

— Leci bardzo nisko. Sądzę, że złapiemy odbicie fal od ziemi -

powiedział Himmel, ale skierował samolot w dół i skręcił, aby zbliżyć się do tej ładnej maszyny podskakującej wesoło jak zabawka.

— Ustawię Kuriera prościutko przed nami - powiedział Himmel, używając szyfrowanego słowa na oznaczenie samolotu nieprzyjacielskiego. Mały, biały dwupłatowiec stał się nieprzyjacielskim bombowcem, ponieważ nie wyrabiamy nieprzyjaciela z gliny lub wosku, jak to się czyni w magicznych obrzędach i rytuałach. Lalka wyglądająca jak twój wróg jest nazywana jego imieniem. Przekłuj ją szpilkami, zapal, a już wiesz, że same nieszczęścia spadną na tych, których nienawidzisz. Udając, że jest ciemno, obaj mężczyźni grali komedię skradając się do białego łupu z całą zręcznością, jakiej nauczyły ich lata wojny.

Himmel kręcił głową na wszystkie strony jak zaniepokojony wróbel. Myśliwscy weterani żyją jeszcze tylko dzięki stałemu, szczegółowemu badaniu każdego sektora nieba, a Himmel nigdy nie patrzył w jedną stronę dłużej niż przez moment. Z drugiej strony Wiktor Lówenherz z pewnym wysiłkiem woli skoncentrował się na radarze. Jeśli chodziło o niego, to uważał, że samolot znajduje się pod kontrolą Himmla. Jego ojciec chwalił się zawsze, że lepiej jeździ konno, lepiej strzela, a nawet lepiej zajmuje się końmi i czyści sprzęt niż ktokolwiek pod jego dowództwem. Podobnie Oberleutnant Lówenherz był dumny ze swojej wprawy w obsłudze aparatury radarowej. Oczywiście, to wszystko było bardzo proste, kiedy na próbie pilot trzymał kurs na maszynę przed nimi. W ciemnościach nocy, kiedy pilot polegał jedynie na prowadzeniu go przez swego radarowca, było zupełnie inaczej. Ponownie wyregulował zespół kontrolny, ale lampa wyniesienia była zepsuta, a lampa zakresowa też ledwo działała. Zbliżali się zbyt szybko. Himmel odjął gazu, użył nawet nieco klap, ale stary dwupłat był tak powolny, że Himmel musiał uciec w lewo i ponownie nawracać.

Himmel widział w lusterku Lówenherza, kulącego się przy trzech ekranach radarowych.

- Masz rację, Himmel - odezwał się Lówenherz - odbicie fali od ziemi na tej wysokości po prostu wymazuje obraz echa. Prawdopodobnie śmiertelnie wystra szyliśmy faceta.

I mnie także, pomyślał Himmel. Oto my, przypuszczalnie dwaj najbardziej odpowiedzialni i najbardziej doświadczeni piloci eskadry, planujemy katastrofę powietrzną: mała wysokość, prędkość grożąca utratą

równowagi i tworzenie szyku z obcym samolotem. Gdyby coś się wydarzyło, to komisja badania wypadków postawiłaby nas obu przed sądem.

Himmel pokręcił małym kółkiem sterowniczym, aby schować klapy. Pchnął żółte manetki gazu i ton silników zmienił się z barytonu w tenor. Rozwinięcie prędkości sprawiło mu ulgę. Richardy były potężnymi silnikami, ale ciężki sprzęt radarowy i niezgrabny układ antenowy na nosie samolotu powodował, że na skutek utraty szybkości samolot bardzo łatwo mógł wpaść w korkociąg. Zatoczył szeroki łuk dookoła małego, białego dwupłata, tak aby ten nie wpadł w wiry powietrzne za Junkersem. Himmel uśmiechnął się, kiedy go wyprzedzali, ponieważ pilot był tak zajęty utrzymaniem samolotu w poziomie, że teraz po raz pierwszy zauważył Junkersa. Patrzył nieruchomo szeroko otwartymi oczami, zdumiony widokiem olbrzymiej, czarnej maszyny i jej wielkich anten radarowych. Następnie biały dwupłat skierował się w dół - uczeń zaczął rozglądać się za swoim lotniskiem.

Junkers wspinał się stromo i kontynuował lot na północ lecąc skrajem Leeuwarden i dalej ku morzu. Po prawej leżała Terschelling, jedna z największych wysp w archipelagu fryzyjskim. Pogoda była doskonała, z wyjątkiem dalekiego, północno-wschodniego horyzontu, gdzie kryształki lodu z cumulonimbusów sięgały na mile w górę, a padający deszcz przybrał wygląd ciemnej spódnicy. Lecieli dalej ponad Wyspami Fryzyjskimi i wyszli nad Morze Północne. Strzępy chmur rzucały cienie na wodę pod nimi, a czasem porwane fragmenty białego stratocumulusa pochłaniały na moment samolot.

W odległości kilku mil od brzegu zobaczyli konwój. Trzymając się z dala od wraków, które zaśmiecały wybrzeże, ale pozostając wśród pól minowych, które go chroniły, konwój posuwał się rażno po spokojnym morzu. Junkers znajdował się dość nisko, aby dojrzeć marynarzy poruszających się po pokładach, a niektóre ze starych parowców wytwarzały słupy dymu zdolne ich dosięgnąć. Było to poszczerbione zbiorowisko: na pól pomalowane kominy, zardzewiałe wciągarki, ciekące odpływniki i porzucane pokrywy luków. Część ładunku na pokładzie była zaledwie do połowy zakryta, a drużyna pokładowa pracowała gorączkowo przy brezentowych nakryciach. Himmel zastanawiał się dlaczego tak się męczyli. Ponury wygląd statków zmienił świeży deszcz, który pokładowi nadał



połysk, a kadłubom kolor starych butów rajtarskich. Dwa frachtowce wiozły świeże drewno koloru miodu, wyglądające jak smakołyk. Załogę stanowili Duńczycy i Holendrzy. Stare tankowce zanurzały się głęboko w wodzie, a na przodzie dwa francuskie liniowce towarowe płynęły z maszynami i chemikaliami. Posuwały się drogą, jaką zawsze pływały, niektóre jeszcze przed I wojną światową. Dziwne, że teraz musiały mieć asystę niemieckich kontrtorpedowców, fregat i łodzi UJ kręcących się obok ich szyku oraz niemieckich samolotów dla ochrony przed atakami RAF. Co dziwniejsze, niektóre z tych samolotów RAF pilotowane były przez Francuzów, Holendrów i Duńczyków. Dwie łodzie UJ - prawie czterystutonowe, przekształcone z trawlerów - odłączyły się od konwoju i pozostały w tyle. Konwój zaczął teraz zmieniać kurs, ale utrzymywał dyscyplinę i dobry szyk. Za każdym statkiem rysował się na lazurowym morzu ślad, pomarszczony i biały. To był piękny widok, spotęgowany czerwonymi i żółtymi światełkami umieszczonymi na masztach. Lekki krążownik mienił się mrugającymi światełkami, jak gdyby każdy marynarz na pokładzie wysyłał wiadomość do samolotu. Nagle coś eksplodowało.

- Strzelają do nas! - wrzasnął Lówenherz, ale jego głos utonął w gwałtownym huku rozrywających się wokół nich pocisków artyleryjskich. Teraz Himmel już wiedział, co znajdowało się pod brezentem: działa!

Rozrywający się w pobliżu pocisk wstrząsnął samolotem i gwałtownie szarpnął lewym skrzydłem w górę. Himmel nie zareagował. Pozwolił maszynie staczać się w dół gwałtownym, bocznym ześlizgiem. Każdy eksplodujący pocisk artyleryjski zawieszał nową, czarną plamę na niebie. Samolot opadał pośród rozrywających się pocisków, aż dodatkowa siła nośna skierowanego w dół skrzydła i poprzeczna stabilność Junkersa wyrównały go do prostego i poziomego lotu, jakieś sto stóp ponad wierzchołkami fal.

Znaleźli się teraz w zasięgu okrętowych działek przeciwlotniczych 3,7-cm, a nawet wielolufowych 2-cm. Automatyczne działa przeciwlotnicze dodały nowego dyszkantu basowym dźwiękom ciężkich dział. Himmel opuścił się jeszcze niżej, aż zeszli na zaledwie dziesięć stóp nad wodę. Morze z bliska było innego koloru: zimne, stalowoszare, upstrzone brudną pianą. Połamane drewno i rupiecie, podobnie jak rozpryski pocisków przeciwlotniczych, znaczyły jak ospa jego wzburzoną

powierzchnię.

Himmel dodał gazu i lekko dotykając steru tańczył nad czubkami fal tak nisko, że pył wodny pokrył kroplami przednią szybę kabiny. Artylerzyści okrętowi znali swój fach. Ich żółte ognie rozciągały się nad wodą, tworząc baśniowy most między samolotem a konwojem. Wkrótce znaleźli się daleko, a most opadł za nimi do wody. Himmel przestawił pokrętło trymu i podciągnął samolot do łagodnego wznoszenia.

Przed nimi była Holandia. Wysoko w powietrzu była inna „ziemia” - z chmur, Himmel utrzymywał łeb Junkersa skierowany w górę. Kiedy osiągną brzeg, znajdą się nad tymi chmurami. Były bardzo piękne: ciemnoszare od spodu, złociste na krawędziach, z puszystymi, białymi wierzchołkami i gdzieniegdzie lukami ujawniającymi powyżej intensywny błękit nieba.

— Wszystko w porządku, panie poruczniku? - zapytał Himmel.

— Czuję się wspaniale. Jak samolot?

— Dostał kilka razy, ale układ sterowania funkcjonuje.

— Himmel, to był świetny ogień przeciwlotniczy.

— Mają dużą praktykę.

— I strzelają szybciej, niż myślą - dodał Lówenherz. Obaj zaśmiali się i napięcie zelżało.

— A pamiętasz tego faceta, którego nazywano Porky? - zapytał Lówenherz.

— Ostenda, maj 1941. Kiedy Karl Reinhold zatelefonował do niego do baraku alarmowego i powiedział, że został odznaczony Krzyżem Rycerskim...

— ... za ataki z niskiego pułapu na przyjacielskie konwoje - zahuczał Lówenherz. - Następnie zatelefonował do mnie, ale na szczęście ostrzegłeś mnie, że nowym chłopcom płata się figle.

— Zawsze je robiono.

— Uchroniłeś mnie, Christianie, przed zrobieniem z siebie głupca.

— Był pan dobrym skrzydłowym.

— A teraz jestem twoim Staffelkapitanem. Dziwne, jak sprawy czasem się układają.

— Powinien pan już być Kommodorem.

— Na miłość boską, Christianie, dlaczego zabrałeś te dokumenty?

— Czy właśnie dlatego Herr Oberleutnant poleciał ze mną? Himmel przeszedł na pełną szacunku trzecią osobę.

— Oczywiście, że dlatego, Christianie.

— Chodzi o sprawę honoru, Herr Oberleutnant.

— Honoru?

— Te dokumenty przynoszą nam wszystkim wstyd.

— Co mówisz? Co to za dokumenty?

- Nie powiedziano panu, co? A więc może wstydzieli się. Dobrze, że się chociaż wstydzą.

Himmel sięgnął do kombinezonu lotniczego i wyciągnął dużej objętości dokument w okładce z brązowego papieru. Podał go nad swoim ramieniem Lówenherzowi.

- Proszę to najpierw przeczytać, Herr Oberleutnant. Wtedy zrozumie pan, dlaczego muszę doprowadzić sprawę do końca.

Akta nie wyglądały imponująco. Metalowy zacisk trzymał je razem, a orła Luftwaffe odbito na okładce gumową pieczęcią. U góry biegł napis: „Naczelne Dowództwo Luftwaffe - Korpus Medyczny - Tajne”. To nie był dokument drukowany. To był powielony maszynopis i miejscami słowa były ledwo czytelne.

— Co doprowadzić do końca?

— Proszę to przeczytać.

Lówenherz był początkowo skłonny zwrócić dokument Himmlowi bez otwierania. Obawiał się, że wciąga się go w milczącą konspirację. Przez jakiś czas obserwował przesuające się w dole zielone morze. Kiedy przekraczali linię brzegu, kłębiasta, postrzępiona chmura znalazła się pod nimi zaledwie na długość ramienia. Rozciągała się przed samolotem jak oślepiająca, lodowo-śnieżna pustynia. Silniki utrzymywały basowy ton, a moc samolotu wprawiała go w drzenie. Oberleutnant podjął decyzję: odpiął metalowy zacisk i zaczął czytać skradziony raport lekarski.

Konwój wrócił do właściwego kursu po kolejnym taktycznym pływaniu zygzakami. Kontrtorpedowce i inne uzbrojone okręty poruszały się szybko, płynąc to ku przodowi, to ku tyłowi konwoju, popędzając marynarzy przy pomocy głośników i lamp sygnałowych do ustawienia statków w linii. Z tyłu, jak kwoka, krążownik „Held” utrzymywał prosty, pełen godności kurs. „Held” był lekkim krążownikiem Królewskiej

Marynarki Holenderskiej, nazywanym „Jan Koppelstok” aż do 1940 roku, kiedy to został zdobyty przez Niemców i przebudowany na okręt przeciwlotniczy. W baterii dziobowej, ukryty za stalowymi drzwiami, artylerzysta o nazwisku Franz Pawlak palił cygaro. Jego ładowniczy czyścił starannie i z czułością obsadę działa 10,5 cm, model 37. Obaj byli ubrani w zimowe, podszyte futrem ubiory z kapturami, zaprojektowane na front rosyjski. Chroniło ich to nieco przed przenikliwymi wiatrami Morza Północnego, które nawet w środku lata mroziły marynarzy do szpiku kości.

Załogi dział cierpiały najbardziej, ponieważ wiele z nich stanowił były personel Luftwaffe, z którego większość z trudnością przystosowywała się do rygorów życia na morzu. Obergefreiter Franz Pawlak przystosował się. Wstąpił do Luftwaffe w czasie bitwy o Anglię, kiedy kroniki filmowe pokazywały pilotów odpoczywających na leżakach w przerwach między lotami bojowymi wśród wzdętych, białych chmur, krzyczących: „Spitfire” i uśmiechających się, gdy wysocy rangą dowódcy mocno ściskali im dłonie i nagradzali medalami. Franz został wylany ze szkoły pilotażu po bardzo złym pierwszym samodzielnym lądowaniu. Stopnie z teorii nawigacji wykluczały przeniesienie go do szkoły obserwatorów i kiedy przybył jako kandydat na oficera artylerii przeciwlotniczej był rozdrażniony i zniechęcony. Oblał egzamin i był teraz Obergefreitem na okręcie ochrony przeciwlotniczej, z małą szansą awansu. Franz czuł wstręt i straszliwą, nieustającą nienawiść do wszystkich samolotów. Poprzedniego miesiąca on i załoga jego działa zapisali sobie na konto zestrzelonego Blenheima, samolot bombowy RAF. Aby to uczcić, lufa działa została przystrojona namalowanym białym pierścieniem. Franz pragnął dodać drugi pierścień na równi z chęcią pójścia do cywila. Jego K3, pulchny goniec ze sklepu rzeźnickiego w Königsbergu, zacerwienił się z wysiłku przy ładowaniu piętnastokilogramowych pocisków na nieporęczną, stromo nachyloną tacę ładowniczą. Spierał się z Franzem.

— Nie można namalować drugiego pierścienia na lufie, dopóki zniszczenie samolotu nie zostanie potwierdzone. To rozkaz kapitana.

— Przecież widziałeś jak spadał w dół - powiedział Franz. - Czyż nie jestem teraz najlepszym artylerzystą w całym tym przeklętym konwoju?

- Admirale, może zanurkował nad poziom morza, aby uniknąć ognia z dział?

Zarówno przyjaciele jak i wrogowie Franza Pawlaka nazywali go Admiralem.

- Weź białą farbę. Powiadam ci, że go zestrzeliliśmy.

- A ja nadal twierdzę, że to mógł być jeden z naszych.

- O czym ty mówisz, Klaus? Wszystkie działa w konwoju strzelały - powiedział Franz.

- Oni otworzyli ogień dopiero, gdy ty zacząłeś strzelać - stwierdził Klaus.

- Zgadza się. Kiedy ja zacząłem, stary Szklany Nos dał rozkaz.

- Wciąż obawiam się, że to mógł być jeden z naszych. Był bardzo podobny do Junkersa 88 i uciekając poleciał na południe.

— Beaufighter, Bristol Beaufighter. W każdym razie to był samolot - upierał się Franz - a samoloty zrzucają bomby i każdy samolot, który znajdzie się w zasięgu tego wymyślnego wynalazku, zostanie ostrzelany. Czy teraz przyniesiesz białą farbę?

— Jak chcesz, Admirale. Będziemy jedynym działem na „Heldzie” z dwoma zwycięskimi pierścieniami zakładając, że kapitan nie każe nam tego zamalować.

— Powiem ci coś, Dikke - powiedział Franz szturchając przyjaciela w brzuch. - Mamy przeciętną osiem i pół węzła i jeżeli to przekłete holenderskie wiadro nie będzie miało więcej kłopotów ze sterem, to przepłyniemy obok Hoek van Holland około północy. W tym miejscu samoloty RAF przelatują ostatnio prawie każdej nocy.

Pogłaskał lufę dużego działa.

- Heini, do jutra rana możemy mieć trzy pierścienie na naszej parowie.

Byłoby wtedy o czym pisać do twojej kuzynki Sylwii!

Klaus Munte spojrzał na przyjaciela i uśmiechnął się, ale jeśli było coś, czego nienawidził bardziej niż być nazywany Tłuscioszkiem, to było właśnie Heini.

— Wojna może skończyć się dziś w nocy - powiedział Munte.

— Dla mnie się nie skończy - odrzekł Pawlak.

Mylił się w tym i w wielu innych punktach swojej pozornie słusznej gadaniny.

To, co Lówenherz miał przed sobą, było jednym z najbardziej

makabrycznych i przerażających dokumentów stworzonych przez cywilizowane społeczeństwo.

„Doświadczenia z zamrażaniem ludzi” to trzydziestodwustronicowy raport, opracowany przez doktora Sigmunda Raschera z Korpusu Medycznego Luftwaffe, przy pomocy profesora medycyny na Uniwersytecie Kilońskim. Doświadczenia miały miejsce w obozie koncentracyjnym Dachau i polegały na umieszczaniu nagich więźniów w lodowato zimnej wodzie lub na pozostawieniu ich na śniegu aż zamarzli na śmierć. Od czasu do czasu lekarze mierzyli im temperaturę i zapisywali ją. Po zgonie przeprowadzano oględziny sądowo-lekarskie.

Doktor Sigmund Rascher przeniósł komorę dekompresyjną Luftwaffe z Monachium do położonego kilka kilometrów dalej obozu koncentracyjnego Dachau. W tej komorze umieszczano dwustu więźniów i każdemu z nich obniżano ciśnienie do momentu rozerwania ciała. Raport z tej serii doświadczeń został wysłany do Inspektoratu Medycyny Luftwaffe w lecie 1942 roku.

Trzecią i ostatnią częścią skradzionych akt był raport doktora Raschera o „Eksperymentach z rozgrzewaniem”. Były one jeszcze bardziej zwyrodniałe. Jeńców płci męskiej zamrażano prawie na śmierć w lodowatej wodzie, a następnie umieszczano w łóżkach między dwiema nagimi kobietami. (Kobietami były więźniarki z obozu koncentracyjnego Ravensbruck). Doktor Rascher odnotował bardzo szczegółowo seksualne reakcje półżywych mężczyzn, badając do jakiego stopnia zwiększało to ich szansę przeżycia. Raport złożył w dokumencie datowanym: luty 1943 i oznaczonym napisem „Tajne”.

Dokumenty wstrząsnęły przekonaniem Lówenherza. Oczywiście, miał wątpliwości; niewielu ludzi ich nie miało. Baron Lówenherz, jego ojciec, wierzył w pogłoski i nazywał je symptomami niepokoju. Partia hitlerowska była pomostem do uzdrowienia, etapem pomiędzy załamaniem w 1918 roku, a powrotem do naturalnego stanu rzeczy, w którym silny niemiecki korpus oficerski podtrzymywał wiarę w honor Niemiec. W tej chwili naród był w rękach tych Bawarczyków, między którymi znajdowało się kilku niegodziwców, łobuzów, lecz przecież lepszy ten rodzaj rewolucji niż odmiana bolszewicka, gotowa zarząca rodzinę tylko dlatego, że jej ręce są czyste lub nazwisko patrycjuszowskie. Baron powiedział mu, że

pomysłowi, twórczy i wykształceni ludzie bywają bezlitośni. Musimy pracować z tymi hitlerowskimi kondotierami tak jak Leonardo musiał pracować z Machiavellim, Cezarym Borgią i księciem Sforzą; podobnie trzy wieki później rewolucja przemysłowa odsunęła na bok filozofów i humanistów po to, by Europą mogli rządzić despoci mający jeden cel na oku. Stawiali dzieci przy piecach a kobiety w kopalniach, dręczyli, oszukiwali, przekupywali, dosłownie zapracowywali swoich robotników na śmierć. Byli powodem nędzy i buntów, ale jak dziś wiemy, rewolucja przemysłowa pchnęła Europę o cały wiek przed resztę świata.

Teraz hitlerowcy zmieniają Niemcy z podobnym okrucieństwem. Nie możemy, oczywiście, aprobować tego, co się dzieje, tych obozów, o których ludzie mówią szeptem, polowania na Żydów i komunistów, czy wreszcie „dyplomacji kanonierek”, jaką zastosował Hitler w celu przyłączenia Austrii, a potem Czechosłowacji. To są złe rzeczy, ale wszystko to robiła Brytania albo zrobiłaby, gdyby zaszła potrzeba zdobycia pozycji potęgi światowej. Jeśli Hitler oszukuje, to robi to dla Niemiec. Jeśli kradnie, to kradnie dla Niemiec. Jeśli zabija, to czyni to także dla Niemiec. Jeśli potrzebuje naszej pomocy, to korpus oficerski musi mu jej wspaniałomyślnie udzielić, nie może odmówić.

Wszystko to, co powiedział mu ojciec, Lówenherz wytłumaczył Christianowi Himmlowi, ale Christian pozostał nieprzejednany.

— Ale co osiągniesz, jeśli przekażesz te straszne dokumenty Brytyjczykom? Czy chciałbyś, aby ich propaganda wyjawiała te sprawy światu?

— Ja? Dać je Brytyjczykom? - zdziwił się Himmel. - Tak panu powiedziano?

— Więc co chcesz uczynić z tymi papierami?

— To bardzo proste, Herr Oberleutnant - odparł Himmel. - Te sprawy robi się w naszym imieniu. Ach, to brzmi podniośle, kiedy mówi pan, że to dla Niemiec, ale te doświadczenia wykonuje się dla nas, lotników. Badania wykorzystano, aby pomóc przeżyć w przypadku przymusowego lądowania w oceanie lub Arktyce. Ale, Herr Oberleutnant, czy zna pan lotnika, który nie wolałby raczej umrzeć aniżeli pozwolić na wykonywanie tych odrażających eksperymentów na więźniach?

— Chyba nie - zgodził się Lówenherz. - Ale dlatego, że pytaliśmy

ich, kiedy im ciepło i sucho, kiedy są na łodzi lub kiedy siedzą w kasynie z kieliszkiem koniaku w ręku. Zadaj jednak to pytanie lotnikowi w kilka chwil po rozbiciu się w zimnym morzu, a może zadecyduje inaczej.

— Ja nie.

— Nie. Ponieważ jesteś idealistą, Christianie. Pamiętam czasy, gdy mówiłeś o hitlerowcach, jako o zbawicielach naszego kraju. Dokładnie tak jak mówił o nich stary baron. Teraz pozbawiłeś się iluzji - ciągnął dalej Lówenherz. - Jesteś zgorzkniały i zły na siebie. Jesteś zły, ponieważ hitlerowcy nigdy nie dawali czegoś, czego nie obiecali.

— Oczywiście, że jestem zły - odparł Himmel - ale to nie znaczy, że wtedy miałem rację i że teraz się mylę.



— To znaczy, że powinieneś rozważyć te sprawy bardziej rozsądnie, a nie działać pochopnie.

— Nie, za pozwoleniem, Herr Oberleutnant, nie. Wszyscy zwlekaliśmy zbyt długo. Kiedy zwycięstwa następowały planowo, wszyscy oddawaliśmy nasze sumienia w zastaw sukcesowi. Dopiero teraz, kiedy przyszłość wygląda mniej różowo, zaczynamy zastanawiać się, czy „nowy porządek” nie został zbudowany na piasku.

— Ale dokumenty, Himmel. Co chcesz z nimi zrobić?

— Wykonałem dwadzieścia trzy kopie fotograficzne tych dokumentów. Każda z nich została wysłana normalną pocztą do jakiegoś oficera Luftwaffe. Rozwazałem listę długo, Herr Oberleutnant, Pan ma numer 23; to jest pana kopia. Oryginał został wysłany do Inspektoratu Medycyny Luftwaffe w Berlinie.

Zapanowało milczenie. Czarne skrzydło obcięło obłok. Większe chmury pobięły za nim na wyścigi. Lówenherz powiedział:

— To, że posłałeś tylko do oficerów Luftwaffe, nie usprawiedliwia ciebie. To był ściśle tajny dokument.

— Niewiele mniej tajny jest teraz, kiedy dwudziestu trzech oficerów Luftwaffe posiada kopie. Ale od tej chwili nie mogą udawać, że nie wiedzą o tych sprawach. Muszą zaprotestować. Muszą podnieść głos. Odtąd nie będą mogli powiedzieć, że nie słyszeli o obozach koncentracyjnych.

— Christianie, co ty wiesz o obozach koncentracyjnych?

— Wiem, panie poruczniku, że co najmniej trzech lotników z Kroonsdijk spędziło jakiś czas w takich miejscach za małe przewinienia polityczne. Nawet jeżeli podzielimy to przez trzy, to jeszcze pozostanie jeden człowiek na każdym lotnisku Luftwaffe, który był w takim miejscu. Jak długo jeszcze cały naród może udawać, że nie wie, co robimy w Europie, od Bordeaux do Leningradu: torturowani jeńcy, zabijani cywile, rozstrzeliwani zakładnicy? To coś, co zagraża honorowi Luftwaffe. Reichsmarschall Góring też otrzyma jedną z tych kopii. Zrozumie, co należy zrobić.

Fragment dużej chmury połknął samolot i wyrzucił go z siebie.

— Zaaresztują cię, Christianie - powiedział Lówenherz. - Być może już jutro.

— Tak - stwierdził Himmel. - Jutro zostanę aresztowany. Ale jutro

moje sumienie będzie czyste, nie będę szukał usprawiedliwienia dla hitlerowców, ani nie będę walczył po to, aby jeszcze więcej jeńców było przedmiotem eksperymentów w obozach koncentracyjnych, dokonywanych przez obłąkanych lekarzy noszących taki sam mundur jak ja.

— Przystań, Himmel. Muszę to wszystko przemyśleć.

Wierzchołek chmury, wyższy nad lądem, owinął nagle całkowicie Junkersa. Teraz, gdy chmury naciskały na szyby, nie było już miękko, sucho, biało, słonecznie i zachęcająco. Było szaro, wilgotno, zimno i groźnie. Nie widzieli nic. Chmury dawały ciekawe, nienaturalne, stałe oświetlenie kabiny i obaj mężczyźni siedzieli zupełnie nieruchomo, jasno oświetleni, nie dając cieni, jak próbki na szkiełku mikroskopu.

Kiedy August Bach wyłonił się z chłodu mrocznego, klimatyzowanego bunkra Dywizyjnej Kontroli Myśliwskiej, dzień dojrzał do jednego z tych łagodnych letnich popołudni, gdy powietrze jest ciepłe i słodkie jak miękkie toffi, a każdy mający odrobinę rozumu wyciąga się na trawie, wdychając zapach wiciokrzewu i poziomek, słuchając owadów oraz obserwując różne muszki fruujące na tyle szybko, aby ujść jaskółkom, które szybują nad nimi, kołują i czekają... czekają.

Max i August wylegiwali się w samochodzie z lubością, zahipnotyzowani kąpiącą się w słońcu okolicą, która przesuwiała się obok. Ciemnoniebieski citroen Luftwaffe utrzymywał dobrą szybkość na drodze z Arnhem, omijającej Utrecht, aż do małego miasteczka Tempel, gdzie skręcała na północ przez Leiden ku Hadze, w której generał Christiansen, as myśliwski I wojny światowej, rezydował jako gubernator wojskowy Holandii.

Byli już za Leiden, kiedy Max obudził się ze swoich marzeń. Poruszył się i zapalił cygara dla nich obu.

- W zeszłym roku byłeś Augustcie na froncie wschodnim. Może teraz, kiedy słońce świeci na rozległych stepach Ukrainy, chciałbyś tam być znowu: brzozowe lasy, długie letnie wieczory, dorodne wieśniaczki, bałajki, kawior i przybywające pocztą medale.

- O tym właśnie mówi się w broszurach werbunkowych. Natomiast to, co ja pamiętam, to niekończące się śniegi, moje rzęsy pokryte lodem i jednego strażnika, żywcem zamrożonego w ranek Bożego Narodzenia tak mocno, że karabin musieliśmy wyrąbywać z jego rąk siekierą. Tak właśnie wszyscy zostaliśmy aufs Eis gefuhrt - powiedział August. Co znaczyło: wywiedzeni w pole.

Max spojrzał niespokojnie na kierowcę, ale ten zdawał się nie słyszeć ich rozmowy.

— Czy kiedykolwiek stacjonowałeś ze swoim synem?

— Przez miesiąc. W pobliżu jeziora Ilmen, w marcu ubiegłego roku. Jego batalion został wycofany z linii, kiedy ich straty wojenne podczas zimowej ofensywy osiągnęły sześćdziesiąt procent. Przez ten miesiąc byli wyznaczeni do zadań łącznościowych, niecałe dwie mile od lotniska, na

którym obsługiwałem radary.

— Często się widywaliście?

— Nie posiada jeszcze stopnia oficerskiego, nie mogłem więc zabrać go do naszego kasyna, choć był to tylko magazyn zbożowy z piecem i kilkoma starymi krzesłami.

— Musieliście mieć sobie dużo do powiedzenia.

— Jak trzymać się ciepło. To wszystko, o czym się rozmawia podczas rosyjskiej zimy. Moja jednostka Luftwaffe nosiła jeszcze letnie mundury. Pułk piechoty Petera miał trochę płaszczy, jakie zdjęli z zabitych Rosjan oraz jakieś resztki futer i ciepłych butów, z jakimi rozstali się niemieccy cywile po perswazjach Goebbelsa. Peter przekupił swego kwatermistrza, by mi dał kilka płaszczy i czapek. Pokazałem mu w zamian, jak trzech zręcznych ludzi może pod osłoną nocy ukraść dwa tuziny bochenków chleba z ruchomej jednostki piekarniczej. Wymiana takiej wiedzy z synem napawa człowieka dumą.

— I przez cały miesiąc byliście razem?

— Wyjechali piętnastego marca, w pierwszy dzień wiosennej odwilży. Owego południa czuło się w powietrzu deszcz, a intensywne zimno na godzinę minimalnie zelżało. Poszedłem na stację pożegnać go. Jego jednostka znalazła prawie nietkniętą fabrykę fortepianów. Kiedy strzelali w rzędy pianin, słychać było głębokie drgania strun i ich brzęczące tony. Wybuchy granatów ręcznych sprawiały, że cały ten muzyczny jazgot przyprawiał o obłęd. Peter powiedział, że była to najlepsza zabawa, jaką miał od czasu ataku na Wiaźmę zeszłego października.

— Boisz się o chłopca Auguście?

— Mój Boże, oczywiście, że się boję.

— Czy nie mógłbyś załatwić przeniesienia? Ostatecznie przesłużył na rosyjskim froncie... ile? Osiemnaście miesięcy?

— Dwadzieścia jeden, Maxie. Nigdy by mi tego nie wybaczył. Jakby się czuł? Jakby się czuł którykolwiek z nas?

— Nie wykonując swojego obowiązku? Czy to masz na myśli? Czułbym się, Auguście, diabelnie dobrze. Co byś zrobił, gdyby wysłano cię tam z powrotem? Czy zrobiłbyś wszystko, aby tego uniknąć?

— Kto wie.

— Mówmy poważnie.

— Maxie, na miłość boską! Czy sądzisz, że ja o tym nigdy nie

myślałem? Czy wiesz, jak to jest, gdy złapiesz się na tym, że chciałbyś, aby własnemu synowi odstrzelono nogę, bo tylko w ten sposób może przeżyć?

— Przepraszam cię.

— Zapomnij o tym. Niedobrze jest myśleć o tych sprawach. Na wojnie wszystko jest możliwe a nic nieuniknione.

— Kto to powiedział?

— Ja - odrzekł August. - Jest tylko sekunda, pociągnięcie pióra, błędnie tłumaczone spojrzenie, dotknięty spust... między nami, a Krzyżem Rycerskim, sądem wojennym, świętością lub wieczystym potępieniem.

— Dostajesz wiadomości od syna?

— Co kilka tygodni.

— Czy i on nienawidzi wojny tak jak ty?

- Maxie, przyjacielu, muszę ci powiedzieć, że on ją lubi. Przekazaliśmy naszym dzieciom nasz świat. Czy możemy się dziwić, że te dzieci niosą zniszczenie?

Każdy zdrowy, agresywny młokos, który się stara, może dostać bombowiec, łódź podwodną lub baterię artylerii i siać spustoszenie na świecie, który my, starzy, tak długo składaliśmy w całość. Dziewiętnastoletnie dzieci podkradają się do dwudziestotonowego statku handlowego, naciskają guzik i patrzą jak umiera, jak wije się podobny do pozbawionej skrzydełek muchy. Podpalają duże miasta, przewracają społeczeństwa do góry nogami w zamian za kawałek kolorowej wstążki. W czym zawiedliśmy, Maxie? Jakie oni dzieci wychowują i jaki świat ukształtują? Prosimy ich, aby liczyli swoje ofiary jak łowcy głów zaznaczając każdą śmierć nacięciem, namalowanym znakiem lub nowym awansem. Co oni na nas sprowadzą, Maxie?

— Ośmielę się powiedzieć, że jesteś hipokrytą, mój drogi Auguście. Wygłaszasz sąd o ludziach, którzy walczą. Nazywasz naszych bohaterów mordercami, ale nie gardzisz szacunkiem i podziwem należnym doświadczonemu myśliwcowi. A na szyi też nosisz świecidelko. Twoje odznaczenie jest dobrze znane i szanowane, zarówno przez wojskowych jak i cywilów. Och nie, Auguście. Sam chcesz skorzystać, a innym - mniejszym, jak ja, odmawiasz?

— Nie rozumiesz mnie.

— Wobec tego wytłumacz mi.

— Mieszasz bohaterstwo z moralnością. Człowiek może być dzielny a jednak robić haniebne rzeczy. Jego indywidualny czyn może być zaszczytny, a jednak jego wynik haniebny.

— Daj przykład, Auguście.

- Załogi bombowców RAF. To są dzielni ludzie, ryzyko, na jakie się narażają, jest duże, a jednak zabijają kobiety i dzieci.

- Idziesz za daleko. To tchórzliwe potwory. Zrzucają bomby w ciemnościach i dają nogę pozostawiając ludzi na pastwę płomieni.

To samo czynią załogi naszych łodzi podwodnych, które torpedują statki handlowe i wymykają się pod osłoną nocy, skazując ludzi na śmierć. Jedni i drudzy są jednak dzielni.

- Słowa, słowa, słowa, Auguście. Wiesz równie dobrze jak ja, że wszyscy jesteśmy ofiarami okoliczności. Kiedy przyjdzie rozkaz, naciskam spust po prostu dlatego, ponieważ jednostka nie może kwestionować systemu. Po co osądzać? Jak powiedziałeś wcześniej, to czy człowiek dowodzi okrętem podwodnym, przydziela dostawy paliwa cywilom, czy nawet lata bombowcem RAF, jest w znacznej mierze sprawą przypadku.

- Może masz rację. Maxie. Może mam za dużo czasu na myślenie.

Obserwował ludzi na zatłoczonych ulicach Hagi. Na każdego szczęśliwego, i ozdobionego medalami, młodego oficera przypadały setki mężczyzn i kobiet, którzy wyglądali na zmęczonych i przygnębionych.

- Ach, Auguście, mój drogi! Dlaczego się smucisz? Stoczyliśmy tylko potyczkę, jaką dwaj przyjaciele staczają paląc cygara.

Wóz skręcił w Plein, a wartownik Luftwaffe zaszalutował samochodowi, nie troszcząc się, czy był pusty, czy z oficerami.

— Postępuj ze mną ostrożnie, Maxie. Zakochany mężczyzna jest wrażliwy. Max uśmiechnął się.

— Dobre cygaro, co Auguście?

— Wspaniałe.

- Wobec tego weź to pudełko. Zakochany mężczyzna nigdy nie wie, kiedy będzie mu potrzebne.

August próbował odmówić, ale Max zamknął swoje dłonie na jego i wcisnął mu duże pudełko cygar.

- Następną turę będzie odbywał major Georg Tuchel. Jeśli zechcesz się zabrać, to zadzwoń do niego. Już z nim rozmawiałem, więc nie będzie

żadnych trudności.

Max zwrócił się do kierowcy:

- Zawieź Oberleutnanta do stacji radarowej Ermine. Zapiszę ci w karcie jazdy dalsze dwie godziny. Chcę cię zobaczyć rano, o zwykłej porze.

Kierowca zamknął drzwiczki wozu i zasalutował Oberstowi Maxowi Seppowi. Max stanął na schodach i pokiwał Augustowi, kiedy wóz odjeżdżał.

Przez prawie godzinę kierowca jechał w milczeniu, ale gdy wjeżdżali do zakazanej strefy August wyczuł, że chce coś powiedzieć. Poczęstował go cygarem, ten jednak wolał papierosa. Tutaj, blisko wybrzeża, jechał wolniej. To było dziwne, opuszczone miejsce. Od czasu do czasu mijali chłopski wóz, ciągnięty przez ciężkie konie rasy holenderskiej lub rower z drewnianymi obręczami domowej roboty, stukającymi na kocich łbach.

Kiedy znikła za nimi ostatnia wioska, wąska, betonowa droga przeszła w piaszczysty szlak i nagle, poprzez mgłę, ukazało się Morze Północne. Pokryte krzakami i trawą wydmy miały dwadzieścia lub trzydzieści stóp wysokości, a za nimi znajdowała się już tylko płaska, jak blat stołu, plaża z drobnym piaskiem, a potem morze. Od niego nadciągnęła biała, gęsta mgła, która przylgnęła jak para lodowa i zmniejszyła widzialność do pięćdziesięciu stóp. Ubrani w płaszcze wartownicy spacerowali sztywno dokoła stacji radarowej, która, jak całe wybrzeże, była lasem kolczastego drutu i stalowych słupów.

Krzaki i podobną do drutu trawę zginał wiatr wiejący od morza. W osłonie wydm powietrze było spokojne i mgła prawie nieruchoma, ale krzaki wciąż falowały. Jedynymi stworzeniami, które czuły się tam szczęśliwe, były ptaki, które szybowały nisko nad bunkrami i mogły się rozmnażać pod osłoną drutu kolczastego. Nawet obserwatorzy ptaków nie mogli teraz zbliżyć się do nich. W ten sposób pięćset mil kwadratowych wybrzeża północnej Europy stało się naturalnym rezerwatem strzeżonym przez Wehrmacht.

Opony citroena ślizgały się w miękkim piasku, kierowca nalegał jednak na odwiezienie Oberleutnanta Bacha pod same drzwi jego kwatery. Zawsze to robił. Otworzył Augustowi drzwiczki wozu i zasalutował mu służbiście.

- Dziękuję - powiedział August. - Dopilnuję, aby Feldwebel



przygotował ci kilka jaj.

Chłopiec skinął głową. Wszystko było dokładnie tak, jak zawsze, z wyjątkiem jednego.

— Chodzi o Herr Obersta - powiedział kierowca.

— Co z nim? - zapytał August.

- Może Herr Oberleutnant chciałby wiedzieć, że pułkownik dostał rozkaz udania się na front wschodni. Wielu oficerów go otrzymało. Wyjeżdżają w czwar tek. Będzie nam go brakowało.

- Mnie też - powiedział August. - Dziękuję ci.

Kierowca znowu zasalutował i poszedł odebrać obiecane jajka.

### 13

- Zapewniam cię Wiktorze, że to mnie zupełnie rozstroiło. Nie mogłem przełknąć przy obiedzie nawet kęsa.

Lekarz wojskowy potrząsnął głową w niemej udęcie.

— Zauważyłem to już wcześniej, Wiktorze. To ekshibicjonizm.

— Co masz na myśli? - zapytał Lówenherz.

— To cię dziwi, co?

Hans Furth, lekarz wojskowy w Kroonsdijk, wskazał na szafkę z butelką brandy i kieliszkami, ale Lówenherz odmówił.

- Przy was, młodych i zdrowych, lekarz nie ma większej okazji wykazania swego zapалу. Moja praca stała się raczej pracą psychiatry.

- Psychiatria? Sądziłem, że gardzisz tą żydowską wiedzą.

Hans uśmiechnął się.

— Cofnij się myślą do czasów Henryka Żeglarza, a dowiesz się, że nawigacja jest wiedzą żydowską, co nie znaczy, że można ją ignorować.

— Jeśli cofniesz się jeszcze dalej, to przypuszczalnie odkryjesz, że ciążenie jest wiedzą żydowską - powiedział Lówenherz.

— W porządku. Zignorowanie siły ciężkości jest sprawą Luftwaffe.

Hans zachichotał.

— Oświadczyłeś, że Himmel jest ekshibicjonistą - powiedział Lówenherz.

— Wiktorze, życie jest dla mnie grą. Gdybyś usiadł za tym biurkiem, to przesuwalaby się przed tobą cała panorama ludzkiego życia: tragedia,

humor, honor, hańba, krzywda i śmierć.

— I zameldowałeś o swoim podejrzeniu SIPO? - nalegał Lówenherz.

— Wiktorze, nie można działać niezgodnie z prawem.

— Ale nie dalej jak ubiegłego tygodnia powiedziałeś, że nigdy nie głosowałeś na hitlerowców i wolałeś, aby Austria nie dostała się pod hitlerowską kontrolę.

Hans Furth odchylił się na swoim obrotowym krześle mocno do tyłu. Ten tęgi mężczyzna po trzydziestce był Austriakiem z urodzenia, lekarzem z wykształcenia i lotnikiem z poboru. Przyzwyczyił się do noszenia zgrabnej, zapinanej na błyskawiczny zamek skórzanej kurtki, bardzo lubianej przez lotników i przyswoił sobie wiele ich młodzieńczych manier. Jego ubranie było czyste i dobrze wyprasowane, a gęste, czarne włosy świeżo umyte i zaczesane do tyłu. Miał rumianą twarz, niebieskie oczy i małe, nienaturalnie czerwone, dziewczęce usta zawsze gotowe do rozmowy i uśmiechu. Palił, nerwowo strząsając popiół do popielniczki. Często lotykał twarzy, przebiegając końcem palca po wargach i wokół oczu, jakby dla sprawdzenia, czy wszystko jest na swoim miejscu.

- Lówenherz Wiktorze, usiłujesz mnie zaskoczyć.

Uśmiechnął się. Przewidywanie imienia i nazwiska było niewinną, wiedeńską)ozą, ale Lówenherz uważał to dzisiaj za irytujące.

Furth trzymał cygaro jak oszczep, między palcem wskazującym a kciukiem.

- Jestem chłopcem z klasy robotniczej, ty zaś arystokratą. Nasze warstwy nie iały hitlerowcom prawie żadnego wsparcia, kiedy przejmowali władzę. Ich siłą?yli urzędnicy klasy średniej i zdemobilizowani oficerowie: żyzny grunt, Wiktorze.

- Interesuje mnie sprawa Himmla - powiedział Lówenherz czyniąc jeszcze eden wysiłek, aby sprowadzić rozmowę na zamierzone tory.

- Diabelnie interesujący przypadek - stwierdził Hans Furth - Dziś rano mowu przejrzałem jego akta i myślę, że w pewnym stopniu rozwiązałem tę sprawę.

Odchylił się do tyłu jak kobieta w niewygodnym gorsecie i pociągnął za koniec crótkiej kurtki.

- Jak? - zapytał Lówenherz.

Furth pochylał się do przodu i zniżył głos:

- Nie mogę tego dowieść, ale na mój rozum to on nie jest czysty rasowo. Czytałem onegdaj w gazecie, że Żydzi popełniają o wiele więcej kradzieży niż Aryjczycy.

To brzmi bardzo nienaukowo - westchnął Lówenherz. Lekarz uśmiechnął się do okna, jak gdyby dzielił z nim tajemnicę.

Mój drogi baronie, nie może pan negować skutków wychowania. Trzeba było tysiąca lat, aby zrobić z pana to, czym pan jest. Żydzi...

Wszyscy na świecie mają za sobą tysiąc lat wychowania - wtrącił z irytacją Lówenherz. - Może dzisiaj Żydzi mają więcej powodów do kradzieży od Aryjczyków.

- To jest moja teoria - kontynuował Hans Furth. - My, Niemcy, byliśmy wychowywani jako naród systematyczny i ten facet, Hitler, rozumie nas...

My, Niemcy... pomyślał Lówenherz, gdy słuchał monotonnego, wiedeńskiego akcentu doktora, skubiącego język niemiecki jak ciastko i pokazującego zęby przy każdym kąsie.

- ... Zrewolucjonizować systematyczny naród przy pomocy ideologii i jest gotowe narzędzie. Zaprzęgnąć wojskową kastę do tego narzędzia i jest broń. Pozwolić politykom na posiadanie własnej armii - Waffen SS - i stworzyć klimat, w którym oni i wojskowi będą w ustawicznej i dynamicznej walce, a wtedy nasza broń podbije świat.

- Jest jeszcze duży kawał tego nie podbitego świata - powiedział Lówenherz.

Wiem - odrzekł Furth uśmiechając się i potakując. - Fascynująca będzie obserwacja tego, co się stanie.

— Jak gra w brydża - stwierdził Lówenherz.

— Lepiej - dodał Furth. - Brydż nigdy nie był nawet w połowie tak ekscytujący. Moje szkolenie na lekarza i na oficera dało mi wyjątkową szansę zostania ekspertem w niemieckiej psychologii. Czy wiesz, że mogę powiedzieć, jaki rodzaj objawów wystąpi u człowieka zależnie od stopnia, jaki posiada? Na przykład, żaden podoficer niemiecki nie odważy się przyjść tutaj poskarżyć na niestrawność, podobnie jak niewielu oficerów przychodzi do mnie z dolegliwościami stóp. My, Niemcy, jesteśmy zabawnym narodem, prawda?

Tak, pomyślał Lówenherz, a jeśli przyjdą tutaj Rosjanie, wtedy en pozornie godny zaufania facet będzie zajmował jakiś wygodny fotel w ich administracji wojskowej, zabawiając oficerów mocarstw okupacyjnych tymi samymi cynicznymi uwagami na temat niemieckiego charakteru i słabości. A oni będą się zaśmiewali i rzucą mu dodatkowe pudełko papierosów mówiąc, że ci Austriacy to weseli ludzie.

— Nie lubię mieć nieprzyjemności, Wiktorze. Wszystko, czego pragnę, to pozostawienia mnie w spokoju.

— A tacy ludzie jak Himmel próbują cię w coś uwikłać?

— Nie zrozum mnie źle, ja lubię tego chłopca. Ale to nie jest tak ważna sprawa dla ciebie i dla mnie, aby dać się w nią wciągnąć. Wiktorze, on jest ekshibicjonistą. Większość ludzi, którzy wpadają w kłopoty, to ekshibicjoniści.

Lówenherz nie mógł wymyśleć żadnej odpowiedzi. Spoglądał na Furtha, który nerwowo przesunął małym palcem po brwi.

— Nie wynalazłem świata ani żadnego systemu społecznego - powiedział doktor. Jego uśmiech potwierdzał zrzeczenie się takich ambicji. - Człowiek jest przemyślnym i złośliwym zwierzęciem. Nigdy tego nie zmienisz, Wiktorze. Nie mów, że twoi przodkowie nie walczyli, nie oszukiwali i nie zabijali, aby zdobyć i utrzymać swoje majątki.

— Muszę już iść.

— Obraziłem cię.

- Nie - odparł Lówenherz. - Jestem pewien, że nigdy nikogo nie obrażasz.

Lówenherz nie podjął już sprawy Himmla. Wiedział, że zostanie zbyt gładkimi słówkami i ogólnikami.

- Jako twój lekarz - odezwał się Furth - zalecałbym ci parę dni odpoczynku. Postaram się o broń i kwaterę i zapolujemy na dziki. Kasyno odkupi mięso na kielbasy. Mnie też przygnębiła ta sprawa. Mówię ci. Bardzo lubiłem Himmla. Wiktorze, wydostanę cię z tego przygnębienia. Co ty na to?

Lówenherz zaśmiał się i to zastanowiło doktora.

- Zorganizowałem takie polowanie, na jakie mnie było stać, Herr Doktor - powiedział. - Mimo to, dziękuję.

Wstał. A może był bardziej prosty sposób załatwienia tej sprawy?

Barak alarmowy był zaśmiecony: puste krzesła, porzucone gazety, nieczytane poprawki rozkazów operacyjnych, podbite futrem kurtki, zbędne w ciepłym, popołudniowym słońcu. Lówenherz zdążył już przemyśleć sprawę dokumentów. Ilu opływowych oficerów Luftwaffe będzie potrzeba, aby uczynić protest legalnym, przynajmniej trudnym do zatuszowania? Lekarza wojskowego śmiertelnie rzestraszył Blessing i Starkhof, ale ile protestów złożono już w sprawie eksperymentów? W jakim stopniu opozycja już się skonsolidowała? Może dokument znalazł się [biurze lekarza, ponieważ Inspektorat Medyczny Luftwaffe rozesłał go do konsultacji?

Starkhof mógłby odpowiedzieć na te wszystkie pytania, ale Lówenherz był zdecydowany nie odkrywać kart. Najlepiej zatelefonować; ostatecznie zawsze można odwiesić słuchawkę, jeśli facet będzie przeciwny.

Już w chwili, gdy podnosił słuchawkę, był zdenerwowany. Jego ojciec siedziałby, co w tej sprawie zrobić. Wiktor niestety nie. Z drugiej strony, ojciec nic by w tej sprawie nie zrobił, pozostawiłby ją swemu biegowi.

- Proszę z panem doktorem Starkhofem - powiedział. Nastąpiła krótka pauza.

- Halo, von Lówenherz - odezwał się starszy pan. Zawsze używał „von”.

Wiedział, że Lówenherz będzie uważał to za nieokrzesanie, ale to go właśnie bawiło.

- Właśnie zastanawiałem się, czy pan do mnie zadzwoni.

Zdumiewające, że Starkhof domyślił się, kto telefonuje i Lówenherz potrzebował kilku chwil na zebranie myśli.

- Chodzi oczywiście o skradzione dokumenty - powiedział.

- Przesłano panu pocztą jeden egzemplarz, prawda? Boże drogi. Nie wiem dlaczego nasi ludzie tego nie przejęli. A więc jest pan piętnasty. Czy domyśla się pan noże, do ilu jeszcze powysyłał?

- Nie.

- Szkoda. Dołączył jakiś list? - dopytywał się starszy pan.

— Nie.

— Mniejsza z tym.

— Czy przyjdzie pan to zabrać?

— Denerwuje się pan, co? Cóż, w porządku baronie. Niech pan to przetrzyma do jutra. Nie ma pośpiechu. Mam tu na biurku czternaście egzemplarzy.

— Nie mam gdzie tego bezpiecznie przechować, chyba że dam Kommandeurowi, aby zamknął w sejfie.

- Nie, nie, mój chłopcze, nie martw się tym. Około trzystu egzemplarzy tego „aportu” rozesłano do służb medycznych. W Norymberdze odbyła się na ten temat konferencja dziewięćdziesięciu pięciu naukowców. Każdy z nich miał egzemplarz raportu, a co najmniej cztery się zapodziały, tak więc nie potrzebuje się pan zbytnio przejmować tym jednym egzemplarzem.

- Więc rozesłano go? Czy jeszcze ktoś... mam na myśli, czy...?

Jakiś samolot przeleciał nisko wprawiając szyby okienne w drżenie; Lówenherz był zadowolony z chwilowej przerwy w rozmowie. Starkhof powiedział:

- Ach, widzę, że baron rozmawiał z młodym Himmlem. Nie, nie było żadnej reakcji, z wyjątkiem tego, że doktor Rascher otrzymał podziękowanie Göringa w imieniu Luftwaffe. Otrzymał również list z podziękowaniami od medycznego inspektora Luftwaffe i wiele gratulacji od kolegów lekarzy.

Lówenherz poczuł się osamotniony, poniżony i pełen obrzydzenia, które narastało w miarę, jak jego nadzieje rozwiewały się. Czy tak czuł się Himmel, kiedy rozmawiał z nim w zimnym, rześkim, czystym powietrzu? Jeśli tak, to postanowienie Himmla pozostało niewzruszone.

— Czytał pan te dokumenty, Herr Doktor?

— Czytałem, von Lówenherz, czytałem.

— I...?

— Co pan chce ode mnie usłyszeć, von Löwenherz? Jeśli ruszy pan swoją głową choć na moment, to zda pan sobie sprawę z tego, że mogę pana sprowokować jakimkolwiek sądem. A potem złożyłbym po prostu oświadczenie, że uczyniłem to z obowiązku służbowego. Przestań więc pan robić z siebie głupca. Wracaj pan do swoich samolotów, a sprawę pozostaw mnie.

— Nie interesuje pana moja opinia?

— Ani trochę, mój chłopcze. Jeśli nie wie pan nic ważnego, to szkoda czasu. Jeśli natomiast wie pan coś ważnego, wolałbym usłyszeć to jutro, kiedy dokument zostanie oficjalnie przekazany do mego wydziału. Dzisiejsza historia oznacza po prostu awans dla naszego przyjaciela Blessinga. Życząc mu wszelkiej pomyślności, nie zamierzam pracować na jego konto. Powie mi pan jutro.

— Czy pan jutro zaaresztuje Himmla?

— Tak. Odbędzie się to dyskretnie i spokojnie. Moja praca papierkowa będzie gotowa do jutra rana, a pan i pański przyjaciel Kokke będziecie mieli czas rozważyć ponownie waszą postawę. Zrozumiecie zalety współpracy z prawem.

— He dostanie Himmel?

— Jaką karę? No cóż, to zależy. Jeśli odwoła swoje poglądy, przyzna się do winy, jeśli będzie z nami współpracował przeciw pomocnikom, podżegaczom i towarzyszom spiskowców lub naprowadzi nas na całą siatkę konspiratorów, wówczas dostanie dziesięć lub piętnaście lat.

— Ale pan nie wierzy, że to była konspiracja.

— Nie, nie wierzę. Jeśli zechce przekonać mnie, to wysłucham go. On ma kilku holenderskich przyjaciół, cywilów w Kroonsdijk, którzy niezupełnie mi się podobają. Nieźle sobie żyją, mają w bród masła i wódki. Część tego przecieka do pańskiej bazy lotniczej. Himmel mógłby pomóc mi w ujawnieniu działalności dużego, czarnego rynku.

Löwenherz uważał szczerłość człowieka Abwehry za przerażającą.

— A co będzie, jeśli ktoś poprze Himmla?

— Żyjemy w społeczeństwie, w którym wpływowe stosunki mogą być kartą atutową - odparł Starkhof ostrożnie. - Ale założyłbym się, że groziłaby im egzekucja razem z Himmlem, chociaż słyszałem o przypadkach, kiedy samobójstwo wysoko postawionego oskarżonego

oszukało prawo - dodał sucho.

Dokładnie przygotowane przez Lówenherza argumenty nie przeszły mu przez gardło. Poczł silny niesmak do tego cynicznego faceta, który miał dość śmiałości, [by mówić o rzeczach, o których inni tylko szeptali.

— Czy jest pan zupełnie tego pewny?

— Mój chłopcze, to moje źródło utrzymania. Nie jestem tak ambitny jak pan; he chcę reformować prawa lub osądzać przestępców. Ja tylko doprowadzam amiących prawo przed oblicze sprawiedliwości. Jeśli jutro pański przyjaciel - Jimmel będzie ustanawiał prawo, a mój kolega Blessing będzie je łamał, wówczas doprowadzę go przed sąd z taką samą spokojną obiektywnością.

W głosie starego Starkhofa zabrzmiała kpiąca nuta.

- Wygląda na to, że jest pan z siebie bardzo zadowolony – powiedział Lówenherz.

Takie są po prostu moje zapatrywania - odrzekł Starkhof. - Bardzo bym pragnął wyrażać się tak doskonale, jak pan, poruczniku.

— Do widzenia panu, Herr Doktor.

— Do widzenia, mój drogi baronie.



Dalekopisy w bloku operacyjnym stukały od obiadu. Wiadomość z Kwatery Głównej Dowództwa Lotnictwa Bombowego trafiła do Kwatery Głównej Grupy, a stamtąd rozkazy dotarły na lotniska, w tym i Warley Fen.

„POTWIERDZAJĄC ROZKAZY TELEFONICZNE PODAJEMY NIŻEJ ROZKAZY WYKONAWCZE NA NOC 31 CZERWCA 1943”.

Po tym następował żargon skrótów i szyfrowanych wyrazów, określających charakter ataku: kolor flar, markery powietrzne i ziemne, wysokości i czasy dla poszczególnych fal bombowców, punkty zwrotne, miejsca zbiórki, wysokości i czasy bombardowania, ładunki bomb i prognozy meteorologiczne o przewidywanych wiatrach na wysokościach bombardowania oraz warunki na lotniskach operacyjnych w czasie powrotu.

W oparciu o te dane oficerowie techniczni zaczęli pośpiesznie opracowywać wykłady i wykresy, które miały stanowić temat popołudniowej odprawy. Kapitan Giles - główny bombardier, kapitan Ludlow - główny nawigator i John Munro - dowódca dywizjonu, naradzali się. Ekspert od meteorologii wyraził wątpliwości, jakie prognozujący mają zawsze odnośnie przewidywań innych ludzi.

Rozkazy wykonawcze zostały, jak dotąd, podane do wiadomości tylko tym, którzy musieli je znać. Podejmując dodatkowe środki ostrożności polecono wartowni zamknąć główną bramę i zakazano personelowi opuszczać lotnisko bez pisemnej zgody dowódcy Stacji. Pomimo dziur w otaczającym lotnisko ogrodzeniu, zakaz był przestrzegany przez wszystkich, częściowo i dlatego, że pracy było tak dużo, iż nikt nie znajdował okazji, aby wyrwać się przed obiadem na piwo do „The Bell”.

Bez zwykłego hałasu i ruchu lotników miasteczko stało się spokojne; zupełnie odwrotnie było na lotnisku. Kiedy przygotowywano lot nawet „The Bell” zachowywał dostojną trzeźwość.

Cynthia Radlett, barmanka, wytarła stoły, wypłukała i wypolerowała szklanki, przyniosła zapasy z piwnicy i zamiotła podłogę. Spoglądała zazdrośnie na czterech farmerów, którzy pili i plotkowali już od obiadu. Teraz znowu nadszedł czas otwarcia. Ci, którzy uskarżali się na trajkocące kobiety, nigdy nie słyszeli rozmów farmerów. Dobrze, że tutejszy policjant

był zajęty na błoniach, stawiając czoła panu Watę w grze w kule. W przeciwnym razie miałby do lich pretensje za przebywanie w lokalu podczas przerwy obiadowej. Wreszcie jeden; mężczyzn dopił do dna swoją szklanicę. Postawił ją z westchnieniem i wytarł usta.

- Fasolkę, powiedziałem mu, zasadź fasolkę. Wszystko inne pożrą drutowce. Pozostali trzej mężczyźni przytaknęli i spojrzeli ukradkiem na Bena Thorpe.

Głos starego Bena był chrapliwy i ciężki.

— Farma „Dziesięciu Akrow” zawsze była pełna drutowców.

— Ben, czy na pewno nie chcesz pójść do Parson’s Meadow?

— Nie - odparł starzec i wytarł głośno nos. Nie wiedzieli, jak bardzo był przygnębiony, ponieważ stary zawsze miał załzawione oczy.

— Po wojnie nie będzie żadnej różnicy.

— Nie - parsknął Ben. - To najwspanialsze pastwisko w promieniu stu mil. Mój tata sam je plewił i nawoził przez blisko pięćdziesiąt lat, a przedtem robił to jego ojciec.

Starzec płakał teraz, nie było co do tego wątpliwości.

- Nie będę patrzył, jak je orzą i sadzą te swoje przeklęte ziemniaki. Nie dożyję, by zobaczyć, że znowu jest pastwiskiem.

„Weorf” jest starym, angielskim wyrażeniem oznaczającym zwierzę pociągowe. Warley oznaczało miejsce, gdzie takie zwierzęta się pasą. Teraz Wojenne Komitety Rolne oddały pastwisko pod zaoranie, a jednym z kilku pozostawionych skrawków była niżej położona Trimmer’s Meadow, używana przez mieszkańców miasteczka jako pole krykietowe. Dziś odbywał się tam tylko trening, ale gdy zbliżała się godzina otwarcia „The Bell”, mała grupka lotników i mieszkańców zbierała się przed drzwiami. Oklaskiwali odbijających piłki, udzielali rad rzucającym je lub drzemali w popołudniowym słońcu.

Żaden poprzedni sezon krykietowy nie mógł równać się z obecnym: Królewska Składnica Saperska Norwich przeciwko RAF Warley, eskadra A przeciwko miasteczku; drużyny z całej wschodniej Anglii przybywały zagrać w krykieta na błoniach, w posuwanie półpensówki, w rzucanie strzałkami w gospodzie i popijać cienkie, gorzkie piwo w „The Bell”. Boisko krykieta było gładkie i płaskie, chociaż na skutek położenia nieco poniżej poziomu morza po deszczu bywało błotniste. RAF przysłał cieśli,

aby przebudowali starą tablicę wyników, a jednostkowy artysta, starszy szeregowiec Gilbert, nadzorował jej odmalowanie. Szopa Sammy Thatchera została przesunięta i odremontowana. Choć mogła pomieścić tylko jedną drużynę, nie śmiano się, kiedy nazywano ją pawilonem.

Bill Beacham, miejscowy policjant i mistrz w grze w domino, był dzisiaj ostatnim rozgrywającym drużyny wystawionej przez miasteczko. Nie zdobył punktu przez prawie kwadrans, ale żaden z graczy pana Tatę nie krytykował go, gdy odbijał z ponurą determinacją. Wojna przyniosła policjantowi Beachamowi awans na sierżanta, a kiedy przybył RAF polecono mu oficjalnie, aby „współpracował z żandarmerią RAF w sprawach dyscypliny służbowej i bezpieczeństwa państwa”. Mówiono nawet, że miał otrzymać do pomocy policjanta. „Żeby mu pomógł dojść do domu w sobotnie wieczory” - mawiała Cynthia, a wszyscy śmiali się, ponieważ jak większość dobrych żartów nie był to wcale żart.

Pułkownik z dumą chwalił się nie pobitym rekordem czasu trwania przyjaźni między jego lotnikami a mieszkańcami miasteczka. Jak większość urzędników pułkownik myślał niewiele. Uwierzył, że nie było żadnych aktów wrogości. Z drugiej strony, nie było również wielkiej przyjaźni. Każdy mieszkaniec miasteczka, zawiadamiając o przybyciu przed „The Bell” ciężarówki pełnej lotników, mówił: „Oto przybywa Wehrmacht” - to też był żart, który nie był żartem.

Pozostało jeszcze pół godziny do oficjalnego otwarcia „The Bell”, ale Cynthia wyniosła pół kwatereki gorzkiego piwa na zewnątrz, i zaniósła je Samowi Thatcherowi, który stał koło starego dębu.

- Co z nim? - zapytała.

Sam zdjął pianę z piwa, zanim odpowiedział:

— To samo co z tym drzewem za domem Percy’ego. Jest wewnątrz zbutwiałe.

— Jaka szkoda.

Wytarła mokre dłonie w fartuch.

- Starzeje się, Cynthia. Prawdopodobnie stał tutaj przez sto pięćdziesiąt lub więcej lat.

Sam wiercił otwór głęboko w drzewie i wpychał weń mieszankę mączki kostnej, aby je ożywić. Postawił szklanke i skończył zatykanie otworu.

— Czy to je ocali?

— Na jeszcze pięćdziesiąt lat, Cynthia.

— Dobrze byłoby, gdybyś zajął się moim szefem, jak skończysz z tym drzewem.

— No, no - odparł Sam Thatcher - nie zaczynaj.

Nie chciał dać się wciągnąć w wojnę między Cynthia a jej pracodawcą. Spojrzał na drugą stronę boiska, gdzie sierżant policji Beacham nadal odbijał szaleńcze rzuty, a następnie popatrzył dalej, w stronę lotniska.

— Dziś w nocy znowu polecą.

— Wygląda na to.

— A ten nieprzyjemny wiatr zmieni kierunek - powiedział Sam.

— Będzie padało?

— Nie, jeszcze nie teraz, moje nogi powiedziałyby mi. Ale w nocy wiatr zmieni się i podejda do lądowania akurat nad nami, pewnie wtedy, gdy będę przewracał się na drugi bok.

— Niech pan tego nawet nie mówi, panie Thatcher. Kiedy mnie obudzą, to nie mogę zasnąć.

Rozległy się burzliwe brawa, gdy Bill Beacham został wyeliminowany.

— Nie rozumiem - powiedziała Cynthia Radlett - co oni robią cały dzień. Lecą przecież na bombardowanie dopiero nocą, kiedy już zamkniemy. Wiem, że muszą wypróbować swoje samoloty rano, ale co oni robią cały dzień?

— Muszą opracować nawigację i zdecydować, gdzie zrzucą bomby. Na lotnisku dużo się dzieje.

- Cóż, sama nie wiem - powiedziała Cynthia Radlett - ale obroty spadają, kiedy szykują się do lotu.

Była siedemnasta trzydzieści. Wróciła do „The Bell” i zaczęła podawać napoje.

Za najbardziej uczonego i odczytanego oficera w Warley Fen uznawano zgodnie porucznika Longfellowa. Był oficerem taktycznym. Wysoki, niebieskooki, trzydziestoosmioletni mężczyzna, cieszył się w swojej młodości jako bokser-amator lokalną sławą w Cambridge, gdzie studiował. Potem pracował w redakcji małej gazety w Midlands, a stamtąd awansował do krajowego dziennika. Nigdy nie wybił się w pracy

reporterskiej, ale zawsze potrafił napisać na poczekaniu tekst o Kolegium Kardynałów (kiedy zmarł papież), o helu (gdy wydarzyła się katastrofa lotnicza) lub o surrealizmie (gdy padła rekordowa cena na licytacji u Sotheby'ego). Nie odmawiał pisania sprawozdań ze ślubów lub recenzji filmowych. W 1936 roku rezygnował z etatu w gazecie i zamieszkał w Kornwalii. Został korespondentem naukowym. Kilka tekstów miesięcznie zapewniało mu dość pieniędzy na utrzymanie swoje, młodej żony i dwojga dzieci w małym domku z widokiem na morze, gdzie pracował nad książką. Jej tematem było tajemnicze morderstwo w kornwalijskiej kopalni cyny i chociaż skromnie mówił o niej jako o powieści detektywistycznej, swojemu wydawcy podał, że jest to „psychologiczne studium umysłu opanowanego zbrodniczym obłędem”. „Scotsman” uznał powieść za obiecującą, „Observer” za interesującą, ale jakiś lewicowy tygodnik orzekł, że „niedopałki papierosów domowej roboty - łatwe do zidentyfikowania - stały się charakterystyczną cechą czarnych charakterów, które wypełniły tegoroczną, mierną fikcję detektywistyczną”. Siedział właśnie nad dalszym ciągiem opisu dokładnie zorganizowanego napadu na bank, gdy wybuchła wojna. Longfellow zgłosił się na ochotnika.

Oficer taktyczny był szczególnie odpowiedzialny za salę odpraw. W Warley Fen była to duża, drewniana szopa, mieszcząca na ławkach stu pięćdziesięciu lotników. Na jednym jej końcu znajdowało się podium, a za nim mapa Europy, rozpostarta na szerokość baraku. Mapę zakrywała czerwona zasłona, rozsuwana na boki za pociągnięciem sznura. Stało się zwyczajem, że za ten sznur pociągał dowódca Stacji.

Wzdłuż każdego boku baraku znajdowały się okna. Okiennice powinny być zamknięte w czasie odpraw, ale ostatnio pogoda była tak piękna, że zostawiano je otwarte. W baraku umieszczono znane plakaty typu: „Nieostrożna rozmowa kosztuje życie” oraz tablicę ogłoszeń z informacjami wywiadu, przypiętymi do niej jasnoczerwonymi szpilkami. Porucznik Longfellow urządził specjalną wystawę pt: „To jest twój wróg”, obejmującą fotografie i rysunki (z trzech stron) nocnych myśliwców Bf 110 i Junkersa 88, jak również szkice uzyskane z Ministerstwa - lotnictwa ukazujące, jak mogą wyglądać nowsze niemieckie samoloty myśliwskie. Z sufitu zwisały modele zarówno nieprzyjacielskich, jak i alianckich samolotów, każdy z podanym wyraźnie oznaczeniem i rozpiętością skrzydeł.

Wreszcie była tam tablica wypadków, wypełniona fotografiami samolotów, stojących skośnie jak pijane, po zsunięciu się z pasa startów i lądowań lub z łopatą śmigła zjadającego statecznik poziomy po kolizji w czasie kołowania. Po jednej stronie podium stały sztalugi, przygotowane pod tablicę zachmurzenia działu meteorologicznego (chmury dające oblodzenie w kolorze czerwonym, inne w niebieskim a wszystkie ułożone tak, aby pokazać wysokości). Po drugiej stronie podium znajdowała się tzw drabina fotograficzna sięgająca do samego sufitu. Nie pokazywała ona umiejętności fotografowania, ale ukazywała dokładność bombardowania, przy czym wybuchy bomb nakreślono na podstawie fotografii, wykonanych przy oświetleniu błyskowym przez każdy bombowiec po opadnięciu ładunku bomb na ziemię. Załoga Lamberta znajdowała się u szczytu drabiny. Załoga kapitana Sweeta była dużo niżej.

Longfellow był dumny z tej sali odpraw, urzędzaniu której poświęcił ze swoimi pracownikami tak wiele czasu i energii. Prezentowała aktualną sytuację spełniając jednocześnie funkcje wystawy handlowej lub gazety. Była prowadzona na bieżąco, a mapa świata oraz biuletyn doskonale podsumowywały sytuację wojenną na wszystkich frontach; wisiała tam również kartka żółtego papieru, na której Longfellow usiłował przewidzieć strategiczne posunięcia walczących potęg. To jego przewidywanie miało wyraźny nagłówek: „Przewidywania wywiadu”. Często w ciągu dnia personel latający zachodził do sali odpraw, by obejrzeć nową ekspozycję, przejrzeć gazety lub egzemplarze czasopism „Flight”, „Aeroplane Spotter”, „Tee Em” lub innych magazynów technicznych. Longfellow twierdził, że „nie ma drugiej sali odpraw w całym Dowództwie Bombowym, do której załogi zaglądają i którą interesują się nie tylko w czasie odpraw. Nawet jeśli większość z nich chce tylko spojrzeć na Jane w «Daily Mirror», podrzemać pół godziny lub zwędzić trochę kawy, to może, zanim stąd wyjdą, zobaczą coś, co ocali im życie”.

Czuli się dobrze, najedzeni bekonem, fasolką i smażonymi jajkami - co było rzadkim luksusem - ale żaden z nich nie drzemał. Salę wypełniły załogi wszystkich szesnastu bombowców. Lotnicy siedzą sztywno, wyprostowani, bladzi z napięcia, czekając na pozwolenie zapalenia papierosów. Wraz ze zbliżaniem się lotu, mężczyźni ogarniało poczucie samotności. Lotnicy siedzieli w kręgu członków swych załóg. Wymieniali

uwagi i uśmiechy nawet z tymi, których nie lubili i których widzieli po raz pierwszy od poprzedniego lotu przed czterema dniami. Teraz ciągnęło ich nie do przyjaciół, ale do sześciu ludzi, z którymi przez następne kilka godzin będą związani na dobre i złe.

Na przykład dwaj strzelcy pokładowi Lamberta, Binty Jones i Flash Gordon, byli w stanie śmiertelnej wojny od przeszło dwóch miesięcy, ale teraz żartowali tak jak za dawnych czasów. Poznali się w szkole strzelców pokładowych i obiecali sobie, że będą domagać się przydziału do tej samej załogi. Byli młodymi ludźmi, wybranymi jak większość strzelców pokładowych ze względu na niski wzrost, umożliwiającym zmieszczenie się w obracanej wieżycze. Flash był szczerbatym górnikiem z Nottingham o śniadej cerze, prawdziwym górnikiem pracującym na przodku węglowym najtrudniejszego pokładu. Miał bardzo długie włosy, które przy pomocy obfitej ilości brylanty układał w długie, lśniące wzory.

Z obawy przed ich zmierzwieniem unikał noszenia czapki. Jego upodobanie do złożonych łańcuszków identyfikacyjnych, pierścieni z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, białych jedwabnych szalików oraz dziwne zachowanie się, dało mu przydomek Flash. Jego szerokie usta ciągle się śmiały. Digby mawiał: „On nie ma ust tylko mały zawias na karku”. Był bardzo dumny z białych zębów. Pomimo że nie podlegał służbie wojskowej, zgłosił się do niej na ochotnika w swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Nienawidził kopalni; jego jedyną ambicją było przeżyć wojnę i otrzymać pracę biurową w miejscowej fabryce papierosów. Był wesołym chłopcem, pełnym energii i wigoru. Zawsze chciał wiedzieć, co jego koledzy porabiali w cywilu i nie wstydził się pytać, ile zarabiali. Flash Gordon obsługiwał tylną wieżyczkę strzelecką.

Binty, mleczarz walijski - Jones the Milk - miał także dwadzieścia jeden lat. Zwykle obsługiwał środkową górną wieżyczkę, chociaż kilka razy, kiedy Flash miał katar, zamienili się. Flash często miewał katar, ponieważ - jak mawiał - grzejnik tylnej wieżyczki nie działał właściwie.

Binty wstąpił do RAF, kiedy miał siedemnaście lat, dzięki czemu mógł już latać, zanim zaczęła się wojna. Jego zdaniem wyższość rekruta czasu pokoju manifestowała się bardzo krótkimi włosami, błyszczącymi butami i guzikami oraz ostrymi jak brzytwa kantami spodni, co uzyskiwał wcierając w wewnętrzną stronę każdej nogawki trochę mydła. Jego

szykowność była więc faktycznie wyjątkowa wśród podoficerów personelu latającego. Udzielał nagany szeregowym, a nawet kapralom, za najmniejsze niedociągnięcia, jak na przykład za nie zapiętą kieszeń. Dlatego był bardzo niepopularny.

Używał starego żołnierskiego słownictwa, naszpikowanego słowami arabskimi i hinduskimi. „Bint” - tak określał młode dziewczyny, a mówił tak często, ponieważ mimo pospolitej urody był sławnym kobieciarzem. Wszyscy uważali go za przebiegłego. Jednakże żaden z członków jego załogi nie pozwoliłby powiedzieć, że Binty Jones jest cwaniakiem i wszyscy cenili w nim to, że swoją sprawność rozciągał nie tylko na życie seksualne i motocykl, ale także na karabiny maszynowe Browning. Często narzekał na swoją wieżyczkę, że miała tylko dwa karabiny.

Binty i Flash odbyli piętnaście operacji, wszystkie z Lambertem. Byli bliskimi przyjaciółmi przez prawie rok goniąc za dziewczynami, walcząc i dzieląc się przyjaciółkami, odpowiedziami na pytania egzaminacyjne ze strzelania i motocyklem BSA 350-cm do czasu, aż spotkali w barze w Peterborough kobietę o imieniu Rosę. Jej mąż był kapralem w 8 Armii, walczącej na pustyni. Flash Gordon powiedział, że nie powinni jej widywać, ale Binty odparł, że jest doskonała i spędzał więcej nocy w jej mieszkaniu niż w bazie. „Nikt nie może mieć żony w promieniu czterdziestu mil od bazy - twierdził Binty - ale regulamin Stacji nie mówi, że nie można mieć cudzej”. Obaj strzelcy znenawidzili się, choć teraz nikt by się tego nie domyślił. Binty siedział, czytając komiks „Beano” i potakując głową, kiedy Flash mówił mu o motocyklu, jaki pewien elektryk w eskadrze A chce sprzedać za piętnaście funtów. Flash podziwiał wiedzę Binty’ego o motocyklach.



Tłusta mucha zabręczczała i usiadła na dłoni Digby'ego. Nawet szturchanie palcem nie odpędziło jej.

— Stara, leniwa cholera - powiedział Digby.

— Wyrzuc ją za okno - poradził Lambert. - Może kończy właśnie swoją drugą turę.

Ale Digby strącił ją na podłogę, a Jimmy Grimm przydepnął butem.

Odprawa opóźniała się. Na dużym zegarze dochodziła siedemnasta pięć, a połowa krzesel na podium nadal nie została zajęta. Zastępca adiutanta, Jammy Giles, już się tam usadowił i huśtał na krześle, aż się o mało nie wywrócił. Śmiał się głośno, żartując z grupą lotników w pierwszym rzędzie. Oficer taktyczny, Longfellow, też już przyszedł. Zawsze przychodził wcześniej, aby sprawdzić czyjego cenne mapy i wykresy zostały zawieszono, czy trasę dokładnie oznaczono taśmą na dużej mapie oraz czy zasłony są spuszczone. Stał za Jammym i doprowadzał jego krzesło do równowagi, ilekroć huśtało się za daleko do tyłu. Ale Jammy się nie wywrócił. „Jammy” znaczyło też bez troski lub szczęśliwy, a kapitan Giles miał szczęście.

Na korytarzu bloku operacyjnego nie ustawało stukanie maszyny teleksowej, jako że nadchodziło więcej rozkazów z Grupy. W powietrzu unosił się drażniący zapach pasty do podłóg i słodzonej herbaty, a pracownicy spieszyli się z ostatnimi rozkazami i zmianami poprzednich dla oficerów prowadzących odprawę. W tym samym bloku, w narożniku pustego biura, stał dowódca dywizjonu, podpułkownik John Munro. Podczas gdy pułkownik sprawował kontrolę nad całym lotniskiem, od gabinetu stomatologicznego do kuźni, John Munro dowodził bombowcami i ich załogami. Jeden nie ingerował w sprawy drugiego. Ministerstwo Lotnictwa dokładnie wyznaczyło zakresy ich obowiązków.

Jeśli był jakiś człowiek, który wycisnął piętno swej osobowości na tym dywizjonie, to był nim John Munro. Błędy dywizjonu były jego błędami, zalety jego zaletami, a umiejętności załóg były też jego umiejętnościami. Teraz Munro odczuwał zmęczenie. Nie musiał latać na tak wiele akcji, ale czuł, że powinien. Latał więc, woląc to od pracy papierkowej w biurze. Nie zaliczał się do najbardziej popularnych oficerów na Stacji i choć wiedział o tym, nie obchodziło go to. Lotnicy postawieni przed nim do raportu mogli oczekiwać sprawiedliwej kary, ale niewiele sympatii. Wiedział też, że żołnierze nazywali go Himmlerem, ale był na tyle spostrzegawczy,

aby dostrzec, że w tym przezwisku mieścił się paradoksalny element poważania i uczucia. Najbardziej docenianą zaletą Munro było to, że do ludzi postawionych przed nim do raportu odzywał się dokładnie tym samym tonem i słuchał ich z tą samą dozą uwagi, co dowódca. Jak to powiedział jeden z jego strzelców pokładowych, kiedy zostali paskudnie ostrzelani nad Duisburgiem: „On jest nie tylko opanowany, on jest zimny jak góra lodowa”. Pewnego wieczoru w kasynie Jammy Giles opity ciekim piwem i ochryply od śpiewania oznajmił głośno:

— Munro jest dżentelmenem, a dżentelmeni są dziś przeżytkiem. Teraz jest wiek techniki.

— Wiek gwałtu - stwierdził podporucznik Cornelius Fleming.

— Wobec tego rozumiemy się, mój stary - powiedział Jammy. - Jesteśmy technikami gwałtu.

- Ale Munro stanowi dobry wzór, prawda? - zapytał Fleming.

Jammy nagle otrzeźwiało.

- On jest w porządku, Fleming, mój chłopcze. Niewielu prowadzi się porządnie niż nasz wysoki, chudy i pozbawiony humoru stary.

Munro znajdował się teraz w opustoszałym biurze, opierając się na lasce i pykając fajkę. Otaczali go: oficer techniczny i trzech starszych podoficerów personelu naziemnego, w tym starszy sierżant Worthington.

Mieli problem. Samolot Cartera - „Joe jak King” - z którego tego popołudnia wypadła bomba, nie będzie zdolny na czas do lotu z powodu usterki w instalacji elektrycznej..

— Naszą jedyną rezerwę stanowi ten, kpry przyleciał dziś po południu - oznajmił Worthington.

— Czy będzie mógł polecieć, panie Sanderson? - zapytał oficera technicznego, który z kolei podniósł pytająco brwi w stronę trzech podoficerów.

— Tak, ale bez próbnego lotu - odpowiedział Worthington.

— Weź do pracy przy nim swoich najlepszych chłopców i informuj mnie na bieżąco, dobrze?

Sandy skinął głową.

- Założymy nowe tłumiki płomieni na rurach wydechowych. Czy jest pozwolenie na podwieszanie bomb w hangarze podczas naszej pracy?

Munro spojrzął na zegarek.

— Nie ma wyboru, panie Worthington. I zerwijcie z niego tyle blachy pancernej, ile zdołacie.

— To długa robota, proszę pana - odparł Worthington.

— Sztabowcy Grupy powiadają, że za każdy funt zdjętego ciężaru zyskuje się stopę wysokości.

— Czy mamy pozostawić płytę pancerną za pilotem, proszę pana?

— Nie sądzę, aby ktokolwiek z załogi chciał, żeby pan ją usunął, panie Worthington - powiedział Munro z uśmiechem.

Worthington zsalutował i odszedł pośpiesznie, aby zebrać swoich chłopców i przekazać im złą wiadomość, że będą musieli pracować jak szaleni przez czas posiłku aż do wieczora.

- Czy ten nowy samolot ma wziąć Carter?

Munro przytknął zapalną do fajki i przemówił trzymając ją w zębach:

- Siedem lotów, może osiem? Średni pilot. Kto jest u niego mechanikiem pokładowym, Sandy?

— Gallacher. Dokładnie dziesięć lotów, proszę pana. Ślusarz narzędziowy, lubiący się spierać, słaby w teorii, ale dość dobry praktyk. Będą się zgadzać.

— A więc załatwione.

— Czy mam mu powiedzieć?

— Ja mu powiem - rzekł Munro. - Prawdopodobnie nie będzie uszczęśliwiony.

Szef personelu naziemnego stał nadal w pobliżu.

- Co jest, szefie?

Stary podoficer zaszalutował z powagą.

- O której godzinie dokona pan próby powietrznej?

Na Boga! Zupełnie zapomniał, że miał przed sobą przeprowadzenie próby samolotu przed nocnym lotem. Jego biedna załoga. Czekali cały dzień, a muszą polecieć teraz, kiedy reszta dywizjonu będzie spożywała wieczorny posiłek.

- Natychmiast po odprawie, powiedzmy o osiemnastej piętnaście.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Munro sięgnął do kieszeni i spojrzał na listę, jaką sporządził na kopercie listu do żony. Zapomniał na niej umieścić próbę samolotu przed nocnym lotem. Jeśliby zauważył oficera, który zachowywałby się tak, jak on sam w ciągu tych dwóch minionych miesięcy, bez dyskusji zawiesiłby go w lataniu. Ale dowódca nie może zawiesić samego siebie, pomimo owych głupich uwag, jakie czynił mu ten demoniczny lekarz. Jego odejście nie rozbiłoby przecież załogi, ale polataliby wówczas może z jakimś facetem prosto ze szkoły pilotażu operacyjnego, co naraziłoby ich jeszcze bardziej na niebezpieczeństwo. To był problem, który sam się rozwiąże; dziś w nocy odbędzie swoją ostatnią operację. W następnym tygodniu przekaże dywizjon nowemu dowódcy.

Zanim Munro doszedł do sali odpraw, wszyscy już tam byli, a pułkownik kręcił się w pobliżu drzwi czekając, aż załogi staną na baczność. Munro podszedł do podium i odczekał na ciszę, po czym zawołał:

- Panowie, dowódca Stacji!

Załogi zerwały się na nogi, gdy kroki pułkownika zastukały dziarsko wzdłuż środkowego przejścia. Wskoczył zwinnie na podium i odrzucił na krzesło swoją wyszywaną złotem czapkę. Uśmiechnął się, wygładził siwe

włosy i spojrzał na tłum mężczyzn, jakby zastanawiając się, dlaczego stoją na baczność.

- W porządku, chłopcy! - zawołał wesoło. - Siadajcie, wolno palić!

Z przodu dojrzał bombardiera z załogi Tommy Cartera, który ukończył dwadzieścia dziewięć lotów bojowych. Dziś czeka go ostatni, a jeśli wróci cało, to przez kilka miesięcy da mu się jakąś bezpieczną pracę. Miał dziewiętnaście lat.

- Collins, poczęstuj się moimi - powiedział pułkownik i rzucił mu paczkę papierosów.

Collins pochwycił paczkę, wziął papierosa, a resztę podał wzdłuż rzędu do Cartera i załogi „Joe jak King”.

- Dziękuję panu, podaję je dalej.

- Ty sprytny łobuzie! - zawołał pułkownik. - Nie dziwota, że nazywają cię Naciągaczem.

Sierżant uśmiechnął się wstydliwie.

Rozległ się szmer aprobaty załogi, ponieważ Collins zyskał sobie to przezwisko przez stałe prośby o pożyczanie paru szylingów do dnia wypłaty. Pułkownik uśmiechnął się. Wiedział, że Napoleon stosował taki sam chwyt, aby wzbudzić sympatię żołnierzy. A ten wybitny facet - jak powiadano - rozdawał w Afryce papierosy całymi wozami. Nie, żeby pułkownik był cynikiem. Przeciwnie. Pragnął, aby załogi latające lubiły go i poważały tak jak on je. Dałby chyba wszystko, by latać z nimi bombardować Niemcy. Dwa razy poleciał nieoficjalnie, jako dodatkowy członek załogi, ale naczelny dowódca dowiedział się i ostrzegł przed powtórzeniem tego. Pułkownik określał siebie jako zabójcę Hunów. Załogi uważały go za nieszkodliwego ekscentryka. W rzeczywistości był samotnym człowiekiem, usiłującym z desperacją uwierzyć, że towarzystwo młodzieży zrekonpensuje zbliżanie się starości. Przerwał śmiechy ruchem ręki. Załogi siedziały teraz cicho, oczekując ogłoszenia nazwy celu.

Podczas tych kilku chwil, zanim w operze podniesie się kurtyna, słyhać szmery i wyczuwa się nie dający się określić, niepowtarzalny nastrój. Audytorium siedzi cicho i oczekuje ze ściśniętymi gardłami. Nawet nerwowe kaszlnięcia są przenikliwe i zaprawione nutką hysterii. Wyobraźcie więc sobie nastrój, jaki by się wytworzył, gdyby audytorium - jak te załogi - wyszło na scenę deklamując swoje dialogi, notując wskazówki, martwiąc się o światła i synchronizację, zamęczane przez tuzin reżyserów, biorących na siebie winę, jeśliby przedstawienie skończyło się klęską. Ci ludzie mieli odegrać prawdziwy dramat, gdzie jedna pomyłka mogła spowodować nagłą, straszną śmierć w ogniu, a nie tylko oznaki niezadowolenia, drwiny lub negatywną recenzję.

Pułkownik pociągnął za sznur i zasłona rozstąpiła się z piskiem metalowych rolek.

- Dzisiejszej nocy - oznajmił - celem jest Krefeld w Zagłębiu Ruhry.

Kapitanowie i nawigatorzy mieli już jedną odprawę, więc nie była to dla nich niespodzianka. Wielu mechaników domyślało się po ładunkach paliwa, a niektórzy z pozostałych już coś słyszeli, ale było jeszcze wielu

radiotelegrafistów i strzelców pokładowych, którzy przyjęli wiadomość o celu z maskowanym, lecz widocznym lękiem. Krążyły pogłoski i zakładano się, że będzie to spacerowy lot. Krefeld to nie był spacer. Szczęśliwa Dolina była Szczęśliwą Doliną: najlepiej bronioną strefą celów w Europie.

Lambert, Cohen i Micky Murphy przybyli razem z poprzedniej odprawy na piętrze. Za nimi siedzieli dwaj strzelcy pokładowi, Flash i Binty oraz Digby, który palił małe cygaro. Cohen miał przed sobą otwarty notes, w którym czytelnym pismem przedstawił szczegółowo operację, zapisując czasy dużymi cyframi. Lambert uczynił kilka notatek na odwrocie koperty, ale wiedział, że nigdy do nich nie zajrzy. Trasy i szczegóły, które wydawały się tak zawile dla nowicjuszy, były jego drugą naturą; technika bardzo rozwinęła się od czasu, kiedy na odprawie dowiadawali się niewiele więcej poza nazwą celu i godziną startu.

Oficerowie techniczni siedzieli rzędem na podium, a pułkownik stał jak wikary otwierający święto kościelne. Obok niego, na stole przykrytym szarym kocem, znajdowała się karafka z wodą i szklanka. Odsunął ją na bok, jak to zawsze czynił i odwrócił się do mapy. Droga do celu i z powrotem, ozdobiona czerwonymi i białymi tasiemkami, przybrała kształt rombu, który przycupnął na środku Morza Północnego. Wrogą linię brzegową zeszpeciły brzydkie, czerwone plamy, oznaczające ogień artylerii przeciwlotniczej w rejonie Amsterdamu, Rotterdamu i Hagi, podczas gdy prawy koniec rombu wypychał się w największą czerwoną plamę, zaciekle bronione serce przemysłu ciężkiego Niemiec: Zagłębie Ruhry.

- Krefeld: przemysł ciężki, tekstylny i lekki, połączenia pozafrontowe  
- recytował pułkownik. - Dzisiejszej nocy będzie miała miejsce duża operacja ponad siedmiuset samolotów bojowych Dowództwa Lotnictwa Bombowego oraz zrzucanie ulotek przez Jednostki Szkolenia Operacyjnego. Rozpoczęcie ataku, godzina pierwsza trzydzieści. Start o dwudziestej czwartej.

Pułkownik spoglądał na pięciu dziennikarzy i kapitana z Biura Prasowego Ministerstwa Lotnictwa, którzy siedzieli spokojnie z tyłu sali. Mówił raczej do nich niż do załóg, które słyszały to wszystko już przedtem. Mówił powoli i spokojnie, unikając żargonu, jeżeli w ogóle można go uniknąć, kiedy ma się do czynienia z nowoczesnymi wynalazkami techniki, którym nadawano nowe nazwy.



- Każdy cel w Zagłębiu Ruhry jest trudny do zidentyfikowania. A więc nawet jeśli meteorolog powie, że chmur będzie mało albo wcale, że będzie pełnia księżyca, to nad obszarem celu będzie zalegała mgła przemysłowa. Zawsze zalega. Nie ryzykujcie chłopcy. Żadnych pomyłek. Dziś w nocy lecimy jako część grupy pathfinderów i jest sprawą ważną, aby wykonać dobrą robotę. Nie bombardować, nie zrzucać markerów poza kolejnością. Jeden samolot może zepsuć cały nalot, a to oznacza, że poślą nas znowu w przyszłym tygodniu. Dolećmy więc tam i oznaczmy cel tak dokładnie, aby główna fala bombowców mogła uderzyć jeden raz, ale za to cholernie mocno.

Pułkownik usiadł wśród fali aprobaty, jaka obiegnęła salę. Nikt nie chciał wracać nad cel w następnym tygodniu.

Powstał kapitan Ludlow, główny nawigator. Nieśmiały, były urzędnik bankowy z Guildford, stał się osobliwością ubezpieczeniową. Odbywał teraz swoją trzecią turę. Jedynie 2 procent lotników przeżyło trzy tury. Niektórzy nazywali go Nieśmiertelny Lud. Zrobił odprawę dla nawigatorów na piętnaście godzin wcześniej, teraz natomiast naszkicował trasę dla innych. Jak zwykle mruczał tak cicho, że załogi siedzące z tyłu nie słyszały go dobrze, ale ci, którzy wybierali sobie miejsca na końcu sali, zwykle nie dbali o to.

- Zbiórka nad Southwold, na wybrzeżu. Aż do Noordwijk, na brzegu holenderskim, nie trzeba zmieniać kursu - a jeśli nawet, to niewiele. Nad Noordwijk natomiast zmieniamy kurs. W tym punkcie będą żółte markery, ale nie wracajcie i nie skarżcie się, że ich nie widzieliście. One są dla chłopców z głównej fali bombowców, a od was, jako pathfinderów, oczekuje się dokładnego ustalenia takich miejsc bez markerów. Meteorolog twierdzi, że nie będzie zachmurzenia, a nawet jeśli się myli, to będą markery na niebie, nad chmurami. Stamtąd lot do celu jest prosty. Umieszczę żółty piętnaście mil od celu, a wy musicie przystąpić do bombardowania nad tym żółtym markerem linii odniesienia. Jeśli nie, to staniecie na drodze strumienia bombowców. W czasie dolotu do markera odniesienia nawigatorzy muszą obliczyć swoją prędkość względem ziemi tak, aby dowódcy samolotów i bombardierzy znali dokładny czas dolotu do punktu celowania. To wszystko. Jeśli ktoś ma pytania, może przyjść do mnie po odprawie.

Niektórzy z nowo przybyłych do dywizjonu chłopców gryzmolili jak wściekli. Cohen widział, jak podporucznik Fleming i jego nawigator sprawdzają raz i drugi każde słowo odprawy. Reszta załogi Fleminga siedziała blisko i obserwowała z zaciekawieniem, jak przygotowywał zakłęcie, które przeprowadzi ich bezpiecznie przez tę noc. Nie wszystkie załogi trzymały się razem. Sweet siadał zawsze z przodu z grupą oficerów. Jego mechanik, Micky Murphy, siedział obok Lamberta, tak zresztą jak zawsze. Z drugiej strony Lamberta usiadł Battersby, oglądając ślady oleju i smaru na dłoniach. Zauważył z dumą, że szybko stawały się prawdziwymi dłońmi mechanika, jak u Murphy'ego.

Digby nachylił się do Murphy'ego i Lamberta:

— Wiara, Nadzieja i Miłość piszą swoje pamiętniki - szepnął.

— Tak, pamiętam, jak to było na moim pierwszym locie bojowym - powiedział Lambert. Bałem się bardziej błędu w dzienniku nawigacyjnym aniżeli walki z nocnym myśliwcem.

Wszystkie nowe załogi przybyły do sali odpraw co najmniej pięć minut później z obawy przed zajęciem miejsc przyznanych weteranom. Cisnęły się teraz razem w tylnej części sali. Jak nowi uczniowie w szkole starali się nie zwracać na siebie uwagi, ale gdy powstał Jammy Giles, to przemówił właśnie do audytorium w tej części sali.

Kapitan Giles był zastępcą adiutanta dywizjonu, a także głównym bombardierem. Podczas kryzysu monachijskiego mając trzydzieści trzy lata wstąpił do RAF. Początkowo latał jako strzelec; każdy chłopak mógł wtedy zostać strzelcem pokładowym bez szkolenia, dyplomu lub stopnia sierżanta. W tamtych czasach był starszym szeregowcem, był więc na samym dole w hierarchii. Później, gdy jego praca została oficjalnie uznana i został sierżantem, rozkoszował się zmianą zajęcia. Latał jako strzelec pokładowy, jako radiotelegrafista, a nawet jako drugi pilot. Jako bombardier wykazał lak duże uzdolnienia, że po zakończeniu pierwszej tury operacyjnej został odznaczony Medalem za Wybitną Służbę w Powietrzu i otrzymał pracę instruktora. Dyscyplina w szkole lotniczej była tak męcząca, że wystąpił o patent oficerski i ku swemu zdumieniu uzyskał go. Teraz, gdy nabrał znaczenia wraz z utworzeniem specjalności bombardiera, Jammy stał się w Warley ważną osobistością.

Jedenastu znajdujących się w sali mężczyzn, którzy już ukończyli pierwszą turę operacyjną, wyróżniało się pośród nowych załóg spokojem i dystansem. Jammy stanowił godny uwagi wyjątek. Był hałaśliwy, łysiał i miał skłonności do tycia. Wszystko to - chwalił się - zawdzięczał ogromnym ilościom konsumowanego alkoholu. Pośród grupy zwykłych ludzi budowa fizyczna Jammy'ego przeszłaby niezauważona. Jednakże pośród lotników jego nieznaczny brzuch był falstafowski, jego głowa pickwickowska, a wesoły nos podobny do cyranowskiego.

Postura Jammy'ego rzucała się w oczy tym bardziej, że jaskrawo kontrastowała z wyglądem jego pilota Roddy Petersona, wysokiego, smukłego i posępnego Kanadyjczyka. Miał on oschły, opryskliwy rodzaj humoru, jaki Jammy natychmiast sobie przyswoił, a teraz w nim celował. Często nazywano ich Flip i Flap. Przed wstąpieniem do wojska Jammy Giles mieszkał z matką w trzypokojowym lokalu w suterenie, na londyńskim przedmieściu Morden i pracował jako urzędnik w przedsiębiorstwie budowlanym. Teraz był odznaczonym oficerem, kapitanem lotnictwa. Ta przemiana przeszła jego najśmielsze oczekiwania i nie myślał o tym, co będzie robił po zakończeniu wojny. W każdym razie nie spodziewał się, że ją przeżyje.

- W porządku. Zamknijcie się wy tam i słuchajcie - powiedział Jammy. - Nie dbam o to, ile razy przedtem słyszeliście to samo.

Kilka razy w przeszłości Jammy przywołał nieuważającego członka załogi na podium i prosił o powtórzenie treści odprawy. Jammy wiedział co zrobić, aby taki człowiek poczuł się jak dziecko. Załogi uspokoiły się więc i uważnie słuchały.

- Najpierw samoloty Mosquito z dywizjonu pathfinderów oznaczą cel czerwonymi markerami. Ich urządzenia są dokładniejsze od wszystkiego, co my posiadamy, a więc Finders muszą szukać ich czerwonych markerów. Finders zrzucą flary na te czerwone. Z samolotami Finders będą zmieszane samoloty Supporters, obsadzone przeważnie załogami odbywającymi swoje pierwsze operacje i dysponującymi tylko bombami burzącymi. Tak jest dlatego, aby nie pomylić bomb zapalających z czerwonymi markerami. Wszystkie załogi samolotów Supporters muszą pamiętać, że ich zadaniem jest wstrząsnąć obroną nieprzyjaciela przy pomocy bomb burzących, zrzuconych na czerwone markery. Jeśli więc ich nie dojrzyjecie, to wolałbym,

abyście przywieźli wasz ładunek z powrotem, aniżeli pomylili się. I nie powtarzajcie ataku. Zostawcie to dla bardziej doświadczonych załóg. W porządku. Następne nad celem pojawią się samoloty Illuminators, których załogi będą zrzucać flary prosto na punkt celowania zidentyfikowany światłem flar zrzuconych przez samoloty Finders. Wreszcie przylecą główni markerzy i obłożą żółtymi markerami punkt celowania, oświetlony flarami samolotów Illuminators. Samoloty z wyposażeniem Y sprawdzą to przy pomocy radaru i środków wizualnych, ponieważ cała główna siła bombardująca będzie szukała tych żółtych markerów. Zaplanowano to dokładnie, chłopcy, tak że do was należy sprawdzenie terenu raz i drugi, zanim go oznaczycie. Nie chcemy więcej żadnego Pilzna i nie będzie go, jeśli wy wszyscy przyłożycie się do tego.

16 kwietnia 1943 roku pomyłka pathfinderów spowodowała, że atak skoncentrowano na olbrzymim, czechosłowackim domu wariatów w Dobranym zamiast na zakładach zbrojeniowych „Skoda” w Pilźnie. Zgrozę powiększyła utrata trzydziestu sześciu samolotów RAF i dywizjon pathfinderów dotąd pali się ze wstydu.

Odezwały się aprobujące pomruki i odgłosy kaszlu. Lambert poczęstował swoją załogę papierosami. Micky Murphy też zapalił.

- Co o tym sądzisz, Sam?

- Wydaje mi się, że dokładnie to zaplanowano - odparł Lambert oględnie.

Tak właśnie mówi się o zapobieganiu ciąży - powiedział Micky i uśmiechnął się pokazując lukę w uzębieniu. Uśmiechnął się także do Battersby'ego. Chłopiec wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu zadowolony, że zwrócono na niego uwagę.

Na podium Jammy kontynuował.

- W porządku. Ostatnią falą są samoloty Backers Up. Te wiozą zielone identyfikatory celu. Najpierw szukajcie resztek czerwonych markerów, tych z Mosquito. Jeśli ich nie znajdziecie to poszukajcie żółtych, głównych markerów. Będę obserwował to moimi małymi, bystrymi oczami i jeśli ktoś z was sfuszeruje robotę, to wypruję z niego flaki. W porządku?

Jammy zaśmiał się krótko, a załogi zawtórowały mu. Zawsze to mówił na końcu odprawy. Nowy dowcip zaniepokoiłby ich; w takiej chwili woleli to, co było stare i znane.

- W porządku, jeszcze jedno - powiedział Jammy. - Pozbywanie się nie wykorzystanych bomb. W ostatnich miesiącach nasi i Jankesi zrzucili większy tonaż bomb na Brytanię niż cała przeklęta Luftwaffe.

Rozległy się przeciągłe gwizdy, które Jammy uciszył machnięciem ręki.

- Z pewnością dobrze jest się śmiać na odprawie, ale kiedy zatrzymujecie ruch na głównej linii kolejowej lub prosicie tych biedaków z Jednostki Usuwania Bomb, aby oczyścili po was teren, to nie jest tak zabawne. Jeżeli już musicie pozbyć się nie wykorzystanych bomb powinniście podać dokładną godzinę, współrzędne i szczegóły zapalników natychmiast po wylądowaniu. Łatwo jest to zataić

- uśmiechnął się - i właśnie dlatego będę nalegał na podjęcie akcji dyscyplinarnej przeciwko załodze, która nie zamelduje o wyrzuceniu bomb.

Teraz wszyscy byli już w dobrym nastroju.

Tak, Jammy, daj im bobu - krzyknął ktoś. I znów rozległ się podobny do kichnięcia śmiech Jammy'ego.

Gdy oficer taktyczny podniósł się, zrobiło się tak cicho, że słyszeć można było odgłosy przyrody; za oknem trzeszcząc poruszał się kasztan, jerzyki nawoływały się, kos śpiewał, drozdy uczyły się latać, a ciepła bryza niosła zapach świeżo ściętej trawy. Trudno było uwierzyć, że tutaj, w tym sielankowym nastroju, czyniono plany zniszczenia miasta.

Longfellow obserwował salę i przysłuchiwał się odprawie z pilną uwagą dziennikarza. Tu właśnie tworzone było historię. W zeszłym tygodniu wysłał tych ludzi, aby zniszczyli Kolonię. Dlaczego Kolonię? Nie do wiary: tysiąc lat historii rozerwanych przez tych młodzików na strzępy w mniej niż dwie godziny. Zupełnie jak w rozdziale jego drugiej książki: przestępcy siedzieli wkoło w fotelach, popijając brandy i dyskutując w sposób całkiem normalny nad planem obrabowania banku. Przepisze ten rozdział, ponieważ wiedział już, że nie był on dość konkretny. W rzeczywistości powinno być tak: młodzi chłopcy, niektórzy nastoletni, częstując się papierosami wymieniali uwagi, ile ton materiału o dużej sile wybuchowej zrzucić na centrum miasta.

Longfellow wstał powoli upewniając się, że przykuwa ich uwagę. Przesunął dłonią po swoich gęstych, czarnych włosach.

- Czy widać mnie tam, z tyłu? - zawołał i dało się słyszeć

potwierdzający pomruk. - Dziwi mnie to, bo ja nie mogę was dojrzeć przez ten przeklęty dym.

Rozległ się uprzejmy śmiech. Salę zasnuwał niebieski dym tytoniowy, a żółte światła żarzyły się w unoszących się ruchem wirowym oparach niczym odległe, ogniste planety. „Odległe, ogniste planety” - zanotował. To przyda się do książki. Pracownik Longfellow’a przypiął do tablicy schemat bombardowania zatytułowany „Creepback”. Przedstawiał on trafienia bomb jako długą plamę, rozciągającą się aż do strzałki, oznaczonej napisem „Strumień bombowców. Linia lotu”. Longfellow założył okulary i spojrzał na schemat, co spowodowało, że całe audytorium skierowało tam wzrok.

- Dziś w nocy - oznajmił powoli i wyraźnie - atakujemy Krefeld: ciężki przemysł...

Nie mógł kontynuować, bo powstał wzmagający się hałas. Słysząc było przenikliwy śmiech Kita Peppera, jednego ze strzelców pokładowych Sweeta, i klaskanie Roddy Petersona, siedzącego obok niego. Longfellow wyciągnął rękę, a potem głośno poprawił swój błąd.

- Dziś w nocy atakujecie panowie Krefeld.

Hałas uspokoił się. Longfellow zdecydował się opuścić szczegółowy opis celu i przejść do sprawy, która bardzo leżała mu na sercu. Sprawa, na którą ludzie z wywiadu w Grupie skarżyli się z goryczą; jednym słowem chodziło o creepback.

- Otóż wy, załogi Backers Up - powiedział zwracając się do nich. - Waszą robotą jest zrzucić nowe flary w środek już zrzuconych. Mówiłem to tysiące razy, ale powtórzę jeszcze raz. Kiedy zobaczycie przy podejściu do celu układ markerów, to zobaczycie go w perspektywie. Ulegniecie pewnemu optycznemu złudzeniu, więc nie dokonujcie zrzutu przed środkiem zrzuconych już flar. Creepback jest właśnie tą tendencją do coraz wcześniejszego zrzutu. Nie róbcie więc tego.

Przerwał na wystarczająco długą chwilę, aby podkreślić znaczenie kilku następnych słów.

- Chłopcy, wiecie tak dobrze jak ja, że jest jeszcze inny powód do dokonywania przedwczesnych zrzutów. Ten, o którym ludzie niechętnie mówią - przerwał znowu. - Prosty strach.

W sali panowała cisza. Nikt nie kaszłał i nie mruczał. Longfellow

skupił ich Pełną bojaźni uwagę. Pułkownik spoglądał ku dziennikarzom, ale dym był za gęsty, aby mógł dojrzeć ich reakcję. Longfellow kontynuował:

- Kiedy ogień artylerii przeciwlotniczej staje się silny i niebezpieczny, to już swędzą was ręce. Chcielibyście wtedy diabelnie szybko pozbyć się bomb i wydostać się stamtąd. Oczywiście zdarza się i tak, ale jeśli zamierzacie zrzucić bomby na kartofliska, to po co u diabła lecieć taki kawał drogi nad Niemcy? Te ostatnie kilkaset jardów do punktu celowania to - proszę panów - wyprucie flaków Hunom lub uznanie się za pokonanego.

Zdjął rogowe okulary i założył je z powrotem teatralnym gestem.

Longfellow miał swoją teorię na temat odpraw. Zimne oskarżenie o tchórzostwo po czym męski, wyrozumiały ton, logiczny argument i kończąca wszystko aluzja sportowa, były obliczone na zaszokowanie, dodanie bodźca i umocnienie stanowczości jego audytorium.

— Rule Britannia! - krzyknął ktoś z tyłu.

— Ci kawiarniani wojownicy - zamruczał Digby - będą walczyć do ostatniej kropli naszej krwi.

Battersby zachichotał nerwowo. Starszy sierżant Lambert wstał pod wpływem impulsu. Pierwszy raz zdarzyło się, że zadał pytanie na odprawie.

- Jaki konkretny cel bombardujemy w Krefeld? - zapytał.

Miał w ręce mapę celu i wymachiwał nią.

Nie jest dobrze, pomyślał Longfellow. Przebiegł palcami po wierzchu dłoni jak człowiek dopasowujący parę nowych rękawiczek. Spojrzał uważnie do przodu, dla lepszego przyjrzenia się pytającemu. Próbował zobaczyć jego oczy, ale górne światła pogrążyły oczodoły chłopca w ciemności i ukryły jego wyraz twarzy tak dobrze jak para ciemnych okularów. Uśmiechnął się nerwowo do Lamberta i przypomniał sobie standardową odpowiedź, jaką przygotował na tego rodzaju pytania. Zrzucanie bomb prosto w centrum zatłoczonych miast niepokoiło czasem załogi. Było rzeczą naturalną, że od czasu do czasu potrzebowały nieco pokrzepienia. Longfellow podniósł mapę Krefeld i stuknął w jego centrum.

- Kwatera Główna Gestapo i fabryka gazu trującego - to cel waszego ataku. W porządku?

Czuł jak nastrój sali zmienił się, gdy to powiedział; podniósł się stłumiony pomruk i wzmożło podniecenie. Gniew skierowany chwilę wcześniej tak niesprawiedliwie ku niemu, zwrócił się teraz przeciwko prawdziwemu wrogowi - przeciw Krefeld.



Pułkownik wolał nie nosić okularów, zakładał je tylko wtedy, kiedy był sam. Nie popatrzył wprost na Lamberta; przymknął oczy i potakiwał mądrze, jak gdyby także wiedział, co jest w centrum tego miasta.

Inni oficerowie techniczni kontynuowali odprawę. Sandy Sanderson, główny mechanik dywizjonu, w kosztownym, niebieskim golfie z jagnięcej wełny, informował o ładunku paliwa i rozglądał się uważnie szukając wśród dziennikarzy kobiet.

- Główny zbrojmistrz mówi, że Lancastery wracają uszkodzone pociskami brytyjskimi 0,303 cala, co oznacza, że strzelcy pokładowi naciskają spust bez namysłu i strzelają do cieni. Bądźcie czujni, miejcie się na baczności i poruszajcie wieżyczkami strzeleckimi, aby olej nie stężał, ale pamiętajcie, że są z nami dzisiejszej nocy dwusilnikowe bombowce, więc nie otwierajcie ognia zanim nie zidentyfikuje cie z całą pewnością nocnego myśliwca.

Dowódca łączności podał szczegóły szybkiej zmiany częstotliwości dla namiarów od latarni kierunkowych, a potem meteorolog nakreślił sytuację pogodową. Krzywa linia zimnego frontu w niektórych miejscach była wykreślona aż z dwustumilowym błędem, a jego przepowiednia o przypuszczalnej granicy tego frontu o północy była jeszcze bardziej niedokładna. Nie obchodziło to tych załóg, które leciały tylko do Ruhry. Tam mogły znaleźć przepowiadany obszar wysokiego ciśnienia.

— Pełnia księżyca nad celem - o godzinie zero trzydzieści: jedna godzina przed godziną zero. Wschód słońca o piątej czterdzieści sześć, więc nie będziecie musieli się tym martwić. A teraz chmury: wzdłuż nieprzyjacielskiego wybrzeża będzie trochę mocno poprzerrywanych chmur warstwowych. Szczątkowa chmura burzowa pojawi się za zimnym frontem i nie wpłynie na wasz lot. Nad obszarem celu napotkacie bardzo cienką warstwę średnich chmur na wysokości między tysiącem a dwudziestoma tysiącami stóp. Przykro mi, że nie mogę być bardziej precyzyjny, ale niebo prawdopodobnie przejaśni się do godziny pierwszej.

— Jezusie! - powiedział Digby. - Będziemy tam tańczyć nie osłonięci, przy pełni księżyca, a on nas pociesza, że nie potrzebujemy martwić się wschodem słońca. Czy ktoś chce kupić mój zegarek na rękę?

Tu i ówdzie dało się słyszeć śmiech.

Nawet jeśli meteorolog nie dosłyszał dokładnie słów Digby'ego, wytłumaczył sobie bez trudu ich intencję. Dodał więc spieszenie:

- Będziecie mieli dość stratocumulusa na dwóch, trzech tysiącach stóp, co zapewni wam pewną osłonę. Widzialność - średnia. Nawigatorzy, poznaliście wiatry. Pamiętajcie - północno-zachodni wiatr nad celem. Jeśli ktoś ma jakieś pytania, czekam po odprawie.

Ostatni powstał podpułkownik Munro, dowódca dywizjonu. Młody Tapper Collins nie był jedynym, który kończył dzisiejszej nocy turę

operacyjną. John Munro także wyprawiał się na swój ostatni lot tury, z tą tylko różnicą, że była to jego druga tura. Munro leciał dziś w nocy na swój sześćdziesiąty lot operacyjny.

Munro przemawiał jak arystokrata.

- Niewiele jest do powiedzenia o dzisiejszej nocy, proszę panów. Koncentracje niemieckiej artylerii przeciwlotniczej - mapa mówi sama za siebie. Macie trasę wyznaczoną tak, aby ominąć wrogie rejony, więc nie błąkajcie się i nie wynajdujcie nowej trasy wierząc, że będzie lepsza. Trzymajcie się strumienia, a ominiecie większość tych czerwonych plam.

- A co z trasą nad tą dużą, czerwoną plamą? - zawołał Sweet. Duża, czerwona plama oznacza Ruhrę, więc wszyscy się roześmiali. Podpułkownik uśmiechnął się tak szeroko, jak potrafił.

- Trzymajcie się strumienia chłopcy i pilnujcie waszych wysokości bombardowania. Jedyne niebezpieczeństwo kolizji jest nad celem, jeśli więc będziecie trzymać się swojego pasma wysokości, to je prawie wyeliminujecie. Przelatujcie nad celem tylko od północnego zachodu, gdzie znajduje się marker odniesienia. Jest to podobne do jazdy w ruchu samochodowym: trzymajcie się waszej strony ulicy, a będziecie całkowicie bezpieczni, natomiast jazda w poprzek strumienia ruchu znacznie zwiększy możliwość kolizji.

Słuchacze, z których niewielu tylko prowadziło samochód, potakiwali ze znajomością rzeczy.

- I żadnej akcji wymijającej nad celem. Tam gdzie strzela artyleria przeciwlotnicza, tam nie ma nocnych myśliwców. Gdy już się stamtąd oddalicie, trzymajcie się trasy i synchronizacji czasowej. Chłopcy, to jest dobrze zaplanowana robota. To jest duża operacja - około ośmiuset samolotów - Lancasterów, Wellingtonów, Halifaxów i Stirlingów.

Hurra! - zakrzyknęło z tuzin starych pilotów z końca sali. Munro spojrział tam i uśmiechnął się. W ostatnich operacjach stracono 12,9 procent Stirlingów w porównaniu z zaledwie 5,4 procent Lancasterów. Jeśli pocieszała ich świadomość, że biedne, stare Stirlingi będą z nimi, wlokąc się ciężko na swoim niskim pułapie i ściągając na siebie główne siły artylerii przeciwlotniczej, to dlaczego miał im psuć humor? Ale jego młodszy brat pilotował dzisiejszej nocy Stirlinga i uśmiech Munro był sztuczny.

Po zakończeniu odprawy rozległo się człapanie butów i gwar rozmów lotników, wychodzących na złany słońcem i pachnący trawą plac. W pobliżu drzwi Munro przytrzymał za poły munduru kapitana Sweeta.

— Mądrej głowie dość dwie słowie, panie Sweet. Te przetasowania załóg to brzydka sprawa. Jeśli którykolwiek z lotników zechce zmienić załogę, to każcie mu przyjść pogadać ze mną.

— Ma pan na myśli Cohena i Digby'ego?

— Mam pan myśli Cohena i Digby'ego. Sweet uśmiechnął się ujmująco:

— To były prośby. Digby pytał, czy...

— Zanim powiesz cokolwiek więcej, chłopie, pozwól sobie powiedzieć, że dziś po południu miałem na karku starszego sierżanta Digby’ego z Królewskiego Lotnictwa Australijskiego odmawiającego stanowczo opuszczenia załogi Lamberta. Ci chłopcy są przesądni, wie pan.

— Nie wygramy wojny wierząc w przesady.

— Och, nie posuwałbym się aż tak daleko. Stary Hitler stosuje je usilnie i zyskał dość sporo terenu. Dawne procesje z pochodniami i tym podobne historie, prawda? Nie, jeśli ci chłopcy znajdują pocieszenie w swoich misiach-zabawkach i przynoszącej im szczęście damskiej bieliźnie wieszanej na szybie kabiny, to - powiadam - niech to mają. To samo odnosi się do dobierania się załóg.

— Ależ to bunt, czyż nie? Starszy sierżant Digby powinien najpierw przyjść do mnie, jak to jest w zwyczaju, chyba że uważa, że to on kieruje eskadrą B.

— Widzę, że nie ma pan dużego doświadczenia z naszymi australijskimi aliantami, panie Sweet. Mam piekielne szczęście, że on poniżył się, aby powiedzieć mi o tym. Jest wielu jego rodaków, którzy udaliby się do ambasady i załatwili to przez swojego premiera, gdyby uważali, że są dyskryminowani.

— Pan chyba żartuje.

— Chciałbym, aby to był żart. W każdym razie, panie Sweet, niech pan zapomni o przejściu Digby’ego do pańskiej załogi, nawet jeśli jest najlepszym bombardierem w dywizjonie. I nawet jeśli pański bombardier jest najgorszym...

Sweet znowu się uśmiechnął.

- Och, to nie z tego powodu, panie pułkowniku.

Dotknął poufale ramienia Munro. Munro cofnął się. Czuł wstręt do ludzi klepiących go po plecach lub chwytających za ramię.

— Bez względu na powód, panie Sweet. Zapomnij pan o tym - powiedział zimno.

— Wziąć Cohena, zapomnieć Digby’ego?

— Właśnie tak. Wziąć Cohena, zapomnieć Digby’ego.

Zawstydzony swoją reakcją na gest Sweeta, Munro nachylił się ku niemu nieco bliżej.

- Może myśli pan o zgromadzeniu wszystkich safandulów eskadry B

w jednej załodze, aby uznać ich za nieodpowiednich do służby pathfinderów i przenieść? Ale dlaczego, Sweet, dlaczego na Boga wybrał pan załogę Lamberta? Lambert jest jednym z najlepszych pilotów w dywizjonie.

Sweet uśmiechnął się do Munro. Był pewny, że będzie mógł przekonywająco zbić tę niesłuszną sugestię.

— Jedyne co mnie interesuje, panie pułkowniku, to wylatanie maksymalnej ilości operacji z maksymalnym ładunkiem bomb i zabicie maksymalnej ilości Hunów.

— Czyżby?

- Chcę tylko skończyć z tą wojną - odpowiedział Sweet.

— Wielu z nas czuje to samo - rzekł i zanim Sweet mógł coś odpowiedzieć, dodał: - Jeszcze jedna sprawa, Sweet. Czy Lambert namalował na swoim samolocie portret Stalina?

— Stalina, panie pułkowniku?

— Tak, Stalina.

— Nie, panie pułkowniku, to na samolocie sierżanta Cartera - „L jak Love”.

- Uhm, tak właśnie myślałem. Pułkownik zaszedł do was dziś po południu, aby zobaczyć samolot z usterką wyrzutnika bomb i zobaczył na nim portret tego towarzysza... Nie był zachwycony.

— Każę to zamalować.

— I każe pan jednemu ze swoich chłopców napisać o tym do „Daily Mirror”? Nie, nie radziłbym. Jak pan wie, samolot jest niezdatny do lotu dzisiejszej nocy. Niech pan nic nie robi, dopóki pułkownik nie powie tego panu osobiście. Wtedy będzie pan musiał rozwiązać ten problem.

— Pomyślę, w jaki sposób to załatwić, panie pułkowniku. Sweet uśmiechnął się.

— Jestem pewien, że pan to zrobi powiedział Munro oziębło.

Kto mówi, że młodzież jest uparta? Tacy chłopcy jak Sweet zrobią wszystko dla uniknięcia kłopotów. Munro westchnął. Przeczuwał, że po wojnie świat może być pełen Sweetów, sprzedających elektroluksy, unikających polityki i zajmujących się jedynie rozrywką. Człowiek przestraszony, że maszyny go zdominują i przerażony technicznymi osiągnięciami, stawał się w swych emocjach i reakcjach mechaniczny, pomyślał Munro. Jego gesty, żarty i posłuszeństwo były jak u robota. Głupie i prowokujące pytanie Lamberta, mimo że Munro był zgorzony takim zachowaniem, było przynajmniej ludzkie. Ten, wiecznie uśmiechający się, mały kapitan Sweet nigdy by tego nie zrobił.

Sweet nie był jedyną osobą przytrzymaną za poły munduru. W całej sali lotnicy dawali przyjaciołom i obcym ostatnie ostrzeżenia, życzenia, rady i informacje.

Kapelan był członkiem partii socjalistycznej i w skrytości ducha uważał się za niebezpiecznego reformatora. W jego mniemaniu właśnie dlatego biskup bardzo pragnął pozbyć się go wysyłając do lotnictwa. Przymusowe marsze do kościoła, paru zdecydowanych ateistów w kasynie oficerskim i dziedziczne jękanie się uczyniły jego zadanie trudniejszym, niż się spodziewał. Jednak jego obowiązkiem było szukać zmartwionych i znalazł człowieka z podkrążonymi oczami, który prawie zepsuł całą odprawę, niepokojąc swoich towarzyszy.

— Czy masz jakieś zmartwienie sierzancie? zapytał Lamberta.

— Ojczy, dlaczego Kościół nie przerwie wojny?

Młody kapelan słuchał uważnie swego arcybiskupa, więc podobnie jak oficer taktyczny miał gotową odpowiedź.

— Wojna jest wynikiem grzechu rodzaju ludzkiego, w tym i naszego. Musimy więc ją prowadzić i być skruszonymi, kiedy ją

prowadzimy.

— Jestem przeto sprawiedliwą ręką Boga, prawda ojcze? Zastanawiam się czy Niemcy mają kapłanów, którzy mówią im to samo.

— Ja... ja... ja... - wyjąkał - jestem oficerem sierżancie i proszę traktować mnie z szacunkiem, na jaki zasługuje mój mu... mu... mundur.

Chodź skiper - zawołał głośno Digby. Musimy trochę pozabijać. Ojciec wlepił wzrok w nich obu. Dlaczego ci ludzie mnie obrażają, pomyślał. Wiedzą przecież, że nie mogę zakończyć wojny.

- Niech ojciec nie zwraca na nich uwagi powiedział Longfellow. Oni mają za nic uczucia porządnych ludzi.



Zastanawiał się, czy to któryś z tych dwóch wyśmiał go, kiedy przejeżdżał się na początku odprawy. Kiedyś Longfellow wielbił ten młody, bohaterski personel latający, ale było to bardzo dawno, podczas bitwy o Anglię. Potem spotkał się już tylko z arogancją lotników.

- Nieustraszeni lotnicy - powiedział pogardliwie, gdy już wszyscy byli poza zasięgiem jego głosu.

Walter Ryessman często wspominał dzień, w którym na stanowisko burmistrza wysunięto jego kandydaturę. Była to praca na całe życie, ale przypuszczał, że dwie godziny dziennie aż nadto wystarczą, aby nadzorować obywatelskie czynności w tak małym miasteczku. Miało to miejsce oczywiście przed wojną, kiedy świat kroczył powolnymi krokami. Decyzje dotyczące usuwania ruder i przedłużania podłączeń do gazowni przekazywano do podkomisji, a odpowiedzi rzadko bywały odmowne. Walter Ryessman został burmistrzem dzięki długiej i wiernej służbie dla partii. Teraz, kiedy naród prowadził wojnę, jego pierwszym zadaniem było starać się, aby Altgarten odegrało swoją rolę w wygraniu jej, a to zabierało mu dziennie osiem godzin papierkowej roboty i zebrań oraz częstych wizyt w terenie dla sprawdzenia, czy zastosowano przewidziane prawem środki ostrożności na wypadek nalotu. Początkowo władze szpitala i dowódca pracowników TENO czuli się dotknięci jego nagłymi i niezapowiedzianymi wizytami. Jednak wkrótce zdali sobie sprawę, że Ryessman posiadał w partii daleko większy wpływ niż sugerowałoby jego stanowisko burmistrza Altgarten. Miał on również honorowy stopień w SS. Nauczycieli więc odpowiednio przygotowywać na powitanie, gdy ten wysoki, siwy mężczyzna ukazywał się jak duch pośrodku nocy. Nowych wartowników, nowego stróża lub dozorcę uprzedzano zawsze, aby mieli się na baczności przed burmistrzem.

Ratusz był budynkiem z czerwonej cegły, stojącym naprzeciwko stacji kolejowej Altgarten, po drugiej stronie trawiastego, wysadzanego drzewami Bismarckplatz. Burmistrz spoglądał ze swojego biura na położony w dole pamiątkowy cokół wojenny. Fontanna biła radośnie w południowym świetle słonecznym. Na froncie cokołu wyryto nazwiska czterdziestu obywateli Altgarten, poległych w I wojnie światowej. Boczne płyty były już prawie pełne nazwisk ofiar II wojny światowej i burmistrz zastanawiał się, czy podstawa fontanny będzie odpowiednim miejscem do wyrzycia następnych nazwisk. Zdecydował, że tak.

Ryessman przeżył wiele zmian w ratuszu od czasu objęcia urzędu. Suterena, która kiedyś mieściła akta urodzeń, ślubów i zgonów, została

przeznaczona na salę dowodzenia w przypadku nalotu. Jej drzwi wyposażono w kurtynę przeciwgazową, zainstalowano oświetlenie awaryjne z własną prądnicą, plan miasta w dużej skali oraz mapkę obrazującą w małej skali usytuowanie miasteczka w okręgu. Telefony

łączyły salę z policją, strażą pożarną, gazownią, elektrownią i wodociągami w różnych częściach miasta. Specjalne linie łączyły ją ze służbą ratowniczą, remontową i wyższymi dowódcami obrony przeciwlotniczej w Dortmundzie. Oficjalnym gościom przybywającym do Altgarten pokazywano zawsze salę dowodzenia. Herr Ryessman był z niej bardzo dumny, choć niektórzy bardziej bezczelni urzędnicy nazywali ją „dziurą”.

Jego biuro przeniesiono na najwyższe piętro, razem z urzędem stanu cywilnego i wydziałem lokalowym. W korytarzu, przed urzędem stanu cywilnego, tak umieszczono ławki, że można było przemienić tę poczekalnię w biuro pomocnika burmistrza, Andi Nielsa. Ten młody człowiek ze wrzodem żołądka, przy pewnej pomocy burmistrza nie trafił do wojska. Na parterze znajdowały się biura wydziału podatkowego, służb miejskich i kartek żywnościowych, a wschodnie skrzydło budynku oddano policji, chociaż prefekt miał biuro na tym samym piętrze co burmistrz, aby być pod ręką w razie nagłej konferencji.

Burmistrz udał się do następnego pokoju, do biura swego asystenta, zauważając z satysfakcją, że w korytarzu zgodnie z jego ostatnim poleceniem rozmieszczono worki z piaskiem, sznur, siekierę i pompę ręczną.

Pokój asystenta, mniejszy od jego, był zatłoczony szafkami z kartotekami, ale widok miał godny pozazdroszczenia. Z okna widać było wysoką wieżę Liebefrau wznoszącą się ponad średniowiecznymi dachami centrum miasta. Poza nią, tam gdzie zaczynała się otwarta przestrzeń, znajdował się Wald Hotel, wtulony w plamę ciemnego lasu, a dalej ku północy poddawały się słońcu cztery szklarnie stanowiące własność Ryessmana.

Zachwycał się jeszcze widokiem, kiedy jego asystent wszedł do pokoju. Był zaskoczony i ku zdziwieniu Ryessmana zaczerwienił się.

Herr Ryessman - odezwał się uprzejmie urzędnik - potrzebuje pan czegoś?

- Nie - odpowiedział burmistrz, obserwując z rozbawieniem, jak urzędnik pośpiesznie wpychał trzymane akta do najbliższej szafki. Kiedy odwrócił się, był bardziej opanowany.

- Dziś są moje urodziny, jak pan dobrze wie, ponieważ rozsyłał pan zaproszenia. Chciałbym prosić, aby pan przyszedł wieczorem na przyjęcie u

Frenzla.

- Pan burmistrz jest bardzo uprzejmy - powiedział Andi Niels. - Czuję się zaszczycony.

- Drobiazg - odparł burmistrz. - Nie czas na wystawne przyjęcia, ale na początek będzie wędzony węgorz a następnie specjalność Frenzla – pieczona kaczka.

Burmistrz zastanawiał się nad zachowaniem tego młodego człowieka. Zwykle odprężony i opanowany, dziś wydawał się niespokojny i nerwowy. Wyprostował obrazek na ścianie, wytarł kurz z półki i chodził po pokoju. Może wrzód daje znać o sobie, pomyślał Ryessman.

— Zechce mi pan wybaczyć, panie burmistrzu - powiedział Niels. - Ma pan spotkanie z krawcem, a ja także jestem umówiony.

— Zupełnie zapomniałem - rzekł burmistrz. Skinął głową Nielsowi i opuścił pokój. W korytarzu czekało pięć osób. Ciemne ubrania starszych ludzi na pierwszy rzut oka sugerowały, że przyszli zarejestrować zgon. Może, pomyślał Ryessman, mają te same ubrania na śluby, urodziny i pogrzeby. Młoda para wskazywała na to, że chodzi o ślub. Nie było co do tego wątpliwości. Tak bardzo byli zakochani, że zapomnieli o wszystkich i wszystkim wokół nich. Młody mężczyzna nosił ciemne, dobrze skrojone ubranie i małą centkowaną muszkę. Był przystojnym chłopcem o dużych oczach i mocnej szczęce. Niewielu tak młodych ludzi chodziło w cywilnych ubraniach, pomyślał Ryessman. Dziewczyna była ładna. Nie miała szerokich bioder, grubych kości i silnych jak miejscowe dziewczęta. Była drobną, krótko przystrzyżoną brunetką o bladej jak lalka twarzy w kształcie serca. Rodzice chodzili niespokojnie, gdy Ryessman szedł korytarzem. Tu, na prowincji, starsi ludzie nigdy nie przestali bać się władzy, pomyślał Ryessman, i tak było chyba dobrze. Młodzi ludzie mieli mniej respektu i gdy przechodził usłyszał, jak ktoś szeptał, a młody mężczyzna spojrział w górę patrząc mu prosto w twarz.

Może gdyby burmistrz był bardziej zajęty tego popołudnia, nigdy nie natknąłby się na tę sprawę. Ale popołudnie było spokojne i słoneczne, kiedy usiadł przy biurku, leniwie przewracając kopie listów krążących między wydziałami ratusza.

*„Szanowny Panie.*

*Burmistrz dziękuje Panu za jego list z dwunastego maja i potwierdza,*

że MEYER, Hans Willy zamieszkały w Rheinprovinz Altgarten, Florastrasse 36, jest teraz oficjalnie zaszeregowany do niższej kategorii Żydów o dwóch trzecich krwi żydowskiej.

Pański wydział dopilnuje, aby jego pracodawca został o tym poinformowany i aby wszelkie przywileje, jakie posiadał w związku z jego stanowiskiem społecznym Żyda z jedną trzecią krwi żydowskiej, zostały mu cofnięte.

A. Niels w/z burmistrza”.

Niels parafował kopię, jak to było w zwyczaju. Działając pod wpływem impulsu, burmistrz zadzwonił do biura akt policyjnych i poprosił o akta tego człowieka, Hansa Willy’ego Meyera.

— Już je panu posłaliśmy - powiedział policjant.

— Jest pan pewien?

— Całkowicie pewien, panie burmistrzu. Herr Niels przyszedł osobiście. Powiedział, że pan o nie prosił.

— Dziękuję panu.

— Czy wszystko w porządku?

— Tak - odpowiedział burmistrz. Znał tego człowieka, z którym rozmawiał, starszego policjanta nadzorującego rejestr od czasu, gdy został poważnie zraniony w bójce z dwoma pijakami na początku wojny. Był doświadczonym pracownikiem i nie mógł się pomylić. Burmistrz podniósł słuchawkę telefonu, ale odłożył ją z powrotem i zamiast telefonować udał się do biura Nielsa. Towarzystwo na korytarzu nadal czekało na ślub.

Nielsa nie było u siebie i choć najpierw Ryessman miał zamiar dać spokój, tknęła go myśl i przejrzał szafkę, chcąc znaleźć akta policyjne Meyera. Nie było ich tam. W ogóle żadnych szaro oprawionych akt policyjnych nie było w szafce. Właśnie wtedy przypomniał sobie, że Niels miał przy sobie szarą teczkę, kiedy wszedł do biura i zastał Ryessmana za biurkiem. Była wepchnięta w szafkę z aktami umów kupna tak niedbale, że jej okładka zgięła się w połowie.

Burmistrz przeczytał dokumenty w teczce. Meyer był dwudziestojednoletnim żydowskim pracownikiem rolnym. Nie wolno mu było służyć w Wehrmachcie. Jego akta były zupełnie zwyczajne, takie jakie mógł mieć każdy z dwu tuzinów Żydów Altgarten. Ryessman miał nadzieję, że znajdzie tam kartę danych oraz fotografię identyfikacyjną i odciski

palców, ale zawiódł się. Prawdopodobnie w rejestrze policyjnym trzymano je oddzielnie.

Meyer został zaszeregowany do niższej kategorii, ponieważ jego dziadek, rzeźnik z Lubeki, dotąd wciągnięty na listę jako Aryjczyk, został obecnie sklasyfikowany jako Żyd czystej krwi. To uczyniło ojca Meyera i jego matkę Żydami w dwu trzecich, a wszyscy wiedzieli, że potomek takich dwojga Żydów był żydowskim synem w dwu trzecich, a nie jednej trzeciej. Ryessmana zastanowiło, skąd ta informacja pochodzi. Zwykle, w tego rodzaju przypadkach, znajdowało się w aktach krótką, nieprzyjemną informację od sąsiada lub kolegi z pracy, czasem drukowaną lub napisaną dużymi literami dla ukrycia tożsamości piszącego. Często zawierała nieprzyzwoite uwagi, czasem kończyła się sloganami hitlerowskimi zamiast podpisu. Te akta nie zawierały takiej informacji. Dziadek zmarł, zanim NSDAP doszła do władzy, a te dokumenty zostały założone w biurze rejestracyjnym policji w Lubece. Pomyłka wydawała się nieprawdopodobna, ale może w roku 1933, pierwszym roku władzy Hitlera, ludzie byli przepracowani zakładając właśnie wtedy wszystkie te żydowskie akta. Przedtem policja miała do czynienia tylko z kryminalistami.

Był już najwyższy czas, aby pójść do przymiarki. Umieścił więc akta tam, gdzie je znalazł, zaginając okładkę jak poprzednio. Kiedy opuszczał pokój zobaczył znowu ślubne towarzystwo. Już nie byli napięci, a pan młody trzymał opiekuńczo dłoń swojej żony. Herr Hollander, urzędnik stanu cywilnego, potrząsał dużym pękiem kluczy, które użył do otwarcia szafy na podeście. Sięgnął po jeden z setek czarno oprawionych tomów, jakie stały rzędami na półkach. Ceremonia nie skończyła się jeszcze i Hollander spoglądał uważnie w oczy pana młodego. Milczeli i stali uroczyście, gdy Hollander wręczał pannie młodej urzędowe wydanie „Mein Kampf”, co obowiązywało na wszystkich ślubach w Reichu. Burmistrz skinął im głową, kiedy przechodził obok.

Słońce świeciło teraz z czystego błękitu nieba i Ryessman cieszył się na spacer wzdłuż Dorfstrasse, obok zrujnowanego wiatraka na narożniku tej ulicy. Gdy przecinał Vogelstrasse, poczuł przyjemny zapach świeżo pociętego drewna z warsztatów stolarskich, przy których jako małe dziecko zatrzymywał się w drodze do szkoły. Usiłował zapomnieć o sprawie Meyera, ale nie mógł. Nawet kiedy krawiec - sam stary Herr Voss - doglądał

przymiarki jego wspaniałego munduru partyjnego, myślał o niej. Co mogło kryć się za tą reklasyfikacją? Nie, żeby Ryessman miał wiele sympatii do Żydów; chodziło po prostu o sprawę proceduralną. Jeśli nastąpiła reklasyfikacja, wówczas akta powinny zawierać na to dowody. Jeśliby reklasyfikacja była w górę zamiast w dół, wówczas Ryessman podejrzewałby korupcję. To się zdarzało, nie ma co ukrywać. Chodziło o ogromne sumy pieniędzy. Niektórzy Żydzi woleli ofiarować cały swój majątek niż pójść do obozu koncentracyjnego. Nie pochwalał tego, że Żydzi stwarzali lojalnym policjantom i funkcjonariuszom partii taki rodzaj pokusy, ale czego można było oczekiwać po takich ludziach?

— Proszę podnieść rękę - powiedział Herr Voss. - Ciasno?

— Zupełnie dobrze.

— Proszę zgiąć się do przodu i wyprostować.

Burmistrz uczynił to, a Herr Voss poprawił coś przy tylnej części kołnierza, kreśląc energicznie kredą po miękkim, brunatnym materiale. To był elegancki mundur; pragnął aby był gotowy już dziś rano, kiedy robiono grupowe zdjęcie rodzinne. Jak wspaniale wyglądała jego matka, nawet przy jej osiemdziesięciu latach, i dzieci w swoich najlepszych ubrankach, nieruchome i milczące w obawie, by fotografia nie wykazała przypadkiem, że się poruszyły. Rodzice obiecali im straszną karę, gdyby fotografia na urodziny dziadka nie udała się.

- Proszę usiąść. Ubranie musi wyglądać równie dobrze na człowieku siedzącym, jak na stojącym.

Znowu przyłożył ostry koniec kredy. Czynił klientowi zaszczyt robiąc przymiarkę osobiście, on Voss, zaliczający się do najbogatszych ludzi w miasteczku. W roku 1930 w pokoju na piętrze w tym właśnie domu uszył swój pierwszy mundur. Robił go dla starego i cenionego klienta, który dopiero co wstąpił do SA. Jeden z jego kolegów oficerów tak się nim zachwycał, że od 1933 roku mundury Vossa zasłynęły na całą okolicę. Pewien bogaty oficer SS przybył aż z Berlina, choć poprzednio był klientem słynnego Stechbartha, krawca Góringa. To wprawiło Vossa w dumę. Jeżeli chodzi o mundury hitlerowcy nie mieli sobie równych. Istniało tak wiele organizacji, że wielu Niemców miało po dwa lub trzy mundury. Największy żal czuł Voss do hitlerowców za pozbawienie go doświadczonego personelu żydowskiego. Ci arogancy, młodzi hitlerowcy skarżyli się na szycie i krój



bryczesów. Wydawali się nie rozumieć, że istniały tajemnice szycia bryczesów, znane tylko niewielu krojczym, z których wszyscy byli Żydami.

- Proszę wstać.

Burmistrz jakby czytał w myślach Vossa.

- Czy jest jeszcze wielu Żydów w rzemiośle krawieckim? - zapytał.

Tak, panie burmistrzu odrzekł Voss. Nadal mam jeszcze jednego krojczego na parterze, a pewne materiały podszewkowe można otrzymać tylko z żydowskich koncernów w Holandii. Weźmy na przykład tę podszewkę w pana marynarce...

Nie chcę o tym wiedzieć wtrącił burmistrz pośpiesznie. - Pytałem na wypadek, gdyby pan znalazł osobę o nazwisku Meyer Hans Willy Meyer.

- Nie przypominam sobie tego nazwiska, panie burmistrzu, ale mój krojczy, Jakub, może znać. Mam go przywołać?

Tak - odparł burmistrz. Biedny Jakub. Wszedł do pokoju na wezwanie pana Vossa i zastał burmistrza w galowym mundurze NSDAP. Na moment zapomniał zupełnie, że to był ten sam mundur, który miał w robocie godzinę temu i zrobił się błąd ze strachu.

- Nie masz się czego obawiać, Jakubie - powiedział Voss. - Nie ma się czego obawiać, panie burmistrzu, prawda? - dodał.

Pewnie, że nie - potwierdził burmistrz. - Zastanawiałem się tylko czy znasz młodego człowieka o nazwisku Hans Willy Meyer. Mieszka przy Florastrasse.

Nie, panie burmistrzu,-, odpowiedział Jakub.

- Nie przysporzysz mu żadnych kłopotów - obiecał burmistrz słowo niemieckiego oficera.

- Na pewno, proszę pana?

Oczywiście Jakubie powiedział Voss. Wszyscy Żydzi byli podejrzliwi; dlaczego nie zachowywali się jak patrioci?

- Facet został zadenuncjonowany - oświadczył burmistrz poufale. - Powiedz, co o nim wiesz, to tylko może mu pomóc.

W Altgarten pozostało tak niewiele rodzin żydowskich, że głupotą było utrzymywać, że nie zna młodego Meyera.

To wspaniały, młody człowiek - - oświadczył Jakub. Jego rodzina pochodzi z Lubeki. Pracuje na farmie. Dojeżdża autobusem piąta trzydzieści rano.

- Kiedy go poznałeś?

Burmistrz poczęstował Jakuba papierosem. Żydzi nie otrzymywali racji tytoniowej - a także racji mięsnej a Jakub był namiętym palaczem.

Mieszkałem w pobliżu jego rodziców w Lubece wyjaśnił stary krojczy. Wziął papierosa, ale schował go troskliwie. Czy rodzice jego ojca

byli Żydami?

Nie, obydwójce rodzice jego ojca byli Aryjczykami. Tylko jego matka była Żydówką.

Jesteś tego pewien? Jestem zupełnie pewien, panie burmistrzu. Tyle się o tym mówiło. Jakub zaśmiał się krótko.

Jego ojciec był jednym z najlepiej prosperujących rzeźników w Lubece. Ryessman uśmiechnął się.

Więc ten Meyer jest tylko w jednej trzeciej Żydem.

- Może dla pana, panie burmistrzu - stwierdził stary krawiec. - Dla mnie on wcale nie jest Żydem.

Sprawa, która ciągle zastanawiała burmistrza to powód, który skłonił Meyera do podpisania formularza reklasyfikacyjnego. Wyglądało na to, jakby chciał być przeklasyfikowany w dół.

- Popatrz na plecy, Jakubie - wysokie, gdy pan burmistrz siedzi, a proste, gdy stoi.

Ryessman zirytował się, że mówili o nim, jakby był garbaty. Jak chirurdzy raczej, a nie krawcy i w taki właśnie sposób patrzyli na niego.

— Skończyliście?

— Tak, dziękuję, panie burmistrzu. Pojutrze będzie następna przymiarka. Musimy to dokładnie wykonać.

— Mój sekretarz zatelefonuje - powiedział Ryessman.

— Jak on się czuje? - zapytał Voss.

— Niels? - zdziwił się Ryessman. Uśmiechnął się. - Czuł się zupełnie dobrze, kiedy widziałem się z nim godzinę temu.

— Zdawało mi się, że widziałem jak wchodził do szpitala - wyjaśnił Voss. - Zastanawiałem się, czy jest chory, czy po prostu idzie z wizytą.

— Nie, wszystko w porządku - odrzekł burmistrz, ale jego głos nie brzmiał przekonująco. Młody Niels nie był dzisiaj sobą, no i zaistniała ta dziwna sprawa ukrytego dokumentu. Może źle się czuł, jeśli był w szpitalu. Z okna biura Vossa widział szarą ścianę szpitala św. Antoniego, a za nią płaski dach dobudówki. Kusilo go przez moment, żeby skorzystać z telefonu i zapytać w recepcji czy przyjęli Nielsa, zdecydował jednak, że gdyby Niels znalazł się w szpitalu, to zadzwoniono by do niego nawet tu, do krawca, aby go powiadomić.

Burmistrz mylił się w obu sprawach. W tej chwili bowiem, Andi

Niels, osobisty sekretarz burmistrza Altgarten, zajmował łóżko w pokoju nr 28 na najwyższym piętrze szpitalnej dobudówki.

Dobudówka ta była początkowo używana jedynie po to, aby obsłużyć zwiększoną liczbę ludności Altgarten, ale w nowej organizacji stref szpitalnych używano jej dla pomieszczenia ofiar nalotów z bombardowanych miast Zagłębia Ruhry. Stąd wysyłano je dalej, jak szybko to było możliwe, a łóżka przygotowywano dla następnego transportu ofiar. Genialnym pomysłem było zbudowanie tu ośrodka szkoleniowego dla pomocy pielęgniarskich zwanego „Samariter” między szpitalem a obozem dla kalek. Biedne dziewczęta pracowały padając ze zmęczenia. Zwłaszcza w te okropne dni, kiedy konwoje nowych, podobnych do autobusów, ambulansów tłoczyły się wzdłuż Joachimstrasse, a ofiary nalotów z Zagłębia Ruhry leżały z braku miejsc na korytarzach. Po zaledwie parotygodniowym przeszkoleniu „Samariter” pracowały w salach operacyjnych lub oddziałach intensywnej opieki. W dni, w które nie było nalotów RAF, pracowały prawie tak samo ciężko w ośrodku dla kalek, po drugiej stronie ulicy. O każdej porze dnia i nocy skrzydło mieszkalne pielęgniarek ośrodka szkoleniowego tonęło w ciszy, mąconej jedynie chrapaniem i sennymi zmorami wyczerpanych dziewcząt.

W Altgarten było wiele młodych dziewcząt: pielęgniarki Czerwonego Krzyża, siostry Frei, siostry Brown i „Samariter”. Herbaciarnie i fryzjerie wypełniał ich szczebiot, a mieszkańcom Altgarten nigdy nie brakowało tematu do opowiadania historyjek o ich bezwstydnym poczynaniach. Raz w miesiącu odbywały się potańcówki w ośrodku szkoleniowym. Oficerowie TENO, wojskowi SS z ośrodka szkolenia w Wald Hotel i niektórzy miejscowi rezydenci otrzymywali zgrabnie napisane zaproszenia i pokazywali je jak odznaczenia. Wszyscy trzech miejscowi fryzjerzy mogli być pewni biletu. Podobnie właściciel sklepu z galanterią i starszy mężczyzna o nazwisku Drews, który regularnie otrzymywał zwoje jedwabiu i płótna z jakiegoś tajemniczego źródła za granicą. Z oczywistych powodów zapraszano wyższy personel browaru Kessla, a biuro burmistrza otrzymywało bilet przez grzeczność. Andi Niels wykorzystywał go.

Właśnie dziś wieczorem miała się odbyć taka potańcówka w ośrodku szkolenia. Dziewczyny ozdobiły salę kolorowymi girlandami i tekturowymi wycinankami wyobrażającymi górę Fudzi. Na biletach napisano, że

obowiązywać będzie: „Ubiór fantastyczny o tematyce starojapońskiej”, ale tylko największe entuzjastki uszyły sobie kostiumy.

— Ten stary dureń zaprosił mnie na swoją urodzinową kolację - oznajmił Andi Niels. - Co u diabła mam zrobić?

— A nie mógłbyś wyrwać się wcześniej? - zapytała pielęgniarka. Była niską, pulchną, zmysłową dziewczyną, która chichotała w każdej sytuacji. Chichotała i teraz.

— Będą toasty na cześć jego ojca, pułku i oficerów, którzy padli w I wojnie światowej. Potem będzie się słuchać przemówień i śpiewać stare pieśni wojskowe. Nie masz pojęcia, jak to wygląda.

— Na potańcówce będzie coś do jedzenia. Dziewczęta oszczędzały swoje przydziały przez trzy tygodnie.

— Nieważne - powiedział ze smutkiem Niels. - Pojedziemy na ten weekend do Dusseldorfu i zatrzymamy się w dobrym hotelu.

— I wynajmiemy jeden pokój? - zapytała pielęgniarka chichocząc. - Zapytają o nasze dokumenty.

— Załatwię to.

— Dostałeś spadek?

— Prawdę powiedziawszy, dostałem - odpowiedział Niels. Przewrócił się na łóżku i wyciągnął po nią rękę. - Nie zdjęłaś pończoch - powiedział z wyrzutem.

— Na wszelki wypadek.

— Drzwi są zamknięte i nikt za dnia nie przyjdzie na górę.

— No dobrze, więc je zdejmę - zgodziła się dziewczyna - ale o siedemnastej muszę być z powrotem na służbie.

Znowu wyszła z łóżka.

- O siedemnastej i ja muszę być w biurze - powiedział Niels. - Mam mnóstwo pracy.

Obserwował jak zdejmowała pończochy i pasek z podwiązkami. Wiedziała, że ją podgląda i rozmyślnie poruszała się w prowokacyjny sposób przekonana, że tylko zaostrzy jego apetyt.

Niels westchnął ciężko. Mój Boże, pomyślał, stracę to wszystko w przyszłym tygodniu.

Gdy August odjechał, Anna-Luiza zajęła się domem i ogrodem. Wyszorowała podłogę w kuchni, wykrochmaliła pranie i oczyściła kurnik. O

szesnastej odebrała Hansla z Volksschule i przeszła z nim spacerem obok budynku straży pożarnej. Oba samochody pożarnicze magirus stały na zewnątrz i Hansl obserwował bacznie, jak pucowano sprzęt. Strażacy przyzwyczaili się do chłopców z Volksschule, a Johannes Ufa, Gruppenführer wozu nr 1, poznał Hansla i uniósł go w górę, aby mógł sobie popatrzeć z siedzenia kierowcy. Od miesięcy widywał Annę-Luizę przychodzącą po chłopca do szkoły. Jeden z przyjaciół żartował z jego ukrywanej sympatii do dziewczyny. Żartowałby z niego jeszcze bardziej, gdyby wiedział, że z nią rozmawia.

— Nazywam się Johannes Ufa - powiedział strażak częstując Annę-Luizę papierosem.

— Ja też mam na imię Johannes - stwierdził Hansl.

— Nazywamy go Hansl - wyjaśniła nie przyjmując poczęstunku.

— My? - zapytał strażak. - To pani syn? Myślałem, że pani jest pielęgniarką.

Annę-Luizę ubawiło jego zaniepokojenie.

— Nie wolno panu wyciągać zbyt pochopnych wniosków.

— Czy pani w ogóle pali? - zapytał nadal trzymając otwartą paczkę w dłoni.

— Nie na ulicy. Niech pan sam zapali.

- To zakazane.

Przeczesał wąsiki wierzchem dłoni.

— Podnieś mnie jeszcze - zawołał Hansl, a Johannes Ufa spełnił jego prośbę. Chłopczyk dotknął palcami świecącej kierownicy, a potem spojrział z zachwytem na swojego idola.

— Nie powinniśmy przeszkadzać panu w pracy - powiedziała Anna-Luiza.

- Nie przeszkadzacie.

Spoglądał na nią długo, usiłując coś powiedzieć. Coś, co zmusiłoby ją do zatrzymania się jeszcze przez chwilę i do jeszcze jednego uśmiechu.

— Musimy już iść - powiedziała i uśmiechnęła się do strażaka.

— Hansl, zrób coś, aby Mutti znowu cię przyprowadziła - zawołał strażak.

— Tak - odpowiedział Hansl i uściśnął palce Anny-Luizy w swojej ciepłej dłoni, jakby miał udział w spisku.

— Powiedz do widzenia i podziękuj panu - odpowiedziała dziecku.

Obydwoje pokiwali rękami, gdy doszli do narożnika. Przy Mauerstrasse skręcili w prawo. Była to główna droga łącząca Kleve z Krefeld. Biegła wzdłuż starych murów, które stanowiły granicę Altgarten. Z drugiej strony Mauerstrasse płynął ospale szeroki strumyk. Hansl lubił rzucać kawałki papieru na zieloną wodę i biec od mostka do mostka, aby zobaczyć, jak przepływają pod nimi.

Znaczna część murów ostała się i wykorzystano je budując tu herbaciarnię Frau' Birr. Z drugiego piętra roztaczał się widok aż po wzniesienie, na którym w pobliżu wodociągów stały szklarnie burmistrza. W drugą stronę był widok na Wald Hotel" zajęty teraz przez \$\$\$ otoczony wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego i ustawicznie patrolowany przez wartowników z psami.

Szykowne matrony z Altgarten zbierały się w herbaciarni Frau Birr każdego popołudnia w towarzystwie swoich córek w czystych, ciemnych sukniach i dobrze utrzymanych bucikach. Dlatego właśnie oficerowie TENÓ, lekarze wojskowi i pracownicy administracji z ośrodka dla kalek lubili pić tam herbatę. Czasem przyjeżdżali aż ze swojej kwatery pułkowej po4 Kempen oficerowie kawalerii i lekarze weterynarii w pełnym umundurowaniu, z ostrogami i szpicrutami, przygotowując niewieście serca o drzenie.

Hansl i Anna-Luiza podzielili się kawałkiem jabłecznika. Kawa nie była zła, a Frau Birr potrafiła zwykle znaleźć dla chłopca szklaneczkę mleka. Ludzie w dużych miastach nie żyli tak dobrze jak tutaj, pomyślała Anna-Luiza. Życie wydawało się jej niewiarygodnie przyjemne. Wkrótce zostanie panią Bach, a panie w herbaciarni, w ozdobionych kwiatami kapeluszach, będą musiały pozdrawiać ją w inny sposób niż łaskawymi uśmiechami, przeznaczonymi dla dziewczyny z RAD.

Frau Hinkelburg, żona architekta, była przynajmniej uprzejma. Tego dnia usiadła z Anną-Luizą i Hanslem i przekazała im wszystkie nowinki.

Zawsze opowiadano sobie o rosyjskich jeńcach wojennych trzymanyh w nieczynnej fabryce za browarem. Obywatele Altgarten byli nimi zafascynowani, ale obawiali się trochę tych dziwnych żołnierzy bolszewickich z drugiego końca świata dokąd wysyłano tak wielu młodych Niemców.

- Dwa ostre psy wartownicze przeznaczono do pilnowania Rosjan



nocą za ogrodzeniem. Nawet przewodnicy psów nosili grube, ochronne rękawice. Ale do rana psy ugotowano i zjedzono. Powiadają, że zostały tylko kości, z których Rosjanie rzeźbili krucyfiksy.

Frau Hinkelburg przerwała opowiadanie, aby ukroić kawałek ciasta. Anna-Luiza czuła, że powinna coś powiedzieć, ale ona chowała swoje własne cudowne nowiny dla siebie; musi się nimi nasycić i je powoli przetrawić. Frau Hinkelburg, jeszcze zanim przełknęła ciasto, uśmiechnęła się do Anny-Luizy i ciągnęła dalej.

- Frau Kersten zamierza zasadzić jabłonie na polu za cmentarzem i kupiła w tym celu ziemię dzierżawioną dotąd od Richtera. Musi na kartoflach robić niezłe pieniądze.

Frau Hinkelburg otworzyła nową, wspaniałą torebkę z lakierowanej skóry, tak aby Anna-Luiza mogła wyraźnie zobaczyć jej paryską metkę. Wyjęła z niej małą, koronkową chusteczkę i starła okruszynę z kącika ust.

— Słyszałam, że Frau Kersten chowa w swojej sypialni skórzany pojemnik pełen pieniędzy. Powiadają, że nie może ulokować ich w banku z obawy przed wydziałem podatkowym.

— Jej dom jest świeżo otynkowany.

— Przez francuskich jeńców wojennych - dodała Frau Hinkelburg. - Zauważyłaś tego wysokiego z małym wąsikiem?

— Tego co daje rozkazy?

— On daje nie tylko to, moja mała, jeśli plotki o nim i Frau Kersten są prawdziwe.

— Ależ Frau Kersten ma prawie pięćdziesiąt lat!

— Wiele wspaniałych melodii wygrywa się na starych skrzypcach.

Frau Hinkelburg zaśmiała się głośno i zacisnęła dłoń na ustach gestem, który uważała za wytworny. Brylanty na jej dłoni zalśniły w świetle.

— Powiadają, że przed Francuzem rzucała spojrzeniem o wiele dalej.

— Co pani ma na myśli? - zapytała Anna-Luiza.

— Twojego pracodawcę, moja droga. Anna-Luiza zaśmiała się dobrodusznie.

— Uważasz to za zabawne?

— Ale Herr Bach i ta tłusta, stara Frau Kersten...

— Tak, Frau Kersten byłaby szczęśliwą kobietą, gdyby wyszła za

Augusta Bacha - stwierdziła Frau Hinkelburg.

— Każda kobieta byłaby szczęśliwa.

Frau Hinkelburg spojrzała bystro. Jej uszy były nastrojone na przypadkowe uwagi i nigdy nie przepuściła aluzji.

— Ach, tak! - było wszystkim, co powiedziała, ale Anna-Luiza zorientowała się, że część jej sekretu przestała już być sekretem. Frau Hinkelburg położyła piegowatą, ozdobioną biżuterią dłoń na smukłym, białym ramieniu Anny-Luizy i uśmiechnęła się do niej.

— Nie było cię tutaj, gdy Wald Hotel był rzeczywiście hotelem. Co za cudowne miejsce! Szefem kuchni był Francuz z Monte Carlo. Przyjeżdżali tu ludzie ze wszystkich zakątków Europy - a także z Ameryki - aby zjeść kolację i zamieszkać w apartamentach z widokiem na ogrody i las. W lecie oświetlano fontanny i przygrywała orkiestra. Tańczono do drugiej lub nawet trzeciej nad ranem, a dźwięki muzyki słyszano w spokojne, letnie noce w całym mieście. Kiedy byłam młodą dziewczyną, otwierałam okna sypialni i słuchałam muzyki i głosów wspaniałych ludzi, którzy pozostawiali samochody i oczekujących na nich kierowców... Te czasy już nie wrócą.

— Może gdy wojna się skończy?

— Nie, świat zmienił się od tamtego czasu. Popatrz tylko, do czego hotel jest dziś wykorzystywany. Dziś nie ma miejsca na romanse.

— Nikt nie wie, do czego jest wykorzystywany.

— Ja wiem - odrzekła Frau Hinkelburg. - Mój mąż jest architektem i słyszał to od kogoś w biurze burmistrza.

Nachyliła się bliżej dla podkreślenia poufnego charakteru swej teorii.

— To jest ludzki ośrodek rozrodczy. Posyła się tam młode, starannie wybrane aryjskie dziewczęta - zawahała się - aby miały dzieci z wybranymi oficerami SS,

— Ależ to okropne - powiedziała Anna-Luiza beznamiętnie, ponieważ nie wierzyła w to.

— Okropne - zgodziła się Frau Hinkelburg - a jednocześnie fascynujące. Może nie?

— Tyle się opowiada o ludziach z Wald Hotel.

— Ponieważ tak rzadko stamtąd wychodzą!

— Być może - przyznała Anna-Luiza.

— Cóż, to zrozumiałe - powiedziała Frau Hinkelburg - mają tam wszystko, czego im potrzeba, prawda?

Zaśmiała się rubasznie, a Anna-Luiza uśmiechnęła się.

— Wychodzisz gdzieś dziś wieczorem, Anno-Luizo?

— Mam jeszcze dużo do prasowania.

— Myślałam, że może idziesz na przyjęcie urodzinowe burmistrza u Frenzla. Mają podać rosyjski kawior i pieczoną kaczkę. Ja idę.

— Herr Bach prawie nie zna burmistrza.

— Ale jego kuzyn, Gerd, go zna. Obserwowała uważnie dziewczynę.

— A ty jesteś przyjaciółką Andi Nielsa, sekretarza burmistrza.

— On nie jest moim przyjacielem - odrzekła Anna-Luiza. - Jest okropny.

- Ma złą reputację - zgodziła się Frau Hinkelburg - ale posiada duże wpływy w mieście. Dziewczyny z dodatkowymi kartkami na odzież... Nigdy byś nie uwierzyła.

Znowu się zaśmiała.

— Słyszałam o nim plotki - powiedziała Anna-Luiza.

— W tym mieście krążą plotki o wszystkich. Małe miasteczka zawsze pełne są plotek. Są plotki nawet o tobie... uśmiełabyś się, gdybyś je usłyszała.

— O mnie?

— Nie przejmuj się, moje dziecko. Piękna dziewczyna musi być przedmiotem plotek...

— W związku z kim? - przerwała jej Anna-Luiza zagniewana.

Kobieta uśmiechnęła się i Anna-Luiza zrozumiała, że popełnia błąd denerwując się.

— Z kim? - powtórzyła pytanie Anna-Luiza. - Chcę wiedzieć, jakie kłamstwa są rozpowszechniane?

— Nigdy nie słucham obmów - powiedziała starsza pani wyniośle. - To Wszystko jest idiotyczną bzdurą. Mówiłam ci to już.

— Z kim?

— Z każdym, moje dziecko. Musiałabyś być najbardziej aktywną kurtyzaną od czasów pani Pompadour.

Poklepała znowu jej ramię, a ozdobione klejnotami pierścienie zabłysnęły w słońcu.

Fischer był młodym, dwudziestoczteroletnim człowiekiem, ale jego nabiegłe krwią, podpuchnięte oczy postarzały go. Teraz, gdy już wziął gorącą kąpiel i zmył rosyjski kurz z włosów, otrząsnął się nieco ze zmęczenia. Znalazł w bagażu ostatni czysty komplet bielizny i znośnie czystą koszulę. Ordynans przyniósł mu właśnie jasnoblyszczące buty, których skóra była miejscami pocięta głębokimi rysami. Długi, skórzany płaszcz wiszący na drzwiach miał wytarte do białości klapy kołnierza, a szwy na rękawach nosiły ślady rozpruwania i ponownego, wielokrotnego zszywania tak, że cały się powykrzywiał. Założył przez głowę Krzyż Rycerski i schował damską podwiązkę, do której był przymocowany, pod kołnierz, aby nie była widoczna.

Na froncie nikt już nie nosił rzucającej się w oczy opaski Leibstandarte, ale teraz Fischer wsunął ją na rękaw. Słowa „Adolf Hitler” błyszcząły jasno w porównaniu z wypłowiałym materiałem jego bluzy. Poglaskał opaskę na ramieniu. Dywizja SS nr 1, a miał dołączyć do 12. Obawiał się, że może tam spotkać zmęczoną, zniechęconą kadrę i niewyszkolonych żołnierzy. Myśl o tym działała na niego deprymująco.

Przejrzał się w lustrze: wysoki, szczupły mężczyzna o żółtawej cerze, która nie zmieniała się bez względu na to, jak długo przebywał na słońcu. Oczy miał ładne: czarne i rozumne. Krzaczaste brwi stykały się nad dużym, orlim nosem, tworząc prostą linię. W szkole wybierano go do grania roli

Juliusza Cezara, gdyż jego nauczyciel orzekł, że wygląda dokładnie jak cesarz rzymski. Adolfowi Fischerowi podobało się to porównanie i nawet teraz, kiedy wypił czasem za dużo, zadziwiał innych oficerów, którzy znali go jedynie jako gorliwego, oddanego i okrutnego żołnierza, długimi cytataми ze sztuki Szekspira.

Pokoje balkonowe na pierwszym piętrze, z widokiem na jezioro, były kiedyś najlepszymi pokojami w hotelu. Tu urządzono apartament ślubny. Teraz korzystali z nich oficerowie będący przejazdem, ale nie zostały przemeblowane. Pozostał nawet porcelanowy dzban i miednica na marmurowej umywalni oraz emaliowany dzbanek na gorącą wodę, dostarczaną każdego ranka do pokoi pozbawionych łazienek. Na ścianach pozostawiono obrazy: „Polowanie na jelenia”, „Świt w górach” i „Napoleon pod Waterloo”.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Wejść! - wrzasnął Fischer. Zdziwił się, gdy zobaczył, że jego gościem jest starszy mężczyzna, znacznie wyższy od niego stopniem. Zakłopotany sposobem, w jaki krzyknął, Fischer stanął energicznie na baczność i czekał, aż gość każe mu spocząć.

- Standartenfuhrer Wóρθ - przedstawił się starszy pan. Mówił cicho i zachowywał się niezdecydowanie. Fischer musiał obserwować jego wargi, aby zrozumieć słowa. - Jestem tu dowódcą. Proszę sobie nie przeszkadzać. Chciałem tylko powitać pana, ponieważ nie będę dziś wieczorem w kasynie na kolacji. Burmistrz Altgarten jest starym oficerem Allgemeine SS i wydaje przyjęcie urodzinowe.

To przerażające, pomyślał Fischer. Niemiecki Krzyż na kieszeni starszego pana wskazywał, że walczył na tej wojnie a jednak teraz, pomarszczony i pokrzywiony jak stara rzepa, był tak blady, że Fischer czuł się przy nim opalony.

— Mam znajomych w pobliżu, proszę pana. Chcę odwiedzić ich dziś wieczorem.

— Wspaniale - powiedział starszy pan. - Jedzie pan do tej nowej dywizji Hitlerjugend?

— Dowódca dywizji był ze mną w Leibstandarte. To on prosił o mnie.

— Niemcy z Rzeszy?

— Oczywiście. Wszyscy urodzeni w 1926 roku, ochotnicy z Hitlerjugend.

— To będzie elitarna dywizja.

— Tak, mój oswojony Ukrainiec będzie nie na miejscu.

— Słyszałem o nim.

Fischer czuł, że powinien odpowiedzieć na niewypowiedziane pytanie.

— Jest pierwszorzędnym strzelcem i mechanikiem. Wyzaczyłem go na osobistego służącego tylko po to, by móc go sobie zatrzymać.

— Pan jest czołgistą?

— „Tygrysy”. Wstąpiłem ochotniczo do pierwszej kompanii czołgów, jaką utworzyło LAH.

— Ja jestem kawalerzystą.

Drgnął, jakby od jakiegoś sekretnego bólu.

- Straciłem rękę pod Rzewem; nie mogę jedną ręką trzymać lejcy i walczyć.

Fischer zauważył sztywną rękawiczkę. Kawaleria. To tłumaczyło wszystko. Ci staroświeccy ludzie z innego świata.

— Służył pan w brygadzie kawalerii Fegelein?

— Tak.

— To teraz w znacznej części Volksdeutsche.

— Za moich czasów byli tylko Niemcy z Rzeszy. To była wtedy elitarna jednostka.

— Wiem o tym, proszę pana.

Wóρθ spojrział na opaskę Fischera, a potem znowu na twarz młodego człowieka. W młodości był taki sam. Wóρθ służył w Leibstandarte w 1937 roku. Jakimi wspaniałymi chłopcami byliśmy! Nasz średni wiek wynosił osiemnaście lat i jeden miesiąc. „Liebchen aller Herzen” nazywano w owych dniach LAH. Byliśmy też pogromcami niewieścich serc. Przystojni chłopcy. Jeden z ochotników przepadł na badaniu lekarskim z powodu plombowanego zęba! Z trudem mógł w to uwierzyć teraz, kiedy spoglądał na te resztki, jakie mu przysłano. Niektórzy z nich to Holendrzy albo Flamandowie. Pełni zapału, to prawda, ale nie rozumiał ani słowa z tego, co mówili. Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies wartownika, potem drugi. Słychać było krzyki i skowyt bólu zanim psy się uspokoiły.

— Te przeklęte psy doprowadzą mnie do szału - zamruczał Wóρθ.

— Wierzę panu, proszę pana - przytaknął Fischer. - Dlaczego nie pozbędziecie się ich?

— Właśnie, dlaczego? - zapytał Wóρθ i uśmiechnął się, jakby Fischer powiedział dobry dowcip.

Leibstandarte, ten starszy pan, czy to możliwe?

— Rzew?

— Styczeń 1942 roku, byliśmy w okrążeniu.

Upłynęły miesiące od czasu, gdy ostatni raz mówił o tym.

- Moja kompania kawalerii usiłowała znaleźć Iwana. A znalazła nas nasza artyleria.

Konie i jeźdźcy poruszali się w śniegu jak duchy, cisi i niewidzialni w świeżo wydanych im białych bluzach. Wóρθ dosiadł Rosenknospe, zwinnego konia o łagodnym usposobieniu i najszybszego w kompanii.

Byli na wzgórzach Valdai, tam gdzie przepływa Wołga, na północ od Rzewa. Podchodzili ostrożnie na wzniesienie. Hentschel jako pierwszy na karej klaczy, na której jeździł cały czas począwszy od szkoły zawodowej w Warszawie. U podstawy wzniesienia stał T34 z krzywą wieżyczką i

czarnym pierścieniem dokoła niej. Hentschel nakazał ręką ruszyć do przodu, a następnie podjechał blisko do pokrytego sadzą, wypalonego czołgu, którego załoga zginęła. Śnieg prószył delikatnie, a konie poruszały się niespokojnie, podrzucając głowami i potykając się, kiedy natrafiały na gruzy, ciała i Bóg wie co jeszcze pod śniegiem.

- To była nasza artyleria.

Musiała wziąć na cel ten stary T34. Zbliżając się do niego rzeczywiście prosiliśmy się o to.

- T34 bardzo różni się od „Tygrysa”, ale rosyjska kawaleria wygląda zupełnie tak jak my, prawda?

Wtedy zaczęło się piekło: ogłuszający łomot, krzyki ludzi i rzenie koni. Zamiast czarno-białego, niemego filmu powstał dźwiękowy film kolorowy. Kara klacz pędziła po śniegu, wlokąc za sobą młodego Hentschla za nogi. Koń i jeździec mocno krwawili. Hentschel, Hentschel!

- Żaden koń nie przeżył, tylko czterej jeźdźcy.

Rosenknospe, jego ulubieniec, zrzucił go, a następnie kopał dziko. Wyglądał okropnie z rozszerzonymi strachem oczami i otwartym pyskiem. Wtedy zobaczył, że brzuch miał poszarpany, a kopiającą nogę zaplątał we własnych wnętrznościach. Do diabła z tobą, Rós'chen. Wstawaj!



— Pełzałem z powrotem trzy mile na czworakach. Ból.

— Zajęło mi to dwadzieścia osiem godzin.

Dlaczego u czorta musiał przypomnieć sobie dzisiaj to wszystko?

Wepchnął to znów głęboko w zakamarki pamięci.

- Ale wyszedł pan cało?

— Tylko ja przeżyłem. Pozostali trzej zmarli od ran w szpitalu. Spędziłem tam trzy miesiące, zwolniłem się sam. Ale potem działałem już tylko w akcjach przeciwko partyzantom.

— To ważna służba.

Czy ten facet musi opowiadać swoje przygody? Ta drobna utarczka nie zasługiwała na wzmiankę.

- Twarda robota; czasem cała wioska. Starzy mężczyźni, stare kobiety, a potem ten problem z własnymi żołnierzami i dziewczętami. Bierzesz stu wieśniaków...

Jego głos zamarł nim opisał ich los.

— Twarda robota. Cieszyłem się, gdy stamtąd wyjeżdżałem.

— Ale potrzebna robota, proszę pana. Nie możemy sobie pozwolić na litość, w stosunku do któregoś z nich - oświadczył Fischer.

Wórch spojrzął na niego i przytaknął, potwierdzając nie opinię Fischera, ale swoją własną o Fischerze. Skrzywił się bezwiednie w grymasie.

— Gangrena. Ból powraca ostatnio częściej. Moje stopy, a także biodro. Bez naświetlania lampą kwarcową nie mogę chodzić.

— Cholerny pech, proszę pana.

— Nie powinienem nudzić pana moimi opowiadaniem.

- Ależ wcale nie, Herr Standartenführer.

Starszy pan poczuł się nagle zmęczony.

— Witting! - zawołał głosem równie słabym jak w czasie rozmowy i spoza drzwi ukazał się podoficer.

— Opuszczam teraz pana, Fischer. Już się z panem nie zobaczę. Powodzenia.

— Dziękuję panu.

Fischer stanął na baczność i odwrócił wzrok, gdy przygarbionemu starszemu panu pomagano wyjść z pokoju. Poruszając się jeszcze wolniej, posuwał cal za calem swoje kalekie stopy. Witting zamknął delikatnie drzwi.

„To skromny, pozbawiony zasług człowiek, odpowiedni do wysyłania na posyłki...”, zacytował sobie cicho Fischer. Na stole stały resztki posiłku. Zjadł dwa frankfurtery i gotowane ziemniaki, ale pozostawił rozwodnioną kapustę i zupę w proszku. Frankfurtery armii niemieckiej jakimś cudem smakowały tak samo jak w Gdańsku i Paryżu. Zastanawiał się, jak jego kierowca daje sobie radę z naprawą samochodu. Będzie gotowy do dziesiątej wieczorem, był tego pewny. Zamówił go na dziesiątą i jego kierowca naprawi wóz na czas, nawet gdyby nie miał się myć, jeść czy spać i nadal nosić tę samą, śmierdzącą bieliznę. Przecież nie można robić wszystkiego na raz.

Wyjął z kieszeni mały notes, w którym miał zapisane nazwisko krawca Vossa i jego prywatny adres. Były tam jeszcze cztery inne nazwiska i adresy w Munster i Dortmundzie, ale zostały odfajkowane. Fischer wyszedł na balkon, aby zapalić papierosa i popatrzeć na spokojne jezioro i kaczki.

Andi Niels, sekretarz burmistrza, wrócił do swojego biura o siedemnastej piętnaście. Oczekiwała go notatka: burmistrz chciał się z nim pilnie zobaczyć. Westchnął gniewnie, bo już portier i maszynistka z sąsiedniego pokoju przekazali mu to samo polecenie. Poszedł sprawdzić, czy akta Meyera są nadal tam, gdzie je w pośpiechu wepchnął. Dopiero gdy się upewnił, że tam rzeczywiście są, udał się do pokoju obok.

- Niels - oświadczył burmistrz - podpisał pan dokumenty i pożyczył rejestr policyjny w moim imieniu bez odpowiedniego upoważnienia.

Herr Hollander, z biura rejestracji ślubów, stał w rogu, a na jego szczerzej twarzy malowało się zadowolenie. Zawsze był zazdrosny o Nielsa, który mógł wszystko załatwić powołując się na nazwisko burmistrza. Teraz cieszył się, będąc świadkiem jego nieszczęścia.

Niels nie zareagował, więc burmistrz przemówił ponownie.

- Chodzi o akta dotyczące Meyera, Hansa Willy'ego.

Meyer, Hans Willy, pomyślał Niels; ten stary bufon przemawia jakby czytał oficjalny dokument.

— Wy tłumacz to przeklasyfikowanie w dół - rzekł burmistrz.

— Wszystko w porządku, panie burmistrzu - odpowiedział Niels uśmiechając się w nadziei, że Ryessman poniecha dochodzenia.

— Nie o to cię pytałem, Niels.

— On tego chciał.

— Co masz na myśli?

— On chciał być przeklasyfikowany.

— Nie podnoś na mnie głosu, chłopcze. Wiesz dobrze, że jego wola nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Poczyniłeś wpisy na tych dokumentach. Dlaczego?

— Aby mógł się ożenić.

Ryessman przypomniał sobie czarnookiego chłopca i dziewczynę.

— Czy to on ożenił się dziś po południu?

— Tak - odpowiedział Niels. - Przestraszył się pana śmiertelnie.

— Mnie?

— Pomyślał, że chce pan wstrzymać ceremonię. Teraz, jak pan wie, nie można jej już unieważnić.

— Nadal nie rozumiem - powiedział burmistrz.

— Ja rozumiem, panie burmistrzu - odezwał się Herr Hollander. - Małżeństwo między dwoma osobami z jedną trzecią żydowskiej krwi jest zakazane, ale małżeństwo między osobą zjedną trzecią żydowskiej krwi i osobą z dwoma trzecimi krwi żydowskiej jest w pewnych okolicznościach dozwolone. Ten człowiek, Meyer, chciał być przeklasyfikowany w dół, aby móc poślubić dziewczynę.

— Ależ ona musi być szalona - powiedział burmistrz, próbując to wszystko pojąć. - Dziewczyna z jedną trzecią żydowskiej krwi mogłaby wyjść za Aryjczyka.

— Oni tacy są - stwierdził Herr Hóllander. - Sprowadzam ich do urzędu stanu cywilnego dla udzielenia porady i trudno uwierzyć, ale niektórzy z nich wolą poślubić kogoś ze swoich niż jednego z nas.

Burmistrz potrząsnął głową w zadziwieniu. Spojrzał na Nielsa.

— Ile ci zapłacili?

— Nic. Zrobiłem to, aby pomóc. Oni się tak kochają.

— Czy mam tę sprawę przekazać do Gestapo?

— Trzy tysiące marek.

— Kiedy myślę o tym, co dla ciebie zrobiłem, Niels... Dzięki moim wpływom zapewniłem ci zwolnienie z pułku, gdy twoja matka powiedziała mi o wrzodzie na żołądku.

— No cóż, pański wpływ nie trwał długo, panie burmistrzu. Nie dostałem zwolnienia. Zostałem chwilowo przeniesiony do rezerwy. Dziś

rano nadeszło wezwanie i w przyszłym tygodniu muszę dołączyć do 15 Panzergrenadier Division na Sycylii. Oni spodziewają się inwazji. Już nigdy nie wrócę.

Ten drań Hóllander uśmiechał się triumfalnie.

— Zrobiłbyś dobrze nie wracając, Niels. Zostań bohaterem dla swojej matki. Winienes jej przynajmniej to.

— Moje bohaterstwo jej nie nakarmi.

— Wolałbym raczej umrzeć z głodu niż mieć takiego syna jak ty. Jesteś wrogiem państwa, złodziejem i łgarzem.

Niels stał czekając aż minie pierwszy gniew burmistrza.

— Wynos się - powiedział ten po dłuższej chwili. Niels ucieszył się, że poszło mu tak łatwo.

— I... - odezwał się jeszcze burmistrz. Niels odwrócił się do niego. - Zapłacisz trzy tysiące marek na Fundusz Pomocy Zimowej i pokażesz mi pokwitowanie. Nie cofam mojego zaproszenia na wieczorną kolację, ale nie zmartwię się, jeśli nie przyjdiesz.

— Tak jest, panie burmistrzu - powiedział Niels, usiłując wyglądać na zasmuconego. To cudownie. Miał przecież daleko ciekawsze rzeczy do zrobienia dziś wieczorem: potańcówkę a może i złożenie wizyty na czwartym piętrze dobudówki, jeśli brytyjscy lotnicy będą się trzymać z dala. Mieszkała tam wysoka pielęgniarka z Wiednia, która wpadła mu w oko. Ona będzie smaczniejsza niż pieczona kaczka u burmistrza.

Niels był odpowiedzialny ze rozesłanie osiemnastu zaproszeń burmistrza na kolację u Frenzla. Wykonał tę pracę dokładnie, przypominając sobie wszystkich nieznanym mu kuzynów i kolegów burmistrza. Tylko jedno z tych zaproszeń zabłądziło - do Frau H. Pippert, wdowy po przedsiębiorcy budowlanym. Zostało ono mylnie zaadresowane na inną ulicę, a listonosz wywnioskował błędnie, że było przeznaczone dla Fraulein G. Pippert, nauczycielki w Volksschule.

Gerda Pippert wiedziała od momentu otwarcia koperty, że zaproszenie nie było przeznaczone dla niej. Z drugiej strony wiedziała także, w przeciwieństwie do burmistrza, że Hanna Pippert - w rzeczywistości Johanna, choć nikt jej tak nie nazywał - zmarła ponad sześć miesięcy temu. Czyż nie otrzymała ponad tuzina błędnie zaadresowanych listów kondolencyjnych. I czyż nie przekazała ich szwagrowi zmarłej, na jakiś

adres w Krakowie? Gerda Pippert zasłużyła na zaproszenie. W tych okolicznościach nikt nie będzie podważał jej honorowego członkostwa w rodzinie burmistrza na jednym uroczystym obiedzie. Minęły już trzy lata od czasu, gdy jadła posiłek w wykwintnej restauracji, a jeśli chodzi o niebezpieczeństwo demaskacji, to jeśli nawet nie wiedzieli, że stara Anna umarła, to jaka była szansa, że pamiętają jej twarz? W każdym razie starsze panie wyglądają podobnie. Mogła nałożyć na swoją czarną suknię jakąś nową koronkę. Jeden z jej byłych uczniów - obecnie oficer artylerii - przysłał jej antyczny obrus koronkowy z Brukseli. Nigdy nie zaryzykowała postawienia na nim czajnika, ale jako kołnierzyk do czarnego stroju koronka byłaby bardzo szykowna. Zdecydowała się pójść na kolację jako gość nieproszony lub, jak to sobie tłumaczyła, być obecna jako przyjaciółka rodziny.

Napisała krótkie potwierdzenie przyjęcia zaproszenia, starannie zniekształcając inicjał. Spojrzała na siebie w dużym lustrze szafy. Suknia wyglądała jak nowa. Jej siwe włosy były ściągnięte ciasno do tyłu i związane czarną wstążką. Użyje tylko troszeczkę pudru na twarz - ostatecznie było to wydarzenie specjalne - i zrezygnuje z okularów. Wtedy przypomniała sobie stare lornion. Było na spodzie przybornika do szycia, doskonale urządzenie z rączką z kości słoniowej i złotymi oprawkami szkieł. Nie widziała już dobrze przez te szkła, ale trzymane przy twarzy lornion wyglądało bardzo dystyngowanie. Co więcej, pomoże jej to zająć czymś ręce. W przyborniku do szycia była także stara cygarniczka z kości słoniowej. Włożyła ją do torebki. Dziś wieczorem, po kawie, przemówieniach i koniaku, spróbuje znowu papierosa. Gdyby tylko jej torebka była bardziej elegancka, a rączka nie tak zniszczona. Gdy jednak będzie ją trzymała nisko przy spódnicy, to nie będzie się rzucała w oczy. Paradowała tam i z powrotem po pokoju służącym za sypialnię i salonik, ćwicząc gesty osoby z dobrej rodziny. Suknia wyglądała wspaniale. Dziś wieczorem Gerda Pippert, pięćdziesięciosześcioletnia stara panna i nauczycielka, będzie jadła kolację z burmistrzem! Była to najbardziej podniecająca chwila od czasu wakacji w Heidelbergu w 1938 roku.

Gerd Boli był może miejskim błaznem, ale nie głupcem. Czasem żałował, że porzucił uniwersytet, ponieważ młodzież studencka miała poczucie humoru bardziej zbliżone do jego aniżeli ludzie w Altgarten.

Pomimo potępiających spojrzeń, Gerd nadal zachowywał się jak błazen, ponieważ wiedział, że daje mu to siłę do zniesienia głupoty innych ludzi.

Najlepszych przyjaciół w Altgarten miał Gerd pośród inżynierów z TENO, którzy stacjonowali w obozie przy drodze do Krefeld. Gerd brał wielokrotnie furgonetkę i jeździł z nimi po dużych nalotach RAF do Zagłębia Ruhry. Widział pracowników TENO wkopujących się godzinami w płonące szczątki domów, by znaleźć jedynie pokurczone zwłoki. Widział, jak unosili stalowe dźwigary gołymi rękami i zauważył, że niektórzy z najbardziej kłótliwych i cieszących się złą sławą prostaków, obchodzili się niezwykle łagodnie z rannymi. Żaden z nich nie był młody, ponieważ wszystkich młodych zabrano do tworzonych batalionów TENO, które budowały i burzyły mosty razem z frontowymi, walczącymi jednostkami. Każdy mężczyzna posiadał przygotowanie techniczne i odznaczał się niezbędną karnością, ponieważ tam, gdzie pracowali, kilka minut mogło oznaczać ocalenie wielu istnień z płomieni lub z zagrożonej zatopieniem piwnicy. Stanowili dziwny rodzaj ludzi, nowy dla Gerda Bolla. Pili, gdy inni potrzebowali mocnego snu, siadali na papierosa zamiast do posiłku i klęli tam, gdzie inni by płakali.

Poza tym Gerdowi podobało się ich wyposażenie: ciągniki, ciężarówki, dźwigi samojezdne, pompy, prądnice i wciągarki zdolne przewrócić duży dom.

Była siedemnasta czterdzieści, o tej porze Gerd meldował się u burmistrza w sali dowodzenia. Tego właśnie wieczoru nie było to właściwie konieczne, ponieważ spotka się z burmistrzem u Frenzla. Jako prezent urodzinowy kupił mały nawilżacz, wysadzany kością słoniową i macią perłową. Zrobił go dla niego jeden z rosyjskich jeńców wojennych. Zastanawiał się, czy burmistrz zganilby go, gdyby znał pochodzenie prezentu. Może rozpozna styl pracy, gdyż madonny, jakie Rosjanie sprzedawali chodząc od drzwi do drzwi, miały ten sam rysunek szaty co nawilżacz.

Ciemne ubranie? No cóż, Gerd nie miał ciemnego ubrania. Poza tym zielonym nie miał w ogóle żadnego. A to jedno już dawno przestało na niego pasować. Rozpiął guziki marynarki i odetchnął z głęboką ulgą. Pozostawi ją rozpiętą. Wcale nie widać, gdy siedzi. Usiadł przy swoim antycznym biurku i odsunął na bok rachunki i nie załatwioną korespondencję. Z okna miał

najbrzydszy widok na Altgarten. Ściśnięte, brudne rudery czynszowe tłoczyły się między boczną browaru a gazownią, podobnie jak tłoczyli się w nich ludzie.

Grupa dzieci, niektóre w mundurkach Hitlerjugend, kopała piłkę na wybrukowanej kocimi łbami ulicy. Gerd obserwował je z zainteresowaniem, ale w końcu zdecydował się. Przyciągnął do siebie kawałek papieru i zaczął ze smutkiem pisać list do swego kuzyna Augusta.

*„Rheinprovinz Altgarten*

*Bahnhofstrasse 33*

*31 czerwiec 1943.*

*Mój drogi, miły Auguście.*

*Może pogardzisz mną, gdy skończysz czytać ten list, jednakże, choć bardzo tego chciałem, nie znalazłem innego wyjścia. Dziś po południu, kiedy spotkałem cię z Anną-Luizą i oboje wyglądaliście na tak szczęśliwych, zrozumiałem wyraźnie, że moim obowiązkiem jest milczeć i cieszyć się. Teraz znów sądzę inaczej. Pomyśl o mnie i o tym, jak trudno pisać mi ten list. Choć możesz się poczuć bardzo nieszczęśliwy, znajdź choć moment by pomyśleć, że i mnie jest bardzo smutno.*

*Sprawdzianem przyjaźni jest uczynienie czegoś w najlepszym interesie towarzysza mimo narażenia przyjaźni z nim na zupełne zniszczenie. Dziewczyna jest piękna i oczywiście była lojalnym pracownikiem i dobrym opiekunem małego Hansla. Ale życie młodej dziewczyny, takiej jak Anna-Luiza, jest inne niż nasze i różni się także od wszelkiego znanego nam stylu życia. Wielkie są pokusy, na jakie jest narażona, tak jak każda piękna dziewczyna żyjąca samotnie w mieście pełnym młodych ludzi i byłoby nieuczciwe z mojej strony, a głupie z Twojej udawać, że ona nie uległa tym pokusom.*

*Jej prywatne życie jako Twojej gospodyni ma dla Ciebie jedynie ograniczone znaczenie, a dla mnie nie ma żadnego. Kiedy jednak myśli się o ślubie, to mój drogi, dobry kuzynie, nie mogę milczeć? Z początku zbędziesz mój list jako plotkę. Może będzie Cię kusilo zapytać o szczegóły. Nie rób tego Auguście. Może to tylko sprowadzić na Ciebie głęboki i trwały ból. Powtarzam Auguście, to może tylko sprawić Ci więcej bólu, niż już zaznałeś.*

*Twój kuzyn*

*GERD*".



Oberleutnant August Bach, który nic nie wiedział o liście kuzyna i o którym faktycznie nigdy się nie dowie, w wieczornym świetle spacerował po miękkiej plaży. Tysiące słońc podskakiwało na grzbietach fal, a morze szumiało monotonnie.

Niska temperatura morza spowodowała powstawanie rosy, która osiadała na spragnionych wody wydmowych roślinach. Na brzegu, gdzie spacerował August, wiatr to rozwiewał mgłę odsłaniając odległy horyzont, to znów kłębił masy gęstego jak wata powietrza.

Głęboko zakorzenione żółte maki i piaskowe rośliny walczyły o życie z przemieszczającym się piaskiem, który jednego dnia obnażał ich korzenie, a następnego grzebał główki. Wzdłuż linii brzegowej zbierały się resztki natury: jadalne jeżowce podobne do zgniecionych pędzli do golenia, wapienne skorupy mątwy, chwasty morskie - niektóre wysuszone i szerniałe - oraz omułki oswobodzone z niekończących się rzędów stalowych słupów, które wkraczały w morze w kierunku Anglii. Jeszcze inne resztki unosiły się na wodzie: kawałki skrzynek z tajemniczymi znakami drukowanych liter, kilka tuzinów zmiażdżonych pomarańcz i spalony kawałek żółtej kamizelki ratunkowej. Wszystko to pokrywał gęsty, świecący olej, nadający słonej bryzie cierpki odór rozkładu.

Bach strzepnął z butów piasek, wszedł po niskich, drewnianych schodkach i otworzył drzwi chatki, w której mieszkał. Z początku żołnierze uważali go za szalonego, gdy zarekwirował ten, osadzony wysoko na wydmach, wałący się domek. Kiedyś służył jako magazyn sprzętu ludziom, którzy sadzili trawę na wydmach i opiekowali się nadmorskim obwałowaniem. Bach kazał go ocieplić i ustawić na nowych, metalowych dźwigarach, żeby osuszyć wnętrze i pozbyć się szczurów. Wewnątrz znajdowały się teraz książki, piecyk, proste łóżko, stary fotel i stół, przy którym pracował. Kilku podwładnych, którzy mieli przywilej zobaczyć to pomieszczenie z bliska, uznało mądrość jego wyboru. Jako jedyny tu oficer, dowodził kompanią łączności Luftwaffe, liczącą stu czterestu ludzi. Czuł się całkiem zadowolony mieszkając i jedząc z nimi, ale żołnierze muszą mieć miejsce, gdzie bez skrępowania mogą się wyżalić. Jego mała chatka,

pół kilometra od innych budynków, dawała im tę szansę. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Stolik znajdował się w pobliżu okna, przez które widział plażę i morze, gdy powietrze było czyste. Willy, jego zastępca, napalił w piecyku, ponieważ nawet w ten wspaniały, letni wieczór powietrze było wilgotne. Napełnił kociołek z kranu nad umywalką. Rura kołatała jak karabin maszynowy, a woda była ciepła po przejściu przez położony spiesznie przewód wodociągowy, biegnący wśród nasłonecznionych wydm do głównego budynku.

Cenił sobie bardzo te kilka chwil samotności, w których mógł myśleć o najbliższych. Przypomniawszy sobie Annę-Luizę i poczuł przyjemny dreszcz. Wiedział, że kiedy Stabsfeldwebel już przyjdzie i rozpocznie się praca, nie będzie mógł dłużej oddawać się tym sentymentalnym rozmyśleniom. Wytarł szkła lornety polowej i przeszedł do tyłu chatki. Stąd mógł spoglądać ponad wydmami na budynki radarowe, a kiedy nie było mglisto to wzdłuż wybrzeża na odległe wierzchołki wysokich anten radarowych sąsiedniej stacji Himmelbett.

Nastawił ostrość, celując na kępę trawy i czekał, aż mgła się ruszy. Niespokojnie poruszone skrzydło i kawałek długiej szyi znalazły się na moment ponad brzegiem gniazda. Szare czaple były tam jeszcze. Zatrzymywały się zwykle w pobliżu świeżej wody, zwłaszcza w lecie. Ponieważ jednak wybrzeże było strefą zamkniętą, życie dzikiego ptactwa uaktywniło się. Czaple złożyły jaja w maju, a teraz nadszedł już czas odlotu. Zastanawiał się, czy wrócą następnej zimy. Czuł, że przynosiły mu szczęście.

Zadowolony, że z czaplami wszystko w porządku, zaczął przebierać się w bardziej wygodny strój. Ściągnął wysokie buty przy użyciu drewnianego uchwytu znajdującego się za drzwiami. Gdy kociołek zaczął delikatnie brzęczeć, zadzwonił do Willy'ego.

— Wypijesz filiżankę kakao, Willy? - zapytał.

— Dziękuję panu, Herr Oberleutnant - odrzekł człowiek po drugiej stronie. August pokruszył grube kawałki czekolady, rozpuścił je w gotującej wodzie i wymieszał, aż pojawiła się piana.

Obserwował właśnie, jak jego Stabsfeldwebel maszeruje przez wydmy, kiedy nadleciała czapla. Był to olbrzymi, zgrabny ptak, osobliwie powoli i jakby mechanicznie poruszający skrzydłami. Wyciągał za sobą

nogi, a z jego dziobu zwisał węgorz. Ptak w gnieździe zarechotał z zadowolenia i podniósł głowę, aby popatrzeć. Zawsze jeden lub drugi pozostawał w gnieździe. Czapla okrążyła główne budynki, a kiedy przeleciała nad stacją Freya, August pomyślał, że może te duże, radarowe anteny przyciągały ptaki. Biała mgła wplątała się w zawiłą konstrukcję metalową, jak motki miękkiej, surowej wełny w grzebień, a antena poruszała się łagodnie, badając uważnie przestrzeń daleko poza nieprzyjacielski brzeg. Czasem nawet wykrywała samoloty RAF, które nie opuściły jeszcze angielskiego nieba.

Willy Reinecke zapukał krótko i zczekał na pozwolenie wejścia. Dokładnie usunął szczotką mokry piasek ze swoich butów z wysokimi cholewami i stanął na baczność. Parujący kubek czekolady czekał na niego na biurku Augusta, ale mężczyźni dokonali najpierw rytuału powitania wojskowego, stanowiącego nieodzowne preludium do każdej służbowej rozmowy.

Willy Reinecke był wysokim, tęgim mężczyzną w nieokreślonym wieku. Urodzony w Hensen-Nassau, przyjechał na północ kraju jako młody człowiek, znęcony obietnicą pracy w przemyśle stalowym Zagłębia Ruhry. Nie znalazł jej i będąc w rozpaczliwej sytuacji wstąpił ostatecznie do wojska. Bujne jeszcze włosy siwiały mu na skroniach w dystyngowany sposób, jak jakiemuś bankierowi. Jako młodzik był nawet kobieciarzem, ale kiedyś granat eksplodował na parapecie okna, którym akurat Willy wyglądał. Odlamek rozszczepił mu nos, pokrył policzek gmatwaniną blizn i oderwał ucho. Właśnie z powodu tego ucha zapuścił długie włosy. Kiedy tu po raz pierwszy przybył, August sądził, że jest weteranem bitwy o Moskwę, ale Stabsfeldwebel zamruczał „Verdun” i dopiero wtedy August zdał sobie sprawę, że jego zastępca jest dużo starszy, niż chciałby przyznać.

Nie polubili się od razu. Reinecke był starszym podoficerem starej szkoły. August widział dwa razy, jak skopał żołnierza, który obijał się i pewnie nie zawahałby się sprać każdego, kto by zamierzał się z nim sprzeczać. Te incydenty spowodowały pierwsze nieporozumienia między nimi. Początkowo August próbował wytłumaczyć mu, że personel, jakim dowodził, to technicy Luftwaffe, a nie mięso armatnie, jednak bez skutku. Ostatecznie August zdecydował się walczyć jego bronią. Zmył zdumionemu Reineckemu porządnie głowę i nakazał mu robić obchód przez godzinę na

każdej zmianie. W tym czasie było sześć zmian - obsługa aparatury radarowej była męcząca dla kreślarzy pracujących w ciemności i dla ludzi wystawionych na morską bryzę - tak więc Reinecke defilował przez sześć godzin na dobę.

Lekcja udzielona starszemu, upartemu żołnierzowi nie poszła na marne i po miesiącu nowego reżimu przekonała go, że August naprawdę jest gotów kontynuować swój plan przez cały czas trwania wojny; poprosił więc o rozejm. Uczynił to, gdy August wyjechał na dwudniowy kurs z zakresu elektroniki. Kiedy Oberleutnant wrócił, zastał małą przewiewną chatkę kompletnie przerobioną. Została wyposażona w umeblowanie skradzione lub wypożyczone Bóg wie skąd, a duże, podwójnie oszklone okna miały ułatwić Augustowi obserwację ptaków. Od tej chwili obaj mężczyźni próbowali współpracować i w osobliwy sposób - jak to zdarza się ludziom o kontrastujących ze sobą zapatrywaniach i doświadczeniu - stali się sobie bliscy. Kiedy August Bach lepiej zrozumiał tego człowieka, zdał sobie sprawę, że jego tyrania szła w parze z troską o żołnierzy. Willy Reinecke nie wahał się kraść, kłamać, a nawet fałszować dokumenty, aby zapewnić ubranie i wyżywienie swoim ludziom.

Jeszcze bardziej zadziwiająca była umiejętność, jaką Willy wykazał w pokoju nanoszenia danych. Przez mniej więcej tydzień August zatrudniał jednego z młodszych techników do pomocy w zaznaczaniu kursu bombowców na wykresie, ale Reinecke zjawiał się zawsze, kiedy nieprzyjacielskie bombowce znajdowały się w ich sektorze. W końcu August przepracował z nim jedną noc i nie do wiary, była to owa noc, gdy tysiąc bombowców przelatywało nad nimi w wyprawie na Kolonię. Willy Reinecke nie miał lekkiej, kreślarskiej ręki. Niezgrabnie wchodził po stopniach drabiny do tablicy wykresów i kłął głośno, gdy August potrzebował ciszy. W rzadko którą noc Willy nie upuścił dwa lub trzy razy miary Kneemeyera i nie kopnął tablicy, kiedy w pośpiechu sprawdzał prędkość bombowca uchwyczonego przez radar. Wartość Willy'ego polegała na umiejętności odgadnięcia intencji „zwierzyny”. Niektórzy piloci mieli urządzenia wskazujące im, że są w niewidzialnej wiązce radarowej, więc manewrowali odpowiednio samolotem i skręcali desperacko. Willy trzymał swój marker nad punktem, gdzie spodziewał się bombowca, podczas gdy August naprowadzał tam pilota myśliwskiego. Nie do wiary, jak często

Willy przechytrzał Anglików.

Willy Reinecke miał żonę i dwoje dzieci. Nie palił, rzadko pił, a ostatnio zainteresował się, podobnie jak August, obserwacją ptaków. Był bardzo dumny ze swej pierwszej próby spreparowania ptaka, a jeszcze bardziej wtedy, gdy August postawił go na honorowym miejscu na biurku. Krótko mówiąc, Willy Reinecke miał skomplikowaną osobowość i to właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, mocno przywiązało Augusta do niego.

Willy zdjął pas i specjalny płaszcz wojsk artylerii przeciwlotniczej z wełnianą podpinką i paskami na obu mankietach, oznaczających w Wehrmachcie starszego podoficera. Powiesił go obok drzwi. August pozostał w fotelu, a Willy siadł wyprostowany na krześle przy biurku. Podziękował skinieniem głowy, gdy August podsunął mu czekoladę. Popijał ją łyżkami, trzymając przez chwilę pokryte bliznami dłonie wkoło filiżanki, zanim zdał sprawozdanie. Rozwinął arkusz papieru i przeczytał nazwiska.

- Dwaj ludzie zachorowali po pana wyjeździe w piątek: jeden z obsługi tablicy wykresowej, Gefreiter Path, który powiedział, że ma zapalenie migdałków, ale obejrzałem go sobie. Ma lekko podwyższoną temperaturę z powodu bólu gardła. Wyzaczyłem go do lekkiej pracy na świeżym powietrzu. To powinno pomóc, bo nie będzie wdychał bolącym gardłem zarazków przy stole Seeburg.:

Znów zajrzał do arkusza papieru.

- Drugi przypadek to Gefreiter Kick, kucharz, z sumiastymi wąsami jak kierownica, który skarżył się na bóle brzucha. Ślepa kiszka nie jest po tej stronie. A więc kolka. Wysłałem go do Rotterdamu ciężarówką wożącą żywność. Szpital zatrzymał go na obserwację. W tym czasie na ostatniej zmianie będzie pracował Unteroffizier Zewlinski, bo albo Kick powróci albo dostaniemy zastępcę. Na tej zmianie nie ma wiele pracy z wyjątkiem liczenia zapasów.

— Uważacie, że Zewlinski da radę liczyć zapasy bez pomocy?

— Będę miał na niego oko.

- Niezły z was lekarz, Willy. Zrobiliście na mnie duże wrażenie.

— Mam niezłe doświadczenie z kawalerii, a mężczyźni są jak konie. Zawsze odróżniałem ospę czy kolkę u konia, co wymagało jedynie izolacji i odpoczynku, od przypadków limfy i nosaczyny, kiedy to chore zwierzęta należało jak najprędzej odesłać z linii.

— Do rzeźni?

— Czasem, proszę pana.

— I odesłaliście Kicka?

Bach uśmiechnął się, ale Reinecke zachował powagę.

— Nie zobaczymy go już - oznajmił ponuro stary żołnierz. Ale Zewlinskiemu dałem do zrozumienia, że będzie wykonywał dodatkowe zajęcia tylko przez dzień lub dwa.

— Rozumiem, Willy.

Willy zajrzał znowu do swych zapisanych pismem maszynowym notatek.

- Dwaj ludzie wysłani na dywizyjny kurs łączności, trzej na kurs gazowy, sześciu ludzi pod dowództwem Rimma pilnuje nie zajętego stanowiska artyleryjskiego w pobliżu wioski. Nadal jest tam kucharz, którego wypożyczyła nam Kwaterna Główna.

Willy podniósł głowę.

— On gra na akordeonie - dodał znacząco.

— Nie jest za to dobrym kucharzem - powiedział Bach.

- Powinniśmy wypisać go i poprosić o innego. Bach skinął głową.

- Trzech w szpitalu w Rotterdamie, łącznie z Kickiem, dziesięciu na urlopie, czterech na dziennej przepustce, trzech odkomenderowanych do wydzielania racji. Stu czternastu ludzi na stanie.

„Bach skinął głową.

— Skradziono jeszcze dwa rowery - oznajmił Willy Reinecke.

— Tym razem chyba wpadli.

— Żołnierze, którzy je stracili, są w areszcie. Pomyślałem, że może jutro ukarze ich pan przy wypłacie. Mogę udać się do Rotterdamu jutro po południu, jak tylko zacznie się druga zmiana.

— Czy poinformowaliście miejscową policję? Ostatni rower odzyskali, prawda?

— Tak, panie poruczniku, ale jazda na rowerze Wehrmachtu jest

ryzykowna dja holenderskiego cywila. Może po godzinie policyjnej, kiedy złodziej będzie chciał Pojechać do domu, może wtedy.

— Tak to jest, kiedy rower zostawia się niezabezpieczony przed barem - to prowokuje złodzieja. To po prostu niedbałość.

— Właśnie, panie poruczniku. Może posuną się dalej i wywiozą je na skrzyni jakiejś ciężarówki. Poinformowałem żandarmerię w Rotterdamie.

— Ukarzę ich jutro. A co z działalnością nieprzyjacielską w powietrzu?

— Mała lub żadna.

— Oczekuje się ich dziś w nocy.

— Mieliśmy ostrzeżenie. Wyzaczyłem załogę Lemmersa na stację Freya i ułożyłem na nowo zmiany, tak jak pan kazał. Najlepsze załogi przejmą służbę przy radarach o północy.

— To dla bombowców krótka noc. Miejmy nadzieję, że będzie to Zagłębie Ruhry, bo w takim przypadku wejdą w nasz sektor lecąc tam i wracając.

August zdał sobie nagle sprawę, że w Zagłębiu mieszka rodzina Willy'ego. Zmieszany i zaambarasowany szukał jakiegoś innego tematu.

— Wschód księżycy jest... - próbował zobaczyć godzinę na wykresie.

— Księżyc wszędzie dzisiejszej nocy o zero trzydzieści, panie poruczniku. Tak. Będzie przyjemnie dobrać się do nich dwukrotnie.

— A słońce wschodzi o piątej czterdzieści sześć. Sądzę, że przylecą i odlecą do trzeciej.

— Oznajmiłem załogom, że jeśli cel będzie w Zagłębiu Ruhry, to zmiana potrwa cztery godziny. Jeśli Tommis polecą dalej, załogi numer dwa będą miały przerwę na odpoczynek i przywołamy je znowu na czas powrotu samolotów.

— Dobrze Willy. Wyprzedzasz za każdym razem moje myśli.

— Miło spędził pan weekend, proszę pana?

— Cudownie, Willy.

— Czy pana synek ma się dobrze?

— Zamęczony mnie na śmierć. Nie wiem, skąd ma tyle energii.

- Moi dwaj są tacy sami. Cieszę się, jak wracam tu na odpoczynek.

Willy rozglądał się po pokoju Oberleutnanta. Czuł się uprzywilejowany,

przychodząc tutaj. Nawet starsi oficerowie, którzy wizytowali stację radarową, rzadko byli tu zapraszani. Na ścianie, nad stolikiem poplamionym klejem, zawalonym drutem i sprzętem lutowniczym, znajdował się arkusz białego kartonu, na którym August Bach rekonstruował kości skrzydła mewy. Obok tego były naklejone reprodukcje rysunków skrzydła Leonarda da Vinci i kilka fotografii mew, szablodziobów i błotniaków w locie.

— Krogulec powrócił.

— Masz fotografię?

— Nie jestem tak szybki jak pan, panie poruczniku.

— To kwestia praktyki.

— Ostatniej nocy złapaliśmy na radarze pewne interesujące ruchy.

— Ptaki?

— Bez wątpienia.

— Rejestruj to wszystko, Willy. Jesteśmy w uprzywilejowanej sytuacji, mogąc bez przerwy obserwować przyrodę. Ornitologowie nie wiedzieli dotąd, że ptaki latają w nocy.

— Operator odnotował godzinę.

Na biurku znajdowała się czarnogłowa mewa, którą Willy złapał w sidła i spreparował. Nie opanował jeszcze sztuki składania skrzydeł, a ponieważ nie pozwalał Augustowi na pomoc, więc tak jak wielu przed nim amatorów-preparatorów ptaków, ustawił je ostatecznie rozciągnięte, jak u mewy w momencie osiadania. Pod czerwonymi nóżkami mewy umieścił gniazdo z trzema niebiesko-zielonymi jajkami. Pomimo popełnionych błędów, August pochwalił go:

— Nikt by się nie domyślał, że to pierwsza próba. Willy z dumą obrócił mewę wkoło.

— A widział pan jeszcze raz tę czapłę?

— Mam zamiar znów się ożenić, Willy.

— To dobrze, panie poruczniku.

— Z moją gospodynią.

- To mądrze, panie poruczniku. W naszym wieku mężczyzna potrzebuje rozumnej kobiety, a nie pretensjonalnego kawałka spódnicy.

August uśmiechnął się.

- Obawiam się, że wielu moich przyjaciół powiedziałyby, że ona jest pretensjonalnym kawałkiem spódnicy, Willy. Jest dziewczyną z RAD,



niewiele starszą od mojego syna.

Teraz z kolei Willy się zmieszał, ale August nie dbał o nic. Cieszył się ciepłym uczuciem zakochanego. Otworzył szufladę biurka i wyciągnął butelkę niemieckiej brandy. Nalał z niej nieco do czekolady Stabsfeldwebela.

— Wypijcie, Willy - powiedział. - Cieszymy się, że nie latamy z Tommis. Mam bowiem przeczucie, że dziś w nocy odniesiemy nadzwyczajny sukces.

— Za sukces - przytaknął Willy i wypił czekoladę z brandy.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, pijąc i obserwując jak cienie wydłużały się, a słońce opadało ku zamglonemu morzu.

- Nie było jakiejś korespondencji?

Wiedział, że nie. Gdyby nadeszła, to leżałaby jak zawsze na stole.

— Żadnej - odpowiedział Willy.

— Nierozważne chłopaczysko.

— Poprawi się. To inteligentny chłopiec i stoczył wiele walk.

— Wiem, że da sobie radę. Myślałem o jego promocji. Jest Sturmmanem już ponad rok, a najniżsi stopniem żyją na linii frontu jak świnię.

— Promocje w jednostkach Waffen SS przychodzą powoli.

— Tak nie chciałem, żeby służył w jednostce SS - powiedział August.

— Czułbym to samo, gdyby to był mój syn.

— Tylko dlatego, że nie mają dość odpoczynku w przerwach między walkami.

- Oczywiście - powiedział Willy. - Rozumiem.

Powstał i znów stanął poprawnie na baczność.

- Za pozwoleniem, Herr Oberleutnant... czekają na mnie wykazy personelu racji żywnościowych.

Stary podoficer przeszedł z poufalej pogawędki na absurdalną trzecią osobę obowiązującą w armii Kajzera.

- Pracujcie dalej, Willy. Wkrótce się tam zjawię.

Spędził kilka minut na przeglądaniu tacy pełnej papierów urzędowych. To wszystko może poczekać do jutra rana, zdecydował. Włożył swój długi, czarny, skórzany płaszcz. Wiatr jęczał łagodnie, gdy otworzył drzwi.

Gdy Oberleutnant Bach szedł po mokrym piasku do pracy, morze było koloru krwi. Szedł tak wolno, jak tylko mógł. Podnosił kawałki glonów morskich i rybołówki lepkie od rozlanego w morzu oleju. Raz zdawało mu się, że zobaczył jeża między wydrami i odczekał pięć minut, aby znów się ukazał, ale na próżno.

Fantastyczny kształt anten radarowych, widzianych od brzegu morza, nawet w nim budził lęk. Łatwo mogło mu się wydawać, że właśnie wynurzył się z morza na jakiejś Atlantydzie, gdzie technika prześcignęła o wieki wszystko, co znał. Metalowa siatka, duża jak olbrzymi dom, obracająca się w prawo i w lewo, miała zaszyfrowaną nazwę „Freya”. August przypomniał sobie, że Freya była nordycką boginią, której strażnik widział w dzień i w noc na sto mil w każdym kierunku. Nazwa ta trafnie określała urządzenie radarowe i August rozumiał, że jeśli on mógł je rozpracować, to mógł to zrobić również i brytyjski wywiad. (Miał rzeczywiście rację. Dr R.V. Jones rozpracował je i złożył odpowiedni raport szefom sztabu).

Niedaleko znajdowały się dwie olbrzymie stacje - Wiirzburgi, o krótszym zasięgu, za to dokładniejsze. Były podobne do elektrycznych kul ognistych, wielkością zbliżone do wiatraków. One też obracały się łagodnie, ale zawsze wracały - jak Freya - aby nachylać się ku zachodowi, gdzie we wschodniej Anglii znajdowały się lotniska alianckich bombowców, zaledwie pół godziny lotu stąd.

August położył delikatnie nieżywą rybołówkę z powrotem na piasku. Była godzina dwudziesta druga. Tommis nie byli jeszcze w powietrzu, ale kiedy już wystartują, Freya da ostrzeżenie. Piasek chrzęścił pod stopami. Wykopał w nim dziurę, a woda ukazała się w niej jak wyczarowana. Jajka na podwieczorek i spacer po pustej plaży w wieczornym słońcu. Hanslowi i Annie-Luizie podobałoby się tutaj. Po wojnie zamieszkają gdzieś tu w okolicy. To wspaniały i bogaty kraj. Nawet przy głodnym, objadającym go latami Wehrmachcie, były jeszcze jajka i mleko, czasem śmietana. Kilka

miesiący temu Willy wrócił z Zuidhorn z całą owcą August sprawdził raporty racji żywnościowych i wykazy benzynowe, ale nie znalazł niezgodności.

Z wierzchołków wydm można było zobaczyć pola warzywne i szklarnie jak w Altgarten. Na wiosnę jedzono tu sporo warzyw. Talerze były pełne po brzegi jarzyn i mięsa, ale on nie dbał o to i nawet nie badał ich pochodzenia. Mówił sobie, że i tak nie znalazłby nic niewłaściwego. A wszystko wynikało stąd, że był złym oficerem. Dlatego nigdy nie awansował wyżej Oberleutnanta. I dlatego też właśnie spacerował sobie teraz po tym brzegu w miękkich butach i starym swetrze z lornetką Zeissa 16 x 40, zamiast oblegać Leningrad w pełnym rynsztunku bojowym.

Jednak, pomyślał August, każdemu wystarczy jedna wojna. Także podczas pierwszej był szczęśliwy, latając na swoim Albatrosie dwa razy dziennie, spożywając dobre jedzenie i pijąc wino w bajkowym zamku nad Mozą. Czy którykolwiek zepsuty młokos, świeżo po studiach, nie ryzykowałby swego życia za taką szansę? Toteż właśnie wielu z nich zginęło. Dlaczego ktoś przeżył, wie tylko ten, do którego powróci na nowo instynkt samozachowawczy. Instynkt ten opuszcza młodych ludzi na kilka lat i dlatego możliwi są bohaterowie i mile widziane wojny.

Skierował lornetkę na bunkier działa morskiego, na którym usiadła rybołówka. Nastawił ostrość i obserwował z przyjemnością, jak przeszukiwała skrzydła i czyściła się. Nagle dało się słyszeć warkot wypróbowywanej prądnicy i ptak uniósł się przestraszony odlatując nad morze, aż August stracił go z oczu.

Mgła morska znacznie się rozrzedziła, ale ściemniało się prędko. Niechętnie schował lornetę do futerału i wszedł do baraku w kształcie litery T, do pokoju nanoszenia danych.

Gdyby August mógł widzieć na odległość osiemdziesięciu pięciu kilometrów, to na północy zobaczyłby przybrzeżny konwój i lekki przeciwlotniczy krążownik „Held”, kontynuujący swój kurs. Działa, które strzelały do Lówenherza i Himmla już dawno zostały wyczyszczone i przygotowane do ewentualnej nowej akcji. Nie było jednak dalszych zakłóceń rejsu i tak jak przepowiedział Admirał Pawlak, znajdowali się teraz w połowie drogi do Hoek. Konwój płynął tu bliżej brzegu, ponieważ zmniejszyło się niebezpieczeństwo wraków, a zwiększyło zagrożenie ze

strony alianckich samolotów.

Ten odcinek brzegu był nadal otulony cienkim pasmem mgły, ale zachód słońca zmienił go w jasnozłoty, jak u Turnera.

— Jak gdzie?

— Jak na obrazie Turnera; po prostu zawirowanie złota, czerwieni i pomarańczy, coś w rodzaju ziemi duchów.

— Mówisz tak, że aż ciarki mnie przechodzą, naprawdę Dikke. Czy wiesz, co jest twoim błędem? Czytasz za dużo książek, a książki nigdzie cię nie zaprowadzą. A teraz wyjdź z tego luku i posłuchaj, co ci powiem, a może domalujemy następny pierścień na dziale.

Pulchny chłopak z Königsbergu podszedł i usiadł na koi, na której Admirał Pawlak, z ustami pełnymi sera, udzielał lekcji ze sztuki artyleryjskiej. Jasny krążek światła na ścianie magazynu przesuwiał się w górę, w miarę jak słońce zapadało coraz niżej.

- To kwestia rytmu. Nikt nie nauczy was tego, ale tu leży tajemnica dużej szybkości strzelania. Rytm.

Odlamał następny kawałek sera i włożył go do ust.

— Otóż weźcie na przykład działo nr 2, z prawej strony burty. Ładowniczy czeka na wyrównanie fali i wtedy pochyla się z następnym pociskiem, tak właśnie Jak uczą w szkole strzelania. To wszystko jest bardzo dobre na pokazie lub przy strzelaniu do nieruchomego celu, ale kiedy macie do czynienia z samolotem robiącym uniki, jak to czynił ten dziś rano, wówczas musicie działać z wyprzedzeniem.

— Jak byłem w szkole, to jednemu z naszej załogi przyskrzyniło rękę w komorze naboju.

— No cóż, ten głupiec musiał myśleć tak wolno jak ty, Dikke.

— Zgadza się. I dlatego nie próbuję tych twoich sztuczek.

— Jesteś głupi, Dikke. Czy chcesz przez całe życie zostać K3? Dziś w nocy ja zajmę się ładowaniem. Będziemy kontrolowani z mostka, więc możesz być dowódcą; nie dbam o to.

— Dziękuję, Admirale.

— Nie ma za co, Dikke. Jeśli dzisiejszej nocy chcemy zestrzelić naszego trzeciego Anglika, to musimy wystrzelić w powietrze masę pocisków.

Słońce oświetlało okręty konwoju jak złociste zabawki na czarnym,

aksamitnym morzu. Światło wewnątrz kabiny stawało się coraz bardziej czerwone.

- Zapal światło, Dikke. Nie widzę, ca jem.

Pulchny chłopiec zrobił, co mu kazano.

- I zamknij pokrywy lewej burty. Znasz przecież przepisy o zaciemnieniu.

Chcesz, żeby nas zbombardowano?

NAAFI zamykano o dwudziestej drugiej, ale kantyna Armii Zbawienia była otwarta do dwudziestej drugiej trzydzieści. Wychodząc z kina stacyjnego wcześniej i biegnąc sprintem przez teren defiladowy można było zdążyć na kubek herbaty przed capstrzykiem. Pani Andrews, która obsługiwała gości w Sally Ann, osądzała filmy według ilości sprzedanych ciepłych napojów.

- To nie jest dobry film - w poniedziałek tylko czternaście herbat, a we wtorek musiałam zaparzyć drugi czajnik.

W ubiegłym tygodniu wyświetlano film o lotnictwie. Bohater kochał się z trzeźwą intensywnością i latał z pijacką beztróską (kompletne odwrócenie działalności chłopców z RAF). Tchórzliwy pilot wpadł w amok, został wykluczony i w końcu, szlochając, wpakował się w nieprzyjacielski samolot. Dowódca rządził pięściami i płakał sztucznymi łzami, ilekroć któryś z jego chłopców nie powrócił. RAF przyjął ten film drwinami i gwizdami. Operator powiadomił o tym oficera dyżurnego.

- Krzyczą na film, co? I chcecie, żebym przyszedł tam, aby mogli pokrzyczeć i na mnie? Widziałem ten film wczoraj. Czas, abyście zaczęli sprowadzać jakieś dobre filmy.

Był to film zupełnie oderwany od rzeczywistości. Rada selekcyjna RAF stwierdziła, że żaden z filmów nigdy nie wywołał tak skrajnych emocji. W Warley nikt publicznie nie przysięgał Niemcom zemsty (nie licząc dowódcy). Nikt tu nie spowodował kraksy przez głupotę, nie wystartował w gęstej mgle, nie żłopał whisky w kasynie, nie wznosił pieśniami toastów za nieobecnych przyjaciół i nie wrzucał kieliszków do kominka. Tu smutek mierzono tym, ile zapłacono na licytacji za bezwartościowe rzeczy osobiste ofiar. Łzy były dobre dla aktorów. Tu tchórzostwo było zwykłym zarozumiałstwem i każdy miał swój ulubiony przypadek tchórzostwa, którym się chwalił. Lotnicy z Warley Fen byli ludźmi o zróżnoważonym temperamencie, nigdy nie reagowali impulsywnie na dobre czy złe wydarzenia w pracy, jaką wykonywali.

Dzisiejszego wieczora nie brakło załóg w zatłoczonym kinie. Nikt nie wyszedł wcześniej i nikt nie hałasował. Szedł stary film „Rembrandt” z

Charlesem Laughtonem i zjawilo się tylu ludzi, że trzeba było ściągać składane krzesła z bloku operacyjnego, aby usadowić w przejściach spóźnionych widzów.

Spotkanie kółka muzycznego zgromadziło w baraku oświatowym dziewiętnaście osób różnych stopni. Przybyli, by wysłuchać koncertu skrzypcowego Beethovena w wykonaniu Georga Kulenkampfa i Orkiestry Filharmonii Berlińskiej. Wykonanie było właściwie bezbłędne, a przyjemność słuchania psuło jedynie przekładanie co parę minut płyty. Oficer oświatowy miał irytujący zwyczaj dyrygowania, ale wybaczone mu to, gdy po skończonym koncercie wydobył kilka butelek piwa. Pozostali tam prawie do północy, dyskutując o muzyce. Na lotnisku było bardzo mało takich miejsc, gdzie wojskowi wszystkich stopni mogli spotykać się na całkowicie równej stopie przy kieliszku i papierosie.

Stacyjna orkiestra taneczna istniała już sześć tygodni, ale odbyły się tylko dwie próby, na których wszyscy byli obecni. Dzisiejszego wieczoru brakowało dwóch członków orkiestry. Sierżant Tommy Carter, zdolny amator saksofonista, przygotowywał się do lotu, a kapral, który stosunkowo dobrze grał na pianinie, pełnił służbę w Kontroli Lotów. Tego więc wieczora facet przy pianinie musiał grać z nut śpiewaków, a trębacz zastępował wszystkich po trochu. Wybaczano mu pomyłki, choć bowiem studiował muzykę przez dwa lata, to jego instrumentem były skrzypce. Siedmiu muzyków ćwiczyło w samym rogu pomieszczenia NAAFI, ale gdy kantyna zaczęła się zapełniać, przestali grać i usiedli z boku popijając herbatę. Kierownik zespołu w stopniu kaprała, urzędnik z Southampton, oznajmił im, że jeśli nie potrafią grać lepiej, to powinni poprosić komitet zabawowy o sprowadzenie na potańcówkę orkiestry cywilnej. Gdy zamykano kantynę, wszyscy czuli się nieco przygnębieni.

Jeśli jednak chodzi o muzykę, to Warley Fen opanowała tego lata prosta, ale subtelna melodia. Urzędnicy gwizdali ją jadąc na rowerach do dispersali. Mechanicy nucili ją, gdy wymieniali świece w merlinach, a dziewczyna z NAAFI, blondynka o wydatnym biuście, zwana Weroniką, grała ją na pianinie kokietując słuchaczy. Kapral z sekcji transportowej, o wąskich biodrach i delikatnym wąsiku, uosabiał Al Bowlly'ego i świetnie naśladował modulację głosu piosenkarza. W kasynie oficerskim była płyta z tą piosenką, którą ktoś przywiózł z Londynu.

Tego gorącego lata, codziennie w porze obiadowej, rytmy płynęły nad równą, jasną zielenią trawników dworu Warley, przyprowadzając herbaciane róże o drzenie. Kasyno sierżantów miało tę samą płytę i stało się



zwyczajem, że wracający z lotów członkowie załóg powietrznych wpadali do kasyna, po opadnięciu napięcia i podniecenia po powrotnej odprawie, na ostatni kubek herbaty przed spaniem. Płyta ta znajdowała się zawsze blisko gramofonu i zwykle pierwsi przybyli nastawiali ją. Czasem po ciężkiej nocy, kiedy znów zabrakło paru twarzy, puszczała ją raz po razie aż do świtu.

*„Miłość łatwo przychodzi i łatwo przemija,  
Jeśli więc się przeżyje, to pozwól jej odejść, jak przyszła.  
Rozstańmy się bez wymówek i bez żalu,  
Tak jak się spotkaliśmy,  
Bo miłość łatwo przychodzi i łatwo przemija.*

*Nigdy nie marzyliśmy o romantycznych przygodach,  
I teraz, kiedy się kończy, zostanemy przyjaciółmi a nie dwojgiem obcych.*

*Miłość łatwo przychodzi i łatwo przemija*

*A więc, kochanie, do widzenia, bo  
Miłość łatwo przychodzi i łatwo przemija”.*

Ćwierć wieku później ludzie, którzy znali Warley Fen z tamtego lata, kiedy to bombowce wylatywały noc po nocy, niczego bardziej nie pamiętali niż tej melodii. Trzeba było tylko pierwszych tonów trąbki, muśnięcia strun gitary, aby ich znowu przenieść w tamte czasy.

Nie wszystkie zajęcia w czasie wolnym sprowadzały się do muzykowania. Starszy sierżant Bishop, stacyjny kowal, był dowódcą warty. Siedział w wartowni składając duży obraz galeonu pod pełnymi żaglami z papierków po cukierkach i kolorowego papieru. Było to hobby wymagające wiele trudu i na przykład portret Joe Louisa na ścianie jego kwatery wymagał prawie trzystu godzin pracy, darcia, cięcia i klejenia. Ludzie, którzy widzieli wykonane przez niego obrazy, zastanawiali się, jak niezgrabne, muskularne ręce kowala mogły wykonać tak misterną robotę.

Szeregowiec lotnictwa pierwszej klasy, Albert Singleton, kelner w kasynie oficerskim, ukradł tego wieczoru z kasyna przy pomocy kobiety, szeregowca lotnictwa Janet Marsden, kierowcy transportu samochodowego, siedmioletnią puszkę masła, trzy siedmioletnie puszki marmolady, osiemnaście funtów bekonu i dwadzieścia osiem jaj. Te zapasy, własność Jego Wysokości Króla Jerzego VI, zostały zawiezione do Peterborough furgonetką RAF marki hillman, będącą również własnością Jego Królewskiej Mości. Artykuły żywnościowe dostarczono właścicielowi restauracji za siedem funtów i dziesięć szylingów. Do dwudziestej drugiej trzydziści, Singleton i Marsden odwiedzili kilka barów i wypili znaczną ilość alkoholu.

Była prawie dwudziesta trzecia, gdy wjechali na zaciemnioną, wąską uliczkę i zaparkowali w pobliżu ogrodzenia obwodnicy. Na przednim siedzeniu furgonetki RAF było ciepło, a szyby zaszyły mgłą od ich oddechów, gdy całowali się i pieścili w ciemności. Po kilku minutach jedna z ciężarówek wiozących załogi bombowców minęła ich jadąc po obwodnicy. Przerwali, aby na nią popatrzeć.

- Mamy nową babkę, kierowcę - powiedziała Marsden kiwając

głową ku ciężarówce z załogą. - Prosto po szkole zawodowej; mówią że rozmowna.

- Nie tak jak ty - stwierdził Singleton.

- Czasem chętnie rozmawiam - odparła dziewczyna i znowu się pocałowali. Kiedy ciężarówka z załogą dojechała do zakrętu, usłyszeli, jak załogi wykrzykiwały uwagi o zaciemnieniu pod adresem jakiegoś domu w miasteczku, ale ale przestali się całować.

Binty Jones złożył komiks i zaczął mówić naśladując akcent amerykański:

- Godzina dwudziesta trzecia, chłopaki. Ruszamy w objazd na małą zabawę. Muszę się jeszcze popieścić w Peterborough przed wschodem słońca.

Digby zapiął buty na zamek błyskawiczny i spoglądając ze zdziwieniem zapytał:

- Ciągle jeszcze sypiasz w Peterborough, ty zwariowany draniu?

W niektórych załogach stało się modne wypisywanie swoich nazwisk z przodu haub lotniczych. Buteleczka jasnoróżowego lakieru do paznokci krążyła wkoło. Cohen właśnie wypisywał na swojej „Kosher”.

— Taki już jestem, koledzy - oznajmił Binty. - Kwadrans z kwatery do sypialni. Tyle czasu zabiera mi to na motocyklu.

— Kwadrans - powiedział Lambert, - Poleciałbym raczej dwa razy na operację, niż przejechał dziesięć mil na twoim gracie.

— Piętnaście mil - skorygował go Binty. - No, cóż, Jestem zawodowcem!

— Zawodowym kobieciarzem! - stwierdził Digby.

— Wszyscy mleczarze są tacy - wtrącił Cohen. - Prawda, Binty?

— Niektórzy.

Zaśmiał się z wyższością. Pomimo troskliwie wyprasowanego munduru i koszuli wykrochmalonej jak tektura, nie było na co popatrzeć: przycięte włosy, zepsute zęby, niski wzrost i dziobata twarz. Nie przeszkadzało mu to jednak w szaleńczym, zmotoryzowanym życiu płciowym, w pogoni za którym stale podróżował po wschodniej Anglii.

— To motor je bierze. Rytm, człowieku, rozumiesz? Słyszą go pośrodku nocy i drżą jak galareta.

— I nadal zadajesz się z tą zamezną facetką? - zapytał Digby. Znał odpowiedź, ale chciał wciągnąć do rozmowy Flash'a Gordona. Lubił słuchać, jak się sprzeczą.

— Człowieku! To smakowity kąsek.

— Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejś panny? - zapytał Flash.

— Człowieku, przecież wiesz dlaczego. Wszystkie najlepsze niezamężne babki w Peterborough objęły w posiadanie Jankesi.

— Cóż, nie uważam, aby to było w porządku. Jej stary walczy na pustyni. Po prostu nie uważam, aby to było w porządku.

— Człowieku, ależ ja tylko pilnuję, aby jej gniazdko nie wystygło.

— Mam nadzieję, że jej mąż wróci i wyrówna z tobą rachunki.

— Nie ma strachu. Widziałem jego fotografię, to kurdupel.

— Instruktor dzudo.

— Robotnik tłoczący blachy w jednostce REME w Aleksandrii.

— Powróci i spierze cię - ostrzegął Flash.

Rozmowa przybrała ten sam obrót co zwykle, a potem milczeli, jak to zawsze miało miejsce. Binyt znów rozpostarł gazetkę z obrazkami.

— Która godzina? - zapytał Digby.

— Trzy minuty później niż jak ostatni raz pytałeś - odparł Cohen. Ponownie sprawdził zawartość swojej zielonej, płóciennej torby: latarka elektryczna, notes, notatki radiowe, kątomierz, cyrkle, kolorowe ołówki, kalkulator kursu i prędkości, dziennik nawigacyjny, mapa celu, tabele gwiazd i linijka. Wszystko było na miejscu.

— Masz całkiem niezły zegarek - powiedział Digby.

— Mojego wuja. Mama dała mi go dziś rano.

Cohen zwrócił lakier do paznokci Digby'emu, który odłożył go na półkę w swojej szafce i zamknął drzwi na kłódkę.

— Pośpiesz się, Maisie - powiedział Digby spokojnie. Patrzeli na drugą stronę sali, gdzie personel latający czekał w kolejce na wydanie im racji lotniczych przez Maisie Holroyd. Batters był następny.

— Cztery „Bowrile” i trzy kawy.

- Cztery „Bowrile” i trzy kawy - powtórzyła, a inna pracownica wydała Battersowi żądane gorące napoje w termosach, a także siedem paczek z kanapkami, gumą do żucia, twardymi cukierkami i czekoladą.

Sierżant Jimmy Grimm, radiooperator i niezawodny strzelec pokładowy, był pogodnym, pozbawionym jeszcze zarostu, dwudziesto-trzyletnim mężczyzną. Byłby zaskoczony, gdyby wiedział, że u WAAF-ek z Warley był znany jako „blond bomba”. Choć był żonaty i miał dwuletnie dziecko, był też nedorzecznie nieśmiały w obecności kobiet i łatwo peszyły go dowcipy opowiadane przez załogi. Czasami, kołyszac się nad swoim radioaparatem, pisywał długie listy do żony, dużym, pełnym wywijasów pismem i zawsze zielonym atramentem.

Grimm, przeciętny radiooperator, był zapalonym fotografem. Kwatera, którą dzielił z Digbym i Cohenem, była zagracona emaliowanymi tacami, opakowaniami od filmów i częściami powiększalnika własnej

roboty. Obie łazienki były często pełne odbitek, z których niektóre znajdowały się jeszcze w miednicach. Pewnego razu jedna odbitka zatkała ściek i spowodowała zalanie czterech pokoi.

Teraz Grimm podawał wokół grupowe zdjęcia całej załogi. Posiadał niewielkie urządzenie z mechanizmem zegarowym, co pozwalało mu dołączyć do kolegów po uruchomieniu migawki. Byli przystojnymi chłopcami. Wypoczęci i uśmiechnięci jak wszyscy młodzi ludzie. Spoglądając na odbitki, łatwo można było rozpoznać rękę amatora lub stwierdzić, że to materiał był złej jakości, gdyż skradziono go z dostaw Ministerstwa Lotnictwa. Ale to nie byłaby prawda. Faktem jest, że wszyscy chłopcy byli tacy sami: ich nieostre lub przekontrastowane twarze były łagodne, spokojne i niedojrzałe. Te szczerzące zęby cherubinki przedstawiały żołnierzy, którzy właśnie tej nocy wkładali lotnicze buty, dopasowywali pasy spadochronów, pożyczali czyste koszule, czytali na nowo stare listy, przegrywali z dobrą kartą, pisali zobowiązania finansowe i obserwowali bardzo uważnie zegar. I to często.

— To diabelnie dobre zdjęcie, Jimmy.

— My i stary „Door” z tyłu. Jaka ładna grupa!

„Wyciąg z mięsa wołowego w kostkach lub proszku do sporządzania rosółów.

- Czy sam je powiększasz, Jimmy? Cholernie dobra robota.

- Popatrzcie na kwaśną minę Diga. Wygląda zabawnie.

— A ty Kosh, kieszenie masz jak zwykle nie zapięte.

— Dobrze wypadł skiper.

— Zbyt poważny.

— No cóż, ostatnio jest bardzo zasepiony.

— Dlatego, że ten cholerny Sweet wtyka mu szpile.

- Sweet jest w porządku. To jeden z nas. Ma poczucie humoru.

- Jeśli wazeliniarstwo można uważać za poczucie humoru.

- Jimmy, nie masz więcej fotografii? Czy to wasz ogród?

— Jimmy, mogę zatrzymać to zdjęcie?

— Będzie cię to kosztowało szylinga i trzy pensy.

— Przeklęty rabuś.

Masz tu pieniądze. Poślę je mojej mamie - powiedział Batters.

- Ja także - powiedział Binty. - Lepiej wezmę cztery. Nie, pięć.

- A co to za kociak z dziecięcym wózkiem?
- Co za nadzwyczajnie smaczny kąsek.
- Zamknij się ty idioto. To żona Jimmy’ego.

Załogi nadal przybywały. Słysząc było niekończący się odgłos zamykanych szafek i drobnych sporów, gdy ktoś odkrył, że brak mu hauby lub że ktoś pożyczył sobie buty i oddał zabłocone. Część ekwipunku lotniczego nosiło się stosownie do gustu i miejsca członka załogi w samolocie. System ogrzewania w Lancasterze dmuchał zwykle ciepłem na radiooperatora, przypiekał bombardiera i zamrażał nawigatora. Tak więc większość nawigatorów wkładała na siebie cały ekwipunek, od skórzanych kurtek „Irvin” do jedwabnych skarpet. Tak samo strzelcy z tylnych wieżyczek. Z drugiej strony, większość radiooperatorów i strzelców pokładowych wkładała tylko obowiązkową haubę, buty i kamizelkę ratunkową „Mae West” na ten sam mundur polowy i biały golf wkładany do kolacji. Niektórzy lotnicy nosili jaskrawo kolorowe, jedwabne szaliki i nawet cywilne koszule. Sandy Sanderson zakładał wspaniałą, skózaną kurtkę, którą dał zrobić w Kairze.

Był ciepły wieczór i teraz, gdy opuszczono zaciemniające żaluzje, pokój, w którym się przebierano, wypełniał się smrodem, w miarę jak włączaly się do niego załogi. Niektórzy z wcześniej przybyłych grali w karty na pieniądze, podczas gdy ci, co przyszli później, chwyтали swoje lotnicze buty i wkładali do zdjętych trzewików krótkie, pożegnalne listy i obrazki porno, przed wepchnięciem ich w tył szafek. Niewielu było aż takich pesymistów, aby zostawić zapasowy klucz i dlatego metalowe szafki miały farbę zadrapaną po wielokrotnym otwieraniu ich na siłę.

Podpułkownik Munro utorował sobie drogę przez pokój.

- Panie Lambert.
- Słucham, panie pułkowniku.
- W zeszłym miesiącu zapłacił pan po meczu krykieta za obie kolejki piwa. Czy funt i dziesięć szylingów uwolni mnie od długu?
- Tylko funt, panie pułkowniku.

Oto on proszę, stary. Uśmiechnął się, dał Lambertowi pieniądze i oddalił się.

Dotąd płaciliśmy na przemian. Czyniliśmy tak od początku sezonu - powiedział Kosher.

- Po prostu nie chce mieć długu - wyjaśnił Lambert. Kosher spojrzał znowu w zamyśleniu na podpułkownika, który właśnie przekazywał Flemingowi słowa zachęty na drugim końcu pokoju. Załoga Fleminga czuła, że jest bacznie obserwowana i uważała, żeby nie okazać podniecenia lub zdenerwowania. Fleming nachylił się i pobrudził swoją czapkę, aby upodobniła się do tych, które odbyły już kilka tysięcy mil w powietrzu wsunięte za siedzenie pilota. Wsadził ją teraz zgrabnie na bakier i kończył czytanie egzemplarza „Rozkazów Okresowych”. Złożył starannie papier, aby zrobić z niego samolot.

- Co to jest, panie Fleming, Lancaster IV? - zapytał Munro usiłując zażartować.

Tak jest, panie pułkowniku - zgodził się Fleming. Rzucił papierowym samolocikiem. Wszyscy obserwowali, jak leciał po prostej w poziomie wzdłuż całego pokoju. Kiedy doleciał do pojemników z herbatą, gdzie pracownice WAAF wydawały termosy z gorącymi napojami, natrafił na unoszące się w górę ciepłe powietrze. Zadarł nos, aż stracił równowagę na skutek utraty szybkości i spadł na podłogę jak martwy ptak.

- Z powrotem na deskę kreślarską! - zawołał Binty Jones, a Fleming uśmiechnął się nieśmiało. Batters powrócił z termosami i paczkami dla członków załogi. Zaczęły się skomplikowane zamiany. Binty lubił gumę do żucia – chciał upodobnić się do Jankesów - więc Digby wymienił z nim gumę do żucia na cukierki. Flash Gordon oddał swoją gumę Binty'emu za czekoladę. Wreszcie Digby oddał swoje cukierki Flash'owi, który przyjął je, razem z „kontrybucją” od większości załogi dla swoich braci i sióstr. Było ich w domu dziewięcioro. Kilka miesięcy temu Binty zawiózł Flash'a do domu na motocyklu, a po powrocie powiedział kolegom, że skromne racje od nich są prawdopodobnie jedyną przyjemnością, jakiej doznaje rodzeństwo Gordona.

Po zakończeniu wymiany Lambert dał każdemu szczelnie zamknięty „zestaw uciezkowy” zawierający kompas, fałszywe banknoty, jedwabną mapę Niemiec i trochę suszonych owoców. Potem udali się krytym



chodnikiem do następnego budynku. Jasno oświetlona sekcja spadochronowa zawsze lśniła czystością i pachniała pastą do podłóg. Dwie znudzone WAAF-ki wyciągały ze stojących za nimi pólek spadochrony i z wysiłkiem rzucały je na kontuar. Jedwabne czasy spadochronów pilotów, złożone i umocowane do pasów, tworzyły siedzenie. Inni członkowie załóg nosili swoje jedwabne baldachimy jako oddzielny pakunek brązowego materiału, który przed użyciem należało przymocować do piersi metalowymi zaciskami. Każdy członek załogi musiał aż do powrotu z wyprawy nosić spadochron ze sobą, dokądkolwiek się ruszył. Piloci nie musieli pamiętać o ratującym życie pakunku, ale z drugiej strony, trudno im było poruszać się ze spadochronem umocowanym do ud w ciasnym wnętrzu samolotu. Dlatego też stosunkowo niewielu pilotów przebywało w obozach jeńców wojennych. Mechanik Tommy'ego Cartera, Ben Gallacher, spierał się głośno z jedną z WAAF-ek.

— Więc dlaczego nie zrobiono tego, gdy byłem na urlopie?

— Nic o tym nie wiem - powiedziała dziewczyna. - Twój spadochron nie jest jeszcze przewinięty, będziesz musiał wziąć inny.

— Powiedziałem waszej szefowej, że idę na urlop. Kapral wzruszyła obojętnie ramionami.

— Ja tu tylko pracuję.

- Chcę mój własny spadochron. Zawsze latam z tym samym. Przynosi mi szczęście. Nie możesz tego zrozumieć?

Najpierw stracił swój samolot, niezawodny i sprawdzony w powietrzu, „Joe jak King”, teraz znów chciano mu dać jakiś inny spadochron.

- Nie rozumiem dlaczego robisz tyle hałasu o nic. Ten jest równie dobry jak twój. Właśnie został sprawdzony i przewinięty.

Zadowolona z przerwy w wymagającej wysiłku fizycznej pracy, przyglądała włosy.

— Wstrzymujesz całą kolejkę.

— Wypchaj się - powiedział Ben. - Polecę bez.

— Nie bądź głupcem - odezwał się Lambert - i weź ten spadochron.

Lambert był jednym z instruktorów Gallachera na kursie konwersyjnym.

— Ech tam - powiedział Ben odchodząc.

- Ktoś zauważy - tłumaczył mu Lambert. - Jak będziesz się czuł, jeśli

udaremnicz lot całej załodze?

Chłopiec jeszcze trochę pomruczał, w końcu jednak wziął spadochron.

— Może ma pan rację, szefuniu - przyznał. Przez ten czas zdążył utworzyć się długi ogonek i ktoś zawołał zniecierpliwiony:

— Co tam się dzieje!?

— Jakiś facet przyniósł spadochron z powrotem - odparł głośno Digby. - Powiada, że się nie otworzył.

Wszyscy śmiali się z żartu, który słyszeli już tyle razy. Kolejka przesunęła się do przodu, a obie dziewczyny popychały pakiety spadochronowe i pasy przez kontuar z mechaniczną obojętnością, przerywaną tylko wtedy, gdy zobaczyły kogoś znajomego. Wtedy następowała wymiana uśmiechów i pośpieszne życzenia powodzenia.

Z drugiej sali przysła Ruth i stanęła w progu obserwując, jak jej mąż pobiera spadochron.

W drzwiach znów się zakotłowało: przyjechały dwie spóźnione ciężarówki. Kilku chłopców wyszło na zewnątrz i obserwowało ostatnie błyski światła dziennego. Było zimno i niektórzy popijali z termosów lub nagryzali racje czekolady. Prawie każda załoga miała swoją maskotkę: misie lub szmaciane lalki kołysały się w ich ramionach lub tkwiły wepchnięte za pasy spadochronowe, a jedwabne pończochy noszono jako szaliki.

Gdy przybyły spóźnione ciężarówki odezwało się przytłumione „hurra”.

— Eskadra B tutaj! - zawołała dziewczyna, kierowca WAAF. W nagłym, nerwowym pośpiechu lotnicy poszturchiwali się żartobliwie i wskakiwali do ciężarówki. Lambert obejrzał się i dał Ruth krótki znak - kciuk do góry. Skinęła głową. Ledwo zdążył wskoczyć do ciężarówki, gdy ta zachybotała się ruszając do przodu. Tylne kłapy skrzyni ładunkowej trzaskała hałaśliwie. Dziewczyna prowadziła wóz wzdłuż linii niebieskich świateł oznaczających obwodnicę do kołowania. Miała za sobą dwudziestu ośmiu członków załóg, uskarżających się głośno na powolną jazdę i gwizdających. Podskoczyli na krawędzi pasa startowego i przejechali czarne plamy po gumie w miejscach, gdzie koła bombowców dotykały po raz pierwszy pasa przy lądowaniu. Światła miasteczka Warley widoczne były po lewej stronie.

— Zaciemnienie! - zakrzyzczały załogi - zgasić to światło!

Była mała szansa, że ich głosy dotrą do miasteczka, nawet w tak spokojną, letnią noc, ale mieli okazję ulżyć sobie i zmniejszyć podniecenie, jakie w nich narastało od momentu, gdy tego ranka przeczytali swoje nazwiska w rozkazie dziennym.

Ciężarówka skręciła z obwodnicy na podwójne, wybetonowane stanowisko, na którym, na tle ciemnego nieba, rysowały się sylwetki dwóch bombowców.

— „O jak Orange” i „L jak Love”! - zawołała WAAF-ka.

— Powodzenia skiper - wyszeptał Micky Murphy.

- Powodzenia Micky - odpowiedział Lambert. Załogi Lamberta i Cartera wygramoliły się z ciężarówki, przeklinając i skarżąc się, gdy hauby spadały im na ziemię, a pasy spadochronów zaczepiały o tylną klapę skrzyni wozu. Odeszli ku dwom samolotom kiwając się jak kaczki, gdyż pasy spadochronów ograniczały ich ruchy.

Kierująca ciężarówką osiemnastoletnia WAAF-ka była zdenerwowana, ponieważ spóźniła się do sali załóg i powitał ją chór gwizdów i skarg. Teraz wychyliła się z szoferki i wpatrywała się w ciemność.

- Czy to „Z jak Zebra?” - zapytała Digby’ego.

- Przykro mi, kochana - odpowiedział Digby. - Jestem tu także obcy.

— Co się stało, panienko? - zapytał Battersby swym piskliwym głosem.

— Pierwszy raz wykonuję tę pracę. Czy następny samolot to „Z jak Zebra”?

- Kiedy wrócisz na obwodnicę, „Zebra” - „Volkswagen”, jak my go nazywamy - będzie na stanowisku po lewej stronie. „Sugar” jest po prawej, blisko hangaru i biura eskadry B.

- Bardzo dziękuję - odrzekła dziewczyna. Zawahała się na moment. - I powodzenia sierżancie!

- Ted Battersby, nazywają mnie Batters.

Dało się słyszeć tupanie nogami, a potem głośne gwizdy. To niecierpliwiły się załogi wewnątrz ciężarówki.

- Powodzenia, Batters - powiedziała WAAF-ka posyłając mu całusa.

Puściła sprzęgło i ciężarówka szarpnęła do przodu tak, że pasażerowie stracili równowagę. Dziewczyna wykrzyknęła swoje imię Battersowi, ale załoga podniosła taki tumult, że go nie dosłyszał.

Personel naziemny każdego samolotu oczekiwał spokojnie pod skrzydłem. Niektórzy mieli specjalnych przyjaciół wśród załóg i czasem podejmowano rozmowę w miejscu, w którym ją kiedyś przerwano.

- Czy miewasz kłopoty z uszami? - zapytał Binty, gdy sprawdzał środkową górną wieżyczkę strzelecką.

- Nie, jak dotąd wszystko w porządku. Ale ja im nie pozwalam nigdy zadawać się z innymi psami. Wtedy dopiero zaczynają się prawdziwe kłopoty.

Kapral zbrojmistrz i Binty kontynuowali dawno przerwana rozmowę o swych chartach.

Binty nie miał własnych psów, ale był zaangażowany finansowo w psiarni wuja. Po rozmowach z kapralem Hughesem wracał do domu z wieloma sugestiami i uwagami krytycznymi.

— Powiedz twojemu cholernemu koledze z lotnictwa, aby zachował swoje rady dla siebie - oznajmił Binty'emu wuj podczas ostatniego urlopu - albo przyjadę do was i pomogę mu przy jego przeklętych samolotach.

— „Błękitnego Anioła” nakręcił Sternberg - dowodził Cohen - ale „Gabinet doktora Caligari” był reżyserowany przez kogoś o nazwisku Wiene o którym nigdy nie słyszałem.

— Mógłbym przysiąc, że to był Sternberg. Śmieszne, jakie pamięć płata figle. Czy „Ostatni rozkaz” był też Sternberga?

- Tak, tak. Jednak coś wiesz, Mike. Pamiętam, że to widziałem. Była to oczywista przeróbka „Ostatniego śmiechu” z Janningsem.

- Wiele filmów bywa przeróbkami wcześniejszych, europejskich obrazów.

- A widziałeś „Poszukiwaczy zbawienia”? - zapytał Cohan.

— To wczesny film Sternberga. W tamtym czasie uważano go za arcydzieło. Widziałem go w mojej poprzedniej jednostce.

— Uważam, że jest okropny - zauważył Cohen.

— To było dawno temu - powiedział mechanik. - Wiele zdarzyło się od tamtego czasu.

— Tak, masz rację - przyznał Cohen, który widział ten film w Wiedniu, kiedy był dzieckiem.

Inną rozmowę, również bez wstępu, zaczął starszy sierżant Worthington.

- Dwa bezpieczniki i cztery usterki w przewodach instalacji elektrycznej.

Będziemy musieli ją całą wymienić.

- Więc Carter bierze rezerwowego samolot?

- Przeprowadzono go dopiero dziś po południu; bardzo się starano, aby go przygotować. Carter jest wściekły, Gallacher także. To jednak nie moja wina, Sam.

Kopnął jedną z opon.

— Wszyscy to wiedzą, Worthy.

— Carter był cholernie nieuprzejmy.

— Nerwy. Worthy.

Tak przypuszczam. Ale my wszyscy wypruwaliśmy sobie flaki przy „Joe jak King”. Nikt nie dałby rady przygotować go na czas.

- Zapomnij o tym, Worthy. On cię przeprosi i jeszcze postawi piwo, jutro przed obiadem. Znasz przecież starego Tommy’go Cartera; wybucha gniewem wbrew własnej woli.

Worthington klepnął delikatnie ramię Lamberta płóciennym nakryciem rurki Pitota. Zawsze to robił, aby pokazać, że została zdjęta. Lambert nagryzmolił swój podpis na formularzu RAF 700. „Creaking Door” był od tej chwili jego.

- Muszę przyznać, że twój nowy młodzik zna się na schematach połączeń - powiedział Worthington.

- Battersby?

Tak, jest dobry w teorii. Na papierze to on potrafi znaleźć miejsce spięcia, ale obserwowanie go, jak próbuje naprawić usterkę, może przyprawić nawet silnego mężczyznę o płacz. Ma palce dżentelmena.

- Jak powiedziała aktorka do biskupa - stwierdził Digby. Drzwi bombowe były otwarte, więc przeszedł do przodu, gdzie stali Lambert i Worthington, aby sprawdzić bomby. Dźgnął każdą palcem, gdy je liczył i ciągnął próbując, czy nie przesuwają się w szczękach uchwytu. Podwiesił się na ważącej dwa tysiące funtów bombie tak, że szczęki przyjęły również jego ciężar.

- Wolalbym, abyś robił to, zanim my przyjdziemy - powiedział z wyrzutem Lambert.

- Miej trochę zaufania - odparł Digby.

Lambert wyjął portfel z bluzy munduru polowego i wsunął do niego złote, wieczne pióro, które otrzymał w prezencie od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny. Istniał milczący układ, że jeśli cokolwiek mu się zdarzy, to portfel wraz ze wszystkimi listami i dokumentami oraz ostatni list, który od czasu do czasu przepisywał, zostanie oddany Ruth. Wieczne pióro miał zatrzymać Worthington, a pieniądze przeznaczył na trunki dla wszystkich w kasynie sierżantów. Worthington skinął i spojrzał z troską na Lamberta.

Cholernie okrutna wydała mu się ta wojna. Widział nie kończącą się procesję młodzików idących na nią i z niej nie powracających. Włożył ostrożnie portfel do wewnętrznej kieszeni.

Lambert miał właśnie zamiar wejść do maszyny, aby zapuścić silniki, gdy zobaczył nadjeżdżającego obwodnicą pułkownika Humbera. Zatrzymał się przy samolocie.

- „O jak Orange”, starszy sierżant Lambert - - wymruczał porucznik Griffith, oficer administracyjny, do ucha pułkownikowi. Następnie odfajkował coś na kawałku papieru.

- Cholernie zimno, Lambert, co? - powiedział pułkownik tupiąc energicznie w ziemię.

- Tak, panie pułkowniku - odrzekł Lambert. Wepchnął swoją wyświechtaną, szmacianą laleczkę za bluzę. Lambert i pułkownik spojrzeli na siebie nie wiedząc co powiedzieć, a mimo to nie mieli ochoty się rozejść.

— To, wasza maskotka?

— Tak - odpowiedział Lambert i nieśmiało pokazał zezowatą figurkę w czarnej, aksamitnej sukience.

— Starzeje się już - stwierdził pułkownik.

— Tak, panie pułkowniku. To przez wysokość - zażartował Lambert.

— Naprawdę? - zapytał pułkownik. Kiedyś załogi stanowili inteligentni chłopcy ze średnich sfer, chłopcy z fasonem i znający się na żartach. Teraz członkowie załóg pochodzili z rodzin robotniczych, bez odpowiedniego wykształcenia i mówiący tak, że z trudem mógł ich zrozumieć. Co miał Lambert na myśli mówiąc o wysokości? Tak wielu z tych młodych łobuzów dostało zbyt łatwo stopnie sierżantów, a rezultatem tego była poufałość w zachowaniu, do czego nie mógł przywyknąć.

— Starszy sierżancie, to chyba nie pierwsza wyprawa, jaką odbywacie do Zagłębia Ruhry, co?

— Tak jest, panie pułkowniku.

Pułkownik słuchał zwykle wiadomości BBC o dwudziestej pierwszej, co dawało mu tematy do rozmowy, kiedy odwiedzał załogi.

— Nie słuchałem wiadomości dziś wieczorem - powiedział.

— Ja słuchałem - odrzekł Lambert. - Nalot fortec amerykańskich na porty Kanału i nowy duży niemiecki atak na Rokossowskiego wokół Kurska, od Orła i Białogrodu. W samym tylko pierwszym dniu walki Armia

Czerwona zniszczyła pięćset czołgów niemieckich i ponad dwieście samolotów.

— Wspaniale! - krzyknął pułkownik, odwrócił się na pięcie i pośpieszył do samochodu. Podkręcił szybę z uwagi na zimne, wieczorne powietrze,

— Cholerny bolszewik - powiedział.

— Słucham, panie pułkowniku - rzekł oficer administracyjny, który nie słyszał rozmowy.

— Mówię, że to cholerny bolszewik.

— Lambert, panie pułkowniku?

— Az jakiego innego powodu miałby mieć na samolocie napis: „Stalin to król”?

— Nie zauważyłem - powiedział taktownie oficer administracyjny. Wiedział, że samolot, o którym mówi stary, to maszyna Cartera.

— Wiem, że go tam teraz nie ma - stwierdził pułkownik sarkastycznie. - Dano mu dzisiaj nowy samolot.

Oficer administracyjny miał właśnie poprawić pułkownika, ale wydało mu się to zbyt drobną sprawą, aby się spierać. Będzie ze starym przez większą część nocy, więc dlaczego miałby wprawiać go w zły humor?

- Rozumiem, panie pułkowniku - powiedział. Obserwował czerwone iskry ulatujące z cybucha, gdy pułkownik zapalał fajkę i pykał z niej ze złością.



— Właśnie zrobił mi wykład o tej bohaterskiej Armii Czerwonej.

— Naprawdę, panie pułkowniku?

— No cóż, oczywiście, nie zamierzam się z tym pogodzić. Zawieź mnie pan teraz do tego młodego oficera, który dzisiejszej nocy odbywa swój pierwszy lot bojowy.

— Do podporucznika Fleminga, panie pułkowniku. „Z jak Zebra”.

Wóz skręcił i przejechał na drugą stronę obwodnicy. Wydawało się, że pułkownik nie dostyszał go.

— Pozbędę się go, Griffith.

— Tak, panie pułkowniku.

— Dopiero co młody Sweet mówił mi o nim.

— Sweet, panie pułkowniku?

- Sugerował, że Lambert jest „Czerwony”. Pułkownik zaśmiał się krótko, choć nie był w nastroju.

- Tylko, że ja byłem zbyt głupi, aby zrozumieć, do czego młody Sweet zmierzał.

- Czy naprawdę powiedział, że Lambert jest Czerwony? – zapytał podporucznik Griffith w zdumieniu.

— Nie, wyraźnie tego nie powiedział. Jest zbyt lojalny wobec swojej eskadry oraz zbyt dobrym młodym oficerem, aby choć podejrzewać starszego podoficera o taką rzecz. Nie, Sweet po prostu zameldował mi, że Lambert plół w kasynie jakieś propagandowe brednie komunistyczne. Młody Sweet nie był całkiem tego pewien, dopiero jak sam się z tym zetknąłem, zrozumiałem, co się dzieje. Co ty na to, Griffith?

— To godne uwagi, panie pułkowniku.

— Cholernie godne uwagi, Griffith. Jeśliby naczelny dowódca zwietrzył coś, to miałbym się z pyszna, Griffith.

Zaledwie pułkownik zapalił fajkę, a już ją opróżniał, stukając o metalową popielniczkę.

— Istotnie, panie pułkowniku.

— Powiedział pan, że kto jest następny?

- „Z jak Zebra”, panie pułkowniku. Trzej oficerowie w załodze. Dowódcą jest podporucznik Fleming. To jego pierwsza operacja.

Wóz zatrzymał się, a Griffith odfajkował następne nazwisko na liście.

- Cholernie zimno, co Fleming? - zahuczał pułkownik krocząc zamasyżycie po betonowym dispersalu. Oficer administracyjny pomacał tłący się tytoń, aby upewnić się, czy zupełnie wygasł. Przy tej ilości benzyny dokoła palenie było surowo wzbronione.

Głosy niosą się po lotnisku daleko, zwłaszcza nocą. Battersby dosłyszał więc kierowcę WAAF, jak zatrzymała się przy „S jak Sweet” na odległym stanowisku. „Przesiadka” - zawołała. Rozległy się śmiechy i krzyki, a potem usłyszał, jak powiedziała: „Powodzenia, panie kapitanie” i wiedział, że mówiła do Sweeta. Battersby poczuł ukłucie zazdrości. Ostatecznie przecież to jemu przesłała całusa. Obszedł wkoło sprawdzając swój samolot. Oficerowie mieli zawsze te najładniejsze.

Kapral, monter pokładowy, nalał wszystkim herbatę. Emaliowane kubki były poobijane i cuchnęły olejem, ale herbata była gorąca i mile widziana. Digby nadal opierał się o koło podwozia i marzył, gdy usłyszał odległe głosy załogi „Joe jak King”. Stali koło drzwi samolotu rozprawiając. Ich bombowiec pachniał świeżo i obco, a drabinka miała jeszcze na sobie ochronny smar.

- Dlaczego nie możemy lecieć na „Joe”? - zapytał Ben Gallacher.

— Spytaj Himmlera - odrzekł Carter. - Pytałeś mnie o to z dziesięć razy. To nie bezpieczniki. Po prostu nie mogą znaleźć usterki.

— Czym wobec tego ja jestem? - zapytał Gallacher. - Czy jestem w końcu mechanikiem pokładowym, czy chłopcem do roznoszenia herbaty? Dlaczego nie zasięgnięto mojej rady?

— Czy nie możesz sobie wbić do twojej tępej łepetyny, że samolot nawalił? Na miłość boską, przestań wiercić dziurę w brzuchu. Denerwujesz mnie.

— Chcę lecieć na „Joe jak King” - upierał się Gallacher.

Collins, bombardier, odbywający ostatnią operację, sięgnął do wewnętrznej kieszeni bluzy mundurowej i znalazł kawałek kredy. Wspiął się o dwa szczeble drabiny wyżej, napisał „Joe jak King” na oznakowaniach dywizjonu, a pod tym nabazgrał olbrzymiego, zakręconego węża.

- Teraz polecisz na „Joe jak King” - powiedział Tommy Carter. — Wsiadaj i mocno zapnij pasy.

Gallacher zamachnął się i wymierzył swojemu dowódcy szturchańca. Kułak był głośny, po czym nastąpiło wywołane zgorszeniem milczenie.

Tommy w ogóle nie zareagował. Przyjął cios na grube pasy spadochronowe, co zabolalo więcej Gallachera niż pierś Tommy'ego.

Nawigatorem „Joe jak King” był Roland Pembroke, dwudziestolatek z Edynburga ze średnim wykształceniem. Gdy obserwował obu zaczepiających siebie mężczyzn, ogarnęło go przerażenie. Mechanik i pilot nigdy nie zgadzali się ze sobą. Gallacher nie ukończył kursu pilotażu i zazdrościł ciągle tym, co go ukończyli. Z drugiej strony, Tommy'ego cechowała denerwująca Gallachera spokojna poprawność, jaką wykazują tylko policjanci. Roland Pembroke czynił wszystko, co mógł, aby zbliżyć do siebie obu mężczyzn. Zwrócił się teraz do kaprała, montera pokładowego, pytając szeptem:

— Dostałeś?

— Wszystko będzie gotowe. Ten kociak, Cynthia w „The Bell”, zatrzyma dla mnie butelkę.

— I kubki - powiedział Roland Pembroke swym miękkim akcentem mieszkańca południowo-wschodniej Szkocji.

— Kieliszki - sprostował kapral. - Obiecała skombinować dla mnie kilka kieliszków.

— Świetnie - rzekł Roland.

— Dostałem także bułeczki z kielbasą.

Roland wepchnął swój sprzęt nawigacyjny przez drzwi bombowca i odetchnął z ulgą. Jutro są dwudzieste pierwsze urodziny sierżanta Cartera i zakończenie tury operacyjnej przez Tappera Collinsa. Roland Pembroke zaplanował party-niespodziankę właśnie tu, na dispersalu, tak aby cała załoga i personel naziemny mogli razem tę okazję uczcić. Zaczęło się źle.

- Dziesięć operacji wykonanych i jeszcze dwadzieścia do odbycia - powiedział Pembroke znikając w samolocie i trzymając kciuki, jak to zwykle robił dla zapobieżenia niebezpieczeństwu.

Jest wiele sposobów nakreślenia historii życia załogi. Mógłby to być na przykład prosty wykres szans, jakie oferuje towarzystwo ubezpieczeniowe. Początkowe szanse na tym wykresie są małe: pierwsze trzy loty bojowe są pięć razy niebezpieczniejsze od przeciętnej. Ale gdy wprawa i doświadczenie rosną, także i szanse przeżycia z każdym lotem bojowym stają się większe. Inny wykres - - trzydzieści lotów bojowych z pięcioprocentowym stopniem wypadkowości - - będzie zwykłą prostą linią, obrazem matematycznego twierdzenia, w którym każdy lot bojowy niesie równe niebezpieczeństwo, a linia kończy się na dwudziestym locie. Można by wykonać jeszcze inny wykres: linię morale wytyczoną przez psychologów. Krzywe tego wykresu rejestrowałyby stresy ludzi stających raz po raz w obliczu matematycznej możliwości śmierci. Ten wykres, w przeciwieństwie do innych, zaczyna się w najwyższym punkcie. Morale ludzi jest wysokie podczas pierwszych pięciu operacji, a bierze się z odwagi wynikłej z nieświadomości i ciekawości, po czym linia wykresu opada aż do punktu załamania, co następuje w jedenastym lub dwunastym locie bojowym. Być może to ulga po przeżyciu trzynastego lotu bojowego powoduje podniesienie się linii wykresu w górę. Ludzie widzieli śmierć z bliska i byli zaszokowani odkryciem własnego strachu przed nią. Jednak dostrzeżenie, że inni też się boją, podtrzymało morale, które po nieznacznym opadnięciu utrzymywało się niezmiennie aż do mniej więcej dwudziestego drugiego lotu bojowego, po którym obniżało się już niezmiennie.

Po jedenastym locie bojowym załogi nie prosiły o wycofanie ich z latania, nie upijały się i nie biegały z płaczem po kasynie. W rzeczywistości niewielu lotników prosiło o „uziemnienie”, a niechęć do takiego postępowania była spotęgowana przez władze RAF, które wpisałyby do

dokumentów takiego żołnierza słowa: „Brak siły moralnej”, pozbawiły go stopnia i patentu oficera, wydalili okrytego hańbą i ogłosili za oficjalnie uznanego tchórza.

Nie, jedenasty lot bojowy odznaczał się bardziej subtelnymi zachowaniami obronnymi w załodze: fatalizmem, brutalizowaniem, niewrażliwością wobec śmierci przyjaciół i wyraźną zmianą w sposobie bycia. Hałaśliwi dotąd lotnicy stawali się spokojni i zamyśleni, a nieśmiali krzykliwi. Był to okres, w którym pojawiały się Przypadki wrzodów żołądka, głuchoty i innych chorób spowodowanych wysiłkiem nerwowym, nękające w późniejszych latach tych, którzy przeżyli. Załoga „Joe jak King” odbywała swój jedenasty lot bojowy.

Z drugiej strony, załoga „Volkswagena” miała właśnie odbyć swój pierwszy lot. Palili się do niego jak młody człowiek do pierwszej jazdy sportowym wozem. Nie byli jeszcze znużeni tak jak Lambert. Mieli błyskawiczny refleks, bystry wzrok, a ich ręce swędziły, aby się sprawdzić. Lambert był jak bardzo stary biznesmen wsiadający do rodzinnego powozu dla odbycia podróży, jaką zwykł odbywać przez całe swoje pracowite życie. Był zmęczony, apatyczny, miał zwolniony refleks i bał się. A jednak każde towarzystwo ubezpieczeniowe powie wam, że to właśnie starsi ludzie w rodzinnych powozach najmniej kosztują, a młodzież w nowych sportowych wozach ginie.

Podporucznik Cornelius Fleming siadł za sterami „Volkswagena”, próbując ukryć zadowolenie i podniecenie. Słyszał, jak chłopcy nerwowo żartowali, ale on był zdecydowany okazać w obecności personelu naziemnego znudzoną obojętność. Jeden z monterów pokładowych, mówiący szorstkim językiem londyńskich robotników, wszedł do kabiny z blaszaną puszką.

— Oto pana puszka, panie poruczniku - powiedział.

— Na co mi ona? - zapytał Fleming. Zamknął oczy, by się skoncentrować.

— Na przeciek - odparł monter.

Fleming domyślił się, że z niego żartowano i spojrzał na żołnierza podejrzliwie. Monter wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Mam postawić ją panu pod siedzeniem?

— Nie wygłupiaj się - powiedział Fleming i westchnął.

— Jak pan uważa, szefie - odparł monter i odszedł w głąb samolotu. Zszedł na ziemię i odrzucił puszkę pod drzewa. Tak właśnie jest z oficerami. Nigdy nie można im niczego powiedzieć. Ten oficer o twarzy maminsynka spojrzał na niego, jakby ofiarowywał plugawe pocztówki biskupowi. Jedyna tu załoga z trzema oficerami i właśnie do nich musiano go przydzielić. Nie szkodzi, długo nie pociągną, biedacy. „Zebra” to rzeczywiście stary grat, obojętnie jak by się ją czyściło i jaką inną nazwę dało. Było tylko sprawą czasu, kiedy puści w szwach.

Fleming wiedział, że wzburzył faceta i przeklinał swoje podejście do sprawy, nawet jeśli sobie z niego żartowano. Zostać dobrym skiperem było najtrudniejszą rzeczą na świecie, ale i najbardziej pożądaną. Kiedyś wszystkim, o co prosił Boga, był patent pilota. Potem jego pragnieniem było zostać oficerem. Wszystko to jednak okazywało się takie trudne. Dobry skiper musi być doświadczonym pilotem, dżentelmenem, dowódcą-demokratą i tym, co jest najtrudniejsze: nieustraszonym przywódcą, strzegącym bezpieczeństwa swoich ludzi. Zawsze pojawiała się ta cholerna kwestia klasowa. Taki facet po prostu uśmiechnąłby się, gdyby jakiś podoficer postraszył go puszką. To było dobre dla Lamberta. Ci chłopcy z medalami i odbytą turą operacyjną nie mogli w oczach swojej załogi zareagować nieodpowiednio.

- Bercie! - zawołał Fleming do młodego mechanika pokładowego, który przed poznaniem Fleminga był tylko Bertem.

- Słucham pana?

Ekwipunek lotniczy chłopca był za obszerny, więc wyglądał w nim jak dziecko w ubraniu ojca.

— Wszystko w porządku?

— Tak, wszystko na medal, proszę pana.

— Bertie, będziemy się trzymali za Lambertem.

Mechanik skinął głową. „Na medal”, pomyślał Fleming, jak dziwnie oni się wyrażają.

Lambert zapuszczał silniki jako pierwszy z eskadry B. Odsunął szybę w oknie kabiny.

- Gotów do rozruchu, Worthy?

Dwadzieścia stóp pod nim stał wózek akumulatorowy.

- Gotów!

Lambert wysunął rękę za okno kabiny, wskazał palcem na lewy wewnętrzny silnik, a następnie zwrócił kciuk ku górze. Worthy, stojąc na betonowej nawierzchni, wskazał dłonią na ten sam silnik i pokręcił prawym wskazującym palcem, jakby chciał nim poruszyć śmigło. Lambert nacisnął przycisk rozrusznika. Dało się słyszeć stukot pompy wspomagającej i odgłos krztuszenia się motoru. Potem nastąpiły pierwsze wystrzały merlina, które można było odebrać jako afront dla spokojnej okolicy. Silnik zaskoczył, zaryczał. Potem ruszył następny i następny, aż odgłos trzydziestu dwóch silników odbił się echem od drzew The Warrens i czarnej, blaszanej ściany hangaru, niczym milion zapamiętałych doboszy wymaszerowujących na wojnę.

Obudziło to Sama Thatchera. Spojrzał na zegar: była dwudziesta trzecia dwadzieścia trzy.

— Znow lecą - powiedziała jego żona.

— Trzeci raz w tym tygodniu - dodał. - Będę musiał zażyć tabletki nasenne.

Ale do startu była jeszcze godzina i silniki pogały tak nagle, jak zostały uruchomione. Zapadła nocna cisza, przerywana odgłosem przekleństw ludzi pracujących przy światłach latarek i rozmowami załóg.

Flash Gordon, mały górnik z Nottingham, z kieszeniami pęczniejącymi od cukierków dla swoich braci i siostr, spoglądał na wieżyczkę strzelecką. Odczekał aż zgasł ostatni silnik, a ciszę mąciło tylko

kilka samolotów eskadry A po drugiej stronie lotniska.

- Dobra robota - powiedział.

Sierżant zbrojmistrz zasłużył na pochwałę. Wycięcie kawałka pleksiglasu było trudniejsze, niż się wydawało.

— Nie będę już strzelał do kropli oleju, myśląc że to Junkers 88 - powiedział Flash i zaśmiał się.

— A zdarzyło ci się coś takiego? - zapytał zbrojmistrz.

— Nigdy żadnego nie widziałem - odparł Flash. - Wykonałem piętnaście lotów bojowych i nigdy nie widziałem nocnego myśliwca.

Binty Jones, strzelec ze środkowej górnej wieżyczki, przechodził właśnie obok. Zbrojmistrz zawołał za nim:

— Twoją wieżyczkę też przerobię, Binty.

— Do diabła z tym, nie potrzebuję. Sprawdzam swój pleksiglas codziennie. Nigdzie nie ma ani jednej plamki, ani skazy. A gdyby była, człowieku, nie czyniłbym z siebie takiego głupca, żeby do niej strzelać.

— To kropelki oleju mylą, a nie skazy - powiedział ze złością Flash.

— Co za różnica. Nie przychodź prosić mnie, aby się zamienić miejscami, kiedy złapiesz jeden z tych przeklętych katarów.

— Dobrze! - zawołał za nim Flash. - Nie przyjdę, nie martw się.

— Zamarzniesz, gdy twój elektrycznie ogrzewany strój nawali - ostrzegł go zbrojmistrz.

— Właściwie to ja marznę już teraz - przyznał Flash.

— Dziś w nocy jest zimno - powiedział zbrojmistrz i zapiął aż po szyję guziki służbowego płaszcza oraz owinął się po uszy szalem domowej roboty. Silniki samolotów eskadry A nagrzano i wyłączono. Lotnisko milczało. Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać.

Ludzie w samolotach czynili sekretne obietnice Bogu lub dokonywali zabobonnych rytuałów. Mucha brzęczała ospale na przedniej szybie kabiny Tommy'ego Cartera.

- Leć do domu i prześpij się, durna - powiedział do niej Tommy. - Ani się nie spostrzeżesz, jak znajdziesz się wysoko w powietrzu.

Lambert umieścił za siedzeniem lalkę, nazwaną Flanagan.

— Stamtąd nic nie zobaczy - powiedział Digby. - Rzuć ją tutaj, postawię ją w przedniej wieżycze.

— Widziała to wszystko przedtem - wyjaśnił Lambert. - Byłoby jej



trudno zmienić przyzwyczajenia.

Podpułkownik Munro otworzył boczne okno, aby pooddychać świeżym powietrzem. Następnie włożył swoją laseczkę pod siedzenie. Jego załoga domyślała się, że laseczka jest szczęśliwym amuletem skipera, choć za nic by się do tego nie przyznał. Munro spoglądał na niebo i oddychał głęboko. Zauważył, że chmura zjadła kawałek Wielkiej Niedźwiedzicy i zagrażała Skorpionowi. Z drzew w Witch Fen głośno pohukiwała sowa.

— Słyszysz pan, panie pułkowniku? - zapytał Jock Hamilton, jego nawigator.

— Tak, słyszę - i dodał pośpiesznie - to na szczęście.

Jock spojrział na dowódcę nie przekonany. Nastąpiła cisza do chwili, aż usłyszał pociąg, sapiący i poruszający się z głośnym stukotem kół w kierunku północnym. Pociąg ten znajdzie się wkrótce w Szkocji, blisko jego żony i syna. On sam będzie wtedy nad Niemcami. Munro spojrział na wciąż jeszcze niezupełnie pociemniałe niebo. Na północy miało kolor purpurowy, prawie zielony.

Niż, który sprowadził burze nad Europę, kierował się na północ i zbliżał do brzegów Szwecji. Ciśnienie powietrza w niżu wyrównywało się, co świadczyło, że wkrótce zniknie. Pracownicy służby meteorologicznej wymazywali ze swych map jego obraz nakreślony tuszem i zaznaczali postęp wyżu nadchodzącego od zachodu. Ta góra powietrza naciskała już na Anglię. Jej zewnętrzna warstwa schodziła ku Irlandii, Biskajom i Norwegii, gdzie ciśnienie było niższe. Zstępujące powietrze ocieplało się i wszystkie chmury na jego drodze wyparowywały. Po zbliżeniu do obracającej się Ziemi ocierało się o nią i odchyłało zgodnie z ruchem wskazówek zegara tak, aby stworzyć łagodnie wirującą masę powietrza, mierzącą w poprzek setki mil - wyż.

Przyniósł ze sobą jasnoniebieskie niebo i rozproszone światło zachodzącego słońca, co wróżyło następny wspaniały dzień. Ale ta gwiazdzista noc była zimna, ponieważ przy nielicznych chmurach zatrzymujących wznoszące się ciepło, temperatura opadała, a lotnicy bili się dłońmi o boki i skarżyli na długie oczekiwanie.

Było piętnaście minut po północy podwójnego brytyjskiego czasu letniego, gdy ruszył pierwszy z Lancasterów. Ostatnie odsiusianie się miało miejsce tuż przed zapięciem skafandrów i usadowieniem się na

stanowiskach, na których mieli pozostawać przez kilka godzin. Pełny pęcherz lub - co gorzej - wiatry w kiszkach, powodują na dużych wysokościach bóle. Szybko zjedzona zielona fasolka na grzance może przyprawić człowieka o potworny ból właśnie wtedy, kiedy będzie najbardziej potrzebny załódze.

Kołując, bombowce ciężko dudniły po obwodnicy. Niektóre śpieszyły się, aby uniknąć kolejki, jaka utworzy się na południowym końcu pasa startowego.

Skoro tylko „Creaking Door” Lamberta ruszył, „The Volkswagen” pokołował za nim. Fleming trzymał się tuż za jego ogonem, gdy samoloty wlokły się powoli wzdłuż niebieskich świateł obwodnicy. Jakież większe nieszczęście mogło ich teraz spotkać od wjechania kołem na miękki grunt poza tymi światłami i zatrzymania całego dywizjonu? Użył hamulców, gdy dokołowali do zakrętu przy drodze do Ramsey. Parkowała tam furgonetka hillman z włączonymi długimi światłami. W przeciwnym razie Fleming mógłby skrócić zbyt dużym łukiem i zahaczyć końcówką skrzydła o ogrodzenie. Światło ogonowe samolotu Lamberta znów przesunęło się do przodu. Niektórzy bombardierzy świecili lampkami sygnalizacyjnymi z nosa samolotu aby oświetlić drogę, ale Lambert wolał przyzwyczaić swój wzrok do ciemności. Każdy Lancaster oznajmiał swoje przybycie na pas startowy lampą sygnalizując kontrolni literę kodową. Po uzyskaniu zielonego światła, zaczynał startować a następny bombowiec wpełzał na stanowisko.

Lambert rzucił okiem ku gromadzie personelu naziemnego, który machał ku nim rękami ze skraju pasa startowego. Byli wśród nich doświadczeni mechanicy, młode dziewczyny, a także kobiety z NAAFI. Odprowadzali bombowce, nawet gdy Padało. Lambert czuł dla nich wdzięczność.

— Duży tłum dzisiejszej nocy - zauważył Binty.

— To przez twoje czary - powiedział Kosh.

— Ach! - westchnął Binty.

John Munro szczegółowo podał procedurę startu. Po wykołowaniu ze swoich stanowisk na obwodnicę, bombowce ustawiały się sznurem po obu stronach końca pasa startowego. Jak tylko jeden samolot otrzymywał znak zielonym światłem, następny sygnalizował swój kodowy znak rozpoznawczy. Znudzony oficer Kontroli Lotów wciągał do dziennika start

każdego samolotu i przetelefonowywał go do sali operacyjnej, gdzie na podzielonej na prostokąty tablicy wielkości ściany, wpisywano nazwisko każdego pilota, literę kodową, godzinę startu i godzinę powrotu. Było tam też miejsce na uwagi.

Każdy bombowiec bywał obciążony daleko powyżej granicy bezpieczeństwa (obowiązującej w czasie pokoju) i oderwanie się od ziemi nie było sprawą łatwą. Lambert pędził ku niewidzialnej rampie spokojnie i pewnie. Następny był Fleming, który nieznacznie zszedł z kierunku przed oderwaniem się od ziemi, ponieważ pierwszy raz leciał z pełnym ładunkiem bomb.

Tommy'ego Cartera można było rozpoznać pó każdym jego starcie: zbyt wiele gazu, zbyt wcześnie ściągnięty drążek sterowy i podwozie wciągnięte zanim samolot znalazł się nad Witch Fen. Tej nocy paskudnie go zniosło. Zły i jeszcze nie przyzwyczajony do fabrycznie nowego bombowca, za gwałtownie manewrował sterem kierunkowym. W połowie pasa startowego pędził ukosem, skierowany ku wieży kontrolnej. Pędził za szybko, aby zatrzymać się przed główną drogą. Zdał sobie sprawę, że zjeżdża z twardego pasa startowego dopiero wtedy, gdy oznaczające go białe światła mignęły pod nim ścigając się jak pociski smugowe. Dalej była ziemia piekielnie miękka po deszczu z wczorajszej nocy. Ściągnął desperacko na siebie drążek sterowy jedną ręką, próbując drugą pchnąć manetkę gazu zewnętrznego silnika mocno do przodu, aby skorygować znoszenie. Poczul, jak jedno koło spadło z krawędzi pasa startowego. Gallacher przyciskał się do przegrody i przeklinał.

Tommy nie prowadził samolotu, on z nim walczył.

- Awaryjne ciśnienie ładowania! - wykrzyknął. Byłyby to jego ostatnie słowa, gdyby nie śmigła, które uczepiły się zimnego powietrza jak koniuszki palców szczeliny skalnej. Przez długie sekundy nie nabierał wcale wysokości, a opony sunęły zaledwie kilka cali nad trawą, aż powoli i posłusznie „Joe jak King” załapał powietrze.

Oficer dyżurny, pułkownik i WAAF-ka, stali jak przykuci do miejsca w wieży kontrolnej lotów widząc jak ta masa wieloskładnikowego stopu, wyladowana kruszącym materiałem wybuchowym, fosforem, magnezem i paliwem, wali prosto na nich z szybkością stu mil na godzinę. Nikt z nich nie poruszył się, dopóki samolot nie przeleciał z rykiem nad dachem wieży,

wstrząsając jej fundamentami, mijając zaledwie o cale balustradę i zabierając ze sobą antenę.

Tapper Collins przebywał zawsze przy startach i lądowaniach maszyny w jej nosie, mimo że było to wbrew przepisom.

- Widziałem tego cholernego bombardiera - wyszeptał pułkownik ledwie mogąc w to uwierzyć. - Widziałem twarz tego cholernego bombardiera - powtórzył.

A Tapper zobaczył ich także: białe, skamieniałe, patrzące nieruchomo sylwetki, które mignęły nie więcej niż trzydzieści stóp pod nim.

- Jezu Chryste - powiedział. - Myślałem, że zabrałeś coś ze sobą.

— Małe zejście z kierunku - wyjaśnił Tommy.

— Małe zejście z kierunku!? - powtórzył Tapper. - W podwoziu pewno zaplątało się trochę zakrwawionych włosów pułkownika.

— Po diabła siadasz w przodzie - zawarczał Tommy. - To był twój pomysł.

— Mogłem go dotknąć - powiedział Tapper. - Mogłem wyciągnąć rękę i ukręcić mu ten stary, głupi łeb.

Olbrzymie samoloty wzbijały się powoli, jeden po drugim w ciemność i znikwały. Z kolorowymi światełkami pozycyjnymi na końcach skrzydeł, przetaczały się z grzotem nad pokrytym mgłą i naładowanym alkoholem hillmanem, który Singleton i jego przyjaciółka wypożyczyli sobie na ten wieczór. Nie przestali się pieścić aż do chwili, gdy ostatni samolot „D jak Dog” Munro nie wystartował. Gdy jego głos zamilkł w oddali, nad okolicą zapanowała cisza.

- To dziwne uczucie, gdy samoloty odlecają. Robi się tak pusto - powiedziała dziewczyna.

- Co przez to rozumiesz?

- Nie wiem. Człowiek przyzwyczaja się do widoku tych wielkich maszyn. W zeszłym miesiącu, kiedy z powodu mgły skierowano je wszystkie do hrabstwa York, dziwnie wyglądało za dnia puste lotnisko. W sekcjach też nie było prawie nikogo.

- Nie miałbym nic przeciw temu, aby je skierowano na kilka dni gdzie indziej. To ułatwiłoby mi nieco życie, zapewniam cię - powiedział Singleton.

- Zastanawiam się, czy wszyscy wrócą - rzekła dziewczyna.

— To hazard, prawda?

— Ostatnio mieli szczęście.

- No, nie zawsze. W zeszłym tygodniu dostał „Able”, „U jak Uncle” tydzień wcześniej, a ten starszy sierżant Lambert powrócił trzy loty temu z martwym nawigatorem.

- Cieszę się Bercie, że nie jesteś jednym z nich.

- Mogłem być strzelcem, ale odpadłem ze względu na nogi.

— Nie zniosłabym tego, Bercie. Pocałuj mnie jeszcze. Całowali się przez kilka minut, a potem Singleton zapytał:

— Bałaś się dziś w nocy?

— Nie. Oczywiście, że nie.

— Daj spokój, bałaś się.

— Troszeczkę.

- Świadomość, że można zostać aresztowanym podnieca, prawda?

Kłopot ze mną, bo wydaję pieniądze zbyt łatwo.

Dziewczyna roześmiała się.

— Wiesz, co chciałbym zrobić pewnej nocy? Zdziwiłabyś się, Janet. Chciałbym zdobyć trochę opon i benzyny. W tym właśnie są prawdziwe pieniądze.

— Lub w trunkach - powiedziała dziewczyna.

— Myślisz tak, bo nie masz doświadczenia w robieniu machlojek - odparł kelner z kasyna. - Trunki są zamykane na klucz i liczone. Tylko frajer kradnie alkohol.

- Zawsze masz rację, Bercie.

- Powiedziałem ci, że byłem łobuzem, prawda? Przestań chichotać, Janet ostrzegł.

Dziewczynę kusilo, aby mu powiedzieć, ile już razy weszła w kolizję z prawem i o swoim ostatnim włamaniu, za które posłano ją do zakładu poprawczego, ale uśmiechnęła się tylko i nic nie powiedziała.

Lambert znał trasę z Warley do punktów zbornych na wybrzeżu, tak jak - kwatery do kasyna. Zwykle leciał prosto do punktu zbornego kursem opartym na ocenie wiatru, podanej przez pracownika służby meteo. Od miejsca zbornego Cohen obliczał już rzeczywiste położenie samolotu w oparciu o właściwy wiatr dzisiejszej nocy Lambert zorientował się zaraz po starcie, że wiatr wiał inaczej niż Podano, więc trzymał kurs bardziej ku południu pozwalając, aby podmuchy spychały go na właściwą trasę.

Southwold - oznajmił Digby. Leżał w nosie samolotu i spoglądał w dół Przez przezroczystą czaszę.

O.K. - powiedział Cohen wiedząc, że mówiono do niego. Ustalił Położenie z radiolokatora i zaznaczył godzinę przelotu nad Southwold na mapie.

- Mamy niezły wiatr, skiper - oświadczył.

- Zobaczymy - odparł Lambert. - Kiedy nabierzemy więcej wysokości, idziemy mieli lepsze rozeznanie. Wiatry w górze mogą być inne.

Mogę wypróbować karabiny maszynowe? - zapytał Binty.

- Tak, wypróbujcie obaj - zgodził się Lambert wiedząc, że Flash poprosiłby zaraz potem. Także Digby wypróbował swoje przednie karabiny. Odgłos strzałów odbijał się o metalowy kadłub, a z przedniej wieżyczki Digby'ego doleciała woń Prochu i przypalonego oleju. Pociski smugowe wytyczając łagodną krzywą wpadły do morza.

Dzisiejszy podróżny, przebywający na dużej wysokości w kabinie ciśnieniowej szybkiego samolotu odrzutowego, z trudnością może sobie wyobrazić ówczesne stanie. Cały samolot kołatał i wibrował mocą silników tłokowych. Przyrządy P<sup>o</sup>Madowe drżały, a kontury ich cyfr zacierały się. Maski tlenowe były obowiązkowe, mikrofonów i słuchawek potrzebowali nawet do tego, aby sobie Pogadać. Na tych wysokościach stosunek mocy do ciężaru czynił te samoloty bardzo wrażliwymi na warunki atmosferyczne. Powietrze było nadal pełne niespodzianek, chociaż teraz, podczas zimnej nocy, samolot był stateczniejszy niż w nagrzanej turbulencji południa. Uderzali w twarde ściany masy powietrza spadali w głębokie dziury powietrzne. Stale zapadali się, kołysali i zbaczali kursu. Stopień ich stabilności zależał tyle od siły pilota, co od jego umiejętności, Ponieważ stery nie miały urządzenia wspomagającego i trzeba było wielkiego wysiłku, aby odchylić je w strumieniu powietrza. Cały czas odczuwało się wibrację, która biła jak młotem w skronie, wstrząsała zębami i wygrywała marsze na kręgosłupie tak, że nawet po pozbawionym wydarzeń locie, załoga czuła się bardzo zmęczona.

Digby usiadł obok Cohena. Ten ostatni obsługiwał aparat radarowy H2S, który skierowany na świat pod nimi dawał obraz rentgenowski, na którym można było rozróżnić lasy, wodę i domy. Aparat często się psuł, ale nawet kiedy działał, obraz ledwo przypominał mapę. Cohen nagrzał aparat i obaj obserwowali ciemną zieleń ekranu.

- Coś takiego - działa! - zdziwił się Digby.

Cohen odsunął swój mapnik na koniec stolika kreślarskiego. W ten sposób zasłonił czystą, metalową łatę. Mechanicy starszego sierżanta Worthingtona przynitowali ją na wyszarpanej pociskiem dziurze. Wpadł przez nią odłamek, który przeszył płuco nawigatora i zabił go na tym siedzeniu trzy loty bojowe temu.

- Nie rób tego chłopie - poradził Digby. Odsunął mapnik na bok. Mała, lampa stołowa oświetliła świeży metal pod takim kątem, że zaślnił jak szklane oko.

- Lubię na to patrzeć - wyjaśnił Digby - liczę, że piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce. Ty i ja mamy najbezpieczniejsze miejsca na tym latawcu.

Cohen spojrzał przychylniej na metalową płytkę.

- Wszyscy zadowoleni? - zapytał Lambert.

Na melodię „Abdul Abulbul Amir” Flash Gordon zaśpiewał w tylnej wieżycze fałszując:

*„Stary Avro ze starymi skrzydłami*

*I pokryciem zupełnie wystrzępionym i podartym.*

*Samolot ze starymi merlinami, cały powiązany  
sznurkiem*

*I z grzejnikiem, który nigdy nie grzeje.*

*Ale to zupełnie bezpieczny i pewny samolot,*

*Ponieważ nie oderwie się od ziemi.*

*Może jednak pewnego dnia poleci,*

*Podczas gdy mama zostanie sama w domu”.*

Flash czekał na słowa uznania lub oklaski, ale na próżno. Binty powiedział:

— Człowieku, ależ ty zupełnie mylisz rytm!

— Och, zamknij się - odparł Flash.

- Kiedy już skończycie śpiewać i gawędzić - odezwał się Lambert -



może i ja będę mógł powiedzieć słówko.

- Panowie - powiedział Digby. - Jestem niezmiernie dumny z możliwości przedstawienia wam dowódcy naszego samolotu, waszego przemiłego gospodarza i gawędziarza, który zrezygnował ze swoich osiemdziesiątych pierwszych urodzin, aby dziś w nocy być tutaj z nami. Panowie, wasz i mój przyjaciel, starszy sierżant Samuel Lambert, DFM.

— A teraz zorganizujemy się trochę - powiedział Lambert.

— Dla odmiany - odezwał się Jimmy Grimm.

— Dla odmiany - zgodził się Lambert.

Jimmy Grimm starannie nastroił radio..

— Przekazano nam nowe dane o wiatrach, skiper. Podać je?

— Daj je Kosherowi - odparł Lambert.

Lecieli coraz wyżej i wyżej, a na każde zyskane tysiąc stóp temperatura spadała o dwa i pół stopnia Celsjusza. Załoga dopinała kombinezony lub przesuwała się bliżej dmuchaw ciepłego powietrza. Na ośmiu tysiącach stóp zaczęli korzystać z zabranego ze sobą tlenu. Lambert kontynuował wznoszenie. Weszli w ławicę chmur. Nie ma dotąd jeszcze sposobu aby odkryć, czy w chmurach czeka nas oblodzenie, wyjąwszy trzymanie kciuków na szczęście. Ta chmura wydawała się nie mieć końca. Zimne powietrze mocno ochłodziło samolot. Lewy zewnętrzny silnik „Door” zakrztusił się raz i drugi, ale wrócił do normalnego stanu.

— Co z dopływem paliwa?

— O.K. - odrzekł Battersby.

— Daj wzbogaconą mieszankę.

— Już dałem.

— Porządny z ciebie chłopiec.

Silnik, umiejący ocenić luksusową dietę, zaryczał pełną mocą.

— Oblodzenie gaźnika.

— Czy temperatura O.K.?

— Za chwilę wyjdziemy z tego.

Lambert ustawił samolot na bardziej strome wznoszenie, a Battersby wyregulował silniki na jeszcze większą moc.

- Nienawidzę chmur - zwierzył się Lambert.

Naciskały na okna i czyniły kabinę jeszcze ciemniejszą niż przedtem. Battersby zajął się przyrządami i starał się udowodnić Lambertowi, jakim to

jest ekspertem. Właśnie gdy zameldował, że ciśnienie i temperatura są w porządku, silniki zaczęły pracować niezgodnie.

— Czy wiesz dlaczego tak się dzieje?

— Olej za bardzo ziębnie i usztywnia sterowanie skoku. Lambert skinął głową i powiedział:

— Możesz je znowu zsynchronizować?

Battersby przejechał końcami palców po manetkach. Po odszukaniu niewłaściwie pracującego silnika, a następnie skorygowaniu, sprowadził ostatecznie silniki do ich poprawnego, harmonijnego ryku.

- Trzymaj tak - powiedział Lambert - zrobiłeś to dobrze Micky. Battersby nigdy nie czuł się tak dumny z siebie.

Gwiazdy zamigotały jedna po drugiej przez górną szybę kabiny i znaleźli się nad chmurami. Stery samolotu stały się teraz miękkie, ponieważ „Creaking Door” osiągnął swój optymalny pułap i żadne ciągnięcie za drążek sterowy nie zmusiłoby go do wzniesienia się wyżej. To był ten etap drogi, na którym Lambert stosował technikę, której nauczył się od pewnego starego pilota, kiedy jeszcze latał na Whitleyach. Przez nagłe opuszczenie klap o piętnaście stopni podczas lotu z prędkością przelotową Lambert i Battersby powodowali, że samolot uderzał w ścianę powietrza, drżał przy tym uderzeniu i podskakiwał o jakieś dwieście stóp wyżej. Za każdym razem, gdy to robili, samolot osiągał nową wysokość. Lambert mógł tą metodą dodać ponad tysiąc stóp wysokości do normalnego pułapu samolotu. Pierwsze z serii wstrząsających kręgosłupem uderzeń przebiegło przez samolot.

- Wchodzimy po schodach - powiedział Lambert. - To właśnie chciałem wam powiedzieć.

Kapitan Sweet wpatrywał się uważnie w noc. Widział przed sobą maleńki prostokąt drogi wyznaczonej flarami i domyślił się, że to inny dywizjon nabiera wysokości, aby dołączyć do strumienia bombowców. Widział w nocy lepiej niż inni i zwykle dostrzegał cel w terenie, zanim zobaczył go bombardier. Innych samolotów nie było widać. To dziwne, że bez względu na metodę synchronizacji czasu, jaką stosowano dla stłoczenia strumienia bombowców tak ciasno, jak to było możliwe, niebo było tak bezkresne, że czasem wykonywał cały lot bojowy nie zobaczywszy innego samolotu. Przypuszczał, że faceci gorzej widzący w ciemnościach robili całe

tury bez zobaczenia czegokolwiek.

Przednia wieżyczka poruszała się przed nim spokojnie od lewej ku prawej.

— Bombardierze, przestań kręcić tą wieżyczką.

— Przeszukuję niebo, panie kapitanie. Takie są rozkazy.

— Więc kręć szyją - głos Sweeta podniósł się o ton.

— Utrzymuję w ten sposób odpowiednią temperaturę cieczy hydraulicznej, panie kapitanie.

— Czy zawsze musisz dyskutować, Spekey? Sweet obrócił swoje uwagi w żart i dodał łagodząco:

— Nie ruszaj się, bądź grzecznym chłopcem.

Pip Speke, osiemnastolatek z dużym, czarnym wąsem i reputacją szczęśliwego hazardzisty, dał nura z wieżyczki i stanął za celownikiem bombowym. Większość załóg miała za pilotów sierżantów i trzymała się razem. Niekiedy chodzili razem popić. Niektóre miały nawet porządnych oficerów. Najłatwiejszym sposobem zdenerwowania sierżanta Speke, było powiedzieć mu, jak bardzo powinien się cieszyć, że lata z lubiącym żarty facetem, ze skromnym kapitanem Sweetem, DFC.

- Nawigatorze - odezwał się Sweet - ile mil do wybrzeża?

- Około dziesięciu - odparł nawigator.

- Billy, chłopcze, nie używajmy zbyt wielu „około” dziś w nocy, dobrze? - powiedział Sweet. - Bombardierze, daj mi znać, jak zobaczysz linię brzegu.

- O.K.

Sweet spojrział w dół. Ziemia tonęła w ciemnościach, ale mimo zaciemnienia można było odróżnić niewyraźne kształty miast.

- Nawigatorze - powiedział - widzę pod nami Lowestoff. Zeszliśmy z kursu.

— Jest pan pewien, panie kapitanie?

— Jest pan pewien, panie kapitanie? Tak, jestem pewien, proszę pana. A za miastem widzę światła Yarmouth. Jesteśmy co najmniej dziesięć mil na północ od naszej trasy.

Nastąpiła krótka cisza, podczas której nawigator obliczał położenie na radiolokatorze.

- Kurs 120 stopni - powiedział. - Wiatry są niepewne.

— To tylko poprawka. Chcę dołączyć do strumienia bombowców nad Southwold.

— W takim razie, panie kapitanie, weźmy kurs dokładnie na południe, powiedzmy 160 stopni.

— To już bardziej prawdopodobne, synu.

Sweet zdał sobie sprawę, że zdenerwował nawigatora, a wzburzenie załogi było luksusem, na który rzadko sobie pozwalał.

- Chłopcy - - powiedział - to jest samolot dowódcy eskadry. Musimy wykonywać wszystko przepisowo. To głupie, wiem o tym, ale jeśli zaczniemy ścinać narożniki to inne załogi też tak zrobią.

Sweet leciał na południe nucąc sobie coś pod nosem. Nagle odezwał się:

- Czy opowiadałem wam historię o oficerze WAAF i sierżancie...?

- Zbliża się linia brytyjskiego brzegu, panie kapitanie - przerwał mu Pip Speke. Teraz można było przekonać się, jak dobre było zaciemnienie Brytanii, ponieważ poza wybrzeżem świat pod nimi był zupełnie ciemny.

Olbrzymia antena radaru Freya obracała się łagodnie poddając się zimnym wiatrom wiejącym z Anglii. Zatrzymała się, by zacząć obracać się z powrotem i znów stanęła. Willy Reinecke zawołał do Augusta Bacha przez słabo oświetlony barak „T”.

- Pierwszy kontakt, panie kapitanie!

I tak zaczęła się bitwa: trzy grupy ludzi, używając wszystkich urządzeń, jakie nauka wynalazła, zaczęły szukać w ciemnościach po omacku, jak bandyci.

August pośpieszył po drewnianych stopniach na podium tablicy wykresowej.

— Pierwszy zapis o godzinie zero trzydzieści pięć - informował pracownik.

— W pobliżu Lowestoff. Kontakt w zasięgu maksymalnym - powiedział August. - Gratuluję. Nie są jeszcze nawet nad brytyjskim wybrzeżem. Freya dobrze dzisiaj pracuje.

- Wydaje się, że ostatnio wstrzymali zagłuszanie - wtrącił Willy.

- Od czasu jak poszerzyliśmy pasmo fali, nie potrafię zagłuszyć całej jej szerokości.

- No i zależy to od strojenia.

- No i zależy to od strojenia - powtórzył August uśmiechając się. - Powiedziałem przecież, że gratuluję.

- Przekazałem wiadomość o tym do FLUKO” - powiedział telefonista. - Nie mieli wcześniejszego od nas kontaktu.

- Dobrze - zamruczał August. Położył kątomierz na mapie. Znał wszystkie namiary jak własną kieszeń, a jednak ustawiał na mapie kątomierz, kiedy wydawał polecenie. Willy podziwiał taką dokładność, zwłaszcza u oficera.

Niech czerwony Wiirzburg omiata przestrzeń od Ipswich do Yarmouth od 270 do 290 stopni. Nie podawaj im zakresu, bo przestaną się starać.

- Lowestoff - rzekł Willy, spoglądając na mapę. - To znacznie na północ od zwykłej trasy. Może lecą na Berlin?

- Jeszcze za wcześnie na prognozę. Może mają wyznaczoną trasę na południe, to tylko kilka mil z kursu. To tłumaczyłoby sprawę. Musimy poczekać i przekonać się, Willy.

Wkrótce potem Willy znowu się odezwał:

- Ma pan rację, panie kapitanie, ma pan rację. Skręcili prawie zupełnie na południe.

— Zbierają się nad Southwold. August pokiwał głową.

— Brytyjczycy są konserwatywni.

Na zewnątrz, w zimnie, pośród wystawionych na wiatr wydm, załoga czerwonego Wiirzburga została ponownie zaalarmowana. Wiedzieli, że Freya ma dwukrotnie większy zasięg niż ich urządzenie, ale Wiirzburg miał węższą wiązkę i dlatego był bardziej dokładny. Mógł „zobaczyć” pojedynczy samolot, podać jego wysokość i naprowadzić na niego nocnego myśliwca. Urządzenie Freya ostrzegało wcześniej, ale to właśnie Wiirzburgi doprowadzały do zestrzelenia.

— Dowódca nocnych myśliwców daje nam dwa Ju88 z Kroonsdijk - powiedział Reinecke. Nadal był przy telefonie. August skinął głową.

— Miejmy nadzieję, że będzie to pilot, z którym współpracowaliśmy przedtem - odezwał się Willy.

— Mógłbym zabić tego głupca, który ostatniej środy pozwolił uciec Tommiemu - powiedział August. - Musiał być tuż przed nim.

— Punkciki nakładały się - powiedział Reinecke z odrazą.

Barak „T” stanowił centrum stacji Himmelbett, którą dowodził August. W pobliżu znajdowały się jeszcze inne baraki: kwatery, sala kasyna, garaż sekcji transportowej i same urządzenia radarowe. Oprócz Freyi były dwa identyczne Wurzburgi: wielkie czasy, siedem metrów średnicy. Jeden niebieski, dla prowadzenia nocnego myśliwca i drugi czerwony, dla śledzenia lotu jednego z bombowców RAF. Wewnątrz baraku „T” dwaj kreślarze, którzy otrzymane dane nanosili na tablicę w formie wykresu, siedzieli zgarbieni pod dominującym nad wnętrzem dużym, drewnianym podium. Każdy z nich miał założone słuchawki i był w kontakcie z Wiirzburgiem. Aby pokazać drogę lotu obu samolotów, świecili reflektorkami punktowymi na szklaną mapę. Ze swojego stanowiska na podium August i Willy mogli zobaczyć na tablicy Seeburg znajdujące się przed nimi dwa świetlne punkty: niebieski i czerwony. Ich zadaniem było doprowadzić do spotkania się tych obu świetlnych punktów. Potem niemiecki nocny myśliwiec powinien znaleźć na swoim radarowym ekranie lecący przed nim bombowiec. Albo, w jasną, księżycową noc, dojrzeć go.

W baraku panowały ciemności. Nie było punkcików na tablicy

Seeburg, ponieważ bombowce nieprzyjacielskie nie znajdowały się jeszcze w zasięgu Wiirzburgów. August patrzył na umieszczoną na ścianie mapę o dużej podziałce, a Willy meldował co kilka minut o postępie strumienia bombowców RAF, lecących nad Morzem Północnym, prosto ku nim.

Telefon zabrzączał cicho.

- Dwa nasze samoloty wystartowały - oznajmił Willy.

- Powiedz niebieskiemu Wiirzburgowi, aby ich szukał między 50 a 70.

Willy Reinecke obgryzał paznokcie. August uśmiechał się. To był najgorszy okres. Wiele razy znajdowali Tommich zbierających się nad własnym



wybrzeżem, ale bombowce kierowały się często gdzie indziej. Stacja Himmelbett Ermine kryła jedynie mały odcinek długiej linii brzegowej i jeśli bombowce nie kierowały się prosto na Zagłębie Ruhry, to przelatywały poza jej zasięgiem. W takim przypadku spędzali całą noc gryząc paznokcie i przeklinając swój brak szczęścia. Willy wiedział jedno: służbę pełniły najlepsze załogi. Jeśli Anglicy nadlecą tędy, to na pewno ich odnajdą. Reszta należała do nocnych myśliwców.

— Zaczyna się zagłuszanie - oświadczył Willy. Następnie dodał bardziej oficjalnie:

— Zagłuszanie w powietrzu na Freya, w szerokim paśmie, przeciętnie 290 stopni. Stały kierunek i zwiększająca się intensywność.

— Samoloty zagłuszające muszą lecieć prosto na nas.

— Nie wiem - powiedział Willy - dlaczego dowódca nocnych myśliwców nie wyśle paru naszych chłopców, aby je zestrzelić.

— Jak tam?

— Nieźle. Już niedługo samoloty będą wyraźnie dostrzegalne na ekranie.

— Wurzburgi wkrótce je przejmą.

— Dzięki Bogu, ich jeszcze nie potrafią zagłuszyć.

— Może to nastąpić każdej nocy, Willy, mój chłopcze.

Stamtąd, gdzie stał, August mógł obserwować tablicę i mapę na ścianie. Mapa pokazywała obszar od wschodniej części Anglii do Frankfurtu. Mniejsza obejmowała tylko sektor Ermine i zachodzące na siebie koła otaczających ją sektorów. Teraz, gdy podano wczesne ostrzeżenie, także inne odcinki zostały zaalarmowane i zaślniły jasną zielenią na szklanej mapie.

Willy stukał w stół miarą Kneemeyera słuchając meldunków.

— Pierwszy nocny myśliwiec w powietrzu.

— Chcę go mieć natychmiast nad morzem, na krańcu zasięgu Wiirzburga. Chwileczkę, jeśli nadlatują od Southwold, to powiedzmy, że są w szyfrowanym kwadracie Heinz Emil Cztery. Jak jest wysoko?

— Piętnaście tysięcy stóp i nadal się wznosi.

- Tak wysoko, jak to tylko możliwe, Willy. Wysokość jest najważniejsza.

Jesteś mi winien osiem milionów trzysta tysięcy osiemdziesiąt marek - powiedział Lówenherz ponownie przygotowując szachownicę.

Mam je w innych spodniach - odrzekł Kokke. W radiu śpiewał jakiś zespół;

„Wszystko się kończy, wszystko przemija, Po każdym grudniu mamy mają. Wszystko się kończy, wszystko przemija, A dwoje kochanków wiernymi zostaje” Dziewczęta nuciły piosenkę do końca, po czym zastąpił je męski chór śpiewający „Bomben auf England” odpowiednio ilustrując słowa uderzeniami w struny i bębny. Podniósł się powszechny zgiewk wyrażający niezadowolenie, u siedzący najbliżej wojskowy ściszył aparat, zanim posypały się na niego przeróżne Przedmioty.

Lówenherz rozejrzał się po baraku alarmowym. Członkowie załóg siedzieli nieruchomo nie dbając o swój wygląd: włosy nieuczesane, krawaty rozluźnione a nogi oparte na krzesłach. Wygląda to tak, jakby wszyscy byli nieżywi, pomyślał Lówenherz, jakby jakieś opary lub gaz wykończył ich wszystkich. Gdyby jednak głośnik odezwał się spokojnym, podwójnym uderzeniem zapowiadającym komunikat, potrafiliby poderwać się na nogi, naciągając hauby na głowy i oplatając się złączkami tlenowymi, przewodami mikrofonu i słuchawek, które czyniły ich częścią maszyn.

Klimke, operator radarowy Kokkego, zwykł spędzać czas w baraku alarmowym pisząc niekończące się listy do żony, ale od czasu jak zginęła w ostatnie Boże Narodzenie, zabrał się do robienia na drutach. Pomimo uwag pełnych drwin i figli, bez końca wykonywał szale dla każdego, kogo znał. Nie potrafił opanować sztuki „zbierania oczek”, więc robił tylko prostokąty. Śpiącego obok Leutnanta Beera raz po raz przechodziły dreszcze. Komar brzęczał koło jego Ucha.

- Co za wagnerowska konstelacja - powiedział Kokke, rozglądając się Wkoło po drzemiących lotnikach. Klimke wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale nie przestał dziergać. Kokke przesunął figurę szachową i zaczęli nową partię. - Nie próbuj szewskiego mata, Kokke. Nie doceniasz mnie.

— Nigdy, Herr Oberleutnant - odparł Kokke i Lówenherz stracił konika.

— Cholera!

- Za doświadczenia lepiej jest płacić niż je nabywać stwierdził Kokke robiąc ruch do przodu.

— Przegrywasz, bo jesteś zbyt lekkomyślny - oświadczył Lówenherz.

— Ale mam większą zabawę.

— Może - zgodził się Lówenherz.

— Załóżmy się, o podwójną stawkę, o której godzinie zostanie poderwany pierwszy samolot?

— Zgoda - odparł Lówenherz. - O pierwszej.

— O pierwszej?

— Krótka letnia noc przy pełni księżyca oznacza krótki lot bojowy, a to oznacza Zagłębie Ruhry. Aby wrócić przed świtem i doliczyć nieco czasu na maruderów, wyznaczą bombardowanie na godzinę drugą. Lancaster robi dwieście dwadzieścia pięć mil na godzinę, więc przekroczy wybrzeże brytyjskie pięćdziesiąt minut wcześniej. Wtedy odnajdzie go radar Freya ale zanim powiadomią FLUKO i dowódcę nocnych myśliwców, będzie dobrze piętnaście po pierwszej.

— Mamy więc jeszcze pięćdziesiąt minut czasu.

Kokke musiał podnieść głos, ponieważ muzyka w radiu była teraz głośniejsza.

- Możemy mieć całą noc. Kto wie czy zostaniemy w ogóle poderwani.

- Optymista z pana. Herr Oberleutnant.

Lówenherz uśmiechnął się.

- Tak mamy około pięćdziesięciu minut.

- A jak zachowywał się die Wurst dziś po południu?

Dobroduszny Hans Furth nie czuł się nieszczęśliwy odpowiadając swoim bliskim przyjaciółom z kasyna oficarskiego, gdy zwracali się do niego per Hanswurst (kłown). Jednakże miał za złe Kokkemu gdy ten nazywał go po prostu die Wurst, może z powodu żeńskiego rodzaju tego rzeczownika. Kokke rzadko mówił o nim inaczej.

— Zachowywał się nadzwyczaj dobrze - stwierdził Lówenherz.

Każdy, kto napyta sobie biedy, aby o tym zapomnieć idzie na polowanie! A z tego co upoluje, zrobią w kasynie kielbasę.

— Wurst wider Wurst - powiedział Kokke.

Lówenherz uśmiechnął się. Kielbaska przeciw kielbasce znaczyło także „wet za wet”.

- On wie, że go nienawidzisz.

- A ja jestem pewien, że jest rozumny i przyjmuje to z pobłażaniem.

Lówenherz skinął głową.

- Chyba tak.

- Co za umiejętność obchodzenia się z chorymi. Po wojnie otworzy kosztowną klinikę w Berlinie, którą odwiedzać będą starsze panie o zbyt obfitej figurze.

- Mam nadzieję, że po wojnie nie tylko w Berlinie starsze panie będą bogate a wyżywienie obfite.

Kokke wzruszył ramionami.

— Może także w Moskwie lub nawet w Nowym Jorku?

— Mam nadzieję, że pomoże. Mam na myśli Himmla.

— Tego Skoczka interesuje tylko jak pomóc sobie samemu.

Było to ulubione przezwisko nadawane Austriakom, których uważano za wyrachowanych i niegodnych zaufania ludzi, którzy przeskakiwali z tematu na temat niczym człowiek biegający boso po ściernisku.

- Mógł zrobić coś w sprawie dokumentów bez wzywania SIPO, ale oczywiście przyjemnie mu było skorzystać ze sposobności pokazania, jakim to on jest lojalnym, małym, wesołym hitlerowcem.

— On nam nie pomoże - powiedział Lówenherz. Kokke spojrział na niego, pokrzepiony liczbą mnogą.

— Założmy, że obaj opowiemy się za Himml'em.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

— Założmy, że obaj poprzemy Himml'a i jego protest. Pan jest baronem i asem lotnictwa. Ja może mógłbym pociągnąć za sobą tego starszego pana.

— Redenbachera?

— Kto wie?

— Mała szansa.

— Zbyt mała dla pana?

— Słuchaj... - powiedział Lówenherz. Zaśmiał się zakłopotany. - Nie możesz tak po prostu żądać tego ode mnie, tutaj i teraz.

— W takim razie kiedy? Jutro o tej porze człowiek, który poprowadził pana w pierwszy bój, znajdzie się w obozie koncentracyjnym.

— W cywilnym więzieniu. Zatrzymają go na czas śledztwa i rozprawy.

— Ładna mi różnica. A potem może zwolnią po udzieleniu nagany?

— A nie możemy porozmawiać o tym jutro?

— Herr Oberleutnant, nie możemy wszystkiego odkładać do jutra.

— To właśnie powiedział Himmel.

— Właśnie.

Śniady Kokke pogłaskał w zamyśleniu swoją krótką brodę.

Odezwał się trzask, gdy pracownik sali operacyjnej włączył

mikrofon, a potem brzęczenie, gdy obwód się ożywił. Bubi obudził się pod stopami swego pana, parsknął, ziewnął i skubnął but Lówenherza.

- Powinieneś się założyć, Kokke. Pomyliłem się. Anglicy są wcześniej.

Kokke nie odpowiedział. Lówenherz rozglądał się po baraku. Żaden z lotników nie poruszył się, ale ich ciała były teraz napięte. W baraku alarmowym jarzyły się tylko przyćmione, czerwone światła, nie dość jasne, by przy nich czytać i ledwo wystarczające, aby grać w szachy. W drugim końcu baraku stało szklane akwarium, w którym tropikalne rybki poruszały się ospale. Lówenherz przypomniał sobie dzień, kiedy je przywiozło pięciu żołnierzy na ciężarówce. Spędzili trzy dni montując akwarium, dostarczone na rozkaz Naczelnego Dowództwa, w czasie, gdy cały pułk odczuwał brak pocisków do działek. Żadne interwencje nie pomogły, aby zwolnić ciężarówkę z akwarium i przywieźć pociski.

Przypomniał sobie zimowe boje pod Moskwą i żołnierzy ubranych w cienkie, letnie mundury. Jeden z ostatnich transportów powietrznych do Stalingradu dostarczył gumowe środki antykoncepcyjne. Przypomniał sobie także wiele zamieszania wokół ratowania silnika starego, zniszczonego Junkersa, zanim zorientowano się, że jest to brytyjski silnik. Ta cała cholerna Luftwaffe była źle prowadzona na skutek politycznego protekcjonizmu i politycznego fanatyzmu. Z raportem o zamrażaniu, jaki Himmel mu pokazał, było podobnie jak z tym akwarium.

Poprę Himmla, pomyślał Lowenherz i nagle zdał sobie sprawę, że powiedział to głośno. Mój Boże, pomyślał, to cholerne akwarium!

— Dziękuję panu, Herr Oberlejttnant ucieszył się Kokke. - Wiedziałem, że pan tak postąpi.

— Jestem szalony - powiedział Lowenherz i zastanawiał się, czy nie mógłby się z tego jakoś wycofać.

Dało się ponownie słyszeć trzask mikrofonu i głos kierownika ruchu oznajmił:

- Achtung! Achtung! Oberleutnant Lowenherz, Major Redenbacher i Leutnant Kokke w natychmiastowej gotowości! Oberfeldwebel Himmel, Leutnant Beer i Feldwebel Schramm w stanie alarmowym!

Bezbarwnie wypowiedziane słowa zakończył elektroniczny trzask.

— Dzięki - powtórzył Kokke i zapiał kombinezon na zamek

błyskawiczny. - Dobierzemy się im do skóry, Oberleutnant.

— Jesteś tego pewien? - zapytał z goryczą Lowenherz. Obaj chwycili swój ekwipunek i przesadzając wyciągnięte nogi siedzących ruszyli do drzwi. Lowenherz zobaczył, jak jego operator radaru naciąga buty i upewnił się, czy obserwator Mrosek także jest gotowy.

— Odłóż to szydełkowanie, Klimke! - zawołał Kokke. Zwrócił się do Lówenherza odpowiadając na pytanie: - Ponieważ uzupełniamy się wzajemnie.

Uśmiechnął się.

Lowenherz skinął głową, ale nie był przekonany.

— No to połamania - powiedział. Kokke podniósł kciuk do góry w odpowiedzi.

— Pokażcie czapki! - zawołał Lowenherz do członków swojej załogi Sachsa i Mroska. Obaj pomachali ku niemu składanymi, sukiennymi czapkami, a Lowenherz zareagował na to ściskając pod pachą swoją czapkę z białym pokrowcem. Gdyby samolot został skierowany na inne lotnisko, żandarmeria zrobiłaby diabelną awanturę, jeśli by nie mieli czapek.

Lowenherz zawsze nalegał, aby jego załoga nosiła przy sobie wszystkie rzeczy wymagane regulaminem. Obładowani raketami świetlnymi, raketnicą, nadmuchiwaną łodzią ratunkową, kamizelką ratunkową, spadochronem, żelaznymi racjami, tabletkami „Pervitin” i latarką, pakuściami do swego samolotu.

Na zewnątrz było zimno, a wiatr przynosił sfermentowany zapach morza. Samoloty stały nagrzane i gotowe do lotu. Załogi zadowolone były ze stosunkowo wygodnych kabin. Lówenherz umieścił swoją czapkę za siedzeniem i sprawdził, czy przewody radiowe są przymocowane do lotniczego kombinezону dokładnie tak, jak przewidywał regulamin. Następnie podłączył je i włączył przewód tlenowy. Potem upewnił się, czy załoga uczyniła to samo. Jego dłonie wykonały sześćdziesiąt kolejnych czynności, jakie wykuł na pamięć w szkole lotniczej. Zielone i czerwone światełka zapalały się na tablicy rozdzielczej. Personel naziemny kręcił się koło sterów i podwozia.

Spojrzał na siedzącego obok obserwatora Mroska, dziewiętnastoletniego Leutnanta, o długich, ciemnych włosach. Wąska twarz i wystające siekacze upodabniały go do gryzonia. Porównanie to

potwierdzała wąta klatka piersiowa, niski wzrost i zwinność. Do Mroska należało też wczolgiwanie się po strzelaniu z działek do nosa samolotu dla zamocowania pełnych bębnow z amunicją. Sprawiało to trudność nawet na ziemi, ale Mrosek czynił to wiele razy w czasie, gdy Lówenherz prowadził samolot w przyprawiającym o zawrót głowy przechyle pionowym, podchodząc do drugiego ataku.

Ojciec Mroska zarządzał winnicą w Heidelbergu. Być może bliskość tak dużej ilości wina sprawiła, że był wesołym chłopakiem. Przesłał Lówenherzowi szybki, szczurzy uśmiech i podniósł w górę lornetkę zanim zapytano go, czy ma ją ze sobą.

Wszystko gra? - zapytał Lówenherz operatora radaru. Wykręcił się na fotelu, aby spojrzeć na niego.

Sachs uśmiechnął się z tylnego siedzenia pełen szacunku i podniósł białą, wypielęgowaną dłoń. Był dziewiętnastoletnim Feldweblem z Hanoweru i częściowo z powodu swego nowobogackiego i ambitnego ojca był pełen nabożnego szacunku dla szlacheckiego tytułu Wiktora von Lówenherza herbu Grawiec, wzorując się na sposobie mówienia, manierach, chodzie i dzielności swojego dowódcy.

Sachs był Saksończykiem i Lówenherz zastanawiał się często, dlaczego zawsze żartowano na temat ich zamiłowania do pracy. Była to przecież chwalebna cnota. I to powiedzenie: „Nie, Jungę, prochy dziadka nie spoczną na gzymisie kominka. Włóży się je do klepsydry, bo dziadek musi pracować. My Saksończycy, wszyscy musimy pracować”.

Ojciec Sachsa był w 1935 roku pracownikiem budowlanym, ale gdy zaczęto budowę Wału Zachodniego wszedł w spółkę ze swym szwagrem i dostarczał metalowe klamry do betonowych konstrukcji. W 1940 roku firma była już notowana na giełdzie w Hanowerze. Kilku urzędników Organizacji Todta otrzymało bezpłatne akcje młodej, świetnie prosperującej firmy w dniu ich emisji. W 1941 roku niechęć Wielkiej Brytanii do dogadania się oznaczała rozpoczęcie budowy Wału Atlantyckiego. Największy projekt techniczny w historii architektury miał zeszpecić wybrzeża północnej Europy. Budowa pożarła niezliczone tony betonu i nieskończoną ilość klamer. Georg miał szwajcarski zegarek na ręku, złoty i tak cienki jak Pfennig. Jego spinki do mankietów były z nefrytu, obuwie ręcznie robione, a pod regulaminowym mundurem podoficerskim nosił jedwabną bieliznę. Do



Amsterdamu jeździł nowym, sportowym wozem, z wyjątkiem weekendów, kiedy ojciec przysyłał po niego szofera z mercedesem, ozdobionym proporczykiem Organizacji Todta.

Georg Sachs, ku wielkiemu rozgoryczeniu swego ojca, nie sprostał wymogom na kursie pilotażu i został operatorem radarowym. Polubił tę pracę, był w niej dobry i dlatego Lówenherz wybrał go do swojej załogi spośród wszystkich innych w eskadrze. Georg wiedział, że podczas ostatnich minut przechwytywania samolot był pod jego dowództwem. Jak to powiedział ojcu, w momencie zestrzelenia baron von Lówenherz tylko trzymał stery.

- Wszystko gotowe, Herr Oberleutnant - powiedział Georg Sachs. Włączyła się kontrola.

- Major Redenbacher do Stacji Tygrys Himmelbett, krążyć nad latarnią kierunkową na wysokości pięciu tysięcy metrów. Leutnant Kokke do Stacji Ermine Himmelbett, krążyć nad latarnią kierunkową na wysokości pięciu tysięcy metrów. Oberleutnant Lówenherz do Stacji Goryl Himmelbett, krążyć nad latarnią kierunkową na wysokości pięciu tysięcy metrów.

Każdy z pilotów potwierdził rozkaz.

- Przechodzimy na tlen - oznajmił Lówenherz. Niektóre załogi czekały, aż znajdą się powyżej tysiąca dwustu metrów, ale on wiedział, że jednym z pierwszych objawów braku tlenu jest osłabienie wzroku.

Wrak starego Junkersa 34 zdołały czerwone światła przeszkodowe lotniska. Pokołowali obok niego i dalej obwodnicą, tak szybko jak na to pozwalały względy bezpieczeństwa. Teren był miękki, więc uważał, aby nie ścinać narożników. Personel Kontroli Lotów widział przez lotnisko jego światła nawigacyjne, więc skoro tylko znalazł się na końcu pasa startowego, włączono światła drogi startowej.

- Możesz startować „Katze Jeden” - nakazał oficer kontroli, nie czekając aż poprosi o zezwolenie na start.

Od Ijsselmeer nadchodziły gwałtowne podmuchy wiatru, które chwiały samolotem, gdy nabierał prędkości wzdłuż drogi nad groblą. Lówenherz ściągnął drążek sterowy na siebie i wariometr wskazał stałe wznoszenie przy utrzymywanej szybkości. Wygasił teraz światła nawigacyjne na końcówkach skrzydeł. Nie było nigdzie żadnych świateł z

wyjątkiem oświetlenia tablicy przyrządów. Sztuczny horyzont ze swoim małym, zielono świecącym samolocikiem przechylił się, gdy wchodził na kurs do Goryla, prawie dokładnie na południe od niego. Długi prostokąt światła pasa startowego przesunął się pod nim, malejąc w miarę jak się oddalał.

Kokke startował następny. Redenbacher za nim i może dlatego jego start był szkolnym przykładem umiejętności latania. Przednie okienko otwierało się na zawiasach do środka. Kokke przymknął je, ale nie zamknął. Zostawił lekko uchylone, ponieważ podobnie jak wielu lotników lubił słyszeć pracę silników tak wyraźnie jak to tylko możliwe. Cieszył go dźwięk strumienia powietrza, które pogwizdywało przez szparę. Ogon podniósł się łagodnie i znaleźli się w powietrzu. Leutnant Klimke, operator radarowy, poczuł przeciąg na karku. Zatrząsał się z zimna, poprawił ręcznie zrobiony szalik i obserwował, jak zabudowania lotniska przechylają się i dryfują pod lewym skrzydłem.

- Zimno tu z tyłu - powiedział. - Zamknij...

Aż do odkrycia radaru i zastosowania go do różnych celów, niewielu ludzi domyślało się, ile ptasich stad lata po zmroku. Tej nocy, blisko sto mew wpędzonych nad ląd przez złą pogodę, leciało ku wioskom rybackim nad IJsselmeer, gdzie suszyły się na wietrze obładowane soczystymi smakołykami sieci. Tylko osiem ptaków z tego stada trafiło w „Katze Dwa”. Dwa zostały przepołowione łopatami śmigła, a trzy uderzyły w korpusy silników, zostały pokiereszowane i zassane do wlotów powietrza. Dwa uderzyły w krawędzie natarcia skrzydeł i zostały rozbite jak jajka.

Ta jedna, która wpadła poprzez lekko uchylone przednie okienko, wyrządziła najwięcej szkód. Kiedy wleciała do kabiny, nie miała już ani skrzydeł, ani głowy. Nie więcej niż pół funta tego krwawego strzępu plus tysiące piór uderzyło Kokkego w twarz. Ale zrobiło to z prędkością dwustu mil na godzinę, wylupując mu oczy, druzgocąc czaszkę (z wieloma pęknięciami prawej kości policzkowej i nosa) oraz wybijając szczękę. Nie można było odróżnić, gdzie kończyły się resztki ptaka, a zaczynała twarz Kokkego. Prawie natychmiast stracił przytomność, ale intuicja kazała jego ręką pociągnąć drążek sterowy. Ani obserwator, ani Klimke nie zdali sobie sprawy z tego, co się stało, nawet gdy kabina zabieliła się od strzępków piór. Kokke umierał, może już nawet nie żył, ale jego muskularne ramiona

trzymały drążek sterowy z siłą żywego człowieka. Na nic się to nie zdało. Przewód radiowy Kokkego nie był przymocowany do jego pleców. Wtyczka radiowa hauby wpadła w szczelinę w podłodze, przez którą przechodził drążek sterowy. Aby ściągnąć drążek dostatecznie do tyłu dla nabrania wysokości, musiałyby zgnieść solidną, metalową wtyczkę do grubości opłatka.

Ju88 uderzył w IJsselmeer pod małym kątem. Kończąc swoje zdanie, jak gdyby wszystko zależało od tego, Klimke wykrztusił: „... okno” i już nie żył. Fale miały jard wysokości, więc samolot został połknięty z lekkim chrupnięciem, jak ostryga przez smakosza. Cała załoga już nie żyła, ponieważ zderzenie rozerwało im kręgosłupy. Czarny samolot zsunął się w ciemną wodę, pochylając się i obracając jak w powietrzu, aż z łagodnym stuknięciem uderzył w dno morza. Ogon odłamał się, a samolot owinęła chmura mętnej wody.

Żółta tratwa ratunkowa, uruchomiona przez przełącznik po zanurzeniu w wodzie, została z hałasem wyrzucona z przedziału przed ogonem. Zasyczało sprężone powietrze, a gwałtowny podmuch wypchnął pęcherzyki powietrza. Tratwa napelniała się, wijąc się jak obłąkane monstrum, kiedy powietrze wciskało się kolejno w każdą przegrodę gumową. W końcu stała się doskonałym, żółtym kołem i unosiła się w wodzie, aż została zatrzymana przez przymocowany do niej sznur o długości sześciu stóp. I tak pozostała tuż pod powierzchnią wody jak podobny do rzeźby żółty pierścień. Prąd kręcił nią łagodnie, jak sztukmistrz obręczęną na palcu. Przez wiele miesięcy pozostawała tam, obracając się w słońcu i ciemności, przyciągając lekkomyślne ryby, aż gnijące jedna po drugiej przegrody spowodowały jej ostateczne pójście na dno. Do tego czasu węgorze zjadły trzech lotników.

— Straciłem kontakt radiowy z Leutnantem Kokkem w „Katze Dwa” - oznajmił operator na ziemi.

— Niech diabli porwą te cholerne radia - powiedział ze złością oficer.

— Mieliśmy z nim łączność zaledwie dwie minuty. Lepiej, abyś przełączył Lówenherza na Ermine. Oni się tam pewnie denerwują. I powiedz Kokkemu, aby wrócił do bazy. Zepsuł się prawdopodobnie tylko jego nadajnik, więc nadal będzie cię odbierał.

Operator skinął głową i dostroił aparat do długości fali Kokkego, aby mu powiedzieć, że jego nadajnik nie działa.

- Oznajmiam, że jestem głuchy - przekazał Kokkemu. - Oznajmiam, że jestem głuchy.

Lówenherz zaśmiał się, kiedy usłyszał wiadomość. Mógł sobie wyobrazić wściekłość Kokkego. Rozkazano mu wrócić do Kroonsdijk. Na pewno nie wykona polecenia. Będzie usiłował dorwać się do strumienia bombowców i znaleźć jakiegoś Anglika bez pomocy radaru. Operator Lówenherza nastawił radio na kontrolera lotów w Ermine.

- Rozkazuję udać się do Heinz Emil Cztery - odezwał się głos wzywający go z Himmelbett Ermine. Heinz Emil Cztery jest w połowie drogi do Anglii. Będzie prawdopodobnie pierwszym pilotem, który dotrze do strumienia bombowców. Dzisiejsza noc zapowiada się dla niego dobrze.

Bombowce płynęły w górę. Ignorując wyznaczoną im wysokość przelotową, większość pilotów trzymała tej nocy nosy samolotów skierowane w niebo i pozwoliła, aby o wysokości, na której wyrównywali bombowce do lotu poziomego, decydowały techniczne możliwości ich maszyn. Niektóre ze starych Stirlingów nie mogły wejść powyżej jedenastu tysięcy stóp. Nawet najlepsze z nich, te na osiemnastu tysiącach stóp, znajdowały się w zasięgu niemieckiej artylerii przeciwlotniczej 8,8 cm. Jednakże dwusilnikowe, nawet starszego typu Wellingtony, mogły wejść wyżej, najlepsze z nich na prawie dwadzieścia cztery tysiące stóp, lecąc wyżej niż jakiegokolwiek inne samoloty tego strumienia.

Lambert wepchnął „Door” prawie na dwadzieścia jeden tysięcy stóp, a potem wyważył samolot sterami tak, że leciał „bez trzymania” i można było włączyć automatycznego pilota. Poczul kopnięcie steru wysokości, gdy ten zaskoczył. Poprawił kurs uwzględniając zmieniający się wiatr i przekroczył wybrzeże brytyjskie nad wyznaczonym punktem zbornym. Siedząc w zasłoniętej kabinie, Kosher obserwował kształt impulsów na zakresie Gee i obliczył z mapy pozycję samolotu. Narysował ołówkiem kropkę na mapie i wyliczył, ile czasu zajmie im droga do celu.

- Pięćdziesiąt minut do TOT. - oznajmił.

Weszli w kwadrat siatki nocnych myśliwców Luftwaffe Heinz Emil Cztery, choć nie mogli o tym wiedzieć. Znaleźli się na czele strumienia bombowców, co nie było wielkim nawigacyjnym wyczynem. Strumień ten był niezgrabnym prostokątem utworzonym z bombowców, lecących do piętnastu mil po obu stronach wyznaczonej trasy. Był zsynchronizowany w czasie na blisko dwustu milach długości. Tak więc, gdy „Creaking Door” leciał już nad Morzem Północnym, ostatni bombowiec właśnie wznosił się w powietrze.

Widoczność dzisiejszej nocy była słaba i tylko dźwięk silników o mocy dwóch tysięcy ośmiuset koni mechanicznych znaczył ich trasę. Każdy z tych silników wymagał tyle pracy, ile potrzeba do wyprodukowania czterdziestu zwykłych silników samochodowych. Godziny pracy spędzone przy budowie czterosilnikowego samolotu starczyłyby do wybudowania

prawie jednej mili autostrady. Sam sprzęt radarowy i radiowy równał się milionowi aparatów radiowych. Całe aluminium ważyło pięć tysięcy ton, czyli tyle co jedenaście milionów patelni. Gotówką, po cenach z 1943 roku i przy zysku obcięty do minimum, każdy Lancaster kosztował czterdzieści dwa tysiące funtów szterlingów. Szkolenie załogi przeciętnie dziesięć tysięcy funtów szterlingów, co w tamtym czasie wystarczyłoby na wysłanie całej załogi na trzy lata do Oxfordu lub Cambridge. Gdyby dodać jeszcze trzynaście tysięcy funtów szterlingów na bomby, paliwo, obsługę i szkolenie personelu naziemnego, to licząc po niskiej cenie każdy bombowiec był publiczną inwestycją wartości stu dwudziestu tysięcy funtów szterlingów.

Nie licząc samolotów Mosquito z aparaturą „Oboe”, samolotów OTU zrzucających ulotki na Ostendę, lotów treningowych, prac transportowych oraz wszelkiej działalności Dowództwa Obrony Wybrzeża, ta flota bombowców kosztuje osiemdziesiąt pięć milionów funtów szterlingów.

Sześć bombowców już wylądowało - to tak zwane bumerangi. Większość załóg nienawidziła niewykonania zadania, ponieważ jeśli nie zbombardowały celu, to takiego lotu nie zaliczano na poczet tury operacyjnej. Jeden Lancaster doleciał aż do wybrzeża, gdy przeciek chłodnicy spowodował, że lewy wewnętrzny silnik zniknął w chmurze pary. Jakiś Stirling miał awarię radia, a pilot Wellingtona cierpiał na bóle żołądka. Ten ostatni zawrócił tuż przed wybrzeżem holenderskim. Jeden Lancaster, startując z lotniska w pobliżu Lincoln, wystartował tak niefortunnie, że strzaskał podwozie; jedno koło zahaczyło o dach stodoły i nie można było go schować w powietrzu. Urządzenie do wyrzucenia paliwa też zawiodło, więc krążył nad bazą zgodnie z rozkazem z Kontroli Lotów. Kiedy już zużyje tyle paliwa, że osiągnie tak zwany ciężar bezpiecznego lądowania, to spróbuje lądować. W Warley Fen John Munro zdołał świetnie wystartować, mimo że jedna z opon wystrzeliła. Z taką łatwością skorygował wynikłe z tego zejście z kierunku, że dwóch ludzi z jego załogi nic nie zauważyło. Kłopoty zaczną się przy powrocie.

„Creaking Door”, „S jak Sweet”, „The Volkswagen” i „Joe jak King”, znajdowały się o pół mili jeden od drugiego. Lambert był dwa tysiące stóp na innymi, choć w tak ciemną noc jedyną osobą, która wiedziała o tym, był operator radaru w Ermine, obserwujący przesuwające się na ekranie radaru punkciki. Lambert był tak wysoko, jak samolot tylko mógł się

wzniesić i drążek sterowy stał się w jego rękach luźny i niewrażliwy.

Wysoko ponad sobą widział długie, kosmate, prawie dotykające stratosfery cirrusy. W tej chwili nie układały się wzdłuż kierunku wiatru, ale wiatr będzie się zmieniał, a wtedy znajdą się na jego trasie. Zwiastowały deszcz, jednak Lambert interesował się chmurami z innego względu - myślał o bardzo bliskim niebezpieczeństwie. Chmury jarzyły się białe i błyszczące, oświetlone jasnym księżycem, który nie ukazał się jeszcze nad horyzontem. Wkrótce to nastąpi i niebo rozjaśnieje.

Radar Freya ostrzegł mniejszego, ale bardziej dokładnego Wiirzburga o trasie strumienia bombowców. Jego trzyosobowa załoga skarżyła się na zimno, jak zawsze zresztą, i pochylała zwierciadło do czasu, gdy cztery punkciki: „Door”, „Sweet”,

„The Volkswagen” i „Joe jak King”, przesunęły się przez wskaźnik radiolokatora. Operator numer jeden zgubił trzy punkciki, ale utrzymał czwarty i tym się zajął. Wewnątrz ciepłego, ciemnego pokoju kreślarskiego August wstrzymał oddech jak wędkarz na widok szarpanego sępawika.

- Czerwony Wurzburg ma kontakt, panie kapitanie - odezwał się Willy Reinecke. - W kwadracie Heinz Emil Cztery.

Było tak, jak August przepowiedział. Oceniał niebieski punkcik świetlny oznaczający nocnego myśliwca Lówenherza - był około dziesięciu mil od czerwonego.

- „Katze Jeden”, mam pytanie. Podaj wysokość i kurs - zażądał August dla podwójnego sprawdzenia.

Odpowiedział Sachs, operator radarowy siedzący na tylnym siedzeniu. Słyszac polecenie, Lówenherz zmniejszył oświetlenie tablicy z przyrządami i nachylił się do czarnego wiatrochronu. Słyszał wiatr bijący o zawiasy i osprzęt.

— „Katze Jeden”, rozkazuję: Caruso dziesięć lewo - powiedział August. Lówenherz pchnął orczyk. Wiedział, że musi natychmiast zastosować się do każdej wskazówki, gdyż ciężki Junkers ze swoim niezdarnym układem antenowym nie był wiele szybszy od Lancastera. Z tego samego powodu i jego prędkość przeciągnięcia była wyższa.

— To jest czołowe, równoległe przechwycenie - powiedział August.  
- Sprowadzę cię nieco na północ od Anglika.

— Informuję - nudny film - powiedział Lówenherz. Był to szyfr na

słabą widoczność.

Willy Reinecke prychnął z oburzeniem:

- Zawsze na coś się skarżą.

Śledził punkty świetlne przesuwające się po matowej szybie stołu i znaczył ich posuwanie się naprzód woskowym ołówkiem tak, że można było zobaczyć zbiegające się kursy. Mimo przyćmionych świateł August zauważył, że pokój kreślarski zaczął się wypełniać wolnym od służby personelem, który chciał ich obserwować i przeżywać razem z nimi ogólne podniecenie.

— Przygotować się: skręt o 180 stopni - powiedział August.

— Zrozumiałem - zaskrzeczało w radiu potwierdzenie Lówenherza.

— Skręt w prawo - wyjaśnił August Willy'emu. - Gdyby skręcił w lewo, przejdzie tak blisko przed Anglikiem, że ten go dojrzy.

Lówenherz stał się teraz częścią maszyny, bo to August prowadził samolot.

August spojrział wokół pokoju kreślarskiego na wyczekujące twarze. Niektórzy żołnierze byli w płaszczach narzuconych na pizamy, włosy mieli zmierzwione a twarze zarośnięte. Obserwowali go z nabożną bezstronnością, jak kibice śledzący grę w karty. Dyżurny utorował sobie łokciami drogę między nimi i wszedł po stopniach na podium, niosąc tacę z kubkami kawy. Kawa znikła błyskawicznie, więc udał się z powrotem do kuchni po więcej. August wypił nie czując jej smaku. Obserwował dwa pędzące ku sobie kolorowe światelka. Zbliżały się do siebie z łączną prędkością sześciuset mil na godzinę. Wiedział, że pomyłka w synchronizacji czasowej skrętu „Katze Jeden” spowoduje utratę kontaktu. Wobec widowni podwładnych nie byłaby to dla dowodzącego oficera sprawa przyjemna.



- Skiper, proszę lecieć po prostej i poziomo, abym mógł wziąć namiar na gwiazdy.

Kosher Cohen stał pod astrokopułą z pleksiglasu i ustalał położenie przy pomocy sekstansu. Był jednym z nielicznych nawigatorów RAF, którzy posługiwali się tym instrumentem z dużą wprawą. Na zajęciach z nawigacji dawał sobie z tym radę lepiej od swego instruktora.

— Gdzie u diabła nauczyłeś się synku z tym obchodzić?

— Na jachcie ojca, proszę pana.

— Iw dodatku cholerny błazen. Siadaj, następny.

Nie było czasu na jeszcze jeden namiar, więc porównał swoje odczyty z pozycją ustaloną przez Gee. Cztery namiary z czteromilowym trójkątem błędu dla wykazania ich położenia. Całkiem nieźle.

Cohen spojrział na mapę wykresową w maleńkim kręgu światła lampki stołowej. Aby nakreślić dobrą trasę naniósł prędkość i kierunek wiatru i obliczył prędkość samolotu względem ziemi z pozostałego boku tak utworzonego trójkąta.

- Jedenaście minut do holenderskiego wybrzeża - oznajmił. Nikt nie odezwał się.

Lambert poprawił się na siedzeniu. Trzeba było dużej siły fizycznej, aby poruszać ciężkimi, niewspomagany mechanicznie sterami i odczuwał już ból w ramieniu oraz w kręgosłupie. Siedział wyprostowany i poruszał ramionami.

- Jesteśmy w zasięgu nieprzyjacielskiego radaru - ostrzegł załogę. – Wypatrujcie pilnie myśliwców.

Tak jak wszyscy radiooperatorzy w strumieniu bombowców, Jimmy Grimm, którego ojciec miał sklep radiowy w Highgate, stroił swoje radio na częstotliwość między 7050 a 7100 kiloherców, usiłując znaleźć głos nieprzyjaciela. Mógłby wtedy przekazywać sygnały na tej samej częstotliwości, aby zagłuszyć rozmowę między naziemnym kontrolerem a pilotami myśliwskimi. W silniku każdego bombowca był w tym celu zainstalowany mikrofon. Nagle usłyszał głos Augusta.

— Rozkazuję rozpocząć skręt... Teraz.

— Skręcam - odpowiedział Lówenherz. Jimmy Grimma ogarnęło podniecenie.

- Znalazłem jednego z ich kontrolerów i pilota nocnego myśliwca –

oznajmił.

Głos Augusta Bacha dochodził do ich słuchawek z taką samą mocą, z jaką słyszał go Lówenherz.

— Rozkazuję sterować 097 stopni. Nieprzyjaciel w zasięgu dziesięciu kilometrów.

— Tropiony samolot jest na naszym kursie - powiedział Cohen.

— Wszystkie samoloty w strumieniu lecą w tę samą stronę, co my - odparł Digby. Leżał wyciągnięty w nosie samolotu usiłując dojrzeć holenderskie wybrzeże.

— Chciałbym lepiej znać niemiecki - powiedział Jimmy Grimm. - To trudne być radiooperatorem. Przed wojną wylapywałem różne stacje, a znam tylko kilka słów w każdym języku.

— Podczas gdy wy opowiadacie sobie bzdury, jakiś nędzny łajdak upoluje nas - powiedział Digby. - Dlaczego nie zagłuszyście go?

— A może on właśnie nas szuka? - odezwał się Binty ze środkowej górnej wieżyczki.

— Skiper, czy możemy wziąć kurs 080 stopni, aby się upewnić? - zapytał Cohen.

— To ty jesteś nawigatorem - odpowiedział Lambert i położył samolot w płaski skręt.

— On jest jeszcze daleko za bombowcem - stwierdził Cohen - a kontroler dalej każe mu wytracać wysokość.

— Jesteś nadal wysoko nad nim - powiedział August Lówenherzowi. - Zejdź jeszcze pięćset metrów.

Lówenherz znów pchnął lekko drążek sterowy i jego samolot opadł niżej. Siedzący obok niego obserwator miał na kolanach połowę lornetkę; bombowiec był zbyt daleko, a noc za ciemna, aby złapać wzrokowy kontakt już teraz. Siedzący za Lówenherzem operator radarowy był tak zablokowany dużą ilością sprzętu, że ledwo mógł się poruszać. Trzy ekrany radarowe, pokazujące zasięg, wysokość i położenie poprzeczne, miał pod prawym łokciem i aby na nie popatrzeć musiał przekręcić głowę w jedną stronę, jak wróbel. Nie było na razie potrzeby obserwowania ich, ponieważ aparatura pokaże cel dopiero wtedy, gdy znajdzie się w odległości trzech tysięcy metrów.

- Rozkazuję trzymać ten kurs - ostrzegł August. Lówenherz

zmniejszył prędkość.

Flash Gordon patrzył uważnie poprzez świeżo wycięty pleksiglas swojej tylnej wieżyczki. Och, Boże, tak zimno, ale za to widział lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Jeśli pochyliłby się do przodu, to mógłby wystawić głowę na zewnątrz. Kiedy obracał wieżyczką, powietrze odrzucane do tyłu przez śmigła i przechodzące wzdłuż luf czterech Browningów wydawało delikatny gwizd. Utrzymywał wieżyczkę w ruchu rysując wylotami luf kółka, tak jak to praktykował w szkole strzeleckiej z ołówkami w ich wylotach. Dobry strzelec mógł w ten sposób napisać swoje nazwisko. Tylne wieżyczki były samotnym stanowiskiem, zwłaszcza gdy dokoła buszowały nocne myśliwce, ponieważ rozmowy telefonem pokładowym były wtedy zakazane. Flash Gordon i Lówenherz wpatrywali się w niebo z wielką uwagą, ale noc była zbyt ciemna, aby któryś z nich mógł cokolwiek zobaczyć.

Flash słyszał, jak Cohen nakazał zmianę kursu i obserwował chmury prześlizgujące się po ogonie.

August obserwował, jak czerwony punkcik na płycie Seeburg zmienił kierunek. Willy zaznaczył to ołówkiem.

— Skręcił w lewo - powiedział August. - Rozkazuję sterować 015 stopni w lewo. Jest teraz bardzo blisko.

— Myślę, że chodzi o nas - powiedział Cohen. - Powiedział myśliwcowi, aby zmienił kierunek.

- Zagłusz go - powiedział Lambert przynaglajaco. Jimmy Grimm nastroił swój nadajnik 1154 na odbiornik 1155, usłyszał jego gwizd, odszukał milczący „martwy obszar” i włączył mikrofon zainstalowany wewnątrz silnika. Lambert pochylił samolot w głębokim skrucie zmieniając ponownie kurs.

W nocnym myśliwcu milczeli. Lówenherz skrucił jak mu nakazano. Obserwator Mrosek przyložył polową lornetkę do oczu i uważnie przebiegał wzrokiem przestrzeń, której radar nie obejmował. Nagle lampa radarowa Sachsa zaświeciła się na końcu koła zasięgu: Anglik na krańcu zasięgu!

— Mamy go! - odezwał się, z trudem próbując nie okazać w głosie podniecenia. Nagle ogłuszyły ich zakłócenia, znaleźli się bowiem bardzo blisko nadajnika Jimmy Grimma.

— W samą porę - powiedział Lówenherz i zniwelował zakłócenia do minimum. Odbezpieczył działka, a na tablicy przyrządów ukazał się szereg czerwonych światełek. W tym momencie Junkers natrafił na turbulencję powietrza. Samolot opuścił nos, jak koń odmawiający wzięcia przeszkody. Koniec skrzydła opadł i Lówenherz musiał użyć całej siły dla skorygowania kursu samolotu.

— Strumień zaśmigłowy Anglika - powiedział, ale inni zorientowali się już, co to było. Siła odrzuconego powietrza dowiodła, jak blisko znaleźli się za pędzącym bombowcem.

— Skrucę w prawo - powiedział Sachs, kiedy punkcik na jego ekranie rozpoczął lot w tym kierunku. - Skrucę, kontynuować skrucanie!

Obserwował lampę.

- Wyrównać do lotu poziomego nadal skrucając, zbliżamy się! Lecieć po prostej. Zbliżamy się zbyt szybko. Tysiąc dwieście metrów.

Lówenherz kontynuował skruc do chwili, kiedy bombowiec, mając kurs dokładnie na południe, przeszedł do lotu po prostej. Lówenherz uczynił to samo.

— Gdzie go pan chce mieć? - zapytał Sachs.

— Nieco z prawej.

— Jest około 7 stopni w prawo.

— To wystarczy, odczytajcie zasięg.

— Prawie tysiąc metrów. Zbliża się pan powoli.

Lówenherz chciał podejść do bombowca tak wolno, jak to możliwe,

ponieważ miałby wtedy maksimum czasu na prowadzenie ognia.

— Sprowadźcie mnie na jego wysokość. Zejdę jeszcze niżej, gdy go zobaczę.

— Jest ciągle bardzo ciemno, może więc lepiej będzie mieć go na tle jasnego cirrusa.

— Bardzo dobrze, doprowadźcie mnie nieco poniżej bombowca.

— Dziewięćset, straciłem kontakt. Nalatujemy zbyt szybko, Herr Oberleutnant.

— Nie mogę go dojrzeć.

— Nadal zbyt szybko.

— Do diabła! Dlaczego on zmniejsza szybkość?! Lówenherz też zmniejszył szybkość, aż Sachs zamruczał:

— Tak dobrze, Herr Oberleutnant.

— Jeszcze go nie widzę.

— Jesteśmy bardzo blisko. Pięćset metrów.

— Mam go! - zawołał Lówenherz i w tej samej chwili także Mrosek zawrzeszczał. Osiem żółtych punktów płomienia z rur wydechowych przebiło ciemność horyzontu.

A ponieważ wszystkie pierwotne rytuały, zwłaszcza te związane ze śmiercią, mają swoje własne słownictwo, Lówenherz zameldował Bachowi, że widzi cel słowami:

— Kotły, kotły!

— Bombowiec Lancaster - stwierdził Mrosek, którego zadaniem było zidentyfikować cel przed atakiem.

— Piękności ty moja - powiedział Lówenherz.

Flash Gordon był człowiekiem prostym, łagodnym, o spokojnym głosie, a jednak rosła w nim trudna do uwierzenia nienawiść do Binty'ego Jonesa. Rzadko mijał dzień bez drwin i słów sarkazmu, a ostatnio najbardziej ze wszystkiego bolała go pogarda, jakiej Binty nie krył dla dokonanego przez Gordona usprawnienia wieżyczki. Gdyby Binty uznał publicznie jego pomysł za wspaniały, wówczas może oficer nadzorujący strzelanie kazałby wprowadzić podobną modyfikację w wieżyczkach wszystkich bombowców dywizjonu. Kto wie, może by to nazwano „wieżyczką Gordona”? Wynaleziona przez strzelca pokładowego nazwiskiem Gordon. Ludzie mówią, że był on jednym z największych ekspertów strzelectwa, jakiego

lotnictwo kiedykolwiek miało.

Chociaż Flash Gordon prawie nigdy nie kłamał, zaczął zdawać sobie sprawę, że usprawiedliwione kłamstwo może być czasem koniecznością ze względu na postęp rodzaju ludzkiego. Jeśli powiedzenie kłamstwa jest jedynym sposobem udoskonalenia samolotów w Warley Fen, to nie stanie mu ono na drodze. Za dziesięć minut zrobię to, pomyślał, ale zmienił zdanie. Nigdy nie będzie spokojniej niż teraz: znikła obawa przed myśliwcem i byli na niebie zupełni sami.

- Myśliwiec! myśliwiec! Unik w lewo, już! - wołał Gordon.

Nie zawracając sobie głowy celownikiem otworzył ogień w zupełną ciemność. Lambert, słuchając instynktownie rozkazu, jaki każdy członek załogi miał prawo wydać, rzucił „Creaking Door” w pionowy przechył, spadając w dół jak kamień.

Binty Jones, aby nie być gorszy od swego kolegi, również wystrzelił z karabinów. Krzywe pocisków smugowych zakreśliły na niebie łuk w czasie, gdy „Door” spadał szybciej, niż jego wieżyczki mogły się obracać.

— Mój Boże - powiedział Lówenherz, gdy pocisk smugowy nadleciał ku niemu. Instynktownie zrobił unik, podczas gdy osiem płomieni spalinowych z rur wydechowych ustawiło się prostopadle i uciekło sprzed samego nosa. Małe pociski 0,303 jakie wystrzelili Anglicy, rzadko okazywały się groźne dla masywnie zbudowanych Junkersów, a jednak Lówenherz wołał ich uniknąć.

— Zobaczyl nas - powiedział Mrosek. Lówenherz zaklął. Poleciał w dół za bombowcem, usiłując ponownie ujrzeć płomień przed wiatrochronem, jednak teraz, gdy znalazł się nad bombowcem, nie mógł już korzystać z oświetlonych księżycem chmur.

Lambert kontynuował klasyczny manewr uniku, a lecąc w dół śpiewał jak litanię uwagi uprzedzające załogę: „nurkuję w lewo, wznoszę się w lewo, przerzucam na wznoszenie w prawo, nurkuję w prawo, przerzucam na wznoszenie w lewo, wznoszę się w lewo...”.

Lówenherz widział wiele razy taki wymijający manewr. Zdarzyło się, że cztery lub pięć razy wykonał identyczne ewolucje w szyku ze swoją ofiarą i zestrzelił ją, kiedy tak razem tańczyli. Tym razem nie mógł tego zrobić. Spirala może być wykonywana albo spokojnie, tak że zajmie i dziesięć mil przestrzeni powietrznej (niektórzy piloci lecieli spiralami całą

drogę), albo może to być brutalne skręcanie, łamiący plecy manewr, jaki Lambert teraz zastosował.

— Kontakt stracony - oznajmił Sachs.

— Moja wina - oświadczył Lówenherz.

Pokładowy radar LiCl nocnego myśliwca pokazywał sygnały tylko w wąskim stożku na wprost (dokładnie między 60 a 30 stopniem). Lówenherz manewrował samolotem przeszukując horyzont serią zwrotów. Bez skutku. Włączył nadajnik.

— „Katze Jeden” zawiadamia, że kontakt stracony.

— „Katze Jeden” - odpowiedział August głosem mocno zniekształconym na skutek zagłuszania. - Rozkazuję sterować 200 stopni.

August spojrział na stół wykresów i zobaczył, że punkcik przedstawiający „Creaking Door” znalazł się na krańcu jego sektora.

— Ależ ten Anglik ma szczęście - powiedział. - Gdyby skręcił w drugą stronę, moglibyśmy jeszcze za nim polecieć.

— Nie wszystko stracone, są jeszcze inni - stwierdził Willy.

Lambert przestał kręcić spiralę na „Creaking Door”. Jego dłonie drżały i aby Battersby tego nie zauważył, zaciskał je mocno na sterze. Nagle, ból w plecach i karku, nieodczuwalny podczas niebezpieczeństwa, powrócił ze zdwojoną siłą.

— Kosh, daj mi kurs na Noordwijk - powiedział.

— Zero-osiem-sześć, skiper - odrzekł Cohen. Zawsze był doskonałym nawigatorem i prowadził obliczenia na bieżąco, w każdej chwili gotowy podać kurs.

— Czy teraz wierzycie w moją otwartą przestrzeń widzenia? - Flash Gordon rzucił pytanie całej załodze. Czekał dość długo na słowa gratulacji lub podziękowania.

— Cholernie dobra robota - przyznał Lambert.

— Nie wierzę, abys cokolwiek zobaczył - powiedział oskarżająco Binty Jones.

— Piekielnie duży nocny myśliwiec, człowieku. Chyba go trafiłem.

— Bzdury - upierał się Binty. - Nic tam nie było.

— Więc po co strzelałeś? - zapytał Flash, ale nie otrzymał odpowiedzi. - Nazwę to „otwartą przestrzenią widzenia Gordona”.

— Po prostu stary kłamca ze starym... - zaczął Binty czwarty wiersz

sprošnej piosenki.



- Na miłość boską! Zamknijcie się - powiedział Lambert.

„S jak Sweet” stracił trochę na odległości na skutek błędu w obliczeniu wiatru już nad Lowestoff, a „Door” wykonywał skręty i uniki nad morzem, tak że o pierwszej czasu niemieckiego, podczas gdy Sweetowi i Lambertowi brakowało jeszcze osiem mil do wybrzeża, Tommy Carter na „Joe jak King” i Fleming na „The Volkswagen” dolecieli już nad Noordwijk, skręcili i przebyli cztery mile ostatniego odcinka trasy do celu. W połowie drogi między nimi - dwie mile od Noordwijk - Lówenherz leciał z powrotem nad morze. Dwa razy przeleciał w odległości stu jardów od „Joe jak King”. Przez kilka sekund końcówka jego skrzydła znalazła się zaledwie o dwadzieścia stóp od poziomego steru Halifaxa, ale nikt z członków załogi nie zauważył tego. Niebo wydawało się im obszerne i puste.

Noordwijk aan Zee jest miejscowością wypoczynkową na wybrzeżu holenderskim. W 1943 roku druty kolczaste poprzecinały plaże, a w morzu ukryto stalowe iglice. Hotele stały się domami dla rekonwalescentów i wojskowymi biurami, a szerokie nadbrzeże, pełne w czasie pokoju wczasowiczów, pilnowane było przez uzbrojonych wartowników. Latarnia morska na nowoczesnej esplanadzie włączyła przyciemnione światło, bo właśnie mijał ją konwój. Krążownik niemieckiej artylerii przeciwlotniczej „Held”, prowadzący sznur statków, zlokalizował strumień bombowców, gdy nad nim przelatywały. Po każdym wystrzale z „Helda” huk wstrząsał oknami w Noordwijk, a błyski oświetlały całe wybrzeże. Czerwony ogień jednej salwy znalazł się niepokojąco blisko Junkersa Lówenherza, więc wzniósł się wyżej. To już drugi raz w ciągu dwunastu godzin Admirał Pawlak strzelał do Lówenherza, ale oczywiście nie było sposobu, aby którykolwiek z nich kiedykolwiek się o tym dowiedział.

- Jak to miło z ich strony - odezwał się Lambert. - Włączyli dla nas latarnię morską w Noordwijk.

Zapytał Cohena o kurs, który poprowadziłby go nie za blisko niedalekiego miasta Leiden, w którym skoncentrowała się niemiecka artyleria przeciwlotnicza. Dokładnie wtedy, gdy Lambert i leżący w nosie bombowca Digby spoglądali na pulsujące migotanie latarni morskiej, cała esplanada rozjaśniła się nagle, jakby słońce wybrało to miasto na swój prywatny świt. To dwa Lancastery zrzuciły flary dla oznaczenia punktu zwrotnego dla strumienia bombowców. Latarnik patrzył uważnie z okna na

oślepiające żółte choinki flar, które opadały powoli, cal za cal, trzaskając głośno i wyrzucając węże białego dymu. Oświetlony flarami dym przybrał żółty kolor. Podobnie wyglądały wszystkie hotele oraz twarze wartowników i personelu latającego Luftwaffe, patrzącego nieruchomo z okien domu dla rekonwalescentów.

- Kosh - powiedział Lambert - markery punktu zwrotnego nad Noordwijk.

Cohen odciągnął na bok zasłonkę, która zakrywała jego stolik nawigacyjny. Światło ze stolika odbiło się przez moment w szybie przed Lambertem, zanim Cohen je wyłączył. Odczekał chwilę, aby przyzwyczaić oczy do ciemności, po czym nachylił się ku oknu. Zobaczył pas linii wybrzeża z jego hotelami i latarnią morską oświetloną flarami.

- W porządku - powiedział Cohen i stał przez moment, zanim powrócił do map.

Lówenherz, znajdujący się dwie mile na północ, także zobaczył flary.

- Do kontroli Ermine od „Katze Jeden” - oznajmił. - Markery punktu zmiany kursu spadają na Noordwijk. Polecę w ich stronę, aż dacie mi kontakt.

W Ermine Willy Reinecke właśnie wytarł znaki porobione woskowym ołówkiem na matowej szybie, gdy goniec przyniósł z kuchni kubki z kawą. Młody człowiek obsłużył Willy’ego i Augusta, a potem dał po kubku każdemu z operatorów punkcików. Goniec widział na zewnątrz dużą lunę na niebie.

- Duże pożary na północ stąd - zwierzył się. - Myślę, że dostało się Leiden.

Telefonista odparł pogardliwie:

- Nonsens. To tylko Anglicy zrzucają oświetlające markery, aby ułatwić lot bombowcom. Bombardowanie jeszcze się nie zaczęło, chłopcze.

Wziął gorącą kawę i wrzucił trzy kostki cukru.

- Zapowiada się długa noc, jeśli będą tędy wracać.

Bardzo, bardzo wysoko na niebie ponad Noordwijk, szybki Mosquito RAF także zobaczył flary. Niemiecki ogień przeciwlotniczy dział 8,8 cm nie mógł osiągnąć latających wysoko samolotów Mosquito. Wurzburgi miały trudności z wyśledzeniem ich, ponieważ samoloty te miały konstrukcję drewnianą, a nocne myśliwce nie mogły ich dogonić, gdyż były dla nich za szybkie. Ten samolot leciał w kierunku Ahaus, gdzie skręci na południe, zrzuci cztery czerwone markery na Krefeld, które bombowce zrównają z ziemią. Taki w każdym razie był plan.

Nieco wcześniej, dokładnie minutę po pierwszej, zrzucano flary na Noordwijk. Meldunki o nich przetelefonowano w ciągu sekund do „Opery” w Deelen, gdzie miejsce zrzutu zaznaczono na olbrzymim ekranie. Flary te widzieli wartownicy w strażniczych wieżach wybrzeża, podobnie jak ochotnicy z obrony przeciwlotniczej na dachach fabryk. Stanowisko kontroli na krążowniku obrony przeciwlotniczej „Held” podało ich zamiar, a artylerzyści z Hitlerjugend w Ahaus zameldowali o łunie.

Eksperci w Dowództwie Obrony Przeciwlotniczej w Duisburgu

czekali, czy samoloty rzeczywiście skręca nad Noordwijk. RAF stosował bowiem taki fortel, że zrzucano markery punktu zmiany kursu, pouczywszy swoje załogi, aby nie zwracały na nie uwagi. To niekiedy powodowało, że FLUKO ostrzegało inny rejon, a ludzie nie mogli iść spać, przesiadując w wilgotnych piwnicach i przeklinając Luftwaffe. Co gorsza, obrona i ludzie w miejscu rzeczywistego celu pozostawali nieprzygotowani.

W ciągu dwóch minut nadeszło wystarczająco dużo innych meldunków stwierdzających, że strumień bombowców skręcał. Dowódca Centrum Ostrzegania potrzebował tylko skinąć na swojego czujnego zastępcę. Gdy bombowce poleciały w kierunku wschodnim strefy wstępnego alarmu stały się strefami alarmu. Teren, nad którym bombowce przelatywały, został kompletnie zaciemniony. Pociągi stawały, stacje pograżały się w ciemnościach, ludzie schodzili do schronów.

- Niebezpieczeństwo nalotu 30 dla całego Zagłębia Ruhry!

Niebezpieczeństwo nalotu 30: miasta, miasteczka i wioski aż po Kolonię i Dortmund powiadomiono, aby przygotowały się na atak w ciągu trzydziestu minut. Na stanowiskach niemieckiej artylerii przeciwlotniczej wygaszono papierosy, pozostawiono niedopitą kawę, a żołnierze wychodzili z baraków narzekając, nucąc, śmiejąc się i ziewając oraz dopinając guziki płaszczy, chroniących ich przed chłodem nocy. Lufy dział skierowano w górę, reflektory odchyłono, aparaturę radarową rozgrzewano, a pociski uzbrojono. Ostrzeżono także pracowników obrony cywilnej, policję, straże pożarne i szpitale. Otwarto schrony, a komórka partii hitlerowskiej, która opiekowała się zbombardowaną ludnością cywilną, zaczęła się przygotowywać do nalotu: rozpalono ogień pod kadziami z zupą, sortowano koce, przygotowywano całuny i rozwiązywano toboły z używanymi rzeczami. Altgarten znalazło się teraz w strefie przedalarmowej.

— Czy oglądał pan dzisiaj zachód słońca? - zapytała Gerda Pippert mężczyznę siedzącego po jej lewej stronie. Nabrała już pewności siebie. Nikt nie domyślił się, że nie jest tą Frau Pippert z listy zaproszonych gości. Wszyscy byli dziś zbyt zaabsorbowani własnymi sprawami, aby wnikać w jej życie.

— Ach - westchnął jej towarzysz - powinniśmy być teraz na łące Kollera, pani i ja, trzymać się za ręce i złapać zapalenie płuc na wilgotnej trawie.

Gerda Pippert zarumieniła się. Straszny był ten łysy, mały człowieczek, obok którego siedziała podczas kolacji, ale ponieważ pozostali goście przyjmowali jego żarty z humorem, więc powstrzymała się od sprzeciwu. Chociaż, Bóg świadkiem, łąka Kollera za szpitalem i ośrodkiem szkolenia pielęgniarek rzeczywiście w letnie noce cieszyła się dużą frekwencją. Po mieście krążył dowcip - każdy kto miał siniak lub zadrapanie to pewnie potknął się o pielęgniarkę przechodząc po zaciemnieniu przez łąkę Kollera.

Żona architekta, która nawet w ten ciepły wieczór siedziała w futrzanej narzutce, nachyliła się i powiedziała:

— Słyszałam, że będzie kawior.

— Nigdy jeszcze nie jadłam kawioru - odrzekła Gerda Pippert.

— Jest obrzydliwy - odezwał się Gerd Boli. - Ja zawsze jem wędzonego węgorza.

— Ma pan szczęście, że panu smakują proste potrawy - powiedziała Frau Hinkelburg. Obserwowała swego męża, architekta, siedzącego na drugim końcu stołu i rozmawiającego z rudym, młodym kuzynem burmistrza. Kiedyś zdarzyło się, że z powodu pewnego rudzielca miała nieprzyjemności.

— Jest tu na pewno wystarczająca ilość prostych potraw - przyznał pogodnie Gerd Boli. Kiedy sięgał po drugą porcję ciasta owocowego, mrugnął do Gerdy, a ona uśmiechnęła się do niego. Nie liczył się specjalnie ze słowami, a ona zawsze podziwiała to w mężczyźnie.

Rozglądała się wkoło stołu po wszystkich gościach, zwłaszcza kobietach. Matka burmistrza, jakże pełna godności pani: miała osiemdziesiąt sześć lat, koronkową bluzkę usztywnioną wysoko pod brodą i pokryte ciemnymi plamami, białe, pobłyskujące pierścieniami dłonie. Żona

burmistrza siedziała dostojnie, z siwymi włosami ściągniętymi do tyłu jak nauszniaki, co uważano teraz za wyraz patriotyzmu. Ładna kobieta o wielkim uroku i bardzo uprzejma, z których to cech żadnej nie można było przypisać jej małżonkowi.

— Kto to jest ta pani z brylantowym diademem? - zapytała Gerda.

— Grafin von Linek.

— Astrolog?

— Nie kto inny - odrzekł Gerd.

— Ludzie mówią, że Reichsführer Himmler zasięga jej rady. Zapowiedziała iwycięstwo w przyszłym roku.

- Tak, tak mówi. Powtarza to co rok.

Wystraszona Gerda Pippert przyjrzała się badawczo twarzy Gerda, a Frau rlinkelburg nie ukrywała niezadowolenia.

Kelnerzy byli zajęci zaciąganiem zasłon, więc Gerd sięgnął po kubeczek z lodem i podał obu paniom jeszcze trochę francuskiego szampana. Zauważył, że etykietę z 1937 roku z napisem „Eksport do Anglii” przedrukowano na „Reserve pour le Wehrmacht”. Zastanawiał się, czy wydział zajmujący się etykietowaniem przygotował podobne dla Amerykanów lub nawet Rosjan. Aby utopić tę myśl znów sobie iołał.

Okna prywatnej sali restauracji Frenzla dawały wszystkim gościom burmistrza rozległy widok na miasteczko i dlatego właśnie kelnerzy zwlekali tak długo z zaciągnięciem zasłon i zapaleniem świateł. Gdy to zrobili, na przyjęciu zapanowała zupełnie inna atmosfera. Bardziej spoufaleri i na pozór czujący się bardziej swobodnie goście - rozweseleni przez burmistrza troskliwie wybranym i hojnie podawanym winem - sadowili się wygodnie na krzesłach i przygotowywali na przemówienia i toasty, które miały zająć resztę wieczoru. Niektórzy mówcy położyli już przed sobą na stole notatki.

Gerd Boli dokładnie wybrał czas wyjścia. Druga porcja jabłecznika oznaczała - jeśli chodzi o niego - koniec wieczoru. Znał dalszą procedurę: filiżanki do kawy stały gotowe na stoliku na kółkach i zanim znajdą się na spodeczkach, pierwszy z mówców powstanie z miejsca, deklamując pilnie zebraną kolekcję pochlebnych i oklepnych frazesów. Mówcy spowodują pozbawione może entuzjazmu, ale w każdym razie długotrwałe oklaski. Żał mu było tylko cygar: przycięte stumpen z Holandii, które dawno już zniknęły ze wszystkich znanych Gerdowi źródeł, ale nawet one nie skusiły

go do pozostania. Wyjaśnił burmistrzowi, że tego wieczoru będzie musiał wyjść wcześniej z powodu służby przeciwlotniczej.

- Obowiązek przede wszystkim - powiedział burmistrz. Wiele lat temu gratulowano mu donośnego głosu mówcy, zawsze mówił staranną niemczyzną, jakby odzywał się do upośledzonego, cudzoziemskiego dziecka.

W rzeczywistości Gerd Boli udawał się do bufetu kolejowego na partyjkę skata z przyjaciółmi z TENO. Obiecał, że będzie tam przed dwudziestą trzecią trzydzieści, wyszeptał więc swoje przeprosiny gadatliwej żonie architekta i skromnej, starej nauczycielce, które siedziały obok niego.

- Do widzenia, Frau Pippert - powiedział. - Miło mi było zobaczyć panią znowu i cieszę się, że pani noga ma się lepiej.

Frau Pippert uśmiechnęła się z niepokojem. Więc prawdziwa Frau Pippert miała chorą nogę?

— Tak - odpowiedziała z wahaniem - ma się dużo lepiej. - Zdecydowała się upiększyć trochę swoją odpowiedź i dodała: - Tylko palce kłują boleśnie od czasu do czasu.

— No cóż, nie należy się na to skarżyć - odparł Gerd wesoło. - Ostatecznie niewielu jest ludzi, którzy mogą sobie wyhodować po amputacji całkowicie nową nogę.

Gerd uśmiechnął się i pocałował ją w rękę.

- Życzę pani przyjemnego wieczoru, Frau Pippert - powiedział. - Kupiec kolonialny musi bardzo uważać, aby nie pomieszać rachunków dla dwóch pań o tym samym nazwisku, ale na szczęście nie ma tu dziś wieczorem innych kupców.

Oberwachtmeister Muller powstał, jak tylko podano kawę, ale Gerd zdążył szybkim krokiem dopaść drzwi. Muller obciągnął połą bluzy swego niebieskiego munduru i odchrząknął nerwowo. Czuł się zaszczycony przemawiając jako pierwszy, choć było to trudne zadanie. Kelnerzy podawali jeszcze kawę. Zauważył, że wielu gości spoglądało zazdrośnie na Bólla, który prawie biegiem dopadł drzwi. Ktoś zastukał o stół łyżeczką i gdy zaczął przemawiać, zwrócono na niego niepodzielną uwagę.

Szef policji zrelacjonował osiągnięcia burmistrza i rolę Altgarten jako zdyscyplinowanego i praworządnego miasteczka Trzeciej Rzeszy. Jeśli było to jednocześnie sprawozdanie odzwierciedlające sukcesy szefa policji, to tak właśnie dokładnie miało być. Także inni urzędnicy dodali swoje hymny pochwalne. Kierownik gazowni i starosta wygłosili krótkie przemówienia.

Niektórzy mówcy uznali to za dobrą okazję, do ponownego opisanie rozwoju Niemiec od zdemoralizowanego narodu, jakim stał się po klęsce w I wojnie światowej do mocnego, przejmującego strachem władcy Europy 1943 roku. Schott - szef służby energetycznej - znał burmistrza przez większą część tego okresu. W 1933 roku pracowali razem w jednej z fabryk, które w tajemnicy uzbrajały nowo powstający Wehrmacht. Schott mówił o tamtych czasach. Nie był to jednak okres życia, jaki burmistrz życzyłby sobie wspominać.

- Pewien starszy człowiek - mówił Schott - pracujący w szopie na



farby, kradł codziennie jedną część dziecięcego wózka. Kiedy już miał wszystkie części, próbował złożyć w domu wózek. „Zabawna rzecz - powiedział mi - za każdym razem, gdy próbuję go złożyć, wychodzi mi karabin maszynowy”.

Rozległ się śmiech i oklaski. Nawet burmistrz uśmiechnął się skromnie.

Większość mężczyzn była w mundurach. Jąkający się funkcjonariusz partyjny z Berlina, przybył w kompletnym uniformie SA z galowym kordzikiem, pamiątkową opaską „Horst Wessel” i pełną piersią medali i baretek. Ofiarował burmistrzowi grawerowaną plakietkę w uznaniu jego służby w Komitecie lokalnej szkoły im. Adolfa Hitlera.

Obersturmfuhrer Berger, wysoki rangą pełnoetatowy urzędnik SS, powstał jako następny. Poprawił węzeł czarnego krawata i strzepnął rękaw, usuwając niewidzialny włos z szarej bluzy mundurowej. Zadowolony ze swego wyglądu Berger uśmiechnął się do sąsiadów. Oznajmił o promocji burmistrza do stopnia honorowego Obersturmfuhrera SS i wygłosił dowcipną mowę, opisując wszystkie środki, do jakich uciekło się Allgemeine SS, aby zdążyć ogłosić promocję w dniu urodzin burmistrza. Zażartował, że burmistrz zrównał się z nim stopniem i że on powinien dla odmiany zostać honorowym burmistrzem. To nie był dobry żart, ale tego wieczoru było ich tak mało, że goście skorzystali z okazji, aby wykaszleć się i uśmieć, że boki zrywać.

Wieczór mijał szybko, w pewnym stopniu także dzięki gorliwości, z jaką kelnerzy Frenzla stosowali się do poleceń burmistrza: „Podawać szampan aż wszyscy będą mieli dosyć lub wydam inne polecenie”. Stara sala pachniała młodą, pieczoną kaczką, sznapsem, świecami i dobrymi cygarami. Zapachy te przeniknęły głęboko w dębową boazerię i dołączyły do wspomnień o innych kolacjach w innych czasach.

Recytowane przemówienia skończyły się pięć minut po północy, kiedy to najmniejszy z chłopców Jungvolk w Altgarten ofiarował burmistrzowi ogromny bukiet kwiatów w imieniu wszystkich młodzieżowych organizacji hitlerowskich okręgu. Nastąpiło jeszcze kilka zaimprovizowanych przemówień i odśpiewano stare pieśni.

- Piękny wieczór - powiedział Berger, który zdjął bluzę SS i kierował chórem głosów równie potężnym co fałszującym.

Standartenfuhrer SS Wóρθ z jednostki SS w Wald Hotel uśmiechnął się pobłaźliwie do Bergera, gdy ten śpiewał stare piosenki partyjne. Dołączył do chóru przy pieśni, którą pamiętał z czasów, gdy pełnił jeszcze służbę jako chorąży. Głos starszego pana był ledwie słyszalny. Za dwadzieścia pierwsza oświadczył, że pora spać i powstał. Przypominał starego charta - miał długie, chude ręce i nogi, podobnie jak twarz o smutnych, szarych oczach, spoglądających wkoło niespokojnie, jakby obawiając się ataku. Stary oficer SS poruszał się powoli, żgając podłogę laską przed powierzeniem jej ciężaru ciała. Skinął gościom głową i wyszedł. Za nim szedł krzepki podoficer Dieter Witting gotów podeprzeć jego ramię, podsunąć krzesło lub dać znak, aby ktoś usunął się z drogi. Czynił to w sposób kurtuazyjny i dyskretny, nie dając Wóρθowi odczuć jego beznadziejnego kalectwa.

Samochód znajdował się blisko wejścia, a kierowca owinął kocami kolana dowódcy, zanim delikatnie zamknął drzwi. Wóρθ zatopił się w skórzanym siedzeniu i przymknął oczy na spotkanie z bólem. Brak lewej ręki nadal sprawiał mu więcej udreki aniżeli zranione kolana lub stopy.

Kilka minut po pierwszej przybył goniec z ratusza i wyszeptał coś do ucha burmistrzowi. Aż do przyjscia tego młodego człowieka w stalowym hełmie, roboczych rękawicach i służbowym kombinezonie można było zupełnie zapomnieć, że toczy się wojna.

- Proszę o uwagę - oznajmił burmistrz i cała sala zamarła. Kelnerzy stanęli na baczność, tak jak to czynili każdego ranka, gdy Herr Frenzel oglądał ich dłonie i paznokcie.

— Otrzymałem oficjalną wiadomość, że dzisiejszej nocy znajduje się w powietrzu znaczna ilość bombowców RAF. FLUKO w Duisburgu przekazało wstępne ostrzeżenie. Przewiduje się zaatakowanie Ruhry. Moi goście zechcą niewątpliwie jak najszybciej udać się do swych obowiązków. Pozwolę więc sobie życzyć wszystkim dobrej nocy. Heil Hitler!

— Heil Hitler! - powtórzyli trzeźwo goście. Burmistrz pocałował żonę i matkę, po czym skłonił się wszystkim. Pierwsi wychodzący ujrzeli na północnym zachodzie światła reflektorów. Wkrótce potem zabrzmiało wczesne ostrzeżenie.

Stacja kolejowa Altgarten bardziej była znana z ożywienia panującego w jej bufecie niż z ruchu pociągów. Bar dworcowy stał się ulubionym miejscem pobytu policjantów, ludzi z TENO, jak również pracowników kolei, stale tam zresztą przesiadujących.

Bufet był zadymiony i pełen wrzawy przez cały dzień, codziennie śmierdział cienkim piwem, tanim tytoniem i podłą kielbasą. Czasami nie zamykano go przed trzecią rano, choć ostatni pociąg przejeżdżał o pierwszej. Wielokrotnie, kiedy główna linia była bombardowana, pociągi z wojskiem kierowano do Altgarten, a dwie starsze panie prowadzące bar podawały piwo, kawę i kanapki aż do wyczerpania zapasów.

Bufet był umeblowany na podobieństwo wiktoriańskiego salonu. Znajdowały się tu tuziny roślin, oszklone szafki pełne wypolerowanych szklanek i kieliszków, popiersie Beethowena i portret Wagnera, kolorowa reprodukcja Fihrera oraz stare pianino. Na górnej półce baru leżały czapki podarowane przez maturzystów, którzy poszli na wojnę. Stało się to rytuałem i teraz dwadzieścia osiem zakurzonych czapek leżało nietkniętych od dnia, kiedy je tam wrzucono. Na tej samej górnej półce stały cztery stare butelki po szkockiej whisky. Nie było tygodnia, aby jakiś żartowniś nie zamówił „White Horse” lub „Black and White”, a stara Frau Klein śmiała się, jakby żart był nowy.

Najlepsze były trzy stoliki w pobliżu pianina. Starsze panie mogły wychylić się znad lady i podać chleb, piwo, podłą kielbasę czy ziemniaki, a w tłoczny wieczór klienci przy drzwiach czasem krzyczeli godzinami, a i lak nie zostali obsłużeni. Te trzy najlepsze stoliki oznaczono proporczykami Stammtisch, tak że tylko stali bywalcy ośmielali się przy nich usiąść. Tego wieczoru środkowy stolik był zajęty przez grupę mężczyzn grających w

skata o drobne stawki, a nieliczna gromadka kibiców obserwowała graczy: Gerda Bólla i jego dwóch przyjaciół z TENO.

Fuchs Ueberall akurat coś mówił. Jego bluza TENO wisiała na krześle. Dwie gwiazdki na patce kołnierza oznaczały Zugwachtmeistra, co dla podoficera było wielkim tytułem. Jego szelki podtrzymywały źle dopasowane, szare spodnie, które prawie zakrywały klatkę piersiową. Miał silny saksoński akcent. Wydawało się to komiczne zwłaszcza tutaj, gdzie miejscowi mówili szybko dialektem podobnym do holenderskiego. Nikt się jednak z niego nie śmiał. Byłoby lekkomyślnością drażnić tego olbrzyma.

— Oni nigdy nie zagrają w kręgle tu, w Altgarten - powiedział Fuchs. - Za blisko granicy holenderskiej, aby Anglicy zaryzykowali.

— Jeśli masz na myśli bombardowanie, to powiedz bombardowanie. Nienawidzę żargonu - odezwał się Bodo Reuter, oficer TENO. Poprosił o kartę. Owa pogłoska odżywała od czasu do czasu. - To pocieszające - dodał.

— Zakazano im pod karą śmierci bombardować cele w obrębie dwudziestu kilometrów od jakiegokolwiek granicy swoich byłych aliantów - powiedział Fuchs Ueberall. Położył nacisk na słowo „bombardować”.

— Skąd wiesz? - zapytał Reuter. - Ja znowu słyszałem, że Amerykanie i Brytyjczycy nigdy nie skazują na śmierć swoich żołnierzy.

— Jesteśmy tutaj jedenaście kilometrów od granicy holenderskiej. Słyszeliście o jakichś bombach zrzuconych tak blisko granicy?

— Tak - powiedział Gerd. Wziął lewą, zgarnął ją i położył przed sobą.

— Och, myślisz o samolocie, który pozbył się bomb wyrzucając je na teren Frau Kersten, ale to się nie liczy.

— Może wytłumaczysz to Frau Kersten - powiedział Gerd. Niektórzy mężczyźni roześmiali się.

- Zagrywaj - odezwał się Bodo. Fuchs był plotkarzem.

- Ona jest zbyt zajęta nauką języka francuskiego, aby pozwolić mi na udowodnienie jej czegokolwiek - odparł Fuchs, na co rozległ się jeszcze głośniejszy śmiech.

Właśnie miał nadejść pociąg o godzinie pierwszej, gdy Jurgen Lówe, jeden z gońców Hitlerjugend przybył na rowerze do baru. Nie usiadł, ponieważ miał pilny meldunek do Andi Nielsa, którego nie mógł odnaleźć. Oznajmił:

- Ruhra zostanie dzisiejszej nocy przetrzepana; meldunek FLUKO donosi o ponad siedmiuset samolotach.

Jeden z mężczyzn grających w karty oświadczył:

- To już drugi ciężki nalot w tym tygodniu.

Dwaj pracownicy browaru grali w szachy w narożniku sali. Mieli w pogotowiu hełmy i rękawice armii francuskiej, a ubrani byli w kombinezony obrony cywilnej.

— Jutro rano będzie dłuższe spanie - powiedział jeden, ponieważ jeśli w nocy był alarm to dawano im dwie Reichsmarki premii i udzielano dwie godziny wolnego rano.

— Kto przegra partię pójdzie zatelefonować do ratusza.

— Zgoda - odrzekł drugi i przesunął laufra zagrażając konikowi stojącemu obok króla.

Herr Hollander, urzędnik stanu cywilnego, był członkiem miejscowej Blockwarte. Połknął resztę piwa i zerwał się pośpiesznie na nogi, gdy usłyszał o nalocie. Do niego należało otworzenie schronu i zebranie kluczy od drzwi frontowych domów stałych mieszkańców na wypadek zrzucenia bomb zapalających. Musi się także upewnić, czy stara i głucha Frau Klietmann przebudzi się na odgłos alarmu. Nie wszyscy ludzie z jego rejonu zechcą się udać, mimo przepisów, na dół, do schronu. Większość pracowała w browarze, a kto musi wcześniej rano odbić na zegarze godzinę przyjscia, nie zechce przerywać snu i schodzić do zimnej piwnicy. Blockwart Hollander wyszedł spokojnie z baru.

Pociąg o pierwszej przyjechał dokładnie według rozkładu jazdy, gwizdząc, jęcząc i z sykiem wypuszczając parę. Sześciu mechaników TENO udających się na urlop opuściło bar, żegnany kpiącymi okrzykami. Zaledwie drzwi przestały się wahać, jeden z ludzi TENO wsunął przez nie głowę mówiąc:

- Chodźcie popatrzeć jak spadają flary zrucane przez Anglików; myślę, że to gdzieś w pobliżu Neukirchen.

Ledwo powiedział te słowa, odezwały się syreny ogólnego ostrzeżenia. Ich wycie rozbrzmiewało niesamowitym echem w całym mieście. Nawet wtedy nie wszyscy opuścili bar. Syreny ogólnego ostrzeżenia były tylko wstępną zapowiedzią dla ludzi na ulicy lub znajdujących się daleko od schronu. I nawet gdy bardziej poważnie

zabrzmiało powszechne ostrzeżenie, to tu, w Altgarten, zagrożenie było czysto teoretyczne. Bomby miały spaść na jedno z dużych miast Zagłębia Ruhry.

Gerd Boli z kartami w ręce wyszedł spojrzeć na flary. Były daleko, pryskały małymi punkcikami intensywnego światła, podobne do staromodnych, karbidowych lampek rowerowych. Gerd zdecydował, że czas zameldować się ze swoją furgonetką w sali dowodzenia w ratuszu. Gdy tylko FLUKO da im znać, gdzie skupia się atak, popędzi do bombardowanego miasta z pomocą. To była dobra strona stanu kawalerskiego, pomyślał Gerd. Nie mógłby tego robić, gdyby musiał troszczyć się o żonę i dzieci. Przyszedł mu na myśl Hansl i dziewczyna. Jeśli atak będzie ciężki - goniec zapowiedział ponad siedemset bombowców - to może dobrze byłoby dopilnować, aby dziecko i dziewczyna zeszli dzisiejszej nocy do schronu. Oczywiście, sprzeciwią się, ale będzie nalegał. Usiadł i spojrzął ostatni raz na swoje karty. Następnie uniósł brwi pytając Reutera, co może się wydarzyć.

Bodo Reuter grał w skata doskonale. Grywał już wtedy, gdy jako piętnastolatek sfalszował swój wiek, aby udać się na pierwszą wojnę. Grał w marynarce handlowej, a teraz, po wielu wieczorach gry w bufecie dworcowym z Gerdem Bóllem i starym Fuchsem o groszowe stawki, prawie odzyskał dawną wprawę. Po kilku szklankach sznapsa domowej roboty Gerda, opowiadał przeróżne historie: o opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei w pływającym doku, o Grand Banks (rozległa ławica, teren połowu ryb na południowy wschód od Nowej Funlandii), gdzie pływał na hiszpańskim trawlerze, o Paryżu w lecie 1940 roku, o burdach w Bostonie, o burdelach w Szanghaju. Oberzugfuhrer Reuter dokonał tego wszystkiego, a - jak opowiadał - niektórych z tych wyczynów dwukrotnie.

Ten wysoki, szybko mówiący mężczyzna pochodził z Hamburga. Miał niebieskie głęboko osadzone oczy, pociągłą twarz, wysokie kości policzkowe i duże czoło z przerzedzonymi, jasnymi, miękkimi włosami. Wyglądał bardziej na artystę niż oficera saperów. Większość mężczyzn z batalionu TENO w Altgarten była, podobnie jak Fuchs, krzepkimi facetami o hałaśliwym poczuciu humoru.

Niektórym ze starych bywalców baru trudno było uwierzyć, że ten spokojny człowiek dokonał czynów, o jakich opowiadał, ale pełna pierś

medali dowodziła tego i jak to kiedyś powiedział tłumowi wzburzonych bolszewików, jego ręce opowiadały historię jego życia. Były to czerwone, mocne dłonie, błyszczące siatką blizn i skórą pokreśloną zgrubieniami od lin żaglowca.

Bodo rzucił karty na stół, aby pokazać, że nie można kontynuować gry. Gerd wyrównał krawędzie swoich kart z nerwową troskliwością, a Fuchs Ueberall zebrał ze smutkiem całą talię i włożył do pudełka. Fuchs przez godzinę był cywilem, ale teraz, gdy Altgarten stanęło w obliczu nalotu, został wrzucony z powrotem w świat surowej, żołnierskiej rzeczywistości.

- Weź moją furgonetkę - powiedział Gerd do Boda. - Ja pożyczę rower i dołączę do was, zanim zostaniecie odkomenderowani.

Nie było czasu na grzeczności. Bodo chwycił kluczyki, które mu rzucono i skinąwszy głową pozostałym w barze mężczyznom wyszedł pośpiesznie. Fuchs usiadł na przednim siedzeniu obok swego oficera i kilka minut później to właśnie on krzyknął w samą porę, dzięki czemu uniknęli wjechania w duży krater w pobliżu skrzyżowania z torem kolejowym.

Gerd pożyczył damski rower od Frau Klein, barmanki. Przytłumione, niebieskie światła uliczne były wygaszone, ale farba świecąca na słupach i latarniach pomagała mu znaleźć drogę przez zaciemnione miasto.

Gdy mijął Główną Kwaterę Partii Hitlerowskiej wpadł uprzedzić ich o spodziewanym dużym nalocie, jednak jeden rzut oka wystarczył, by się zorientować, że niepotrzebnie się kłopotał. W kuchniach NSV<sup>o</sup> uwijali się ochotnicy w fartuchach i członkowie partii w swoich wspaniałych mundurach. Polityka wewnętrzna NSDAP uwzględniała wypłacanie bezdomnym odszkodowania, zaopatrzenie w ubrania, otwieranie kuchni dla ubogich i udzielanie im pomocy w nagłej potrzebie. Gerd przecisnął się przez góry ziemniaków, wydzielających intensywny zapach, którego nienawidził. Pod kadziami z zupą paliły się niebieskie, ogoniaste płomienie gazowe, a do maszyn do obierania wsypywano coraz więcej ziemniaków.

— Może kawy, Herr Boli? - zapytała Frau Grundel.

— Nie powinienem przeszkadzać w pracy - odrzekł Boli. Kobieta uśmiechnęła się. Wiele lat temu siadali razem pod drzewami trzymając się za ręce, a w letnie wieczory spacerowali wzdłuż strumienia aż do dawno już zrujnowanego wiatraka Kersten. Teraz była prawie pięćdziesięcioletnią wdową, z trójką dorosłych córek i synem żołnierzem. Prowadziła sklep z

pieczywem, a nadto pracowała ochotniczo długie godziny w związku Kobiet. Frau Grundel sięgnęła po jeden z obitych, emaliowanych kubków stojących na półce przy piecu, naląła gorącej, czarnej kawy i podała mu.

— Dla pociągu ratunkowego? - zapytał Gerd Boli.

— Właśnie - odrzekła kobieta. - Ciężarówki czekają. Aż dziw bierze, gdy się pomyśli, że za trzy godziny ci biedni, zbombardowani ludzie z Zagłębia Ruhry będą jedli naszą dobrą, gorącą zupę ziemniaczaną.

Wyglądziła nakrochmalony, biały fartuch na swoim mundurze.

— Mamy za co dziękować Bogu.

— Bogu i Führerowi, Gerd - powiedziała kobieta.

— Gdzieś na północy zrzucają flary - oznajmił Gerd. - Widać także światła reflektorów.

— Jesteś trzecim, który nam to mówi - odparła Frau Grundel. - Ale nie ma potrzeby niepokoić się tymi bandytami; nasi dzielni chłopcy znajdują ich w powietrzu.

— Muszę iść - rzucił Gerd Boli. Dopił kawę i ściągnął wargi w gorzkim grymasie. Frau Grundel zauważyła to.

— Nie martw się. Nasza obrona przeciwlotnicza w Zagłębiu Ruhry jest najwspanialsza na świecie.

— Do widzenia, Frau Grundel - powiedział Gerd. Odwróciła się i włączyła maszynę do obierania kartofli, która czyniła taki hałas, jakby waliły gromy.

Anna-Luiza czesała włosy dokładnie trzysta razy, jak to czyniła każdego wieczoru, gdy usłyszała głos małego Hansla z sąsiedniego pokoju.

- Fraulein! Fraulein!

— Słucham cię Hansl, ale musisz wrócić do łóżka. Odciągnął zasłonę.

— Ładne światła, Fraulein. Takie ładne światła. Jak choinki na niebie. Anna-Luiza podeszła do okna.

— Tak - powiedziała. - Zupełnie jak choinki.

— Czy to robi tatuś?

— Nie, kochanie.

Kolorowe światła były blisko, bardzo blisko. Podniosła go w górę.

— Jesteś ciężki, Hansl. Niedługo będziesz dla mnie za ciężki do dźwigania.



— Kiedy będę dorosły, to ja ciebie podniosę, Fraulein.

— To będzie wspaniałe - odpowiedziała Anna-Luiza i pocałowała chłopca. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, podeszła do nich niosąc Hansla.

— Panie Boli, czy coś się stało?

— Dobrze, że jesteście ubrani.

— Dlaczego?

— Chcę, abyście zeszli na dzisiejszą noc do schronu.

— Do schronu?

— W sąsiedztwie, u pana Vossa. W zeszłym miesiącu powiedział Augustowi, że gdy będzie nalot, to macie się schronić u niego. Jego schron jest wzmocniony i posiada wentylatory. Bez nich łatwo się udusić.

— Dzisiejszej nocy?

— Już zrzucają flary. To są markery celów. Musicie się pośpieszyć.

— Chyba nie będą bombardowali Altgarten?

— Proszę, pośpieszcie się.

— Muszę włożyć buty i zabrać płaszcz dla Hansla.

— Nie mogę czekać, Fraulein - powiedział Gerd. - Śpieszcie się i mocno pukajcie do drzwi Vossa. Wiem, że jest u siebie, bo jego zaciemnienie zawsze posiada jakieś szpary, ale słucha muzyki z gramofonu i mógłby was nie słyszeć.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, że się pan fatygował, Herr Boli.

- Obiecałem Augustowi - powiedział Gerd oziębło. Przerzucił nogę ponad siodelkiem roweru Frau Klein i popedałował ku obozowi TENO.

Pierwsze zrzucone bomby, wydały zupełnie nowy dla Anny-Luizy dźwięk: przewlekły gwizd, jak ciężka paczka zsuwająca się w dół po metalowym zsypie. Każdy kończył się hukiem. Nie przypominał on w niczym odgłosu petardy czy strzałów z pistoletu. To tak jakby porównać dźwięk małego fletu do tuby. To były głośnie basowe, mosiężne huki, które uderzały w uszy, wstrząsały ziemią pod stopami i kopały gwałtownie w okna.

- Hansl, moje kochanie, musimy się pośpieszyć.

Światła ostatniego Lancastera znikły ponad ogrodzeniem lotniska Warley Fen. Dźwięk samolotu stawał się coraz słabszy, aż także zanikł. Przez kilka minut panował nienaturalny spokój, który nawet ludzi

niewrażliwych zmuszał do mówienia szeptem. Pułkownik nie był osobą niewrażliwą. Przerwał podpisywanie papierków i zgasił lampę przed odciągnięciem zasłon zaciemniających i otwarciem okna. Zimny wiatr głośno zaszeleścił papierami na biurku. Oświetlenie pasa startowego było już wyłączone i z wyjątkiem przysłoniętych świateł na narożnikach każdego budynku i niedbałego zaciemnienia w bloku operacyjnym noc była ciemna i spokojna.

Gdy samoloty odlatywały odczuwał zawsze to samo. Czuł się jak na bezludnej wyspie. Dręczyła go obawa, że którejś nocy żaden z nich nie powróci i że będzie siedział na lotnisku osamotniony na zawsze. To był dwunasty lot bojowy w tym miesiącu. Za dużo. Jego ludzie byli zmęczeni, on także. Wykorzystał wszystkie swoje znajomości, aby jego dywizjon poleciał tylko na zwiad, ale jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, to nie nadawali się do tego. Byli przeciętnymi lotnikami, a on nie wyróżniał się jako dowódca.

Pragnął oszukać zmęczenie kładąc się na cztery godziny, tak jak to czyniło wielu młodych, ale brak snu powodował, że łatwo wpadał w gniew. Pomimo to zawsze czekał, aż samoloty wrócą. Nie mógłby tak po prostu wrócić do domu i próbować usnąć. Nienawidził swego mieszkania o wiele za dużego dla samotnego człowieka i przez to pustego. Poprzedni dowódca Stacji Lotniczej Warley miał żonę i troje dzieci oraz tak dużo mebli, że z przyjemnością zostawił połowę, gdy dowiedział się, że Jarman nie miał własnego umeblowania.

Żałował, że Helena nie dożyła, aby zobaczyć, jak sobie radzi z jajecznicą i dowodzeniem własną stacją. Niektórzy z jego kolegów i ich żony współczuli mu, że nie miał dzieci. Laurie i Daphne nawet mu to powiedzieli, ponieważ nie zdawali sobie sprawy ze stosunku między dowódcą a jego ludźmi w jednostce bojowej. Stacja operacyjna: jakże często marzyli o niej i żartowali z tego, gdy był jeszcze młodym kapitanem służby czynnej, w „małym” lotnictwie czasu pokoju. Wtedy wydawało im się, że promocja nigdy nie nadejdzie. „Przybywaj śmierci, promocji nie widać” zwykli żartować w kasynie. A teraz, mój Boże, działa się to czasem bardzo szybko. Tylu kręcących się wkoło młodzików było pułkownikami lotnictwa; młodzików!

Kiedy przyzwyczał oczy do ciemności, widział daleko, aż do

dispersalu eskadry B. W blaszanych barakach, w których żołnierze będą czuwali całą noc, starano się rozniecić ogień w małych, nieszczelnych piecykach. Pułkownik poczuł zapach dymu drzewnego i przypomniał sobie siedem dni na froncie na wiosnę 1917 roku; to był cały jego urlop. Ówczesni wodzowie uważali go za wariata, ale nie mieli pojęcia, czym dla młodego oficera piechoty było uwięzienie go w składnicy zaopatrzeniowej przez całą wojnę. I to w czasie, gdy przeciętny okres życia oficera liniowego niższego stopnia wynosił na froncie trzy tygodnie!

Jego personel latający był nawet staranniej dobierany niż młodzi oficerowie Haiga, a jednak tylko w tym miesiącu stracił trzy załogi podczas pierwszego lotu bojowego. Jedna z załóg była tu zaledwie od ośmiu dni. Mieli odwagę tysiąca lwów i byli dumni, że mogli walczyć na pierwszej linii. Pociągnął głośno nosem, zasunął zaciemniające zasłony i znowu zapalił lampę na biurku. Adiutant pozostawił stos papierów do podpisania, więc kontynuował pracę mechanicznie, nie czytając. Tak jakby był burmistrzem małego miasteczka. W tych dniach prawie że nie widział swoich samolotów.

Znów podniósł notatkę od Lauriego z Besteridge.

*„Drogi Jar, Pamiętaj, że w sobotę mecz. Nigdy nie mówiłem, że «wyniki sportowe są próbą ogniową dla dowództwa», ale może udałoby się Ci jednak przy kuflu piwa nawrócić mnie na Twój punkt widzenia.*

*Laurie”.*

Do nabazgranej w pośpiechu notatki był przyczepiony wycinek prasowy z fotografią słynnego krykiecisty w mundurze lotniczym i Lauriego, szczerzącego zęby w uśmiechu na tle bombowca Wellington. Napis głosił, że gracz rzuca teraz bombami w Niemcy i że jest dumny z przynależności do najwspanialszej drużyny - do RAF.

Pułkownik Jarman chrząknął. Niczego nigdy nie żałował więcej niż gafy, jaką popełnił wypowiadając się po zdobyciu pucharu przez jego zespół krykietowy, ale było to na wiele lat przed wojną, kiedy jako młodzik dowodził pierwszy raz małą jednostką.

Dopiero od czasu jak Laurie postarał się o skierowanie do siebie tego cholernego zawodowca, nabrał nagle zainteresowania do krykieta i rozpoczął pożyczanie dobrych graczy z całego Dowództwa. Oczywiście spodobało się to naczelnemu dowódcy. On i Laurie byli ostatnio wielkimi przyjaciółmi. Laurie doskonale pamiętał uchybienia. Nie swoje jednak, a rywali. Bóg wie,

co jeszcze powiedział w kasynie w sobotę, po rozgromieniu ambitnej, ale amatorskiej jedenastki z Warley. Jej kapitanem został w tym sezonie Sweet i dużo z nią pracował. Natomiast ten gracz - spojrzał do swego notesu - Lambert, nawet nie pokazał się na ostatnich kilku meczach. Pułkownik nabił dokładnie fajkę i zapalił ją.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła jego pracownica.

— Kapral Taylor - zameldowała. Właśnie kończyła służbę.

— Halo, kapralu Taylor, w porządku, proszę spocząć. Nie sądzę, abyśmy się wcześniej poznali.

Uśmiechnął się. - Ale może widziałaś mnie tu i tam. Jesteś w sekcji sprzętu bezpieczeństwa, prawda?

— Tak, panie pułkowniku.

— A teraz zapewne zastanawiasz się, dlaczego posłałem po ciebie. Kapral Taylor nie odpowiedziała.

- Usiądźcie kapralu. Jak być może wiecie, jest tradycją w RAF, że w pewnych okolicznościach oficerowie i żołnierze rozmawiają ze sobą, jak to się mówi: „jak mężczyzna z mężczyzną”. Prawdopodobnie wiesz, co przez to rozumiem.

Kapral Taylor nadal nie odzywała się.

- To znaczy, że rozmawiamy ze sobą nieoficjalnie. To znaczy, że nie musisz ważyć każdego słowa.

Uśmiechnął się po ojcowsku.

— Moi chłopcy czasami stawali się bardzo agresywni, jeśli im na to pozwoliłem. Oczywiście żałowali tego potem, dowiedziałem się o tym, ale w międzyczasie mogłem poznać ich najtajniejsze myśli. Papierosa kapralu?

— Nie, dziękuję, panie pułkowniku.

— Jak długo jesteście żoną starszego sierżanta Lamberta?

— Trzy miesiące, panie pułkowniku.

— Jesteście szczęśliwa, kapralu? Dlaczego nie byłaś szczęśliwa w domu, moje dziecko? Cóż tu jest takiego szczególnego na tym lotnisku?

Pułkownik przypomniał jej ojca.

Czy ktokolwiek potrafiłby to opisać? Słabe żarówki w ciemności nocy, żelazne łóżka, brudna bielizna, wilgotne ściany i trzaskające rozpaczliwie drzwi. Za ścianą jakaś pogrążona w żałobie dziewczyna biorąca gorącą nie do wytrzymania kąpiel i pijąca dżin.

— To jest wojna, tatusiu.

— Tu jestem blisko męża.

— Właśnie. W międzyczasie zaś w dalszym ciągu używasz w aktach WAAF swojego panieńskiego nazwiska.

— Tak jest, panie pułkowniku. Miałam zamiar jakoś to załatwić, ale...

— Ale oficer sekcji Holroyd nie ponaglała cię do tego, a ty boisz się, aby cię nie przeniesiono gdzie indziej, gdy dowiedzą się w rejestrze.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— No cóż, rozmawiałem o tobie z panną Holroyd, która mi powiedziała, że jesteś sumienną pracownicą i że według niej najważniejsza jest sprawność stacji operacyjnej.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Tak, w dzisiejszych czasach nie ma nic ważniejszego niż sprawność i młodość. Nie ma nic ważniejszego od zabijania Hunów. RAF nie ma pułkownika Blimpsa. To jest nasza nowa broń: młodzi idealisci nieprzejmujący się zbytnio przepisami czy regulaminami. Ale coś za coś. Wiesz, co mam na myśli.

— Może jednak zapalę papierosa, panie pułkowniku.

— Proszę. Zapalki są na biurku. Wzajemne ustępstwo oznacza, że lotnictwo oczekuje w zamian okazania mu podobnej dobrej woli, pani Lambert, i o tym chcę z panią porozmawiać.

— Tak jest, panie pułkowniku.

— Pani Lambert, pani mąż jest jednym z moich najbardziej doświadczonych dowódców samolotu. Na tej Stacji nie ma wielu ludzi, którzy latali w 1937 roku: ja sam oczywiście, podpułkownik Munro...

Pułkownik poczuł, że nie przyjął dobrej linii postępowania.

— W każdym razie, kiedy mamy chłopca, zawodowego żołnierza personelu latającego RAF, malującego komunistyczne slogany na swoim samolocie, to co pomyślą ludzie, no co?

— Komunistyczne slogany?

— Komunistyczne slogany, pani Lambert: „Joe Stalin to król”. Sądzę, że i pani nazwałaby to komunistycznym sloganem?

— Nazwałabym to żartem, panie pułkowniku. Kiedy ludzie tak mówią, nie mają zamiaru brać tego na serio. Myślę, że wszyscy tak mówią. Słyszałam to nawet w radiu.

— Iz tym właśnie powinniśmy być bardzo ostrożni.

— Ale to nie jest namalowane na samolocie mego męża, tylko na „L jak Love” sierżanta Cartera.

— Przepraszam panią, aleja lepiej znam swoje samoloty i musi pani się z tym zgodzić.

Uśmiechnął się litując nad jej kobiecą głupotą.

— Czy po to mnie pan wzywał, panie pułkowniku?

— Nie, kapralu. Posłałem po was, aby przekonać się, czy nie

moglibyśmy dotrzeć do sedna tego, co niepokoi waszego męża. Pani Lambert, wygląda na to, że zdecydował się przeciwstawić władzy. A na tym lotnisku - uśmiechnął się - cóż, tu ja jestem władzą.

— Przeciwstawić się panu, panie pułkowniku?

Przechylił się na krześle do tyłu, nie wiedząc jak kontynuować rozmowę. Kiedy ponownie zaczął mówić, w jego głosie zabrzmiał nowy ton, jakby zdecydował się wyjawić jej wszystko w nagłym przyływie szczerości.

- Jak pani może wie, pani Lambert, jestem członkiem komitetu krykietowe- go. Nic na to nie poradzę; zawsze byłem i będę. Reputację zyskuje się pomagając jednemu zespołowi chłopców, mimo że inne próbują ściągnąć mnie do siebie. Jeśli jednak istnieje jakiś przekłety komitet, w którym naprawdę mam przyjemność być, to jest to właśnie komitet krykietowy. Moim pomysłem był publiczny apel o używany sprzęt do krykieta. W zeszłym roku urządzaliśmy parady, przelecieliśmy Lancasterem nad Peterborough zrzucając odpowiednie ulotki i robiliśmy zbiórki w miejscowych kinach, gdy tylko szedł film lotniczy. Zdobyliśmy w ten sposób cały pociąg sprzętu. Krykiet to dobra gra, pani Lambert. Utrzymuje chłopców w odpowiedniej formie i bawi. Zawsze mówię, że krykiet jest podobny do lotu bojowego: długi czas asa spokojnie w pawilonie, po czym krótkie momenty szybkich rzutów piłką. Cholernie podobne do lotu, za przeproszeniem, pani Lambert. Rozumie pani?

— Chyba nie, panie pułkowniku.

— Gramy w sobotę mecz w krykieta. RAF Warley Fen przeciwko RAF Little Besteridge. Chcę, aby wygrało Warley Fen, pani Lambert. To jest chyba naturalne, prawda?

Ruth uśmiechnęła się. Wydawało się jej dziecinadą zadawać sobie tyle trudu w związku z tą grą.

— I pan chce, aby mój mąż zagrał w drużynie?

— No właśnie. Wszyscy wiemy, że jest najlepszym graczem w Grupie. Z nim rozniesiemy ich, bez niego nasze szanse są minimalne.

— Czy ten mecz ma jakieś specjalne znaczenie? To znaczy, czy brał pan pod uwagę to, że mąż ostatnio mało grał?

— Widzę, że całkiem mnie pani przejrzała, pani Lambert. Jak powiedziała kiedyś moja matka, nie ma na świecie kobiety, która by mnie

nie przejrzała. Tak, dowódca Stacji Besteridge jest człowiekiem, którego znam od lat. Grał kiedyś dla 3. Grupy. Jeśli ta mała, durna jednostka zaopatrzeniowa z Besteridge pobije nas, to stanę się pośmiewiskiem wszystkich członków komitetu krykietowego.

Zaśmiał się i pyknął z fajki.

— Pochlebia mi pan sugerując, że mogę wpłynąć na mojego męża, panie pułkowniku. Ale nawet gdybym mogła, to nie jestem pewna, czy byłoby to mądre.

— No, no, pani Lambert. Nie jestem taki naiwny, pani również. Dawać i brać, brać i dawać. Takie jest lotnictwo. Mieszka pani nieoficjalnie z mężem w miasteczku, choć jest to niezgodne z regulaminem, ale oficer pani sekcji i ja nie chcemy być nierozsądni...

Ruth rozglądała się po pokoju, jakby szukając drogi ucieczki. Pokój był ciemny i niegościnnie, a powietrze przesycone zapachem tytoniu komendanta. Nad lampą wisiał lep na muchy połyskując w żółtym świetle. Z przylepionego tuzina much niektóre jeszcze żyły. Wiedziała, że nie sprowadzono jej tutaj, aby się radzić czy nawet rozkazywać. Została sprowadzona, aby być świadkiem, że komendant jest człowiekiem wielce litościwym i mądrym, człowiekiem pozbawionym osobistych ambicji i uprzedzeń, przeciwnym ukarania jej męża za odporne zachowanie. Taki był też ojciec Ruth. Pamiętała sposób, w jaki upokorzył jej pierwszego chłopca, a następnie udawał, że nie wie, o co chodzi.

Ruth wcisnęła jeden z paznokci mocno w dłoń, prawie do krwi. Chciała, by ten ból stał się jedyną rzeczą na świecie, o której mogła myśleć, bo wiedziała, że jeśli zachowa stoicki spokój to ten okropny, starszy pan zniknie ze swoimi podchwytliwymi pytaniami. Ale nie zniknął.

— Nie wiem, czego pan chce ode mnie - powiedziała. Miała nadzieję, że odpowie; „nic”.

— Wszystko o co was proszę, kapralu, to o przekazanie nieoficjalnej wiadomości małżonkowi.

Postukał fajką w popielniczkę.

- Myślę nawet o zawieszeniu go w lataniu. Obserwował Ruth podczas tej powolnej i wystudiowanej deklaracji, ale nie

zauważył żadnej zmiany w jej spokojnej twarzy. Zaczynał tracić cierpliwość dla tej głupiej dziewczyny. Lojalna żona natychmiast



dostrzegłaby kłopoty, jakie czekały jej męża. Jej głupota była prawie śmieszna; pozwolił sobie na cień uśmiechu.

- Czy pani wie, co pociągnie za sobą zawieszenie w lataniu, pani Lambert? Ruth przestraszyła się, że pułkownik zauważy jej drżące ze zdenerwowania dłonie, ale jego uśmiech zmienił wszystko. To był krótki uśmiech, jaki mężczyźni mają w pogotowiu dla kobiet, dzieci i biedaków. Protekcyjny uśmiech, wyrażający samozadowolenie, wyzwolił w niej skrywaną niechęć. Starła się odpowiedzieć cicho i spokojnie, ale niechęci w jej głosie nie dało się ukryć.

- Wiem, co to za sobą pociągnie, panie pułkowniku. Jest to najdotkliwsza kara w lotnictwie. Ale to mnie nie przeraża. Czy pan wie, co myślę, kiedy obserwuję jego samolot startujący w nocy? Leżąc zdenerwowana, pełna pigulek nasennych, które nie skutkują, czekam na dźwięk dzwonka u drzwi zamiast na odgłos jego klucza w zamku. Kiedy na skutek niepogody są kierowani na inne lotnisko, jest jeszcze gorzej. Wystaję w pobliżu telefonu cały czas czekając, że może któraś dziewczyna z Kontroli Lotów dowie się czegoś o stratach. Niech go pan zawiesi w lataniu, jeśli taka jest pańska decyzja, a wtedy będę miała męża, który przeżyje i doczeka końca wojny.

Udawał, że jest zajęty papierami na biurku.

- Uważam, że pani nie rozumie, jaka hańba pójdzie za nim, gdy zostanie uziemiony. Czy pani...?

Była zdecydowana nie podnosić już głosu.

- Hańba dotyczy tylko mężczyzn. Niech pan zachowa gadanie o tym dla swoich szkół, klubów i na kolacyjki ze starymi kumplami. Niech pan zachowa gadanie o hańbie do czasu, kiedy przegra pan mecz w krykieta lub dla następnego niezdecydowanego bohatera.

Podniósł głowę.

- Czy to jest sposób, w jaki zamierza pani wychowywać swoje dzieci, pani Lambert? Bez dumy i bez honoru?

Powiedział tak, jakby uważał te cechy za najważniejsze.

- Niech pan zapyta wdów po pańskich poległych załogach, jak tłumaczą słowo „honor” pozbawionym ojców dzieciom lub inkasentowi czynszu.

Przekręcała nerwowo obrączkę i spoglądała w oczy pułkownikowi,

aby zobaczyć, jaki skutek wywarły jej słowa. Podobnie jak jej ojciec, nawet teraz nie okazał wzburzenia. Och, dobrze. Będzie więc kontynuować.

- Jeśli pan rzeczywiście chce wiedzieć, co rozumiem przez hańbę, to słuchanie, gdy pan mówi o zabijaniu Hunów, jakby to był jakiś sportowy pojedynek, a nie rozwalanie ludzi i ich domów na kawałki.

Czy ten stary człowiek zrozumie to kiedykolwiek? - pomyślała. Nie miał żony, dzieci ani domu.

— Kapralu, proszę się tylko upewnić, czy wasz mąż wie, w co się pakuje?

— Niech się pan nie martwi, panie pułkowniku. Wszyscy na tej Stacji wiedzą, o co chodzi. Wszyscy gramy w pański mecz krykieta, prawda? Zastanawiam się tylko, ile punktów zdobędzie pańska drużyna dzisiejszej nocy nad Krefeld zastanawiam się, czy mój mąż wyjdzie z tej gry cało.

— Sądzę, że to wystarczy, kapralu - powiedział pułkownik. - Sprostujemy waszą obecną sytuację w związku z małżeństwem.

— Może pan decydować pomiędzy uczynieniem mego męża bardzo nieszczęśliwym lub mnie bardzo nieszczęśliwą. W każdym razie jedno z nas będzie zupełnie zadowolone.

— Możecie odejść, kapralu.

Powstała wolno i zasalutowała przesadnym ruchem. Na wysokości jej oczu bzycała szaleńczo mucha, ale nie mogła się oderwać od lepkiego papieru.

Ciągle trzeba było mieć do czynienia z tymi histeryczkami, a możliwości sankcji dyscyplinarnych wobec nich były ograniczone. Jeżeli mężczyzna tak by postąpił, pozbawiłby go stopnia i wsadził do paki. Kobiet nie można było tak traktować. One były po prostu tylko umundurowanymi cywilami i w każdym przypadku wymyśliłyby jakieś kobiece dolegliwości, aby się wytłumaczyć. Albo jeszcze inaczej - odchodziłyby na urlop macierzyński. Co z nich za pożytek?

Był skończonym głupcem rozmawiając z nią w tych okolicznościach, zwłaszcza w nocy. Pułkownik w Dowództwie Wybrzeża udzielił kiedyś nagany sierżantowi WAAF za braki magazynowe, na co ona wpadła w histerię i wrzeszczała jak gwałcona. Skończyło się na tym, że pułkownik ją przeprosił!

Kiedy wyszła, uruchomił radiofon na biurku.

— Chcę porozmawiać rano z Holroyd, oficerem sekcji.

— Czy zanotować, w jakiej sprawie? - zapytała sekretarka.

— Nie. Nie zapomnę, o czym mam z nią mówić.

Co za hańba! Ta dziewczyna histeryzująca właśnie w tym momencie, kiedy jego dzielni chłopcy ryzykowali swoim młodym życiem!

- Levator labii superioris aloequae nasi.

Bez żadnego w ogóle powodu podporucznik Fleming zaintonował przy sterach te słowa jak modlitwę. Wypowiedział je już raz w kasynie oficerskim i uszło mu to płazem, ale uważał, aby tego nie zrobić, gdy przy stole jest lekarz.

- Co to znaczy, proszę pana? - zapytał mechanik pokładowy Bertie, który myślał, że to może dotyczy jakiejś sprawy technicznej, której zaniedbał.

Fleming zamknął oczy i przechylił głowę.

— Jest to najdłuższa nazwa jednego z mięśni w ludzkim ciele.

— A jak się nazywa najkrótszy? - zapytał strzelec ze środkowej górnej wieżyczki, ale szybko odpowiedział mu radiooperator, obelżywie i nieuczucie.

— O.K. chłopcy - powiedział Fleming uciszcie się trochę.

Cztery reflektory w Leiden były już jakiś czas włączone, ale zapalono jeszcze sześć.

— Spójrzcie na nie - odezwał się Fleming.

— Reflektory - powiedział mechanik pokładowy. W każdej grupie świateł jedno było skierowane pionowo. Tu jedno było sterowane przez radar Wiirzburg i nazywano je światłem głównym.

— Wezmę kurs nieco na północ, Mac - zwrócił się Fleming do nawigatora. - Nie ma sensu kierować się prosto na to świństwo.

- Nie kieruj się nawet na jego kraniec - wtrącił mechanik pokładowy.

Fleming zaśmiał się. Może ten chłopiec nie był pomimo wszystko takim idiotą.

Szkolenie mechanika z dala od załogi było złą metodą. Fleming znalazł resztę swej załogi od tygodni, ale z tym dzieciakiem, drugim pilotem, wylatał zaledwie kilka godzin. Zastanawiał się, czy chłopiec potrafi utrzymać stery w czasie, gdy on pójdzie na tył samolotu do ubikacji. Na następny lot zabierze ową blaszaną puszkę, jaką mu oferowano i będzie za to wdzięczny. Czy to na skutek lęku? Zauważył, że mechanik i bombardier już tam byli. Im przyszło to łatwo. Dla niego, przypasanego do siedzenia,

wydostanie się stanowiło duży wysiłek.

Strach powinien zaciskać odbytnicę i pęcherz, a nie rozluźniać jej. Tak przynajmniej mówiło mu jego lekarskie doświadczenie. W sali odpraw obserwował kolegów jak bledli, gdy strach odciągał ich krew ze skóry, a trzewia uciekały do mózgu. Dlatego właśnie tak wielu nie mogło zjeść kolacji. Czuł, jak jego własne serce zaczyna bić szybciej w miarę wzrostu ciśnienia krwi, teraz z przewagą ciałek czerwonych, bogatej w cukier i naładowanej adrenaliną. Manipulował ciężkimi sterami z nową siłą i wiedział, że strach dostarczał mięśniom krwi, a wątroba zwolniła węglowodany do żył. Płuca także korzystały, pobierając w głębszych i szybszych oddechach więcej tlenu.

Pierwszy widok świateł reflektorów dał mu dalszy fizjologiczny dowód jego strachu: utrata robaczkowego ruchu jelit i soku żołądkowego zmieniła zjedzoną kolację w przykre zgrubienie, a ślina gdzieś znikła, tak że język stał się szorstki. Wreszcie woreczek mosznowy skurczył się i przylgnął do ciała. Fleming wierzył, że może wyczuć nawet podniesienie się temperatury ciała będące rezultatem podstawowego stopnia przemiany materii. Na potwierdzenie tej teorii kropelka potu spłynęła mu po krzyżu. Jego ojciec - lekarz z powołania - byłby zainteresowany tymi obserwacjami.

— Trzymaj ten kurs, skiper - powiedział nawigator. - Skręcimy pięć mil dalej zamiast tu, nad Noordwijk. To powinno utrzymać nas z dala od Leiden.

— Bardzo dobrze - odparł Fleming i po raz pierwszy poczuł się naprawdę dowódcą bombowca.

Robin, kolega oficer i bombardier, siedział przy stoliku nawigatora dokonując wpisu do dziennika lotów. Teraz wziął spadochron, mapę celu, dziennik i termos, odłączył dopływ tlenu i przeszedł do przodu. Odsunął mechanika pokładowego delikatnie na bok i przesyłając ręką pozdrowienie siedzącemu przy sterach Flemingowi zgiął się wpół, aby postawić stopę niżej, na stopniu utworzonym przez zbiornik glikolu. Pochylił ostrożnie głowę pod przesuwającą się obrotnicą przedniej wieżyczki strzeleckiej, wyposażonej w dwa karabiny maszynowe Browning. Tu był jego świat, tu było spokojniej. Rozpostarł mapę i położył się na całą długość, brzuchem na pokrywie luku wyjściowego i głową w oszklonej czaszy, tworzącej nos samolotu. Na zewnątrz noc stawała się jaśniejsza; wschodził księżyc.

Spoglądał wkoło z zainteresowaniem, ale bez zdziwienia. Wiedział, co zobaczy.

Jedna z wiązek światła reflektorów z prawej strony była krótsza od innych i zamiast układać się w stożek, kończyła się tępo jak młot.

— Spójrzcie - powiedział Robin - złapali kogoś w reflektory.

— Biedak - rzekł Fleming widząc, jak coraz więcej reflektorów łapało samolot w swe światła.

Tak pochwycony bombowiec przechylał się i skręcał jak torturowane zwierzę, ale choć uwalniał się od jednych wiązek światła, to zawsze wpadał w jakieś inne. Teraz otworzono do niego ogień artylerii przeciwlotniczej. Niektóre pociski wybuchały tak blisko, że dym zasłaniał widok na sekundę lub dwie, ale samolot leciał dalej.

— Mamy go na naszym aparacie - powiedział Lówenherz.

— Gdzie chce go pan mieć?

— Dokładnie z prawej strony na tej samej wysokości.

— Mogę go ustawić nieco wyżej, Herr Oberleutnant?

— Bardzo dobrze.

— Zbliżamy się znowu zbyt szybko.

W światłach reflektorów wszystko było białe. Jeszcze dwa złapały go teraz i przytwierdzały do nieba, jak błyszczące, długie szpile do kapelusza przytrzymujące trzepoczącą się białą ścią w czarnym, aksamitnym pudle. Zamigotało krótko pod samolotem, który nieznacznie zadrżał.

— Trafili go!

— To „B jak Beer”, główny nawigator.

— Nieśmiertelny Lud.

Nawigator nie widział nic na zewnątrz, więc zapytał:

— Wskakują?

— Nie, wyrzucją bomby.

Gdy go tak obserwowali, bombowiec wydawał się powoli puchnąć wydając dźwięki słyszane daleko na całym niebie. Stał się kulą płonącej benzyny, oleju i składników pirotechnicznych. Żółty marker kierunkowy, który powinien oznakować podejście do Krefeld, palił się jasno opadając i zostawiał za sobą wąskie smugi iskier. Ognista kula zmieniła się z czerwonej w jasnoróżową, kiedy jej rosnąca temperatura umożliwiła pożeranie nowych substancji: cieczy hydraulicznej, ludzkiego tłuszczu oraz części silników z manganu, wanadu i miedzi. W końcu palił się nawet szkielet płatowca. Dziesięć ton stopu magnezowego płonęło dziwnym, zielono-niebieskim światłem. Oświetliło okolicę w dole jak błysk pioruna i zgasło. Chmura pyłu oświetlona blaskiem reflektorów unosiła się przez moment na niebie, a potem nawet ona znikła.

— Jezu! - wykrzyknął przerażony podporucznik Cornelius Fleming.

— Żadnych spadochronów - Robin odezwał się z nosa samolotu. Światła reflektorów znów zaczęły się przesuwac.

— To artyleria przeciwlotnicza - stwierdził strzelec ze środkowej górnej wieżyczki, który miał najlepszy widok.

Daleko, w pobliżu Utrechtu, Fleming zobaczył inne światło głównego reflektora, odchylające się od pionowej pozycji, w jakiej spoczywało. Szczyt wiązki świetlnej wydawał się eksplodować, kiedy przesuwiał się po płatach chmur. Sięgał na siedem mil w niebo. Bez trudu znalazł ofiarę.

- Strumień kieruje się na Leiden - powiedział Fleming do załogi. - Wszystkie samoloty zeszły z kursu.

Zabrzmiało to sucho i nieczule, jak nieważna informacja, zanim

jednak mógł złagodzić intencję, strzelec ze środkowej górnej wieżyczki powiedział:

— Nie obchodzi mnie, kim oni są. Odciągają od nas ogień i za to jestem im naprawdę wdzięczny. Amen.

— Kotły, kotły! - zawołał Lówenherz.

— Lancaster - stwierdził obserwator odkładając lornetę.

Lówenherz prawie nie zwiększył prędkości. Schodził cał za całem, bardzo wolno, pod olbrzymi samolot. Spoglądał w górę przez osłonę kabiny i widział każdy jego szczegół. Pozwolił, aby jego rozgrzane do czerwoności rury wydechowe przeszły nad nim do tyłu tak, że znalazł się dokładnie pod bombowcem. Oba samoloty przecinały z rykiem niebo w zwartym szyku do momentu, gdy klasycznym manewrem nocnego myśliwca Lówenherz przyciągnął drążek sterowy. Nos samolotu uniósł się w górę, bliżej i bliżej wielkiego bombowca. Myśliwiec zadrżał, gdyż zbliżył się do krytycznego momentu przeciążenia, wisząc na skrzydłach i walcząc jak tonący człowiek. Przez moment był zawieszony i nieruchomy. Nad nimi przechodził bombowiec.

- Horrido - powiedział Lówenherz, aby Bach wiedział, co zaraz zrobi i nacisnął przyciski działek przeorując brzuch samolotu od nosa do ogona. Ogień działek oświetlił oba samoloty łagodnym, zielonym światłem. Lówenherz przymrużył oczy na tyle, na ile mógł, aby zachować zdolność widzenia w nocy. Te richardy były niczym innym, jak potężnymi platformami z działkami, a przyprawiający o obłęd ogień z dużych działek ogłuszał lotników nawet przez ich szczelnie dopasowane hauby. Zapach prochu przenikał do nozdrzy pomimo masek tlenowych. Pracując dokładnie według instrukcji, Lówenherz utrzymywał ogień z działek nawet wtedy, gdy nos Junkersa zaczął opadać ku ziemi. Nagle ogień ustał. Bębny były puste.

W nosie Junkersa 88R Lówenherza były zainstalowane trzy 20-mm działka MG FF. Co trzeci pocisk w taśmie miał cienką ściankę i zawierał 19,5 grama ładunku burzącego Mexogen Al wybuchowy pocisk przeciwpancerny ze wzmocnionym zakończeniem oraz pocisk zapalający, który palił się prawie sekundę wytwarzając temperaturę od dwóch do trzech tysięcy stopni Celsjusza. Każde działko strzelało z szybkością pięciuset dwudziestu pocisków na minutę i było zasilane z bębna zawierającego sześćdziesiąt pocisków. Tak więc w czasie siedmiu sekund wszystkie bębny



działek opróżniły się, a sto osiemdziesiąt pocisków zostało wystrzelonych do „Volkswagena”. Teoretycznie trzydzieści osiem trafiło samolot mierzący trzysta stóp kwadratowych, przy czym średnio dwadzieścia pocisków zadawało śmiertelny cios.

- Moje nogi! - wykrzyknął Fleming. - Boże, pomóż mi! Mamo! Mamo! Mamo!

Pierwszy pocisk, jaki przeszył samolot, wpadł przez przedni luk. Mijając bombardiera tylko o cal, eksplodował przy zetknięciu z łożem obrotnicy przedniej wieżyczki. Uszkodził ją, urwał sterowanie orczykiem, rozsadził zbiornik sprężonego powietrza i rozbił okienko zbiornika z glikolem, który w strumieniu powietrza rozpylił się w chmurę białej mgły. Jedną dwudziestą szóstą sekundy później drugi pocisk wpadł przez komorę bombową i eksplodował pod podłogą stanowiska nawigatora. Siła wybuchu wysłała nawigatora w dół i zdmuchnęła w ciemną noc astrokopułę razem ze stojącym pod nią nie trafionym, ale będącym bez spadochronu radiooperatorem.

Trzy pociski: burzący, przeciwpancerny i zapalający, eksplodowały ześlizgując się po zewnętrznej, prawej stronie kadłuba, tuż za środkową górną wieżyczką strzelecką. Poza śmiertelnym raniem strzelca, wybuch pocisku burzącego połamał metalowe wręgi w miejscu, gdzie tylna część kadłuba jest przyłączona śrubami. Pocisk zapalający dopełnił reszty. Przełamanie „Volkswagena” w pół nastąpiło półtorej minuty później i dwa tysiące stóp niżej. Na długo przedtem inny pocisk burzący przebił zawiasowy wspornik steru wysokości na ogonie i odrzucił część zespołu wyważenia kłapy sterowniczej do tylnej wieżyczki strzeleckiej z taką siłą, że obciął głowę tylnemu strzelcowi. Owe sześć trafień liczyło się najwięcej, ale były jeszcze trzydzieści dwa inne. Niektóre rykoszetowały od silników i skrzydeł i przeszły przez kadłub prawie poziomo.

Nie mógł go utrzymać, nie mógł. Och, Boże drogi! Jego ramiona i nogi! Spadał w ciemność nocy jak papierowy samolocik.

- Przepraszam was, chłopcy! - zawołał, ponieważ doświadczał straszego poczucia winy. Jego jelita i pęcherz rozluźniły się bezwiednie i poczuł się brudny. - Przepraszam!

Fleming niepotrzebnie wykrzykiwał przeproszenie; na pokładzie nie było nikogo, kto by go słyszał. Przeżył wszystkich z załogi, ponieważ

radiooperator spadający z szesnastu tysięcy stóp z prędkością stu dwudziestu mil na godzinę (końcowa prędkość dla jego wagi) zetknął się z ziemią po dziewięćdziesięciu sekundach. Wbił się w ziemię na dwanaście cali. Był to impet równy 450-krotnej sile ciężkości. Rozłupał się jak orzech i zginął na miejscu. Fleming nadal przytwierdzony pasami do siedzenia pilota i przerażony niemożnością zatrzymania kału i moczu, uderzył w ziemię (razem z przednią częścią kadłuba, dwoma silnikami rolls-royce'a i większą częścią głównego dźwigara) jakieś cztery minuty potem. Jemu wydawało się to czterema godzinami.

Klimatyzacja w pokoju namiarów nie była przewidziana dla tak licznych personelu, stojącego wkoło jako widzowie. Poza tym napięcie, podobnie jak posiłek, wydawało się podnosić temperaturę ludzkiego ciała. August pocierał brew i słyszał jak Lówenherz wydaje tradycyjny okrzyk zwycięstwa „Sieg Heil!”

- Sieg Heil - powiedział August. Willy stanął na baczność i pogratulował Augustowi salutując formalnie w sytuacji, w której wielu po prostu uścisnęłoby mu rękę. Rozległo się szuranie nogami i kaszel oraz pomruki z gratulacjami od widzów. Zatrzeszczał głośnik:

- Przełamuje się - oznajmił Lówenherz. - Główna podłużnica urwała się, a kadłub zwija się jak szpilka do włosów.

Willy wytarł ze stołu woskowe znaki.

— Rozkazuję udać się do Heinz Gustaw Jeden - powiedział August.

— Czy mogę przez Noordwijk?

— Tak, „Katze Jeden” - zgodził się August, po czym powiedział do Willy'ego:

— Uzyska wzrokowy kontakt, jeśli nadal będą rzucać flary. Nie mogę jednak wezwać artylerii przeciwlotniczej do przerwania ognia tylko dlatego, że on nad nią przeleci.

— On nie będzie kręcił się za blisko - odparł Willy. - To inteligentny facet.

— Wszyscy jesteśmy inteligentnymi facetami - orzekł August. Willy uśmiechnął się do niego, a czerwona, zmęczona twarz przypominała świeżo wyciśniętą pomarańczę.

Lówenherz pozwolił Junkersowi opaść z pionowej pozycji, a po nabraniu prędkości ściągnął stery i rozpoczął wznoszenie, aby znów przeciąć drogę strumieniowi bombowców. Mrosek odpiął pasy siedzeniowe, zapalił elektryczną lampkę i wczuł się do nosa samolotu, aby wymienić magazynki zawierające po sześćdziesiąt pocisków do działek Oerlikon. Lówenherz utrzymywał stale płaskie wznoszenie, ale zaburzenia powietrzne spowodowały, że Mrosek zranił rękę o zamek działka. Wymiana bębnow była zawsze trudna, nawet w dzień na ziemi, jednak Mrosek nigdy się nie uskarżał. Lecieli dalej ponad Noordwijk nie zauważając żadnych bombowców, choć ogień artylerii nie ustawał. Junkers kontynuował lot aż do zachodniego krańca zasięgu stacji Ermine. Owe dwa przechwycenia były szybkie i łatwe, następnym jednak razem może będzie musiał przeciąć cały sektor, prowadzony przez Augusta, zanim wejdzie w kontakt z nieprzyjacielem.

W „Joe jak King” nawigator Roland Pembroke, młody Szkot, poprawił kurs o błąd wiatru. Aparat Gee był bezużyteczny na skutek zagłuszenia przez Niemców. Jego pomyłka sprowadziła „Joe jak King” do wybrzeża holenderskiego pięć mil na południe od punktu zmiany kursu. Przed nim, lecąc przez ogień artylerii przeciwlotniczej i światła reflektorów, znajdowali się inni, którzy popełnili ten sam błąd w obliczeniach.

— Przelecimy na południe od tego - oznajmił Tommy Carter.

— Na południe od Leiden? - zapytał Roland, który dokładnie opracował swój wykres i miał obiekcje wobec odstępstwa od planu lotu.

— Na południe od tego paskudztwa - odrzekł Tommy machając w kierunku ognia niemieckiej artylerii przeciwlotniczej i widocznych przed nimi światel reflektorów.

— O.K. szefie - powiedział Roland.

Nowiutki samolot mocno pachniał świeżą farbą i politurą. Stery w dłoniach Tommy’ego Cartera były ciężkie i sztywne, a obracany wolant wydawał suche trzaski. Poza tym wszystko działało właściwie. W poprzedniej maszynie kilka przyrządów zaczynało się podejrzenie i spóźniało w działaniu. Był więc poniekąd zadowolony z posiadania ładnego, nowego samolotu. Zastanawiał się, czy pozwolą mu go zatrzymać.

Zmianę kursu Tommy uznał po chwili za złe pociągnięcie. Nie tylko bowiem Leiden było pełne artylerii przeciwlotniczej - stacjonowała ona na

całym wybrzeżu. Haga, pod prawym skrzydłem, była prawie tak samo kąśliwa jak Leiden. Wielkie baterie złożone z tuzinów dział i światła reflektorów pracowały sterowane radarem. Cały ład skrzył się ogniem dział. Tommy wyszukał na horyzoncie ciemne miejsce pozostające poza ogniem dział i pchnął w przód manetki przepustnic.

- Zamknijcie oczy i przełknijcie ślinę - ostrzegł Tommy. - To nie potrwa długo.

Silniki ryczały głośno.

Kolejna eksplozja nastąpiła bliżej niż poprzednie. Zakołysała skrzydłami samolotu i rozniosła ostry zapach.

— Strzelają także lekkie działa - oznajmił bombardier Tapper Collins. Był w nosie samolotu i obserwował sznury czerwonych i żółtych pocisków smugowych, lecących łukiem ku nim i pozostających w tyle, jak olenia, tysiące stóp niżej, choć wydawały się bliskie na wyciągnięcie ręki.

— Wiele pocisków lekkich dział wali prosto w nas.

— To chyba lotnisko Valkenburg - stwierdził Roland Pembroke.

— Jezusie! - zawołał Tommy. - Leiden na lewo od nas, Haga na prawo a my lecimy sobie prosto i poziomo nad jakimś cholernym lotniskiem Hunów. Na czym ty jesteś? Na szarzy lekkiej brygady?

— Przepraszam, Tommy - odpowiedział grzecznie Roland nie przypominając, że zmiana kursu była pomysłem Tommy'ego.

Tommy Carter nie odpowiedział, ponieważ w tej chwili całą swą uwagę skupił na świetle reflektora, które pozostając przez pewien czas nieruchomo w pionie, pochyliło się i posuwało ku nim.

— Idzie do nas! - zakrzyknął Collins ze swojego stanowiska przy celowniku bombowym.

— Tommy, ty ofermo! - zawołał Ben Gallacher, a Tommy Carter poczuł się dotknięty posądzeniem go o coś, na co nie ma wpływu i czym także nie był zachwycony.

— Ześlizg w dół wiązki - poradził Collins. Był weteranem i Tommy respektował jego doświadczenie. Ten nowy samolot wymagał dużej siły do poruszania sterami. Wsparł się o nie, a gdy przechylił samolot, oślepiło ich światło reflektorów. Złapano ich. Kabina stała się tak jasna, że aż zabolowały oczy, które przymknął, aby w ogóle coś zobaczyć.

Teoretycznie, jeśli wykona się ześlizg w dół wiązki, to światło

reflektorów - kontynuując przesuwanie się - zgubi samolot. Obsługa tego reflektora wydawała się znać tę sztuczkę, choć w istocie ześlizg Tommy'ego Cartera nie był wystarczająco gwałtowny, aby potwierdzić słuszność teorii.

— Strzelaj w światło! - zakrzyczał Tommy.

— Skręć bardziej, nie mogę go osiągnąć, jestem całkowicie z boku!  
- zawołał strzelec pokładowy.

Nagle światło zgasło. Tommy i Ben ściągnęli mocno stery i bombowiec wyszedł ze strome go przechyłu. Ogień artylerii przeciwlotniczej i światło reflektora znikły, a noc stała się przyjemna, ciemna i spokojna. Zaczęli ponownie nabierać wysokości. Upłynęła może minuta, zanim ktokolwiek przemówił, a potem odezwali się wszyscy razem, gadając histerycznie i próbując żartować.

— Zamknijcie się! - nakazał Tommy Carter tonem, jakiego używał, gdy nie zyczył sobie dyskusji, a który jego załoga nazywała głosem policjanta.

— Nawigatorze - powiedział, zwracając się niezwykle urzędowo - podaj mi kurs, abyśmy dołączyli do strumienia za Leiden.

— Zero-osiem-pięć - odpowiedział Roland akcentując sylaby ze szkolną dokładnością.

Lecieli dalej w milczeniu, przerywanym jedynie dudnieniem silników.

— Przepraszam was, chłopcy - powiedział w końcu Tommy zakłopotany milczeniem załogi. - Cholernie głupio zrobiłem lecąc na południe od Leiden.

— To było światło głównego reflektora - wyjaśnił Collins. - Niebieskie są zawsze sterowane radarem.

Ponieważ lampy łukowe nachylone ku patrzącemu wydają się bardziej niebieskie, załogi RAF wierzyły, że te skierowane na nich (te niebieskie) są najdokładniejsze, to jest sterowane radarem. Załogi Luftwaffe nad Wielką Brytanią wierzyły w to samo, ale tak naprawdę, nie było żadnych niebieskich świateł reflektorów.

— Więc dlaczego to światło znikło? - zapytał Ben Gallacher.

— Byliśmy dla nich za mali - odrzekł Tommy. - Postanowili zrezygnować z nas i zaczekać na Stirlinga.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego - upierał się Ben.

— To nowa, tajna broń, w jaką są wyposażone nasze samoloty - teoretyzował Collins.

- Nigdy się nie dowiemy - odezwał się Tommy - więc zapnijcie pasy i bądźcie wdzięczni losowi.

W tym czasie na ziemi, w pobliżu Valkenburga, młody hinduski Feldwebel kłął w swym idealnie nadającym się do tego celu języku. Obserwował trzech flegmatycznych mechaników z pułku łączności zdejmujących przód reflektora. W armii brytyjskiej, przed wzięciem do niewoli, rozdzielano ich według kast. Jednak Wehrmacht zmieszał swoich nowych ochotników razem i tylko jaskrawo kolorowe turbany - lila, ochra, zieleń a nawet róż i biel w niebieskie cętki - wskazywały na różnicę między nim samym a najniżej stojącym pariasem. Znowu obrzucił mechaników stekiem przekleństw. Jeden z tych głupców oświadczył, że to zły omen. Trudno było mu zaprzeczyć, ponieważ dziś powiedziano im, że miejscowa ludność holenderska zaprotestowała przeciw obecności Kafrów i wobec tego zostaną przeniesieni do Francji z całym swoim nowym, przeciwlotniczym wyposażeniem artyleryjskim.

To był jeden z pierwszych, nowo dostarczonych, wysoce sprawnych 200-cm reflektorów. Piękność - 2,7 miliona świec. Do diabła! Kopnął ze złością kabel. Takie miał już szczęście, że po pierwszorzędnym kontakcie na Wurzburgu i z Tommim w wiązce światła, w takim momencie wysiadły

elektrody węglowe. Czasem pragnął znaleźć się z powrotem w domu, w Delhi.

Na kartoflisku kilka mil na zachód od Ahaus, młody Leutnant, który rozmawiał z Augustem i Maxem, gdy zatrzymali się na drodze, dokonywał przeglądu swojej baterii. Dwa działa zostały już obsadzone przez Hitlerjugend. Ci chłopcy zawsze byli bardzo chętni. Niektóre działa nie były całkowicie podniesione, a jeszcze innych nawet nie odczepiono od pojazdów. Mieli za sobą długi i ciężki dzień z wieloma postojami w drodze i z Oberstem gderającym na każdym odcinku trasy.

Młody Leutnant wciągnął powietrze nosem i wyczuł słaby zapach sadzy i dymu. Południowy wiatr zawsze przynosił ze sobą woń Ruhry. Podczas nalotów w ubiegłym miesiącu powietrze niesło również zapach zgniłej ziemi, pyłu, cegły oraz prochu i płonących budynków.

Nagle rozległ się dźwięk silników samolotowych. Leutnant zatelefonował do Kontroli Lotów. Trzymając w ręce słuchawkę spojrzał w górę i dojrzał błysk światła księżyca na skrzydle samolotu. Zobaczył go tylko przez moment - był zbyt wysoko, aby stać się czymś więcej niż plamką światła - pozostawiał jednak błyszczącą w świetle księżyca smugę kondensacyjną. Gdyby nawet jego działa 8,8 cm były gotowe do strzału, nie sięgnęłyby ogniem tej wysokości.

Informację przekazano do Deelen, ale była już zbyteczna. Inne meldunki wskazywały, że to dwa samoloty Mosquito na wysokości trzydziestu dwóch tysięcy stóp.

- Skręcają na Ahaus - powiedział oficer nanoszący na mapę trasę lotu samolotów.

Oficer operacyjny zakreślił dłonią łuk ku południowi od Ahaus opierając ją na nadajniku „Oboe” w Dower. Jego kciuk przesuwiał się po otwartym terenie aż napotkał zaciemniony zespół dużego miasta w Ruhrze. Wówczas spojrzał na meldowane położenie strumienia bombowców. Leciąły w to samo miejsce.

- Krefeld - oznajmił. - Założę się o tygodniową gażę. Drugi oficer, nie przyjął zakładu.

Plan był jasny. Trzymając aktualny kurs, strumień bombowców przyleci nad Krefeld pół godziny po północy. Poruszając się o sto mil na godzinę prędzej i skręcając do podejścia na cel od północy, Mosquito ze

swoim tajnym urządzeniem „Oboe” przybędą nad Krefeld trzy minuty wcześniej. Będą miały dość czasu na zrzucenie kolorowych bomb oznaczających cel dla ciężkich bombowców.

Trasy zbiegały się we wspólnym punkcie jak promienie światła przechodzące przez zapalającą soczewkę. Loty z ulotkami nad północną Francją, samotny Mosquito będący powodem alarmów na całej drodze do Berlina oraz fałszywy kurs, jakim leciał strumień bombowców do Noordwijk przed wykonaniem zwrotu, wszystko to było wyraźnym podstępem. Celem dzisiejszej nocy jest Krefeld. Kontrola w Deelen oraz FLUKO w Duisburgu zaczęły organizować odpowiednią obronę Reichu.

W czasie pokoju tak skomplikowane urządzenie elektroniczne jak „Oboe” próbowano by sześć miesięcy dłużej, a cztery do pięciu miesięcy byłoby prototypem. Ułynęłoby około roku przed skierowaniem go do sprzedaży. Ale trwała wojna i urządzenie „Oboe” już znajdowało się w produkcji. Wymagało delikatnego obchodzenia podczas lotu. Na dwadzieścia pięć mil przed Krefeld zamilkło, co specjalnie nie zaskoczyło porucznika MacIntosha.

— Nie działa. Co za pech. Sygnały były czyste jak ła, a teraz zamilkły.

— Wobec tego zawróćmy.

— Możemy. Nigdy nie znajdziemy celu mając aparat do lotu.

— Przekłeta sprawa. Odwołałem randkę dzisiaj.

— Nie powinieneś wstępować do wojska.



Mosquito raptownie skręcił zawracając na zachód, do Anglii. Nie miało sensu lecieć o jard dalej w głąb Ruhry, niż to było absolutnie konieczne.

- Zabierajmy się stąd, Mac.

W Anglii były dwie radarowe stacje nadawcze, z których pochodziły sygnały uaktywniające „Oboe”. Stacje te mogły zajmować się tylko dwoma Mosquito co dziesięć minut. Dwa samoloty, które powinny oznaczyć cel dla pierwszych przybywających bombowców, zostały teraz zredukowane do jednego. Pilotował go podporucznik Alan Hill, a jego obserwatorem był Peter Hutchinson.

Wszystko uczynili przepisowo. Lecieli na wysokości trzydziestu dwóch tysięcy stóp, ponieważ tylko na takiej wysokości sygnały mogły sięgnąć ponad horyzontem radarowym. W punkcie odległym o pięćdziesiąt mil na północ od Krefeld, pilot pochylił samolot w łagodny skręt, który - z chwilą, gdy dojdzie sygnał z drugiego nadajnika - doprowadzi go na właściwą odległość od Krefeld, uwzględniającą ruch postępowy zrzuconych dwustupięćdziesięciofuntowych bomb oznaczających cel.

Nie wiedzieli, że towarzyszący im drugi Mosquito zawrócił mając niesprawne urządzenie „Oboe”. Nie wiedzieli także, że w tym rejonie nieba, prawie w stratosferze, towarzyszył im samolot niemiecki. Był to specjalnie wyposażony Junkers 88S, u którego system GM 1 wstrzykiwał podtlenek azotu do sprężarek doładowujących, dostarczając w ten sposób tlen, co zwiększało osiągi silników o prawie dwadzieścia procent. Jego zwiększona wytrzymałość trwała zaledwie parę minut i kilka nocy wcześniej Ju wyczerpał urządzenie „ha-ha” właśnie wtedy, gdy dostrzegł Mosquito. Dzisiejszej nocy nie było błędu w obliczeniu. Dzisiejszej nocy światło księżycy zmieniło górne przestrzenie nieba w oświetloną arenę.

— Bomby uzbrojone - zameldował obserwator. Przy szybkości z jaką lecieli, do Krefeld mieli dwie minuty. Nagle dało się słyszeć odgłos jakby grzmotu i stery wyszarpnęły się z rąk pilota. Tablica z przyrządami wygięła się i rozerwała, a oszklenie przyrządów rozleciało się na wszystkie strony. Dwie tafle z pleksiglasu zbieleły nagle tak, że nie było przez nie widać nieba. Nawet gdy ustały huki, silniki wyły przenikliwie o oktawę wyżej od swego normalnego tonu. Mosquito wykonał szybką beczkę, odzyskał na moment równowagę, a następnie uniósł nos w górę, po czym stracił równowagę na

skutek braku prędkości. Gdy pikowali dla odzyskania sterowności, zobaczyli Ju88 daleko po lewej stronie samolotu. Jego skrzydła zaśniły w świetle księżyca, gdy zawracał do ponownego ataku.

— Strzelaj! - zakrzyczał Peter Hutchinson.

— Z czego? - odkrzyknął gniewnie Alan Hill i dostrzegł, że lewy silnik kaszle niebieskim płomieniem i pluje pomarańczowymi iskrami, a wskazówki ocalałych przyrządów opadły. Gwałtownie szarpnął znajdującą się obok skrzyneczkę wyrzutni i zerwał sobie paznokcie, gdy zwalniał druty zabezpieczające. Samolot zakołysał się, gdy dwie dwustupięćdziesięciofuntowe bomby wskaźnikowe celu - każda prawie wielkości człowieka - wypadły z komory bombowej. Stoczył walkę ze skrzyneczką przez moment wydający się godzinami i uwolnił także pozostałe dwie bomby. Pozbawiony ładunku bombowego samolot zareagował łatwiej na stery. Alan utrzymywał nos samolotu skierowany w dół i kierował się desperacko ku ławicy chmur, ale ta znajdowała się jeszcze dwa tysiące stóp pod nim, kiedy Ju88 znów zaatakował. Znikło jeszcze więcej kawałków skrzydła, gdy dostali drugą serię.

— Słyszac, jak wy młodzi rozmawiacie, odnosi się wrażenie, że Niemcy nie mają fabryk samolotów.

— Jeżeli o nas chodzi, to nie mają, tatusiu. Latamy dla nich za wysoko.

— No cóż, nie chciałem tego mówić przy matce, Alanie, ale zapamiętaj moje słowa, że wasz Niemiec jest piekielnie zdolnym konstruktorem i jeśli zechce się do was dobrać, to uczyni to pewnej nocy.

— Wypij tatusiu, mam jeszcze dwa dni urlopu.

— I zmień temat, znam to. Wasza praca jest trzymana w największej tajemnicy i nie należy o niej rozmawiać nawet z własnym ojcem.

— Peter, Peter - skacz! - Rozpadamy się na kawałki.

Peter nie poruszył się. To chyba skutek tego drugiego ataku. Proszę Cię Boże, nie pozwól, aby ten Junkers znów zaatakował!

W Junkersie zapaliły się światła ostrzegawcze wskaźnika paliwa. Kończył już swoją czterdziestopięciominutową zabawę, bo zużył podtlenek azotu. Odleciał od Mosquito, skończył z nim, widział to. Zastanawiał się tylko, czy Naczelne Dowództwo Luftwaffe pozwoli mu zaliczyć zestrzelenie; bardzo chcieli utrzymać „ha-ha” w tajemnicy.

Alan Hill trzymał drążek sterowy jedną ręką, drugą zaś potrząsał zapamiętałe Peterem. Nie dawał znaku życia. Chwycił za haubę i odwrócił jego głowę, aby spojrzeć w szkliste oczy przyjaciela. Gdy nią potrząsał, opadła na bok maska tlenowa i miał trudności z ponownym jej założeniem. Twarz Petera pokrywała świeża krew.

Niżej, tam gdzie leciał strumień bombowców, było zimno - zimniej niż w najzimniejszej domowej lodówce - ale tu „na górze” było jeszcze zimniej. Sześćdziesiąt stopni poniżej zera, powietrze rozrzedzone a jego ciśnienie zbyt niskie dla ludzkich płuc. Alan odpiął swoje i Petera pasy bezpieczeństwa, potem odwrócił maszynę o 180 stopni. Kiedy Mosquito znalazł się na plecach wypadł ze swojego siedzenia. Usiłował pociągnąć za sobą obserwatora, ale nogę Petera uwięziła zgięta tablica z przyrządami. Szarpnął go silniej za rękę, ale ta także zaczęła krwawić, mimo że uważał.

Alan nabrał ostatni haust tlenu, a następnie wstrzymując oddech wyskoczył. Opadał bardzo długo zanim pociągnął linkę wyzwalającą, ale mimo to doznał lekkiego odmrożenia i stracił część palca wskazującego, który przyłgnął do metalowego uchwyty. Spadochron otworzył się nad nim jak piękny kwiat. Wylądował na zaoranym polu, dwie mile od granicy holenderskiej. Jego drugą raną było brzydkie cięcie na prawej ręce, które powstało najprawdopodobniej podczas pierwszego ataku. Zdał sobie teraz sprawę, że krew na twarzy i dłoni Petera pochodziła właśnie z tej rany. Dręczyło go pytanie, czy mógł mu ocalić życie? Alana internowano razem z załogami bombowców i dlatego nie był przesłuchiwany w taki sposób, w jaki by się to odbyło, gdyby domyślono się, że był pilotem „Oboe”. Resztę wojny spędził w obozie jenieckim i zmarł w wieku czterdziestu dziewięciu lat po wypadku samochodowym w Liverpoolu. Do tej chwili nie było dnia, w którym nie zadawałby sobie ciągle tego samego pytania.

Niezmacona żadnym wiatrem warstwa zimnego powietrza zalegała nad wielkim obszarem Ruhry. To zimne, nieruchome powietrze chwyciło dym z pieców i fabryk trzymając go jak szary, wełniany kobierzec. Powstała na tej warstwie kropelki wody utworzyły dach tak gęsty i gładki, jak tafla szarej galarety: to co dziś nazywamy smogiem. Jedna bomba wskaźnikowa celu, wyrzucona przez Mosquito „Oboe”, przeszła tę warstwę w pobliżu Renu pod Duisburgiem. Druga wpadła do Renu. Półtorej minuty później i dziewięć mil dalej, pozostałe dwie wylądowały na południowo-wschodnim

skraju Altgarten.

Każda z bomb wskaźnikowych, rozsadzona ciśnieniem atmosferycznym na wysokości tysiąca stóp, wyrzuciła z siebie benzol, gumę i fosfor na sto jardów na wszystkie strony, tak że utworzyły się dwie plamy jasnoczerwonego ognia, łatwo dostrzegalne przez strumień bombowców lecących na wysokości czterech mil. Pech Altgarten polegał na tym, że miasto leżało na kursie bombowców zmierzających do Krefeld. Gdyby bombowce przeszły kilka mil dalej z jednej lub drugiej strony wyznaczonej trasy, wówczas strumień mógłby nie zauważyć płonących bomb wskaźnikowych celu, wyznaczających miejsce bombardowania. Dodatkowym nieszczęściem dla miasta był fakt, że markery spadły na jego dalszym krańcu, ponieważ tendencja do coraz wcześniejszego wyrzucania bomb spowoduje zbombardowanie dokładnie całego miasta. Każda załoga zacznie bombardować tak wcześnie, jak tylko będzie mogła to zrobić bez przyniesienia sobie wstydu. Następne bombowce zawrócą w takiej sytuacji przed koncentracją dział i reflektorów, jakie pilnowały Ruhry na dalszym krańcu Altgarten. Może doświadczone załogi nie dałyby się zwieść markerom i nie bombardowałyby miasteczka, gdyby nie fakt, że na zielonym ekranie radaru H2S akry ciepłarni, będących dumną Altgarten, wzięto za olbrzymie fabryki.

Pierwszy samolot zwiadowczy wykonał dwa okrążenia przed wyrzuceniem flar na południowy wschód od markerów, usiłując uzyskać wzrokowe potwierdzenie. Następnie samolot wspierający zrzucił szereg bomb burzących między flary a czerwone bomby wskaźnikowe celu. Drugi samolot wspierający uczynił to samo. Ostatnia z jego bomb trafiła w drogę do Venlo i wzniciła pożar głównego gazociągu.

Tommy Carter w „Joe jak King” był drugim wspomagającym. Przybył pięć minut wcześniej i zrzucił cztery zielone markery na czerwone. Sześćdziesiąt pirotechnicznych świec zostało wyrzuconych z każdego markera na wysokości tysiąca stóp nad Altgarten. Każda wisiała pod małym spadochronikiem. Spadając blisko siebie, zgodnie z wiatrem i ciężarem przybierały kształt kiści ognistych winogron, a jeśli były cięższe od spodu to kształt choinki.

W ciągu dziesięciu minut tuziny samolotów wspierających i rozpoznawczych zrzuciło swoje flary i bomby burzące na Altgarten, a

miejsca zrzutów zbliżały się niemiłosiernie od północnego zachodu ku miastu.

W tym czasie, o godzinie zero minut trzy, jeden z Mosquito z urządzeniem „Oboe” przybył punktualnie nad Krefeld i oznaczył prawdziwy cel czterema doskonale umiejscowionymi, czerwonymi bombami wskaźnikowymi. Palily się niezauważone przez główne zgrupowanie bombowców, którego uwaga skupiła się teraz na Altgarten. Plan nalotu zaczął przybierać postać straszliwej pomyłki.

Potem znaleźli się tacy, co opowiadali, że burmistrz był zadowolony, gdy pierwsze flary upadły w pobliżu Altgarten. Karl Keller, jeden z kelnerów restauracji, powiedział, że gdy go powiadomiono o ostrzeżeniu, opuścił lokal z uśmiechem na twarzy. Ale, jak tłumaczył goniec obrony cywilnej, były to jego urodziny i właśnie zakończył się bankiet. Dlaczego więc nie miał się uśmiechać?

Służbowy samochód czekał przed lokalem Frenzla, aby - jadąc z dużą prędkością ulicami miasteczka - zawieźć burmistrza do ratusza. Policjant zsalutował mu zgrabnie, kiedy schodził po stopniach do solidnie obłożonej workami z piaskiem sali dowodzenia. Wewnątrz siedziały przy biurku trzy dziewczęta z obrony cywilnej, a dwóch umundurowanych rowerzystów Hitlerjugend stanęło na baczność w przedpokoju.

- Trzy czerwone, choinkowe flary w odległości jednej mili na południowy wschód: 0129.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- To prawdopodobnie gdzieś na polach Frau Kersten.

- Niech pani zaznaczy to na mapie, Fraulein. Telefonistka informowała:

— FLUKO melduje o czerwonych markerach w pobliżu Duisburga: 0130. Prawdopodobnie ten sam samolot.

— To także zaznacz - powiedział spokojnie burmistrz. - Musimy wiedzieć, z jakiego kierunku samoloty się zbliżają.

Burmistrz powiesił kapelusz i usiadł za biurkiem. Żółta lampa rzucała świetlną obręcz wokół jego profilu. Przebiegł długimi palcami po trzech telefonach, bibularzu, bloku papieru i naostrzonych ołówkach, jak gdyby chciał się upewnić czy wszystko przygotowano według jego poleceń. Nigdy przedtem nie przeżył nalotu. Był zdecydowany działać zgodnie z regulaminem. Przez wiele miesięcy studiował meldunki i instrukcje. Dzisiejszej nocy wykorzysta zasób zdobytej wiedzy. Nagle wstał. To pierwszy samolot wspierający zrzucił pęk bomb burzących. Sześć pięćsetfuntowych bomb średniej mocy spadło w linii, siedemdziesiąt jardów jedna od drugiej. Gdyby miał jeszcze jedną, spadłaby na ratusz.

— Co oni tam bombardują? - zapytał burmistrz spoglądając na ścianę swego biura, jakby jakaś tajemna siła pozwalała mu widzieć przez nią i rozwiązać w ten sposób problem.

— Ziemniaki Frau Kersten - powiedziała telefonistka. - Może próbują nas wygłodzić?

Burmistrz zmroził jej uśmiech spojrzeniem. I wojna światowa pozostawiła u niego wiarę, że żarty w obliczu ognia to jeden krok od hysterii. Zakołatała klamka u drzwi i ukazał się chłopiec z Hitlerjugend. Był podniecony i zarumieniony od usilnego pedałowania.

— Pali się droga, panie burmistrzu!

— Jak to droga?

— Cienki, biały płomień, wysoki jak dom - odparł chłopiec.

— Fraulein Ewa, niech pani powiadomi kierownika gazowni. Chłopcze, podaj dokładnie pozycję pożaru. Fraulein Bertha, niech pani zablokuje jakoś drzwi, aby zostały otwarte, dając wolny dostęp do sali dowodzenia. Niech jutro naprawią klamkę u drzwi. Już blisko tydzień proszę o to.

— Tak jest, panie burmistrzu - odrzekła dziewczyna.

„Joe jak King” Tommy Cartera przeleciał prosto nad Altgarten i zwolnił ładunek bomb, w tym zielone wskaźniki celu.

- I połączcie mnie także z kierownikiem zakładu wodociągów. Telefonistka naciskała przycisk bez przerwy, ale telefon nie odpowiadał.

Kierownik zakładu wodociągów wyszedł w pośpiechu z urodzinowego przyjęcia burmistrza chcąc udowodnić, że zna swoje obowiązki równie dobrze, jak każdy inny, ale zapomniał kluczy od biura. Udał się do stacji filtrów i dużego zbiornika wody. Nie było tam dla niego nic do roboty. Znalazł do połowy wypalone cygaro w górnej kieszonce, zapalił je i rozpoczął spokojny obchód. Na niebie ukazywały się czerwone błyski. Wydawało się, że są blisko, ale wiedział, że to pozory. Dźwięk samolotów stawał się coraz głośniejszy. Często obserwował je, jak przelatywały w drodze do Ruhry. Czasem widział, gdy trafione pałą się jak komety.

Kierownik zakładu wodociągów był pierwszą ofiarą w Altgarten. Gdy spadły kolorowe markery zaczął biec, ale został pochłonięty przez opadający kaskadami zielony ogień. Potem bomba burząca wyrzuciła w



powietrze jego ciało, które spadając zagrzebało się w zrytej ziemi, pośród odłamków drzew i łętów ziemniaków.

Nalot nie był niczym nowym dla ludzi Technische Nothilfe Bataillon. Wyszli kompletnie wyekwipowani ze swoich baraków, zanim pierwsze flary opadły i zgasły. Ich ciężarówki, z namalowanym wkoło białym, szerokim pasem identyfikacyjnym i zamocowanymi do tylnych klap białymi rowerami, ustawiono w szyku konwojowym, a mężczyźni wskoczyli na wozy w ciemności tak, jak to czynili tysiące razy przedtem. Dla ludzi TENO był to po prostu następny nalot, z tą subtelną różnicą, że tym razem nie musieli nigdzie jechać; nalot przyszedł do nich.

Samochód najpierw zwalnia i jedzie powoli, aby kierowca mógł odczytać numery domów. W końcu zatrzymuje się. Głosy mężczyzn mają niski ton, a ich rytm oznacza rozkaz. Drzwi zatrząskują się łagodnie, a podbite metalowymi gwoździemi buty stukają głośno w nocnym powietrzu. Kołatka u drzwi wybija: „ra-ta-ta”.

W 1943 roku uszy ludzi w całej Europie stały się wyczulone na taką kolejność dźwięków. W nocy 31 czerwca, o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć, stary Herr Voss, krawiec, zadarł głowę i nadśluuchiwał z bojaźnią.

Herr Voss był niskim, tęgim pięćdziesięciodziewięcioletnim mężczyzną. Wierzch jego czaszki był łysy, ale naturalna fala włosów tworzyła loki na uszach i kołnierzem. Był utalentowanym barytonem-amatorem i podobnie jak w 1940 roku dawał obecnie koncerty w mieście. Jego żona śpiewała; kiedyś w chórze. Lubili muzykę wszelkiego rodzaju i posiadali duży zbiór płyt, od amerykańskiego jazzu do kwartetów Beethovena i oczywiście wiele dzieł chóralnych. Każdego wieczoru ubierał się w czarny, aksamitny żakiet i ozdobny kapelusz z kutasikiem. Dochodząca gospodyni zostawiała im prosty zimny posiłek, po spożyciu którego zapalał fajkę i razem z żoną słuchał muzyki, często do pierwszej lub drugiej nad ranem. Teraz żona bawiła z wizytą u ich jedynej córki i zięcia we Freiburgu. Choć był sam w domu, trzymał się zwykłego rytuału.

Voss wyłączył muzykę w radiu. Przez moment stał nasłuchując, po czym powlókł się w pantoflach przez hol, aby otworzyć frontowe drzwi. Zanim do nich doszedł, kołatka zadźwięczała ponownie.

- Dobrze już, dobrze! - zawołał porzytywany. - Wszystkim tak spieszo.

Na zewnątrz było ciemno i mógł odróżnić wzrokiem tylko zarys stalowego hełmu.

— Czy znów chodzi o zasłonę we frontowym pokoju? - zapytał z odcieniem winy w głosie. - To kot ją przesunął.

— Voss? - zapytał człowiek i teraz stary Voss spojrzał na niego po raz drugi. Przy zaciemnionym świetle dojrzał, że mężczyzna ma na głowie hełm Wehrmachtu a nie Luftschutzu.

— Voss? - powtórzył pytanie żołnierz. Nie znał tego głosu.

— Tak - odpowiedział Herr Voss. Usiłował odpowiedzieć z wahaniem, aby mieć możliwość zaprzeczenia.

— To ten dom, proszę pana! - zawołał żołnierz grubym, gardłowym głosem. Drugi mężczyzna wyszedł z ciemności.

— Zabierz tłumoki! - rozkazał łamanym rosyjskim. Był wyższy i szczuplejszy niż żołnierz i nosił skórzany płaszcz mocno wytarty na łokciach i klapach. - To ja telefonowałem - powiedział. Jego głos miał wdzięczny, monotony rytm Rhinelandu.

— Wejdźcie - odrzekł Voss.

Obaj weszli do saloniku. Żołnierz ugiął się pod ciężarem trzech długich tłumoków. Niósł je przerzucone przez ramię.

— Na podłogę - powiedział ten wysoki. Był młodym człowiekiem o bladej twarzy, zmęczonych oczach i haczykowatym nosie. Jak sowa, pomyślał Voss. Rozpiął płaszcz w poszukiwaniu papierosów, odsłaniając czarne patki z dystynkcjami SS na kołnierzu. Cudzoziemski żołnierz był Feldweblem. Mundur miał co najmniej o jeden numer za mały. Na rękawie widniał złoty smok na jasnoniebieskiej tarczy.

— Galicyjska 14 SS, co? - powiedział Voss.

— Skąd pan wie? - zapytał Fischer, zdejmując płaszcz.

— Szyję mundury. Wiem prawdopodobnie o wojskowych odznakach więcej od pana. A pan jest Leibstandarte, co?

Starszy pan uśmiechnął się widząc epolety LAH i nową opaskę na rękawie Fischera. Uważał je za ozdoby pozera. Teraz spojrzał dokładniej na jego Krzyż Rycerski.

- Jesteśmy odkomenderowani do dywizji Hitlerjugend - powiedział gniewnie Fischer. Rzucił swój skórzany płaszcz na krzesło. Nie chciał, aby ten stary człowiek wiedział, do której jednostki należeli, ale trudno byłoby teraz skłamać. Jednak nie było dużego niebezpieczeństwa; ten mały szachraj nie ośmielił się poskarżyć na oficera SS.

Żołnierz zwałił tłumoki na podłogę, wyjął z pochwy bagnet i zgrabnie przeciął jeden z nich. Rozwijał go końcem buta.

- Z Muzeum Narodowego w Charkowie - oznajmił Fischer.

- Kaukaski?

- Kubański.

Oficer skinął głową.

- Ma prawie trzysta lat. Mógłby opowiedzieć niejedną historię.

Żołnierz odwinął narożnik jak zawodowy handlarz dywanów.

— Niech pan spojrzy - powiedział Fischer. - Niech pan zwróci uwagę na nic osnowy na dwóch różnych poziomach. Niech pan spojrzy na krawędź.

— Kuficki - oświadczył Voss.

— Właśnie - potwierdził Fischer. - Pan zna się na dywanach.

— Kiedyś je kupowałem.

— Tak też słyszałem - powiedział oschle Fischer. - Będzie pan głupcem, jeśli go pan nie kupi. To eksponat muzealny.

— Każdy mówi, że ma muzealny okaz - odparł Voss pocierając narożnik dywanu.

— Tak - przyznał Fischer - ale nie każdy zabiera go z ruskiego muzeum pod groźbą pistoletu.

Żołnierz obserwował uważnie rozmawiających i próbował zrozumieć szybki gardłowy Plattdeutsch Vossa, bardziej podobny do holenderskiego niż niemieckiego. Nagle, pojmując, zaśmiał się i pokazał komplet zepsutych zębów.

Fischer obserwował twarz Vossa, gdy ten badał szwy.

— Widzi pan, jak grube jest podłoże?

— Ile?

— Dziesięć tysięcy.

— Reichsmark?

— Nie, Pfennigów - odparł Fischer sarkastycznie.

Voss przebiegał palcami po kwiatach i ptakach. Miękką czerwień i zieleń. Kolory jaśniały w świetle lampy.

— Wart jest tyle - przyznał Voss.

— Wart jest dwa razy tyle - powiedział Fischer. Podszedł do srebrnej kasetki na stoliku do kawy. - Poczęstuję się papierosem - oznajmił.

— Proszę - odrzekł Voss. Spojrzał na pozostałe tłumoki.

— A co tu?

— Nowoczesne Shirwany. Nie zainteresują pana, za bardzo się pan zna na dywanach.

Voss uśmiechnął się na komplement, ale uśmiech zamarł na jego twarzy, gdy spadły pierwsze bomby. Zaraz potem usłyszeli wybuchy drugiej serii bomb. Najdalsza upadła o jakieś ćwierć mili za Frau Kersten a ostatnia na mieszkalne rudery za gazownią. Voss i obaj wojskowi pośpieszyli do drzwi. Na zewnątrz noc była tak jasna jak dzień. Zielone flary markerów Tommy'ego Cartera wisiały na niebie, a każdy ich pęk rozszerzał się ku swej podstawie jak choinka. Były jeszcze inne choinki: jedna nad browarem, druga w pobliżu kościoła. Niebo na południowym wschodzie nadal płonęło czerwono od zrzuconych przez Mosquito wskaźników celu.

- Markery - stwierdził Fischer. - Te zielone flary tworzą narożniki kwadratu, na który inne bombowce zrzucą swoje bomby.

To był błąd powszechnie popełniany przez ludzi na ziemi, ponieważ nie zdawali sobie sprawy z dużych marginesów błędu, w ramach którego działały bombowce. Tapper Collins próbował przecież zrzucić wszystkie zielone choinki na ten sam punkt celowania.

Fischer odezwał się dopiero, gdy bomby spadły na północny kraniec miasta. Pomiędzy pięćsetfuntowymi znajdowała się ważąca cztery tysiące funtów „kuka”, która zatrzęsła ziemią. Echo wybuchu przetoczyło się wąskimi uliczkami starego miasta, a Vossa i obu wojskowych rzuciło jak długich na drogę. Nie zdawali sobie sprawy, jak to się stało. Następny Lancaster rozpoczął bombardowanie. Voss zobaczył, jak obaj żołnierze trzymają dłonie na uszach, aby ochronić bębenki. Uczynił do samo. Oczekali, aż następne rozrywające uszy eksplozje wstrząsnęły ziemią.

— Ma pan piwnicę? - zawołał Fischer.

— Tak - odparł Voss.

— Zejdźmy do niej.

Voss spojrział na ich kiibelwagen zaparkowany przy chodniku. Miał cichą nadzieję, że zdecydują się spiesznie odjechać, z drugiej jednak strony nie chciał stracić okazji kupna dywanu. Nigdy nie widział tak wspaniałego. Chyba, że w muzeach.

Okno sąsiedniego domu otwarło się z brzękiem.

- Herr Voss, czy to pan?

— Tak, to ja - odrzekł Voss.

— Czy jesteśmy bombardowani? - zapytała Anna-Luiza. Oficer zaśmiał się.

— Tak, moja droga - odpowiedział. - Lepiej, abyś przyprowadziła dziecko do mojej piwnicy.

— Dziękuję panu, Herr Voss.

— I pośpiesz się! - zawołał Fischer. Zerwali się na nogi i popędzili do środka. Lancaster Sandy Sandersona, głównego mechanika i dywizjonowego eleganta, zrzucił dziesięć kanistrów bomb zapalających dokładnie w punkcie celowania. Z każdego kanistra wypadło dziewięćdziesiąt laseczek magnezji. Przez moment dziewięćset ładunków zapalających zawisło w rozwartych drzwiach bombowych, jak pęk opiłków żelaznych huśtających się pod magnesem. Wówczas strumień powietrza uderzył w nie i rozsypał na miasto na całej przestrzeni od Mauerstrasse do Kwatery Głównej Partii, w pobliżu kościoła.

Czterofuntowe bomby zapalające uderzały w ziemię z białym błyskiem, wydając dźwięk jak trzaśnięcie biczem. Potem jasno paliły się. Trzej mężczyźni obserwowali ten widok z progu drzwi. Jedna z bomb zapalających uderzyła w ziemię zaledwie jard przed samochodem, więc Feldwebel pobiegł, aby kopnąć ją wzdłuż rynsztoka, a następnie zasypał rozsiane przez nią czerwone i białe odpryski palącej się magnezji.

- Gdzie jest piwnica, Herr Voss? - zapytał oficer, a Voss wy dobył ciężki pęk kluczy na kółku i otworzył drzwi; klucze zadzwoniły w jego drżących palcach.

Trzej mężczyźni poprowadzili dziewczynę i małego chłopca w dół po kamiennych stopniach. Kiedy już się tam znaleźli, wojskowi zrozumieli, dlaczego z taką niechęcią pozwolił im zobaczyć swój schron przeciwlotniczy. To był istny skarbiec. Oszklona szafa pełna była srebra, a skrzynia wypełniona pozawijanymi troskliwie w gazety wyrobami kryształowymi. Wciśnięte pomiędzy antyki i skrzynie, z Bóg wieczym, stały cztery wygodne, stare krzesła; zainstalowano tu nawet telefon wewnętrzny. Nazwanie tego pomieszczenia schronem przeciwlotniczym było wygodnym tłumaczeniem dla urzędnika pokoju, w którym Voss mógł trzymać swoje skarby w tajemnicy i komforcie. Zapalił lampę naftową, ale oświetlenie elektryczne było wystarczająco jasne.

Anna-Luiza posadziła Hansla w fotelu. Był śpiący, więc dla stłumienia hałasu owinęła jego główkę kocem.

Bomba burząca o wadze dwóch tysięcy funtów z samolotu Cartera uderzyła w narożnik Munchenstrasse i Postgasse, zaledwie jeden budynek od domu Vossa. Strząsnęła kurz z półek w piwnicy. Stary Voss zakaszłał, Feldwebel kichnął, a potem zaśmiał się hałaśliwie. Na zewnątrz ciemna ulica tonęła w chmurze ceglanego pyłu. Bomba odkroiła trzydzieści jardów z bloku mieszkalnego jak kawałek ciasta, odsłaniając jasnokolorowe rzędy wytapetowanych pokoi. Rumowisko z cegieł, połamanych mebli, przewróconych wanien i wystających z niego płyt nierozbitej ściany wznosiło się pochyło aż do drugiego piętra. Co nieco cudem wyszło cało: lustro na ścianie, nietknięte obrazy i pokojówka, znaleziona zupełnie naga, ale nie zraniona, za domem w ogrodzie. Spała w mieszkaniu na ostatnim piętrze.



Stary Storp, Blockwart, w płaszczu narzuconym na piżamę, wyszedł z szeroko otwartymi oczami z kurzu i ciemności na spotkanie techników TENO. Trzymał w rękach świstek papieru i krzyczał głośno, aby go było słychać pomimo eksplozji:

- Osiemnaście osób zasypanych w piwnicznym schronie!

Człowiek z TENO popatrzył na wysoki zwał cegieł i rupieci.

— Nigdy ich nie wydostaniemy - powiedział krótko. Napisał kredą „18” na kawałku obmurowania i odwrócił się.

— Musicie! - zakrzyczał Blockwart. - Tam jest moja żona!

— To na nic się nie zda! - odkrzyknął pracownik TENO. W pobliżu wybuchła właśnie bomba, więc skulił się. - Musimy naprawić wodociąg.

Blockwart zaczął podnosić jedną z ciężkich drewnianych belek, ale gdy przekonał się, że nie może jej ruszyć, wziął się za luźne cegły.

- Idę, Bertho! - wykrzyknął - nie bój się moja kochana!

Wydawał się już nie słyszeć spadających bomb. Pracował gorączkowo, aby oczyścić drogę do piwnicy, ale tam, wewnątrz, wszyscy już zginęli.

To dźwięk tej samej bomby spowodował, że Herr Voss wyszedł z powrotem z piwnicy. Jej podmuch wykrzywił biegnącą obok jego domu dziewięciocalową, żelazną rurę wodociągową, której uszczelnienie pękło i woda popłynęła do piwnicy Vossa. Początkowo strumień ten nie był większy niż z kuchennego kurka, ale ciśnienie wody powiększyło lukę tak, że woda utworzyła wkrótce dużą kałużę i popłynęła strumykami pod fotelami, mocząc spody drewnianych skrzyń. Z piwnicy nie było odpływu i Voss wiedział, że zostanie kompletnie zalana, jeśli instalatorzy TENO nie zabiorą się szybko do roboty. Pośpieszył po schodach w górę zaniepokojony szkodami, jakie woda mogłaby wyrządzić jego obrazom i dywanom.

Obaj wojskowi pozostali w piwnicy z Anną-Luizą jeszcze dziesięć minut. Ponad nimi bomby wstrząsały domem aż do fundamentów. Hansl obudził się i zaczął cichutko płakać.

— Wkrótce pójdziemy - powiedział oficer. Powstał i zaczął odwijać z papieru jakieś srebra i szkła, zapakowane w jednej ze skrzyń. Wybrał trzy srebrne czajniki z czasów pierwszych królów Anglii i dzbanuszek na śmietankę, kładąc je ostrożnie na fotelu. Chociaż nie wymienili między sobą ani słowa, Feldwebel znalazł worek i włożył do niego srebra. Oficer zdjął ze

ściany starodawny pistolet z zamkiem skałkowym, a na półce znalazł czerwony, jedwabny dywanik zawinięty w gazetę. Dopakował go do pęku dywanów, jakie przynieśli ze sobą.

— Co pan robi? - zapytała Anna-Luiza uśmiechając się. Miała nadzieję, że żartują.

— Jesteśmy starymi przyjaciółmi Herr Vossa - odparł oficer. - Te rzeczy kupiliśmy od niego.

— Nie wierzę panu - powiedziała Anna-Luiza. Przeszła przez piwnicę do schodów i zawołała Vossa, ale nie było odpowiedzi.

— Prawdopodobnie nie żyje - rzekł oficer.

— Poczekajmy na niego - zasugerowała, stając na jego drodze i wyciągając rękę, aby mu przeszkodzić w wyjściu. Fischer uderzył ją z całej siły pięścią w twarz.

Poczuła, że wyłamał jej przednie zęby. Dopiero po chwili poczuła ból od uderzenia, którego siła odrzuciła ją do tyłu na drewniane skrzynie. Skręciła kostkę, a antyczna karafka spadła i rozbiła się na kamiennej podłodze. Zajęczała z bólu i trzymając twarz w dłoniach kołysała się tam i z powrotem. Kiedy Hansl zaczął głośno płakać, powoli otworzyła oczy. Mężczyzna znikł, a z nim pełen worek srebra i dywan. Przytuliła dziecko do siebie.

- W porządku dziecino, wszystko będzie dobrze.

Usta miała spuchnięte i głos dziwny z powodu wyłamanych zębów, ale powtarzała to, aby go uspokoić. Woda ciągle wlewała się z bulgotem do piwnicy, ale tym już się nie przejmowała. Nikt się nie przejmował.

Na górze, obaj wojskowi szybko przeszli przez dom. Gdy pierwsze bombowce przeleciały nad miastem, nastąpiła przerwa w ogniu artyleryjskim i bombardowaniu. Było ciemno, a w powietrzu unosił się ohydny zapach ceglanego kurzu i uszkodzonej kanalizacji. Wstawili tłumoki na tył samochodu i odjechali. W rynsztoku, zaledwie kilka jardów od domu, leżało ciało Herr Vossa. Żołnierze nie rozpoznali go. Na ulicy walały się jeszcze inne zwłoki. Ledwo rzucili na nie wzrokiem. Widzieli już wiele trupów.

Rodzina Munro z wyspy Nichuish, potomkowie Skandynawów, była dzielnym, bogobojnym rodem. Mówiono, że nigdy nie usiedli do posiłku bez podziękowania Panu i bez otworzenia bram dla głodnych, ale czynili to z mieczem pod ręką. Sakiewka i miecz nigdy nie opuszczały boku starego Andrewa od czasu, kiedy mu je przypięto na rzemieniu. Wisiały tam aż do jego śmierci, na dalekim polu bitwy pod Liitzen, gdzie dowodził jedną ze szkockich brygad Gustawa Adolfa. Tam właśnie inkrustowany srebrem pistolet skałkowy wepchnięty pod napierśnik zbroi otworzył mu brzuch i sakiewkę, pokrywając pole bitwy jelitami i złotem. Jego brat, Jan, uciekł od Cromwella po klęsce pod Dunbar, przebrany w odzienie drobnego dzierżawcy rolnego. Innego Munro pogrzebali Amerykanie, w czterech osobnych częściach, pod zimną ziemią góry Lookout, zanim jeszcze bitwa pod Chattanooga zaczęła się na dobre.

Andrew, kapitan szkockich fizylierów, był w roku 1704 pod Blenheim pierwszym z rodziny Munro walczącym po tej samej stronie co Anglicy. Od tego czasu zawsze ktoś z Nichuish służył w armii brytyjskiej. Historię rodziny Munro czyta się jak nazwy miejsc bitewnych na zakurzonym sztandarze: Fontenoy, Waterloo, Inkerman, Abukir, Koodoosberg.

W 1918 roku wuj Johna walczył z Turkami od Basry do Kirkuku, a jego ojciec spędził cztery długie lata we Francji i odebrał pod Ypres order Za Wzorową Służbę. Obaj powrócili do swojego majątku pod koniec wojny. Wuj Jan zajmował się pracą papierkową aż do dnia, w którym zmarł na jakąś nierozpoznaną chorobę tropikalną. Także jego ojciec upodobał sobie pracę na roli i przy żywym inwentarzu. Zdarzyło się wiele razy, że gdy przyjeżdżał na wakacje ze szkolnymi przyjaciółmi, ci brali ojca za pasterza. Obaj już zmarli i teraz, gdy John i jego młodszy brat Ian służyli w RAF, całym gospodarstwem zarządzała Sarah. Na tym, myślał sobie Munro, może zakończyć się wojskowa tradycja rodziny.

Poradzi swojemu synowi, aby nie służył w żadnym wojsku. W ubiegłym tygodniu, dwaj żołnierze lotnictwa stanęli przed nim do raportu za spowodowanie awantury w kasynie. Jeden z nich powiedział:

— Po tym wszystkim nie dam się zaciągnąć nawet do niedzielnego klubu. A drugi oświadczył:

— A ja nie dam się, do cholery, zaciągnąć do żadnej spółki.

Munro dał im po trzy dni karceru za nieregulaminowe zachowanie się, ale jego odczucia były dokładnie takie same. Może pewnego dnia po wojnie spotkają się na ulicy i powie im, jak bardzo się z nimi zgadzał. Chociaż w głębi serca Munro był przekonany, że dla niego nigdy nie będzie „po wojnie”. Nigdy przedtem tak się nie bał. Mówił sobie, że to po prostu dlatego, że odbywa ostatni lot kończący turę operacyjną, ale nie był przekonany. Ostatniego wieczoru wypisał czeki dla krawca, dentysty i kasyna, napisał list do żony i dziecka, oparł to na poduszce i zastanawiał się nad testamentem. Zrobił wszystko z wyjątkiem tego. Poprawił kurs dotknięciem sterów.

Munro spoglądał w dół na ciemny krajobraz. Był spokojny. Chociaż światła reflektorów i wybuchy pocisków przyprawiały o dreszcz emocji nowe załogi, dla doświadczonych lotników koncentracje ognia artylerii przeciwlotniczej stanowiły tylko ponury szereg znanych, nawigacyjnych punktów orientacyjnych.

— Jakiś dureń zboczył nad Nijmegen - powiedział Munro, obserwując migotający z lewej strony ogień artylerii przeciwlotniczej.

— Arnhem jest także bardzo aktywne, panie pułkowniku - odrzekł bombardier. - Ale mniej reflektorów niż zwykle.

— Niemcy ściągną je z powrotem do Ruhry. Podejrzewam, że pozwalają teraz działać ponad celem swoim nocnym myśliwcom, a świateł używają tylko po to, by im pomóc w zlokalizowaniu strumienia.

— To ułatwia pracę nawigatorom - powiedział mechanik.

Jock Hamilton, nawigator, zawsze narażony na zaczepki, udał tym razem, że ich nie słyszy.

— Krąży pogłoska, że mamy latać bez nich - ciągnął dalej bombardier. - W zamian będziemy brali więcej bomb zapalających.

— Wówczas, do cholery, nie wróćcie - ostrzegł ich Jock.

Inni śmiali się, ale Munro znów był czujny. Obserwował i odnotowywał zmieniające się rozmieszczenie obrony przeciwlotniczej. Zadziwiająco, jak daleko można widzieć z tej wysokości. W inne, jaśniejsze noce bywał również blisko Ruhry i mógł dojrzeć linię angielskiego

wybrzeża. Dzisiejszej nocy, dzięki Bogu, nie mógł, ale chmury rwały się w miarę, jak lecieli w głąb lądu. Nie podobało mu się to. Tam, przed nim, gdzie powinien być cel, nie było śladu reflektorów lub ognia dział. Zawołał do nawigatora:

— Jock, czy masz obraz na H2S?

— Niezły.

— Widzisz Mozę?

— Tak, panie pułkowniku. Ustawię nas równolegle do Cleve.

Krajobraz był ciemny i pozbawiony charakterystycznych punktów terenu

z wyjątkiem rzeki, którą Munro widział daleko pod nimi. Moza wiła się łagodnie.

- Duża cholera, ten z lewej strony, proszę pana.

- Tak, to właśnie nazywam reflektorem. Inne wyglądają przy nim jak lampki.

Nie był teraz daleko.

Utrzymywanie wszechstronnej obserwacji z górnej wieżyczki było męczącym zajęciem. Polegało na kręceniu głową w sposób, który wymagał olbrzymiego wysiłku fizycznego.

Lofty, strzelec Munro, przeszukiwał horyzont raz za razem. Nagle zobaczył ten kształt. Kawałek ciemności powoli oderwał się od nocnego nieba i spłynął, aby ich pochwycić w swój czarny uścisk. Człowiek nie może krzyczeć w tlenowej masce, ale nie zdając sobie z tego sprawy, strzelec naprawdę krzyczał. Prawie zakrztusił się łapiąc powietrze z taką siłą, że poczuł ból w piersiach. - Włączył mikrofon, aby powiedzieć Munro co się stało, ale było mu trudno wymówić choć słowo. Drżącym głosem zameldował:

— Jakiś Lancaster właśnie o mało nie zrobił mi we włosach przedziałka, proszę pana.

— Kierunek?

— Ten sam kurs co my, proszę pana, tylko kilka stóp nad nami. Nie wiem dlaczego nie doszło do kolizji.

— Najważniejsze, że strumień trzyma się kursu - odrzekł Munro. Jock uśmiechnął się do siebie. Było typowe dla Munro, że będąc blisko zderzenia w powietrzu troszczył się tylko o to, czy tamten był na właściwym kursie.

— Lofty, czy to na pewno był czterosilnikowiec?

— Tak, panie pułkowniku.

— Dobrze, obserwuj pilnie.

Nikt na pokładzie Lancastera „Q jak Queen” nie zauważył lecącego tak blisko nich Lancastera Munro. Jedyne członek załogi, który mógłby go zobaczyć, bombardier Jammy Giles, nie leżał w nosie samolotu patrząc w dół. Siedział na miejscu pilota mocując się ze sterami. Nigdy przedtem nie przejmował sterów w czasie lotu operacyjnego. Teraz też nie chciał, ale pilot, porucznik lotnictwa kanadyjskiego o nazwisku Peterson, znany swoim przyjaciołom jako Roddy, wydał mu rozkaz. Pomimo wyższego stopnia Jammy’ego, pilot, taksówkarz z Montrealu, był dowódcą. Jammy powiedział:

- W porządku, ty zapite, kanadyjskie ladaco, ale powinienem teraz leżeć w nosie samolotu.

„Ladaco” i „leżeć” były dwoma ulubionymi wyrażeniami Jammy’ego i o ile pierwsze odnosiło się do załogi i jej życia płciowego, to drugie tyczyło jego pracy i życia płciowego. Nie tak łatwo było zamienić się pilotom miejscami. Zbłąkany but

uderzył w kolumnę sterową i przez moment nikt nie kontrolował orczyka, co wprawilo bombowiec w troche niezwykle zachowanie sie w powietrzu.

Z poczatku bylo to nawet zabawne. Jammy wspolczul Roddy'emu z powodu biegunki, bedacej niewatpliwie wynikiem popijawy, do ktorej go namawial. Jednakze im blizej byli celu, tym bardziej Jammy stawal sie niespokojny.

- Roddy, wiesz, kto uzyska sto punktow w teście na inteligencje?

— Nie wiem, kto?

— Dziesieciu Kanadyjczykow. Tak. A teraz Roddy zdejm swój zadek z tej skrzynki grzmozow, wróc tu i zacznij prowadzić samolot.

— Jestem chory.

— Kanadyjski idiota.

— Angielski dureń.

— Mowie powaznie.

— Ja tez.

— Roddy, przeciez jestem glownym bombardierem.

— A ja, mój przyjacielu, jestem piekielnie chory.

— No dobrze, ale jak dlugo masz zamiar siedziec na tytku?

— Jammy, poprowadz samolot nad cel.

— A kto bedzie „lezal” ty transatlantycki kpiarzu?

— Niech bombarduje Al. Zawsze byl lepszy od ciebie.

Niezdolny do pracy pilot zadal ta sugestia dotkliwy cios bombardierowi, poniewaz nawigator Alun Davies przekwalifikowal sie z obserwatora, wiec wiedzial o celowniku bombowym, dryfie, markerach i przelacznikach prawie tyle, co Jammy.

Jammy rygorystycznie zalecal, aby przed bombardowaniem identyfikowac cel zarowno na radarze, jak i wzrokowo.

- Czy ktos moze poprowadzić „Queenie” po prostej i w poziomie, gdy ja bede „lezal”? - zapytal Jammy z rozpacza.

Nikt nie kwapil sie do sterow, bo musialby sie wtedy narazic na wskazowki Jammy'ego dotyczace lotu, a byly one z reguly trudne do wykonania. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt nie zgloszal sie dobrowolnie.

Jammy westchnal.

— W porzadku Alun, zostaw H2S i zajmij sie celownikiem bombowym, dobrze?

— Oczywiscie, panie kapitanie - odpowiedzial Alun, absolwent szkoly sredniej i byly kierownik kina w Flestiniog. Zebrał mapy pod swoja lampą i przyjrzał im się

dokładniej.

Kiedy Ałun bombardował ostatni raz, mapy były kolorowe i pełne takich szczegółów, że mogłyby się nadawać do turystycznych wypraw. Obecne mapy celu wykonywano inaczej: lasy i zabudowane tereny znaczone jako szare bloki i zacięzione kanciaste formy. Jedyne białe znaki to wąskie rzeki i plamki jezior. Drogi były purpurowymi żyłkami, tak że cała mapa wyglądała jak paskudnie posiniaczony tors. Na starych mapach rzeki były jasnoniebieskie, drzewa zielone a szpitale oznaczano zgrabnym, czerwonym krzyżykiem. Teraz, miejskie skupiska były po prostu niewyraźnymi plamami. Na tym oczywiście polegał cały pomysł. Dawne mapy były tak przestarzałe, jak pomysł wyglądania z kabiny, aby zobaczyć bombardowanego wroga. Nowe mapy, szare i bez wyrazu, stanowiły tylko jeden z aspektów nowego sposobu prowadzenia wojny.



Ałun Davies wyłączył radiolokator H2S. To była zabawka Jammy'ego, Ałun zaś nigdy jej nie lubił. Wziął swoje mapy i notatki i ruszył do przodu samolotu. Było ciemno. Zobaczył głowę Jammy'ego w haubie, sztywną i dobrze zarysowaną na tle pleksiglasu. Szukał po omacku uchwytów, gdy samolot przechylał się na boki prowadzony niedoświadczonymi dłońmi bombardiera. Mijając siedzenie pilota, Jammy wyciągnął rękę, aby poklepać go zachęcająco po ramieniu.

— Nie zapomnij Al o przełączniku zapalnika i szukaj najpierw czerwonych wskaźników celu zrzuconych przez samoloty „Oboe”, a potem zielonych, dobrze?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Roddy, powiedz lepiej, jak ty się tam z tyłu czujesz?

— Bardzo kiepsko, Jammy.

Rozpięcie kombinezonu lotniczego to kilka minut męki dla pilota, który chce skorzystać z chemicznej ubikacji „Elsan”. Ktokolwiek zdecydował, że posiłek lotników powinien zawierać fasolkę, ten nigdy nie cierpiał z powodu wiatrów w kiszkiach na dużej wysokości. Rozdęcie żołądka i jelit, co i na ziemi do przyjemności nie należy, staje się agonią na wysokości szesnastu tysięcy stóp. Roddy Peterson miał dodatkowe bóle na skutek zapalenia jelita. Początkowo zbierało mu się na wymioty, a następnie ogarnęła go fala dreszczy, po których nastąpiło nagłe rozluźnienie jelit. Siedząc w ubikacji wyłączył telefon pokładowy i tlen. Na szesnastu tysiącach stóp i ze spodniami opuszczonymi do kostek było mu bardzo zimno. Pomimo przemarznięcia na kość, pocił się. Nadal był słaby i czuł się bardzo nieszczęśliwy. Tu, w ogniu samolotu, każdy najmniejszy błąd w pilotażu Jammy'ego potęgował ruch kołyszący i przepadanie w powietrzu wywołujące nudności.

Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy, jak ponuro i samotnie czuła się reszta załogi. Patrząc do przodu z ubikacji „Elsan”, wszystko co widział to stopy strzelca z górnej wieżyczki, gdy ta obracała się z pomrukiem. Przelatując obok chmury przez moment widział także odbicie ramion strzelca. Poza tym tunel aluminiowych wręg i szyn amunicyjnych wydawał się ciągnąć milami. Czasem widział punkcik żółtego światła, padający z lampki stołowej nawigatora jak światło dzienne na końcu kolejowego tunelu. Panował tu hałas. Ryk silników był dużo głośniejszy w

tyle samolotu, wiatr młóący w ogon potrzasał nim i jęczał, a osobliwe, delikatne dzwonięcie dochodziło do niego od dźwigarów. Od czasu do czasu słyszał wybuchy pocisków artylerii przeciwlotniczej a raz uderzenie szrapnela o metalowe poszycie. Cały czas niepokoił się o załogę.

- Roddy, zostawiłeś swój spadochron na siedzeniu - odezwał się Jammy w telefonie pokładowym. - Jeden z chłopców przyniesie ci moje pasy spadochron nowe, a spadochron jest w tylnej pakowni. Dobrze?

Roddy skinął głową.

- Roddy, słyszysz mnie?

Roddy'ego męczył właśnie straszny ból i potworny skręt jelit. Jęczał i ledwo zebrał energię, aby włączyć mikrofon.

-Nie chcę spadochronu, chcę tylko umrzeć.

Jammy przy sterach zobaczył szczególnie duże światło reflektora, sunące ku nim po niebie. Wyglądało bardzo niebiesko. Mówiono mu, że tak wyglądają światła głównych reflektorów, więc pchnął gwałtownie orezyk. Samolot zaczął schodzić z kursu, ślizgając się po niebie i kołysząc, podczas gdy łopaty śmigieł próbowały ponownie chwycić się powietrza.

- Trzymaj się swej ubikacji - powiedział Jammy. - To może być twoja wielka szansa.

Wydał charakterystyczny, ponury ryk śmiechu przez maskę, którą miał na twarzy.

Himmel dojrzał te same duże światła reflektorów. Gdy przelatywali przez płat chmury, oświetliły ją jak matowe szkło. Na tym białym płacie rzucała się w oczy, jak karaluch na kołdrze, czarna sylwetka najpierw ich samolotu a potem, trochę mniejsza, bombowca.

- Kotły, kotły! - zawołał Himmel, rezygnując tym samym z usług swej stacji radarowej. Już raz próbował wejść w kontakt w strefie Wurzburga bez sukcesu i właśnie miał lecieć z powrotem wzdłuż strumienia bombowców i zacząć na nowo. Włączył celownik „Revi”, a wryty w kółku krzyżyk zapalił się na szybie przed nim. Wprowadził Junkersa w strome nurkowanie skręcając na ten sam kurs co jego zwierzyna. Bombowiec znajdował się co najmniej tysiąc stóp niżej, kiedy go dojrzał, więc obserwował następną płat chmury spodziewając się zobaczyć go z bliska. Na wysokości piętnastu tysięcy stóp wyrównał, ale kontynuował lot po tym samym kursie. Widział bombowiec tylko przez sekundę lub dwie i nie mógł precyzyjnie ocenić jego kierunku lotu. Wtedy obserwator zobaczył go znowu. W odległości stu stóp, dużo większy i tuż nad horyzontem z prawej.

- Mamy go!

Himmel spojrzał na niego ukradkiem. Za szybko.

Prędkość uzyskana w nurkowaniu wpływała nadal na ich prędkość postępową i nawet całkowite zamknięcie przepustnicy niewiele pomogło. Samolot był cholernie blisko. Himmel podciągnął nos maszyny w górę. Zmniejszyli szybkość. Wyszli na moment nad horyzont, ale lepsze to niż pokazanie wrogowi swoich rur wydechowych.

— Spirala w lewo, już! - zakrzyknął Lofty Lee z górnej wieżyczki i zaczął strzelać, gdy Munro przerzucił drążek sterowy stawiając bombowiec

na czubku skrzydła. Karabiny maszynowe Lofty'ego, próbując prowadzić nocnego myśliwca w celowniku, rysowały się wysoko w górze, podczas gdy jego własny samolot ześlizgiwał się w dół w pionowym przechyle. To nic nie dawało. Munro złapał za manetki gazu i zredukował prędkość postępową (i płomień w spalinach) do minimum, doznając satysfakcji, gdy zobaczył Junkersa szybko przelatującego nad nim. Jego spaliny błyszczały coraz jaśniej, gdy kąt się zwężał, a samolot nieprzyjacielski znalazł się na wprost przed nimi.

— Niech nikt nie strzela! - zawołał Munro. - Zgubił nas.

Widział, jak bombardier kręci się przy obrotnicy przedniej wieżyczki. To kusilo, oczywiście, ponieważ sytuacja odwróciła się: Junkers Himmla rysował się na tle nieba i wysokich chmur oświetlonych księżycem. Munro trzymał się w niewidocznym miejscu za ogonem Junkersa i starał się zniknąć na ciemnym tle ziemi. Himmel pochylił się w skręcie, by zwiększyć swe pole widzenia. Munro obserwował, jak samolot przed nimi szuka ich i Wstrzymywał oddech, aby go nie usłyszeli.

— Wszystko w porządku? - zapytał Himmel.

— Jeden pocisk ozdobił gwiazdkami szybę kabiny - powiedział obserwator.

— Ich broń pokładowa jest niegroźna - stwierdził operator radarowy.

— Dla ciebie, zakopanego pod tą całą maszyną na pewno nie - narzekał obserwator.

— Szukajcie go - rozkazał Himmel.

— Nigdy go nie wypatrzymy w tym paskudztwie - odparł obserwator.

— Wiedział, co robi - rzucił operator radarowy.

— Moja wina - powiedział Himmel. - Tommis tak rzadko nas zauważają, że czułem się zbyt pewny siebie. Wzbiłem się, a powinienem znurkować i krążyć za nim.

— Ci mieli szczęście. Niewielu udaje się tak łatwo uciec.

— Prawdopodobnie stare wygi.

- Dostanie ich kto inny - powiedział Himmel. - Uważajcie. Uważali, ale ostatecznie Himmel musiał powiedzieć swojemu kontrolerowi, że stracił kontakt.

— Dobra robota, Lofty - powiedział Munro do małego górnego

strzelca, który ostrzegł ich o próbie ataku Himmla.

— Sądziłem najpierw, że to Wellington ze strumienia. Potem wznosił się nieco wyżej i dobrze rozróżniłem sylwetkę tego łajdaka.

— To była dobra robota - powtórzył Munro. - Baczcie wszyscy pilnie. W taką noc poderwą wszystkie swoje nocne myśliwce.

Munro uniósł ostrożnie nos maszyny i zaczął wznoszenie na wyznaczoną wysokość bombardowania.

Niektórzy bombardierzy po raz pierwszy w czasie nalotu widzieli miasto. W samolocie Jammy'ego nawigator Alun Davies wykonał tak wiele operacji ukryty za zasłoną swego stanowiska, że prawie zapomniał, jak wygląda cel. Battersby w „Creaking Door” z zainteresowaniem patrzył na pożary i błyski zapominając przez moment o swoich obowiązkach. Przemknęło mu przez myśl, że pożary i markery są dużo mniejsze niż na oglądanych filmach szkoleniowych, a przecież fotografowano je przez teleobiektywy. Z wysokości czterech mil nawet cała dzielnica palącego się miasta nie była niczym więcej niż czerwonym pryszczem w obszernej misie ciemności. Pożary, rozciągające się od gazowni po bocznicę browaru, wyglądały dla nich jak maleńki, czerwony robaczek świętojański. Poza tym panował nieopisany galimatias. Na odprawie plan był bardzo wyraźny: czerwone markery, potem zielone i żółte w towarzystwie bomb burzących. Przybycie Iluminatorów zaplanowano przed przylotem Finderów. Teraz, spoglądając w dół, tylko najbardziej doświadczone załogi wiedziały, co się dzieje. Battersby nie potrafił odróżnić pożaru od opadającego markera a migotania eksplodującej bomby od dłuższego błysku foto-bomby.

Błędne prognozy co do wiatru rzuciły strumień bombowców ku północy i spowodowały błąd w obliczeniu czasu; nalot byłby nieudany nawet gdyby nie pomyłono celu. Altgarten leżało dziewięć mil bliżej niż Krefeld, a żółty kolor nie oznaczał żadnego z nich. Główna siła Stirlingów przybyła jeszcze przed Iluminatorami. Niektórzy pierwsi markerzy mieli wątpliwości co do wiarygodności oznaczeń i wykonali kilka okrążeń spoglądając na H2S i opóźniając w ten sposób akcję. Altgarten przedstawiało teraz nic nie znaczący chaos zieleni i żółci, pożarów, błysków foto-bomb i wybuchów.

- H2S działa, panie poruczniku. Zrzucę bomby na środkowy pożar - powiedział bombardier Munro.

O.K. bombardierze, teraz ty kierujesz samolotem - odparł Munro.

W lewo, w lewo, jeszcze trochę. Teraz dobrze. Spokojnie. W lewo, w lewo.

Požary wyglądały jak małe, kosmate zwierzęta o bokach osmolonych przez dym. I jak zwierzątka wydawały się oddychać, rozciągając się i kurcząc, gdy płomienie trafiały w otaczające prądy powietrza. Czasem można było zobaczyć maleńkie migotanie tuzinów bomb zapalających, gdy lądowały i płonęły różowo. Znacznie większe bomby burzące błyskały i znikały. Z każdego samolotu zrzucano błyskową foto-bombę, która wybuchała nad celem światłem siedmiu milionów świec, palącym się dłużej niż inne bomby i rzucała w górę dość światła, aby oświetlić bombowce. Spadały co trzy lub cztery sekundy. Munro, słuchając uważnie wskazówek bombardiera, zobaczył przy świetle jednej z bomb błyskowych osiem samolotów blisko siebie i tak się przestraszył, że aż zmusił się do patrzenia na tablicę przyrządów.

- W lewo, w lewo, spokojnie. Nie można było pomylić otrzymywanych wskazówek, ponieważ słowo „w lewo” mówiono zawsze dwukrotnie. Dodając słowo „spokojnie”, bez robienia przerwy, bombardier dawał znać Munro, żeby tylko dotknął lewej strony orczyka.

- W lewo, w lewo.

Pełno było teraz ognia niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Rząd maleńkich pożarów pełzał wzdłuż drucika celownika bombowego z przerażającą powolnością. Pożary Volksschule, gazowni, Nehringstrasse i Altmark, pulsowały jak niewygasłe węgle na pokrytym sadzą kominku. Bombardier czekał na największy pożar - na przybudówkę szpitala.

— W lewo, w lewo, spokojnie. Drucik celownika przeszedł jej skraj.

— Bomby poszły!

Przełącznik nastawiony był na jednoczesny wyrzut wszystkich bomb, więc jak cały ładunek bomb wypadł, to Lancaster aż podskoczył w powietrzu. Munro pozwolił na uniesienie się nosa samolotu. Jeszcze przez trzydzieści sekund lecieli po prostej i w poziomie, czekając na wybuch błyskowej foto-bomby i na zadziałanie migawki kamery F24 dla zanotowania dokładności ich bombardowania.

- O.K.

Munro skręcił łagodnie.

- Lećmy do domu.

Zaledwie sto jardów za nim Jammy Giles robił wszystko co w jego mocy, aby postępować według wskazówek bombardiera, ale stale przekraczał podawane mu poprawki.

- W lewo, w lewo - informował Alun. W prawo, za daleko, w lewo, w lewo, spokojnie. Nie zbyt późno. W prawo, spokojnie. Tak, tak jest dobrze. Tak trzymaj. Spokojnie. W lewo w lewo. Jammy! W lewo w lewo więcej.

Samolot wyraźnie zboczył z kursu. Żółte markery prześlizgnęły się obok celownika bombowego. Pod nim znalazł się kościół Liebefrau. Drażek sterowy szarpał spoconą dłoń Jammy'ego.

— Jammy, bomby poszły. Obawiam się, że to nie było za dobre.

— Gnajmy stąd - odrzekł Jammy. Przechylił skrzydło w dół i przy pomocy mechanika zwiększył prędkość lotu.

— Zaczekaj na bombę świetlną! - zawołał Roddy gdy samolot pochylił się w skrócie.

— Cholera - zaklął Jammy - zapomniałem. Och trudno. Alun podaj kurs do domu.

Alun spojrział przez przeźroczystą płytę do komory bombowej, aby upewnić się, że wyrzutniki są puste. Bomba burząca wagi dwóch tysięcy funtów, bomby zapalające i tysięcfuntowe burzące - wszystkie poszły. Starł się wyrysować w pamięci mapę.

— Trzymaj kurs 2N0. Jammy, przez dokładnie cztery minuty. Do tego czasu obliczę nowy kurs do domu.

— Zamknij drzwi bombowe, ofiaro.

— Zapomniałem.

— O tym rzeczywiście zapomniałeś - powiedział Roddy cynicznie.

— Słuchaj więc Roddy, ty ladaco. Przecież nie skręcałem po to, aby uniknąć zrobienia fotografii.

— Angielski skurczybyk.

— Dezerter.

- Jammy, piłeś coś?

Moment wahania.

- Odrobinę - odpowiedział Jammy czując się winny i nagle załoga odkryła straszny sekret jego wesołej obojętności wobec niebezpieczeństwa. Nikt nie odezwał się przez parę minut; wszyscy milczeli ślubując sobie, że nikt inny z dywizjonu nie dowie się o tym. Była to teraz tajemnica rodzinna. Z policzków Jammy'ego znikł pierwszy czerwony rumieniec zakłopotania. Lepiej, że wiedzieli.



Telefony burmistrza w ratuszu dzwoniły bez przerwy.

- Pierwsza trzydzieści dziewięć, Florastrasse. Bomba burząca. Piętnastu rannych, dwóch zabitych. Sieć energetyczna nietknięta. Droga zablokowana.

Telefonistka zagryzła wargi, gdy razem z innymi zawieszała na gwoździu swój pisemny meldunek. Mieszkała przy Florastrasse.

— Pierwsza czterdzieści. Tor kolejowy blisko browaru. Bomba burząca. Nie ma ofiar. Tor zablokowany.

— Pierwsza czterdzieści jeden. Szpital św. Antoniego. Bomba burząca. Liczba ofiar nieznana. Sieć energetyczna nietknięta. Droga zablokowana.

„Kuka” Munro trafiła w szpital św. Antoniego. Wylądowała na frontowych schodach jego neoklasycznej fasady. Wspaniałe kolumny i wielki fronton runęły, w ślad za nimi poszły niektóre dźwigary. Na szczęście front szpitala zajmowały biura, główna klatka schodowa, winda, recepcja i magazyny. Jedna z sal operacyjnych także została poważnie uszkodzona. Podziemna kotłownia wyszła z tego cało. System ogrzewania i zasilania gorącą wodą był w pełni sprawny, trzeba tylko było odłączyć zerwane rury od jeszcze dobrych. Na skutek rozerwania centralnego ogrzewania portier stracił nogę, a doktor doznał oparzeń tułowia. Dwie pielęgniarki z sali operacyjnej trzeba było cucić po szoku i opatrzyć wiele drobnych obrażeń. Czterech pacjentów zraniły odłamki szkła. To cud, że tak duża bomba wyrządziła szpitalowi tak małą szkodę.

Z drugiej strony, nalot ledwie się zaczął, a na skutek uszkodzenia konstrukcji nośnej budynek stał się niebezpieczny. Ponieważ pochylnie i obszerny - jak na wymiary łóżka - szyb wyciągowy zostały zniszczone, niebezpieczeństwo groziło od zaraz, bowiem nie było sposobu ewakuowania obłożnie chorych z górnych pięter. Błyski wybuchów bomb i ognia dział oświecały sale szpitalne i wystraszone twarze złapanych w pułapkę pacjentów. Markery malowały prześcieradła na jasnozielony i żółty kolor, a cienie przesuwwały się niesamowicie po podłogach i ścianach, gdy flary spadały na miasto. Każdy pacjent wymagał opieki: basenu, pigułek

nasennych, wody do picia lub tylko słów pociechy. Ci, którzy mogli chodzić, nalegali na pójście do toalety. Tych kilku uprzywilejowanych, bo ruszających się o własnych siłach, tłoczyło się przy oknach. Jeden z Lancasterów eskadry A,

zrzucił serię bomb w pobliżu kościoła Liebefrau. Potem nad miastem przeleciał Jammy Giles.

- Jammy, bomby poszły... Obawiam się, że to nie było za dobre.

Eksplozja strzaskała dalsze okna szpitala i rzuciła tuzin pacjentów plackiem na podłogę. Koniec Dorfstrasse stał się jednym, gorącym rumowiskiem.

— Sprowadźcie pielęgniarki z dansingu - rozkazała siostra przełożona.

— Są w schronie - odrzekła siostra oddziałowa.

— Potrzebujemy je tutaj - nalegała siostra przełożona.

Główny ciężar odpowiedzialności w Altgarten spadł na ludzi z doświadczeniem. Urzędnicy Luftschutzu, pracownicy transportu, technicy gazowni, elektrycy, obsługa linii telefonicznych, wszyscy oni zaczęli przyjmować rozkazy od ludzi, którzy już w innych miastach doświadczyli nalotów o takim nasileniu. Na przykład dowódca obrony przeciwpożarowej opierał się na doświadczeniu wyniesionym z osiemnastomiesięcznej służby Johannes Ilfy w Kolonii, aby znaleźć rozwiązanie problemów, jakie tej nocy powstały. Ufa wiedział jednak, że dla wielu problemów po prostu nie było rozwiązania.

Altgarten liczyło pięć tysięcy mieszkańców. Na każdego przypadało trzydzieści galonów wody dziennie. Biorąc pod uwagę piętnastogodzinny dzień, całkowite zapotrzebowanie wynosiło dziesięć tysięcy galonów na godzinę. Na potrzeby obrony przeciwpożarowej wydzielono podwójną ilość normalnego stopnia zużycia. Tak więc miasto mogło dostarczyć dwadzieścia tysięcy galonów wody na godzinę swoimi przewodami, oczywiście do czasu przecięcia ich przez bomby burzące, podczas gdy w tym samym czasie bomby zapalające spowodowały tysiące koszmarnych pożarów. Większość rur wodociągowych miasta miała średnicę 25 cm, ale wszystkie nowe, drogie domy przy Dorfstrasse i Mönchenstrasse miały łazienki i dlatego te ulice wyposażono w rury o większej średnicy, wynoszącej 35 cm. Małe według norm dla dużego miasta, ale dzisiejszej nocy rury o dużej wydajności wzdłuż Dorfstrasse i Mönchenstrasse stały się zasadniczym elementem obrony w bitwie o Altgarten.

Gdy tylko potężne, ważące po dwa tysiące funtów bomby spadły na Mönchenstrasse przy węźle drogowym Postgasse, burmistrz wydał rozkaz,

aby przede wszystkim zajmowano się rurami wodociągowymi; ofiary nalotu zeszły na dalszy plan. Pracownicy TENO przybyli w ciągu czterech minut i zdecydowali, że osiemnaście osób w piwnicy znajdowało się zbyt blisko centrum wybuchu, aby przeżyć i wobec tego natychmiast zajęli się rurami o dużych średnicach. Utrzymywali słaby dopływ aż do momentu, kiedy to bomba zrzucona na Liebfrauplatz uszkodziła złącze. Jednakże kontynuowali naprawę pracując w głębokim otworze na zmianę, każdy bowiem mógł tam wytrzymać najwyżej pięć minut. Wkopali się poniżej pękniętej rury, wsunęli pod nią podpory, podnosząc na właściwą wysokość a następnie obwiązali taśmą i zalepili. Ludzie pracowali zanurzeni w błocie, gdyż dopiero po pół godzinie udało się zamknąć główny przewód. Woda dopływała rurą podczas tej roboty, więc błoto stawało się coraz rzadsze i jedynie dzięki szybkiej akcji operatora wyciągarki zamontowanej na ciężarówce pogotowia wyciągnięto z błota Gerda Bólla, który wpadł w nie po pachy.

Była godzina pierwsza czterdzieści sześć, gdy Jurgen Lówe, goniec Hitlerjugend, przybył do ratusza. Wniósł rower po stopniach i oparł go o drzwi obłożone workami z piaskiem.

Rurociąg wodny przy Mónschenstrasse już naprawiono.

Burmistrz skinął głową.

— Heil Hitler - powiedział chłopiec.

— Heil Hitler - odparł burmistrz.

Kierownik zakładu wodociągów nie żył. Teraz, gdy główny rurociąg naprawiono, burmistrz musiał podjąć decyzję w sprawie, w której nie miał doświadczenia. Strumyk przepływał przez miasteczko w pobliżu wodociągu, a następnie skręcał, aby stać się tym, czym był kiedyś - wewnętrzną fosą starego miasta. Obecnie stanowiło to jedną z najbardziej malowniczych atrakcji Altgarten. Łabędzie przepływały majestatycznie strumykiem obok starych, drewnianych domów, a cierpliwego fotografa wynagradzał jeden z najpiękniejszych widoków w całym rejonie. Strumyk malał w lecie do rozmiarów czegoś nieco większego niż ściek, a w ostatnich kilku bezdeszczowych tygodniach można było znaleźć w nim tylko trochę wilgotnego zielska. Jeśli wierzyć ostatnim meldunkom, przynajmniej kamienny kanał pozostał nietknięty. Można by więc napełnić jego miejski odcinek. Jeśliby burmistrz rozmyślnie kazał wpompować do fosy wodę

zasilającą wodociąg, wówczas strażacy zostaliby zaopatrzeni w wodę w samym sercu starego miasta, gdzie niebezpieczeństwo pożarów było największe. Każda pompa mogłaby czerpać z odcinka strumienia najbliższego ogniu.

Spojrzał na mapę. W tylu miejscach się paliło: kościół Liebefrau, domy w pobliżu gazowni, Volksschule, Nehringstrasse, Stary Rynek i dobudówka szpitala. Większość z nich skorzystałaby na zasileniu strumienia wodą. Teraz, gdy rura przy Mönchenstrasse została naprawiona, mogli pobierać wodę z fosy na jednym końcu ulicy, przepompowywać ją rurą o dużej przepustowości i korzystać z niej na drugim końcu, gdzie był szpital.

Z drugiej strony, woda ze strumienia nie nadawała się do picia i jeśli wpompuje się ją do czystych rur zasilania miejskiego przy Mönchenstrasse, będzie musiał nakazać, aby całą wodę gotować przed użyciem przez dwadzieścia minut. To byłoby dużym obciążeniem dla szpitala, kuchni gotujących zupę i dla każdej żyjącej w Altgarten osoby. Co więcej, rurociągi trzeba by przeczyścić w następnym tygodniu i musiałby się z tego tłumaczyć.

Był to tylko jeden z problemów. Przesunął notatki na biurku. Kierownik gazowni przestał przysyłać meldunki. Gaz został wyłączony przy samym zbiorniku. Najstarsze części miasta, gdzie nadal jeszcze używano oświetlenia gazowego, pogrążyły się w ciemnościach. Tu i ówdzie w pękniętych rurach gwałtownie płonął gaz, ale wkrótce się wypali. Prawdopodobnie przez jakieś trzy dni miasto będzie pozbawione gazu.

Już cztery razy NSV telefonowało zawiadamiając, że kadzie z kartoflanką nie zostaną przygotowane z braku gazu.

- To niech zrobią zimną zupę - warknął wreszcie na nich.

Ryessman wezwał szefa elektryków Schotta, którego meldunek był krótki i jednoznaczny. Jeśli pożary przy Florastrasse nie rozprzestrzenia się w stronę elektrowni i jeśli prądnice szpitala będą pracować, wówczas będzie także działać zasilanie z sieci centralnej, to jest dla rejonów po obu stronach Dorfstrasse, od szpitala do browaru. Reszta miasta pozostanie nieoświetlona, z wyjątkiem Wald Hotel i obozu TENO, które posiadają własne prądnice.

— To przynajmniej gwarantuje zaciemnienie miasta w osiemdziesięciu procentach - dodał żartobliwie szef elektryków.

— Nie wiem, kiedy ostatni raz wyszedł pan z piwnicy - powiedział chłodno burmistrz - ale połowa miasta stoi w płomieniach. Przy świetle pożarów, nawet tak odległych jak w wypadku szopy Frau Forster, można czytać gazetę.

— Jeśli woli pan, panie burmistrzu, abym czytał gazetę przy szopie Frau Forster, to pójdę tam. Ale obecnie próbuję utrzymać zasilanie prądem tego miasta, pomimo utraty starszego mechanika i najbardziej doświadczonego brygadzysty.

- Niech pan działa, Herr Schott - powiedział ze złością Ryessman. Schott był w fatalnym nastroju, ponieważ jego głównego mechanika

i brygadzystę położono w biurze. Aby dostać się do swojego biurka z planami, musiał przejść nad nimi. Obydwaj zostali zabici podmuchem jednej z tysięcfuntowych bomb średniej mocy Jammy Gilesa. Padli do tyłu i wyładowali na sobie w otwartych drzwiach. Mając do pomocy tylko chłopca z Hitlerjugend, Schott nie mógł ich wydostać po stromych schodach piwnicy. Wciągnął więc ciała do swego biura do czasu przybycia noszowych.

W ratuszu burmistrz wodził palcem wzdłuż biegu miejskiego strumienia zaznaczonego na mapie niebieskim kolorem. Dziewczyna z Luftschutzpolizei znaczyła mapę woskowym ołówkiem w miarę napływu meldunków: południowa część ośrodka szkolenia pielęgniarek stała w ogniu, a z ośrodka dla kalek nie było już jakiś czas meldunków. Podejrzał, że połączenie telefoniczne zostało przerwane, ale miał nadzieję, że ludzie TENO poprowadzą linię zapasową. Jeśliby ogień przeskoczył na stare

budynki, wówczas zapali się zatłoczony chorymi szpital św. Antoniego. Niektórych pacjentów trudno byłoby ruszyć. Pamiętał, że szef elektryków uważał prądnicę szpitalną za kluczowy warunek utrzymania zasilania centralnej sieci. Wspomniał także, że pożar nie może zbliżyć się do elektrowni bardziej niż obecnie.

Prąd dochodził nadal do najważniejszych punktów miasta: do sali dowodzenia w ratuszu, posterunku policji, utworzonej obok tego posterunku zapasowej placówki dowodzenia TENO, Głównej Kwatery NSDAP zajmującej się dostarczaniem zupy, kartek żywnościowych, koców, pieniędzy itp dla bezdomnych. Tak długo jak działa elektryczność w centralnej sieci, będą działały telefony i będzie szansa przeżycia dla miasta.

Zwrócił się do dziewczyny:

- Wpuścić strumyk miejski do rur przy Mönchenstrasse - powiedział  
- i pompować wodę z wodociągów dla utrzymania ciśnienia.

Przy wodociągach pracowali ludzie TENO. Ufał, że dadzą radę.

Dziewczyna z Luftschutzpolizei skinęła głową. Była pewna, że tak postąpi. Z wieloma decyzjami było podobnie. Porozumiała się z ludźmi TENO, jeszcze zanim skończył mówić, a oni już zamknęli wodę w węzłach przy Mönchenstrasse i Zillerstrasse, gdzie została uszkodzona sieć zasilająca i zaczęli pompować wodę do fosy. Jeden z ludzi TENO był na posterunku w pobliżu cmentarza, aby pilnować czy przepływ nie zmienia kierunku. Byłoby to niebezpieczne, ponieważ od tego punktu ścieki wpływały do strumienia. Rowerzysta z Hitlerjugend udał się do strażaków w szpitalu z poleceniem, żeby przygotowali więcej węży. Potem powiedział ludziom w pobliżu kina, że mogą korzystać z hydrantu. Do tej pory nie używano go, aby zespół szpitalny miał odpowiednie ciśnienie.

Przez prawie minutę strumień bił wysokim ciśnieniem, sięgając przez okna trzeciego piętra głęboko w ogień ośrodka szkoleniowego pielęgniarek. Strażacy i policjanci wydali stłumiony okrzyk radości, ale szybko przeszedł on w jęk zawodu. Burmistrz nie mógł wiedzieć, że ważąca dwa tysiące funtów bomba z samolotu Tommy'ego Cartera, która wylądowała na narożniku blisko Vossa, spowoduje wstrząs wzdłuż całej Mönchenstrasse. Kocie łby utrudniały zorientowanie się, jak bardzo zwiększyła się wypukłość ulicy. Zawsze była krzywa i wyboista, ale teraz niektóre z kamieni zostały wyciśnięte z ulicy jak pestki z cytryny. Pod tymi kocimi łbami w siedmiu

miejscach puściły uszczelnienia na złączach kanalizacyjnych. Te pęknięcia powiększyła woda ze strumyka. Cenna woda Altgarten wpadała w kanały ściekowe i odpływała. Wężę zwiotczały, oklapły i w końcu zupełnie się spłaszczyły.

Gdy nowo odkryte zasilanie wodą zawiodło, a goniec strażacki biegł z powrotem z poleceniem zatrzymania pompy, chłopcy z Hitlerjugend rozlepiali ostrzeżenia tyfusowe na słupach latarni. Wszyscy obywatele winni gotować wodę z kranów i mleko przed spożyciem.

Teraz po raz pierwszy słodkawa woń świeżo zabitych wypełniła rozgrzane ulice. Niewielu mieszkańców Altgarten rozpoznało ją, niektórzy myśleli, że to nowy środek dezynfekcyjny. Żołnierze i ludzie TENO spojrzeli na siebie i przygotowali pojemniki z chlorowanym wapnem.



Altgarten, oglądane przez lotników z odległości wielu mil, przedstawiało przerażający widok. Jakaś flara zatrzeszczała głośno i pozostawiła za sobą zakrzywioną smugę białego dymu. Pomalowała jedną stronę wieży Liebefrau błyszczącą bielą i rzuciła na plac cień podobny do noża. Pięć czterofuntowych bomb zapalających Jammy'ego przebiło dach kościoła, a dwanaście innych spadło naprzeciwko, jakby okraciem, na knajpkę Frenzla; niektóre opadły nie wyrządzając szkody na drogę, a kilka zapaliło sąsiednie poddasza. Wszystkie pożary widziane z powietrza wyglądały jak wydłużone, wilgotne, czerwone plamy. Kształt nadał im kierunek przelatujących bombowców, z brzuchów których setki zapalających pałeczek wypadało, zapalało się i płonęło, aż wszystkie te pożary połączyły się w jeden. W chwili, gdy nastąpiło spięcie na linii elektrycznej, ukazał się bladofioletowy błysk.

Pomimo ognia artylerii przeciwlotniczej, Redenbacher leciał ze strumieniem oceniając jego kierunek po kształtach pożarów. Wiedział, że nie trzyma się wyznaczonej strefy Wiirzburga i że będzie to drażniło kontrolera radarowego, ale jeśli zestrzeli jakiegoś Tommiego, to nie będzie skargi. A może dwóch. Szybko, bardzo szybko. Był w strumieniu bombowców. Byli wokół niego: chmara Tommis, pełnych paliwa i materiałów wybuchowych.

Major Redenbacher skręcił lekko w prawo, aby sprowadzić swój samolot pod i za najbliższego z nich. Wstrząs i drzenie maszyny powiedziało mu, że przeszedł przez powietrze zmaczone i odrzucone do tyłu śmigłami bombowca. To Stirling. Był tak blisko, że zdecydował się zaatakować od tyłu w poziomie i nieco tylko niżej, zamiast od dołu. Tutaj, nad celem, tylni strzelcy Stirlinga wezmą go za swojego. Redenbacher sięgnął lewą ręką do tyłu i włączył celownik „Revi”. Przykręcił oświetlenie. Miał celownik, który zmodyfikował przez nalepienie pasków papieru tak, aby pierścień zakresu odległości z naniesionym nań krzyżykiem był jedynie czterema ciemnoczerwonymi „T” skierowanymi do wewnątrz. Był tak blisko, że dwa z tych „T” przecinały końcówki skrzydeł znajdującego się przed nim samolotu. Zręcznie dostosował swoją prędkość do prędkości celu i odbezpieczył działka. Nacisnął przycisk, a działka i karabiny maszynowe zaczęły stukać zawzięcie jak drogowe świdry, kreśląc smugi na czarnym niebie nocy.

Redenbacher obserwował pociski wchodzące w bombowiec z

obojętnością, przerażającą nawet jego samego. Tylna wieżyczka bombowca obróciła się, a jej część została wydarta. Poleciała ku niemu z zastraszającą szybkością, rosnąc błyskawicznie w oczach, aż wypełniła frontową szybę kabiny. Ze straszliwym grzmotnięciem, które wstrząsnęło Junkersem, uderzyła o szybę. Redenbacher nic przez nią nie widział; Prowadził samolot wiedziony instynktem lotnika. Wzniósł się stromo przez strumień bombowców. Widział różne kształty, które mogły być bombowcami, jako zamazane plamy poprzez ciemną, kapiącą mgłę, ograniczającą jego widoczność z przodu.

- Och, mój Boże! - westchnął.

Nastąpiło kilka uderzeń, maszyna zadrżała. Wskazówka temperatury silnika podpełzła ku znakowi oznaczającemu zagrożenie. Na tym właśnie polegał kłopot z chłodzonymi powietrzem silnikami BMW.

W Stirlingu, porucznik Ian Munro odbywający czwartą operację, pociągnął dźwignię wyrzutnika bomb. Lewy zewnętrzny silnik wibrował, a przy tym czuło się, jakby lotka została rozerwana. Spokojnie odciągnął do tyłu manetkę skoku śmigła, zamknął przepustnicę i nacisnął przycisk przestawienia śmigła w chorągiewkę. Pęknięte łopaty obróciły się tak, że ich krawędzie skierowały się ku strumieniowi powietrza, zmniejszając w ten sposób swoją prędkość obrotową. Śmigło stanęło. Jeśli wróca, silnik będzie do uratowania. Wywołał załogę. Nie było odpowiedzi od tylnego strzelca.

— Skiper do tylnego strzelca. Powtarzam. Czy wszystko O.K.?

— Tu Monty, panie poruczniku. Jestem teraz z tyłu, przy tylnej wieżyczce. Obróciła się i jest pusta.

— Myślisz, że Chris wypadł?

— Przypuszczam, że wyskoczył, panie poruczniku.

— To źle. Myślę, że dzisiejszej nocy był nieco zdenerwowany. Czy możesz wejść do wieżyczki?

— Obawiam się, że nie, panie poruczniku. Całkiem się odwróciła, a tylne drzwi są otwarte i zwisają. Mogę do niej zajrzeć, ale nie mogę jej obrócić.

— Zostaw ją, Monty. Teraz chłopcy trzeba trzymać kciuki!

Niedaleko od nich Lancaster kapitana Sweeta zaczynał podchodzić do celu.

- W lewo, w lewo, spokojnie, spokojnie.

Sweet wsunął głowę w przezroczystą kopułę obserwacyjną pozwalającą widzieć ziemię.

— Nie chcę tam, bombardierze. Chcę je wyrzucić na ciemną plamę po zachodniej stronie. Wstrząśnijmy ich strażakami.

— Tak jest, panie kapitanie - odparł bombardier w pośpiechu. - Sądzę, że jeszcze mogę to zrobić. Dobrze?

— Nic z tego. Nadlecimy jeszcze raz. Przelecieliśmy taką drogę, zrobmy więc to tak, jak nas uczono, co?

Sweet położył samolot w głęboki skręt.

- I nie biadolcie, chłopcy. Biadolenie źle na mnie wpływa. Wyko najmy dobrze robotę, a potem możemy polecieć do domu i nie wracać tu już więcej.

Sweet obserwował uważnie Lancastera lecącego przed nim, gdy zawracał, aby wykonać ponownie okrążenie. Światła pożarów i bomby błyskowe pod nimi pozwalały zobaczyć zupełnie wyraźnie inne bombowce, które drżały jak w starym, niemym filmie.

Pip Speke, bombardier Sweeta, obserwował z zazdrością rury wydechowe bombowców odlatujących już do domu. Sweet kontynuował płaski skręt nad polami na południe od pożarów. Było tu spokojnie i ciemno, ale kilka mil dalej widział pożary i szeregi bomb błyskających jedna po drugiej, w krótkich, prostych liniach, sprawiając wrażenie wielkiego fajerwerku. Światło rzucało cień głowy Pipa na wewnętrzny szkielet samolotu. Obserwował niespokojnie eksplozje i pożary, które ukazały się teraz z przodu i zaczęły pełznąć ku niemu jak lawa. Nikt z pozostałych członków załogi nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo narażony był człowiek leżący jak długi i obserwujący, jak ogień dział zbliża się do jego brzucha. Speke przesunął swój spadochron tak, aby zakrył mu genitalia. Wiedział, że to głupie, ale zawsze tak czynił.

— Teraz wiesz, które miejsce mam na myśli? - zapytał go Sweet.

— Tak, panie kapitanie. Tę ciemną plamę na zachodzie.

— Właśnie. Czy przełączniki zapalników włączone? Seria wybrana?

Nadlatujemy tym razem od zachodu.

— Tak, panie kapitanie.

- Bardzo dobrze, bombardierze. Postaraj się to zrobić dobrze.

Zwolnione elektropneumatycznymi zaworami sprężone powietrze wydało dźwięk podobny do głośnego wdechu, po czym rozległ się lekki zgrzyt, gdy trzony zamkowe trzech działek Oerlikon i trzech karabinów maszynowych MG17 cofnęły się i naciągnęły iglice.

Ustawił przełącznik na „Wszystkie działka”. Na tablicy zamrugały czerwone światełka.

- Kotły - powiedział Himmel. - Na wprost przed nim znajdował się bombowiec.

Walenie pocisków z działek przerwało konwersację Sweeta. Himmel

wystawił go sobie pięknie. Przestrzeń patrolowa jego Wiirzburga sięgała aż do Altgarten, a bystry kontroler, widząc na ekranie radaru punkcik przedstawiający samolot Sweeta, domyślił się, że zamierza on wykonać jeszcze jedno podejście do bombardowania.

Tylny strzelec Sweeta wystrzelił tylko sto czterdzieści sześć pocisków z karabinów maszynowych, zanim ustało zasilanie wieżyczki prądem. Tego prądu dostarczał uszkodzony obecnie silnik. Strzelec zaczął obracać ją powoli, używając ręcznego urządzenia. Usiłował dojrzeć Junkersa poprzez jaskrawy blask lecących ku niemu pocisków zapalających. Pleksiglas wieżyczki został strzaskany na ostre, kanciaste kawałki, a z luf karabinowych poleciały iskry. Tylny strzelec zginął pierwszy.

Pociski zapalające Himmla trafiły także lewy zewnętrzny silnik „S jak Sweet”, którego ciecz chłodząca wybuchła płomieniem z głośnym spazmem. Sweet przerzucił manetkę gazu w przód, a potem całkowicie w tył.

— Zamknąć główny zawór czopowy lewego zewnętrznego! - zawołał do Murphy'ego.

— Wyłączony - odparł Murphy.

Sweet pchnął kolumnę sterową do przodu, aby utrzymać szybkość względem powietrza, ale nie było reakcji. Nacisnął przycisk ustawienia śmigła w chorągiewkę i zamknął chłodnicę. Czekali, aż śmigło przestanie się obracać. Pożar nie dawał dostatecznego oświetlenia, aby zobaczyć je wyraźnie.

Sweet walczył ze sterami. Lotki zostały mocno postrzępione, co spowodowało przechylenie się Lancastera o 15 stopni od poziomu, a pogięte stery kierunkowe ściągały samolot w lewo. Cały czas trwało straszne drganie, grożące samolotowi rozerwaniem na kawałki. Przystawiając manetki Sweet przekonał się, że drganie zmniejsza się przy zmniejszaniu obrotów prawego zewnętrznego.

— Zamknąć główny zawór czopowy paliwa dla prawego zewnętrznego! - rozkazał.

— Prawy zewnętrzny wyłączony - powiedział Murphy. Drganie zmniejszyło się, ale tylko nieznacznie.

— Śmigło nie zatrzyma się, a ja nie mogę utrzymać samolotu w locie poziomym.

— Mamy wyciek paliwa z lewych zbiorników. To zakłóca wyważenie samolotu - powiedział Murphy. - Złamana łopata śmigła powoduje drgania.

Obaj mężczyźni bacznie obserwowali płonącą maszynę. Ogień szalał w idealnie prostej linii wzdłuż skrzydła w pobliżu krawędzi spływu, a kończył na wątlej, poszarpanej krawędzi daleko z tyłu. Dotąd paliła się tylko benzyna, ciekąca z popękane go zbiornika paliwa. Sweet nacisnął przycisk dla uruchomienia gaśnic Gravinera, ale to nic nie dało.

Pochylił się w przód napierając na kolumnę sterową i nos samolotu stopniowo opadł.

- Niech pan nie nurkuje, skiper - poradził Murphy, ale Sweet słyszał zbyt wielu pilotów chwalcących się, że stłumili pożar silnika nurkując, aby dać sobie to wyperswadować. Niestety, równie wielu przekonało się, że zwiększona prędkość tylko rozdmuchuje płomienie, a czasem zapala się nawet metal. Ale ci piloci nie wrócili do kasyna, aby o tym opowiedzieć.

Micky Murphy patrzył przerażony na gorejący silnik. Widział już, jak pali się stop, więc teraz czekał na białe, intensywne, rażące światło, które to zwiastowało. Końcem buta przyciągnął bliżej spadochron. Strumień powietrza przyśpieszony nurkowaniem rozprzestrzenił ogień od rur wydechowych do górnej powierzchni skrzydła, migając ku kabinnie wachlarzowatym końcem.

To było „strome nurkowanie”, wskazówka prędkości lotu skoczyła nagle na trzysta dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Sweet skręcił do zera regulację klap steru wysokości i pociągnął za kolumnę sterową, ale udało mu się ruszyć ją dopiero, jak Murphy naparł na nią całym ciężarem swego ciała. Samolot stopniowo wyrównał lot, a potem wzniósł się nieco. Wskazówka prędkości opadła jak pijana do tyłu, do niebezpiecznych stu mil na godzinę, a następnie trzepotała się między osiemdziesiąt a sto dwadzieścia.

— Nie ufałbym wskazywanej prędkości. Rurka Pitota prawdopodobnie zgięła się albo może jej ogrzewanie nie działa i zamarła.

— Ogrzewanie nie działa - zamruczał Sweet. - Śmiechu warte.

Silniki powodowały taki hałas, że gdy mieli wolną rękę, obaj przyciskali słuchawki do uszu, aby móc rozmawiać. Wysokościomierz wskazywał utratę dwóch tysięcy stóp, ale Murphy nie wierzył już żadnemu przyrządowi. Spód skrzętomierza i przechyłomierza utkwiał nieruchomo z jednej strony.

Sweet sprowadził samolot do lotu po prostej i w poziomie, ale przy mniejszej szybkości drganie wzrastało. Maska silnika żarzyła się ciemną czerwieńią. Spoina ze stopu na zacisku puściła i maska zaczęła podskakiwać gwałtownie w powietrzu odrzucanym przez śmigło do tyłu. Każdy taki podskok dawał im szansę rzucenia okiem na jasnożółty piec wewnątrz. Szpara tworzyła szybki kanał powietrzny rozdmuchujący płomień na jaśniejszy kolor do chwili, kiedy puściła druga spoina zacisku. Przez straszny moment cała maska zatrzepotała nad palącym się silnikiem, jak jasnoczerwone skrzydła drapieżnego ptaka. Wygięła się do tyłu, trzasnęła trzykrotnie o krawędź skrzydła, odłamała się, uniosła i uderzyła mocno w dół o górną powierzchnię skrzydła a potem, uniesiona siłą przepływającego powietrza, przeleciała nad ogonem łagodnie trzepocąc.

- Jezu! Odpadł kawał skrzydła! Właśnie przeleciał koło mnie jak wampir! - zawołał radiotelegrafista.

- Uspokójcie się - nakazał Sweet. - Dam sobie radę. A do Murphy'ego powiedział spokojnie:

- Sprawdzenie masek silnika należy do was, mechaniku. Sprawdziliście tę maskę przed startem?

Murphy spojrział na niego. W kabinie było dużo jasnożółtego światła, dobrze widział błyszczącą od potu twarz walczącego ze sterami Sweeta.

- Była w doskonałym stanie, panie kapitanie - odparł - a zewnętrzny silnik nie palił się.

- Nie chcę słuchać żadnych sarkastycznych uwag - powiedział Sweet. Teraz, gdy maska odleciała, płomienie zmniejszyły się nieco, ale z drugiej strony jej brak spowodował hamowanie lotu i zakłócenie strumienia powietrza, który trząsał i rzucał Lancasterem. Sweet trzymał obie stopy po jednej stronie orczyka, próbując zapobiec odchyłaniu się samolotu na bok.

Nastąpił ostry trzask, jęk i doleciał zapach spalonego prochu. Znów jakiś pocisk rozerwał się w pobliżu. Przyciągali teraz ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej.



— Płomień na krawędzi spływu wygląda paskudnie, panie kapitanie.

Może spowodować eksplozję zbiorników.

— Naukowo niemożliwe, mechaniku - odparł Sweet uśmiechając się.

- Nawet w pustym zbiorniku mieszanka paliwa i powietrza jest za bogata, aby zapalić się i wybuchnąć.

- Widziałem już, jak to się zdarzało - upierał się Murphy.

Sweet spojrzał do tyłu przez ramię, a następnie potrząsnął głową, aby uspokoić Murphy'ego. Panował teraz nad maszyną i choć płomień nadal buchały, w miarę kontrolował sytuację.

- Murphy - dodał Sweet - usuniecie nazwisko z waszej hauby. Moja załoga nie kradnie sobie wyposażenia.

Murphy zawołał do tylnego strzelca, pytając czy nocny myśliwiec jeszcze tam jest:

— Widzisz go?

— David nie żyje - odpowiedział Kanadyjczyk, górny strzelec.

— Kit, widzisz go z twojej wieżyczki?

— Pożar jest tak jasny, że widzę dobrze ogon, ale, cholera, nic poza tym. Oślepia mnie. Ale jak, na Chrystusa, mógł nas nie trafić, Micky? Płoniemy jak ognisko. Oba stery są postrzelane, a lewy odchyła się na boki.

— Będziemy bombardować - oznajmił Sweet. - Drzwi bombowe otwarte.

— Ty szaleńcze - odezwał się Kit Pepper, strzelec środkowej górnej wieżyczki. - Jeszcze nie wyrzuciłeś tych przeklętych jaj?

— Bomby poszły - powiedział Speke.

Samolot nagle zakołysał się, jakby na potwierdzenie jego słów.

— Ty głupi ośle! - zawołał Sweet. - Kto ci je kazał wyrzucić?!

Murphy obserwował, jak przestawiona łopata śmigła zatrzymuje się.

— Zapłon lewego zewnętrznego wyłączony, panie kapitanie.

— Ten lot nie zostanie zaliczony na poczet waszej tury - zapowiedział Sweet.

- Wyrzucenie jest równoznaczne z nieudaną operacją.

— Kto powiedział, że wyrzuciliśmy? - zapytał Kit Pepper.

— Mierzyłem w cel - dodał uprzejmie bombardier.

— Kłamiesz - stwierdził Sweet. - Jesteśmy o mile od celu. Nie było odpowiedzi.

— To był sabotaż i oskarżę was o to, jak wrócimy.

— Jeśli, do cholery, w ogóle wrócimy - rzucił Speke. - Nie będę miał pretensji.

— Drzwi bombowe zamknięte - powiedział Sweet. - Nawigatorze, podaj kurs do Warley. Ponieważ wszyscy tak się boicie wykonać jak należy wasze zadanie, możemy wracać do domu.

— Kurs 283, panie kapitanie - powiedział Bill Pace, spokojny eks-architekt, który był ich nawigatorem.

- Kompas nie działa, panie kapitanie - odezwał się Micky Murphy.

Sweet zauważył to dopiero teraz.

— Wobec tego będę prowadził według gwiazd. Nachylił się, aby lepiej zobaczyć bombardiera.

— Co ty tam wyprawiasz, bombardierze?

— Wysiadam, psiakrew - odparł Speke, walcząc z przednim wyjściem bezpieczeństwa. - Mogą dać, psiakość, Victoria Cross pilotom lecącym dalej w płonących Lancasterach, ale nie bombardierom.

— Staniesz przed sądem wojennym.

— A pan zginie - odrzekł Speke.

Murphy obserwował go. Trafione Lancastery miały złą reputację u ratujących się załóg: tylko jedenaście procent przeżyło w porównaniu z dwudziestoma dziewięcioma procentami ratujących się załóg Halifaxów. Pip Speke otworzył wreszcie wyjście i jakby obawiając się, że Sweet mógłby puścić stery i chwycić go, zanurkował przez luk głową naprzód. Nastąpiło uderzenie, ponieważ wyrznął nogami o krawędź wyjścia i jeden z butów lotniczych pozostał w nosie samolotu. Pęd powietrza wpadającego przez wyjście wstrząsnął Sweetem.

W tylnej części Lancastera, radiooperator i górny strzelec Kit Pepper, nie mogli otworzyć drzwi wejściowych. Walczyli dzielnie, aby wyrzucić flary i naboje sygnalizacyjne przez zsyp bomb oświetlających. Jeden z pocisków działka Himmla wygiął zamek drzwi, ale walili w nie toporkiem strażackim i w końcu kopnięciami zdołali je nieco uchylić. Uderzenia toporka wprawiły w drganie kadłub samolotu. Sweet wyczuł ciężar obu mężczyzn przesuniętych ku ogonowi i dla kompensacji pokręcił urządzeniem wyważającym. Domyślił się, co mogli zrobić.

— Nikomu nie wolno opuścić samolotu. Rozkaz! Nie dbam o to, że przed sądem wojennym będę musiał postawić was wszystkich.

— O.K. skiper - odparł Kit Pepper, ale nie przerwał swoich wysiłków zmierzających do otwarcia drzwi kadłuba. Kit dał znak radiooperatorowi, że spróbuje się przecisnąć przez uchylone drzwi. Chłopiec skinął aprobująco. Samolot kołysał się pod jego stopami, tak że musiał się chwycić pobliskiej wieżyczki dla utrzymania równowagi, podczas gdy starannie przypinał spadochron do pasów na piersiach.

— Uda nam się, chłopcy - powiedział Sweet. Gdy to mówił, ukazały się iskry z prawego zewnętrznego silnika. - Trzymam kurs 283.

— Kompas jest zepsuty - zawołał Murphy. - Latamy w kółko. To cel

ukazuje się z prawej strony. Stery są zwichrowane. Nigdy nie doprowadzimy samolotu do domu. Pali się jak diabli. Czy pan tego nie widzi?

Znajdowali się teraz niżej i pożary w Altgarten wydawały się gwałtowniejsze i większe. Większość miała kolor cytrynowy lub różowy, ale tam, gdzie ogień wydostał się spod kontroli, były także głęboko czerwone.

Himmel nadleciał do drugiego ataku. Wybuchy pocisków z działek rozbrzmiewały echem wewnątrz metalowego kadłuba Lancastera jak piłka do krykieta w puszcze na biszkopty. Trzy okna Sweeta ozdobiły gwiazdki pęknięć, a pożar silnika widać było przez nie tylko jako różową łunę. Blisko stóp Murphy'ego powstały trzy czarne krążki, podobne do pogiętych płyt gramofonowych. Zastanawiając się, co to jest, Murphy zobaczył, jak wiązka światła reflektora przechodzi kolejno przez każdy z nich i zdał sobie sprawę, że są to dziury wybite przez pociski w metalowym boku samolotu.

Pociski nadal eksplodowały. Murphy usłyszał czyjś krzyk i świst przelatujących kawałków metalu. Z prawej strony, wysoko i lekko z tyłu zobaczył Lancastera lecącego prosto i poziomo. Płonący lewy silnik zewnętrzny „S jak Sweet” oświetlał w nienaturalny sposób ten drugi bombowiec od spodu, tak że wyglądał jak model używany w filmie. Murphy pomyślał, że leci zbyt spokojnie i zbyt równo, aby był prawdziwy. Płomienie świeciły na łopatach jego śmigieł jak cztery srebrne tarcze i Murphy mógł dojrzeć małą białą plamkę, jaką był nos i oczy pilota. Wiedział, że mówi: „To oni właśnie giną, a nie my. Dzięki Ci szczerze o Matko Boska”.

Murphy postukał we wskaźniki oleju: osiemdziesiąt dziewięć stopni, nie tak źle, a ciśnienie siedemdziesiąt funtów na cal było normalne. Odczyty temperatury i ciśnienia dla obracającego się „młynkiem” śmigła prawego zewnętrznego silnika były także prawie normalne, ale to był tylko chwilowy kaprys samolotu. Oczekiwał, że zatrą się bardzo szybko i że będzie to jeszcze większa próba dla zarówno fizycznych, jak i umysłowych zdolności Sweeta. Bęc, bęc. Otrzymywali coraz więcej trafień i czuł, jak każde z nich wstrząsa metalową podłogą. Zdecydował, że sprawa jest beznadziejna, ale jak zawsze, kamieniał z przerażenia na myśl o skoku ze spadochronem i to uczucie nie opuściło go nawet teraz.

Piloci myśliwscy albo dokonują zestrzelenia wkrótce po przydzieleniu do dywizjonu (jak Himmel, który strącił polski bombowiec w pobliżu Łodzi), a następnie zaliczają zestrzelenia jedno po drugim, albo

nigdy nawet nie uszkodzą farby na nieprzyjacielskim samolocie, bez względu na to jak często idą w bój. Dla tego drugiego rodzaju lotników, samo przeżycie pięćdziesięciu lotów bojowych było znacznym osiągnięciem.

Tych najlepszych łatwo się rozpoznawało: byli czujni i odznaczali się nadzwyczaj szybkim refleksem. Doskonale strzelali, mierzyli dokładnie i trafiali pod kątem umiając ocenić prędkość samolotu nieprzyjaciela i przewidując jego kurs. Dobry fachowiec potrafi swoim samolotem podejść blisko wroga i wstrząsać swą platformą z działami aż do jego zestrzelenia. Wystarczały trzy sekundy.

Himmel był takim fachowcem, podczas gdy tacy piloci jak Beer nigdy nim nie będą. Prowadził wprawdzie samochód wyścigowy, co wymaga śmiałości, ale nie takiej orientacji. Beer skrapiał całe niebo pociskami jak wodą z węża, w czasie gdy jego samolot zbaczał z kursu i zarzucał. Zanim skorygował lot, nieprzyjaciel znajdował się już w następnym wymijającym manewrze. Gdyby Tommi leciał prosto i poziomo przed nim, wówczas Beer może by i go zestrzelił, z tym, że prawdopodobnie nie potrafiłby podejść samolotem wystarczająco blisko, aby więcej niż dziesięć procent pocisków znalazło się w celu. Na nieszczęście dla Sweeta i Murphy'ego to nie Beer ich atakował, lecz Himmel.

Obserwował rosnącego w celowniku Lancastera, gdy zbliżał się do niego wolno jak pociąg towarowy. Jakby szukając swej zguby, skrzydła celu oparły się swymi końcówkami o pierścienie celownika.

Bęc, bęc, bęc. Podczas czterosekundowej serii strzałów, czterdzieści osiem funtów stali i materiału wybuchowego wyleciało z działek Himmla i wiele trafiło „S jak Sugar”.

Obaj lotnicy operujący lewarem przy drzwiach wyjściowych, zobaczyli Junkersa Himmla zbliżającego się do nich od tyłu, z prawej do trzeciego ataku. Kit włączył mikrofon, aby ostrzec Sweeta, ale wszystko co zdołał wykrztusić to początek krzyku. Pocisk trafił go w brzuch i oddzielił jego tułów od nóg. Rozpylił go w kurzawę czerwonej piany, która pokryła wnętrze kadłuba aż do tylnego dźwigaru. Stojący obok niego radiooperator odzyskał na krótko świadomość, unoszony w powietrzu pod czaszą spadochronu. Czuł zimno, był senny i nieco oszołomiony. Uszkodzona tętnica udowa powodowała upływ krwi z taką szybkością, z jaką jego serce tłoczyło ją w powietrze nocy. Zmarł cztery tysiące stóp nad Altgarten.

Samolot zachwiał się w agonii. Aż do tej chwili nawigator Billy Pace nie bał się, ale przeżywszy trzeci atak Himmla poczuł silną potrzebę zapewnienia sobie solidnej jak ziemia, dobrej podstawy pod nogami. „Sugar” przechylił się i opadł pięćdziesiąt przerażających stóp zanim odzyskał stabilność wśród jęku nadwyręzonego metalu. Tylna część kadłuba była skręcona strumieniem powietrza opływającym mocno zwichrowany ster kierunkowy; każde machnięcie obluźowywało kołki nitowe. Powietrze, wciskające się przez rozdarte, metalowe krawędzie mnóstwa dziur w kadłubie, wydawało głośny i stały gwizd podobny do dźwięku fletu.

Billy Pace usiłował wydostać się przez wyjście awaryjne w górnej części kadłuba, nad głównym dźwigarem. Zamocował spadochron do metalowych zacisków pasów na piersiach, ale nie mógł precyzyjnie się na zewnątrz przez mały otwór. Najpierw więc wsunął plecy z powrotem do samolotu i odpiął spadochron. Następnie wspiął się przez otwór w stropie trzymając spadochron w ręce. Strumień powietrza walnął go jak młotem. Uderzył z ogromną siłą w twarz i piersi z szybkością dwustu trzydziestu mil na godzinę i przyparł jego nogi do krawędzi wyjścia. Cał po cał wciągała go obezwładniająca siła. Miażdżyła jego ciało i przeszkadzała w oddychaniu. Nagle, strumień powietrza pokonał siłę jego ramion i wykręcając nogi rzucił górną część ciała o kadłub samolotu. Na końcu wyszarpnął go na zewnątrz.

Pożar lewego zewnętrznego silnika pozwolił mu widzieć jak w dzień. Chciał chwycić za jakiś uchwyt, ale go nie było. Strumień odrzucanego przez

śmigło powietrza przesunął go wzdłuż szorstkiej powierzchni jak w grze „shoveha penny”. Uderzył mocno w górną wieżyczkę i poobijał paskudnie oba kolana, zanim wypadł przez górną część kadłuba ze spadochronem w dłoni. Poza nim była tylko przestrzeń, w którą poleciał. Opadał koziolkując i widząc nad sobą samolot, a potem księżyc. Kółko ogonowe minęło jego twarz o jard, a ponieważ przez moment jego szybkość równała się szybkości samolotu, kółko to zdawało się przesuwać bardzo wolno. Zdawał sobie sprawę, że jego spadochron będzie bezużyteczny, jeśli nie zamocuje go do metalowych zacisków, więc płakał z desperackiej wściekłości, gdy szukał po omacku metalowych klamer. Opadł cztery i pół tysiąca stóp zanim zorientował się, że przecież może popatrzeć w dół na dłonie i zobaczyć, co robi. Wtedy też zdołał przyczepić bez trudu jeden hak, ale nie dał rady zamocować drugiego. Nie odważył się spojrzeć w dół ku ziemi, ale kątem oka zauważył światła reflektorów i pożary Altgarten krążące powoli wkoło jego stóp i powiększające się z każdą sekundą. Postanowił utrzymać spadochron na ciele jedną ręką i pociągnąć linkę wyzwalającą, polegając na jednym zacisku. Kiedy to uczynił, nastąpiło szarpnięcie, które wykręciło go w bok zawieszony na jednym pasku. Czasza otwarła się z plaśnięciem powietrza i Billy Pace, cały i bez uszczerbku, dryfował łagodnie wciągany w ciepłe jak zefir wiatry Altgarten.

Teraz tylko Sweet i Murphy pozostali żywi w samolocie. Po wyskoczeniu bombardiera, huraganowy wiatr wpadł przez otwarte drzwi do kabiny.

- Skacz! - rozkazał Sweet. - Zabieraj się Murphy. Wiem, że tylko czekasz na te słowa.

Micky Murphy przytaknął, a Sweet dodał:

- Użyj przedniego wyjścia. Czekaj na mój rozkaz.

Murphy zabrał butlę z tlenem i przesunął do przodu. Uchwycił spód tablicy przyrządów i wsunął się pod nią. Musiał użyć całej siły, aby iść pod pęd powietrza wiejący ku niemu z szybkością dwustu mil na godzinę. Przedostał się na stopień, a następnie stanął w rozkroku nad otwartym lukiem. Zobaczył przezeń pożary i światła reflektorów. Podłączył się do telefonu pokładowego i powiedział:

- Jestem gotowy do skoku, panie kapitanie. Sweet coś zamruczał.

Samolot kołysał się gwałtownie, ponieważ kabel lotki z prawej strony

urwał się i owinał wkoło jej zawiasu, blokując ją w plątaniu postrzępionego drutu. Samolot kołysał się ciągle, aż prawe skrzydło przechyliło pod kątem 40 stopni. Niepewny, czy ma skakać i pozbawiony swego telefonu pokładowego, Murphy schylił nisko głowę i zobaczył Sweeta z plecami opartymi o bok kadłuba, zaczerwienionego i wytężającego wszystkie siły przy kolumnie sterowej. Dopiero gdy zrezygnował z walki, skręcony drut wyważenia samolotu odpadł z uwolnionej lotki, aby ulecieć w strumieniu odrzucanego przez śmigło powietrza. Stery znowu były wolne. Świadomy faktu, że jakiś cud ocalił samolot od stoczenia się aż do ziemi, Sweet skorygował nachylenie. Lancaster nieskończenie wolno powrócił do lotu po prostej i w poziomie.

Murphy włączył wtyczkę swego telefonu pokładowego do gniazda na stanowisku bombardiera i zapytał:

- A pan będzie skakał, panie kapitanie?
- Zabrałem go w powietrze to i sprowadzę na dół.
- Chyba nie do Warley?
- Gdziekolwiek na ląd.
- Nie zrobi pan tego sam. Sweet znowu coś wymamrotał:
- Sądzę, że mógłbyś się przydać.



Murphy bał się wyskoczyć przez luk. Pałący się samolot był dla niego jak dom.

— Lepszy wróbel w garści, pan wie... - powiedział, odwrócił się, aby wejść na stopień, ale strumień powietrza wrzucił go z powrotem na stanowisko mechanika. Zacisnął swoją potężną dłoń na metalowym dźwigarze.

— Niech pan użyje ręcznego wyważenia.

— Właśnie miałem to zrobić - powiedział Sweet.

— I niech pan podniesie obroty. Nie próbujmy oszczędzać paliwa.

— Czy zdetonować tajne urządzenie?

— Już to zrobiłem - odrzekł Murphy.

— Co mam teraz zrobić?

— Czy pamięta pan, jaki był wiatr?

— Nie, przykro mi. To ten przekłety nawigator. Wyskoczył, jak sędzę. Zawsze był do niczego.

— Mniejsza z nim, tylko nas dwóch zostało.

— A co z tym nocnym myśliwcem? - zapytał nerwowo Sweet.

— Zupełnie o nim zapomniałem - odpowiedział poważnie Murphy. - Tak, istotnie, jest nas trzech.

Himmel był bardzo blisko, obserwując płonący samolot z przerażeniem i fascynacją.

— Biedni faceci - powiedział obserwator. Było oczywiste, że załoga walczy o utrzymanie się w powietrzu.

— Oni palą nasze miasta i grzebią żywcem naszych ludzi - odrzekł Himmel. Ustawiał się, by wykonać „coup de grace”. Podeszedł kilka stopni w prawo, gdzie oślepił go pożar silnika. Pocisk niemieckiej artylerii przeciwlotniczej rozerwał się w pobliżu końcówki prawego skrzydła Lancastera i zatrzęsło obydwojoma samolotami.

— Artyleria przeciwlotnicza będzie prawdopodobnie rościć sobie do niego prawo - powiedział obserwator.

— Oni roszczą sobie prawo do wszystkiego - odparł Himmel. Jeszcze nie otworzył ognia do porażonego bombowca. Przymknął gaz i nagle z rur wydechowych jego samolotu ukazały się jasnoniebieskie i żółte płomienie.

Zanim Himmel spojrzał na zegar, zorientował się, że obroty spadają. Może było to drganie drążka sterowego lub lekka modulacja dźwięku silnika

na skutek zaoliwienia świec? Tylko prawy silnik: ciśnienie ładowania a także ciśnienie oleju. Zawór był źle osadzony i znowu w kolektorze wylotowym spalin zapaliła się mieszanka tryskając płomieniem. Przeklęty silnik. Gdyby Kugel wymienił go zamiast próbować zaoszczędzić pieniądze Luftwaffe, zbywając go nowym kompletem pierścieni tłokowych, następny Tommi zostałby zestrzelony.

- Zaciśnijcie pasy - rozkazał Himmel. - To pianino z piątego piętra.

Aby nie wzbudzać popłochu wśród swojej załogi użył gwarowego określenia na przymusowe lądowanie. Nikt nie odpowiedział, ale dostrzegł, jak obserwator dotknął spadochronu, jakby nie polegał na swoim wzroku. Silnik przerwie w każdej chwili. A jeśli przerwie to układ anten radarowych nada samolotowi aerodynamiczną doskonałość nieforemnej cegły. Pochylił nos samolotu stromo w dół, ponieważ potrzebował każdej dodatkowej prędkości, jeśli miał ich sprowadzić na ziemię w całości. Wskazówka wariometru opadła. Ponad nimi palący się Tommi wyrównał samolot i znowu leciał poziomo.

- Butterbrot z „Katze Cztery”. Butterbrot z „Katze Cztery”. SOS. Defekt silnika. Współrzędne...

— Ludwik Nordpol Sześć - podał pośpiesznie operator radarowy Himmla.

— Ludwig Nordpol Sześć - powiedział Himmel.

— Nakazuję kurs 180 - nadeszła odpowiedź.

Himmel kierował się już w tę stronę. Wiedział, że zechcą go odciągnąć jak najdalej od trasy przelotu nieprzyjaciela. Niespokojnie obserwował płyty chmur. Z lewej strony obszar Ruhry pokrywała zwykła warstwa smogu, choć tu i ówdzie widział ciemnoczerwoną plamę pieca hutniczego. Skierował się ku płaskiej, otwartej okolicy.

Oficer łącznikowy w Deelen patrzył na mapę używaną w przypadkach grożącego samolotom niebezpieczeństwa. Lotniska z aparaturą do „ślepego” lądowania różniły się na niej od lotnisk używanych w nagłej potrzebie. Oznaczono też na niej wszystkie wzniesienia terenowe, przeszkody i linie wysokiego napięcia, które mogłyby okazać się niebezpieczne dla uszkodzonego samolotu. Szybko wybrał lotnisko. Odpowiednie reflektory, nad którymi Himmel przelatywał, pochylały swoje światła prawie płasko wzdłuż powierzchni ziemi. Z piętnastu tysięcy stóp

wyglądały jak szare drogi a wszystkie wskazywały kierunek lotniska.

— Widzę je - powiedział Himmel.

— Informuję, że jest także tarcza i rzodkiewki - obiecał oficer łącznikowy.

— Dobrze - odpowiedział obserwator.

— Widzimy lotnisko - oznajmił Himmel. Prawy silnik zakaszłał dwukrotnie i przerwał. Himmel przestawił śmigło w chorągiewkę i wyłączył silnik. Na wprost przed nimi wiązka światła reflektora zatrzymała się na płacie chmury. To była ta obiecana tarcza, a potem pokazały się rzodkiewki: białe i czerwone rakiety wybuchające nad lotniskiem, gdzie czekały karetki pogotowia i mechanicy, wozy z paliwem i wozy z amunicją.

— Czy mam wystrzelić czerwoną rakietę? - zapytał obserwator.

— Dlaczego nie? - odparł Himmel. - Przyczynimy się czymś do tego przyjęcia.

Dostroił aparat do częstotliwości „ślepego” lądowania i usłyszał wysoki, pojedynczy ton. Byli dokładnie na kursie. Himmel już miał opuścić klapy, gdy wiedziony impulsem przywrócił kąt nastawienia łopat śmigła i włączył zapłon. Strumień powietrza zakręcił łopatami, a silnik zaskoczył, ożył.

- Ty łajdaku! - wyzwiał go Himmel. Nikt z załogi nie odezwał się słowem. Już prawie czuli smak, czekającej na nich gorącej kawy. Ściągnął drążek sterowy na siebie i skierował się ku bombardowanemu miastu, aby odszukać samolot Sweeta.

Kiedy zasilanie wodą ustało, Bodo Reuter - oficer TENO - wziął rower chłopca z Hitlerjugend i popedałował wśród bomb i szrapneli do ratusza, aby zameldować o tym burmistrzowi. Wszedł szybko przez obłożone workami z piaskiem wejście, przeciskając się obok szefa policji. Czekał z niecierpliwością, aż goniec z restauracji Frenzla ukończy swój raport. Bomba, jaka tam spadła, zabiła dwadzieścia pięć osób, w tym ośmiu gości burmistrza, pijących w barze ostatnią kolejkę. Parter knajpy zamieniono w zapasową kostnicę.

— Następny - powiedział burmistrz zwracając otepiały wzrok na Bodo Reutera. Wyglądał tak, jakby nie słyszał raportu, pomyślał Bodo, i może rzeczywiście tak było. Może zaczeka do jutra, zanim pogodzi się z otrzymanymi nowinami.

— Dlaczego pan nie telefonował?

— Telefony nie działają, panie burmistrzu. Zachodnia połowa sieci energetycznej nie działa. Mógłbym zatelefonować z Kwatery Głównej NSDAP, ale do nich jest prawie tak samo daleko jak do was.

— Zachodnia strona? - zapytał burmistrz. Spojrzał na swoją telefonistkę, która przytaknęła. W części miasta, blisko Starego Rynku, zasilanie energią odbywało się przewodami napowietrznymi, od budynku do budynku. Niektóre z położonych tam ulic były pełne poplątanego, pozrywanego drutu, który przeszkadzał pieszym, blokował ruch i ranił rowerzystów.

— Niech pan melduje - polecił burmistrz.

— Strumyk miejski płynie, jak zakładano. Pęknięta rura przy Monchenstrasse została naprawiona, ale właściwie woda z niej nie płynie.

— Dlaczego?

— Na Monchenstrasse spadło kilka bomb. Już pierwsza z nich zrobiła na ulicy krater i uszkodziła rury; inne strzaskały złącza. Wzdłuż całej ulicy powstał z tuzin nieszczelności i trzeba będzie wielu godzin, aby się do nich dokopać i naprawić uszkodzenia.

Burmistrz słuchał Boda z prawie nieczłowieckim spokojem. Odwrócił się do mapy. Z początku zaznaczał miejsca upadku bomb czerwonymi

szpilkami, ale już po dziesięciu minutach zabrakło mu ich. Dotknął palcami Monchenstrasse i nie odwracając się zapytał:

- Czy dom Vossa został trafiony?

— Voss nie żyje, panie burmistrzu. Zginął od wybuchu, gdy obsypywał piaskiem bombę zapalającą. Niektóre z nich zawierają ładunek wybuchowy.

— Głupiec - powiedział burmistrz. Na zewnątrz cały czas trwało bombardowanie. - Przeprowadźcie wąż wzdłuż całej długości Mönchenstrasse. Bierzcie wodę bezpośrednio ze strumyka miejskiego.

Czy pan zdaje sobie sprawę, ile to będzie węża? - zaproponował Bodo Reuter. - I co nam to da? Jedno pojedyncze odgałęzienie. Moglibyśmy równie dobrze siusiać na pożar.

- Nie ma alternatywy - odparł burmistrz. Włosy miał w kompletnym nieładzie. Sztywny, wykładany kołnierz odpiął się od spinki i powiewał w powietrzu, co nadawało jego właścicielowi wygląd teatralnego komika.

Reuter odwrócił się, aby odejść, ale burmistrz wziął go za ramię i pociągnął szorstko ku mapie miasta. W pobliżu rozległ się straszny huk i chociaż inni w pokoju skulili się, ci dwaj mężczyźni zdawali się go nie słyszeć.

- Gdzie? - zapytał burmistrz. - Pokaż pan gdzie?

Wydany głos nie był jego naturalnym głosem i na moment strażak przestraszył się tego komicznie wyglądającego nieszczęśnika, stracha na wróble w wieczorowym stroju, z ceglanym pyłem na kamizelce.

— Pociągniemy wąż, panie burmistrzu - powiedział strażak.

— Nie ma innego wyjścia - upierał się burmistrz. Powiedział to, jakby to była ich wielka szansa i rzeczywiście przez ostatnie pół godziny wierzył w to.

Dziewczyna z Luftschutzu skończyła pisać na maszynie krótką notatkę i podała ją burmistrzowi do podpisu. Przywołał gońca z Hitlerjugend, małego Jurgena, syna fryzjera.

— Jedź szybko na Nehringstrasse, gdzie płonie piekarnia. Muszą wyburzyć domy za nią, aby utworzyć przesiekę dla powstrzymania ognia. Starszy oficer TENO będzie potrzebował tego rozkazu na piśmie.

— Nie mam roweru, proszę pana.

— Jak śmiesz przychodzić tutaj bez niego? Bezpieczeństwo miasta

zależy od dobrej służby gońców.

Jurgen miał zaledwie czternaście lat. To był jego pierwszy tydzień oficjalnej służby, więc przygnębiło go besztanie burmistrza.

— Pobiegniesz całą drogę. A kiedy następnym razem przyjdiesz na służbę, nie wąż się zapomnieć roweru.

— Ja go nie zapomniałem, proszę pana - odpowiedział chłopczyk. - Zrzucił mnie z niego podmuch na rogu Dorfstrasse i Zillerstrasse. Znalazłem tylko koło, ale było mocno pocięte.

— Zmykaj - powiedział burmistrz. - I bądź ostrożny.

Chłopczyk wybiegł z pokoju ściskając swój na niebiesko pomalowany kask gońca, jakby to był Krzyż Żelazny.

- Skończyło się - oznajmiła telefonistka. - Bombowce odleciały.

Wciągnęła do dziennika rozmowę z punktem obserwacyjnym leżącym na drodze do Venlo, a wkrótce nadeszło więcej wiadomości telefonicznych potwierdzających ten meldunek.

Nie mogąc w to uwierzyć burmistrz wyszedł po schodach z sali dowodzenia jak człowiek, który postarzał się przez noc o całe lata. Inni udali się za nim, a gdy wyszli płomienie zmusiły ich do przymrużenia oczu. Pożary wciągały powietrze nad płaską, rolniczą okolicę, wytwarzając ciepły wietrzyk. Im więcej powietrza wchłaniały, tym wyższe były płomienie i większy żar w centrum pożarów oraz jaśniejsze ich kolory. Poza efektownym widokiem płonącego zbiornika gazu, najwyższe płomienie wydostawały się z ośrodka szkolenia pielęgniarek. Dzięki Bogu, że przynajmniej udało się go ewakuować bez ofiar. Czuli żar bijący od pożarów i słyszeli ich huczenie, ale pomruk bombowców prawie zanikł. Nagle, od strony kościoła Liebefrau, rozległ się potworny trzask. Płomienie wystrzeliły w górę i skropiły dachy miasteczka rozgrzanymi do białości iskrami.

Strażacy spodziewali się tego. Połowa pojemnika bomb zapalających, wyrzucona przez lana, młodszego brata Munro, odegrała tu główną rolę. Stopiony ołów kapał przez parę minut na niżej znajdujących się strażaków. Skoro tylko mężczyźni na dachu kościoła zobaczyli, jak wyginają się rzeźby, pośpieszyli z powrotem na ziemię. Wkrótce potem spadły z potwornym hałasem dzwony. Kamienna obudowa zewnętrznych ścian rozprężyła się wydając gniewne pomruki i nagłe trzaski. Główna nawa kościoła stała w płomieniach, a wielkie okno witrażowe nigdy nie błyszczało piękniej jak podczas ostatecznej agonii Liebefrau. Przypora upadła z okropnym trzaskiem. Kamienna obudowa nadal rozprężała się, aż ze wstrząsającym ziemię hukiem spowodowała upadek dachu do palącego się wnętrza. Iskry posypały się w powietrze na tysiące stóp w górę, a okna zapłonęły czerwienią.

Piętnastowieczna rzeźba ołtarzowa, rzeźbiona ambona i obraz męczenników, przypisywany van der Weydenowi, poszły z dymem na zawsze. Strażacy odwrócili się od kościoła. Przez jakiś jeszcze czas ich węże były skierowane na stare domy i knajpę - Frenzla po drugiej stronie placu. Jeden z księży zaprotestował gwałtownie, gdy strażacy odmówili skierowania węży na kościół. Nie chciał uwierzyć, że jest za późno.

Ten szczywany głupiec Frenzel magazynował w swoim mieszkaniu

nad restauracją pięć beczek czarnorynkowego sznapsa i piętnaście worków cukru. Żar zapalił cukier i spowodował podobną do wybuchu bomb eksplozję beczek z wódką, która paląc rozpryskiwała się na ludzi TENO i strażaków znajdujących się na ulicy oraz na sąsiednie domy. Frenzlowie siedzieli z trzema młodymi córkami w piwnicy. Strażacy przynaglali ich, aby udali się do schronu za rogiem w Studentenacker, ale dziewczyny chciały zostać przy matce. Z kolei Frau Frenzel nie chciała opuścić męża, a Herr Frenzel w żadnych okolicznościach nie mógł zostawić piwnicy pełnej francuskich win. Było mu wystarczająco przykro, że siedząc musiał wachać prażące się czarnorynkowe, westfalskie szynki. Ukroił sobie jeszcze jeden plasterek Schlumpenwerk roboty Frau Frenzel i wgryzł się w słodkie, jabłkowe nadzienie. Zawsze tak robił, kiedy był zmartwiony: wtedy jadł nie będąc głodny. Strażacy unieśli jeszcze jeden wąż do góry, wzdłuż frontu budynku, do okna drugiego piętra i próbowali zapobiec przedostaniu się ognia w dół. Restauracja Frenzla stała się zapasową kostnicą i strażacy torowali sobie drogę między rzędami zwłok ułożonych na podłodze baru i zalanych wodą z węży.

Sklep z wyrobami żelaznymi po drugiej stronie Liebefrauplatz palił się również niebezpiecznie. Zapaliło się tam osiem beczek z farbą, która spływała po schodach jak stopiona lawa, zagrażając pochwyconym w pułapkę dwudziestu ludziom w piwnicy. Pracownicy TENO przebijali się do nich poprzez rozpalone mury.

W pobliżu gazowni tłum ponad stu cywilów utworzył w poprzek ulicy kordon i pobił załogę wozu strażackiego, która jechała do szpitala i nie chciała gasić ich płonących domów.

Herr i Frau Meyer, którzy pobrali się wczorajszego popołudnia, siedzieli w piwnicy pod domem rodziców przy Florastrasse razem z tuzinem gości. Rumuński kantor śpiewał stare pieśni weselne.

Herr Hollander, który dawał ślub tej parze, otwierał w tym momencie ciężkie drzwi głębokiego schronu przy Kaiserin-Augusta-Strasse. Zaglądał tam co parę minut. Była to ponura ulica niedaleko gazowni, dobrze wkomponowana w otaczające ją brudne rudery. Odpowiednio ubrany i z przyćmionym światłem w dłoni rozglądał się po schronie, a potem odnotował godzinę. Większość ludzi przebywających w schronie pracowała w browarze. Ponieważ do pracy chodzili bardzo wcześnie, niechętnie



spędzali noce w schronie. Hollander powiedział im tej nocy, że tak nakazywało prawo. To nie była jego decyzja, tak chciało prawo.

Wielu z nich chrapało; wyczuwało się zapach nieświeżych oddechów i niemytych ciał. Nikt nie dziękował mu za troskę. Hollander przypuszczał, że go nienawidzili. Był pewien, że uważali go za biurokratę o twarzy gryzonia, wykorzystującego swoją funkcję Blockwarta, aby w pełnym majestacie prawa wtrącać się i wscibiać nos w sprawy sąsiadów. Żona Hollandera była potulnym stworzeniem - ktoś kiedyś nazwał ich szczurem i fhyszą. Nie wierzyła, aby ktoś mógł tak myśleć, a co dopiero mówić o jej mężu. Myliła się.

Zamknął za sobą drzwi i pośpiesznie ruszył w górę po schodach. Miał w torbie klucze od wszystkich mieszkań. Powinien teraz upewnić się, czy jakieś bomby zapalające nie wpadły do któregoś z nich. Ciężka na nim poważna odpowiedzialność, więc traktował swoją służbę z całą skrupulatnością. Może najpierw powinien zbadać mieszkanie starej Frau Klietmann.

Andiemu Nielsowi udało się namówić wysoką, wiedeńską pielęgniarkę, żeby wyszła z sali tanecznej „łyknąć świeżego powietrza”, ale do przybudówki udać się z nim nie chciała. Poszli więc na łąkę Kollera i leżeli na trawie na pół rozebrani, kiedy nadleciał Lancaster Tommy’ego Cartera. Jeden z jego markerów bluznął na nich ogniem tak, że przybrali dziwną, bokerską pozę, jaką przyjmują spalone ciała. Obydwoje skurczyli się zwężeni do wielkości czterech i pół stopy.

Odlot bombowców przyniósł wszystkim ludziom w Altgarten zbawczy spokój, na który prawie stracili nadzieję. Chociaż ciepłe wiatry huczały w wąskich uliczkach, podsycaly ogień i unosiły krzyki rannych, umierających i uwięzionych w ruinach, to jednak większa część miasteczka została nietknięta.

Dwieście sześćdziesiąt bombowców atakowało Altgarten przez dwadzieścia osiem minut, między godziną pierwszą dwadzieścia cztery a pierwszą pięćdziesiąt dwie, co daje przeciętną 9,3 samolotu na minutę. Sto pięćdziesiąt sześć z tych bombowców zrzuciło bomby w granicach trzech mil od punktu celowania. Tylko osiem samolotów, kierowanych urządzeniem radarowym H2S zignorowało pożary w Altgarten i przeleciało nad nimi, aby zbombardować Krefeld.

Większość maszyn była wyładowana czternastoma tysiącami funtów bomb i choć dwadzieścia pięć procent pocisków z materiałem o wielkiej sile wybuchowej było niewypałami, to jednak przez kilka minut eksplozje bomb w Altgarten wzniewały piekielny hałas. Teraz, gdy bombowce odleciały, cisza przytłaczała w osobliwy sposób. Gdy burmistrz przemówił, jego głos wydał się nienaturalnie głośny.

- Dzięki Bogu - powiedział. Ludzie odwrócili się, aby na niego spojrzeć, bo nie była to reakcja godna narodowego socjalisty, ale burmistrz nie dbał o to. - Dzięki Bogu - powtórzył.

Chmury przesłaniały księżyc, cirrostratus zagęszczał się i zmienił w altostratus. Pół godziny temu księżyc rysował się ostro jak tarcza otoczona aureolą, a teraz stał się słabą, białą plamą. Na moment ściemniał za gęstniejącą chmurą. Pokazały się także strzępy fractostratusa, szybujące nad miastem tak blisko wierzchołków dachów, że błyszczały jasną czerwienią i migotały na tle nieba jak małe, prywatne piekielka.

— Co za świnię - odezwał się Oberzugfuhrer Bodo Reuter.

— Co z rurami przy Mönchenstrasse? - zapytał burmistrz.

— Już się robi, panie burmistrzu - warknął Reuter. Wziął swój mały rower i stwierdził, że trudno na nim jechać. Dziwne, że nie miał z nim takich trudności, kiedy spadały bomby.

— Cały wąż na Mönchenstrasse! - zawołał za nim burmistrz. Na mile ku zachodowi słyhać było dudnienie dział przeciwlotniczych, gdy powracające do swych baz bombowce przelatywały nad zmasowanymi bateriami w pobliżu granicy holenderskiej.

Pompa dieslowa na podwórzu TENO została zniszczona, a niżej położony zbiornik ropy stał w ogniu. Cienka smuga czarnego dymu pęzła tylnymi uliczkami w pobliżu stacji kolejowej, przynosząc smród, sadzę oraz powodując zaczerwienienie oczu i przykry posmak w ustach Boda. Wgryzł

się w zawiązaną na twarzy, zwilżoną chusteczkę i popedałował szybciej. Na rogu Neustrasse zatrzymał się i patrzył ze zgrozą.

Zasłona z kurzu, wirując i kręcąc się w powietrzu, przesunęła się ku pożarom na Dorfstrasse. Te pożary - sklepu rzeźnickiego Schmitta, starego budynku towarzystwa ubezpieczeniowego i sklepu konfekcyjnego Bockersa - przeświecały przez dym jak czarodziejski balet przez teatralną gazę. Przy ich świetle Reuter mógł zobaczyć manekiny z okna wystawowego, połamane i obnażone podmuchem, rozrzucone pośród gruzów na bruku. Jednak tam, gdzie pożary świeciły najjaśniej, stawało się oczywiste, że to nie były manekiny.

Ale to nie pożary i zwłoki kazały Reuterowi tak nieruchomo patrzeć: to brak całego bloku mieszkalnego, jaki aż do dzisiejszej nocy oddzielał Dorfstrasse od tego narożnika. Ponad stujardowy, czworoboczny, wysoki na cztery piętra blok, stał się teraz rumowiskiem, które, nie licząc paru korpusów kominów, nigdzie nie było wyższe od człowieka. Ekspłodowała tutaj ważąca dwa tysiące funtów bomba z samolotu Jammy'ego. W innych miejscach spadły dzisiejszej nocy bomby cztery razy większe.

Bodo wsiadł z powrotem na swój rowerek i pośpieszył do Gerda Bólla, znajdującego się w pobliżu tego, co nazywało się kiedyś domem Vossa.

— Ciągłe spoglądasz na drugą stronę - zauważył Bodo Reuter.

— To dom Vossa. Gospodyni mojego kuzyna jest w piwnicy.

Bodo dostrzegł, że jego przyjaciel ma przypalone brwi i czuł, że wygląda podobnie. Miał przypalone brwi i popękane, poobcierane wargi.

Obaj spoglądali na stos gruzu. Milczeli; nie mieli tu nic do roboty. W końcu podeszli do dziury na drodze. Badali, świecąc latarkami, teren wokół krateru ze zręcznością chirurgów badających otwarty brzuch.

To była dobra robota. Rury gazowe zostały zatkane klinami, a trochę dalej skręcone, jasnokolorowe kable elektryczne były prowizorycznie zaciśnięte, jakby kleszczami tętnicowymi, na opalonych końcówkach. Specjalnym liniom telefonicznym straży pożarnej i policji również udzielono pierwszej pomocy.

Poniżej, tak aby woda wyciekając nie mogła spowodować spięcia, znajdowały się rury wodociągowe o małej przepustowości, ale nimi nie interesowali się. Największe zniszczenia dotknęły środek ulicy. Wielki

krater pochłonął prawie całą nawierzchnię. Rury gazowe powyginały się jak pijane, a trzydziestopięciocentymetrowa rura wodociągowa przeciekała na złączach. Najgłębiej ze wszystkich, biegnąca wzdłuż samego środka ulicy, ledwo widoczna na dnie krateru, znajdowała się główna rura kanalizacyjna. Przyjmowała ona domowe nieczystości, jak również ścieki z rynsztoków oraz deszczówkę z ulicznych spustów. Rura kanalizacyjna znajdowała się poniżej rur wodociągowych, tak że mogła przyjąć każdą ilość wyciekającej z nich wody. Ta, podobnie jak wiele głównych rur kanalizacyjnych w najstarszej części miasta, była po prostu średniowiecznym ściekiem. Woda z rozbitych rur spływała nią teraz kierując się ku południowemu zachodowi, w stronę kalektora.

— Kilka worków z piaskiem załatwi sprawę - powiedział Gerd.

— Warto spróbować - zgodził się Bodo.

— Znajdź włącz kanalizacyjny przy Dorfstrasse, zablokuj wylot kilkoma workami z piaskiem, odczekaj aż woda napełni kanał ściekowy i wówczas użyj włączu jako zbiornika, z którego można będzie pompować wodę.

- Jeśli poziom wody będzie dość wysoki i ścieki dostaną się do zasilania miejskiego - powiedział Bodo - czeka nas piekielna robota z oczyszczaniem.

— Wówczas zrzucisz winę na mnie - odrzekł Gerd. Reuter milczał przez moment, a następnie powiedział:

— Bardzo dobrze, Gerdzie, w końcu ty jesteś doktorem mechaniki. Grupa ludzi z TENO czekała na dalsze rozkazy. W międzyczasie pomagali bliskiemu szafu Blockwartowi Storpowi przekopać się do jego piwnicy.

— Znajdźcie włącz kontrolny kanału ściekowego przy Dorfstrasse - rozkazał im Reuter - i zablokujcie wylot workami z piaskiem. Potem powiedzcie starszemu strażakowi w szpitalu, że może stamtąd pobierać wodę.

— Raus! - zakrzyknął Reuter, a jego ludzie wskoczyli na ciężarówkę. Blockwart wołał do nich, żeby wracali:

- Tu, pod nami znajduje się osiemnaścioro ludzi!

Ciężarówka ruszyła do przodu kołysząc się.

- W szpitalu jest trzystu - powiedział Gerd spokojnie. - A do czasu ugaszenia pożaru waszej żonie nic się nie stanie.

Blockwart przytaknął głową. Pod ziemią woda nadal wypływała z przewodów.

Zaledwie kilka jardów od miejsca, gdzie stali Gerd Böll i Reuter, w piwnicy-pułapce starego Vossa, znajdowała się Anna-Luiza z małym Hanslem. Bomba wybuchła nad nimi, na trzecim piętrze. Jak większość bomb HC o cienkich ściankach, rozłożyła swoją falę uderzeniową na boki. W piwnicy nie było słycać tak głośno jej wybuchu i nie spowodowała tylu wstrząsów, jak wcześniej zrzucona bomba średniej mocy, która przebiła sobie drogę przed wybuchem.

Anna-Luiza nie przestraszyła się, gdy nie zdołała otworzyć drzwi od piwnicy. Podejrzewała, że oficer Waffen SS, który ukradł dywan i srebro Herr Vossa, zamknął ich, aby przeszkodzić w podniesieniu alarmu. Napierała na drzwi, ale nie chciały puścić. Były mocno zbudowane, wybrane specjalnie przez Vossa do strzeżenia jego podziemnego magazynu. Anna-Luiza nie podejrzewała, że zostały przywalone stosem paru setek ton roztrzaskanego muru. Teraz, gdy nie było prądu, paliła się tylko lampa naftowa. Światło połyskiwało na wodzie, która w najniższej części starej, kamiennej podłogi miała cztery cale głębokości. To także jej nie martwiło, ponieważ przy obecnym tempie przecieku trzeba by było kilku tygodni, aby woda

zalała całkowicie piwnicę.

Zaniepokoiła się dopiero wówczas, gdy ludzie TENO zablokowali wylot kanału ściekowego przy Dorfstrasse, ponieważ woda zaczęła napęniać kanał na ulicy. Woda z pół tuzina przecieków wzdłuż całej ulicy spływała do niego, a poziom podnosił się, aż dotarł wzdłuż rury ściekowej do domu Vossa. Tam woda dostała się do przerwanych rur nad piwnicą i zaczęła ją zalewać. Przez dziesięć minut przerażała ją ta ilość napływającej wody. Jedna strona piwnicy pogrzyżyła się na sześć cali głębokości, ale potem poziom przestał się podnosić.

Przestał, ponieważ strażacy zaczęli pompować wodę z wjazdu przy Dorfstrasse, który w tej chwili tworzył studzienkę. Strażacy w szpitalu mieli wreszcie odpowiednią ilość wody do gaszenia pożaru. Ogień stał się dla nich żywym wrogiem. Z nowo uruchomionym zasilaniem mogli wziąć na nim rewanż. Przy

„High Combustion - bomba o dużej sile wybuchowej.

Dorfstrasse po stronie szpitala działało sześć odgałęzień. Teraz, gdy pacjentów przeprowadzono do nietkniętego skrzydła budynku, opanowanie pożaru, czyli otoczenie go i ograniczenie jego zasięgu, było już tylko kwestią czasu.

Oczywiście nie było to wygodne dla pacjentów. Najpierw o mało nie wywołali paniki i w pewnej chwili Oberstartzt z ośrodka rehabilitacji dla kalek sprowadził do szpitala dziesięciu uzbrojonych żołnierzy, gotowych do przywrócenia porządku w salach pod groźbą użycia broni. Punktem zwrotnym w stanie morale pacjentów szpitala okazał się moment, gdy Frau Thorn wylała zawartość swego basenu na palące się krzesło w sali operacyjnej. Wieść o tym obiegła szpital błyskawicznie. Wszyscy znali Frau Thorn i zaśmiewali się. Wyglądało na to, że tym samym został przywrócony niemiecki porządek. Łóżka stały ściśnięte, zaledwie o cal jedno od drugiego. Pacjenci zostali pomieszani, kobiety i mężczyźni stłoczono razem na korytarzach i w magazynach, ale nikt się nie uskarżał. Na jednym oddziale nawet śpiewano.

Po drugiej stronie drogi, w ośrodku rehabilitacji kalek, Oberstartzt westchnął z ulgą, kiedy zakończyło się bombardowanie, bo barak położony najbliżej szpitala już buchnął płomieniem. Temperatura rozgrzała drewniane części do tego stopnia, że iskry padające na dach zapaliły go. Nie było paniki; pośród pacjentów znajdowało się dość żołnierzy, aby uspokoić strach cywili. Pielęgniarki wspomagane przez pacjentów z amputowaną tylko jedną ręką, wyjechały z łózkami z baraków tuż przed zapaleniem się ścian. Na dworze wcale jednak nie było bezpiecznie. Troje z pacjentów zostało trafionych odłamkami przez co ciężiej ranni, którzy pozostali w zagrożonym pożarem baraku, przestali im zazdrościć pozornego, jak się okazało, bezpieczeństwa. Ale, jak powiedział Oberstartzt, niektórych pacjentów w barakach też raniły odłamki i rozbite szkło.

To był ciężki czas próby dla niemłodego już Obersta. Rzecz naturalna, że ludzie uważali uczennice w mundurkach pielęgniarek za dostatecznie przeszkolone, aby dać sobie radę z ofiarami nalotu, gdy tymczasem wiele z nich było ekspedientkami i służącymi, mającymi zaledwie kilkutygodniowe przeszkolenie. Tylko w pełni wyszkolonym dziewczętom można było rzeczywiście zaufać przy podawaniu lekarstw. Bóg wie, ile szkody wyrządziły uczennice tej nocy!

- Wystawić wszystkich pacjentów na zewnątrz! - rozkazał Oberst. - Ochłodziemy baraki wiadrami wody.

W międzyczasie w Wald Hotel, po drugiej stronie miasteczka, miała miejsce tragedia innego rodzaju. Wspaniały budynek z epoki Edwarda VII zajmował prawie dwa i pół akra parku. Z powodu wysokich murów i drutu kolczastego, a także na skutek wycia ostrych psów powszechnie wierzone, że Wald Hotel był tajnym ośrodkiem SS o dużym znaczeniu. Jedna plotka głosiła, że hotel ten mieścił milionerów żydowskich, którzy przekupili SS, aby wydostać się z obozów koncentracyjnych, a teraz żyli tu w luksusie. Opowiadano też, że hotel to „ośrodek hodowli zarodowej” dla ludzi SS na urlopie, jak to sugerowała Frau Hinkelburg. Jeszcze inna plotka głosiła, że trzymano tu jako jeńca syna Stalina wziętego do niewoli na froncie wschodnim. W rzeczywistości był to po prostu ośrodek szkolenia psów Waffen SS, a rzekome krzyki słyszane nocą były skowytami zgłodniałych czworonogów.

Psy zaczęły ujadać od momentu, gdy pierwsze bomby burzące spadły w pobliżu wodociągów. Udzieliło im się podniecenie wartowników, ponieważ szkolono je, aby reagowały na ludzkie intencje. Stirling i Lana Munro wyrzucił swoje bomby, gdy Redenbacher otworzył do niego ogień, a następnie nadleciał nisko od południa w poprzek strumienia bombowców. Działy tylko dwa z jego silników, a jeden z pozostałych oderwał się. Okaleczony silnik rozrywając się na kawałki hałasował jak dentystyczne wiertło. Samolot znikł za wzgórzem, za stacją pomp, nadal próbując nabrać wysokości. Chłopcy z obrony przeciwlotniczej na terenie browaru strzelali do niego swoimi 2-centymetrowymi działkami, więc niebo ponad drzewami było pokreślone pociskami smugowymi, a wiatr niósł zapach prochu do psich klatek. Dźwięki i zapachy powiększały podniecenie psów, które ujadały coraz głośniejsze, aż wreszcie zaczęły biegać jak szalone tam i z powrotem po ogrodzonym terenie.

Bomba HC wagi ośmiu tysięcy funtów, zdolna zburzyć cały kompleks budynków - największa z rzuconych tej nocy - zniszczyła szereg nowych domów w pobliżu cmentarza i w jednej z klatek doprowadziła psy do szału. Rzuciły się na drucianą siatkę opłotowania nie bacząc na ból i krew. Siatka rozdarła się, a psy wybiegły do hotelowego ogrodu. Mause Scheske stał wtedy na warcie. Zastrzelił jednego psa, ale inne rzuciły się na



niego i ciężko pogryzły. Jego brat otworzył ogień i zabił dwa psy; pięć innych uciekło przez bramę. Biedny, mały Mausl zmarł z odniesionych ran dwadzieścia minut później, a wtedy Hannes obszedł wszystkie klatki i powystrelał psy. W dwadzieścia pięć minut zabił osiemdziesiąt siedem sztuk, niektóre w pełni wytresowane i przeznaczone dla górskiego pułku w Jugosławii. Hannes został aresztowany przez sierżanta warty, rozbrojony i zamknięty w starej piwnicy. Wina tam jednak nie było.

Standartenfuhrer Wórrth przeklinał hałasujące psy, gdy jednak ustało bombardowanie, powrócił do papierkowej roboty. Siedział przy biurku w swoim gabinecie na pierwszym piętrze. Wybrał ten pokój nie ze względu na bliskość jeziora, ale na grube ściany; był tu z dala od psiarni i mógł spokojnie mieszkać. Jego ordynans wszedł do pokoju o drugiej po północy przyprawiając ze sobą młodego podoficera w podartych spodniach i z krwawiącą raną nogi. Podoficer zdał raport o braciach Scheske i oszalałych psach.

- Powiedz Hentschlowi - rozkazał Standartenfuhrer.

Podoficer nie znał nikogo o takim nazwisku. Wymienił szybkie spojrzenie z ordynansem, który skinął głową dając znak, że powinni wyjść.

— Heil Hitler - powiedział pokaleczony chłopiec.

— Heil Hitler - odpowiedział Standartenfuhrer ni« spoglądając znad swojego biurka. Dziesięć minut później, kiedy ordynans przyszedł powiedzieć mu o koniu, pośpieszył w dół po schodach i wyszedł w chłodną noc, aby zobaczyć czy to rzeczywiście prawda.

— Rosenknospe - powiedział. W kieszeni miał zawsze kostki cukru. Nigdy nie przestawał ich nosić od lat dziecięcych.

— Rosę.

Szkoda, że młody Hentschel nie mógł być złożony i zszyty jak ten koń. Kto w pułku jeszcze go pamiętał i rozpoznawał? Może ktoś przydzielony do weterynarza?

- Rosenknospe, staruszko, nie jesteś już tak młoda jak kiedyś.

Koń zarżał cicho: rozpoznawał go po zapachu i głosie. Ile to czasu upłynęło, od kiedy jeździł konno? Taki wspaniały koń. Będzie trzeba teraz lepiej troszczyć się o tę klacz.

Dieter Witting, ordynans Standartenfuhrera, zdrzemnął się przez kilka minut, kiedy ustało bombardowanie. Obudził go dźwięk dzwonka,

więc spojrzął na zegar. Było ściśłą tajemnicą, że dowódca nie może udać się do ubikacji bez pomocy ordynansa. Witting włożył płaszcz na pizamę i zabrał ze sobą kasetkę ze strzykawką i tabletkami na wypadek, gdyby były potrzebne. Wszedł bez pukania, jak zwykle, gdy wchodził na wezwanie. Wóρθ siedział wyprostowany na krześle i patrzył prosto w drzwi. Witting nie przestraszył się. Wóρθ usiłował przemówić, więc Witting nachylił ucho do jego ust.

- Rosenknospe - wyszeptał Wóρθ.

Pączek róży. Witting widział wielu umierających ludzi, których ostatnie słowa były często niezrozumiałe.

— Teraz wszystko będzie dobrze, proszę pana - powiedział Witting.

— Tak - przytaknął Standartenfuhrer Wóρθ i zmarł z odmrożenia i ran, jakie odniósł osiemnaście miesięcy wcześniej.

Burmistrz nie powrócił do swej sali dowodzenia. Samoloty przelatywały nad miastem, a telefony nie działały. Służby przeciwlotnicze muszą odtąd pracować z własnej inicjatywy. Zabrał jedną z przenośnych pomp nożnych umieszczonych przy wejściu i udał się ku czerwonej łunie wiszącej nad Starym Rynkiem.

Szedł przez swoje miasteczko przerażony, nie wierząc własnym oczom. Przy światłach dużych pożarów niedaleko gazowni mógł dojrzeć cały szereg mieszkalnych ruder, z których pozostały tylko fasady jak dekoracja do filmu; same domy znikły. Obok stacji kolejowej wyskoczyła z szyn lokomotywa i leżała teraz o kilka stóp od toru. Skręcił na północ, w Nehringstrasse. Cała ulica przedstawiała jedno wielkie kłębowisko latających iskier. Pierwszy raz zobaczył zwłoki - tuż za zakładem drukarskim Tomowa - i zatrzymał się, aby na nie spojrzeć. To był syn Tomowa w mundurze oficera marynarki. Nie żył. Rozpoznał także zwłoki urzędniczek. Gdy przeszedł obok około pięćdziesięciu zwłok, przestał na nie patrzeć.

Zaledwie trzy minuty po wyjściu z sali dowodzenia przybył goniec NSKK na motocyklu. FLUKO w Duisburgu próbowało skontaktować się z nim telefonicznie, ale gdy to okazało się daremne, rozkazano Głównej Kwaterze NSDAP, aby wysłała gońca. Meldunek donosił jedynie, że druga fala samolotów RAF w sile około czterystu bombowców zbliża się do Altgarten. Należy wygasić wszystkie pożary, a zbędny personel skierować do

schronów.

Od momentu startu w Warley Fen Lambert dostrzegł sześć bombowców, ale tylko na mgnienie oka. Lot był, jak dotąd, spokojny. Bywało, że wracał z wypraw i spotykał inne załogi, które opisywały niesamowite wydarzenia, podczas gdy on w czasie całego lotu nie przeżywał nic. Ale bywało też inaczej.

— Zmieniam zbiorniki - oznajmił Battersby.

— O.K. - odrzekł Lambert.

Mechanik pokładowy poczekał na końcowe kasznięcie wskazujące, że zbiornik jest pusty i przełączył go. Był to najlepszy sposób na odnotowanie w dzienniku zużycia paliwa i na uniknięcie zapowietrzenia przewodów.

- Spójrzcie w lewo - odezwał się Binty. - - Reflektory chwyciły w stożek jakiegoś biedaka, a ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej wali w górę jak confetti.

Lambert dotknął instynktownie orczyka, aby obejść ogień artylerii.

Digby nadal leżał w nosie samolotu. Cel był pełen kolorowych świateł, migotających i mrugających w miarę zwiększania się żaru. Snujący się nad miastem dym błyszczał od flar i pożarów na ziemi. Marszczył się i kipiał jak wrzące mleko. Czarny dym unosił się także z miejsca, gdzie został trafiony zbiornik z ropą należący do TENO. Digby zobaczył, jak fala uderzeniowa przeszła przez najjaśniejszy pożar i zachwiała nim jak galaretką z czerwonej porzeczki.

— Chciałbym zbombardować tych łajdaków z artylerii przeciwlotniczej. Co pan powie, skiper, jeśli zachowam ze dwie tysiącfuntówki na artylerię? Moglibyśmy...

— Myśliwiec! Myśliwiec z lewej strony! - wrzasnął Flash Gordon. Do jego czterech karabinów maszynowych dołączyły chwilę potem dwa karabiny z górnej wieżyczki.

— Atakuje kogoś innego - rzucił Binty. Zaledwie kilkaset jardów w lewo, cienki szereg pocisków zapalających zakręcił się jak wskazówka sekundowa, kiedy nocny myśliwiec dopadł swoją ofiarę zmieniając kąt ataku, a następnie odleciał w ciemność.

— Drzwi bombowe otwarte.

Zaczął się. Lecieli prosto nad środek pożarów i w ogień artylerii przeciwlotniczej. Wyglądało to jak dziecięcy tort urodzinowy: pół tuzina żółtych świec migotających w zaciemnionym pokoju. Dziecięcy tort urodzinowy. W lewo, w lewo, spokojnie.

Przed nimi jakiś samolot stał w ogniu. Łopaty jego śmigła zwolniły obroty, gdy je przestawiano w chorągiewkę, ale płomienie stawały się jaśniejsze z każdą sekundą. Spokojnie. W prawo, trzymaj tak, ładnie, ładnie, trzymaj tak równo. Nocny myśliwiec nadleci znowu, pewne jak amen w pacierzu, a kiedy to nastąpi „Creaking Door” będzie jasno oświetlony przez te przekłete płomienie. Jeszcze jaśniejsze. Spokojnie, w lewo, w lewo. Proszę Cię Boże, każ mu zejść w dół. Nie musi się rozbić. Oby tylko zszedł w dół. Proszę Cię Boże, tylko tysiąc stóp! W prawo, spokojnie. Chociaż pięćset.

Huk pocisku przeciwlotniczego uniósł skrzydło. Nastąpił stukot szrapnela.

- Wejść! - powiedział Jimmy.

Pan skręca w prawo, skiper. W lewo, jeszcze trochę w lewo. Nawet jeśli to jest Micky Murphy. Każ mu zejść w dół! Ten nocny myśliwiec musi być teraz za nami. Spokojnie. Nawet jeśli to jest moja matka. Ogień płonącego Lancastera wzmógł się. Nie są już w stanie go ocalić. Jezu Chryste, to następny atak! Pociski z działek nocnego myśliwca wybijają w nim dziury. Wyłaźcie! Skaczcicie, skaczcicie, skaczcicie! Cholerni głupcy. Tylina wieżyczka wisi w strzępach jak pęk pociętych drutów. Gdzie są spadochrony?! Samolot podskakuje jak oszołomiony ciosami bokser. Łopaty śmigieł silników po drugiej stronie musiały ulec połamaniu. W lewo, w lewo. Wszędzie dym, skiper. Nic psiakrew nie widzę! O.K. tak trzymać.

Pilot w palącym się samolocie przymknął gaz. Odległość między nimi zmniejszyła się i wydawało się, że płomienie dosięgną ich. Bliżej. Więcej nie patrz. Patrz na przyrządy i na twojego mechanika. Battersby obserwował go w przerażeniu. Lambert skinął zachęcająco i Battersby odwrócił się do swojej tablicy przyrządów. Myśli, że mogą go ocalić. Wszyscy tak myślą. Dlaczego u diabła przyczepili się do mnie? Spokojnie, tylko troszkę w lewo. Spokojnie, tak jest dobrze.

- Pali się mocno - powiedział spokojnie Digby.

Mówił tylko o celu. Cel, zapomniałem o celu. Mają kłopot, aby

utrzymać tę płonącą trumnę i za moment bombowiec utraci równowagę, a my się w niego wpakujemy. Spokojnie. Boże, zbliża się jeszcze bardziej!

— Wyrzućcie te cholerne bomby! - zawołał ktoś. Był to wysoki, niespokojny głos, nie do rozpoznania, jakby nikogo z załogi, ale Digby go zidentyfikował, gdy się powtórzył.

— Zbliża się, skiper. Niech się pan nie przejmuj - powiedział Digby spokojnie.

Czy on jest tak przyklejony do celownika bombowego, że nie widzi, iż całe niebo jest w ogniu, a ten cholerny, wielki, umierający Lancaster prawie że dotyka naszego skrzydła? Każ mu zejść w dół! Zestrzel go! Proszę tylko o ciemność. Tylko o ciemność. Dlaczego on jeszcze nie spadł. Może oni tam wszyscy już nie żyją, a samolot prowadzony przez pilota automatycznego polecą z nami w strumieniu bombowców aż do Anglii? Kto mówi Lambert, że doleczysz tak daleko? Właśnie teraz przyjdzie śmierć.

— Bomby poszły - oznajmił Digby. Jego głos był całkowicie odprężony, bo zobaczył, że drugi bombowiec obok nich traci wysokość,

— O, Boże.

Paliwo z drugiego Lancastera rozpylało się po zejściu z krawędzi spływu skrzydła i paliło się jak płomień gazowy. Flara eksplodowała, jak tylko wypadła z wyrzutni. W świetle pokolorowanym na żółto, różowo i czerwono wydawała się biało-niebieska.

- Niech pan trzyma samolot równo, skiper, musimy wykonać zdjęcie - powiedział Digby.

Lambert zobaczył, jak wyrzucone zielono-czerwone płonące bomby oświetlające utworzyły sznur jasnokolorowych paciorków. Spojrzał na Battersa zajętego przy swojej tablicy przyrządów. Kabina złościła się od światła płomieni, podczas gdy mijało trzydzieści najdłuższych w historii świata sekund.

- Ty krowo. Wyrzutnia flar wygięła się, skiper. Cholerna flara zakleszczyła się w niej.

Był to głos Jimmy'ego.

— Wykopnij ją - poradził Lambert. - Nie mogę tak w nieskończoność trzymać samolotu.

— Ani drgnie.

— Rusz ją, do cholery - przynaglał Lambert. Tyle zachodu i nawet

nie zrobili zdjęcia do foto-drabinki. Westchnął przechylając bombowiec i ześlizgnął się w ciemność, z dala od ognistego samolotu, który Murphy i Sweet usiłowali namówić do powrotu na ziemię.

— To postarzyło mnie o dziesięć lat - oświadczył Jimmy Grimm, obserwując płonący bombowiec.

— Jimmy, co z tą flarą?

— Nadal próbuję, skiper.

Grimm bał się, że już drugi raz w tym miesiącu powróci bez zdjęcia. Na tablicy oficera wywiadu trzy rzędy fotografii celu ułożone w chronologicznym porządku okazały się jedną odbitką, która będzie jedynie czystą, świecąca kartką. Nie będzie także opisu zdjęcia. To tak, jak gdyby „Creaking Door”, jego załoga i ładunek bomb w ogóle nie istniały.

— Uważajcie wszyscy na nocne myśliwce - ostrzegł Lambert.

— O.K. skiper - odpowiedzieli posłusznie strzelcy pokładowi, choć i tak ani na chwilę nie przestali badać nieba.

Lambert poczuł zapach śmierdzącej gumy w masce tlenowej i zorientował się, że ze strachu oblał się obfitym potem. Odpiął maskę i wytarł twarz. Jego szczęka zeszywniała, a broda zarosła.

- Tylko jedna bomba burząca. Wszystkie pozostałe dzisiejszej nocy to zapalające i fosforowe - powiedział Digby.

— Dobrze, że nie wiedziałem o tym przed podejściem nad cel - odrzekł Battersby.

— Skoncentrujcie się chłopcy - nakazał Lambert. Był to moment największego niebezpieczeństwa. Napięcie, które towarzyszyło im nad celem, ustąpiło nagle miejsca odprężeniu i zdziwieniu, że jeszcze się żyje i jest się z dala od niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Teraz nadeszło straszne zmęczenie, a jednocześnie odczuwało się brak strachu, niemożność koncentracji i przygniatające pragnienie snu. Powracające załogi opowiadały o swych niektórych członkach - nawet pilotach - którzy w drodze powrotnej zasypiali. Inne załogi nie wróciły, aby opowiedzieć to samo.

- Skoncentrujcie się - powtórzył Lambert. - Pięćdziesiąt milionów fanatycznych Niemców pragnie naszej śmierci. Skoncentrujcie się.

Lambert zawsze mówił to lub coś podobnego. Jimmy Grimm kiwał się nad radiem i aby nie usnąć nalał sobie z termosu filiżankę kawy, którą popijał małymi łykami. Była ona gorąca, że aż parzyła. Flash obserwował z



tylnej wieżyczki pałacy się cel: rozrzucone różowe plamki. Nagle jedna z nich nabrzmiała i na chwilę zrobiła się biała. Był to zapadający się dach Liebefrau.

Lamberta bolała głowa. Wsunął w usta aspirynę. Binty zażył benzydrynę, Battersby wpisał do książki lotów godzinę przełączenia zbiorników paliwa, a Kosher zanotował w swojej książce nawigatora: „niezidentyfikowany, czterosilnikowy samolot płonący nad celem”.

Księżyc stał teraz wysoko. To nie była złocista, romantyczna kula, widoczna z ziemi. Stąd widzieli go takim, jakim rzeczywiście był: zimnym, niebieskim zerem na niebie. W niebiesko-czarnym krajobrazie można było odróżnić ciemne plamy miast, lasów i prostokąty pól. Zobaczył Mozę błyszczącą w świetle księżyca a potem, nad rzeką, ciemną plamę Venlo, mrugającą, gdy artyleria przeciwlotnicza otwierała ogień. Ziemię często przesłaniały szarawo-niebieskie płaty chmur, dryfujące zaledwie pięćset stóp niżej.

Kurs 271 - powiedział Kosher. - To nas zaprowadzi odrobinę na południe od strumienia bombowców, z Eindhoven po lewej a Tilburgiem i Bredą po prawej. W porządku?

- Jeśli Eindhoven okaże się niegościnnie, będziesz musiał pokierować mną bardziej na północ.

- Zrobi się, skiper. Jeśli można, to przyjdę teraz popatrzeć.

- Chodź.

Eindhoven - powszechnie znane miejsce koncentracji artylerii przeciwlotniczej - było spokojne, gdy przelatywali nad jego krańcem. Intensywny ogień artylerii zobaczyli znowu dopiero po zbliżeniu się do Tilburga.

- Kolorowy ogień lekkiej artylerii to lotnisko Gilze-Rijn. Za nim jest Breda. Do brzegu holenderskiego pięćdziesiąt mil... powiedzmy, że przy sprzyjającym wietrze szesnaście minut.

- Zacznę wytracać wysokość - powiedział Lambert. - Nabierzemy trochę większej prędkości, gdy skieruję nos samolotu w dół.

Na północ od Bredy ogień artylerii przeciwlotniczej koncentrował się na jednym sektorze nieba, podczas gdy światła reflektorów przesuwają się szybko wśród błysków. Nagle ukazał się czerwony błysk. Większy i dłuższy od innych.

— Pocisk straszycło - powiedział Digby. Wszyscy w Dowództwie Lotnictwa Bombowego wiedzieli o pociskach straszycłach; zostały wymyślone przez niemieckich ekspertów artylerii przeciwlotniczej tak, aby wyglądały jak samolot eksplodujący w powietrzu. Jeszcze dziś pozostali przy życiu przysięgają, że potrafili je odróżnić od prawdziwego samolotu. Ale faktycznie nie było pocisków straszycł, były tylko eksplodujące samoloty.

— Tak, to pocisk straszycło - powiedział Lambert.

Zadowolony z identyfikacji Bredy, Kosher powrócił do stolika nawigatorskiego. Battersby obserwował dłonie Lamberta, gdy ten trzymał kurs dokładnie według busoli. Battersby uczył się prowadzić samolot idealnie po kursie, choć podczas szkolenia droga do domu zawsze sprawiała mu dużo kłopotów. Stery były ogromnie ciężkie, a jednak zdawało się, że Lambert używa tylko końców palców. Teraz obserwował, jak opuszcza stery do przodu.

- Zaczynamy schodzić, skiper? - zapytał Battersby.

— Chcę mieć chmurę na brzuchu - odparł Lambert. Battersby skinął z wahaniem. Lambert dodał:

— Wówczas nic nie dostanie się do nas od tyłu i z dołu.

— A co z radarem? - zapytał Battersby.

— Nic. I tak zawsze potrzebny jest kontakt wzrokowy - odparł Lambert. - Wszystko O.K. strzelcy?

— Tak jest, szefie - odparł Binty.

— Mamy teraz świetną widoczność, skiper - powiedział Flash.

— Dobrzy chłopcy - rzekł Lambert. Wszyscy byli dobrymi chłopcami i Lambert był szczęśliwy. Pozwolił Lancasterowi osiadać łagodnie, aż dotknął szarawoniebieskiej ławicy cumulusa. Jej strzępki spływały po skrzydłach i matowiły przednią szybę kabiny. Chmury otoczyły jakby murem samolot, który burzył je i wślizgiwał się pod nie jak dziecko chowające się w pościeli. Wykorzystać chmury jak najlepiej, myślał Lambert. Przed nimi brzeg holenderski. Te poszarpane chmury kończyły się

tam podobnie jak i ląd pod nimi. Bezmierna powierzchnia bezwładnego, czarnego syropu rozciągała się w dole, pobłyskując w świetle księżyca. To Morze Północne.

Kiedy druga i dużo większa fala bombowców zaczęła atakować Altgarten, to nie strach opanował jego mieszkańców. Ani też, choć uczucie to nie było im obce, nie był to zwykły gniew. Była to neuroza tego rodzaju, jaka powstaje, gdy coś przekracza czyjeś umysłowe i fizyczne możliwości. Życie wymknęło się spod kontroli. Wymknęła się spod kontroli praca zawodowa. Członkowie straży pożarnej spędzili życie walcząc najwyżej z jednym pożarem na raz, dysponując obfitością wody i działającymi telefonami. Dzisiejszej nocy stanęli w obliczu ponad setki pożarów, niektórych ogromnych i nie dających się opanować. Ich pracę krępowały przerywane przewody wodociągowe, uszkodzone linie telefoniczne i eksplodujące bomby. Teraz, kiedy już prawie naprawili sieć energetyczną i linie telefoniczne oraz zdobyli wodę, pompowaną z kanału ściekowego, wszystko miało się zacząć od początku.

Było wiele objawów tej neurozy, a dla niektórych osób, które przeżyły pierwszy, nalot, stanowiło to początek choroby umysłowej, z której nigdy nie mieli się wyleczyć. Jeden ze starszych strażaków pracując przy pompie wyśpiewywał raz po raz znaną piosenkę. Kilku innych obsługujących węże przemawiało do ognia, przeklinając go niewyraźnymi, sprośnymi wyrazami. Przy Volksschule pewien Blockwart po ostrzeżeniu grupy ludzi o niebezpieczeństwie grożącym przy polewaniu wodą palących się bomb zapalających podniósł jedną z nich, jakby to była imitacja do demonstrowania i doznał bardzo poważnych obrażeń.

Kiedy druga fala bombowców zaczęła atak, obaj, Gerd Bóll i jego przyjaciel Bodo Reuter wiedzieli, że będzie ona jeszcze potężniejsza od pierwszej. W ten sposób Tommis atakowali zawsze. Szybkoobrotowe silniki brytyjskie hałasowały jak rój szerszeni. Zrzuty bomb ześrodkowywały się na pożarach. Hałas walił w uszy jak młotem, a podmuchy szarpały ich ciała. Obaj wiedzieli, że rozumny człowiek powinien się schronić, ale oni pokonali skokami Mönchenstrasse w kierunku szpitala, przerywając bieg długimi postojami, leżąc płasko twarzą ku ziemi. Na ulicy znajdowało się kilka uszkodzonych ciężarówek, a jedna z nich, wojskowa, paliła się. Minęli ją ostrożnie, a następnie trzymali się blisko ścian aż do ostatniego bloku przed Dorfstrasse, gdzie sumienni członkowie obrony cywilnej wyrzucali na ulicę

pałace się meble i pościel z ostatniego piętra.

Jeszcze zanim skręcili za narożnikiem w Dorfstrasse, dojrzeni odbijający się w mokrej jezdni pożar szpitala. Główna ulica wydawała się spływać krwią, kiedy jasno oświetlona woda marszczyła się w rynsztokach. Powietrze było pełne iskier, a ziemia tak zagracona wszystkimi możliwymi sprzętami, że omijając je Reuter wszedł na plamę fosforową. Lepka maź buchnęła płomieniem, gdy próbował zeskrobać ją z buta. Była to złośliwa, przerażająca substancja przylegająca jak klej. Reuter wstawił but do wypełnionego wodą rynsztoka i zdławił płomień, który na powietrzu znowu natychmiast się pojawił. W końcu Gerd zeskrobał substancję kawałkiem odłamanej cegły. Ruszyli dalej uważnie stawiając kroki obok płonącego drewna i rozpalonych do białości cząstek magnezu z bomb zapalających.

Minęli więcej niż setkę pożarów podczas swej krótkiej drogi i siedem razy rzucali się jak dłudzy na ziemię, gdy w pobliżu spadały bomby zapalające. Pięć razy błagano ich o pomoc w ratowaniu zasypanych w piwnicy ludzi, ale odmawiali i nawet najbardziej zrozpaczeni cywile nie byli na tyle głupi, aby dyskutować z oficerami z TENO. Niektórzy z nich, widząc wysoki kołnierz, paski na mankietach i czarne naszywki stopnia Boda myśleli, że jest z Waffen SS.

Podczas ataku drugiej fali bombowców pożary wymknęły się spod kontroli. Nawet najbardziej bohaterscy strażacy nie poradzą sobie z zaporowym ogniem bomb burzących, a te przeważały podczas drugiej fali bombardowania. Nawet po odlocie ostatniego samolotu, bomby z opóźnionym działaniem będą przeszkadzały w skutecznej akcji ekip przeciwpożarowych i ratunkowych. Będą wybuchały jeszcze przez dwa dni.

Gerd Boli i Bodo Reuter cały czas trzymali się razem. Rozbrajali bomby, przekopywali się pod gruzami i chodzili po deskach wysoko w powietrzu, każdy z nich ufny, że drugi nie opuści go w potrzebie. Gerd Boli trzymał się Reutera, a miejsce Reutera było w szpitalu.

— Co najmniej dwustu, proszę pana - powiedział Hauptwachtmeister do Reutera. Może więcej, i to nie licząc pielęgniarek, które są tam z nimi.

— A w suterenie?

— Jeszcze stu. Ci mogą wyjść, ale nie ma ich dokąd zabrać i właściwie nie mogą się poruszać. Niektórzy z nich ledwo chodzą.

— A najwyższe piętro?

— Piętro znikło i został tylko popiół.

— Co to za dźwięk, ktoś śpiewa?

— To krzyki - odrzekł stary podoficer. - Gdy w pobliżu następuje wybuch lub gdy zobaczą bombę zapalającą, krzyczą wszyscy razem. Nie ma paniki, a widok miasta dzisiejszej nocy działa na obłożnie chorych raczej otęzewiająco.

Uśmiechnął się ponuro. - Co z konstrukcją?

— Cały front zniknął, a razem z nim elementy stalowe. Szczytowe piętro przechyla się, jeśli wierzyć informacji jednego z ludzi, który właśnie zszedł na dół.

— Byliście na górze?

- Pół godziny temu.

- Chodźmy tam i zobaczymy jeszcze raz. Sprowadźcie gońców i paru silnych ludzi ze sznurami i siekierami.

Droga na czwarte piętro była długa i pokonywano ją powoli. Skorzystali ze służbowej klatki schodowej aż do drugiego piętra, które - choć czarne jak smoła i zaśmiecone dużymi kawałami gruzu - było nietknięte. Przeszli przez zatłoczony oddział dziecięcy na drugim piętrze i w dół korytarzem zarzuconym mokrymi, popalonymi kocami. Przez drzwi biura po lewej stronie rzucili okiem na chirurga przeprowadzającego operację. Oświetlenie a la Rembrandt dawały dwie lampy naftowe, latarka elektryczna i pięć świec. Weszli przez wyłamane drzwi do starego budynku i w górę po krętej klatce schodowej. Było to trudne, ponieważ oparcie palcom u nóg dawały jedynie fragmenty kamiennych, podpartych dźwigarami, miejscami połamanych stopni. Przerazający widok w dół ukazywał ostre występy kamienne.

Od czasu do czasu spryskiwały ich fontanny wody, ponieważ strumienie z węży uderzały w szczyt klatki schodowej i spadały w dół. Czekali cierpliwie, podczas gdy druga grupa ludzi z TENO i strażaków opuszczała jakieś drzwi w dół szybu wentylacyjnego. Gdy drzwi obróciły się, Gerd ujrzał białą twarz starszego mężczyzny, mocno do nich przywiązanego. Jego ręce były wyciągnięte jak u drewnianej lalki. Nie wydał żadnego głosu, gdy krótkimi szarpnięciami opuszczano go obok nich. Obracając się łagodnie, z przerażeniem w pustych oczach i z otwartymi ustami, usiłował przypomnieć sobie, jak się krzyczy.

Od czasu, jak podoficer Boda ostatni raz był na drugim piętrze, dach

opadł na jeden pokój zabijając czterech pracowników rentgena. Podłoga przechyliła się jeszcze bardziej, a w ścianie ukazały się wystarczająco duże pęknięcia, aby widzieć przez nie na wylot. Co chwilę cały gmach stękał jak starzec, który zbyt długo siedział w jednej pozycji i jak starzec pochylał się na jedną stronę. Zawsze na tą samą.

Trzymajcie się blisko ściany - rozkazał Reuter swoim ludziom.

Podłoga zakolysała się pod nimi. Ściany wyrzuciły się od rozprężających się cegieł. Metalowe dźwigary też się rozprężyły: przyciśnięte do stropu, wykręcając się w żarze, strzelały gorącymi nitami przez pokój jak pociskami.

- Jak szybko zniosą tych ludzi na dół? - zapytał Bodo.

- Jedna ekipa klatką schodową, a druga szybem wentylacyjnym.

Każdej zabiera to około siedmiu minut.

— Zabierzcie stąd pielęgniarki - polecił Bodo.

— A pacjenci?

— Zabierzcie pielęgniarki.

Hauptwachtmeister zaszalutował niedbale i obrócił się, aby wrzasnąć na ludzi:

- Słyszeliście, co powiedział Oberzugfuhrer. Ewakuujcie wszystkie pielęgniarki na dół. Zaczniemy od tego piętra.

Ludzie z TENO pośpieszyli niezwłocznie za podoficerem, zbierając personel pielęgniarski i rozkazując pozostawienie pacjentów. Pielęgniarki próbowały dyskutować, ale rozkazy są rozkazami.



— Co sądzisz, Bodo, jak długo?

— Nie dłużej niż dziesięć minut.

Ani Bodo, ani Gerd nie zauważyli, jak pierwszy rząd łóżek po prostu zniknął. Jeden z gości z TENO zaklął, pielęgniarka krzyknęła, a potem koniec sali zapadł się. Ogień pożaru oświetlił sufit, ponieważ nie było już ściany. Wypadła na podwórze razem z łózkami i ludźmi. Drugi rząd łóżek zaskrzypiał, gdy ślizgały się, mimo blokady kółeczek u nóg, po nachylonym linoleum podłogi, ponieważ zbyt duża była siła ciężkości. Łóżka zderzały się i zaczepiały. Pacjenci, skrupowani kocami jak tłumoki, chwytały się filarów zrywając sobie paznokcie. Jedna z pielęgniarek straciła równowagę i przewróciła się. Ześlizgnęła się na siedzeniu po mocno wypolerowanej podłodze, usiłując cały czas przytrzymać ulatującą do góry spódnice i wyleciała ponad krawędzią muru na podwórze, dwa piętra niżej.

Rozległ się krzyk. Histeryczny krzyk, co to ani alarmuje, ani nie błaga. Był to krzyk rozpacz, oskarżający niesprawiedliwy świat.

Ludzie z TENO chwycili się pod rękę. Gerd, Bodo i jeden z ich pracowników, trzymając pacjentów posuwali się cal za cal od jednego uchwytu do następnego, wzdłuż gorącej, pęczniejącej ściany. Na zewnątrz eksplodowały bomby, a flary oświetlały ulice tak, że było jasno jak w dzień. Cienie przesuwaly się jak pijane i słycać było ustawiczny jęk przelatujących odłamków. Teraz, gdy już drugi koniec konstrukcji stalowej zawalił się, budynek jęczał i skrzypiał. Czuli, że szpital kołysze się przy każdym kolejnym wybuchu jak domek z kart, na który się dmucha. Za każdym razem kurz i tynk spadały z hałasem z sufitu i słały w powietrze chmury brudu. Opuszczeni pacjenci czynili teraz więcej hałasu, ale ludzie z TENO usiłowali nie zwracać uwagi na odległe krzyki.

Obwiązali sznurem każdego z trzech pacjentów na górze krętej klatki schodowej, a dwóch ludzi udało się na dół, aby odebrać opuszczanych chorych. Szyb schodowy był ciemny. Żar unosił się w nim jak w kominie, a kawałki zwęglonego materiału i papieru wzlatywały ku niebu obok nich, gdy szukali butami kamiennego oparcia dla palców nóg. Zielona flara bezpośrednio nad nimi pokazała na moment schody jak w świetle dziennym - bo nie było już dachu - a potem zdryfowała dalej, pozostawiając ich w jeszcze większej ciemności.

— Pozwólcie mi umrzeć - ponawiał raz po raz prośbę siwy starzec,

kiedy przekładali sznur pod jego ramionami. Kamienna posadzka parzyła go w stopy, więc podskakiwał z bólu. - Pozwólcie mi umrzeć, tylko pozwólcie mi umrzeć.

— Zamknij się stary durniu! - zawołał w końcu Bodo. - Powiem ci, kiedy będziesz mógł umrzeć.

— Jawohl, Herr Leutnant! - powiedział stary głosem, jakiego nie używał od 1918 roku.

Ludzie z TENO pracowali bez pośpiechu, badając każdy węzeł i sprawdzając uchwyty. Mieli zarumienione twarze, a pot spływał im po brodach. Jeden z nich zdjął hełm, próbując przypiąć go do pasa, ale w ciemności wypuścił go z ręki, a hełm spadł w dół klatki schodowej, dzwoniąc jak rozbity dzwon, gdy uderzał o potłuczone stopnie.

Pielęgniarki z górnego piętra namówiono do zejścia, udzielono im pomocy i przekazano jedną po drugiej w dół szybu klatki schodowej. Następnie opuszczono na linach pacjentów, a w końcu przystąpiono do ewakuacji ostatniego z ocalałych. Była to ledwie przytomna kobieta, która jęczała cicho, gdy mocowano wokół niej sznur.

- Wkrótce będziesz na dole, matko.

Gerd dodawał jej odwagi. Uśmiechała się z przyjaznym niedowierzaniem. Utrzymujący równowagę sznur przepalił się, gdy była w połowie drogi w dół i kręciła się powoli w kółko, kiedy przytrzymujące ją sznury skurczyły się pod wpływem żaru. Gerd asekurował ją. Jego buty ze stalowymi czubkami opierały się na pozostałych paru calach złamanego stopnia, a ręce szukały uchwytu. Jedną ręką pochwycił kręcące się ciało i udało mu się zwolnić przyprawiający o zawrót głowy ruch, gdy opuszczano ją obok niego. Nadal się uśmiechała.

- Prawie na miejscu - powiedział jej Gerd.

Jeden z ludzi z TENO zawołał z dołu, że kobieta nie żyje. Jego głos, jakby jakiegoś odzwiernego Podziemia, odbił się echem w kamiennym szybie klatki schodowej. I wtedy właśnie stary budynek zawalił się, wyrzucając łóżka i obłożnie chorych na podwórze, na jeden duży stos.

— Sześć minut - odezwał się Gerd.

— Tak - przyznał Bodo. - Niech to diabli! W następnych piętnastu minutach moglibyśmy opróżnić wszystkie sale.

Na parterze palił się jeden z magazynów płyt rentgenowskich. Gęsty

dym spływał w dół schodów do piwnicy, więc wiele pielęgniarek nosiło wilgotne maski z gazy.

Na podwórzu latarki migotały nad pogiętymi, żelaznymi ramami łóżek i zakrwawionymi kocami zwalonymi na stertę na kamienne płyty chodnikowe. Nie było sensu martwić się o zaciemnienie, kiedy całe miasteczko paliło się jasno, widoczne na sto mil. Tu i ówdzie pielęgniarki i żołnierze uwalniali żyjących jeszcze ludzi. Wołano noszowych, ale im nie było łatwo utorować sobie drogę przez stos dwustu ciał bez stąpania po jeszcze ruszających się i pojękujących.

- Bomby poszły - powiedział Digby zupełnie odprężonym głosem. Kiedy dwie dwustupięćdziesięciofuntowe bomby fosforowe z „Creaking Door” trafiły w stary budynek, żyjący upadli na zmarłych. Bomby fosforowe wyrzuciły na sześćdziesiąt stóp w powietrze chmary białych iskier, które opadały z dużymi kawałkami fosforu, palącego się tak ładnie jak sztuczne ognie. Kilka kawałków uderzyło w nogi Johanna Ilfy. Odkroi! je nożem od materiału i ciała, ale niektóre utkwily głęboko. Ludzie wkoło krzyczeli, walczyli, palili się i czasem przeżywali. Wili się jak żywa przynęta na haczyku i tylko niewielu stanęło z powrotem na nogi, jak duchy powstające z masowego grobu. Woda nie działała na fosfor. Oficjalne instrukcje zalecały przysypywanie go piaskiem, ale czyż można piaskiem posypywać twarz?

Ufa zdążył stwierdzić, że już łatwiej mu jest odrzucać prośby tych, których stan był beznadziejny. Słuszne to i logiczne, ale Ufa powiedział sobie, że był to kolejny krok na drodze do zezwierżenia.

Po odcięciu większości odprysków fosforowych, przeszedł kaszłąc i plując przez dym i ciężkie opary fosforu. Schludny, młody strażak popatrzał na starszego oficera z TENO zanim zasalutował.

— Czy pana ludzie mają maski przeciwgazowe, Herr Oberzugführer?

— Musieliby wrócić do bazy - odpowiedział Bodo.

— Wobec tego, za pańskim pozwoleniem, każę moim ludziom posortować ciała.

Ufa znowu zakaszłał.

— Gdybyśmy tylko mogli je polać.

— Nie ma na to dość wody, chyba że wycofamy się z poczty - powiedział Johannes Ufa.

— A co z pływalniami?

Ufa wytarł wąsy, które podobnie jak jego twarz były mokre. Zużył całą wodę z miejskich pływalni, kiedy na początku zabrakło jej do gaszenia. Teraz spojrział na szczupłego, starszego człowieka z TENO i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Przykro mi - powiedział Bodo Reuter. Byli jednymi z nielicznych, którzy tej nocy potrafili wykazać opanowanie i rozsądek. Spoglądali na budynek po przeciwnej stronie, na polewanie którego używano większość wody usiłując zapobiec przerzuceniu się ognia na ten blok.

— Aleśmy wpadli - powiedział Ufa niepewnie.

— Jak cholera - odparł Bodo. - Nie zazdroścę wam sortowania tej sterty, jeśli ciała zapalą się.

— Moi strażacy to kompletne dzieci - powiedział Ufa.

Bodo skinął, ale ileż lat mógł mieć ten strażak? Może dwadzieścia kilka? A jednak szedł teraz po ciałach stawiając kroki bez śladu wahania, podczas gdy członki zwłok pękały z trzaskiem pod jego stopami jak klocki węgla drzewnego.

Dał się słyszeć słaby kaszel. To Fuchs Ueberall stanął u boku Boda. Jego zarumieniona twarz i rozszerzone oczy zdradzały tłumioną histerię.

Głos miał komicznie wysoki.

- Już nie mogę Bodo. Podniosłem dziecko, a ono rozpadło mi się w rękach na kawałki. Czy mogę odejść i pomóc przy kopaniu? Przyślę tu jednego z chłopców. Rozpadło się na kawałki.

Bodo Reuter pochwycił swego towarzysza od kielicha za kołnierz i obrócił go, aby ścisnąć za gardło.

- Ja nie jestem Bodo, ty błźnie! Jestem Oberzugführer Reuter i zwracaj się do mnie per pan. Stań na baczność i zaszalutuj. Będziesz robił to, co ci kazano, bez dyskusji i bez wahania, ponieważ, Ueberall, przysięgam ci na wszystkie świętości, że wezmę pistolet i strzelę ci w łeb, jeśli przerwiesz robotę na dłużej niż trzeba dla otarcia potu z twojego dużego, tłustego pyska. Idź już!

Popchnął go z powrotem ku stercie ciał. Ueberall potknął się i upadł, a kiedy powstał, Reuter wrzasnął:

- Zrozumiano?!

Ueberall poderwał się na baczność i jak jakiś młody rekrut krzyknął:

— Tak jest, Oberzugführer! Heil Hitler!

— Heil Hitler - odpowiedział Bodo Reuter i dodał ciszej: - Tu się nie gra w kręgle, mój przyjacielu.

— O nie, tu nie gra się w kręgle - powtórzył Gerd Boli.

Kawałki fosforu wciskały się wszędzie. Pokryły cały plac i wytworzyły dość żaru, aby zapalić tłuszcz ludzkich ciał. Nieżywi i umierający eksplodowali z takim samym zadziwiającym błyskiem, z jakim patelnia zapala się w dłoniach nieuważnego kucharza. Włosy paliły się jeszcze łatwiej, a fosfor oraz palące się włosy i ciała wytwarzały gęsty, czarny dym, który atakował oczy i śluzówki powodując łzawienie i kaszel. Nieprawdopodobny żar odstraszał nawet weteranów. Największy stos ciał płonął i nikt nie mógł zbliżyć się do niego.

- Maski przeciwgazowe - powiedział Johannes Ufa i założył swoją, choć wiedział, że będzie go bolało. Musiał głęboko zaciągać się, aby wciągnąć powietrze przez filtry, a każdy oddech ranił jego uszkodzone płuco.

Drużyna straży pożarnej wyposażona w maski przeciwgazowe poruszała się powoli, jak nurkowie w głębinach morskich. Pielęgniarki i ludzie z TENO, studenci medycyny i strażacy, policjanci i Blockwarci oraz

żołnierze i kaleki, którzy pomagali wyciągać umierających, wszyscy oni wycofywali się. Wspinali się na gorący stos ułożony z drewna, cegły i ciał. Ich ślady oświetlały kawałki płonącego fosforu. Fragmenty muru i płynny ołów nadal spadały z dachu na podwórze, ale wszyscy członkowie ekip ratowniczych zdołali dotrzeć do drogi z wyjątkiem ośmiu pielęgniarek i siedmiu mężczyzn, którzy znajdowali się w pobliżu zachodniej ściany starego budynku. Na nich zwałił się wysoki komin przybudówki.

Johannes Ufa obsadzał stanowiska przy węzłach, obsługiwał pompy i wspinał się na płonące dachy. Odpryski fosforu upstrzyły jego nogi i pomimo użycia noża wgryzły się głęboko w ciało, paląc się z ohydny odorem. Jeden z najmłodszych rekrutów zameldował o ranach Ilfy, któremu nakazano udać się do punktu opatrunkowego.

Ani Gerd, ani Bodo nigdy nie wspominali o dwustu kobietach i mężczyznach zmarłych na podwórzu. To było tabu i nie rozmawiano o tym, chyba że ktoś, kto tam był, wspominał o tym nowemu rekrutowi. Nawet wtedy mówiło się o tym tylko po wielu wódkach i to szeptem.

To, co zostało ze starego skrzydła szpitala, zamieniono na punkt pierwszej pomocy. Przyćmione światła zapasowego generatora sprawiły, że okolica wydawała się jeszcze ciemniejsza. Doktorzy znali większość pacjentów, których przywożono na salę operacyjną.

— Halo, doktorze Maurer - powiedziała dziewczynka przywieziona do szpitala z zapaleniem migdałków.

— Będziemy musieli amputować tę rękę Fraulein. Zobaczysz, że poczujesz się wtedy dużo lepiej.

Poczekalnię dla pacjentów zamieniono na wielostanowiskową salę operacyjną, w której jednocześnie pracowało ośmiu lekarzy. Policjant z wiadrem i pompą spłukiwał wężem krew z linoleum, a wiadro z amputowanymi członkami wieziono przez salę na wózku do herbaty.

W korytarzu Johannes Ufa, stale myślący o Annie-Luizie, nie zwracał uwagi na ból. Dyskutował uparcie z pielęgniarką, która chciała mu odciąć nogawki i zbadać oparzenia po fosforze na jego udach. Teraz, kiedy już przez chwilę odpoczął, zaczął zdawać sobie sprawę, jak jest osłabiony. Płuco bolało go coraz bardziej. Pielęgniarka była młodą uczennicą i nie miała pojęcia, dlaczego strażak robi tak wiele hałasu o nic. Sytuacja zmieniła się, kiedy przyszła siostra oddziałowa. Miała szereg instrumentów chirurgicznych po piracku zatkniętych za pas, a włosy przypalone ogniem. Ściągnęła z twarzy maskę.

- Nie bądź głupi - powiedziała gniewnie. - Myślisz, że jesteś tu jedyne, który poplamiał sobie bieliznę?

Wielu bezwiednie opróżniało dzisiejszej nocy jelita, ale dla Johanna Ilfy poczucie przyzwoitości okazało się fatalne. Zmarł zanim rozcięto mu spodnie i kalesony.

Korytarzem nadeszły dwie pielęgniarki we fantazyjnych strojach: w domowej roboty kimonach z kolorowymi szarfami. Jedna z nich była cała  
brudna od  
krwi.

Bodo Reuter zauważył, jak pielęgniarka zrzuciła ze stołu szczupłe zwłoki Ilfy, żeby zrobić miejsce dla kogoś żyjącego. Wziął Ilfę za rękę, jakby chciał powiedzieć żegnaj i zarzucił go sobie na ramię.

- Położymy go gdzieś - powiedział.

- Tak, wyjdźmy stąd - odrzekł Gerd. - Ciarki mnie od tego przechodzą.

Na zewnątrz, na Dorfstrasse, ułożyli zwłoki na przednim siedzeniu wozu strażackiego magirus, po czym wrócili wzdłuż linii węży.

- Był dobrym fachowcem - odezwał się Bodo.

- Tak - odparł Gerd i to uznanie posłużyło za jedyne epitafium, jakie Ufa otrzymał.

Studzienka utworzona przez zablokowanie ścieku stanowiła nadal główne źródło zasilania, ale papiery i nieczystości stale zatykały filtry, które

strażacy musieli co parę minut wyjmować, a wtedy węże zasysały powietrze aż do ponownego wstawienia filtrów do cuchnącej wody.

Nocne powietrze było gorące, ale mężczyźni obsługujący węże drżeli z zimna, a dłonie mieli białe, zdrętwiałe i sztywne. Na końcu podwórka grupa ludzi z TENO polewała trzema węzami nie ogarnięte pożarem budynki. Nasączano wodą ściany poczty i niszczone niebezpieczne iskry. Jednak pięćset galonów, jakie pompa dawała na minutę, opadało nie sięgając nawet dachu poczty.

- Odłączyc dwa węże - rozkazał Bodo - bo nigdy nie sięgniecie najbliższe go dachu.

Rozkaz natychmiast wykonano.

- I doprowadzcie ciśnienie do dziesięciu atmosfer!

Gerd i Bodo czekali na wyłączenie odgałęzienia. Trudno było to wykonać w czasie pompowania wody, ale pomógł młody strażak z miejskiej straży pożarnej.

Pod nowym ciśnieniem wąż wzwał się niczym wściekły gad, ciskając się gwałtownie na boki jak oszalały. Opanowało go dopiero czterech pracowników TENO. Nowy strumień wody przebił otwór w czarnym dymie, a strażacy przybliżyli prędko głowy do końcówki wylotowej węża, aby móc popatrzeć na ogień przez tunel szybko poruszającego się powietrza, owiewającego ich twarze.

Powietrze przepelniały latające iskry, podobne do świecącej szarańczy, a większe, niewygasłe, czerwone drewnianka spływały powoli ku ziemi z pobliskich pożarów. Każdy błysk światła fotobomb zrzuconych przez bombowce lub błyski wybuchów oświetlały unoszące się w powietrzu różne przedmioty. Ci obywatele Altgarten, którzy przeżyli ten nalot, opowiadali, że RAF zrzucił tej nocy ulotki. Krążyły opowiadania o strasznych ostrzeżeniach o mających nastąpić dalszych nalotach. Jednak ulotki zrzuciono tej nocy nad północną Francją; na Altgarten spadły tylko bomby. Powietrze przepelniał zwęglony papier, unoszący się gdzieś do wysokości tysiąca stóp i pochodzący z samego miasta: rachunki, odezwy, testamenty, ulotki, obligacje, listy miłosne, nakazy aresztowania, kalki, rejestry, przepustki i różne inne papiery. Ich nadpalone kawałki spływały w ciepłym wietrze i opadały na miasto jak czarny śnieg.

Skrzynki kartotekowe, blaszane szafki na akta, schowki i skrzynki



pocztowe też stały się ofiarami tej nocy, a jeden list, który podróżował w powietrzu ćwierć mili, niesiony prądem termicznym pożaru piekarni przy Nehringstrasse, został wysłany wczorajszego popołudnia przez Gerda Bólla. Jego list do Augusta Bacha spadł na Liebefrauplatz, został przejechany przez ciężarówkę TENO, rozerwany butem strażaka, a następnie spłynął rynsztokiem do ścieku i przepadł w kanale. Kiedy wypadł otworem wylotowym węża, był tylko drobinami szarej papki rozpryskanej w samo serce pożarów, które pomimo wysiłków strażaków, objęły dach urzędu pocztowego.

- Spójrzcie! - zawołał ktoś z ciemności, kiedy wysoko nad nimi, na czarnym niebie został trafiony Lancaster, eksplodując na kształt czerwonej, oleistej kuli. Jeszcze jeden bombowiec płonął, ale leciał dość prosto podchodząc do celu. Cztery pociski kierowanego radarem ognia przeciwlotniczego rozerwały się w jednej linii pod i obok niego, w końcu, kiedy wyrzucił już bomby, artyleria przeciwlotnicza rozerwała go na kawałki.

Nie można zapomnieć zapachu bombardowanego miasta. Oprócz woni rozlanych perfum, chemikaliów lub żywności, zawsze czuje się nieświeży zapach wilgotnego materiału, zwęglonego drewna i środków wybuchowych. Nad wszystkim górowała jednak woń zbitej ziemi, w której leżały rury kanalizacyjne oraz gryzący smród pyłu ze starych cegieł. Wielu członków ekip ratowniczych zawiązało sobie na twarzach wilgotne chusteczki, które musieli zdejmować, aby móc coś powiedzieć.

- Nie zabierajcie tego dziecka. Musi nas poinformować, gdzie schroniła się jego rodzina, bo inaczej będziemy przebierać te gruzy tygodniami.

Herr Hollander miał pracowitą noc. Obszedł dwadzieścia mieszkań, aby sprawdzić, czy nie wpadły do nich bomby zapalające. Od czasu do czasu wsuwał głowę do ciemnej piwnicy, gdzie schroniła się jego gromadka. Odnutowywał każdą taką wizytę, a przy ostatniej zobaczył nad miastem bombowiec w płomieniach. Zawołał jak zwykle: „Nalot trwa, ale nasi dzielni myśliwcy dają nauczki tym świniom” i jak zwykle nikt mu nie odpowiedział. Ciężkie bombardowanie skłoniło go do pozostania w piwnicy przez kilka chwil. Było ciemno i cuchnęło, a od chwili, gdy ważąca cztery tysiące funtów bomba spadła po drugiej stronie ulicy, wentylatory przestały

działać. Ludzie siedzieli spokojnie. W browarze zarabiano dobrze, ponieważ Wehrmacht kupował całe piwo, jakie mogli uwarzyć. Pracując w nadgodzinach nawet prosty robotnik miał na koniec tygodnia grubą kopertę z wypłatą. Niektórzy zarabiali nawet więcej od niego. Hańba! Teraz natomiast nie okazali się na tyle uprzejmi, aby zrobić mu miejsce do siedzenia.

Patrzył na ich szorstkie dłonie i apatyczne, cielejące spojrzenia oraz tęgie ciała, opierające się ciężko o belki podporowe lub ramiona sąsiadów. Młoda dziewczyna miała głowę odrzuconą do tyłu i szeroko otwarte usta. Czasem pragnął wynająć jakiś dom przy Altmarkt lub Monchenstrasse, na jej ładniejszym końcu, lub nawet jakąś nową nieruchomość. Z drugiej jednak strony obecne mieszkanie przy Kaiserin-Augusta-Strasse było tak blisko miejsca pracy i nie kosztowało wiele.

Dostawa prądu ustała, a lampy naftowe kopciły w zgniłym powietrzu. Poświecił wkoło latarką, by sprawdzić, czy ktoś nie pali papierosa, co było surowo wzbronione. Panowała grobowa cisza. Kiedy Hollander zdał sobie sprawę z tego, co się stało, wydał cichy okrzyk przerażenia. A może bólu? A może litości? W schronie nikt nie żył i to od dłuższego już czasu. Pilnował zwłok: osiemdziesięcioro sześcioro mężczyzn, kobiet i dzieci zmarło wskutek rozerwania płuc, nie zaczerpnąwszy nawet oddechu. Ludzkie płuco jest delikatnym narządem: już ciśnienie siedemdziesięciu funtów na cal kwadratowy uszkadza je nieodwracalnie. Dokonała tego „kuka” zrzucona koło browaru, jedna z pierwszych bomb.

Przerażony Hollander wycofał się ku drzwiom, potykając się o jakieś worki z piaskiem. Upadł ciężko. Był starym człowiekiem. Jego krucha kość udowa pękła jak zapałka, a latarka zgasła. Hollander znalazł się wystarczająco na pierwszej pomocy, aby zdać sobie sprawę, że dowleczenie się o własnych siłach do drzwi było niemożliwe, gdyż poszarpana krawędź kości mogła rozerwać arterię udową i wykrwawić go na śmierć. Pozostał tam, gdzie upadł. Pracownicy ekip ratunkowych powiedzieli potem, że wyszedł z tego cudem. Dwa dni później zdumiony lekarz dokonał prześwietlenia płuc Hollandera i wysłał zdjęcie do akademii medycznej w Kolonii.

Strażacy wyposażeni w maski przeciwgazowe ratowali żyjących, wydobytych ze stosu zabitych na podwórku. Starczało teraz wody na spryskiwanie węzami robotników. Ich ubrania były tak gorące, że woda padając na nie syczała i parowała.

Przy Kaiserin-Augusta-Strasse 94 jakiś mężczyzna uparł się, aby wrócić do swego płonącego mieszkania, żeby zabrać polisy ubezpieczeniowe i spalił się żywcem. O pierwszej nad ranem na północnym odcinku Dorfstrasse trzech mężczyźni zatrzymani z walizkami pełnymi nowych koszul i kiełbas zostali na miejscu rozstrzelani przez policjanta. Odłamki szkła w kiełbasie upewniły go, że są złodziejami. Restauracja Frenzla okazała się nie do uratowania i choć rodzina właściciela została ostatecznie zmuszona do opuszczenia tego miejsca, czterdzieści trzy ciała, jakie tam złożono, spaliły się, gdy w piwnicy eksplodowała przechowywana tam francuska brandy.

Frau Pippert, która szła do domu pieszo wzdłuż Nehringstrasse, pomogła uwolnić młodego policjanta z płonącego budynku, trzymając go, podczas gdy pewien student medycyny amputował scyzorykiem jego uwięzione ramię. Policjant ten odzyskał później zdrowie.

Cztery czterofuntowe bomby zapalające trafiły w posterunek policji obok ratusza, ale odkryto je i ugaszono. Starszy strażak, który powinien wiedzieć, co robi, skierował strumień z węża na kabel wysokiego napięcia i zginął, a dwaj jego koledzy stracili na kilkanaście minut przytomność. Wstrząs podarł na strzępy ich spodnie, tak że przez resztę nocy pracowali z gołymi nogami.

Policjant na motocyklu utorował sobie drogę przez zaśmiecone ulice szukając Boda.

- Czy Herr Oberzugfuhrer Reuter?

Zasalutował i jeszcze zanim Bodo odsalutował, zdawał relację, rozglądając się jednocześnie wśród gruzów, by znaleźć miejsce na zawrócenie motoru.

- Jakiś Tommi wylądował na fermie Frau Kersten. Jest sprawą bardzo ważną, aby załoga nie zniszczyła samolotu przed jego zbadaniem.

Bodo skinął głową. Wiedział, że niektóre części samolotu należy przekazać do specjalnego laboratorium elektronicznego, zainstalowanego przez Luftwaffe w obozie koncentracyjnym Dachau. Żydowski uczeni próbowali odkryć najbardziej strzeżoną tajemnicę RAF - lampę magnetronową radiolokatora centymetrowego.

— Jadę natychmiast - odparł.

— Nie pojedę z tobą - powiedział Gerd Boli. - Wrócę do domu

kuzyna. Jego dziecko i gospodyni są w piwnicy.

- To ważne - naglił Bodo. Obaj wiedzieli, że Gerd odpowie: „Nie dla mnie”. Gerd przytaknął.

— Chwileczkę, proszę! - zawołał Bodo do policjanta. - Zabierzcie tego człowieka na Mönchenstrasse.

— Tak jest, Herr Oberzugfuhrer - odpowiedział policjant. Gerd wspiął się do wyglądającej jak zeppelin przyczepy motocyklowej i używając silnej latarki pomagał kierowcy poruszać się wśród stert drewna i cegieł. Odwrócił się do Boda, zrobił śmieszoną minę i pomachał jak małpa. Bodo podniósł rękę i odwrócił się.

Na środku ulicy, przed przybudówką szpitala, paliła się ciężarówka TENO. Motocyklista wyminął ją, a płonący wrak oświetlił im drogę na pięćdziesiąt jardów W przód. Gdy dojeżdżali do Zillerstrasse, zbiornik paliwa ciężarówki eksplodował ze straszliwym hukiem.

Przysypana w piwnicy Anna-Luiza słyszała tę eksplozję, ale nadal nie czuła strachu. Musiała pocieszać dziecko, a czyniąc to uciszała własne obawy. Ta suterena była kiedyś kuchnią i w pobliżu schodów znalazła służbową windę. Jej szyb był pełen gruzu, ale obok niego, na ścianie, znajdowała się rurka domofonu. Krzyczała także przez nią, nie było jednak odpowiedzi. Nadal słyszała eksplozje i doszła do wniosku, że większość ludzi znajduje się w schronach.

- Jesteśmy najbezpieczniejsi tu, gdzie jesteśmy, Hansl - powiedziała.

- Nie ma potrzeby spieszyć się dokądkolwiek.

Dotykała palcami misternego srebra i miśnieńskich figurek, ale ich nie pragnęła.

- Zawsze będę kochała twojego ojca, Hansl.

Chłopczyk uśmiechnął się. Wszyscy kochali tatusia.

Gdyby Sweet przyjrzał się z bliska swojej twarzy w tym momencie, odkryłby słabą, niebieskawą bladość skóry, która zwiastowała niedotlenienie. Rozdarcie przewodu spowodowało bardzo mały dopływ tlenu do maski. Człowiek popada w stan optymistycznej radości, zupełnie nieusprawiedliwionej okolicznościami. Niedotlenienie to prawie jak odurzenie.

Jeżeli chodzi o płonące skrzydło, to Sweet miał teoretycznie rację: przy normalnych temperaturach mieszanka paliwowo-powietrzna w każdym, częściowo wypełnionym zbiorniku, jest zbyt bogata, aby się zapalić. Ale lewy zewnętrzny zbiornik jego Lancastera nie miał normalnej temperatury. Na wysokości dwudziestu tysięcy stóp było tej nocy bardzo zimno, zimny był także samolot i jego ładunek paliwa.

Poszarpana krawędź spływu ognistej smugi kondensacyjnej z tyłu zbiornika nie podwyższyła temperatury. Mniej lotne cząsteczki benzyny wewnątrz zbiornika zagęściły się zubożając w ten sposób mieszankę paliwowo-powietrzna. Tu właśnie teoria myliła się: paliwo było nie tylko zapalne, ale nawet w wysokim stopniu wybuchowe.

Gumowa uszczelka na uszkodzonej, tylnej krawędzi zbiornika stała już od kilku minut w ogniu. Paląca się guma przeciekała przez powstałą szczelinę. Chlupocząca wewnątrz benzyna, mimo przegród zalała kilka pierwszych pęknięć tej gumy, aż w końcu została zassana przez drgającą szczelinę. Stworzyło to doskonałe warunki do eksplozji.

Sweet pomyślał, że to bezpośrednie trafienie pocisku artylerii przeciwlotniczej. Był o tym całkowicie przekonany. Wstrząs strzaskał większą część pleksiglasowego daszka kabiny i rzucił Sweetem w bok. Stracił kontrolę nad wyszarpiętą kolumną sterową i orczykiem. Nie był pewien, czy powstało jakieś uszkodzenie, ale Murphy, który spodziewał się eksplozji, domyślił się dokładnie, co się stało.

Eksplozja stuczternastogalonowego zbiornika złamała skrzydło przy lewym zewnętrznym silniku. Jednocześnie pękł główny dźwigar silnika w punkcie jego zamocowania pod skrzydłem, a podpora na krawędzi natarcia skrzydła została częściowo uszkodzona. Nie mając tej podpory, płonący

silnik począł gwałtownie bić i w ciągu piętnastu sekund oderwał się od tego, co pozostało z płata, kiedy część skrzydła odłamała się. Lancaster kontynuował przez jakieś pół minuty lot po nieco tylko krzywej linii. Potem, gdy silnik odpadł, jego równowaga drastycznie się zmieniła. Odciążone utratą wielkiego, dwunastocylindrowego merlina, lewe skrzydło uniosło się w górę. Nabierając pędu, olbrzymi bombowiec zaczynał wykonywać beczkę. Sweet i Murphy parli całym swoim ciężarem na kolumnę sterową, ale lewa lotka i część skrzydła, do której była przymocowana, odleciały w ciemność. Prawa lotka była w strzępach. Pozbawieni lotek nie mogli korygować dziwnych wyczynów samolotu; jak rażeni piorunem obserwowali pół tuzina maleńkich, pomarańczowych pajęczków, które pełzały po czystym daszku z pleksiglasu, a potem już szybciej, w dół lewej szyby. To było Altgarten w ogniu. Każdy pajęczek był połową palącego się budynku miejskiego. Olbrzymi samolot wykonał kompletny obrót wokół swej podłużnej osi.

Gdy samolot zaczął beczkę Murphy sięgnął po spadochron i przymocował go. Wiedział, że musi ten obrót kontynuować, że będzie się obracał coraz szybciej, aż siła odśrodkowa uniemożliwi ucieczkę z bombowca. Jego kolana już się ugiwały i czuł, że całym swoim ciężarem jest przyciskany do podłogi kabiny i spychany w dół ku nosowi samolotu kilka stóp niżej. Chwytając się mocno krawędzi obudowy wkoło manetek gazu oraz wystających wręgów i metalowych kantów, podciągnął się ku czarnemu prostokątowi nocy. Pomagał sobie nogami odpychając się od części stałych składanego siedzenia. Kiedy już przywarł szerokimi ramionami do krawędzi przegrody komory bombowej, siła odśrodkowa rzuciła go głową w przód na stanowisko bombardiera. Przewód tlenowy i kabel mikrofonu dusiły go. Zdarł je z głowy, ale przedtem usłyszał, jak Sweet powiedział:

- Nie ma co robić paniki, opanowałem go.

Lancaster z ryczącymi silnikami zaczynał już swoją drugą beczkę. Kręcił ją teraz szybciej. Kolorowe ognie i bomby oświetlające zbliżały się do przezroczystego nosa samolotu, który przechodził w korkociąg. Murphy ugiwał nogi w kolanach, aby oprzeć obcas buta o płaski przód komory bombowej. Ogarnięty paniką usiłował wydostać się walcząc z silnym strumieniem powietrza, które miażdżyło go jak niewidzialny młot kowalski.

Cał za całem, wykorzystując maksymalnie mięśnie nóg, zmusił ciało do obsunięcia się niżej. Krawędź luku wgrzyła się w jego ciało, zaczepiając o każdy pasek i każdą sprzączkę pasów spadocronowych. Spoconego i wyczerpanego po ostatnim kopnięciu wciągnęła czarna, zimna noc. Siła odśrodkowa wyrzuciła go łukiem. Gdy spadek po krzywiźnie wyrównał się, Murphy znalazł się w korkociągu, do góry nogami, w pozycji skulonej z twarzą przy kolanach. Wiedział, że nie wolno mu otworzyć spadochronu przed ustaniem wirowania ciała, ale ono nie ustawało. Czekał przez chwilę, która wydawała się godziną, aż ognie mknące obok zbliżyły się niebezpiecznie blisko i wtedy pociągnął linkę wyzwalającą. Czasza i linki wypadły gwałtownie z brązowej, płóciennej torby uderzając go w twarz. Wzdrygnął się od tego uderzenia tak, że przy następnym obrocie jego noga nie przeszła przez paski nośne. Pasy spadochronu pochwyciły jego but. Wierzgał, ale nie mógł się uwolnić. Bał się ruszać nogą zbyt energicznie, aby nie poplątać linek. Kołysany w płątaniu pasów spadochronowych, jak niemowlę w dziobie bociana, Murphy spływał łagodnie w dół ku porażonemu miastu. Raz światło reflektora musnęło go i przez jeden moment jedwabna czasza zaślniła oślepiającą bielą. Murphy przypomniał sobie modlitwę z dzieciństwa i odmawiał ją teraz głośno.

Sweet nie widział powodu, dla którego mechanik czołgał się po podłodze w upadającej panice. Wykonał wiele korkociągów. W szkole podstawowego pilotażu ćwiczący je obowiązkowo. Nie martwił się zwiększającą się szybkością korkociągów, ponieważ wiedział, że im szybszy korkociąg, tym większa prędkość lotu, co ułatwia odzyskanie kontroli nad samolotem. Pozwolił, aby pomarańczowe pajęczki nadeszły raz jeszcze. Teraz tańczyły na przedniej szybie, więc wiedział, że nurkuje prawie pionowo. Spokojnie nacisnął obydwoma stopami na jedną stronę orczyka. Wiedział, że trzeba będzie dużego wysiłku i dusił mocno. Niestety nie było już lewych lotek i lewego skrzydła. Upadł do przodu i otarł sobie skórę na kolanach oraz przeciął nadgarstek.

- Niech to diabli - powiedział spokojnie do siebie. Nie miał teraz cienia wątpliwości, że musi wyskoczyć. Olbrzymi samolot kręcił spiralę w kierunku ziemi, a jego konstrukcja charczała i gwizdała. Słychać było odrywający się metal. Wskazówka wysokościomierza obracała się do tyłu z zastraszającą szybkością. Jego ręce były ciężarami uciskającymi pierś, ale



udało mu się zdjąć podarte rękawice i dostać się do pasów spadochronowych. Powoli odpiął pas przytrzymujący go na siedzeniu. Sprawdził, czy spadochron jest dobrze zamocowany i zdecydował się wydostać przez luk w nosie samolotu. Statystycznie luk nosowy był najbezpieczniejszy.

Cholernie to głupie, ale nie mógł powstać. Pchał, ciągnął, wykręcał się, ale nie mógł wstać z siedzenia. Siła ciężkości przyciskała go tak, że nie miał siły podnieść swego ciała. Nacisk wywierany na głowę zrobił mu drugą brodę i spowodował, że czuł mdłości. Krew odpływając z mózgu przyćmiła mu wzrok. Śmieszne. Miał przecież po co żyć: dobrego zdrowia, przystojny, posiadał medal, dwie przyjaciółki (jedna z mieszkaniem w Londynie), mały biznes (Jeg<sup>o</sup> akcje szły w górę) awans oczekiwany w sierpniu, wielu dobrych przyjaciół wśród kolegów. Dlaczego nie może wstać z siedzenia? Ciemniało mu w oczach coraz bardziej w miarę rosnącej siły grawitacyjnej, pozbawiającej jego mózg krwi.

Lancaster „S jak Sweet” uderzył w fermę Frau Kersten, wybijając lej o średnicy trzydziestu stóp i głębokości ośmiu stóp. Największą pozostałą po samolocie częścią była partia ogonowa, która wylądowała dwieście jardów dalej. Tylny strzelec - zabity w pierwszym ataku - znajdował się jeszcze w wieżyczce, która odpadła przed zderzeniem. Przednia część kadłuba uderzyła w boczną ścianę domu mieszkalnego fermy i zniszczyła cały budynek. Połamane cegły i kawałki tynku nieomal zakryły podarte i przypalone banknoty oraz monety błyszczące w świetle latarek. Patelnie zmieszały się z wysokościomierzami, podglówki z przewodami paliwa, a kawałki Frau Kersten i jej francuskiego żołnierza splotły się poufale z kapitanem Sweetem. Były tam także postrzępione lotki i pogięte klapy. Jeden gorący, dwunastocylindrowy silnik wyłobił wypaloną bruzdę w trawniku i ściął drzewo. Inny zamienił oborę w sklep rzeźnicki. Czuć było smród spalonego oleju i gorącego węgla, a rozpalone do czerwoności kawałki metalu dźwięczały jak dzwoneczki u sań. Z osobistych rzeczy w szczątkach samolotu, znaleziono scyzoryk w oprawie z kości słoniowej z urządzeniem do obcinania cygar, ciepły pęk kluczy, lewy but bombardiera i podartą haubę z napisem „Murphy” wykonanym lakierem do paznokci.

Bodo Reuter i jego ciężarówka pełna ludzi z TENO przybyła na miejsce wypadku piętnaście minut po rozbiciu się samolotu. Zorganizował

przeszukanie, aby upewnić się, czy jakieś dzienniki, książki lotów i sprzęt radarowy nie upadły poza miejscem zderzenia. Fuchs Ueberall i jego pomocnik znaleźli lotnika RAF zaplątanego na drzewie, zaledwie sto pięćdziesiąt jardów od samolotu. Był tęgiej postury i uśmiechał się nerwowo, gdy go zatrzymano. Dwaj ludzie z TENO zabili go łopatami.

Po godzinnym używaniu świetlnej, szklanej mapy, żarówki, ciepły lakier i malowany metal wydzielały smród, który mieszał się z wonią pasty podłogowej i napiętych ze zdenerwowania ciał. Wszystkie baraki „T” Luftwaffe miały ten sam zapach, gdy bitwy powietrzne dochodziły do punktu kulminacyjnego. Zapach, napięcie i błyszczący stół Seeburg, przyprawiały Augusta Bacha o tępy ból głowy. Zawsze tak było. Kiedy naloty kończyły się wcześniej lub trasa powrotna strumienia bombowców wiodła nad innym sektorem, lubił stanąć na dworze, wciągnąć nosem zapach morza i pozwolić nocnej bryzie odświeżyć go po zmęczeniu, a oczom odpocząć w ciemności. Czerwony punkcik zawrócił powoli i skierował się ku Utrechtowi. Było to na wschodnim krańcu obszaru jego sektora. August skorygował kurs myśliwca.

- Odchodzi - powiedział Willy Reinecke. Śledził punkty świetlne woskowym ołówkiem. Kreślił kręty zapis nieudanych prób przechwycenia, gdziekolwiek dwie linie splatały się. Teraz zbiegły się jeszcze raz i ołówek Willy'ego zawisł w powietrzu, próbując zmusić myśliwca do pójścia za łupem.

- „Katze Osiem”, rozkazuję zwiększyć prędkość! - ponaglał August.

Leutnant Beer patrzył szeroko otwartymi oczyma w ciemność przed sobą, usiłując dojrzeć cel. Zazdrośnie spojrział ku północy, gdzie niebo było jaśniejsze. Gdyby byli z tamtej strony, mógłby ich dojrzeć, ale kierując się na wschód, ku ławicom cumulusa czyniącym horyzont poszarpanym i niewyraźnym, miał nikłą szansę na zobaczenie sylwetki Tommiego. Jeśliby którykolwiek z tych facetów na ziemi znalazł się kiedyś w samolocie nocą, miałby więcej zrozumienia od tego nerwowego, źle usposobionego głupca, który widział wyraźnie punkcik na stole i myślał, że musi świecić równie jasno na niebie. Tymczasem było tu prawie tak ciemno i pusto jak na dnie morza i tylko odległe migotanie światła wskazywało, że świat nie śpi, że żyje.

Z lewej strony znajdowała się bateria dziesięciu reflektorów, poruszających się bez celu, powoli zmieniając swoje abstrakcyjne układy wiązek światła od pionowych pasów do szarej, widmowej piramidy, która

ledwo zbudowana była niszczona, stając się literami V i iksami. I co z nich za pomoc! Beer wiedział, że gdyby zabłąkał się blisko owych wiązek światła, to zaraz próbowano by go zestrzelić.

Z prawej strony, w odległości osiemdziesięciu mil, widział atakowany cel. Odległość pozbawiła flary i wybuchy wszelkiego kolorytu. Stąd były tylko szarym, stale migotającym punktem orientacyjnym.

- Nigdy go nie dopadnie - oznajmił August z anielską cierpliwością. - Rozkazuję krążyć nad latarnią sygnalizacyjną na wysokości sześciu tysięcy metrów!

Wyłączył Beera i połączył się z operatorem czerwonego Wiirzburga.

— Dajcie mi innego Tommiego.

— Tak jest, panie poruczniku. Nadal wielu przybywa.

Willy Reinecke już dawno zdjął bluzę i krawat, a teraz wyciągał ramiona krążąc nimi, co przynosiło ulgę jego obolałym członkom. Ze zmęczoną twarzą, zmierzwioną czupryną i olbrzymimi ramionami wyglądał jak kłown. Ale nikt się nie śmiał.

- Czy wszystko w porządku, Willy?

Willy przytaknął, ale August czuł, że nie wszystko było w porządku.

- Co jest, Willy?

August spojrział zaniepokojony z powrotem na stół i na wykresy wysokości. Czyżby zrobił z siebie głupca przed wszystkimi? Czy ustawił tego ostatniego na zły wysokości, a potem winił go za niepowodzenie akcji? Nie dopatrzył się żadnego błędu.

- Nie zgrywaj się, Reinecke - powiedział August zimno. Wiedział, że czasem się mylił, ale nie pozwoli podwładnemu robić z siebie durnia. Nawet swojemu zastępcy. Starszy goniec Unterfeldwebel Tscholl, siwy, starszy mężczyzna z Innsbrucku, także spoglądał jakoś dziwnie na Augusta.

Willy usiłował wyciągnąć palce z dłoni i głośno trząskał ich przegubami.

— Chodzi o cel - powiedział wreszcie.

— Cel?...

— Jak nam wiadomo, oznaczono go dokładnie, chociaż niektóre markery spadły na Duisburg. Mgła nad Ruhrą zmieniła krajobraz. Może tu leży przyczyna, ale kto wie?

— Co z celem?

— Tommis przeprowadzają precyzyjne bombardowanie Altgarten, panie poruczniku.

Nareszcie to z siebie wydusił.

— To niemożliwe.

— Pomyłka... mylne wiatry... zniszczony samolot naprowadzający, uszkodzony sprzęt.

— Altgarten? Cały strumień?

— Obawiam się, że tak, Herr Oberleutnant.

August starał się wyobrazić sobie, co się tam dzieje i przez chwilę nie odezwał się.

— Przejmij stół, Reinecke.

— Ależ, panie poruczniku...

- Tscholl, powiedz centrali telefonicznej, aby połączyła mój biurowy telefon z tym numerem.

Tscholl wziął od niego świstek papieru, ale stał dłuższą chwilę, zanim wykonał polecenie. Obaj wiedzieli, że daje Augustowi czas na zmianę polecenia. Rozmowy telefoniczne były surowo zakazane.

— W pana biurze? - zapytał w końcu goniec.

— Tak - rzucił August - i niech próbują inne numery, jeśli nie odezwie się ten pierwszy.

— To przestępstwo zagrożone sądem wojennym - powiedział telefonista, Gefreiter Orth, kiedy polecono połączyć dowódcę z prywatnym numerem w Altgarten. Jego małe, chytne oczka zabłyśły, gdy obserwował reakcję Tscholla.

— Lepiej, aby do tego nie doszło - odparł Unterfeldwebel Tscholl.

— Jakoś to zorganizuję - powiedział operator. - Nie zrobię staremu świństwa.

— Lepiej nie - zgodził się Tscholl. - Gdybyśmy go stracili, moglibyśmy dostać tego starego drania z mojej ostatniej jednostki. Musiałbyś siedzieć w wyprasowanym wyjściowym mundurze, czysty i ostrzyżony, na wypadek, gdyby jakiś bubek wysokiego stopnia przyszedł od ciebie zatelefonować.

Telefonista, ubrany w podkoszulkę, szorty i sandały, potarł szczeciniastą brodę i wstrząsnął się na tę myśl. Spojrzał dokoła na swoje małe sanktuarium. Na ścianie ponad PBX naklejono kilkanaście zdjęć nagich dziewcząt, parę dziecięcych buczków, krucyfiks i ostrzeżenie: „Wróg podsłuchuje!” z karykaturą Winstona Churchilla o ogromnych uszach.

Orth był nie tylko najbardziej niezołnierskim mężczyzną w Ermine.

On był jej najślawniejszym paskarzem. Dobrze wiadano, że gdy wywieszał na drzwiach znak, że wróg podsłuchuje, to znaczyło, że policja bezpieczeństwa jest na podsłuchu.

- Rotterdam? Tu łączność Luftwaffe, Ermine. Zamawiam pilną rozmowę z Altgarten, Rheinprovinz. To rozkaz generała Christiansena i nie należy rozmowy wpisywać do dziennika. Jeśli potrzeba wam szczegółów, to poproście Stabsfeldwebela Brauna o pisemne upoważnienie. Tak, poczekam, ale tylko chwilę.

Siwy Tscholl zagryzał niespokojnie wargi.

— A jak zapyta tego Brauna? Orth mrugnął.

— Braun jest jednym z naszych wspaniałych ludzi - wyjaśnił.

Gdy telefon odezwał się w piwnicy, Anna-Luiza prawie zasypiała, ponieważ wentylatory przestały działać i w schronie zrobiło się ciepło i duszno.

- Tu centrala Krefeld. Czy przyjmie pani służbową rozmowę via łączność Luftwaffe, Rotterdam?

Zanim odpowiedziała, nawet mimo trzasków na uszkodzonej linii telefonicznej rozpoznała głos Augusta:

— A

nno-  
Luizo,  
czy  
wszyst  
ko w  
porząd  
ku!

— W

doskon  
ałym  
porząd  
ku,  
Herr  
Oberle  
utnant

-

odpowi  
edziała  
. .  
Zupełn  
ie już  
rozbud  
zona  
domyśl  
iła się,  
że  
August  
narażał  
się na  
wielkie  
niebez  
piecze

ństwo,  
ryzyku  
jąc tę  
rozmo  
wę  
telefon  
iczną. -  
Ja... to  
znaczy  
Hansl i  
ja  
jesteśm  
y w  
schroni  
e Herr  
Vossa.  
Praca  
odbyw  
a się  
jak  
zwykle  
-  
dodała,  
aby  
brzmia  
ło to  
bardzie  
j  
urzędo  
wo.

— P

raca? -  
zapytał  
August  
. - O

czym  
ty  
mówis  
z?

J

uż  
miała  
powied  
zieć, że  
nalot  
trwa,  
ale że  
są  
bezpie  
czni,  
lecz  
przypo  
mniała  
sobie,  
że nie  
można  
przez  
trzy  
dni  
ujawni  
ć  
miejsc  
a  
bomba  
rdowan  
ia.  
Wiedzi  
ała  
także,  
iż



pracow  
nicy  
służby  
bezpie  
czeńst  
wa  
mogli  
kontrol  
ować  
rozmo  
wę.

— W

szystko  
w  
porząd  
ku -  
powied  
ziała. -  
Wszyst  
ko jest  
dokład  
nie tak,  
jak  
obiecał  
am ci  
po  
połudn  
iu.

— B

ędzie  
jak  
zadecy  
dowali  
śmy -  
oświad

czył  
August  
,  
ostrożn  
y z  
tych  
samyc  
h  
powod  
ów.

H

ałas  
spowo  
dowan  
y  
przelot  
em  
samolo  
tu  
Sweeta  
tuż nad  
dacha  
mi  
miasta,  
był tak  
głośny,  
że  
Anna-  
Luiza  
słyszał  
a go  
nawet  
na  
głębok  
ości

piwnic  
y  
Vossa.  
Dało  
się  
słyszeć  
wielki  
huk,  
gdy  
samolo  
t  
uderzył  
w  
ziemię.  
Rozbił  
się na  
części,  
każda  
wielko  
ści i  
wagi  
samoc  
hodu;  
części  
te  
podska  
kiwały  
na  
polach,  
wstrząs  
ając  
ziemią  
przy  
każdy  
m

uderze  
niu.  
— N  
ie  
słyszę  
pana,  
Herr  
Oberle  
utnant.  
Jest  
taki  
hałas i  
głos  
pana  
jest  
bardzo  
słaby.  
— B  
ędzie  
tak, jak  
zaplan  
owaliś  
my.  
— B  
ędzie  
co?  
— N  
ic -  
odparł  
August  
.  
— C  
o pan  
powied  
ział?

Będzie  
tak jak  
zaplan  
owaliś  
my?

— K

ocham  
cię -  
rzucił  
August  
desper  
acko i  
zakońc  
zył  
rozmo  
wę. -  
Dzięki  
Bogu -  
powied  
ział do  
siebie  
spokoj  
nie i  
wrócił  
do  
stołu  
Seeber  
g.

-  
Mamy  
innego  
-  
poinfor  
mował  
go

Willy.

A

ugust  
wziął  
mikrof  
on i  
powied  
ział:

-

„Katze  
Osiem  
”.

Nakaz  
uję

kurs

270 na

czołow

e

równol

egle

przech

wyceni

e. Jaką

masz

wysok

ość?

— C

ztery

tysiące

pięćset

metró

w -

odrzekł

Beer.

August

zwrócił

się do

Willy'

ego:

— K

iedy

Tommi

zacznie

wytrac

ać

wysok

ość?

— W

każdej

chwili

-

odpowi

edział

Willy.

- Nie

będzie

czekał,

aż

doleci

do

wybrze

ża,

czuję

to.

— T

e jasne,

koloro

we

pociski

lekkiej

artyleri

i

przeci

wlotnic

zej to

lotnisk

o

Gilze-

Rijn.

Za nim

Breda.

Pięćdzi

esiat

mil do

holend

erskieg

o

brzegu.

.. Przy

tym

wietrze

,

powied

zmy

szesnaś

cie

minut.

— Z

aczną

wytrac

ać

wysok

ość -

oznajm

ił  
Lambe  
rt. -  
Nabier  
zemy  
trochę  
prędko  
ści,  
gdy  
opuści  
my nos  
samolo  
tu.

## K

osher  
pochyli  
ł się do  
przodu  
i  
wygod  
nie  
ułożył  
przy  
przedni  
ej  
szybie  
Flanag  
ana,  
zezowa  
tą lalkę  
Lambe  
rta.

-

Nie  
chę,

aby  
Fłan  
przewr  
ócił się  
-  
powied  
ział.

Lambert dostał tę lalkę przed swoim pierwszym lotem operacyjnym i od tego czasu zawsze z nim latała. Cała załoga wierzyła niezachwianie, że latanie bez Flanagana zmniejszyłoby szanse ich przeżycia, więc od czasu jak strzelec pokładowy z eskadry A pożyczył sobie Flanagana bez pozwolenia, Lambert zamykał go między lotami na klucz. Zauważył, że każdy z załogi dotykał wygniecionej lalki od czasu do czasu w czasie lotu, przy czym Cohen i Jimmy Grimm robiąc to znajdowali jakąś wymówkę i nie przyznawali się, że są przesądni. Żona Jimmy'ego pocerowała w zeszłym miesiącu stopę Flanagana i zrobiła dla niego niebieskie, aksamitne spodenki.

Kosher powrócił do stołu nawigacyjnego, a Lambert łagodnie skierował samolot w dół, ku ławicy chmur.

Willy Reinecke splunął głośno w dłoń. August szczerze pragnął, aby tego nie robił, przynajmniej nie tak głośno, ale ojciec Reineckiego także tak robił „na szczęście” przed rozpoczęciem każdej pracy. W średniowieczu traktowano to jako ochronę przed Złym. Jaką szansę miał August, aby przeszkodzić w tym Reineckemu? W każdym razie przydałoby się im trochę szczęścia. Willy przycisnął miękki koniec woskowego ołówka do świetlnego punkcika i zaczął za nim podążać. Po raz drugi tej nocy „Creaking Door” zaczął podróż po stole kreślarskim Ermine.

W schronie oczarowana Anna-Luiza odłożyła słuchawkę. Zaśpiewała miękko swoją ulubioną i pasującą do chwili piosenkę, która, wierzyła w to, miała magiczną moc. A wiedziała, że miłość jest magią.

„Wiem, że czasem zdarzy się cud.

A wtedy ziści się tysiąc bajek.

Wiem, że żadna tak wielka i cudowna miłość nie może minąć szybko.

Obojgu nam świeci ta sama gwiazda,

A los twój jest moim losem.

Jesteśmy daleko, a jednak tak blisko

Ponieważ nasze dusze są połączone;

I właśnie dlatego czasem zdarza się cud

I wiem, że znowu się zobaczymy”.

Gerd Boli był ekspertem w nowym, dziwnym rzemiośle: penetrowaniu zbombardowanych budynków. Wiedział, że można je podzielić na trzy główne typy. Jedne rozpadały się w rumowisko i tworzyły piramidę nieprzeniknionych gruzów. Drugie to budynki, które zwały się na jedną stronę. Tak się stało ze szpitalem. Wreszcie trzeci typ ruin, najtrudniejszych i najbardziej zdradzieckich, w których podłogi zapadły się do środka budynku tworząc coś w kształcie liter V, stłoczom jedno na drugich i czekające tylko, aby osiąść niżej na nieostrożnym członku ekip; ratowniczej.

Gerd znał kilka rodzajów „zachowania się” gruzów. Wiedział, że słabe krzesło może utrzymać kilka ton muru lub szepić się mocno z innym meblem, tworząc cudowną pieczarę w samym środku rumowiska. Wiedział, że gaz może zebrać się w komorach pozbawionych powietrza i tak zagęścić, że potrafi zmorzyć człowieka który włoży tam głowę. Wiedział o niebezpieczeństwie ze strony kapiącej wody i wiedział też, że osoba ogarnięta paniką wymaga tunelu dwa razy większej średnicy niż uważa i spokojna i że z tego powodu niektórzy ratownicy nie mogli powrócić spod gruzów zrobionymi przez siebie tunelami. Wiedział wreszcie, że kręty tunel jest bardziej wytrzymały. Krótko mówiąc - Gerd był ekspertem.

- Nie wolno palić - zwrócił uwagę jednemu z żołnierzy.

Nie było żadnej możliwości przekopania się przez stos gruzu, jaki przykrył piwnicę Vossa. Gerd Boli dokonał dokładnego przeglądu tego stosu, patrząc uważnie na rumowisko cegieł i kawałków drewna. Podnosił drzwi i materace, aby zbadać kształt rumowiska i zdecydować, gdzie przebiegają linie obciążenia. Gruzy wznosiły się na dwadzieścia stóp nad poziom ulicy i spłaszczały raptownie nieznacznie się zapadając. Normalnie zaczęłby kopać jak najbliżej ziemi, ale znajdująca się na górze stara sofa i stół kuchenny wydawały się tworzyć wejście przez rupiecie do naturalnej pieczary. Wypróbował je stopą i gdy tylko piesek-zabawka i jakiś roztrzaskany tynk poruszyły się, zdecydował, że jest tu wystarczająco pewnie, aby się wkopać.

Wsunął się na całą swą długość do środka rumowiska, usuwając zaledwie kilka kawałków podłogi, łamiąc nogę krzesła i podając to ludziom

znajdującym się za nim.

Usłyszał jak jeden z żołnierzy powiedział:

- Herr Boli znalazł drogę.

Wyobrażał sobie, że Anna-Luiza przyjmie jego zjawienie się bardzo spokojnie. Nie mógł jej rozszyfrować. Intrygantka lub święta, pomyślał. Nie, święta nie było właściwym określeniem.

Gruzowisko nadaje często naturalny kierunek przekopującemu się, który powinien z niego skorzystać, jeśli to tylko możliwe. Choć teraz czołgał się pod bardziej płaskim kątem, kontynuował posuwanie się wzdłuż linii najmniejszego oporu. Głęboko wewnątrz stosu gruzów zatrzymał się na moment, aby go obsłuchać. Nie było żadnego ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem, tylko kilka skrzypnięć i trzasków oraz przesuwanie się sproszkowanego tynku. Jako dziecko cierpiał na lekką klaustrofobię. Doktor radził rodzicom, aby zostawiali drzwi jego sypialni otwarte.

- Wyrośnie z tego - mówił. Gerd przewyciężył swój strach, z czego był bardzo dumny.

- Piłę - wyszeptał. Odwracając się wziął piłę za uchwyt i przeciął półkę na książki w dziesięć minut, choć ostrze posuwało się tylko o trzy, cztery cale. Za półką były książki i poradził sobie z nimi usuwając jedną po drugiej. Heine, Schiller, „Skarb w Srebrnym Jeziorze” Karola Maya, „Stracone zachody miłości”, „Medycyna na użytek domowy”, „Podróż w pojedynkę przez niemiecką Zachodnią Afrykę”, „Wspomnienia generała piechoty”, „Gotuj sam”. Podawał je kolejno do tyłu, do ratownika, który był za jego stopami, a każda z książek pozwalała Gerdowi popęznąć do przodu o następny cal. Sterta płyt gramofonowych trzasnęła głośno pod jego łokciem, a kawałek kominka zranił go w nogę.

- Cicho! - powiedział Gerd, a słowo to powtarzano przekazując je do tyłu ludziom przy wejściu do tunelu. Następnie rozległ się gwizdek, dający znać przechodniom, żeby nasłuchiwali krzyków zagrzebanych ludzi. Ale Gerd mylił się.

Anna-Luiza nie krzyczała. Siedziała w fotelu tuląc do siebie małego Hansla, kołysząc go łagodnie i gładząc po włoskach. Spał teraz, ponieważ udzielił mu się spokój dziewczyny. Od czasu rozmowy z Augustem zagrała na pozytywce kilkanaście razy, przejrzała miśnieńską porcelanę i srebro oraz chodziła po magazynie, póki wszystkiego nie obejrzała. Teraz, przy



skręconym płomieniu naftowej lampy - ponieważ wiedziała, że rano nie będzie tu światła - czekała cierpliwie na ratunek.

Gerd Boli posuwał się rażno naprzód, potrzebując niecałej godziny na dotarcie do poziomu ziemi. Postęp ten małał jednak w miarę posuwania się, ponieważ Gerd musiał podpierać mocno kawałkami drewna lub cegły górną ściankę tunelu, aby nie naruszyć zrujnowanego domu. Kiedy będzie wracał, to usunie po kolei te swoje stemple kopalniane. Na razie jednak utrudniało to podawanie gruzu do tyłu, więc gdy tylko mógł, upychał go na płasko. Po usunięciu największych przeszkód pozostawało mu jeszcze dość miejsca, aby posuwać się do przodu przez rumowisko. Był to najłatwiejszy tunel, jaki kiedykolwiek drążył; prawie tak, jakby ktoś inny zrobił go dla niego.

Gerd, niczym archeolog, rozpoznawał ściśnięte warstwy będące kiedyś piętami: pełznął przez płytki łazienkowe do chodnika ze schodów i dalej przez kawałki kuchennego zlewozmywaka. Podłoga kuchenna była kamienna i Gerd przewidywał tutaj długie i ciężkie kopanie. Okazało się to jednak dość proste. Flizy były strzaskane, a w miękkiej ziemi utworzyła się obszerna jama. Gerd przesunął się przez nią ostrożnie, a mimo to podrapał sobie na połupanym kamieniu gołonie. Znajdował się teraz pod kątem 45 stopni, głową skierowany w dół, zapobiegając z wysiłkiem obsuwaniu się nóg, podczas gdy ręce usuwały sprzed niego przeszkody. Dwa razy obsunął się do przodu i musiał użyć całej siły, aby wyciągnąć nogi i zakotwiczyć się nimi na ceglach i drewnie.

Gdy dostał się do końca tego łatwo przekopywanego tunelu, był już prawie w piwnicy. Przed nim znajdowała się zielona, metalowa zapora. Miała dwie i pół stopy średnicy i okrągły kształt, dokładnie dopasowany do gruzów domu, tak jak okrągłe drzwi sejfów pasują do ściany. Gerd uderzał w metalowe drzwi i zastanawiał się, co to za rodzaj sprzętu domowego. Może zbiornik na wodę? Ale czy zbiornik mógłby być tak solidnie zrobiony? Gruba, stalowa blacha mocowana masywnymi sworzniami, które mogłyby... Mój Boże, bomba!

Gerd doszedł do wniosku, że jest to zakończenie bomby średniej mocy. Długi na sześć stóp kanister, jaki zrzucano, nastawiono na wybuch z długim opóźnieniem, a kwas w jego celuloidowym sercu przegryzał sobie drogę, aby w końcu zdetonować amatol.

To bomba utworzyła przejście przez gruzy i dlatego właśnie Gerd znalazł naturalną drogę, wzdłuż której mógł się łatwo posuwać. Posuwać za bombą. Długie opóźnienie, ale jak długie? Minutę, dwie a może dwadzieścia cztery godziny? Robiło mu się na przemian zimno i gorąco, słyszał, że serce wali mu jak młotem. Tulił się do tysiącfuntovej „kuki”, która mogła kompletnie zniszczyć pół ulicy. Wyczuwał bombę i wydawało mu się, że jest gorąca, choć wiedział, że zwodziła go prawdopodobnie temperatura jego dłoni. Wydawało mu się, że czuje ostrą woń brytyjskiej farby i lakieru, jaką wydzielają wszystkie bomby RAF.

Odtąd przekopywał się z jeszcze większą uwagą. Pracował wzdłuż boku metalowego kanistra, wykorzystując go dla podparcia jednej strony tunelu i wsuwając kawałki połamanych kamieni i drewna tam, gdzie było to

konieczne. Wydawało się, jakby jego droga wzdłuż „kuki” nigdy nie miała się skończyć. Przesunął się ocierając o gładki, stalowy przedmiot i sześć stóp niżej znalazł się na jego końcu. Kawałek ramy łóżka ustąpił nagle pod jego łokciem, ściana piwnicy wygięła się i zawaliła, a on sam zsunął się naprzód w czeluść. Upadł, ponieważ z nadzwyczajną samodyscypliną powstrzymał się od chwycenia za bombę dla odzyskania równowagi. Wylądował ciężko.

— Pan Boli! - zawołała Anna-Luiza, która otwierając oczy zobaczyła małego, zwinnego mężczyznę, skulonego na mokrej podłodze. Ukazał się jej tak nagle, jak duch. Pokryty ceglanym pyłem, pocierał obolały łokieć.

— To bomba - stwierdził, wskazując z zakłopotaniem na ciemny, gładki kształt, widoczny przez szczelinę w suficie piwnicy.

— Wygląda na zbiornik wody - odrzekła Anna-Luiza. Podeszła bliżej, aby popatrzeć na metalowy przedmiot.

— Nie, sądzę że to bomba - upierał się Gerd, ale nabrał teraz niemiłego podejrzenia, że ona może mieć rację. Uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem, a potem zapytał:

— Kupiliście pierścioneek?

— Tak - odpowiedziała - jest w mojej torebce. Chce pan go zobaczyć?

— Myślę, że lepiej zrobimy, jeśli spróbujemy się stąd wydostać.

— Kocham pana Bacha.

Wzięła lampkę naftową i podkręciła mocno knot, a Gerd zapalił także swoją latarkę.

— Jest grubszy od zbiorników, jakie kiedykolwiek widziałem.

— Zbiornik na gorącą wodę w mieszkaniu Herr Bacha w Krefeld jest właśnie taki.

— Czy masz wszystko?

— Jest tu trochę cudownych skarbów, Herr Boli. Czy pan wiedział, że Herr Voss ma takie wspaniałe rzeczy?

Gerd zgasił latarkę. Pomyślał, że było mnóstwo rzeczy, o jakich przedtem nie wiedział; na przykład, że młoda Anna-Luiza ma sztuczne zęby. Może zapomniała je włożyć? Usiłował zwrócić na to uwagę nie wprawiając jej w zakłopotanie.

— Voss jest bogatym człowiekiem - powiedział w końcu.

— Lubię go - oświadczyła Anna-Luiza. - Moglibyśmy już nie żyć, gdyby nie udzielił nam schronienia.

— Pomogę ci wspiąć się w górę tunelu - powiedział Gerd, podsuwając jej fotel, na który mogła wejść. - Zostaw dziecko. Mnie będzie łatwiej je zabrać. Robiłem to już nieraz.

— Cieszę się, że to właśnie pan przyszedł, Herr Boli.

— Dlaczego?

— Bo zawsze miałam uczucie, że mnie pan nie lubi.

— Nie - odparł Gerd rumieniąc się. - Nie jestem przekonany do tego małżeństwa, ale nie czuję do ciebie niechęci.

- Będę dla Herr Bacha dobrą żoną, Herr Boli. Obiecuję panu, obiecuję.

Intensywność słów dziewczyny i prostota jej emocji przedstawiły mu Annę-Luizę z zupełnie nieznaney strony. Poklepał ją w zakłopotaniu po ramieniu z obawy, że się rozplacze. Chciał jej powiedzieć o liście, jaki napisał. Podniósł dziecko, aby nie widziała jego twarzy.

- Obiecuję - powiedziała znowu Anna-Luiza i nagle Gerd poczuł się szczęśliwy z powodu ich dwojga. Wiedział, że jego list nie będzie miał wpływu na tych dwoje rzeczywiście zakochanych ludzi. To August miał rację. Jakie znaczenie miało to, co dziewczyna robiła i kim była? Szanse na znalezienie szczęścia są zbyt rzadkie i zbyt przelotne, aby je brać pod lupę. On sam był rozpustnikiem za swoich młodych lat, a jednak nie przeszkodziło mu to zostać lojalnym i kochającym mężem.

Dlaczego nie miało tak być z tą dziewczyną?

Zbrojmistrz RAF McDonald, którego ojciec siedział właśnie w Dundee, w kuchni, nad trzema filiżankami nietkniętej, zimnej herbaty i z telegramem w ręku, dobrze wykonał pracę w swym ostatnim dniu życia. Tego ranka przygotował spłonkę model 47, a celuloid był jednym z najcieńszych stosowanych materiałów. Kiedy bomba opuściła komorę bombową samolotu Lamberta, liniana linka przymocowana do bombowca wyciągnęła zabezpieczenie ze spłonki i wyrwała krążek mocujący sworzeń maleńkiej buteleczki z kwasem. Kwas przegryzł się przez celuloid i nie zostało już nic, co mogłoby powstrzymać sprężynowy czop uderzeniowy. Czop uderzył więc w detonator i sześćset funtów materiału wybuchowego zniszczyło piwnicę. Wybuch słyszano w całym Altgarten.

Dwa domy uległy całkowitemu zburzeniu a cztery poważnemu uszkodzeniu. Pięć osób zostało rannych, ponieważ przed eksplozją usłyszało odwołanie alarmu i wróciło do swych mieszkań. Inne bomby z opóźnionym działaniem wyciągnięto na linach, ale o tej jednej nikt nie wiedział. Siedmiu ludzi z TENO, trzech policjantów i starego Blockwarta - nadal przekopującego się ku żonie pod numerem 29 - rozerwało na kawałki, a zegarek ręczny należący do jednego z nich znaleziono cztery ulice dalej. Nigdy natomiast nie odnaleziono żadnej rozpoznawalnej części garderoby Gerda Bólla, Anny-Luizy i Hansla, choć jeszcze do dziś znajduje się tam w ogródkach odłamki porcelany miśnieńskiej i bezkształtne drobiny srebra.

Jedną z trudności, jakie musieli pokonywać ratownicy, było usuwanie zabitych i rannych. Wiele ciał przykleiło się do ulic na skutek żaru i

niepodobieństwem było usunięcie ich bez specjalnego sprzętu. Na przykład ciało żony burmistrza wstrzymało ruch na Nehringstrasse przez dwie godziny.

W pobliżu kina ekipa ratownicza TENO wkopała się głęboko w stertę gruzów. Rozległ się gwizdek: „Cicho!” Nadal panował hałas, ale wszystkie głowy zwróciły się ku rumowisku, nad słuchując wołania lub jęku.

— Noszowi! - zawołał policjant. - Pod tą stertą znajduje się trzydzieści osiem zasypanych osób!

— Morfinę! - krzyknął podoficer - szybko!

Pierwsze światło brzasku odsłoniło głębokie kratery w ulicach i bruki zastawione meblami uratowanymi z pobliskich domów.

Na kawałku muru pośród resztek Nehringstrasse 39 wypisano kredą informację: „Kurcie, jestem z Frau Weber, kocham, Kate”. Wkrótce pojawiły się setki takich napisów, ponieważ mieszkańcy Altgarten próbowali odnaleźć rodziny: „Proszę o wiadomości o panu Stoopie”, „Otto nie żyje”, „Peter jest na urlopie”. „Mamo pozostań tutaj”. Obok tego widniały uwagi dla ekip ratowniczych: „Dziwięciu nieboszczyków w tylnej części piwnicy”, „Dwóch nieżywych, pierwsze piętro, tylny pokój”, „Niebezpieczeństwo - studzienka gazowa!”, „Niebezpieczeństwo - niegaszone wapno!”.

W sali wykresów radarowych było tak cicho, że słyszało się tykanie elektrycznego zegara.

— Ten facet to safandula - stwierdził Willy Reinecke.

— Trzymaj drugi samolot w pobliżu, bo jeśli ten pokpi sprawę, to nie damy mu drugiej szansy.

Obaj mężczyźni obserwowali na stole Seeburga kropeczki pełzające ku wybrzeżu. Zarówno August Bach jak i jego podoficer zdjęli bluzy, ale upał w sali wykresów sprawił, że koszule ich pokrywały się plamami potu w miarę, jak wlokła się noc. Oglądanie niszczenia miasta na własne oczy nie sprawiało przyjemności, nawet jeśli przedstawiały to elektroniczne kropeczki. Willy podniósł do ust szklankę letniej już herbaty. Wypił ją bezwiednie. Cały czas jego lewa ręka znaczyła woskowym ołówkiem przesuwające się na stole kropeczki.

- Spaskudzi sprawę - powiedział Willy Reinecke.

Innym wszystko wydaje się proste, myślał Leutnant Beer. Uważali latanie za jakieś mistyczne przeżycie. Dla niektórych nie było w życiu nic bardziej ważnego niż zostać ekspertem od kierowania tymi niepewnymi, latającymi maszynami. Beer, kierowca wozu wyścigowego, udał się na badania lekarskie mając nadzieję, że zostanie pracownikiem transportu lub administracji. Lekarze zakwalifikowali go do służby w personelu latającym. Badania przydatności i inteligencji wykazały odpowiednie kwalifikacje i tak znalazł się w szkole pilotażu A/B. W Luftwaffe spotkał się z typową dla tego rodzaju broni zarozumiałością. Uważano tam, że powinien być wdzięczny za daną mu szansę latania.

Postępował dokładnie według wskazówek kontrolera w Erminie, ale ten człowiek denerwował go.

Pruska arogancja! Beer pochodził z Ratyzbony. Jego ojciec i rodzina byli Bawarczykami od czasów Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Dla nich wszyscy tak zwani Niemcy poza Bawarią byli Prusakami. Bawarczycy byli bezrozumnymi politykami podobnie jak Austriacy i jak Austriakom świat przyklepił im etykietkę dobrodusznych wieśniaków i prostodusznych kłownów. Beer odczuwał to.

W słuchawkach rozległ się głos Augusta Bacha:

— Rozkazuję tak lecieć.

— Niemożliwe - odparł Beer.



- Człowieku, wypuść trochę kłap! - zdenerwował się August pomijając procedurę. - Nic ci się nie stanie.

Ani tobie, pomyślał Beer, w tym twoim przytulnym baraku kontrolera, ale odjął gaz i wypuścił nieco kłapy chociaż czuł, że należy teraz badzo dokładnie obserwować wskazówkę szybkościomierza.

Radarowiec Beera złapał kontakt.

— Jest przed nami i nieco niżej - powiedział, a Beer przesunął ster nieco do przodu.

— Kotły, kotły! - oznajmił Beer.

— Ten człowiek jest geniuszem - powiedział Willy i odłożył ołówek.

— Nie, panie poruczniku! - zawołał rozpaczliwie radarowiec Beera.  
- O wiele za dużo. Stracę go za chwilę u góry ekranu!

Obserwator podniósł do oczu lornetkę.

- Mam go.

Beer położył dłoń na pleksiglasie, aby zasłonić odbicie światła tablicy przyrządów, ale ten ruch pochylił drążek sterowy i przechylili się. Mocno wparł się w siedzenie i sprowadził ster do normalnego położenia.

— Nadal zbyt daleko w lewo - odezwał się radarowiec. - Jest bardzo blisko, powinien go pan widzieć.

— Widzę go cały czas - powiedział obserwator.

— Z lewej i wyżej? - zapytał radarowiec.

— Tak.

Beer nadal nie widział, ale na wszelki wypadek odbezpieczył działka. Sprężone powietrze wydało syk.

— Znowu zbyt szybko - informował obserwator.

— Tak - przytaknął radarowiec z tylnego siedzenia.

Do diabła z nimi. Nie wykazywali szacunku dla jego stopnia. Rozmawiali ze sobą, jakby go nie było. Podciągnął odrobinę nos samolotu i obserwował, jak wskazówka szybkościomierza opada, a wariometr zaczyna pokazywać wznoszenie. Dopasowywanie własnej prędkości do prędkości celu było nie tylko sprawą bardzo trudną, ale i bardzo niebezpieczną.

— Skręca w lewo.

— Musiał nas zobaczyć.

— Nie, po prostu poprawia kurs.

- Przestańcie tyle gadać! - warknął Beer. - Ja tu dowodzę! Obserwator spojrział na Beera z zimną pogardą. Podoficerowie nazywali go rowerzystą, ponieważ jak rowerzysta pedały, tak on deptał swoich podwładnych, a przytakiwał pełen uległości swoim przełożonym. Zastanawiał się, czy Beer wiedział o tym przezwisku i rzucił znowu na niego okiem, ale Beer tego nie zauważył. Patrzył przed siebie próbując dojrzeć Tommiego.

Wpatrywał się w przednią szybę widząc jedynie różową, spoconą twarz, patrzącą na niego szeroko otwartymi oczami. Wyczuwał w nozdrzach stęchły dym. Niech diabli wezmą tego drania od urządzeń przeciwpożarowych.

Z początku widział tylko odbicie oświetlenia przyrządów. Potem dwa migotające światełka oddzieliły się i wiedział, że patrzy na rury wydechowe Lancastera RAF.

— Jesteśmy dokładnie tuż nad nim - powiedział spoglądając na szybkościomierz, którego wskazówka ostrzegła o bliskim przepadnięciu samolotu na skutek utraty prędkości. Może powinien zwiększyć prędkość? Chryste! Powietrze odrzucane do tyłu przez śmigła Lancastera rzuciło Junkersem w bok i prawie wytrąciło mu stery z ręki. Beer szybko odzyskał panowanie nad nimi.

— Musimy podejść jeszcze bliżej - radził bezczelnie obserwator. Beer sięgnął do manetek gazu, ale zmienił zamiar. Nie zwiększył prędkości. Wiedział, co znaczyła kolizja w powietrzu. Taki olbrzym porąbałby ich na kawałeczki i nawet by nie odczuł wstrząsu. - Jeszcze bliżej - powiedział obserwator, a w jego głosie była nutka przygany.

Cholerny Prusak! Beer był dowódcą tego samolotu. Jeśli nawet cel nie sięgał krawędzi celownika, to był dokładnie w środku i wystarczająco blisko; Lancaster wydawał się gigantyczny i bardzo bliski.

- Horrigo - zawołał i nacisnął przycisk działka. Lekko zbaczał, więc cel przesunął się na jedną stronę celownika. Dokonał poprawki dotknięciem orczyka. Nie za wiele, ostrzegł samego siebie. Pilnuj prędkości!

Ju88 był wspaniałym samolotem, maszyną, która lata bez trzymania sterów i reaguje łagodnie i pewnie na życzenia pilota. A jednak nie wykona skrętu bez mocnego użycia steru kierunkowego. Beer nie nacisnął go dość mocno i kiedy próbował podążyć za skręcającym Lancasterem, ześlizgnął

się na bok. Dopiero nagłe dodanie gazu podniosło nos samolotu i przywróciło maszynie poprzednią pozycję.

Flash Gordon zobaczył go, ponieważ nadlatywał dość wysoko widoczny na tle linii nieba. Zobaczył, jak sylwetka Junkersa Beera przesuwa się po oświetlonym przez księżyc kawałku chmury. Powiadomił Lamberta i teraz cała załoga oczekiwała, kiedy ci dwaj piloci zmierzą swą zręczność i szczęście.

— To stary wyga - powiedział Flash. - Można to poznać po sposobie, w jaki się czai.

— Wystraszony gówniarz - zauważył Binty, który także go obserwował, ale w jego głosie nie było przekonania.

— Przestańcie gadać - zganił ich Lambert. - Flash, podaj mi jego odległość.

— Tysiąc pięćset jardów. Zaczyna się zbliżać. Jego głos przybrał nagłący ton.

— Tysiąc dwieście.

Przez moment obaj strzelcy pokładowi zobaczyli Junkersa. Gdy światło księżyca uderzyło w śmigła, zabłyśły jak para okularów w blasku świecy.

- Teraz zbliża się szybko.

Spomiędzy szklistych tarczy posypały się białe kulki, które rozciągnęły się i biegły jak rozsypana rtęć.

- Strzela! - zawołał Flash.

- Spirala w lewo - powiedział Binty. Ich głosy pomieszały się w telefonie pokładowym.

Lambert nie wykonał spirali. Kopnął orczyk i przesunął obie prawe manetki gazu całkowicie do tyłu. Lancaster wykręcił się gwałtownie w prawo i szarpnął prawie się zatrzymując. Lambert modlił się i oczekiwał ze strachem zderzenia. Junkers Beera, nadal strzelając, przeleciał nad nimi, mając końcówki łopat śmigieł zaledwie dwadzieścia stóp nad czubkami sterów Lancastera. Od jego ryku kadłub bombowca zaśpiewał wibracją. Później nastąpiło kopnięcie zawirowanego śmigłami powietrza.

- Przeleciał, skiper - powiedział wesoło Binty z górnej wieżyczki. Lambert był zbyt zajęty, aby odpowiedzieć.

Battersby nie wyglądał oknem. Obserwował dłonie Lamberta. Skiper zrobił właśnie to wszystko, czego zabraniali Battersowi w szkole. Teoretycznie „Creaking Door” powinien mieć oderwany ogon. Battersby sięgnął do manetek gazu, jak tylko dowódca je puścił. Lambert skinął głową, a Battersby z ulgą doprowadził prawe silniki z powrotem do mocy przelotowej. Lancaster ślizgał się na boki jak liście klonu. Strzałka kompasu kręciła się szybko, gdy nos bombowca sunął wkoło horyzontu i przeszła poza ich pierwotny kurs. Gdy maszyna zaczęła się powolutku wznosić, wskazówka szybkościomierza opadła do szybkości przepadania i Battersby mógł się przekonać, jak miękkie stały się stery. Obserwował wskazówki, gdy Lambert pchnął kolumnę sterową mocno do przodu, aby nos samolotu zszedł w dół. Wskazówka wahała się koło stu sześćdziesięciu mil na godzinę, podczas gdy samolot drżał, tracąc zdolność do lotu. Teraz nos samolotu opadł, a wskazówka rozpoczęła powrotną podróż.

Lambert przytrzymał jedną ręką mikrofon i zapytał:

— Tylne strzelec, czy zespół ogonowy jest O.K.?

— Nie zgiął się nawet do połowy, skiper.

— I wszystko w porządku?

— Wygląda O.K.

— Zadowolony pan, mechaniku?

— Tak, skiper, ale w HCU mówili, aby nigdy tego nie robić, bo odleci ogon.

— Nie odleci, chyba że dasz za dużo steru. Pamiętaj o tym.

— Zapamiętam, skiper - odparł Battersby.

— Czy ktoś wie, co z nocnym myśliwcem?

— Sądzę, że go zgubiliśmy - powiedział Digby. - Dobra robota, skiper.

— Cholernie dobra - przytaknął Binty. - Trzeba było wam widzieć, jak ten drań leciał. Znajdował się tysiąc jardów w lewo i nadal strzelał.

Beer strzelał rzeczywiście jeszcze długo po tym, jak cel prawie magicznie zatrzymał się w powietrzu i zniknął pod jego prawym skrzydłem. Teraz pozostał tylko dźwięk silników i strumień powietrza. Koszula przykleiła mu się do ciała. Zaledwie kilka stóp dzieliło ich od zderzenia w powietrzu.

— Myślę, że go trafiliśmy - odezwał się Beer.

— Nie, Herr Leutnant.

- Widziałem, jak trafiają go pociski z działek.

Nie było odpowiedzi. Beer chciał zwycięstwa. Powiedział:

— Były błyski, widzieliście je przecież.

— To pana amunicja eksplodowała w odległości ośmiuset metrów.

Widziałem to.

Ty synu właściciela podłej spelunki z przedmieść Norymbergii! Jak mógłbyś zestrzelić prawdziwego lotnika? Obserwator został wylany ze szkoły A/B latając lepiej od Beera. Trudno mu było ukryć pogardę dla tego bawarskiego wieśniaka w mundurze oficerskim.

Podobnie wyraził się Willy Reinecke.

- Spaskudził sprawę - powiedział - głupi nieudacznik.

Dwa punkciki połączyły się, a kiedy znów się rozdzieliły, trudno było powiedzieć, kto jest kto.

- Tommi nadal leci na północny zachód - stwierdził August. - Jest teraz o trzydzieści kilometrów od głównego strumienia.

- Zabezpiecza się, aby go nie zobaczył nocny myśliwiec. Mam go wezwać.

- Zostaw go - odrzekł August. - Przywołaj kogoś innego.

— Tommi leci daleko na północ od strumienia, panie kapitanie.

— Jest nieco wstrząśnięty.

— Czyżby zepsuł mu się kompas?

— Możliwe.

- Musi być gdzieś tutaj, prawie nad nami.

- Skręci.
- Tak, o tam.
- Willy, sprowadź „Katze Jeden”.

Wiktor von Lówenherz spojrział na zegarek. Nie wierzył zegarowi w kabinie, bo personel naziemny nie troszczył się o niego dostatecznie. Przełączył paliwo na główny zbiornik i nastawił na ubogą mieszankę. Mógł potrzebować każdej kropli paliwa, ponieważ Tommis wchodzącym teraz w jego sektor przelot zajmie w powrotnej drodze godzinę. Ostatnich kilka bombowców będzie najłatwiejszym łupem. Była to po prostu sprawa naturalnej selekcji: najlepsi piloci dostawali najlepsze samoloty i awanse. Najmniej doświadczeni pozostają z tyłu, nie znajdują punktów orientacyjnych, gubią się, mieszają sygnały radiowe i mają psujące się przyrządy, czego nie wykryli w czasie beztroskiego oblatywania maszyn przed akcją. Takie samoloty czasami nigdy nie znajdują celu. Długo po odlocie głównej siły będą błąkać się samotnie nad jakimś odległym i silnie bronionym terenem, oddając się w prezencie bystremu operatorowi i kontrolerowi Wiirzburga jako ich jedyny cel tej nocy. Jeśli zaś rzeczywiście dolecą do celu, to jako ostatni, kiedy obrona jest w pełni gotowa, a nocne myśliwce w powietrzu, z przywykłym do widzenia w ciemności wzrokiem. Takie załogi dostają najwolniejsze samoloty, które nie mogą wznieść się wysoko, są najbardziej narażone na atak i Lówenherz chciał być w powietrzu, kiedy przylecą w jego sektor.

Lówenherz znajdował się wyznaczonym sektorze, dokładnie nad latarnią kierunkową. Inni piloci, jak Himmel a nawet Redenbacher, nie słuchali poleceń i polecili za strumieniem bombowców wzdłuż jego trasy nad cel. Lówenherz nie uczynił tego. Patrolował swój sektor i słuchał dokładnie rozkazów swojego kontrolera, Augusta Bacha. Teraz właśnie Bach wywołał go i powiedział, że ma czterosilnikowego Tommiego.

— Duży wóz. Nakazuję kurs 300 stopni.

— Zrozumiałem - odpowiedział Lówenherz. Zwiększył szybkość aby prześcignąć Tommiego, zanim ten wyjdzie z radarowego zasięgu jego sektora.

Na przeciwlotniczym krążowniku „Held” Admirał Pawlak i jego K3 mieli - tak jak to Pawlak przepowiedział - obfitującą w wydarzenia noc. Już po raz ósmy tego wieczoru przypomniawszy sobie swoje przeczucie. Od strony obramowanego światłem księżyca cumulusa, od południowego wschodu, nadleciał dźwięk jednego, a potem innych samolotów.

— Z południowego wschodu - stwierdził Pawlak. - Dlaczego z południowego?

— Nocny myśliwiec.

— Wygląda na to.

— Strzela. Dostał go.

— Dostał go? - zapytał z pogardą Pawlak. - Chyba chciałeś powiedzieć, że zgubił go.

Odtńczył pantomimę, podczas której wrzucił pocisk na ładownik, pchnął podajnik, zakręcił kołem podniesienia i poziomego nakierowania działa i wystrzelił. Klaus obserwował go z posępną miną.

Syrena alarmowa kazała im pośpieszyć z powrotem do wieżyczki strzeleckiej. Pawlak trzasnął łokciem w pokrywę sprężyny wyważającej. Klaus uśmiechnął się do siebie.

W ciągu pięćdziesięciu pięciu minut, jakie Lambert potrzebował, aby przelecieć sto mil od niemieckiego konwoju nad cel i z powrotem, konwój przepłynął zaledwie dziewięć mil morskich wzdłuż wybrzeża, chociaż „Held” zrobił nieco więcej, bo znajdował się teraz o jakąś milę przed konwojem, zamiast na jego końcu.

Wymykanie się Lamberta nocnym myśliwcom sprowadziło go na północ od planu lotu. Nawet skraj strumienia bombowców nie przeszedł od

Scheveningen. Tak więc „Creaking Door” był jedynym punkcikiem na Wiirzburgu „Helda” zanim, skradając się za bombowcem, nadleciał Lówenherz.

- Ognia!

Było to strzelanie sterowane radarem. Dwanaście dział, w tym i działo Pawlaka, miało kaliber 10,5. Wybuchy pocisków wyznaczyły prostą linię do gwiazd na niebie. Mechanizm radarowy mruczał delikatnie, korygując celowanie, tak aby następna salwa wzięła poprawkę na prędkość samolotu. Strzelcy stosowali się do przesuwającej się wskazówki. Działa biły salwami, więc na nic przydało się dwukrotnie szybsze od innych ładowanie Pawlaka. Ładował on tak szybko jedynie po to, by zademonstrować swojemu przyjacielowi Klausowi Muntemu, w jaki sposób powinno się w przyszłości odbywać ładowanie.

Wypadek był wyjątkowo tragiczny. Chirurg okrętowy nie miał wiele pracy.

- Ten przeklęty zamek działowy wykonał amputację tak sprawnie, że jeszcze nigdy takiej nie widziałem.

Zacisnął żyły i zszył nadgarstek, jak umiał najlepiej, pozwalając Pawlakowi pograżyć się w głębokim, spowodowanym morfiną śnie.

Klaus Munte nie chciał otworzyć zamka. Leutnant nalegał, aby Munte to uczynił, ale ostatecznie zmiękł i sam to zrobił. Kiedy zamek otwarto, trudno było usunąć nieużyty pocisk. Przykleił się bowiem do mechanizmu nierozpoznawalną, przypominającą dżem malinowy substancją.

Wybuchy pocisków artylerii przeciwlotniczej kierowanej radarem zawsze układają się we wzory, po jednym wybuchu z każdego działu baterii. Niektóre załogi RAF zachowywały spokój na tyle, że odnotowywały błyski dla oficera taktycznego. Ta salwa została dobrze ułożona na południowo-wschodniej osi. Następna była nawet lepsza, a trzecia najbardziej dokładna ze wszystkich.

Kiedy używa się radaru lub celownika optycznego, kierowanie działem przeciwlotniczym jest skomplikowaną umiejętnością. Zarówno Lancaster jak i Lówenherz lecieli z prędkością dwustu czterdziestu mil na godzinę, co wymagało kierowania pocisków na prawie półtorej mili przed nimi. Przed każdym strzałem należało nastawić dokładnie zapalnik i nawet jeśli samolot nie zmieniał kursu, to z kątem nastawienia działu zmieniał się



jego zasięg.

Ostatni pocisk tej salwy eksplodował siedemdziesiąt jeden stóp od lewego silnika Lówenherza. Teoretycznie promień śmiertelnego rażenia eksplodującego pocisku 10,5-cm wynosi pięćdziesiąt stóp. Taki pocisk rozpadał się na cztery tysiące pięćset siedemdziesiąt trzy kawałki, z których dwanaście ważyło ponad jedną uncję, tysiąc pięćset dwadzieścia pięć między jedną a pół uncji, a trzy tysiące trzydzieści sześć odłamków ważyło jeszcze mniej. Dwadzieścia osiem odłamków trafiło Junkersa Lówenherza. Cztery przeszły przez lewy silnik, inne utkwily w skrzydle i kadłubie. Kiedy rozerwało lotki, stery wypadły mu z dłoni. Ciśnienie oleju lewego silnika i ciśnienie ładowania spadły, a potem temperatura oleju nagle wzrosła. Silnik tracił gwałtownie olej. Mrosek widział, jak wycieka w powietrze, nie ciemny i mętny, ale biały, cukrowy.

Lówenherz skierował nos samolotu w dół i zamknął dopływ paliwa. Następnie dał gazu lewemu silnikowi, aby zużyć resztę paliwa i zmniejszyć tym samym ryzyko pożaru. Ustawić śmigło w chorągiewkę, wyłączyć zapłon, włączyć gaśnicę! Wykonał to wszystko, podświadomie przypominając sobie usytuowanie pobliskich lotnisk. W pobliżu nie było żadnego. Valkenburg, najbliższe, znajdowało się dokładnie pod strumieniem bombowców; nie brał go pod uwagę. W świetle księżyca widział przed sobą złożony układ wysp Zeelandu, gdzie ujścia wielkich rzek Europy staczały pełną zakrętów bitwę z niskimi, płaskimi terenami Holandii.

Rozpoznał to wybrzeże. W koszmarnych snach tuż przed przebudzeniem wykonywał tu wiele przymusowych lądowań. Wyrzucić paliwo! Zdjął wierzch skrzynki awaryjnej obok swego siedzenia. Paliwo uszło z ogona samolotu jak wspaniałe, srebrzyste pióro długie na pięćdziesiąt stóp, błyszcząc w zimnym świetle księżyca. Zamknął klapy regulacji chłodzenia uszkodzonego silnika, a sprawnemu dodał odrobinę więcej gazu. Potem zmienił wytrimowanie, aby utrzymać wysoko nos maszyny. Zrobił wszystko dokładnie według instrukcji na wypadek awarii, z tym tylko, że autor podręcznika nigdy nie leciał na jednym silniku w samolocie wyposażonym w anteny radarowe utkwione w nosie samolotu na kształt widelca do opiekania chleba. Obserwował skrzętomierz z chyłomierzem poprzecznym i spostrzegł, że Junkers leciał przekrzywiony. Przepadał pięć metrów na sekundę według wariometru i nie mógł

zmniejszyć stopnia opadania. Wskazówka wysokościomierza pełzała wstecz.

- Przypasać się mocno! - rozkazał Lówenherz poblądłej załodze. Ju88 nie był łatwym samolotem do przymusowego lądowania na jednym silniku. Wszyscy wiedzieli, jak inny w podobnej sytuacji stanął w płomieniach przy końcu głównego pasa lądowania w Kroonsdijk zaledwie siedem tygodni temu. Lówenherz spojrział na siedzącego obok niego Mroska. Nie wymienili słowa, ale Lówenherza przekonało jego spojrzenie. - Skacz!

Mrosek mocował się z uszkodzonym lukiem w podłodze. Nie mógł go otworzyć. Popatrzył z rozpaczą na Lówenherza - ten zaś odłączył tylną część pokrywy kabiny, która odleciała ze straszliwym gwizdem, wystawiając ich na lodowatą wichurę, jęczącą i syczącą wzdłuż krawędzi przedniej szyby. Zepsuło to wytrzymowanie, pchnął więc ster, aby sprowadzić nos samolotu w dół. Mrosek wyskoczył pierwszy. Wsunął zeissowską lornetkę ostrożnie pod bluzę. „Zginęła w czasie akcji” - nie każą się z niej rozliczać. Zwinny jak zawsze, wyszedł górą jak akrobata. Zahuścił butem niebezpiecznie blisko głowy Lówenherza, potem pewnie wysunął się na zewnątrz. Najpierw wydawało się, że wykonał to dobrze, ale mocne uderzenie dowiodło, że strumień zaśmigłowy rzucił nim o ogon samolotu. A rzucił nim tak, że lornetka zgmiotła mu klatkę piersiową i złamała cztery żebra. Kiedy spadał gwałtownie do góry nogami, uderzył nadgarstkiem o krawędź natarcia lewego statecznika poziomego, a statecznik pionowy zadał mu błyskawiczny cios w głowę, zanim zassał go strumień paliwa rozpryskującego się z rury wyrzutowej. Pokonany paliwem i ciosem w głowę, Mrosek opadł trzy tysiące stóp i wtedy otrzeźwiło go nocne powietrze, przewiewające jego przemoczone ubranie. Bez odzyskania w pełni świadomości pociągnął za linkę wyzwalającą spadochronu i spłynął bezpiecznie pod jego czaszą na kartoflisko.

Sachs był zawsze trochę nieśmiały, Lówenherz znalazł jego historię i wiedział, że zarówno komisja dokonująca selekcji pilotów, jak i rada oceniająca kandydatów na oficerów odrzuciły go właśnie z tego powodu. Lówenherz zdecydował, że będzie potrzebna czegoś więcej niż tylko rozkazu. Zwłaszcza, że chodziło o użycie górnego wyjścia ratunkowego.

- Jeśli natychmiast nie skoczysz, to ja to zrobię i pozostawię ci samolot.

Wówczas dopiero Sachs zdecydował się. Uzbrojony w duży zasób szczęścia, w jaki życie wyposażyło tego bogatego, młodego operatora radarowego, wyskoczył bezpiecznie i opadał na idealnie rozwiniętym spadochronie.

Pierwszy ostry ból, jaki Lówenherz poczuł w momencie eksplozji, stępił jego wrażliwość. Czuł, jakby gorący ręcznik uciskał mu brzuch i oplatał go wkoło pasa. Przyczyną tego był złamany kawałek mosiężnej przetyczki radełkowej z czubka stożkowego zapalnika pocisku niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Przetyczka przebiła małeńki otwór w metalowej konstrukcji nosa samolotu i rozłupała się na trzy części po uderzeniu w żyrokompas. Ten kawałeczek, ważący tylko jedną sześćdziesiątą uncji, wszedł w brzuch Lówenherza! Przeszedł przez ściankę podbrzusza i jamę otrzewnej, przedziurawiając jelito grube. Zaczął przesuwając się w miarę utraty szybkości, przegryzając sobie drogę poprzez małe arterie i nerkę, przed rozłupaniem jednego z kręgów lędźwiowych. Tam się zagnieżdżył oparty o strunę rdzeniową, powoli ją zaciskając.

Niełatwo było utrzymać w dole prawe skrzydło teraz, gdy silnik po tej stronie przestał pracować i trząsał się gwałtownie z powodu uszkodzenia metalowych skrzydeł i postrzępionej konstrukcji samych lotek.

Lówenherz uśmiechnął się do siebie ponuro. Był naprawdę w piekielnie trudnym położeniu. Kiedy odejmował gaz, zaczynał natychmiast tracić wysokość. Dając pełen gaz dla utrzymania wysokości, latał w kółko wykonując olbrzymie okrążenia. Bez względu na to jak bardzo próbował skorygować skręt lotkami, miało to małe lub żadne znaczenie. Wszystkie Junkersy były takie, potrzebowały mocnego wychylenia orczykiem, aby wykonać skręt, a Lówenherz nie czuł nawet swoich stóp, nie mówiąc już o naciśnięciu nimi na orczyk. Naciskał dłonią na lewe kolano, aby użyć nogi jak kija do popchnięcia orczyka, lecz ból w kręgosłupie był straszny. Kontynuował te wysiłki do momentu, gdy prawie stracił przytomność.

Wezwał kontrolera i powiadomił krótko, że został trafiony, jest ranny i kieruje się prosto na zachód na jedną z dużych wysp na południe od Rotterdamu.

- Skacz, „Katz Jeden”! - zawołał natarczywie August Bach.

- Niemożliwe - odpowiedział Lówenherz. - Mam uszkodzony kręgosłup.

— Rozkazuję zawracać!

— Zbyt szybko tracę wysokość. Te diabelne anteny!

- Rozkazuję trzymać radio włączone - powiedział August. –  
Włączyliśmy do obwodu służbę awaryjną, która weźmie na ciebie namiar dla łodzi ratunkowych. Wiirzburg także będzie cię prowadził.

- Dziękuję - odpowiedział Lówenherz.

Życie uszło z dolnej partii ciała Lówenherza, tak że tylko górna część jeszcze rzeczywiście żyła. Jego wzrok także ucierpiał: czerwone i zielone światełka na tablicy przyrządów oraz jasnoniebieskie światło księżyca widział w szarym kolorze. Hałas jedyne go dobrego silnika wydawał się cichszy i Lówenherz zastanawiał się, czy może właśnie dlatego nie mógł utrzymać ciężkiego Junkersa w powietrzu.

Szary samolot opadał w dół ku szaremu morzu, którego błysniecie w chwili uderzenia samolotu w fale było równie szare jak woda, w której zatonął.

Wiirzburg w Ermine śledził ze smutkiem lot Junkersa nad morzem do chwili, kiedy punkcik zamarł w fosforyzującym błysku. Lampa elektronowa zgasła, pominąwszy strumień zakłóceń.

Kiedy wielki, czerwony błysk ukazał się daleko ponad ciemną wodą, wartownik zatelefonował do sali kontroli, by przekazać wiadomość.

— Zginął - powiedział Willy. - Wartownik widział eksplozję.

— Zawsze tracimy najlepszych.

— To był Staffelkapitan - powiedział Willy. - Znam jego głos.

— Jeden z najlepszych pilotów, z jakimi pracowaliśmy.

— Był hrabią lub baronem.

— Cholerny pech.

— To ten przeklęty okręt artylerii przeciwlotniczej.

— Nie mogli wiedzieć, Willy.

— Prawdopodobnie malują pierścień wkoło jednej z luf.

— Prawdopodobnie.

Każde spotkanie „Creaking Door” z nocnym myśliwcem trwało zaledwie kilka sekund, ale każde takie spotkanie wymagało olbrzymiej koncentracji i ogromnego napięcia. Po wymknięciu się Beerowi nagłym skretem w prawo, Lambert kontynuował lot badając nerwowo każdy skrawek nieba. Wkrótce stało się jednak jasne, że uszli atakującemu.

Binty Jones powiedział:

— Skiper, czy Jimmy może mnie zmienić? Rozbolał mnie brzuch.

— Zgadzasz się, Jimmy? - zapytał Lambert.

— O.K. skiper.

— Tylko pośpieszcie się.

Lambert poczuł zmianę w wyważeniu samolotu, najpierw kiedy radiooperator poszedł do tyłu, do górnej wieżyczki i potem, kiedy Binty zszedł ze swego stanowiska na górze i udał się do „Elsanu”, tuż przed ogonem. Jimmy Grimm, jak większość radiooperatorów, był wyszkolonym strzelcem pokładowym i widok z wieżyczki sprawiał mu przyjemność. Dotknął uchwyty i wieżyczka obróciła się posłusznie, a karabiny maszynowe przechyliły się za dotknięciem palca. Największym problemem

w pracy radiooperatora był wylot ogrzanego powietrza obok jego siedzenia. Nawet przy włożeniu na siebie minimum stroju lotniczego, Jimmy'emu było strasznie gorąco. Odsunął jedną stronę hauby i przycisnął twarz do lodowato zimnego pleksiglasu wieżyczki. Było to jak długi łyk zimnego piwa.

— Czy wszystko O.K. Jimmy?

— O.K., skiper.

Lambert zobaczył migotanie światełka nawigatora, ponieważ zasłona jego stanowiska została odsłonięta. Domyślił się, że Binty przeszedł na chwilę do przodu kabiny. Binty żywił przekonanie, że prowadzenie bombowca mało różniło się od purowadzenia motocykla i lubił obserwować czynności wykonywane przez Lambera, próbując je zapamiętać. Zauważył, że wskazówka wysokościomierza stale cofała ię, gdy tracili wysokość. Do zwykłej procedury należało zyskać na prędkości;oszem wysokości, gdy już przekroczone wrogi brzeg w drodze powrotnej.

— A co z bombą fotoświatlną, Binty? Zobacz, czy da się ją wypchnąć, lobrze?

— Czy ktoś mi pomoże, skiper?

— Nie - odparł Lambert.

— Ja pomogę, skiper - zaferował się Cohen.

— O.K. - zgodził się Lambert. - Zobaczcie, co da się zrobić.

Światło księżyca, które odkrywało bombowce nocnym myśliwcom, teraz akby uspokoiło czujną do tej pory załogę bombowca. Lówenherz jeszcze ańczył w puszystym cumulusie daleko za nimi, nad Rotterdamem, ale likt w „Creaking Door” nie był świadomy jego istnienia. Leutnant Beer ostał wyznaczony do południowej części sektora Ermine. Krótko mówiąc, tie było nieprzyjaciela na widoku. Nad morzem należało się spodziewać działa rzeciwlotniczego 8,8 cm, ale nawet gdyby w jakiś magiczny sposób się znalazło „Creaking Door” leciał prawie trzy tysiące stóp wyżej od skutecznego zasięgu akiego działa.

Lambert uświadomił sobie te fakty, kiedy pocisk 10,5 cm - o wyższym asięgu - eksplodował blisko statecznika poziomego „Creaking Door”. Mordercze uderzenie nadeszło od ogona. Głośny grzmot zadudnił po metalowej gardzieli podłużnie i wręgów. Potem nadleciał brzydki zapach spalonego prochu, a podmuch pchnął Lamberta do przodu, na stery, odczepił;aśnice i zapełnił kabinę fruującymi mapami Koshera. We wnętrzu

kadłuba błysnęło, oślepiając Lamberta, którego wzrok przyzwyczał się do ciemnej loży.

Kolumna sterownicza uderzyła Lamberta w brzuch. „Door” stanął dęba jak irzestraszony koń, a dźwięk silników zmienił się niepokojąco.

- Micky! - zawołał Lambert. - Micky!

Battersby pośpieszył mu na pomoc. Eksplozja rzuciła Binty Jonesa la podłogę. Kiedy się pozbierał, zdał sobie sprawę, że „Door” został śmiertelnie aniony. Wtedy nastąpił jeszcze jeden potężny błysk - większy od jakiegokolwiek pocisku przeciwlotniczego - wielki głuchy wybuch dokładnie pod brzuchem „Door”.

- Rozejrzyj się, Binty - rozkazał Lambert. - Tam, z tyłu.

Binty powstał, podczas gdy Battersby opierał stopę na wspornikach siedzenia pilota i naciskał z całą siłą na kolumnę sterowniczą. Jego twarz zrobiła się czerwona jak burak, a żyły na czole zaświeciły z wysiłku.

Stery nie poddawały się, chociaż z pomocą Battersa Lambert mógł je jeszcze trzymać. Sprawdził inne urządzenia sterownicze: orczyk odchylał się z boku na bok, a kółka wyważenia nie reagowały. Stery wysokości nie poruszały się, a nos amolotu lekko się unióś. Obaj zużywali wiele siły i Lambert zaczął wątpić, czy dadzą radę walczyć z kolumną sterową i utrzymać ją w przodzie przez całą drogę nad Morzem Północnym.

Kiedy Binty odsunął na bok zasłonę miejsca nawigatora, uderzyło go zielone, oślepiające światło. Było tak nienaturalne, że przeżegnał się i pomyślał, że wchodzi całą załogą do piekła. Zielone światło zamigotało i zgasło. Nagle zrobiło się kompletnie ciemno, a w powietrzu unióś się odór spalonego prochu i szmat. Binty Jones posuwał się w ciemnościach ostrożnie do tyłu samolotu. Szedł po omacku ku siedzeniu Koshera, ale go tam nie znalazł. Kontynuował posuwanie się po głównym dźwigarze i obok koi. Wnętrze bombowca kłębiło się od dymu. Ostrożnie zagłębił się weń i przeszedł aż do swojej wieżyczki. Dopiero wtedy zobaczył dziurę w kadłubie. Wiedział, że pokrycie jest cienkie i uderzenie końcem ołówka mogłoby je przebić, ale nie zmniejszyło to szoku jakiego doznał, widząc otwór wystarczająco duży, aby przejechać przez niego małym samochodem.

Dziura była prostokątna, ponieważ wybuch wyłamał część pokrycia metalowego z nitów i zagiął je na siebie. Metal kołatał ze złością w strumieniu powietrza jak menstrualna kłapa skrzynki pocztowej. Na moment

dym przerzedził się i Binty spojrział w otwór. Widać było trójnogi szarych wiązek światła reflektorów gdzieś w pobliżu Rotterdamu, na wschód od ich samolotu, ale Lancaster skręcał, światła przesunęły się i znowu otoczył go dym.

- Och, Jezu! - zawołał Binty. Oczekiwał odpowiedzi od Jimmy'ego Grimma w wieżyczce, ale gdy spojrział w górę, zorientował się, że z Jimmy'ego pozostała tylko górna połowa. Tors w skórzanej kurtce i głowa w masce patrząca nad przyrządami celowniczymi, jakby był gotów do otwarcia ognia, ale dolnej części nie było. Była tylko mazista mieszanina odłamków kości, krwi i wnętrzości, wyrzucona na podłogę, wyciekająca z komory bomb fotoświatlnych. W to wszystko pompowany był olej z rozerwanych przewodów, prowadzących do tylnej wieżyczki. Binty odwrócił światło latarki od obrzydliwego widoku i odzyskał równowagę opierając się o lodowato zimne poszycie kadłuba.

Lambert nie miał już steru kierunkowego, aby prowadzić samolot. Na wycucie trzymał kolumnę sterową, bez popuszczania jej na cal do tyłu, i delikatnie przesunął ją na boki chcąc zadziałać lotkami. Przez okres czasu, który wydawał się wiecznością, „Door” nie reagował. Pokrycie prawej lotki było tak postrzępione, że większa część strumienia pozaśmigłowego gwizdała przez dziury. Lewa lotka psuła siłę nośną tego skrzydła, a prawa nie dawała takiej siły nośnej prawemu. „Door” zachowywał się kapryśnie i przepadał pięćdziesiąt stóp z nagłym, ściskającym czaszkę przechylem przygwożdżającym wszystkich do podłogi. Kiedy tak zataczał się po niebie, Lambert obawiał się, że ogon się odłamie, jednak prawe skrzydło podniosło się powoli. Cal po calu ustawiło się tak, że wskazywało drogę do Anglii. Lambert zdawał sobie sprawę, że doznali poważnego uszkodzenia tylnej partii konstrukcji. Zastanawiał się, co z nich zostanie, jeśli strumień powietrza oderwie ogon. Opór był już taki, że Lambert wyczuwał, jak tylna część bombowca wygina się i trzęsie. Ograniczył prędkość odejmując gaz dla zmniejszenia do minimum obciążenia płatowca.

Binty włączył się do telefonu pokładowego:

— Jesteś tam, Flash? Nie było odpowiedzi.

— Tu Binty, chłopcze. Czy jesteś tam, dzieciaku?

Binty posunął się niezwykle ostrożnie ku wielkim dziurom. Mógł przez nie zobaczyć nawet poszarpany księżyc, którego odbicie błyszczało na



czarnym morzu. Podłoga skrzypiała i ugiwała się pod nim, więc odruchowo cofnął się. Ogon „Creaking Door” nadal trzymał się na tuzinie dźwigarów, suwnicy amunicyjnej i metalowym kawałku płyty podłogowej. Ciężar Binty’ego mógł być ostatnią kroplą przepelniającą miarę.

- Binty, co tam się dzieje?

- Jimmy’emu się dostało, skiper, a Flash nie odpowiada.

- Nie możesz otworzyć drzwiczek jego wieżyczki?

- Nie mogę się tak daleko dostać, skiper. Samolot jest pełen dymu.

Połowa cholernego kadłuba odleciała. Ogon ledwo wisi.

- A Kosher?

Po raz pierwszy Binty pomyślał o Kosherze. Wydawało się, że zniknął.

- Kosher, czy wszystko w porządku? - zapytał Lambert przez telefon pokładowy. W odpowiedzi posłyszał jakiś hałas.

- Gdzie jesteś? - dopytywał Lambert. Telefon pokładowy wydał tylko monosylabowy pomruk.

- Jesteś ranny? - i znowu usłyszał jakiś bełkot. Może „mamo”. Nigdy nie mówiono ojcie. Mutti? Tak, to mogło być Mutti.

Lambert już przedtem woził zabitych i rannych. W 1941 roku prowadził z operacji Whitleya przez dwieście pięćdziesiąt mil, przy czym wszyscy prócz niego byli półprzytomni lub nieżywi. Znał taką sytuację. Milczący albo nie żyli, albo nic im się nie stało. Krzyczący byli lekko ranni i wystraszeni, ponieważ nikogo, kto był śmiertelnie ranny, nie było stać na długi, głośny krzyk. Delikatne pojękiwania, takie jak Cohena, wymagały tamowania krwi i morfiny.

— Binty, znajdź Koshera.

— Znalazłem, skiper.

— Czy jest O.K.?

— Nie. Cisza.

- Musi pan wytracić wysokość, skiper. On potrzebuje tlenu.

— Podłącz jego przewód.

— Przewód jest w porządku, ale on nie ma na sobie maski tlenowej.

— Załóż mu ją.

— Nie mogę, skiper. Znikła.

— Co to znaczy: znikła?

— Spaliła się, skiper. Będę musiał wziąć morfinę ze skrzyneczki.

Binty przeszedł do tyłu. I tym razem stąpał lekko trzymając się najmniej uszkodzonej strony. Starał się nie patrzeć w dół na chmury i morze pod nim. Siłą woli usiłował zmniejszyć swoją wagę.

— Ile mu dać morfiny z tej fiolki?

— Połowę fiolki w ramię. To podwójna dawka.

— Trudno będzie, skiper. Nie mogę odróżnić ramienia. Czy wystarczy w nogę?

- O.K. Binty. A ty Digby przejdź do tyłu i pomóż Binty'emu. Twierdzenie, że Binty nie był bliskim przyjacielem Koshera Cohena, byłoby półprawdą. Obaj mężczyźni mieli tak mało wspólnego, że propozycje zawarcia przyjaźni, jakie Kosher czynił Walijczykowi, jedynie podkreślały różnicę klasy, wykształcenia i zainteresowań. Binty spędził dzieciństwo w domu dziecka, a młodość w szkole RAF. Zawsze na niego krzyczano i często karano, a jego życie toczyło się zgodnie z planem zajęć i regulaminami. Binty nie napotkał na swej drodze niczego, co było warte posiadania, a kiedy już tak się zdarzyło, to zagarniał to nie martwiąc się o nic.

Cohen kształcił się w szkole prywatnej i na uniwersytecie. To były formalistyczne, zdominowane przez mężczyzn społeczności, ich zasady źle przygotowały Cohena do rozmowy z takimi ludźmi jak Binty, który naprawdę znał się tylko na kobietach i motocyklach. Cohen mówił jak oficer, co przeszkadzało Binty'emu i innym zwierzać mu się ze swoich kłopotów.

- Słuchaj Cohen, może podwieźć cię do Londynu?

Grrr! Binty zabrzączał pękiem kluczy do mieszkania.

— Kiedy niespodziewanie wpadłem ostatni raz do mieszkania, była w kąpieli, potrzebowałem całego tygodnia, aby wysuszyć mundur.

— Dzięki, Binty, ale kilku moich kolegów szkolnych jedzie pochodzić po górach. Powiedziałem, że pojedę z nimi.

Binty poświecił latarką po pustym, metalowym wnętrzu: półki na race sygnalizacyjne, apteczka pierwszej pomocy i łuk podajników amunicyjnych, który opadał łagodnie aż do tylnej wieżyczki. Dziesięć stóp przed nim znajdowały się pogięte i pokrwawione szczątki środkowej górnej wieżyczki. Nie paliło się, ale od czasu do czasu dawał się słyszeć trzask pocisku wybuchającego na skutek gorąca.

- Słuchaj, Binty, co za szczęście, że cię spotkałem. Czy zechciałbyś pojechać na ten weekend do moich rodziców?

- Nie, chyba że znajdzie się tam dla mnie jakaś wystrzałowa kobietka.

Binty próbował zaciągnąć Cohena do przodu, do koi załogi, zbudowanej nad głównym dźwigarem, ale Cohen był przyklejony do zsuwni

flar ugotowanym ciałem. Binty wystraszył się, że go rozerwie, ponieważ będąc pod działaniem morfiny, Cohen mógłby poczuć ból za późno.

Gdy eksplodował pocisk artylerii przeciwlotniczej, Kosher właśnie próbował usunąć bombę fotoświetlną z pociętej zsuwni. Szybko odzyskał równowagę, pochwycił gaśnicę i pośpieszył na tył do pożaru. Spadochron tlił się. Napelniał kadłub czarnym dymem palącego się materiału. Niektóre przegrzane naboje kalibru 0,303 zaczęły strzelać, a ich pociski z gwizdem rykoszetowały po metalowej konstrukcji. Raketnice sygnalizacyjne, naboje i materiały pirotechniczne zapaliły się wypełniając wąskie przejście oślepiającym światłem. Jasna zieleń i czerwień świeciły w dymie znoszonej wiatrem racy. Niektóre z nich przepaliły metalowe poszycie i opadały powoli do morza. Jimmy Grimm był nie do uratowania. Och, Boże! Jego latarka kierowała się na dym i buchające światło, gdy Cohen spoglądał do tyłu ku wielkiej bombie świetlnej o sile kilku milionów świec. Tliła się. Nikt nie mógł mu pomóc w usunięciu jej z uszkodzonej zsuwni. Był tylko jeden sposób na jej wyrzucenie ze samolotu: właśnie w dół po zsuwni bomb świetlnych. Pchnął ją z nową energią, jakiej dodała mu rozpacz i wyrzucił zaledwie ułamek sekundy przed jej eksplozją. To był ten głuchy wybuch, który zastanowił Lamberta.

Może gdyby Kosher miał na sobie ciężkie, skórzane rękawice lotnicze byłby mniej poparzony, ale jak większość nawigatorów nosił tylko jedwabne. Trudno byłoby mu kreślić ołówkiem linie i pokręcać tarczowym suwakiem logarytmicznym, gdyby nosił grube rękawice. Na dodatek spoglądał w dół zsuwni bomb świetlnych, aby widzieć, co robi.

Binty tulił chłopca do siebie. Po podaniu mu ćwierć grana” morfiny, Kosher zaczął się trząść jak w paroksyzmie, ale potem znowu się uspokoił. Jego oczy pozostały otwarte, stając się szkliste jak u misia-zabawki.

W ciągu lat uganiań się z powodzeniem za kobietami Binty nigdy nie używał czułych słów, ale teraz zaczął ich szukać w pamięci. Nie znalazł żadnego. Jego dzieciństwo było pozbawione życzliwości i miłości, jednak nigdy przedtem nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Jesteś lekko ranny, dziecino - powiedział w końcu, ale Kosher stracił przytomność. Binty założył mu teraz maskę tlenową. Spalone miejsce na piersi Koshera kipiało pęcherzykami, a jedwabna rękawiczka, która je przytrzymała, usiadł przy nich na podłodze. Tam, gdzie tliła się metalowa

konstrukcja, było nieco.

W kabinie Battersby powtarzał sobie w myśli tuzin razy pytanie, zanim w końcu je zadał:

— Czy sprawdzić linki steru wysokości aż do tyłu, do ogona?

— Dobry pomysł - odparł Lambert.

— Ważę najmniej - powiedział Battersby. - Może uda mi się dostać do tylnej wieżyczki.

— Spróbuj, Batters. Zabierz ze sobą spadochron.

— Czy da pan radę sam utrzymać samolot?

— Przesuń się do tyłu, a zobaczymy.

Lambert stwierdził, że może utrzymać kolumnę sterową w przodzie, ale tylko dzięki unieruchomieniu jej nogą i wykręceniu ciała na siedzeniu.

- O.K.

Binty poświecił latarką w górę na Battersa, który przeszedł nad dwoma mężczyznami przytulonymi do siebie na podłodze. Pomimo lodowatego wiatru, dym nadal unosił się wewnątrz samolotu. Battersby spoglądał spokojnie w dół, kiedy dotarł do dziury w kadłubie. Nigdy nie miał lęku wysokości, więc badał krawędzie uszkodzenia okiem znawcy. Stwierdził, że prowadzący do orczyka drążek jest mocno pocięty, więc próbował go naprawić kopnięciami, ale nie miał dostatecznej siły. Sięgnął wzdłuż drążka tam, gdzie wchodził w statecznik poziomy i przekonał się, że tak daleko jak mógł sięgnąć, nie był on uszkodzony. Poświecił latarką, ale nadal nie widział uszkodzenia. Włączył telefon pokładowy w łączę w pobliżu „Elsanu”.

— Drążki nie są najgorsze. Prawdopodobnie same stery wysokości, skiper.

— Cóż, nic na to nie poradzisz Batters. Może uda ci się dojść aż do tylnej wieżyczki i zobaczyć, czy Flashowi nic się nie stało.

Nagle usłyszeli głos Flasha Gordona:

— Tylny strzelec do skipera. U mnie wszystko w porządku.

— Gdzieś ty się u diabła podziewał? - zapytał Lambert.

— Przepraszam, skiper. Moja wtyczka wysunęła się z gniazdka. Wzywałem pana i zastanawiałem się, co się stało.

— Skiper - odezwał się Battersby - niech pan pozwoli, aby Flash przeszedł do przodu. Jego waga, tak daleko z tyłu...

Pozostawił resztę domysłowi Lamberta.

— Możesz tu przyjść, Flash? - zapytał Lambert. - Mamy tu trochę bałaganu w środku samolotu, więc idź ostrożnie i przynieś ze sobą spadochron. Battersby jest gdzieś tam w tyle; rób co ci powie, O.K.?

— O.K., skiper - odpowiedział Flash. - Chciałbym jednak powiedzieć, że coś jest nie w porządku z moją wieżyczką. Można ją obracać tylko ręcznie, a poza tym wyczuwam ohydny odór.

Flash ruszył do przodu. Zesztywniał z zimna w swojej wieżyczce z usuniętą szybą, a jego ruchy krępował spadochron. Kiedy doszedł do Binty'ego i Cohena, usiadł przy nich na podłodze. Tam gdzie tliła się metalowa konstrukcja było nieco cieplej.

Prawdziwe zmęczenie bierze początek w główce kości u nasady dużego palca nogi. Najpierw powoduje ból łydki i drganie mięśni ud, potem przesuwa się wzdłuż kręgosłupa i ciśnie na czaszkę, co prawie zmusza powieki do zamknięcia się. Ten właśnie rodzaj zmęczenia opanował teraz Lamberta. Czuł się tak, jakby przemaszerował pięćdziesiąt mil w pełnym rynsztunku.

Bez nawigatora, który mógłby mu pomóc i bez radiooperatora, który ustaliłby położenie samolotu, próbował narysować w pamięci trójkąt prędkości. Bezużyteczne było pamiętanie kursów kreślonych na odprawie, ponieważ otrzymane informacje o wiatrach były całkowicie błędne. W każdym razie sprowadził Lancastera do czterech tysięcy stóp, tak aby Kosherowi nie brakowało tlenu, a tu wiatry mogły być jeszcze inne.

— Czy mogę spróbować złapać przez radio QDM"? - zaofiarował się Digby.

— Zostań z przodu. Pomóż mi zidentyfikować punkt orientacyjny przy przekraczaniu wybrzeża.

Na skutek ataku Beera zawędrował daleko od trasy strumienia bombowców. Księżyc świecił teraz jasno, ale wszystko co mu pozwalało dostrzec to morze pod nimi i nieregularne kształty chmur z przodu. Wiedział, że jeśli chce dojrzeć punkt przekroczenia brzegu, to musi pozostać pod chmurami i kiedy pierwsze ich cząsteczki zwilżyły i przyciemniły pleksiglas kabiny, opuścił nos samolotu, by lepiej widzieć. Pod nimi było morze. Zimne, złowieszcze fale wydawały się z tej wysokości łagodne.

Lambert zdecydował, że w tej sytuacji powinien zapytać załogę, czy

chęć wrócić nad brzeg nieprzyjacielski i skakać. Nie zapytał ich jednak. Tak wiele razy przywoził zabitych, rannych i umierających. Teraz też tak było, podczas gdy on sam był nietknięty. Ruth powiedziała, że nie może się uważać za to odpowiedzialny, ale ona tego nie rozumiała. On prowadził maszynę. Najmniejszy ruch stopy lub dłoni zmieniał ich pozycję o pół mili. Cokolwiek by się nie zdarzyło, było jego winą. Tego nie dało się uniknąć. Nie ma władzy bez odpowiedzialności. Jego rozkazy wykonywali bez szemrania. Cohen poszedł do tyłu, do zsuwni bomb fotoświatlnych. Nikt nie prosił, aby skakać i nikt nie powiedział, że gdyby zareagował szybciej na ogień artylerii przeciwlotniczej z okrętu, nie zostaliby trafieni.

- Battersby, weź gaśnicę i dobrze obejrzyj środek samolotu. Jeśli znajdziesz lampę Aldisa, zerknij na silniki przez okienko radiooperatora.

— Zegary są w doskonałym stanie, skiper. Sądząc z wyglądu, wszystkie silniki pięknie pracują.

— Zostań tu chłopcze, robię się nerwowo.

— O.K., skiper - odrzekł Battersby.

Dreńczony winą, że to nie on został kaleką, Binty trzymał mocno Koshera i próbował go pocieszać. Niskim głosem, potykając się czasem na sylabach i kaszląc na skutek dymu, recytował nakrętka za nakrętka, śrubka za śrubką, każdą z części czterech motocykli, jakie posiadał. Flash usiadł na podłodze słuchając tej litanii i próbując nie patrzeć na górną wieżyczkę. Lambert i Battersby walczyli przy sterach z przewrotnym, nieobliczalnym i okaleczonym „Door”. Digby leżąc w nosie samolotu wytrzeszczał oczy w dół, w kierunku morza, próbując przerobić je na ląd. W końcu powiodło mu się.

— Przed nami brzeg angielski, to Aldeburgh!

— Southwold, widzę rzekę.

— Tak, no cóż, jestem tu tylko przejazdem, chłopie.

Dwa reflektory zapaliły się i przeszukiwały niebo, jasne smugi przeszły obok końcówki ich skrzydła.

- Skiper do załogi: czy mam usiąść na lotnisku zapasowym w Manston, czy próbować znaleźć Warley?

Przez dwie minuty nie było odpowiedzi, potem odezwał się Binty.

— Zawieźmy Cohena do domu.

— A więc do domu - zgodził się Lambert.

Cohen zapadł pod działaniem morfiny w stan omdlenia. Biny kołysał go w ramionach.



- Prawie w domu, Kosher, mój stary.

Zaczął odcinać jego spalone ciało od zsuwni bomb fotoświatlnych.

Personel naziemny i latający Tommy'ego Cartera święcił dwudzieste pierwsze urodziny pilota podrzucając go wysoko w górę. Jego ekwipunek lotniczy osłabił wstrząsy. Po dwudziestym pierwszym podrzucie stanął na nogach zdziwiony i trochę zły, chociaż widok Rollanda zbliżającego się do niego z tacą pełną kufli piwa nieco go ułagodził. Każdy z personelu otrzymał kufel piwa zanim wziął go Tommy. Sierżant elektryk podniósł swój i powiedział:

- Sto lat, Tommy, chłopcze. A teraz za ciebie i twój następny przydział służbowy, Tapper, stary draniu.

Wszyscy byli w doskonałych humorach. Ledwo zaczęli drugą kolejkę, kiedy jeden z nich zaintonował piosenkę, która stała się hymnem Tommy'ego. Była to wszystkim znana piosenka RAF, śpiewana na melodię „In and out of the window”.

„Kapitan nazywał się Carter,

Był czempionem w puszczeniu bąków,

Umiał zagrać wszystko

Od «Boże chroń króla»

Do czwartej sonaty Beethovena”. Wszyscy podchwycili chórem:

„Krażąc nad latarnią kierunkową,

Krażąc nad latarnią kierunkową,

Krażąc nad latarnią kierunkową,

Jak to już przedtem robiliśmy”. Harmonia zakończenia tak się wszystkim podobała, że powtarzali je stukając się kufłami.

- Za ciebie, Tommy - powiedział Ben Gallacher wznosząc toast za swego skipera. - Jesteś, psiakrew, najlepszym kierowcą w lotnictwie.

Przy blasku pionowo świecącego reflektora i migotającej latarni kierunkowej Tommy widział, że są szczęśliwi i że chwilowo zapomnieli o niebezpieczeństwach i trudnościach tej nocy.

Obaj, Lambert i Digby, zwrócili uwagę na pionowe światło reflektora. Ich zmęczenie na moment ustąpiło. Używając jedynie lotek Lambert stopień po stopniu przygotowywał kurs tak, że już z odległości pięćdziesięciu mil podchodził do głównego pasa lądowania. Na dziewięć i pół mili od Warley rozpoczął manewr lądowania.

Flash i Binty mocno trzymali Cohena. Światła podejścia zbliżały się zbyt szybko, ale stary „Door” był wypróbowanym bombowcem. On rzeczywiście robił, co mógł. Lambert regulował wysokość gazem i pozwalał samolotowi opadać, powoli wytracając prędkość. Stery wysokości były nadal bezużyteczne.

- Będę potrzebował całej twojej siły, Micky - powiedział Lambert do Battersa.

Światła pasa lądowania podpływały ku nim łagodnie. Battersby wypuścił podwozie, które na szczęście wysunęło się na swoje miejsce i zablokowało bez kłopotu.

- Daj mi 20 stopni klap.

— Klapy wypuszczone - oznajmił Battersby. Podejście było dobre.

— Flash i Binty, wszystko w porządku?

— O.K skiper.

- Trzymajcie się mocno konstrukcji. Jeśli odłamie się ogon to najwyżej jego końcowy kawałek. Nie wypadnijcie. Digby, wracaj tutaj. Battersby, proszę o 60 stopni klap.

Nie był wyżej niż czterysta stóp ponad drzewami i nadal delikatnie opadał. Strzeliste zakończenie wieży Warley wyrosło nagle i przebiło linię nieba, gdy Lambert walczył z kolumną sterową. Teraz potrzebował sterów wysokości. Tylko ten ostatni raz, „Door”, moje kochanie! Battersby i Lambert naciskali z całych sił na kolumnę sterową, obawiając się jednocześnie, że metal może się zgiąć. Załoga milczała. „Przesmarowywali” lotnisko. Koła nadal nie dotknęły ziemi. Lecieli parę cali nad lotniskiem z prędkością stu mil na godzinę.

- Nie mogę go utrzymać - wymruczał Lambert. Przepadali prawie niedostrzeżenie. Kontynuowanie tego płaskiego podejścia doprowadzi do gwałtownego zetknięcia się z ziemią pośrodku Witch Fen lub - co gorzej - z laskiem tuż za nim. Lambert zdecydował w rozpaczy pchnąć wszystkie manetki gazu w przód, na maksymalne awaryjne lądowanie. Już sięgał do nich, ale wstrzymał się. Zwątpił, czy krucha maszyna wytrzyma to, a wiedział, że kolejne okrążenie zajmie przestrzeń nad połową wschodniej Anglii, ponieważ nie mógł sterować ogonem.

Wskazówka szybkościomierza zatrzepotała i spadła do dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Koła nadal nie uderzały o ziemię.

To jest to - powiedział Lambert i przymknął zupełnie gaz. Przy szybkościach powyżej prędkości przepadania maszyna jest księżniczką z bajki, nie troszczącą się o prawo ciężkości. Ale samolot lecący choćby odrobinę poniżej tej prędkości zmienia się nagle - jak Kopciuszek o północy - w zbiór metalowych części składowych, które tak jak cegła, bomba lub

dynia, spadają na ziemię zgodnie z prawem ciężenia.

Tak zrobił „Door”. Uderzył w pas lądowania jak pięść w ladę, wstrząsając każdym nitem. Opony zapiszczały jak wpół zarżnięte wieprze i powtórzyły pisk gdy podskakujący samolot ponownie otarł się ich gorącą gumą o twardą nawierzchnię. Lambert opuścił już całkowicie klapy, ale nadal pędzili z szybkością sześćdziesięciu mil na godzinę ku linii drzew, znaczących koniec pasa lądowania. - Skręcamy! - zawołał Battersby, ale już Lambert próbował skorygować błąd.

Dwa drzewa wyrosły nagle na tle białej linii horyzontu godząc swoimi sylwetkami w powietrze, jakby w geście sprzeciwu, że zostały wybrane na zagładę przez niekontrolowany bombowiec.

Potem świat zwariował. Battersby wiedział, że było niemożliwe, aby pograżali się w pasie lądowań, a jednak czuł, że to właśnie bez wątpienia się działo. Niżej i niżej. Nastąpiło bardzo głośne trzaśnięcie, które wstrząsnęło samolotem. Z każdej strony maszyny ukazały się błyski, a deszcz żółtych iskier wypełnił okna kabiny. Linia horyzontu oderwała się od lotniska i zatańczyła najpierw wkoło lewych okien a potem, bardziej zdecydowanie, wokół prawych. Tym razem trwało to chwilę, a przed nimi znalazły się hangary, następnie światła okien wieży kontrolnej, a potem znowu wyrosły te przekłete drzewa. Hałas był straszny. Metal rozrywał się na kawałki w oszalałym rytmie tańca drzew, aż wreszcie, kiedy horyzont stracił swoją energię, tumult zmniejszył się, zapanował spokój i nastąpiła taka cisza, jakiej nigdy przedtem nie znali. Digby pomyślał przez chwilę, że nie żyje, a potem usłyszał bulgotanie benzyny płynącej z połamanymi zbiornikami oraz skrzypienie i trzaskanie osiadającego pogiętego metalu. Czuć było zapach stuoktanowego paliwa oraz słodką woń ludzkich istot i świeżej krwi.

Wszystkim odjęło mowę i znieruchomieli. Jest wątpliwe, czy poruszyliby się, nawet gdyby wrak samolotu płonął. Komisje badające wypadki lotnicze nazywają to dzisiaj „paniką negatywną”, wtedy mówiono, że to oszołomienie.

- Przepraszam was, chłopcy - odezwał się wreszcie Lambert. - Musiałem schować podwozie. Wychodźcie tak szybko, jak się da. Istnieje niebezpieczeństwo pożaru. Masz tam Koshera, Binty?

— Tak, skiper. Zajmujemy się nim. - r A Flash?

— Jestem O.K., skiper. Czy ma pan Flanagan? Lambert sięgnął po

zezowatą, szmacianą lalkę.

— Tak, Flanagan czuje się dobrze - powiedział. Ostatnio nienawidził tej lalki, ale nigdy więcej niż teraz. Wepchnął ją za bluzę.

— Dig?

— Gotowy do wyjścia.

- Wyłączcie się i wyjdźcie. Najlepiej przez boczne drzwi. Spokojnie.

Dopiero wtedy załoga odzyskała zmysły na tyle, by wyłączyć przewody

mikrofonów, odpiąć pasy spadochronowe i udać się do wyjścia. Lambert poczęstował Battersa kulakiem, aby się pośpieszył i poklepał samolot w czułym pożegnaniu.. Przez moment siedział spokojnie, spoglądając na swoją maszynę. Poczłł trudny do zrozumienia smutek, gdy żegnał się z wrakiem.

Dokoła panował wielki harmider: dzwonki i okrzyki, karetki pogotowia i wozy straży pożarnej. Flash i Binty nieśli Cohena jakieś sto jardów, zanim opadli z sił i usiedli razem z nim na zimnej ziemi. Spoglądali do tyłu ku „Door”, pogiętemu, połamanemu i leżącemu dobry kawał od pasa lądowania. Odłamana końcówka skrzydła świeciła kikutem. Kawalki ogona leżały rozrzucone po całym terenie. Wkrótce przybiegł za nimi Digby. Zobaczył ich i opadł na ziemię obok, dysząc i sapiąc z wysiłku.

- Niech Cię Bóg błogosławi, Matko Ziemi - powiedział.

Zapach zwilżonej rosą trawy prawie wziął górę nad zapachem Cohena.

A gdzie był Battersby? Stał w cieniu zniszczonego bombowca czekając przy wyjściu na Lamberta. Słyszał, jak się porusza w samolocie. Wkrótce ukazał się w drzwiach niosąc coś. Battersby ruszył, aby mu pomóc, ale okazało się, że nie może.

- Wszystko będzie dobrze, Jimmy - mówił Lambert do mokrego zawiniątka.

Lancastery podchodziły, jeden za drugim, ponad dachami miasteczka do głównego pasa lądowań. Stary Sam Thatcher zrezygnował z próby zaśnięcia, zapalił światło przy łóżku i spojrzął na zegarek.

— Ten przekłety wiatr! Wiedziałem, że zmieni kierunek. Powiedziałem to młodej Cynthii.

— Śpij - zamruczała pani Thatcher.

Zgasił światło, ale nie zasnął. W końcu wstał i zrobił sobie herbatę.

W sali odpraw wydano po kieliszku rumu każdemu członkowi powracającej załogi, a niska, ciemna WAAF-ka ze starannie wykonanym makijażem rozdawała kubki gorącej herbaty z mlekiem. Dwóch lotników zdejmowało z okien zasłony. Ślady wyblakłego różu barwiły niebo na wschodzie. Oficerowie dokonujący odprawy powrotnej siedzieli za składanymi stołami i pisali jak szaleni, podczas gdy załogi zgrupowane wokół nich próbowały odtworzyć przebieg lotu. To nie było możliwe. Ich opisy gubiły się w przekleństwach i oklepnych frazesach. Głosy były ostre, a brudne twarze nosiły czerwone „blizny” po maskach tlenowych, jak uśmiechy wymalowane na kłownach. Nagłe zdanie sobie sprawy, że przeżyli, bardziej odurzało aniżeli miarka rumu ofiarowanego przez Ministerstwo Lotnictwa.

- Oddałem do niego naprawdę celną serię; to był z pewnością Messerschmidt, prawda Cliff?

— Nie widziałem go, Dave.

— Ty durniu!

— Czy to był pana dwudziesty lot, kapitanie?

— Dokładnie na cel, ale nie mógłbym powiedzieć, jakiego koloru był dym.

— Krefeld jako miasto już nie istnieje.

- Jeśli mi nie wierzycie, spójrzcie na zdjęcie, które zrobiłem.

— To wygląda na dobrą robotę.

— Krwawa miazga.

Ponieważ bomby, które nie trafiły w Altgarten, spadły na teren otwarty i nie zapaliły się, zniszczenie małego miasta wydawało się z powietrza bardzo skoncentrowanym i nadzwyczaj dokładnym atakiem na nieregularnie rozrzucone Krefeld.

Longfellow był zadowolony.

- Będzie o czym opowiadać waszym dzieciom - powiedział Lambertowi, ale ten postanowił już nigdy nikomu o tym nie mówić.

Załoga udała się na śniadanie nadal głośno rozprawiając. Lambert nie opuścił sali po zakończeniu odprawy powrotnej; czekał. Zawsze czekał, tym razem jednak czekał na próżno. Nie było znaku życia po Murphym lub kimkolwiek z załogi Sweeta.

Na zewnątrz, na zimnym lotnisku, pół tuzina personelu naziemnego stało wkoło stanowiska „S jak Sugar”. Słyszeli odległe śpiewanie załogi Cartera, które ich uspokajało. Byli ubrani w wełniane czapki i długie szaliki. Wepchnęli dłonie głęboko w kieszenie płaszczy i wyjmowali je tylko po to, aby zapalić papierosa. Ziemia pod ich stopami była upstrzona białymi, rozdeptanymi niedopalkami. Nie rozmawiali ze sobą, chyba że pytali o godzinę. Sierżant mechanik odbył swoje zasadnicze przeszkolenie razem z Murphy’em. Na koniec powiedział:

- Idźcie zjeść śniadanie, chłopcy.

Daleki pisk hamulców londyńskiego pociągu doleciał do nich wyraźnie nad ciemnymi moczarami. Szli powoli z powrotem przez lotnisko wbijając wzrok w ziemię i mając nadzieję, że nie spotkają nikogo znajomego.

Christian Himmel wylądował w Kroonsdijk jako ostatni z eskadry. Zdefektowany silnik sprawiał kłopot przy kołowaniu, ale Himmel spodziewał się tego. Minął dość szybko stary wrak, a potem Kugel sygnalizując pomógł mu pokolować na stanowisko. Himmel popchnął lewy nożny hamulec tak silnie, że samolot obrócił się raptownie na płycie stanowiska. Dał silnikom maksymalne obroty. Jeden z nich strzelał, gdy próbował wadliwe magneto. Wyłączył oba. Żyroskopy zatrzymały się z przyjemnym, dźwięcznym brzęczeniem, a ochładzające się silniki cichutko dzwoniły. Za Kuglem stała grupa mężczyzn. Christian zobaczył wśród nich lekarza i Redenbachera. Nerwowy oficer z Kontroli Lotów pośpiesznie wyłączył światła pasa lądowań.

- Co się stało? - zapytał Kugla, gdy dotknął stopami ziemi u spodu drabinki. Teraz, gdy już zdjął maskę tlenową, zdał sobie sprawę ze smrodu Junkersa. Olej, spaliny, stęchły proch, osad węglowy w działkach, wszystko to mieszało się z wonią przepoconego ubrania. Może właśnie dlatego Kugel spoglądał na niego z zaciekawieniem. Himmel przeciągnął się. Było to niezbędne odprężenie po ciasnym fotelu pilota.

Po drugiej stronie lotniska, w pobliżu grobli, widać było błyski latarek i reflektory samochodów. Z ruchu świateł domyślił się zamieszania i pośpiechu. Kugel szybko mówił.

— Facet z Twente przyleciał celem uzupełnienia paliwa i pozostawił kawałki podwozia porozrzucane po całym pasie lądowania. Zawiodły klapy i hamulce. Zapalił się.

Dwaj oficerowie zostali zamknięci w kabinie jak w pułapce. Uratował ich Horst Knoll, ale paskudnie poparzył sobie dłonie. Zabawne, co? On, który tak nienawidził oficerów!

— Daj papierosa, Kugel.

Starszy mężczyzna wybrał jednego i wepchnął Himmlowi w usta. Odeszli od samolotu, zanim Kugel wydobył zapalki. Ptaki śpiewały hałaśliwie, choć było jeszcze zupełnie ciemno.



— To była zła noc, Christianie. Zaginał Staffelkapitan, a teraz jeszcze myślą, że Leutnant Kokke także odszedł. Inne eskadry straciły czterech.

— Będziesz musiał wymienić ten silnik, Kugel. Przerwał mi dzisiejszej nocy w trakcie przechwytywania.

— Może to nie było zaoliwienie świec.

— To świece - upierał się Himmel - zawory zresztą także są do luftu. Słyszałeś. W każdym razie Kommodore powiedział, że należy go wymienić, jeśli sprawi jakiś kłopot.

Kugel zapalił zapalkę, a Christian nachylił ku niej głowę.

— Wstawimy nowy silnik, Christianie. A propos, Lówenherzowi przyznano dalekopisem Krzyż Rycerski.

— To dobrze. Jesteś pewien, że nie żyje?

— Obsługa radaru w Ermine widziała wybuch na morzu. Sądzą, że to od pocisku okrętowej artylerii przeciwlotniczej. Otrzymałby swój Krzyż Rycerski osobiście od Reichsmarschalla Göringa.

— A Kokke?

— Najpierw sądzono, że to jego radio, ale nigdzie nie wylądował.

— Może jeszcze się zjawią - powiedział Christian. - Zaopiekuj się dobrze psem, bo Lówenherz będzie wściekły.

- Kommodore czeka na ciebie - ostrzegł Kugel. - I ten starszy facet w cywilu. - Spodziewałem się ich - odparł Christian. - W mojej zamykanej szafce jest

butelka brandy i czasza amerykańskiego spadochronu. Możesz sobie je wziąć.

- Jest tam także lekarz wojskowy - dodał Kugel.

- Tak, będzie chciał mnie wziąć na obserwację - wyjaśnił Christian. - Jest znawcą ludzkiej natury.

Kugel spojrzął za siebie, aby się upewnić, że nikt ich nie słyszy.

— Uderz mnie - powiedział.

— Co...?

— Uderz mnie i uciekaj. Uderz mocno, to musi być przekonujące.

— Jesteś dobrym przyjacielem, Kugel - odparł Christian. - Dobrze opiekuj się psem.

I poszedł ku grupie oczekujących go mężczyzn.

Munro zszedł swoim Lancasterem na lotnisko Warley Fen lekko jak piórko. Trzymał wiatr pod lewym skrzydłem, aby odwlec dotknięcie ziemi uszkodzoną oponą. Przechylał stery powoli, by zetknąć się z pasem lądowań tak łagodnie, jak to możliwe. Dotknął go rzeczywiście bardzo delikatnie, ale gwałtowny podmuch bocznego wiatru rzucił samolot z powrotem w powietrze, a potem osadził go na ziemi dziesięć stóp w prawo od pasa lądowań.

Im mniejsze ciśnienie w oponie tym mniejsza prędkość, przy której zejdzie ona z obręczy. Pomimo zręczności Munro, miękka opona spłaszczyła się przy uderzeniu o twardą nawierzchnię przy prędkości osiemdziesięciu mil na godzinę, a potem rozerwała się na długie paski, które rozsypały się po lądowisku, wijąc się jak gorące, czarne węże, skręcając w dziwnych łamańcach, twardniejąc i krusząc się. Pozbawiona opony obręcz koła przecięła ciemności długą smugą białych iskier, wyginając się i rozdzierając na osiem kawałków, toczących się z hukiem jak zespół dzwonów. A kiedy amortyzator olejowo-powietrzny podwozia zetknął się z ziemią, to jakby jakiś olbrzym pochwycił końcówkę lewego skrzydła i Lancaster skręcił na bok zanim osiadł przekrzywiony, ale prawie nieuszkodzony na mokrej od rosy trawie. Stało się to zaledwie dwieście jardów od wraka „Door”.

— Samolot na ziemi - powiedział Munro niezwykle urzędowo. Samolot zamierał za każdym razem, kiedy te słowa kończyły jego lot. Światła zamigotały gasnąc, przyrządy przestały świecić, telefon pokładowy zamilkł, a prądnice i żyroskopy zajęczały i zatrzymały się.

— Samolot na ziemi, rozumiem panie pułkowniku - powiedział mechanik, przekręcając bez pośpiechu wyłącznik. Munro zdjął maskę tlenową, odłączył ją od przewodów, odpiął pasy, obrócił i uderzył w zapięcie pasów spadochronowych, po czym sięgnął po czapkę i laskę.

— Niech mnie diabli, spójrz na to, Jock!

Pomachał złamanym końcem swojej laski. Małeńki kawałek szrapnela przeciął ją na pół. Munro zadrżał i zadecydował, że nigdy więcej nie zabierze ze sobą przynoszącego szczęście amuletu. Gdyby przed spróbowaniem tego pomysłowego lądowania wiedział, że laska została złamana, byłby przekonany, że jest skazany na rozbicie.

— Gratuluję, pułkowniku - powiedział Jock. - Dobre lądowanie i koniec tury operacyjnej.

— Dzięki, Jock.

Sala odpraw była zaśmiecona niedopałkami papierosów a powietrze ciężkie od stęchłego dymu i woni rumu zafundowanego przez Ministerstwo Lotnictwa. Kiedy przesłuchiowano załogę Munro, sala była już prawie pusta. Uwaga wypisana na ścianie dużymi literami głosiła: "Załogi! Nie czekajcie na wywołanie waszych zdjęć i idźcie spać!". Zanim umieszczono ten napis, sala bywała zatłoczona hałaśliwie rozprawiającymi załogami aż do rana. Oficer taktyczny obciągnął płaszcz i spojrzął na zegar. Munro widział to spojrzenie i potrząsnął ze smutkiem głową. Trzy brakujące samoloty nie miały już paliwa, aby znajdować się jeszcze w powietrzu. Longfellow zebrał raporty z lotu i wyszedł. Trzej mężczyźni, którzy czekali na przyjaciół w pobliżu wejścia także odeszli, nie zamieniając ze sobą ani słowa.

W kasynie sierżantów grał gramofon. Kelner przeszedł po sali skarżąc się na podoficerów, którzy postawili mokre kufle na stole bilardowym. Jeden z sierżantów, strzelec pokładowy, dzielił kułakiem przyjaciela, który nie potwierdził zestrzelenia przez niego Ju88. Jakiś bombardier zwymiotował w barze po wypiciu whisky zmieszanej z rumem. A znów jeden z kucharzy sierżantów, który miał mieć służbę przy śniadaniu, przyszedł do holu w piżamie i poprosił, aby mniej hałasowano. Przyjęto go ohydnyimi obelgami. Flash Gordon pomógł wypchnąć Binty'emu Jonesowi motocykl z kotłowni, w której go trzymał. Binty zapalił go, wsunął do kieszeni szczoteczkę do zębów i ruszył na rendez-vous z Różą w Peterborough. Jechał, podskakując na motorze, nieoficjalną ścieżką za kasynem, aby najkrótszą drogą wydostać się na szosę. Uderzał palcami nóg w ziemię dla utrzymania równowagi i starał się utrzymać małe obroty potężnego silnika. Prawie zrównał się z człowiekiem nadchodzącym z drugiej strony. Dopiero wtedy go rozpoznał.

- Niektórzy z was, chłopcy... - zaprotestował dowódca dywizjonu ze zdumieniem. - Dokąd jedziesz?

Binty był zbyt zaskoczony, aby skłamać.

— Do Peterborough, panie pułkowniku.

— Randka, co?

— Tak jest, panie pułkowniku - odparł Binty, nie mogąc opanować nerwowego tonu swego głosu.

Pod wpływem impulsu Munro powiedział:

- W takim razie może podwieszysz mnie do dworca w Peterborough? Mógłbym tam złapać pociąg do domu.

Dotknął kieszeni i usłyszał szelest listu od żony.

- Oczywiście, panie pułkowniku - odpowiedział Binty posłusznie i z ulgą, że nie zostanie ukarany za wymykanie się z lotniska. Zawrócił motocykl.

- Niech pan wskoczy na tylne siedzenie. Zawiozę pana do kasyna oficerskie go i zaczekam.

- Znasz się na rzeczy, Gordon.

- Jones, panie pułkowniku. Gordon jest moim kolegą. Jestem ze środkowej górnej wieżyczki „Creaking Door”. To jest. ”O jak Orange”.

— Znasz się na rzeczy, sierżancie Jones. A więc do Peterborough i nie oszczędzaj koni.

— Nie, panie pułkowniku, nie będę.

Kiedy Lambert wyszedł z sali odpraw, usłyszał gramofon w kasynie sierżantów i poczuł zapach smażonego bekonu, podawanego na śniadanie załogom latającym. Tommy Carter, Tapper Collins i Jock Hamilton próbowali zaciągnąć go do kasyna, aby wypił z nimi, ale nie dał się namówić. Usłyszał jak Digby powiedział:

- Płeć piękna ma swoje prawa i Sam musi iść do swojej pani.

Tommy miał butelkę whisky, przechowywaną w zamkniętej na klucz szafce. Połowę już wypili. Życzyli mu dobrej nocy i odeszli śpiewając.

- Serdeczne życzenia urodzinowe, Tommy! - zawołał za nimi. Śpiewali znaną żołnierską piosenkę:

„Mój brat Sylwester Ma na piersi czterdzieści medali I trzeba całej armii i floty Aby Sylwestra przestraszyć”. Śpiewali szybko strasznie fałszując: „Nie rozpychaj się, Jest wiele miejsca dla nas obu.

On ma ramię jak nogę I uderzeniem pięści zatopi okręt wojenny”. Digby zakończył długo po innych, a przeciskając się do Tommy’ego odwrócił się, aby jeszcze raz krzyknąć „do widzenia” Lambertowi. Lambert pokiwał im ręką. Digby dzielił pokój z Grimmem i Cohenem. Dzisiejszej nocy będzie miał cały pokój dla siebie. Dlatego właśnie nie pójdzie spać.

Szatnia opustoszała, zanim Lambert doszedł do niej. Otwierał swoją szafkę, gdy z ubikacji dla załóg wyłonił się blejszy niż zwykle Battersby. Otarł usta i zapytał;

— Czy byłem w porządku, skiper? Lambert mrugnął do niego:

— Jak stary wyga, Batters. Chłopiec uśmiechnął się.

— Telefonowałem do izby chorych.

— Ja też, Batters.

— Chciałem tam iść, ale powiedzieli, że to na nic. Zrobią wszystko, co mogą.

— Prześpij się trochę, najgorsze minęło.

Chłopiec miał mnóstwo pytań, uśmiechnął się jednak i skierował w stronę drzwi. Lambert sięgnął z półki buty, w których znalazł grupowe zdjęcie. Byli na nim wszyscy; szczyrzyli zęby w uśmiechu jak nieśmiertelni. Cisnął je w głąb szafki, a za nim Flanagan. Ściągnął lotnicze buty i kombinezon, po czym poszedł się umyć, ale zmienił zamiar. Ktoś zarzygał ubikację, brak było żarówki, a jedyny ręcznik skradziono.

Wziął rower i podpompował tylną oponę. Musiał przepchnąć go przez dziurę w siatce ogrodzenia, ponieważ zwycięstwo w ustawicznej walce między tymi co zrywali siatkę, a tymi co ją naprawiali, przechyliło się nieco na stronę tych ostatnich. Potem miał już tylko dziesięć minut jazdy do miasteczka.

Niebo zaczynały pokrywać pierwsze smugi nowego dnia, a powietrze było dostatecznie zimne, by jego oddech zamienić w parę. Lambert lubił te powroty. Okolica była spokojna i aromatyczna, a żywopłoty napełniał szelest budzącej się przyrody. Lambert pogratulował sobie przeżycia jeszcze jednego lotu. Oparł rower o ogrodzenie i otworzył frontowe drzwi tak cicho, jak tylko mógł.

Ruth nie spała, gdy wszedł do sypialni. Nigdy nie spała, gdy wracał. Wiedział, że ona nigdy nie śpi, kiedy on lata, choć jej o to nie pytał. Rozebrał się powoli nie zapalając światła. Księżyc, który świecił tak jasno nad holenderskim brzegiem, rozpraszał swoje światło w cienkiej chmurze i pokrywał sypialnię jedynie śladem niebieskiego mroku.

- W porządku, kochanie?

Lambert nie odpowiedział, więc wiedziała, że było źle. Milczał tylko wtedy, gdy zostali ostrzelani i stracili kogoś z załogi. Kiedy wszedł do łóżka wyciągnął się jak długi. Z połączonymi stopami wyglądał, jak kłoc drewna. Lub jak nieboszczyk, pomyślała Ruth i zaraz wymazała z głowy tę myśl. Jego skóra była twarda i zimna a oddech prawie niesłyszalny. Przytuliła

głowę do jego ramienia. Nie zareagował.

Powrócił i za to była wdzięczna. Nie tylko tchórze umierali po tysiąc razy, ale także żony, matki i narzeczone. Może także ojcowie.

— Cohen i Grimm - powiedział Lambert. Nie wymienił Micky'ego. Milczała.

— Obiecałem jego ojcu - dodał Lambert.

— Zmusił cię do obietnicy - odparła Ruth.

— Obiecałem.

Chciała powiedzieć o pułkowniku, ale postanowiła nie martwić go jeszcze jedną sprawą.

— Dziś są dwudzieste pierwsze urodziny Tommy'ego Cartera. Chcieli, abym z nimi wypił.

— Powinieneś pójść.

— Nie.

Jakiś motocykl przejechał przez miasteczko z dużą prędkością. Przy skrzyżowaniu ulic kierowca przerzucił bieg na niższy, by zaraz potem dodać z rykiem gazu gdy skręcił na główną drogę. Lambert nachylił się nad żoną i pocałował ją.

— Nie myłem się - przeprosił. Na pewno czuła to wyraźnie. - Posłałem tatusiowi piąta.

— Jesteś głuptas. Sam. On nie wyda go na zapłacenie rachunków. Nigdy się nie zmieni.

— Wiem.

— Nie możesz być odpowiedzialny za wszystkich, Sam. Nie powinieneś nawet próbować.

- Nie polecę już więcej. Mogą zrobić, co im się podoba, Ruth. Skończyłem turę, koniec, kaput.

Sięgnęła do stoliczka przy łóżku i znalazła dla niego tabletkę na sen. Zażył ją jak małe dziecko, nie troszcząc się, co to jest i skąd się wzięło.

— Może powinieneś w sobotę zagrać w krykieta. Do Londynu pojechalibyśmy innym razem.

— Jesteś dobrą dziewczyną, Ruth.

Objął ją ramieniem i zamknął oczy, ale nie zasnął.

Działo się to mniej więcej wtedy, gdy znaleziono burmistrza. Wszyscy mówili, że było to najbardziej odpowiednie miejsce, żeby go szukać, ale powiadano tak dopiero jak został odnaleziony. Goniec

Hitlerjugend prawie go przejechał na zdewastowanym terenie jego domu. Zbierał wszystkie nieuszkodzone cegły, jakie mógł znaleźć i budował z nich ściany. Nie miał oczywiście zaprawy murarskiej i dlatego rozpadły się, gdy uderzył w nie rower chłopca. Burmistrz bardzo się rozgniewał, więc czternastolatek pomógł mu postawić na nowo konstrukcję. Uplęła prawie godzina, zanim chłopiec zdał sobie sprawę, że burmistrz usiłuje zbudować maleńki barak dokoła siebie.

Grupa techników z TENO, dowodzona przez Bodo Reutera, ciągnęła dźwig wielokrążkowy na Liebfrauplatz. Dźwięk łańcuchów rozbrzmiewał w ruinach jeszcze ciepłego kościoła. Za każdym pociągnięciem zespół ogonowy Lancastera Sweeta podnosił się wyżej, aż zawisł w środku miasteczka na podporach. Kołysał się na wietrze, który tak rozdmuchiwał ogromne, nocne pożary, wyglądając jak jakiś wystawiony na gniew bogów okaz prehistorycznego zwierzęcia. Dym zasnuwał to miejsce. Na sterach widać było czerwono-biało-niebieskie oznakowanie Brytanii oraz malowane szablonem białe litery - znaki identyfikacyjne. Niektórzy z lucjzi TENO chcieli pozostawić ciało strzelca w zmiażdżonej tylnej wieżycze, ale Bodo Reuter nie pozwolił. Jeszcze zanim dostarczono liny, mieszkańcy zaczęli się gromadzić, aby popatrzeć na swych dręczycieli.

- Sieg Heil! - zakrzyknął jeden z nich, a inni podjęli okrzyk. Zniszczony samolot Sweeta miał tam pozostać przez tydzień, a potem przetopi się go, aby po około siedmiu tygodniach znowu poleciał, ale już jako niemiecki samolot.

Stacja Himmelbett Luftwaffe Ermine miała szczęście do poczty. Była pierwszą jednostką Luftwaffe na wybrzeżu, na drodze pocztowej z Rotterdamu. Do Augusta Bacha przyszły dwa listy. Jeden od jubiler z Altgarten z pokwitowaniem kaucji i rachunkiem za pierścionek zaręczynowy. Jubiler powiedział, że pierścionek zaręczynowy jest najbardziej ryzykowną rzeczą, jaką mężczyźnie można zaoferować na kredyt. Drugi list August otrzymał od syna. Posiadał nagłówek „koło Leningradu”.

„Tatusiu,

Mam tylko chwilę czasu. Jeszcze cztery godziny temu byliśmy na linii. Ostatniej nocy byłem na patrolu próbując wziąć jeńców dla zasięgnięcia języka. Obaj zmarli od ran, a dzisiejszej nocy kompania, która



nas złuzowała, podejmie nową próbę. Jesteśmy prawie pewni, że Iwan jest gotowy do ataku. Kiedy to zrobi, otrzymam promocję lub drewniane okrycie. Tak czy owak to nieważne, jak długo nie jestem ranny.

Odpowiadam na pytania: Nie. To co dostajemy do jedzenia całkowicie wystarcza. Zjadaj sam swoje racje. Tak, otrzymam urlop w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Tak, przyjadę do domu. Czy myślisz, że mógłbym zrezygnować z jeszcze jednej nocy z tą jędrną, małą gosposią, którą chowasz? Mówiłem o niej chłopcom. Jeden z nich powiedział: „Bądź pewny, że Luftwaffe najlepsze kąski zatrzymuje dla siebie”. Miał oczywiście na myśli ciebie. I nie udawaj przede mną świętoszka. Zobaczymy się pewnego dnia w sierpniu i zapukam przed wejściem do sypialni.

Twój pełen dobrej myśli Peter P.S. Odpowiedź na nie zadane pytanie: nie zapomniałem i zwrócę dług bardzo szybko”.

August złożył oba listy i włożył je do kieszeni.

Reinecke - powiedział - po śniadaniu ukarzę żołnierzy, którzy zgubili rowery. Potem zajmiemy się pieniędzmi. Czy jest ktoś chory?

Tylko ja, proszę pana - odrzekł Reinecke i uśmiechnął się.

— Nie, jest nas dwóch - powiedział August.

— Poczuj się pan lepiej po kawie, po prawdziwej kawie.

— A co z czaplami?

— Odleciały.

W wartowni Warley Fen starszy sierżant Bishop spoglądał na swój galeon pod pełnymi żaglami. Nie mógł zdecydować się, czy nazwać go „Cadiz Ahoy” czy „Gold from the New World”. Zadzwoił telefon. Telefonistka zwróciła się do Bishopa, będącego dzisiejszej nocy dowódcą warty.

— To jakiś posterunek policji z meldunkiem - powiedziała. - Ani kancelaria, ani sala operacyjna nie odpowiadają.

— O.K. - odparł starszy sierżant Bishop - daj ich.

— Czy RAF Warley Fen?

— Zgadza się.

— Tu policja w Cambridgeshire. Mówi sierżant Ford. Mamy dwóch waszych ludzi. Motocykl norton zderzył się z ciężarówką. Sądząc po dźwięku motoru, pędzili z dużą prędkością. Nazywają się... - tu przerwał, przesuwając jakiś dokument na biurku - Munro John, podpułkownik i Jones William Gareth, sierżant. Znaćcie ich?

— Znam podpułkownika, bo sierżantem na tej stacji jest prawie każdy.

— Bardzo dobrze. Rozumiem, że wasza żandarmeria zadzwoni do nas rano, aby się tym zająć. Należy także zabrać uszkodzony motocykl.

— Chwileczkę - powiedział Bishop uśmiechając się do siebie, gdy o tym pomyślał. - Nie możecie trzymać podpułkownika do rana w celi. A już na pewno nie za przekroczenie przepisów drogowych.

— Ach, przepraszam. Zapomniałem dodać, że nie żyją. Zginęli na miejscu. Uderzyli w ciężarówkę z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę.

— O.K. - powiedział sierżant. - Zrobię notatkę.

Odłożył słuchawkę. Zdecydował, że lepiej będzie „Cadiz Ahoy”.

W trzech kuchniach Warley Fen kucharze byli jeszcze zaspani, kiedy usiedli do pierwszych kubków słodkiej, gorącej herbaty z mlekiem, przed przygotowaniem najwcześniejszego ze wczesnych śniadań. Maisie Holroyd, oficer prowiantowy, wypila kubek herbaty i opowiedziała dowcip we

wszystkich trzech kasynach, mimo że pełniła służbę aż do północy, doglądając przydziału racji żywnościowych dla załóg lecących na operację. Słońce czepiało się niepewnie horyzontu i zabijało gwiazdy swoim spojrzeniem. Lambert obracał się we śnie, jęczał, śmiał się, aż wreszcie ucichł. Ruth jeszcze nie zasnęła, a teraz czuwała nad nim, jak matka nad chorym dzieckiem.

W sekcji lekarskiej dwaj lekarze wyprostowali się po raz pierwszy od dwóch i pół godziny i pozwolili sierżantowi Cohenowi umrzeć.

W Altgarten już dawno wyczerpano formularze zaświadczeń zgonu. Teraz używano kartek z dziecięcych zeszytów, opatrzonych na górze pieczętą władz miejskich. Zabrakło także bandaży, krwi, szyn do złamanych kości, opatrunków do oparzeń, jodyny i morfiny.

Podczas wyburzania domów przy Dorfstrasse wciąż jeszcze wybuchały bomby. Sklep Vossa był jedną z niebezpieczniejszych ruin. Metaliczny głos z głośnika furgonetki, jadącej powoli wzdłuż ulicy, powiadamiał bezdomnych, aby zgłaszali się do centrali NSDAP po informację i pomoc. Nakazywał bliskim krewnym zgłaszać zaginione osoby do tymczasowego posterunku policji w domu przy Zieglerstrasse. Można się tam było dostać jedynie przez łąkę Kollera, ponieważ z powodu niewypałów ulicę tę częściowo ogrodzono tak jak wiele innych ulic Altgarten.

Billy Pace był jedynym członkiem załogi Sweeta, który przeżył. Jego lądowanie niedaleko Altgarten nie było jednak szczęśliwe. Ujrzał ciemne sylwety jodeł na moment przed zderzeniem z nimi. Najpierw jedna gałąź uderzyła go w nogę, a następnie zaatakowały go inne; zatrzymało go nagle szarpnięcie, gdy czasza spadochronu zahaczyła o wierzchołek drzewa. Czasza rozdarła się i opadł jeszcze kilka stóp zanim zawisł w powietrzu. Noc w lesie była czarna jak smoła. Próbował przytrzymać się gałęzi, ale wszystkie były cienkie i giętke i nie wytrzymały jego ciężaru. Usiłował dostrzec cokolwiek, nic jednak nie widział. W kieszeni znalazł zapalki, więc zapalił jedną oświetlając jedynie najbliższe gałęzie. Światło jeszcze bardziej pogłężyło otoczenie w ciemności. Upuścił palącą się zapalkę, ale zgasła zanim mógł zobaczyć cokolwiek poza skafpetami na stopach bez butów lotniczych, które zgubił. Zawieszony na ciasnych pasach czuł się tak źle, że kusilo go, by uderzyć w zwalniacz pasów i zaryzykować, przeważała jednak ostrożność. Zwłaszcza, kiedy usłyszał w pobliżu wycie wilków. Huśtał się

tak przez trzy godziny, a wyobraźnia pracowała jak szalona, aż wreszcie nad horyzontem ukazało się słońce i cał za całem oświetliło ciemny las. Wtedy dopiero zobaczył, że miał ziemię zaledwie osiemnaście cali pod stopami. Opuścił się w dół, ale niepokoiły go jeszcze wilki do momentu, gdy nadszedł leśniczy i wyjaśnił, że to zamknięte w klatkach psy. Pace opadł na lasek za Wald Hotel i słyszał szczekanie zbiegłych psów wartowniczych, na które treserzy zrobili obławę. Poszedł za leśnikiem do jego chatki. Udało mu się nawet zamienić kilka słów po niemiecku.

Za leśniczówką Billy Pace ujrzał sztywną, brązową, podobną do lalki figurę. Jej drobne ramiona były przyciągnięte ciasno do ciała, jak wysoka garda boksera, a spalone usta, ściągnięte do tyłu w demonicznym uśmiechu, odsłaniały duże, równe zęby. Pace rozpoznał opalony kształt wąsów. Był to młody Speke, który wyskoczył z „S jak Sweet” bez pozwolenia. Wylądował na skrawku płonącego lasu.

Leśnik pozwolił Pace’owi popatrzeć na to przez chwilę.

— Czy to Kamerad?

— Ja, Kamerad - odrzekł Billy Pace i wszedł do baraku, czuł się fatalnie. Zemdlilo go.

Starszy mężczyzna podał mu kubek gorzkiego, brązowego płynu utrzymując, że to kawa, a następnie telefonicznie wezwał eskortę. Billy posiadał jeszcze pozostałą z żelaznej porcji tabliczkę czekolady. Leśnik zjadł ją delektując się jej smakiem. Wyjaśnił Pace’owi, że będzie bezpieczniejszy w asyście żołnierzy, niż idąc przez zbombardowane miasteczko bez ochrony. Pace pokazał leśnikowi fotografię swojej matki. Zastanawiał się, ile czasu upłynie, zanim ona dowie się, że jest jeńcem i nie zginął w akcji.

O Fleminga i jego załogę nie martwili się żadni koledzy. Byli sami. Ich pobyt w Warley nie trwał tak długo, aby zdążyli nawiązać przyjaźnie z doświadczonymi załogami, a któż winiłby ludzi, którzy wrócili, że woleli, by przeżyli ich przyjaciele, a nie siedmiu obcych jeszcze lotników?

W kasynie oficerskim w Warley oficer oświatowy zbierał osobiste rzeczy Fleminga. Zaledwie tydzień temu został wyznaczony na oficera opiekującego się rzeczami zaginionych. Sprawdził, czy nie ma fotografii pornograficznych i przeczytał dokładnie listy, aby upewnić się, czy nie sprawią cierpień rodzicom lub żonom. Było to ponure zajęcie. Spojrzał na listę następnym był Sweet.

Kiedy wylądował ostatni z bombowców, zaczęła pracę sekcja fotograficzna Warley Fen. Każda z zamontowanych na bombowcach kamer F24 została rozładowana, a filmy zabrane do wywołania. Wszystko robiono bardzo szybko. Wywoływacz był na 75 stopni F. Trzy minuty zajęło utrwalenie i płukanie przed przekazaniem do kąpieli w roztworze metylowo-wodnym, by szybciej wyschły. Potem starszy sierżant zebrał jeszcze mokre filmy i przejrzał je na kopioramie, by sprawdzić naświetlenie i wywołanie. Ani on ani nikt inny nie zauważył nic niezwykłego aż do chwili, gdy filmy zostały zawieszono w gorącym powietrzu suszarki.

Kapral WAAF wyszła z pokoju i przez moment spojrzęła na lotnisko. Kilka budynków było oświetlonych, a ich okna tworzyły jasne, żółte plamy, pozbawione naturalności w porannym, niebieskim świetle. Ścieżki i trawa błyszcząły wilgocią rosy, a latarnia kierunkowa nadal migotała Morse'em swoją tożsamość, oświetlając wszystko jak uderzenie pioruna. Dziewczyna znalazła fotografię wykonaną podczas poprzedniego ataku na Krefeld i zbadała ją uważnie przed ponownym spojrzeniem na negatywy. Zanim poinformowała starszego sierżanta, podzieliła się swym spostrzeżeniem z koleżanką. Nie chciała zrobić z siebie idiotki.

- Panie sierżancie, tu sekcja fotograficzna, starszy sierżant Booth. Atak nie uderzył w Krefeld. Właśnie zbadałam negatywy. Układ ulic zupełnie niepodobny. Nie wiem, panie sierżancie. To niepodobne do czegokolwiek. To niepodobne do czegokolwiek.

„Gericht der Wehrmachtkommandantur

BerlinBerlin NW 40 den 23-8-43

L/W KS/78 ui. Lehrterstrasse 58

Do Rady Nadzorczej więzienia w Brandenburg-Görden

W poniedziałek 13 września 1943 roku, o godzinie trzynastej zostanie w waszym więzieniu wykonany wyrok śmierci przez ścięcie gilotyną na byłym podoficerze.

Christianie Himmlu, urodzonym 12 września 1922 roku w Ottobeuren, Bawaria, wyznania katolickiego.

Za wykonanie wyroku czyni się odpowiedzialnym kata Rótgera. Wyrok należy ogłosić tego samego dnia o godzinie jedenastej.

Nadzór nad egzekucją będzie sprawował Oberleutnant Dr. Henze w asyście Feldjustizinspektora Keysera.

Skazany przebywa w więzieniu Wehrmachtu w Berlin-Tegel, Seidelstrasse 39.

Polizeiprasidium Berlin, jako władzę przekazującą, uprasza się o wysłanie skazanego do Brandenburga rano, 13 września 1943. Potwierdzenie przyjęcia więźnia jest obowiązkowe.

Przy egzekucji winien być obecny lekarz lokalnego więzienia.

Z up. Dyrekcji

(podpis)

Jost Oberk ri egsgerich tsrat”.

„23 sierpnia 1943. Oficer Administracyjny

Stacja RAF. Warley Fen ACH/GD LAMBERT, Samuel Charles Stwierdza się niniejszym, że wyżej wymieniony nie nadaje się do jakiegokolwiek dalszej służby w personelu latającym. Ministerstwo Lotnictwa zatwierdziło obniżenie jego stopnia podoficerskiego. Zgłosi się on natychmiast do chorążego Stacji o przydzielenie do pracy w zespołach roboczych, zatrudnionych przy sprzątanii, pracach sanitarnych i usuwaniu śmieci.

Choć obowiązki te nie są uważane za karę, A.C. Lambert nie będzie korzystał, aż do odwołania, z żadnych przywilejów. Obejmuje to przepustki i pozwolenie na nocowanie poza Stacją.

Do Chorążego Stacji RAF Warley Fen”.

## EPILOG

Niektórzy już dawno zapomnieli o wypadkach owej nocy 1943 roku. Inni nigdy jej nie zapomną, a wielu już nie żyje. Lóweñherz, Fleming i Sweet oraz ich załogi nie byli jedynymi, którzy zginęli. Luftwaffe straciła osiem nocnych myśliwców: trzy Ju88, cztery MellO i jednego Dorniera 217, jak również trzy inne, które tak ciężko lądowały, że spisano je ze stanu. Dziesięć załóg powietrznych Luftwaffe zginęło, a dwie inne zostały tak poważnie ranne, że już nigdy nie poleciały walczyć.

RAF stracił czterdzieści cztery bombowce, z których trzydzieści jeden padło łupem niemieckich nocnych myśliwców. Stracono trzystu jeden członków załóg z czego sześćdziesięciu ośmiu przeżyło dostając się do niewoli. Dziewięciu z tej ostatniej grupy odniosło poważne obrażenia. Ze zniszczonych samolotów RAF, trzydzieści pięć zdążyło wykonać bombardownie. Pięć samolotów wyrzuciło bomby w morze lub na teren otwarty. Jeden ładunek bomb spadł przypadkowo na holenderską wioskę i spowodował śmierć ośmiu osób, a trzy ranił. Dziewięć samolotów RAF zostało zestrzelonych przez niemiecką artylerię przeciwlotniczą, a jeden padł ofiarą nocnego myśliwca RAF, który go nie rozpoznał i zestrzelił w czasie przekraczania brzegu angielskiego o czterdzieści mil na południe od trasy lotu.

Trzy bombowce zrobiły fatalne błędy nawigacyjne. Jeden z nich zszedł przez chmury i rozbił się o górę w pobliżu Stavanger w Norwegii. Drugiemu zabrakło paliwa na sto sześćdziesiąt mil na wschód od wysp Orkney. Trzeci rozbił się na południu Francji. Wszystkie załogi zginęły.

Podporucznik Munro, brat Johna, przeżył lot i ukończył turę operacyjną. Zarządza teraz majątkiem brata po poślubieniu swej szwagierki Sary. Wychował dziecko brata i zadbał o jego karierę - zostało prawnikiem.

Tommy Carter i jego załoga zginęli cztery operacje po tu opisanąj.

Lambert nigdy więcej nie wrócił do latania. Ruth została przeniesiona do innej jednostki, a po zajściu w ciążę wystąpiła z WAAF i przez resztę wojny mieszkała w pobliżu męża. Lambert pracował po wojnie jako kreślarz w zakładach lotniczych. W roku 1954 opatentował zmodyfikowaną sprężarkę doładowującą i przystąpił do firmy, która podjęła jej produkcję. Jest szczęśliwy i zamożny, chociaż, jak wielu pilotów bombowców, miewa

dolegliwości stosu pacierzowego i inne zaburzenia. Mają córkę i dwóch synów.



Battersby, Flash Gordon i Digby zostali przydzieleni do nowego pilota. Po ukończeniu tury operacyjnej, przeniesiono ich do Dowództwa Lotnictwa Szkolnego skąd powrócili do dywizjonu i zdążyli wykonać cztery loty drugiej tury, gdy skończyła się wojna. Podczas ostatniej operacji zostali mocno ostrzelani i Flash Gordon stracił lewą rękę. Wiele wieżyczek Lancastera zostało zmodyfikowanych, celem poprawienia widoczności. Pułkownik nakłonił Ministerstwo Lotnictwa, aby nazwać tę modyfikację imieniem Sweeta.

Battersby poślubił kierowcę WAAF, którą poznał tamtej nocy. Po wojnie wstąpił na Uniwersytet Londyński, tak jak to planował jego ojciec, ale ku niejakiemu zdziwieniu tego ostatniego wybrał jako przedmiot studiów historię średniowieczną. Napisał książkę o średniowiecznych fortyfikacjach i jest obecnie profesorem, wykładającym gościnnie w dużym, amerykańskim uniwersytecie.

Digby powrócił do Australii. Jest właścicielem australijskiej filii brytyjskiego producenta lekkich samolotów i podróżuje po kraju. Sprzedaje te samoloty farmerom zapewniając ich, że jeśli on potrafi latać, to każdy może się tego nauczyć. Klienci pytają go czasem, czy służył w lotnictwie w czasie wojny, ale Digby twardo utrzymuje, że był zbyt młody, aby brać udział w wojnie. Teraz nosi perukę, bowiem kompletnie wyłysiał.

Jammy Giles odszedł z RAF w 1949 roku. Pił dużo i nie mógł oswoić się z faktem, że przyjęcia w powojennych kasynach oficerskich stały się bardziej układnie od tych, które lubił. Jego matka zmarła, pozostawiając mu trochę gotówki, za którą kupił bar w polizu Stradfordupon-Avon. W pierwszym roku miał nawet dochód, ale to doprowadziło go do fałszywej pewności siebie, ponieważ tak naprawdę to nie był on człowiekiem interesu. Niestaranna księgowość i hojność w udzielaniu kredytu doprowadziły go w 1954 roku do bankructwa. Jednakże po przepracowaniu dwóch lat w charakterze kelnera ponownie spróbował poprowadzić własny lokal. Kiedy znalazł się na dnie ekonomicznym i psychicznym, poznał i poślubił piękną dziewczynę o imieniu Bessie. Razem zaczęli prowadzić kawiarnię dla kierowców ciężarówek przy trasie A1, zaledwie trzydzieści mil od Warley. Jammy przyznaje, że lokal zawdzięcza swoje powodzenie Bessie, która pracuje dwa razy ciężiej od niego. Ona zajmuje się wszystkimi zakupami, wynajmem i opałem. Jak mówi Jammy: „Więcej kierowców je tutaj, aby

móc zobaczyć Bessie niż mnie”. Czasami lotnicy z dywizjonu odwiedzają ich, aby powspominać dawne czasy. Na ścianie znajdują się ciemne, upstrzone przez muchy zdjęcia Jammy’ego stojącego pod bombowcem Lancaster, a jedno, gdy otrzymuje od króla DFC. Jakies dwa lata temu wpadł do nich Peterson i zaśmiewali się z tego, jak wykonał podejście do bombardowania siedząc na „Elsanie”. Peterson mieszka w Montrealu i jest wiceprezesem małego przedsiębiorstwa produkującego sprzęt kempingowy.

Rodzice Cohena zmarli w 1948 roku, w ciągu trzech miesięcy jedno po drugim. Nora Ashton nadal mieszka z matką przy tej samej ulicy. Niektórych zastanawia fakt, że nigdy nie wyszła za mąż, choć, jak słusznie się domyślają, miała wiele propozycji.

Pułkownik zmarł w 1946 roku po wypadku samochodowym w Niemczech, kiedy służył jeszcze w RAF. Willy Reinecke dostał po wojnie pracę w RAF w Niemczech, chociaż musiał sfalszować wiek. Pracował w kontroli ruchu powietrznego przez prawie pięć lat, po czym przeszedł na emeryturę i zamieszkał w Zagłębiu Ruhry. Jego syn pracuje teraz w Lufthansie, także w kontroli ruchu powietrznego.

Fischer dostał drugi medal wkrótce po inwazji Francji w 1944 roku. Przyznano mu liście dębowe za zorganizowanie „pospolitego ruszenia”, w tym kucharzy i urzędników, aby przy użyciu Panzerfaustów odeprzeć atak brytyjskich czołgów pod Caen. Zginął, gdy został odcięty od swej dywizji w walkach w pobliżu Essen. Zorganizował punkt oporu obsadzony stu pięćdziesięcioma ludźmi i odrzucił wszystkie wezwania do poddania się. Zniszczył ich ogień artylerii. Miał jeszcze ze sobą ów trzystuletni kubański dywan, który znaleziony w ruinach przez kierowcę RASC<sup>o</sup> dokonał swych dni na podłodze w ciężarówce.

Frau Voss przeżyła wojnę. Korzystając z kilku dzieł sztuki, jakie jej mąż - z typową przezornością - przechowywał w domu zięcia, mogła żyć wygodnie w Portugalii aż do śmierci w 1959 roku.

Bodo Reuter także przeżył wojnę. Pracował przez rok na frachtowcu, a potem spotkał w Atenach pewnego człowieka, który dał mu zajęcie na luksusowym jachcie greckiego milionera; Suaszntó się rozpił. Został zwolniony i pracował na różnych statkach, ale dopiero na panamskim tankowcu znalazł zatrudnienie na dłużej. W Boże Narodzenie 1952 roku, dwaj policjanci znaleźli zwłoki starszego, zaniedbanego człowieka na ławce

parkowej w Hawrze. Nie mogli go zidentyfikować, gdyż sprzedał swe dokumenty żeglarskie, aby kupić wino. Wypełnili świadectwo zgonu opierając się na domysłach. Słusznie odgadli, że był Niemcem, ale jak jeden z nich powiedział, wyglądał bardziej na poetę niż na żebraka. Poszli na kompromis i napisali: nauczyciel.

Peter z SS, syn Augusta Bacha, w dziewięć dni po napisaniu listu zdobył jedno z najbardziej cennych odznaczeń za zniszczenie w pojedynkę czołgu. Trzy dni potem otrzymał promocję na oficera, a cztery dni później - w czasie odpoczynku na zapleczu frontu - został postrzelony z dubeltówki przez partyzanta i zmarł na skutek odniesionych ran.

August Bach jest teraz bardzo starym człowiekiem o zupełnie białych włosach i pomarszczonej skórze. Po wojnie udał się do Brazylii, ożenił z tamtejszą dziewczyną, z którą miał dwóch synów i córkę. Pierwszą pracę otrzymał w małym przedsiębiorstwie budującym łodzie motorowe dla entuzjastów wędkarstwa, głównie z USA. Po czterech latach właściciel dał Bachowi mały udział w przedsiębiorstwie, a kilka miesięcy później uczynił go pełnoprawnym współnikiem i wycofał się na emeryturę. Bach był już stary, ale przez wprowadzenie syna i zięcia do interesu, poszerzał z każdym rokiem swoją klientelę. Młodszy syn Bacha, Hans, wrócił do Niemiec. Ponieważ latał w Brazylii na lekkich samolotach, dostał pracę w Lufthansie i uzyskał licencję pilota. Wylatał już prawie trzy tysiące godzin na odrzutowcach. August i jego żona spędzają większość czasu w swoim domku na wybrzeżu. Pod pewnym względem jest on podobny do domku, jaki miał w Ermine. Nadal fotografuje ptaki, czasem je preparuje.

W samym Ermine nie zostało właściwie śladu po stacji radarowej, chociaż betonowe stanowiska dział nadal tam się znajdują. Holenderscy obserwatorzy życia ptaków udają się tam w letnie niedziele, ale nie ma już czapli. Przepłoszyły je prowadzone w pobliżu prace drenarskie.

Pozostały przy życiu bliźniak Scheske odsiedział pół roku za zastrzelenie psów i wziął udział w wojnie dopiero w jej ostatnich tygodniach. Pojmany przez żołnierzy Armii Czerwonej przesiedział jedenaście lat w obozie pracy na dalekiej północy. Kiedy go wypuszczono, był schorowanym człowiekiem. Pozwolono mu wrócić do rodziny w RFN. Nie ożenił się i pracuje jako magazynier w fabryce tworzyw sztucznych pod Hamburgiem. Dostał tę pracę tylko dlatego, że jego kierownik także służył

w Waffen SS.

Hans Furth został wzięty do niewoli przez Brytyjczyków w 1945 roku i pracował jako lekarz obozowy, potem zaś dla alianckiego zarządu wojskowego. Kandydował w wyborach lokalnych, ale przegrał. Jeden z ludzi, który pracował dla niego w kampanii wyborczej, był szefem monachijskiej filii amerykańskiego biura handlowego. Furthowi zaoferowano pracę w biurze chicagowskim. Pracował tam przez osiem lat, a potem otworzył własne biuro handlowe w Nowym Jorku. Pracuje tam teraz tylko dwa dni w tygodniu i może sobie pozwolić na długie wakacje na Florydzie, a także, raz w roku na podróż do Europy. Początkowo większość jego klienteli stanowili niemieccy producenci wchodzący na rynek amerykański, ale teraz proporcje się zmieniły. Furth tak zaczął się nosić i mówić po amerykańsku, że bardzo niewielu klientów domyśla się, że jest obcokrajowcem. Z tego też powodu zatrudnia tylko personel urodzony w Ameryce z wyjątkiem angielskiej sekretarki, angielskiego recepcjonisty i angielskiego telefonisty, stanowiących „wizytówkę” jego firmy.

Dr Starkhof, człowiek Abwehry, aresztowany po próbie zamordowania Hitlera 20 lipca 1944 roku, udowodnił przekonująco swą niewinność i uniknął wyroku śmierci. Został jednak wysłany do obozu koncentracyjnego i choć jeszcze żył, gdy wkroczyły tam wojska amerykańskie, zmarł zaledwie trzy miesiące potem.

Burmistrza skierowano do domu dla umysłowo chorych, gdzie zmarł jeszcze przed zakończeniem wojny. Młody Meyers, który ożenił się przy pomocy Andi Nielsa, wyemigrował do Izraela i pracuje teraz w gospodarstwie sadowniczym w pobliżu Jerozolimy. Redenbacher został Oberstem w OKL i zginął lecąc jako pasażer na Ju52 w styczniu 1945 roku. Stary Krugelheim został zabity, gdy Mustang lotnictwa Stanów Zjednoczonych ostrzelał z lotu koszącego lotnisko Kroonsdijk pod koniec 1944 roku. Samo lotnisko nadal istnieje, choć zajmuje połowę poprzedniego obszaru. Startują teraz z niego tylko lekkie samoloty, ale jest tam także stary, dwusilnikowy samolot, który za piętnaście guldenów zabiera turystów na krótki przelot nad Ijsselmeer. Prowadzone prace spowodowały odwodnienie dużego obszaru morza i pozwoliły odnaleźć w zeszłym roku szczątki Ju88 Kokkego. Samolot ten zamierzano oddać do muzeum, ale połamał się, kiedy go ruszono.

Pasy startów i lądowań w Warley Fen nadal istnieją, choć trudno je dojrzeć pośród rosnącego zboża. Jeśli udacie się tam dzisiaj, odnajdziecie niektóre z budynków. Izba chorych, gdzie zmarł Cohen, służy teraz owcom, a resztki kasyna sierżantów, gdzie tak głośno grywał gramofon, przeznaczono dla świń.

Tylko wieża kontrolna wygląda tak jak kiedyś, choć jeśli będziecie wchodzić po żelaznych schodkach, bądźcie ostrożni. Moglibyście już bowiem na ten temat nie napisać książki.

## PODZIĘKOWANIE

Po zakończeniu książki kusi, aby spojrzeć wstecz i spróbować przypomnieć sobie moment jej narodzin. To spojrzenie wraca do pewnego popołudnia 1944 roku, kiedy to mój przyjaciel z lat chłopięcych, mechanik pokładowy Colin Smith, świeżo po powrocie ze swojego pierwszego lotu bombowego, opowiedział mi, jak podczas odprawy załogi ucieszyły się na wiadomość, że będą im towarzyszyć bombowce Stirling, bardziej narażone na atak.

Od tego czasu, wiele osób poświęciło swój czas, aby pomóc mi napisać tę opowieść jak najdokładniej. W każdym razie pozostaje ona właśnie opowieścią; gdziekolwiek fakty historyczne kolidowały z fikcją, faworyzowałem fikcję.

Kapitan lotnictwa Alfred Price opowiedział mi sporo faktów a jego wspaniała książka o radarze: „Instruments of Darkness” niezmiernie mi pomogła. Weteran pathfinderów Hamish Mahaddie, kawaler DSO, DFC, dwukrotnego AFC i czeskiego Krzyża Wojennego, inżynier AFRAeS, był prawdziwą kopalnią wiedzy o RAF. Vivian Bellamy, kiedy wiozł mnie do Kolonii na Heinklu 111, pomógł mi zrozumieć związek między ciśnieniem ładowania, przepustnicą i skokiem śmigła.

Jestem wdzięczny panu Johnowi Shewringowi za podzielenie się ze mną swymi wspomnieniami bombardiera, za wypożyczenie map, planów celów i osobistych fotografii. Inny bombardier, Miles Tripp, autor „The Eighth Passenger” i „Faith is a Windscock”, ukończył - co jest być może bez precedensu - czterdzieści lotów bojowych w jednej turze. Udostępnił mi swoją własną kolekcję wycinków z prasy technicznej, map i urzędowych publikacji, a także poświęcił mi swój czas, odpowiadając na moje liczne pytania.

Mój stary przyjaciel Derek Coyte, szef reklamy filmu „The Battle of Britain”, nie tylko zorganizował mój lot na Heinklu, lecz doprowadził także do spotkania z Gunteren Fipsem Radoschem. Herr Radosch, kawaler Krzyża Rycerskiego, posiadający na koncie sześćdziesiąt trzy zwycięstwa jako nocny myśliwiec, był pionierem niemieckich doświadczeń w myślistwie nocnym. W czasie tego samego lotu, Derek Coyte zaaranżował spotkanie z

Hansem Brustellinem i Adolfem Gallandem, którym to pilotom dziękuję za udzielone informacje.

Herr von Lossberg, kawaler Krzyża Rycerskiego i oficer sztabowy Luftwaffe, wynalazł dla nocnych myśliwców taktykę „Wilde Sau”, był pilotem operacyjnym oraz ekspertem technicznym, który latał na prawie każdym typie niemieckich samolotów używanych w czasie II wojny światowej. Herr von Lossberg nie tylko rozmawiał ze mną bardzo długo, ale również zadał sobie trud narysowania mapy radiolokacji w roku 1943.

Karl Otto Hoffman, oficer służby czynnej i autor trzypięciotomowej historii niemieckiej radiolokacji w latach 1933-1945, poświęcił mi wiele swego czasu, a jego książka stanowiła dla mnie poważne źródło informacji. Hajo Herrman, jeszcze jeden kawaler Krzyża Rycerskiego, podzielił się swoimi doświadczeniami nocnego myśliwca.

Za pozwolenie zwiedzenia lotniska w Deelen i zobaczenia budynków zbudowanych dla Luftwaffe składam podziękowanie panu Jonkheer de Ranitz. Dowódca, pułkownik H.J. Doorenbos z lotnictwa holenderskiego, był niezwykle gościnnie, podobnie jak jego współpracownicy: major M.C. Breemans, porucznik Lamers i starszy sierżant Bolderman. Za udostępnienie informacji technicznych, fotografii i map dziękuję inżynierowi Mijnheer Tielemanowi z Deelen.

Dr H. den Kate z Królewskiego Holenderskiego Instytutu Meteorologii dostarczył mi szczegółów o wiatrach i stanie morza w czerwcu 1943 roku, a pan Van Dee, który pracował w latarni morskiej Noordwijk, odpowiedział mi na różne pytania dotyczące tego rejonu w owym czasie.

Wielu mieszkańców małych miast na północny zachód od Krefeld pomogło mi nakreślić moje fikcyjne miasteczko, szczególnie Johannes Hoeren z Gefrath, który przekazał mi również swoje osobiste pamiątki. Również Frau Overróder, która wraz z mężem prowadziła Park Hotel, nie tylko przedstawiła mi specyfikę służby pielęgniarskiej w czasie wojny, ale pokazała także swój mundur z tamtego okresu, służący teraz jako kombinezon do różnych prac domowych.

Mój przyjaciel, Fritz Sommer z Essen, pozwolił mi przejrzeć swój zbiór dokumentów i udostępnił listy, jakie napisał służąc w stopniu oficera Abwehry.

Don Elms i Mikę Wooler pomogli mi znaleźć popularne piosenki

anglo-amerykańskie i niemieckie. Ten ostatni udostępnił mi swoje wspaniałe filmy dokumentalne „Cities under Siege”. Dziękuję także dr. V.C. Radclyffowi i A. Flowersowi za ich pomoc w dopracowaniu pewnych szczegółów dotyczących służby medycznej.

Pracownicy Imperialnego Muzeum Wojennego byli jak zwykle wspaniali, a zwłaszcza pan J.E. Sutters, pracujący w archiwum filmowym, który odszukał dla mnie wiele niemieckich filmów szkoleniowych o szerokiej tematyce: od obrony cywilnej do obsługi Ju88.

W ramach przygotowań koniecznych do napisania tej opowieści przeczytałem ponad dwieście książek i jestem bardzo zobowiązany Patowi Quorn z księgarni Hersants za jego pomoc. Za odszukanie potrzebnych książek, których nakłady były już wyczerpane lub znajdowały się w zbiorach specjalnych, jestem wielce zobowiązany Bibliotece I.W.M., Bibliotece Podręcznej Westminster i Wydziałowi Informacji „Daily Telegraph”, jak również Miss Howlet z William Kimber Ltd. Specjalne podziękowania należą się także p. Jackets z Departamentu Historycznego Ministerstwa Lotnictwa oraz czasopismom „Flight” i „Aeroplane”.



Wiele wyjaśnień dotyczących Niemiec w czasach II wojny światowej udzielił mi Anton Felton i Ray Hawkey.

Jestem wdzięczny wszystkim z Jonathan Cape Ltd za ich pomoc i zachętę, szczególnie Tomowi Maschlerowi, który przeczytał pierwszy szkic powieści. Za pomoc związaną z wydaniem niniejszej książki jestem także zobowiązany Tony Colwellowi i Jean Mossopowi, a za opracowanie redakcyjne maszynopisu składam dzięki Robinie Masters i Jamesowi Atkinsowi.

Gdy nakreśliłem plan fikcyjnego miasteczka Altgarten pan F.N.B. Paterson, B.Sc, A.M.I.C.E., M.I. Mun E., M.I.H.E., Inspektor Miejski i planista z Brighton, poświęcił mi swój czas, aby przedstawić funkcjonowanie sieci gazu miejskiego, kanalizacji, wodociągów i elektryczności. Oprócz tego niezwykle uprzejmie wyjaśnił mi niektóre sprawy listownie, często załączając bardzo czytelne rysunki.

Panu Jacquesowi Maisonrouge z IBM należą się podziękowania za jego fachowość. Jest to na pewno pierwsza książka całkowicie nagrana na taśmę magnetofonową dla IBM 72 IV. Umożliwiło mi to przeredagowanie wielu rozdziałów ponad dwadzieścia razy, a przy pomocy zakodowanej pamięci wybierać w każdej chwili pewne zwroty techniczne. Eleanor Handley która obsługiwała tę maszynę, służyła swoim doświadczeniem i szczegółowymi uwagami przy MS na wszystkich etapach pracy, jak również dostarczyła system odsyłaczy, który razem z kolorowym kodowaniem i kartami odniesienia, pozwolił mi poradzić sobie z tą bardzo długą książką.

W końcu sprawa niemniej ważna: Ysabele de Ranitz cierpliwie tłumaczyła niekończące się rozmowy, sprawozdania techniczne i książki zarówno z niemieckiego, jak i holenderskiego. Przetłumaczyła także popularne niemieckie piosenki z okresu wojny.

„KB”